

LISA  
JACKSON

*BEZ*  
*PAMI CI*

# Prolog

## *Północna Kalifornia, droga nr 17*

To ten następny samochód. . . jedzie następnym samochodem, czarnym mercedesem coupe S 500, na południe, jak planowali my.

Przykucnął nisko w krzakach, we mgle snując się tu nad wilgotną ziemią i wytężył słuch. W głosie, który docierał do niego przez radiowe zakłócenia, czuł się napięciem.

- Myślałem, że jedzie porsche.

- Jedzie mercedesem - rzucił głos gniewnie. - Masz jakie półtorej minuty.

- Zrozumiałem. - Zmrużył oczy, wpatrując się w drogi wijące się wśród wzgórz i kanionów charakterystycznych dla pejzażu tej części Kalifornii. Tak, teraz już na pewno w wilgotnej ciemności rozległ się pomruk dobrze ustawionego silnika. Samochód jechał pod górę. Był coraz bliżej.

Ona była coraz bliżej.

Serce waliło mu jak młotem. Przypomniawszy sobie zapach jej skóry. Wyraz jej oczu. Ohyd jej zdrady.

Zasłuchała na to, zrozumiawszy dziwka. Wolał tylko, że nigdy się nie dowiedzie, że właśnie nie on był narządem jej miłości.

Czuł, jak wzrasta poziom adrenaliny we krwi. Usłyszał jeszcze:

- Nie spieprz tego. To twoja jedyna szansa.

- Wiem.

- Ta robota jest warta sto patyków.

Jest warta znacznie więcej, pomyślał, ale tego nie powiedział. Du o, du o więcej.

- Zajmij się tym. - Wyłączył radio, złożył anteny i wrzucił słuchawki do głębokiej kieszeni kurtki. Potem wystąpił mu obficie na czoło, spływał cienkimi strugami po szyi, choć w lesie było

zaledwie kilka stopni powyżej zera. Naciągnięta narciarka na pomalowaną na czarno twarz i ruszył truchtem po miedzi. Stare wojskowe buty trzymały się mocno podłogę, a maskujący uniform wtapiał się w mrok nocy.

Gałzie były go po twarzy. Powietrze było wilgotne i gęste, czuł zapach mokrej ziemi i czegoś jeszcze: własnego strachu. Strachu, ale jednak mu się nie udało. Ale ona przeżyje. Ale w końcu to ona będzie się z niego miała.

Nie, nigdy. Nigdy, do cholery.

Gdzieś w pobliżu rozległo się pohukiwanie sowy. Na moment zagłuszyło bicie jego serca. Po chwili usłyszał samochód jadący na niskim biegu i szum wielkiego silnika... na pewno nie mercedesa. Samochód zbliżył się z drugiej strony. Zaszło mu w gardle.

Spokojnie, pomyślał, wybiegajcie z lasu na wyznaczony zakręt na drodze. Miał nadzieję, ale ciarówka jest jeszcze daleko. Przeciwnie mokrzejdzie cicho i szybko jak komandos. Spojrzał na zegarek. Trzydzieści sekund. Cholerny samochód był coraz bliżej. Zaciśniętymi zębami. We mgle między drzewami dostrzegł migające światła reflektorów.

No, dalej, ty dziwko. Jeszcze trochę.

Dźwięk dobiegający z południa narastał; ciarówka - z tych mniejszych, sześćdziesiątka po dźwięku silnika - nabierała prędkości. Cholera!

Przykucnął na wskiej drodze, w połowie między dwoma ostrymi zakrętami. Wyciszył słuch. Z oddali dobiegł go pisk opon mercedesa na liskim asfalcie. Pospiesz się, poganiał go w duchu, mruć oczy. Może być szybszy od tej ciarówki. Musisz być szybszy.

Samochód było teraz słychać znacznie bliżej.

Dobrze.

Znowu rzucił okiem na zegarek; na podświetlanej tarczy sekundnik odliczał uderzenia jego serca. Wszystko szło

zgodnie z planem, poza ci arówk . Jeszcze kilka sekund... oblizał wargi.

W ciemno ci rozległ si pisk hamulców. Za blisko. Cholera, za blisko. Odwrócił głow na południe, w stron nadje d aj cego samochodu. Silnik zakrzusil si nagle, kiedy kierowca wrzucił ni szy bieg.

Słuchał, czuj c napi cie całego ciała, wszystkich mi ni. Nie mo e ryzykowa , nie mo e mie wiadka. Pot spływał mu zimn stru k wzdlu kr gosłupa.

Mo e si wycofa . Jest jeszcze czas.

Ale kiedy znowu nadarzy si taka okazja?

Sto patyków. A to tylko pocz tek.

Poza tym, zasu yła sobie na to... okazja spadła mu jak z nieba.

Głó ny warkot silnika odbijał si echem w ród d bów i sekwoi. Pot na ci arówka zje d ała w dół stromej drogi.

Z przeciwnej strony mercedes - je li informacja była prawdziwa -wci wspinał si pod gór . A kobieta za kierownic , nie miała poj cia, e zaraz zginie.

Jego oddech nagle stał si płytki i urywany. Spokojnie. Potraktuj to jak jeszcze jedno wiczenie-takie, jakich musiały wykona setki wiele lat temu w jednostce słu b specjalnych. Dasz sobie rad . Jeszcze tylko kilka sekund i b dziesz w domu, wolny. Serce biło mu szybko, jak perkusja, dłonie w ciasnych r kawiczkach zwilgotniały od potu.

Zza zakr tu w dole padło na drog wiatło bli niaczych reflektorów mercedesa. Z drugiej strony, z góry, dobiegł pisk hamulców ci arówki.

Teraz! Poderwał si i stan ł na rodku pasa wiod cego na południe. L ni cy, czarny samochód przyspieszył. M czyzna nagle znalazł si w wietle jego reflektorów. Błyskawicznie podniósł okrycie osłaniaj ce dotychczas lusterka przymocowane paskiem na piersi. Kobieta za kierownic zacz ła gwałtownie hamowa . Opony zapiszczały na mokrej

nawierzchni, koła mercedesa nagle stan ły w miejscu. Samochód skr cił w prawo, przewrócił si na bok i zawirował na wirze pobocza. W ułamku sekundy ujrzał t kobiet , przera enie na jej pi knej twarzy, usta rozwarte w krzyku, zaci ni te na kierownicy dłonie. Ale w samochodzie był kto jeszcze - kto siedział koło niej na przednim siedzeniu. Cholera! Miała by sama. Zapewniono go, e b dzie sama!

Przeskoczył na drugi pas. W ostatniej chwili unikn ł zderzenia z solidnym, niemieckim błotnikiem. Potkn ł si . Upadł. Usłyszał brz k tłuczonego szkła. Odłamki szkła zal niły w wietle reflektorów. Cholera. Ale nie było czasu, eby co z tym zrobi . Dysz c ci ko, zerwał si na nogi i ruszył p dem do lasu.

Byle dalej.

Ci arówka wynurzyła si zza zakr tu, zalewaj c drog o lepiaj cym wiatłem. Zdołał jeszcze dostrzec grymas przera enia na twarzy kierowcy, wielkiego, brodatego m czyzny. Jego przera liwy krzyk wybił si ponad pisk hamulców. Osiemna cie wielkich opon tarło asfalt, pal c gum . Kabina kierowcy przekr ciła si gwałtownie, ci arówka zło yła si jak scyzoryk.

O, cholera, cholera! Wiej st d, draniu!

Przeskoczył przez band i wpadł mi dzy drzewa. Przewrócił si , skr caj c nog w kostce. Bolała teraz przy ka dym kroku, ale wiedział, e nie mo e si zatrzyma . Nie teraz. Serce biło mu jak szalone. Pot spływał z ukrytej pod narciark twarzy. K tem oka zobaczył, jak mercedes, sypi c iskrami, z przera liwym zgrzytem trze o barierk po drugiej stronie drogi.

Rzucił si biegiem w dół zbocza. Usłyszał jeszcze zgrzyt rozdzieranego metalu, kiedy samochód przerwał słabsze miejsce w barierce i stoczył si mi dzy pnie drzew.

Zgodnie z planem.

Ale ci arówka, cholerna ci arówka, nad którą nikt już nie panował, jechała drogą w dół, nabierając prędkość.

Biegł teraz, czuł przeszywający ból w kostce i ogień w płucach. Ci arówka jechała coraz szybciej. Koła zablokowały się w kołach. Lasem wstrząsnął potężny huk, kiedy przerwała metalową barierkę i zaczęła staczać się z boczkiem za jego plecami. Jakby polował na niego w ciemności, mechaniczny potwór. Tony pociętego metalu łamały krzaki i mniejsze drzewa. Serce waliło mu jak młotem, nogi same niosły go przed siebie.

Uciekaj, uciekaj! Kostka bolała jak wszyscy diabli, miał wrażeń, a zaraz potem do płuc.

Biegł przed siebie, potykając się i nie zwracając uwagi na odmawiające mu posłuszeństwa ciało, kluczył między drzewami. Gdzie on jest? Gdzie jego jeep? Gdzie? Za wszelką cenę musiał uciec przed staczającym się w dół metalowym potworem, ze spotkania z nim nie uszedłby żywym. Rzucił się głową w przód przez powalony wielki pień, poderwał się i biegł dalej, chociaż gałązki malin czeptały się kolcami jego ubrania. Miał nadzieję, że dotrze do jeepa na czas, że uda mu się ruszyć i zostawić za sobą ten koszmar, którego był sprawcą.

Nagle ziemia zadrapała i uciekła mu spod nóg. Upadł twarzą na wilgotny ściół.

Wtem w oślepiającym błysku wielka ognista kula wystrzeliła w górę pomiędzy drzewami, mieniąc się wszystkimi odcieniami czerwieni i oranżu. Noc zmieniła się w dzień.

Kiedy ci arówka eksplodowała, nocną ciszę rozdarł potworny krzyk, straszny, potężny czy odgłos konania, którego nie sposób zapomnieć. Na las spadł deszcz iskier, opalając mu włosy, narciarski i kurtki. Po lesie rozszedł się dym, zapach oleju napędowego i smrodu palonej gumy. Przez chwilę miał wrażeń, a zaraz umrze. Bóg jeden wie, że na to zasłużył.

Wtedy go zobaczył. Podarunek od samego diabła: w ognistym świetle eksplozji zobaczył swojego jeepa. W

przydymionych szybach odbijały się płomienie. Wóz stał dokładnie tam, gdzie go zaparkował. Na opuszczonej drodze, którą dawniej zwano drewno z wyrubu.

Wstał, rozpiął zamek kieszeni i wyjął kluczyki. Otworzył drzwiczki. A więc udało się. Prawie. Dym dusił go. Szybko wsiadł do samochodu. Drżał, w kostce czuł bolesne pulsowanie. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Jeep zapalił od razu. Las zalewało dziwne, niepokojące wiatło. Na wszelki wypadek nie zdjął narciarki i zatrzasnął drzwiczki.

Wrzucił jedynkę, silnik zawył, opony zabuksowały w błocie.

- No, dalej! Ruszaj!

Jeep drgnął, posunął się odrobinę do przodu i stoczył znowu w tył.

Cholera. Miał ochotę zapalić. Niedobrze.

W końcu koła złapały grunt. Ruszył. Spojrzał w lusterko i zobaczył ogień i dym wzbijające się ponad drzewa.

Ona nie żyje. Zabite jej. Wysłała jej czarną duszę prosto do piekła.

Zasłużyła sobie na to!

Włączył radio. Poprzez głosy na antenie i szum silnika przedarła się znajoma, którejś piosenka Jima Morrisona.

*Come on, baby, Light my fire...*

Nie, nigdy więcej. Ta dziwka już w nikim nie rozpali ognia. Nigdy.

# 1

Nic nie widziała, nie mogła mówić, nie mogła... O Boże, nie mogła ruszyć ręką. Próbowwała otworzyć oczy, ale nie była

w stanie unie powiek. Ka da wa yła ton i paliła o lepiaj cym, ostrym bólem.

- Pani Cahill?

Pani Cahill? Kto poło ył chłodn dło na jej r ce.

- Pani Cahill? Słyszysz mnie pani?

Uprzejmy kobiecy głos zdawał si dochodzi z bardzo daleka... z drugiej strony bólu. To ja? Ja jestem pani Cahill? Nie wydało jej si to mo liwe, ale nie wiedziała dlaczego.

- Jest tu pani m . Chciałby si z pani zobaczyć .

Mój m ? Ja nie mam... Bo e, co si ze mn dzieje? Trac rozum? Kobieta z ci kim westchnieniem cofn ła dło .

- Przykro mi. Ci gle nie reaguje.

- Jest w szpitalu od sze ciu tygodni - odezwał si m ski głos. Ostry. Stanowczy. - Od sze ciu tygodni, na miło bosk , i nie ma ladu poprawy!

- Ale oczywi cie, nast piła poprawa. Oddycha teraz sama, zauwa yłam ruchy gałek ocznych pod powiekami, kaszłała i próbowała ziewa - a to oznacza, e mózg nie został uszkodzony...

O Bo e, mówi o uszkodzeniu mózgu!

- Wi c dlaczego jeszcze sienie obudziła?

- Nie wiem.

- Cholera. - M czyzna zni ył głos.

- Prosz da jej czas - rzekła łagodnie kobieta. - Oczywi cie nie mamy pewno ci, ale niewykluczone, e ona nas teraz słyszy.

Tak, tak, słysz was, ale nie nazywam si Cahill, nie jestem m atk i umieram z bólu. Na lito bosk , niech mi kto pomo e! Je li to jest szpital, to na pewno macie tu kodein czy morfin albo... albo chocia aspiryn .

Znów zaczą ł j spowija mglisty kokon snu, a ona bardzo chciała ulec tej senno ci i przez jaki czas nie czu niczego.

- Marla? To ja, Alex. - Gł boki baryton rozległ si teraz znacznie bli ej. Wydał si gło niejszy. Jakby m czyzna stał



zaledwie kilka centymetrów od łóka. Poczwała dotyk jego dłoni, kiedy ciska jej rami. Chciała pokazać mu jako, e go słyszy, ale nie mogła si ruszy. Ani troch.

Doleciał j zapach jego wody kolo skiej, domy liła si, e musi by droga. Ale sk d mogła wiedzie, czy to prawda? Palce na jej skórze były mi kkie, gładkie... Rce Aleksa. Rce jej m a.

O Bo e, dlaczego niczego nie pami ta?

Próbowała przypomnie sobie jego twarz, kolor włosów, szeroko ramion, rozmiar butów, cokolwiek, ale nie mogła. Pachniał lekko dymem papierosowym, a kiedy r kaw jego marynarki dotkn ł jej nadgarstka, poczwała szorstko wełnianej tkaniny. I nic wi cej.

- Kochanie, prosz, obud si. Brakuje mi ciebie, a dzieci... – Głos załamał si nagle, jakby zduszony przez zbyt silne emocje.

Dzieci?

Nie! Niemo liwe, eby miała dzieci i nie wiedziała o tym, prawda? Dzieci to co, o czym ka da kobieta, nawet półprzytomna, le ca w szpitalu, zawsze pami ta. Z cał pewno ci kobieca intuicja, to pierwotne zwierz drzemi ce w gł bi niej, czułaby, e jest matk. Ona jednak, uwi ziona w ciemno ci i bezwładzie, nie czła nic. Gdyby mogła cho otworzy oczy... ale przytulne ciepło nie wiadomo ci było takie kusz ce... wkrótce wszystko sobie przypomni, na pewno... To tylko kwestia czasu...

Nagle oblał j zimny pot. U wiadomiła sobie, e nie jest w stanie przypomnie sobie ani jednej chwili ze swego ycia. Tak, jakby nigdy przedtem w ogóle nie istniała.

To jaki koszmar. To zły sen. Nie ma innego wytłumaczenia.

- Marla, prosz, wró do mnie. Do nas - wyszeptał Alex szorstko, a ona w gł bi duszy ałowała, e nic nie czuje, e głos tego obcego człowieka, człowieka bez twarzy, który

podaje się za jej m... a, nie wzbudza w niej żadnych uczuć. Jego palce zacisnęły się na jej dłoni, poczuła, że ci gniew ją igła wenflonu wbita w przedramię. Dobry Boże, to głodne, jak scena ze szmatławego filmu o drugiej wojnie światowej. - Cissy bardzo za tobą tęskni, a mały James... - Głos znowu się załamał. Próbowwała wydobyć z niepamięci jakieś wspomnienia miło ci czy czuło ci dla tego człowieka, którego nie mogła ani sobie przypomnieć, ani zobaczyć.

Otchła, która była jej przeszłością, ziała pustką. Nie miała pojęcia, jak Alex Cahill wygląda, jak zarabia na życie, jak się z nią kocha... a tego nie mogłaby chyba zapomnieć. No a dzieci? Cissy? James? żadnych wspomnień, żadnych wizerunków tłuczkich maluchów o rumianych policzkach i zasmarkanych nosach ani patykowatych nastolatków walczących z trzdzikiem młodziecym. Czowała, że zaczyna odpływać. Może w końcu podali jej do ręki jakiś rodek przeciwbólowy, bo miała wrażenie, że oddała się od swojego ciała... Musi się skupić.

- Jak długo jeszcze? - spytał Alex. - Jak długo może to jeszcze potrwać?

- Nikt nie odpowie panu na to pytanie. To niemożliwe. - Głos pielgniarki zdawał się dochodzić z daleka, jakby znajdowała się na drugim końcu długiego tunelu. - piątka może trwać zaledwie kilka godzin albo... cóż, znacznie dłużej. Wiele dni. Tygodni. Nie da się tego przewidzieć. Może nawet dłużej...

- Proszę sobie darować - ucił krótko. - Tak nie będzie. Ona na pewno dojdzie do siebie - powiedział głosem twardym jak stal. Musiał być człowiekiem nawykłym do wydawania rozkazów. - Marla? - Chyba ponownie odwrócił się w stronę łóżka, bo jego głos brzmiał teraz wyraźniej. I bardziej niecierpliwie. - Na rany Chrystusa, naprawdę mnie nie słyszysz?

Nadludzkim wysiłkiem spróbowała się poruszyć. Ale nie była w stanie. Skropowana, przyklejona do łóżka i tej sztywnej,

wykrochmalonej po cieli. Nie mogła poruszyć nawet małym palcem, ale to już nie miało znaczenia...

- Chcę rozmawiać z lekarzem - rzucił Alex władczo. Tego słowa zdawały się ci powietrze jak noce. - Nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy zabrać jej do domu i tam się nią opiekować. Zatrudni, kogo tylko będzie trzeba. Pielęgniarki. Masażystów. Mamy w domu odpowiednie miejsce dla wszystkich, którzy powinni być przy niej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pielęgniarka milczała przez chwilę. W tym jej milczeniu czuło się dezaprobatę... A może ona tylko założyła sobie, że ta kobieta jest pielęgniarką. Wyczerpała wszystkie siły, usiłując dać im jakiś znak, że słyszy, choć wszystko ją boli.

- Powiem doktorowi Robertsonowi, że chce się pan z nim zobaczyć - odparła w końcu pielęgniarka. Jej głos tak nie był już ciepły i kojący. Teraz brzmiał oschle. Profesjonalnie. - Nie jestem pewna, czy jest w tej chwili w szpitalu. Dopilnuj, żeby otrzymał wiadomość.

- Mam nadzieję.

Marla znówu odpięła: kilka straconych sekund, może minut. Ale wkrótce do jej wiadomości ponownie dotarły jakieś głosy, zakłócające sen.

- Uwaga, pani Cahill powinna teraz odpocząć - mówiła pielęgniarka.

- Zaraz sobie pójdziemy - powiedział nowy głos. Starsza kobieta. Wykształcona i zapewne elegancka. Nadpływał wraz z zbliżającymi się krokami, szybkimi i pewnymi, kontrastującymi z jej wiekiem. - Jesteśmy rodziną. Chciałabym przez chwilę zostać sama z synem i synową.

- Dobrze. Ale dla dobra pani Cahill proszę nie przeciągać wizyty.

- Nie będzie dziwnie - zgodziła się starsza pani i Marla poczuła na swojej dłoni dotyk chłodnych, suchych palców. - Marla, obudź się, kochanie. Cissy i mały James czekają na ciebie.

Bardzo ci potrzebuj . - Usłyszała cichy miech. - Niech tnie to przyznaj , ale zdaje si , e Nana to jednak nie to samo co ich matka.

Nana? Babcia? Te ciowa?

Usłyszała szelest materiału i st panie mi kkich pantofli oddalaj cych si po podłodze, a potem szcz k otwieranych drzwi. Zapewne piel gniarka wyszła z pokoju.

- Chwilami zaczynam w tpi , czy ona si kiedykolwiek obudzi -mrukn ł Alex. - Bo e, musz zapali .

- Musisz by cierpliwy, synu. Marla miała straszny wypadek, a potem przeszła kilka operacji. Dochodzi do siebie.

Bo e, dlaczego ona niczego nie mo e sobie przypomnie ? Jeszcze jedno ci kie, przeci głe westchnienie. Palce starszej pani czule poklepały wierzch jej dłoni. Delikatny zapach perfum... zapach, który znała, ale którego nie potrafiła nazwa .

- Mam nadziej , e jej twarz nie pozostanie po tym zbyt zniekształcona - odezwała si znowu kobieta.

Co? Zniekształcona? Och, tylko nie to. Zniekształcona? To słowo wyrwało j na moment z ot pienia. W gardle, w którym cały czas czuła dziwn sucho , nagle wyrosła twarda kula. Miała wra enie, e jej oł dek skurczył si nagle, jakby ci ni ty gumowym pasem. Usiłowała przypomnie sobie, jak wygl da, ale to w sumie nie miało znaczenia... Z przera enia serce waliło jej jak młotem. Na pewno gdzie , kto obserwuje jakie monitory i dostrze e wkrótce, e ona jest przytomna, e reaguje. Ale nie usłyszała po piesznych, gło nych kroków, nikt nie zawołał: „Poruszyła si . Patrzcie, odzyskuje przytomno !”.

- Zajmuj si ni najlepsi lekarze w tym stanie. Mo e... mo e nie b dzie wygl da tak, jak tego oczekujemy, ale b dzie pi kna, wspaniała. - Alex mówił to tak, jakby chciał przekona siebie samego.

- Jak zawsze. Wiesz, Alexandrze - powiedziała kobieta, która nazwała się Nan - czasem uroda może się stać dla kobiety przekleństwem.

Mam nadzieję, że masz się niewesoło.

- Myślę, że ona byłaby innego zdania.

- Na pewno. Ale jest jeszcze za młoda, by to zrozumieć.

- Zastanawiam się tylko, co będzie pamiętała, kiedy już się obudzi.

- Miejmy nadzieję, że wszystko - odparła kobieta, ale w jej głosie kryło się dziwne napięcie, może nawet lęk.

- Tak. No cóż, czas póki jest.

- I tak mamy do oświadczenia, że nie zginęła w tym wypadku.

W głosie mężczyzny - jej męża - nie było śladu wahania. Odparł natychmiast:

- Tak, mamy cholernie szczęście. W ogóle nie powinna była prowadzić. Do diabła, przecie dopiero co wyszła ze szpitala.

Znowu szpital? Zapadała w drzemkę, jak w głąb, ciepły mgłą. Słowa docierały do niej zniekształcone, niejasne. Czy na pewno dobrze usłyszała?

- Na wiele pytań nie znamy jeszcze odpowiedzi - szepnęła jej teściowa.

Tak, na bardzo wiele, ale teraz jestem zbyt zmęczona, żeby o tym myśleć... jestem bardzo zmęczona...

Nick Cahill gwizdnął przecięgle na swojego psa - kundla bez jednej łapy - i wyłczył silnik notoriosa. Zarzucił linę na poczerńiały słup w doku, gdzie cumował swój łódź.

- Chodź, Twardziel, idziemy do domu - zawołał przez ramię.

Łódź kołysała się na wodzie, poruszana falami przyływu w tej ustronnej części zatoki. Z ołowianego nieba się piła mawka, zimne podmuchy porywistego wiatru raz po raz

uderzały twarz Nicka. Rybitwy krążyły nisko nad ziemią, a w górze nad nimi unosił się przenikliwy krzyk mew. W wilgotnym, grudniowym powietrzu silny odór ropy mieszał się z woni zalewy solnej i gnijącego drewna.

Nick postawił kołnierz kurtki i chwyciwszy wiadro pełne żywych krabów ruszył na pomost. Twardziel, biało-czarny, przypominający owczarka mieszańca o skomplikowanej genealogii wyprzedził go i pierwszy skoczył na liskie deski. Stukał pazurami, wdrapał się na schody prowadzące na parking na urwisku. Nick szedł za nim powoli, mijając butwiejące drewniane pale, pokryte papkami i spleśniałymi wodorostami.

- Kto do ciebie przyjechał - burknął stary Ole Olsen, siedzący w oknie budki z przynętami na podeście.

Ruchem brody wskazał na schody, nawet nie spojrzawszy na Nicka, zajęty, jak zawsze, wyrabianiem przynęt.

- Do mnie? - spytał Nick.

W ciągu ostatnich pięciu lat, czyli odkąd tu przyjechał, nikt nigdy nie szukał go na przystani.

- Tak. Tak mówił. - Ole, z nieodłącznym niedopałkiem cygara przyklejonym w kącie ust, siedzący na stołku wśród różnorodnych przynęt i lodówek z robakami i cołkami, od zawsze stanowił część przystani. Półkole siwej czołmy, rudych włosów otaczało łysinę na czubku jego głowy, a grube fałdy pomarszczonej skóry skrywały jego oczy skuteczniej niż grube szkła okularów, zsuniętych na czubek nosa. - Powiedziałem mu, że wypłynę. On na to, że zaczeka. - Przegryzł nitkę i okręcił ją wokół kawałka pomarańczowego mchu, który zaczynał teraz przypominać muchę na łososie. - No a jak chciał czekać, to mu nie mogłem zabronić.

- Ale kto to jest?

- Nie powiedział. Ale zaraz go poznasz. - Ole wkoło podniósł wzrok i zerknął na Nicka z nadzieją. Nick widział

jego twarz na tle stojaków na papierosy, planów przyptywów i kolorowych much. - Nietutejszy. Od razu wida .

Nick zeszywniał.

- Dzi ki.

- Nie ma za co - odparł Ole, uprzejmie skłaniaj c głów .

Twardziel warkn ł krótko.

Nick wspi ł si na schody i ruszył przez wysypany wirem parking, na którym bez ładu i składu porozstawiane były samochody, furgonetki i ci arówki. W ród nich. i ak przysłowiowy brylant w popiele, l nił srebrzysty jaguar z wł czonym silnikiem. Tablice z Kalifornii zdradzały przybysza z południa. Silnik zgasł nagle. Drzwi od strony kierowcy otworzyły si i z samochodu wysiadł wysoki m czyzna w eleganckim garniturze, płaszczu przeciwdeszczowym i wypolerowanych półbutach.

Alex Cahill we własnej osobie.

wietnie. Po prostu wietnie.

Pi kny dzie wybrał sobie na wizyt .

- Nareszcie - rzucił Alex, jakby czekał tu od wielu godzin. - Ju my lałem, e si utopiłe . - Wskazał głów morze.

- Jeszcze nie.

- Mo e nast pnym razem.

- Mo e.

Oczy Aleksa, bardziej szare ni niebieskie, zal niły gniewnie.

- Masz wszystko gdzie , jak zawsze,

- Pracuj nad tym. - Nick nawet nie raczył si u miechn . - Nie chciałbym nikogo rozczarowa .

- Cholera, Nick, nic innego nie robisz.

- Skoro tak mówisz.

W ułamku sekundy Nick zrozumiał, co musiało si sta . Jego matka nie yje. Z adnego innego powodu Alex nie zdecydowałby si rujnowa w taki sposób swoich opon, po

trzysta dolców ka da. Ale jako nie mógł w to uwierzy . Eugenia Haversmith Cahill była najtwardsz istot , jaka kiedykolwiek st pała po ziemi w pantoflach na dziesi ciocentymetrowych obcasach. Nie. Jego matka nie mogła umrze . Eugenia prawdopodobnie prze yje obu swoich synów.

Podszedł do swojej furgonetki, wstawił wiadro z krabami na pak obok zapasowego koła i skrzynki z narz dziami. Od dawna nie malowany płot i rz d wierków odgradzały przysta od sklepu z antykami, który, odk d Nick zamieszkał w Devil's Cove\*, był cały czas zamkni ty.

Alex wsadził r ce gł boko do kieszeni swojego płaszcza, z pewno ci oznakowanego metk jakiego znanego projektanta. Nie eby Nick znał si na takich rzeczach albo eby go to interesowało.

Ale co musiało si sta .

- Słuchaj, Nick, przyjechałem tu, bo potrzebuj twojej pomocy.

- Ty potrzebujesz mojej pomocy - powtórzył Nick, u miechaj c si sceptycznie. - Chyba mi pochlebiasz.

- To powa na sprawa.

- Domy lam si .

- Chodzi o Marl .

Sukinsyn. Pod grub skór swojej kurtki Nick zeszywniał. Nie da si w to wci gn , eby nie wiem co. Nie przez Marl . Nigdy wi cej.

- Miała wypadek.

Nagle zrobiło mu si zimno.

- Jaki wypadek? - Zacisn ł z by tak mocno, e poczuł ból w szcz ce. Nigdy nie ufał swojemu starszemu bratu. Miał po temu powody. Odk d Nick si gał pami ci , Alex zawsze bił czołem przed ołtarzem dolara, z nabo e stwem słucał notowa giełdowych i gorliwie oddawał hołd patronom San Francisco, elicie, cz sto okre lanej jako „stare pieni dze”.

*\* Diabelska Zatozka.*



Dotyczyło to - w jeszcze większym stopniu - jego pięknej siostry Marli, która cznie wspinając się po drabinie społecznej.

Tak więc brat przywoził Nickowi na miasto i głównie jego własne związki z Wszechpotężnym Dolarem. I z Marli.

- Jest ładnie, Nick - powiedział Alex, kopiąc jakiś kamień czubkiem eleganckiego półbuta.

- Ale przeżyła? - Tyle przynajmniej musiał wiedzieć.

- Ledwo, ledwo. Jest w pieknie. Moje... moje... z tego nie wyjdzie. Nickowi zrobiło się jeszcze zimniej.

- Wiadco co ty tu robisz? Nie powinieneś być teraz z nią?

- Tak. Byłem przy niej cały czas. Ale... nie wiedziałem, jak się z tobą skontaktować. Nie odpowiadała na moje listy... no i...

- Nie przepadam za pocztą elektroniczną.

- Tak, to jest problem.

- Jeden z wielu.

Nick oparł się o brudny błotnik Dodge'a, powtarzając sobie w duchu, że nie da się w to wciągnąć. Ten drań, jego brat, celował w takiej gładkiej gadce. Z tym szczerym, pełnym zrozumienia uśmiechem na twarzy, z silnym, budzącym zaufanie uściskiem dłoni, umiejętnie podtrzymywał kontakt wzrokowy, potrafiłby namówić kogoś, aby mu oddał swoją kamizelkę ratunkową. Starszy od Nicka o trzy lata Alex był obyty i wytworny. Studiował w Stanford, a dyplom z prawa zrobił na Harvardzie.

Nick miał to wszystko w nosie.

- Co się właściwie ciw stało? - spytał, usiłując zachować spokój.

- Wypadek samochodowy.

Fakt, że Alex zbladł pod warstwą opalenizny, wiadczyl na jego korzyść. Sięgnął do kieszeni, znalazł paczkę papierosów i wyciągnął je w stronę Nicka, który potrzebował tylko głowę, choć miał wielką ochotę zaciągnąć się uspokajającym, nikotynowym dymem.

Alex pstryknął zapalniczkę i wciągnął dym głęboko w płuca.

- Marla prowadziła samochód innej kobiety. To było sześć tygodni temu. W górach, w pobliżu Santa Cruz, na wyjątkowo parszywym odcinku drogi. Kobieta, do której należał ten mercedes, Pamela Delacroix, była z nim w wozie.

Westchnął ciężko, wydmuchując kłębszarawego dymu, zawahał się i umilkł na chwilę. W tym samym czasie rozmówcy do zrozumienia, i może się spodziewa dalszych miobowych wieści. Na parking, rozbryzując kałużę, wjechał z dużej prędkości brudny jeep. Z piskiem hamulców zatrzymał się przy ogrodzeniu, a ze środka wyskoczyło dwóch rozkrzyczanych, mniej więcej dwudziestoletnich chłopców. Wyciągnęli z samochodu wózki, siatki i przenośne lodówki, po czym głośno tupiąc, zbiegli w dół po schodach.

- Mów dalej - rzucił Nick.

- Niestety, Pam nie przeżyła wypadku. Nickiem wstrząsnął nagły dreszcz.

- Jezu.

- Zginęła na miejscu. Był tam jeszcze jeden samochód, ciemnaarówka. Jechała w przeciwną stronę. Kierowca jeździł na długich trasach. Nazywa się Charles Biggs. Siedział za kółkiem od szesnastu godzin, niewykłuczone, może był na LSD albo jakimś innym wirustwie. Kto wie? Policja nic nie mówi. Mógł być te po prostu zasnął za kierownicą. Nikt nie ma co do tego pewności. Z wyjątkiem Biggsa, a on leży na oparzeniówce. Ma poparzone ponad sześćdziesiąt procent powierzchni skóry i do tego poważne obrażenia wewnętrzne. To cud, może w ogóle żyje, choć nikt nie wierzy, by z tego wyszedł.

Nick starł krople deszczu z twarzy i spojrzał w stronę morza.

- Ale Marla przeżyła.

- Jeśli ona to tak określi.

- A niech ci . - Teraz Nick naprawdę miał ochotę zapalić . Wsadził rękę głęboko do kieszeni, powtarzając sobie, że nie może ufać bratu. Jako starszy i sprytniejszy, Alex umiejętnie wykorzystywał jego naiwność, kiedy byli dziećmi. Zawsze w końcu wszystko skrupiało się na Nicku. Tym razem pewnie będzie tak samo. - Wiem, że ten facet zasnął za kierownicą i ciarówka zjechała na drugi pas?

- To tylko jedna z teorii. - Alex zaciął się swoim marlboro. - Droga została czasowo zamknięta. Policja i towarzystwa ubezpieczeniowe badają te sprawy. Nie doszło do zderzenia, w każdym razie tak im się wydaje. Mercedes zjechał z drogi po jednej stronie z boku, a ciarówka po drugiej. Oba przerwały barierki i wjechały w drzewa, ale ciarówka eksplodowała, zanim kierowca zdążył wysiść .

- Cholera - mruknął Nick. - Biedny facet.

Alex tylko prychnął.

- Wszędzie pełno policji. Wypytuj, wiesz. Czekać, a Marla odzyska przytomność, żeby usłyszeć, jaka jest jej wersja wydarzeń. - Zmarszczył brwi i ponuro wpatrywał się w ciemne wody zatoki. - Jeśli okaże się, że to ona wjechała na drugi pas, mogą ją oskarżyć o nieumyślne spowodowanie śmierci. Jeszcze... jeszcze nie zajmę się tym od strony prawnej. To... to jest koszmar. Dla nas wszystkich.

W to Nick wierzył bez zastrzeżeń. Gdyby sytuacja nie była naprawdę poważna, Alex nigdy by tu nie przyjechał. Cholera. Deszcz spływał mu po twarzy. Otworzył samochód, sięgnął do rodka i znalazł dwie ostatnie puszki piwa Henry. Z jednej zdjął resztki folii i rzucił ją Aleksowi, potem otworzył drugą dla siebie.

- Jeśli Marla z tego wyjdzie...

- Jeśli, Alex? Jeśli? Marla jest najsilniejszy, najbardziej zdecydowany, jak znam. Wyjdzie z tego. Na lito boską, nie kład jej jeszcze do grobu. Jest w końcu twój brat, do cholery!

Przemilczane oskarżenia. Wspomnienia, których nie ma prawa przywoływać - zmysłowe i bole nie intensywne. Nickowi nagle zaschło w gardle. Wiatr bezlito nie chłostał go po twarzy. Pociąg ł długi łyk ze swojej puszk. Twardziel, siedzący u jego stóp, zaskamlał cicho. Ale Nick już przekroczył w swoich wspomnieniach granic, do której od lat się nie zbliżał, już wszedł na drogę wiodącą prosto do onego brata. Zakazane wizje ożyły nagle w jego pamięci, przed oczami stanęły mu obrazy pięknej kobiety o przekornych oczach i zalotnym uśmiechu. Słyszał cichy plusk wody na przystani, samochody na drodze, stłumiony ryk morza uderzającego o brzeg po drugiej stronie pomostu i krzyk mew; wszystkie te dźwięki tłumili bicia jego własnego serca.

Kiwnął głową, zachęcając Aleksa, żeby mówił dalej. Pociąg ł kolejny łyk piwa, co jednak nie pomogło mu przestać myśleć o Marli. Krople deszczu ciekły mu z nosa. Pomyślał, że mogliby usiąść w samochodzie, ale nie zaproponował tego.

- Jeśli Marla z tego wyjdzie, istnieje prawdopodobieństwo, że nie będzie niczego w pamięci. Albo że będzie miała poważne luki w pamięci. Nie bardzo rozumiem, o co właściwie chodzi z tą całą amnezją, to dość skomplikowane. Dziwne. - Alex palił na deszczu. Sprawiał takie wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z faktu, że jest już całkiem przemoczony. Mokre, ciemne włosy oblepiały mu czoło, we włoskich butach chlupotała woda z kałuży, która zaczęła się tworzyć u jego stóp. - Bo że, Nick, powinniśmy zobaczyć. Albo lepiej nie. - Głos mu drżał. Umilkł na chwilę i głębiej zaciągnął się papierosem, którego koniuszek rozjarzył się czerwono w półmroku. - Nie poznałby jej. Ja jej nie poznałem, a żyłem z nią przez pięć lat. Jezu. - Wydmuchnął kłęb dymu ku temu ust, otworzył swoją puszkę piwa i upił łyk. - Była taka piękna... pamiętasz przecie ... - Głos mu się załamał, jakby w nagłym przypływie bólu.

Nick nadal mu nie ufał. Popijał piwo i próbował przesta my le o kobiecie, która niemal zrujnowała mu ycie. Patrzył na wisz cy nad najw szym odcinkiem zatoki most, który umo liwiał ruch samochodowy wzdłu wystrz pionej linii wybrze a, ale oczyma duszy cały czas widział Marl ... zachwycaj c , roze mian , dowcipn Marl .

- Oprócz tego, e mo e straci pami , nic jej nie b dzie?
- Poza tym, e nie b dzie ju wygl dała tak jak przedtem?
- To nie ma znaczenia.
- Dla niej b dzie miało.

Nick achn ł si .

- Có , sta was na chirurgi plastyczn . Mówi o uszkodzeniach, które uniemo liwiłyby jej normalne ycie.

- Niewierny.
- Ale w ko cu odzyska pami ?

Alex wzruszył ramionami i spojrzał w stron morza.

- Mam nadziej . - Na jedn chwil , krótk jak drgnienie powieki, Nickowi zrobiło si al ony Aleksa. - Czas poka e.

- Tak mówi .

- Ale b dzie bardzo zmieniona.

- Jaka szkoda - powiedział sarkastycznie, patrz c na nasi kni ty wod wir u swoich stóp i kału e, zaczynaj ce ju spływa strumyczkami w dół urwiska.

- Szkoda.

Nick dopił swoje piwo, zgniótł puszk w dłoni i rzucił j na tył furgonetki. Niepostrze enie Marla znowu wypełniła jego my li. Alex nie przesadzał. Marla Amhurst Cahill była zachwycaj c kobiet . Zalotn . Uwodzicielsk . Seksown jak wszyscy diabli. Miała jedwabist skór , która stawiała si gor ca i liska pod m skimi dło mi, i u miech bardziej kusz cy ni Marilyn Monroe. Umiała zaj facetowi za skór . Na wiele lat. Mo e nawet na zawsze.

Nick odwrócił si gwałtownie.

- No dobra, Alex, do rzeczy. Po co mi to wszystko mówisz?

- Należysz do rodziny. Jeste moim jedynym bratem...

- Chrzanisz.

- Pomyślałem, że powiniene wiedzieć .

- Jest coś jeszcze. Co musiało się stać . - Nick był tego pewny. - Inaczej nie jechałby taki kawał drogi. I nie czekałby z tym aż sze tygodni.

Alex powoli pokiwał głowę i przygryzł wargi w pełnym namyśle grymasie.

- Ona... nie może mówić , ma zadrtowane szczęki i nie odzyskała jeszcze przytomności, ale ją czyta i próbuje coś powiedzieć . - Urwał i wziął głęboki oddech. - Jedynym słowem, jakie udało nam się zrozumieć było „Nicholas”.

- Daj spokój - rzucił gniewnie Nick. Ostry podmuch wiatru uderzył go w twarz.

- Ona ci potrzebuje.

- Ona nigdy nikogo nie potrzebowała.

- My leliśmy my, e...

- My?

- Matka i ja. Rozmawialiśmy też o tym z lekarzami.

Pomyśleliśmy, że może ci się udałoby się do niej dotrzeć .

- Ty i matka - warknął Nick. - Do diabła.

- Warto spróbować .

Nick spojrział w stronę zatoki, gdzie ciasno stłoczone łodzie skrzypiały, ocierając się o siebie burtami. Nagie maszty sterczały jak kołpaki wyciągnięte błagalnie do obojnego nieba. Był to ponury widok. Myśleliśmy, że mogłby znowu zobaczyć Marl , nie dawała mu spokoju.

Nie mógł się od niej uwolnić .

Alex rzucił niedopałek papierosa na wir, gdzie tlił się jeszcze przez chwilę koło łysiej opony starego buicka.

- Jest jeszcze coś .

- Jeszcze coś ?

A jednak, pomyślał Nick zaniepokojony. Znowu dał się ogłupić i pozwolił, aby rodzina zarzuciła mu piętno na szyję.

- Chciałbym, aby mi wywiadczył przysługę.

- Jeszcze jedną? Poza wizytę u Marli?

- To nie przysługa. To obowiązek.

Nick wzruszył ramionami. Nie miał ochoty się kłócić.

- Wal.

- Chodzi o interesy... Po tym wypadku zupełnie nie mogę się skupić, cały czas siedzę w szpitalu, a kiedy wracam do domu, muszę się zająć dziećmi.

- Dzieci mi? Skąd ta liczba mnoga?

- Och, no tak, ty nie wiesz... Marla urodziła dziecko kilka dni przed tym wypadkiem. W dniu wypadku wyszła z szpitala. - Alex urwał, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią twarz. - Z dzieckiem wszystko w porządku, dzięki Bogu. Mały James ma się dobrze, na tyle, na ile to możliwe bez matki. W głosie Aleksa zabrzmiała nuta dumy, ale i czego jeszcze... I ku? O co tu właściwie ciwie chodzi?

Nick podrapał się po pokrytej ostrym zarostem brodzie. Dotknął palcem blizny, pamiętki po starciu z bratem, do którego doszło, kiedy miał jedenaście lat. Czuł, że w tym wszystkim kryje się jeszcze coś - że jest wiele mrocznych spraw, które Alex postanowił przemilczeć.

- Dziecka nie było w samochodzie?

- Nie, dzięki Bogu. Mały jest teraz w domu, z nią k... Jeśli chodzi o Cissy, to wiesz, ma trzynaście lat. To trudny wiek. Jest teraz bardzo skoncentrowana na sobie. Oczywiście cię martwi się, że matka jest w szpitalu - dodał szybko. - Jest zdenerwowana, ale... - Wzruszył ramionami z wyrazem spokojnej aprobaty na twarzy. - Czasami mam wrażenie, że bardziej przejmuję się tym, czy ktoś ją zaprosi na zimowy bal, niż stanem zdrowia swojej matki. To poza, wiem o tym. Ale zawsze miała do Marli taki stosunek.

- Coraz lepiej - mruknął Nick pod nosem.

- Prawda? - rzucił Alex ironicznie. Poci gn 1 nosem i odgarn 1 włosy z twarzy.

- Jestem zaskoczony, e Marla zdecydowała si na drugie dziecko. Miałem wra enie, e nie przepadała za dzie mi.

- Dojrzała do tego - powiedział Alex, rzucaj c mu ostrzegawcze spojrzenie.

Nickowi jednak wydawało si to dziwne - mie drugie dziecko tyle lat po pierwszym. Ta kobieta była po prostu zbyt zaabsorbowana sob . Zbyt uparta. Egocentryczna. Cholerna ksi niczka. Poci gn 1 nosem, spozrzał w dół na swój łód i pomy lał, e jeszcze godzin temu jego jedynym problemem był kac po wieczorze sp dzonym w towarzystwie butelki Cutty Sark. Ale to... cholera. Mru c oczy, patrzył na chmury wyptywaj ce spoza horyzontu.

Alex odchrz kn 1.

- Tak wi c, Nick, chodzi o to, e obecnie potrzebuj twojej pomocy.

- Jakiej pomocy? - spytał Nick podejrzliwie. Czuł jak p tla rodzinnych zobowi za powoli zaciska si na jego mokrej od deszczu szyi.

- Pracujesz jako konsultant i mediator dla du ych korporacji.

- Pracowałem, jaki czas temu.

- Nadal to robisz.

- Dawno przestałem. Od tego czasu zajmowałem si wieloma innymi rzeczami. Teraz, na przykład, łowi ryby. A w ka dym razie próbuj .

Alex przez chwil rozgl dał si , marszcz c brwi, potem zajrzał do stoj cego w furgonetce wiadra z krabami. Nie wygl dał na przekonanego.

- Kilka lat temu udało ci si pomóc kilku korporacjom. A mnie teraz, niezale nie czy mi ufasz, czy nie, bardzo przydała si ta porada. Cherise i Monty nie s zachwyceni faktem, e zostali wył czeni z interesów. Wydawało im si chyba, e



skoro nosz nazwisko Cahill, to zawsze nale y im si kawałek tortu.

- Cherise i Monty. wietnie. - Od pocz tku było le, a teraz wszystko szło w jeszcze gorszym kierunku. To do naturalne, je li si nale y do tej rodziny. Nick oparł si o furgonetk . Twardziel usiadł u jego stóp i podniósł do góry łeb, domagaj c si głaskania. Nick pogłaskał kundla.

- Tak, cała ta sprawa z wujem Fentonem i jego dzie mi powinna była zosta rozwi zana, zanim wszedłem do zarz du - stwierdził Alex. - Ojciec poradził sobie z bratem, ale zdaje si , e dzieci Fentona ju o tym zapomniały. W ka dym razie Cherise zapomniała. Ona si najbardziej rzuca. Prawdopodobnie z powodu swojego cholernego m a. Kaznodzieja. Chryste Panie. To wszystko stare dzieje. Pieprzone stare sprawy. Nie powinno si do tego wraca .

- Ojciec poradził sobie z Fentonem w taki sposób, w jaki załatwiał ka dego. - Nick zapami tał ojca jako tyrana. Je li jakkolwiek człowiek zasu ył sobie kiedy na miano bezwzgl dnego drania, to na pewno był to Samuel Jonathan Cahill. - Po swojemu. Koniec, kropka.

- To bez znaczenia. Chodzi o to, e Fenton dostał zapłat za swój udział w korporacji lata temu. Koniec historii. Cherise i Monty mog sami o siebie zadba . Mam do własnych problemów.

Nick słyszał te słowa, odk d si gał pami ci . Miał ju tego serdecznie do , ale nie mógł si powstrzyma , by nie odegra roli adwokata diabła, zwłaszcza gdy w gr wchodził jego brat.

- W ko cu to nie ich wina, e zostali wył czeni z gry. Oboje mieli nadzieję , e zostan milionerami, ale ich cholerny tatu wszystko przepu cił.

- Ja ich o nic nie obwiniam! Szczerze mówi c, guzik mnie oboje obchodz . Monty nie przepracował w całym swoim yciu ani jednego dnia, a Cherise zajmowała si niemal wył cznie kolekcjonowaniem m ów, zanim jej nie odbiło na

punkcie wiary. Naprawdę próbowałem jej pomóc, znalazłem jej nawet tego obecnego kaznodziej, a do tego jeszcze prac. Bo e, jak to wszystko w końcu okazało się katastrof! - wysapał Alex gniewnie. - Mniejsza z tym. Marz tylko o jednym - eby Cherise i Montgomery zeszli mi w końcu z oczu. Raz na zawsze. - Jednym haustem wychylił resztkę piwa i z odrzwytał usta. - Chryste, to para pijawek. Pijawek dnych krwi. - Alex wyszedł z kałuży i oparł się o błotnik dodge'a. - A je li czuj się oszukani, to już, jak to się mówi, ich problem. - Alex nie odczuwał najlżejszych wyrzutów sumienia. - Trochę tu za zimno i za mokro, eby stać i rozprawiać na ich temat. Stanowi tylko drobną niedogodność, z którą trzeba się szybko uporać i iść dalej.

- Oni są pewnie innego zdania.

- Wiadomo, że mają pecha. Poza tym, to nie z ich powodu do ciebie przyjechałem.

- Wiem. Przyjechałem z powodu Marli.

- Oczywiście. - Alex spojrzał mu prosto w oczy.

- W końcu dochodzimy do sedna - powiedział Nick.

Wzmagając się wiatr hulał po parkingu.

- Zgadza się - odparł Alex ze miętelną powagą. Jak zawsze, kiedy chodziło o interesy. - Cahill Limited potrzebuje zastrzyku wiejskiej krwi.

- Albo kulki w łeb.

- Ja nie artuję. - Alex zacisnął wargi, wokół jego ust pojawiły się drobne zmarszczki. Przez chwilę naprawdę wyglądał na zdesperowanego. - Mógłby chociaż raz okazać rodzinną solidarność. Bardzo by nam się przydała. Matce. Mnie. Dzieciom. Marli.

Nick wahał się jeszcze.

- Zwłaszcza Marli.

Płetwa nagle zacisnęła się na jego szyi tak mocno, że niemal zaczął się dusić. Twardziel drapał łapą w listwę na drzwiach

furgonetki i Nick wpuścił go do samochodu. Ale decyzja została już podjęta. Obaj o tym wiedzieli.

- Musz znaleźć kogoś, kto zajmie się psem i moją chatą.
- Zapłać ci za wszelkie niedogodności...
- Mówi nie ma.
- Ale...
- Tu nie chodzi o pieniądze, rozumiesz?

Nick wszedł do samochodu, zepchnął Twardziela na jego miejsce przy drzwiach od strony pasażera i wsadził kluczyk do stacyjki. Mając pełną wiadomość o fakcie, pewnie nie popełniłby błędów, któregoś z nich powiedział:

- Zgoda, przyjadę. - Zły na siebie i swoje poczucie lojalności ci dodał jeszcze:

- Przejrzyj twoje cholerne księgi, dam buzi mamusi i pójdę do Marli, ale nic mi za to nie jesteś winien. Rozumiesz? Pojadę do San Francisco z dobroci serca i wyjadę, kiedy mi przyjdzie ochota. To nie jest umowa na czas nieokreślony.

- Z dobroci serca, no, no, ciekawy pomysł. - Alex nie przejął się skrępowaniami brata.

- Prawda? - Nick chwycił za klamkę. Deszcz zaczął dolewać. - Tyle mogłoby ci zaoferować. Tylko tyle i nic więcej, Alex. Przyjadę w ciągu tygodnia. Możliwe, że się zgodzi na moje warunki albo nie. - Włókł się do samochodu i nie czekając na odpowiedź, przekręcił kluczyk w stacyjce. Dodge zakrzęsła się, zadurzył się i w końcu zapalił.

Nick, zły na cały świat, a na siebie w szczególności, zatrzasnął drzwiczki i włókł się do samochodu. Cokolwiek jego brat zrobiłby jeszcze powiedział, niczego by to nie zmieniło.

Czy mu się to podoba, czy nie, pojedzie do San Francisco.

- Cholera - zaklął pod nosem, kiedy wycieraczki zaczęły cierać wodę z przedniej szyby, i wrzucił wsteczny. Spod kół przysnął wir, a siedzący obok kierowcy Twardziel niemal nie spadł na podłogę.

- Przepraszam - mruknął Nick. Patrzył gniewnie przez zamglone szyby, wrzucił jedynek. Alex stał w ród kału z poważnym wyrazem twarzy. Wiatr szarpał jego eleganckim, wełnianym płaszczem. Nick włączył ogrzewanie szyb, a potem pokręcił gałką radia, szukał jakiejś stacji, ale słyszał tylko trzaski.

Pomyślał o Marli i cisnęło go w ołdki. Nadal jej pragnął. Po piętnastu latach. Po piętnastu cholernych latach. Od tego czasu przez jego życie przewinęła się tuzin kobiet, ale żadna, żadna z nich nie zostawiła w jego duszy takich śladów, takich blizn, które cięgle jeszcze bolały. Zmrużył oczy, spojrzawszy we wsteczne lustro. Odpowiedziało mu rozgniewane spojrzenie jego własnych niebieskich oczu.

- Jeste głupcem, Cahill - mruknął pod nosem. - Jeste ostatnim głupcem.

## 2

Czy mama będzie mnie pamiętać? - spytał impertynencki, dziewczęcy głos. Marla bezskutecznie usiłowała otworzyć oczy. Ból ust piął, prawdopodobnie dzięki jakiemuś rodkowi, który jej podano, ale nie była w stanie otworzyć ust. Język sprawiał wrażenie opuchniętego i miał wstrętny smak, powieki były zbyt ciężkie, by mogła je unieść, do tego całkiem straciła poczucie czasu. Wiedziała tylko, że na przemian traci i odzyskuje wiadomość. W głowie miała kompletny chaos. Chciała jednak zobaczyć swoją córkę. Jeszcze raz spróbowała otworzyć oczy, ale jej powieki nawet nie drgnęły.

- Oczywiście, że mama będzie cię pamiętać - powiedziała łagodnie tę ciową. Podeszła do łóżka, stukając głową o obcasami po posadzce. Marla usłyszała te ciche brzęki biuterii i poczuła ten sam nieuchwytny zapach perfum. - Nie martw się.

- Wygląda okropnie. - To znowu ta dziewczyna - jej córka. - Myślałam, że będzie ją trochę lepiej.

- Jest lepiej, Cissy, ale mama potrzebuje więcej czasu, żeby całkiem wyzdobyła. Musimy uzbroić się w cierpliwość. - W głosie starszej kobiety pojawiła się nuta wyrzutu, niemal ostrzeżenia.

- Wiem, wiem - Cissy westchnęła teatralnie.

W ciągu kilku ostatnich dni, na przemian tracąc i odzyskując przytomność, Marla zaczęła rozróżniać głosy pielęgniarek, doktora Robertsona i członków rodziny po krokach, zapachach kosmetyków i głosach, choć wszystko jej się mieszało. Chwilami nie wiedziała, czy nie, czy te podawane jej leki działają tak otępiająco.

Z docierającymi do niej strzępami rozmów dowiedziała się, że starsza kobieta, jej ciocia, nazywa się Eugenia Cahill. Zauważyła też, że jej mąż nigdy się tu nie pojawia, choć jej nie wyje albo ma trudno ci z poruszaniem się, a choć po prostu nie interesuje go stan synowej; tak czy inaczej Marla nie pamiętała, żeby przyszedł ją odwiedzić... ale to właśnie jej pamięć stanowiła problem. Największy problem.

Te ciocia wydawała się szczerą, pełną troski i przychodziła często... tak w każdym razie wydawało się Marli. Cissy nigdy przedtem nie była w szpitalu... a choć była? Marla nie pamiętała. No i jej mąż. Alex. Obcy. Człowiek, który powinien w niej wzbudzać choćby jakieś cieplejsze uczucie, ale nie wzbudzał. W głowie znowu poczuła pulsowanie i poczuła rozdzierający ból, jakby ktoś zanurzył jej w mózgu ostrze noża i kręcił nim na wszystkie strony. Lek, który pomagał jej czasem odzyskać świadomość, ale utrzymywał ją w stanie otępienia, zdecydowanie miał też swoje plusy.

- A co będzie, jeśli... no, wiesz... nie przypomni sobie niczego... albo jak te bliźnięta nie znikną... albo już nigdy nie będzie taka sama? - spytała Cissy szeptem, a Marla skrzywiła się od rodzka.

- Znowu niepotrzebnie martwisz się na zapas. Odtąd z mamą będzie coraz lepiej.

- Mam nadzieję - odparła Cissy arliwie, choć w jej głosie kryła się ta nuta niedowierzania. - Będzie miała jeszcze jakie operacje plastyczne? Tata mówi, że ją miała ich ze sto.

- Miała ich akurat tyle, ile trzeba było, żeby naprawić uszkodzenia. No. dosyć tego. Naprawdę się zdziwił, że nie powinnyśmy teraz o tym rozmawiać.

- Dlaczego? Myślisz, że ona nas słyszy?

- Nie wiem.

Zapadła cisza, ale Marla wiedziała, że kto podszedł do jej łóżka, poczuła czyj oddech na twarzy i pojęła, że córka przygląda jej się z bliska, jakby była jednokomórkowcem leżącym pod mikroskopem. Znowu spróbowała unieść choć jeden palec, żeby dać znać, że jest przytomna.

- Nic nie słyszy, co nie?

- Nie mówi się „co nie?” tylko „prawda?” - poprawiła ją szybko Eugenia.

- Naprawdę? - odparła Cissy i Marla zrozumiała, że jej córka nabija się z babki. - Postaram się zapamiętać to.

- Postaraj się przede wszystkim zapamiętać to, że twoja mama miała dużo szczęścia, a w ogóle przeżyła ten straszny wypadek - stwierdziła Eugenia. - To naturalne, że teraz nie wyglądasz najlepiej, ale zobaczysz, kiedy się obudzi i wyjmie jej te druty, a opuchlizna zejdzie, będzie taka jak przedtem.

- Będzie mogła chodzić?

Serce Marli na chwilę zamarło.

- Oczywiście. Wiesz przecie, że z jej nogami jest wszystko w porządku. Mówiłam już, że będzie całkiem zdrowa.

- To czemu nie może się obudzić?

- Jej organizm potrzebuje odpoczynku.

Cissy prychnęła cicho, jakby nie wierzyła w ani jedno słowo babki.

- I tak nigdy mnie nie lubiła.

Co?! Cóż za straszna myślenie! Cissy się myli, bardzo się myli, to nie może być prawda. To tylko skrzywione spojrzenie nastolatki. Przecież Marla na pewno lubiłaby, nie, kochałaby swoją córkę.

- Oczywiście, że twoja mama cię lubi. - Eugenia za nią miała się nerwowo. - Nie bądź mieszana. Kocha cię.

Tak!

- Wiem, dlaczego tak bardzo chciała tego dziecka? Chłopca? Dlaczego ja jej nie wystarczałam? Im obojgu... a zresztą, nieważne...

- Oczywiście, bo to jaka bzdura - powiedziała Eugenia jakby przez cięgnięte usta.

Marla usłyszała w odpowiedzi przecięte, pełne bólu westchnienie. Widać Cissy uważała, że wszyscy dorodzi, a w szczególności jej babka, są idiotami.

- Nie wiem, skąd się wzięła ciwie w tej rodzinie. Nie pasuj do was.

To tak jak ja, pomyślała Marla. Serce rwało się jej do tej dziewczynki. Czy naprawdę była tak bezmyślna i okrutna dla własnej córki?

- Bardzo się starasz, żeby nie pasowała. A wystarczyłoby, żeby spróbowała się trochę dostosować. W naszej rodzinie wszyscy wspaniale się uczyli. Twój ojciec był w Stanford, a potem studiował na Harvardzie. Twoja mama studiowała w Berkeley. Ja byłam w Vassar, a...

- Wiem, dziadek skończył Yale. Wielkie rzeczy. Nie o to mi chodziło. No a wujek Nick? Nie wyłamał się przypadkiem, czy coś w tym rodzaju?

Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Marla wyczuła, że Cissy udało się w końcu wyprowadzić babkę z równowagi.

- Nick poszedł swoją własną drogą, ale nie mówmy o tym teraz - zaproponowała zniecierpliwiona. - Chodź, mamy spotkanie z ojcem...

Eugenia musiała wyprowadzić Cissy z pokoju, bo Marla została sama. Odprężyła się trochę. Usłyszała, jak do pokoju weszła pielgniarka, żeby zmierzyć jej puls. Kilka sekund później znajome ciepło zaczęło się w jej żyły, tłumić ból, niepokój, i k... Usłyszała jednak skrzypnięcie otwieranych, a potem zamykanych drzwi. Sądziła, że to któraś z pielgniarek przyszła ją obudzić, poprawi poduszki albo znowu zmierzyć puls czy ciśnienie - ale ktokolwiek to był, podchodził do łóżka zachowując się dziwnie cicho.

A może nikogo nie było.

Może tylko jej się wydawało, może nie było jej się tylko, że ktoś otworzył drzwi. Może nikt nie wszedł do pokoju. W głowie miała zamęt. Chciała znowu zasnąć, ale nie mogła. Wydawało jej się, że słyszy skrzypienie butów na podłodze. Ale... nie... chyba nie... a potem poczuła ten zapach; zapach zwierzęcego, niemal dymu papierosowego i czegoś jeszcze... lasu po deszczu... mokrej ziemi... zupełnie nie na miejscu... wydał jej się dziwnie wrogi...

Poczuła, jak włoski u nasady szyi jej się przerażają. Chciała krzyknąć, ale nie mogła. Spróbowała unieść powieki, ale tkwiły na jej oczach jak przytwierdzone. Serce biło jej jak oszalałe - a przecie na pewno jest podłączona do jakiegoś monitora. Zaraz ktoś ze szpitala wpadnie do pokoju. Pomóżcie mi, proszę! Ratunku!

Nic.

adnego dźwięku.

Zaschło jej w gardle.

O, Boże, kto to jest i co tu robi?

Dlaczego się nie odzywa?

Kto to może być? Czego chce?

Niemal bezszelestne kroki oddaliły się w stronę drzwi.

Usłyszała szczyk klamki.

Została sama.

Sama i miernie przerażona.



- Wiem, że to szaleństwo - powiedział Nick do Twardziela, wrzucając kilka swetrów do marynarskiego worka.

Wszedł do łazienki, sięgnął pod umywalkę i wyjął stamtąd swoją kosmetyczkę. Wsadził do środka maszynkę do golenia i dezodorant w szyfkie. Stojąc w drzwiach łazienki, wrzucił kosmetyczkę do otwartego worka.

Pies leżał na plecionym dywaniku przy łóżku z łbem na przednich łapach, obserwując każdy ruch swojego pana.

- Wróć niedługo - mówił Nick, jakby pies mógł go rozumieć. -

Wkrótce. - Znalazł parę dżinsów i dołożył je do tłumoka. - Ole zajmie się tobą. Spodoba ci się to, zobaczysz. On ma dobermana, naprawdę kawał baby.

Twardziel nie wydawał się zainteresowany.

- Dobrze ci będzie - mówił Nick do psa. - Lepiej niż mnie. - Zamknął worek i rozejrzał się dookoła. Ta chata, te cztery wyłożone sosnowymi deskami pomieszczenia, to było coś więcej niż tylko jego dom; to było sanktuarium, miejsce, gdzie w końcu, po oszalałym wyścigu szczurów, odnalazł spokój. Gdzie między dziećmi stwem a chwilę obecnością udało mu się pozbyć tego balastu, zrzucić z ramion nieznośny ciężar nazwiska Cahill i związanych z tym oczekiwań ze strony rodziny.

- To wszystko głównie prawda - poinformował Twardziela, który wstał i pokiwał za nim na swoich trzech łapach do saloniku, gdzie unosił się jeszcze zapach drewna, a na palenisku kamiennego kominka leżały wystygłe popioły z poprzedniego dnia. Na myśl o tym, że nigdy nie udało mu się spełnić pokładanych w nim nadziei, Nick gniewnie zmarszczył brwi. Ojciec oczekiwał, że Nick wyjdzie z cienia swojego starszego brata, że go przewyższy.

Ale Samuela Cahilla czekało gorzkie rozczarowanie. Zastąpił sobie na to, drażliwość. Jeśli chodziło o Nicka, jego stary mógł gnić w grobie, nic go to nie obchodziło.

Zadzwoił telefon i Nick zakłócił po nossem. Przez chwilę zastanawiał się, czy odebrał. W końcu jednak rzucił worek na podłogę, podszedł szybko do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Słucham - warknął.

- Nick? - zapytał lekko podekscytowany, przyciszony damski głos. - Nicholas Cahill?

- Kto mówi?

- Cherise.

Jego kuzynka. Nogi się pod nim ugięły. Niezależnie od tego, czego chciała, Nick wiedział, że ten telefon nic dobrego nie wróży.

- Rany, ale trudno cię namierzyć. Musiałam niemal wynająć prywatnego detektywa, żeby cię odszukał.

- Ale nie wynajmęła.

- Nie... wystarczyła informacja telefoniczna.

Nick zmarszczył brwi i przysiadł na brzegu obitej grubym sztruksem kanapy. Przypomniawszy sobie Cherise, tak, jak była, kiedy ją widział ostatnim razem - tlenioną blondynkę o wyblakłych piwnych oczach, bez grama tłuszczu na drobnym ciele. Zawsze zbyt mocno opalona, przesadzała z makijażem. Kiedy byli dziećmi, łączyła za nim jak pies. Wtedy, zanim ich drogi się rozeszły, zanim oboje wpadli w swoje własne, odrębne kłopoty, nawet ją lubił. Ale stare, dobre czasy minęły i nigdy nie wrócą.

- Co słychać, Cherise?

- U mnie wszystko w porządku - powiedziała głosem nie wzbudzającym zaufania. - Właśnie ciwie to cudownie. Wreszcie odnalazłam Pana.

Wspaniale, pomyślał cynicznie. Po prostu, cholera, rewelacyjnie.

- Doprawdy?

- Moje życie... moje życie zupełnie się odmieniło.

- To chyba dobrze. - Nick nie był religijny i nie rozmyślał nad takimi sprawami, ale jeśli Cherise postanowiła narodzić się

ponownie, uczył jej wszystkiego najlepszego. Zawsze nadawała za mod. Nick powiedział, że skoro Cherise deklaruje miłość do Syna Bożego, to chrześcijańskie idee muszą być na topie.

- Tak, to wspaniale. Dziękuj Jezusowi za to każdego dnia.

- A jak tam dzieci? - Wyjrzał przez okno. Dzieci były szare i wilgotny.

- Och, có ... wietnie. To znaczy całkiem dobrze. To już nastolatki. - Westchnęła teatralnie. - Obawiam się, że Pan zrobił już z tą trójką, co się dało.

Nick czekał. Uprzejmo ci dobiegły kości. Z pewnością ci jest jakiś powód, dla którego Cherise postanowiła go odszukać. Nie rozmawiali od ponad piętnastu lat. Po chwili krzyknął czegoś milczenia Cherise wzięła głębszy oddech.

- Có, ja... dzwoni w sprawie Marli.

cisnął go w dołku, ale włączył ciwie nie był zaskoczony.

- Słyszałem o tym wypadku - przyznał. - Alex już u mnie był.

- Och.

To wytrzymała ją z równowagi, ale nie na długo. Cherise myślała szybko i zawsze spadała na cztery łapy.

- Tak, możemy tylko dziękować Jezusowi, że przeżyła.

Amen.

- Jej przyjaciółka miała mniej szczęścia - ciągnęła. - Znała Pam? Spotkali się kiedy?

- Nie.

- Aha. - Pełne dezaprobaty prychnięcie dało Nickowi do myślenia. Ciekawe, kim była pasażerka Marli. Ale wiele pytań zwiznanych ze szwagierką pozostawało bez odpowiedzi. - Słuchaj, Nick. Dzwoni do ciebie, bo jesteście rodziną i pomysłam, że może zrozumiesz. Byliście kiedyś blisko ze sobą, ty i Marla, i wiesz, że ja zawsze się z nimi przyjaźnię. Kocham je jak siostry ... to znaczy, gdybym miała siostry ... i nie

tylko ja, Montgomery te - dodała, jakby dopiero w tej chwili przypomniała sobie, że ma brata. - Chciałabym... chcielibyśmy ją odwiedzić. Problem w tym, że Alex nie chce na to pozwolić. Twierdzi, że nikt nie może jej teraz odwiedzać z wyjątkiem najbliższej rodziny.

A więc o to chodzi. Spojrzył na stary zegar wiszący we wnętrzu kuchennej.

- Ale ona jest chyba ci głębiej nieprzytomna?

- Wiem, bardzo chciałabym z nią posiedzieć, przeczytać jej kilka wersetów... Biblia ma moc uzdrowicielską, wiesz chyba.

- O ile dobrze pamiętam, Marla nigdy nie była specjalnie religijna.

- To nie ma znaczenia - odparła Cherise szybko. Rozpędziła się jak pociąg. - Modliłam się za nią. I za... za Pam. I za tego biedaka z ciemnowłosej arówki, który jest cały poparzony i mówi, że już z tego nie wyjdzie... - Urwała na chwilę. - Chcemy tylko zobaczyć, Nick, chcemy tylko potrzymać za rękę i powiedzieć jej, że ją kocham. I przypomnieć jej, że nasz Pan tak ją kocha.

- Może póniej, kiedy poczuje się lepiej.

Po drugiej stronie rozległo się długie, bolesne westchnienie. Nick wyczuł, że Cherise przechodzi do planu B. Zawsze była jak pies myśliwski, nigdy się nie poddawała i na ogół udawało jej się znaleźć jakiś sposób, aby dostać to, czego akurat chciała. Jej trzej mowcy, wszyscy swego czasu zatwardziali starzy kawalerowie, stanowili najlepszy dowód jej biegłości w sztuce perswazji.

- Posłuchaj, Nick, zakładam, że ty przyjedziesz ją odwiedzić... w końcu dobrze się kiedyś znaliście... dawno temu...

Urwała, ale aluzja była wyraźna. Nick zacisnął palce na słuchawce i milczał. Postanowił nie dać się wciągnąć w te niebezpieczne wspomnienia.

- Pomyślałam sobie, że ty byś chciał do niej pójść - rzuciła Cherise, a Nick dosłyszał w jej głosie milczącą oskarżenie.

- Może - burknął, kładąc się na oparciu kanapy i patrząc na jasne deski ciał swojego domu.

Twardziel, rozparty na fotelu, napotkał jego spojrzenie, zeskoczył i położył się pod stolikiem do kawy, skąd obserwował teraz swojego pana przez szklany blat, poznaczony ładami szklanek, które stały tu poprzedniego wieczora.

- Cóż, jeśli spotkasz Aleksa, powiedz mu, proszę, że chciałabym je zobaczyć. Postaraj się, by zrozumiał, że my też należymy do rodziny. Niezależnie od tego, co zaszło mi między ojcami, w naszych żyłach płynie ta sama krew.

- To prawda. - Nick wstał.

- Wiem porozmawiasz z Alekssem?

- Tak.

- To dobrze. Dobrze. Dziękuję. Niezbadane są cięki Pana. Wiesz o tym.

- Tak, słyszałem. - W głosie Nicka zabrzmiała ledwo wyczuwalna nuta ironii.

Udało mu się wreszcie skończyć rozmowę. Odłożył słuchawkę, wziął szklankę ze stolika i wstawił ją do zlewu w kuchni. Twardziel łąził za nim krok w krok, stukając pazurami po starym linoleum.

- Niedługo wrócę - powiedział Nick do psa, zarzucając worek na ramię.

Poszedł na werandę z tyłu domu, sprawdzając po drodze, czy pies ma wodę i jedzenie w miskach i posłanie w kcie werandy, po czym zamknął drzwi. Twardziel podbiegł do samochodu, ale Nick potrząsnął głową.

- Nie tym razem, staruszkule. - Podrapał psa za uszami, z których jedno było poważnie nadszarpane. Tak jak wtedy, gdy pies, półżywy i zakrwawiony, przywłókł się do jego chaty wkrótce po tym, jak Nick się tu wprowadził.

- Musiał walczyć z szopem albo z innym psem - powiedział miejscowy weterynarz. W rezultacie pies stracił łapę, zachował ucho i znalazł nowy dom w chacie Nicka. Pasowali do siebie jak ulał.

- Nie wpakuj się w jakie kłopoty. - Nick wyprostował się, wsiadł do samochodu i włączył silnik.

Niebo było ciemne, szare i ponure, tak jak nastrój Nicka.

Wrzucił jedynek. Przypomniał sobie telefon Cherise i deklarowanie przez nią arliwi wiary. Pomyślał, że i jemu przydałoby się trochę wiary, zwłaszcza teraz. Naprawdę wzdychał, że nie ma na co liczyć. Rzucił okiem we wsteczne lustro i zobaczył czarno-białego psa, siedzącego na ganku. Przez chwilę czuł się tak, jakby opuszczał swoją rodzinę.

- Wstępnie - mruknął pod nosem.

Wyjechał na wiejską drogę, która miała go doprowadzić do miasteczka stanowej autostrady. Autostrada ruszyła na południe, do San Francisco. I do Marli.

Głosy, kilka głosów. Wydawało jej się, że je zna. Znowu podpełzła pod powierzchnię wiadomości. Bardzo chciało jej się spać, czuła się otumaniona i zmęczona. Spróbowała unieść powieki, które ciemne jednak były zbyt ciężkie. Nie chciała znowu zasnąć, przynajmniej przez jakiś czas.

- Tak, powiedział, że przyjedzie, ale naprawdę musiałem go przycisnąć. - To mówił Alex.

- Kto? Kto przyjedzie?

Alex za nią miał się sucho, z przymusem.

- Wygląda fatalnie. Naprawdę wsiadł w tę nieszczęsną kontrkulturę północnych lasów. Wiesz, wytarte dżinsy, stara koszula, zniszczona kurtka, na głowie kłaki prawie do ramion. Odniosłem wrażenie, że nie golił się chyba od tygodnia. Łowił

akurat ryby, kraby czy co w tym rodzaju. Ma łajb , na pierwszy rzut oka dziuraw jak rzeszoto.

- Ale przyje d a, tak? - Eugenia wróciła do meritum.

A wi c jej te ciowa te tu jest.

- Tak powiedział, ale kto go tam wie? Nie mo na na nim zbytnio polega .

- Był u niego w domu?

- Zatrzymałem si tam po drodze, ale nie było go w chacie. Znalazłem go na przystani, je li mo na to miejsce tak nazwa . - Znowu ten niewesoły miech.

- Czemu chcesz, eby przyjechał? - spytała Cissy. Marla dopiero w tej chwili zdała sobie spraw , e jej córka tak e znajduje si w pokoju. - Skoro tak go nie znosisz?

- To nieprawda, kochanie. Ja tylko... nie aprobuj tego, co robi.

- Jasne, tato. Ale co ci obchodzi, co on robi, je li nie wchodzi ci w drog ?

Dobre pytanie, pomy lała Marla, czuj c, e znowu odpływa. Miała ochot znowu zapa w gł boki, spokojny sen, ale nikt nie odpowiedział Cissy i w pokoju zapanowała pełna napi cia cisza.

- Dlaczego nikt nie chce o nim rozmawia ? - spytała w ko cu Cissy. - Czasem mi si wydaje, e jego imi to słowo na cztery litery, czy co takiego.

- Bo jest - b kn ł Alex.

- Tak jak twoje - odparła Cissy do gło no, by wszyscy to usłyszeli.

- Nie ma o czym mówi - powiedziała Eugenia. - Bracia nie zawsze si ze sob zgadzaj .

- Tak jak dziadek i jego brat?

- Fenton, tak - odparła Eugenia sztywno. - I jego dzieci. Cherise i Montgomery.

- Dlaczego oni nie nale ju do naszej rodziny?

- Bo nie chc .

Cissy prychnęła z niedowierzaniem.

- Wuj Montgomery dzwonił wczoraj. Do taty.

- Rozmawiałem z nim - powiedział Alex z irytacją, której przyczyn Marla nie rozumiała.

Ale nie rozumiała tylu spraw, nie pamiętała tylu rzeczy... Spróbowała się poruszyć, pokazała im, że słyszy, ale znowu ogarnęła ją senność.

- No dobrze, wiacie co z Nickiem?

A wiacie rozmawiali o Nicku... o bracie Aleksa, który nie skończył college'u czy szkoły średniej, czy czegoś tam... Było coś związanego z nim, o czym powinna pamiętać, ale ten ból głowy... Boże, co to było?

- Czy wujek Nick też nie chce należeć do naszej rodziny? - naciskała Cissy, niezręcznie ona.

Jej głos zdawał się teraz dochodzić z bardzo daleka.

- Och, kotku, nie zrozumiałaby tego - powiedziała Eugenia.

- Wiacie mi wytłumacz.

Cisza. Marla czuła, że Eugenia i Alex wymieniają spojrzenia, zastanawiając się, ile z całej paskudnej prawdy o rodzinnej przeszłości mogą wyjawiać.

- No dobrze, Cissy - odezwała się w końcu łagodnie starsza pani. - Skoro pytasz. W trudnych chwilach, w czasie, kiedy rodzina przeżywa jakiś kryzys, tak jak teraz, dobrze jest trzymać się razem, wspierać się i pomagać sobie. Zewrzeć szeregi.

- Zewrzeć szeregi? Przeciw kogo?

- Komu - poprawiła ją babka. - Czy nie uczę was w szkole angielskiego?

- No dobrze, komu - powtórzyła Cissy. - Wiacie kim oni są, ci ludzie? To nie ma sensu. Chcę tylko, żeby mama się obudziła i była taka jak przedtem, jasne? I chcę, żeby... żeby wyglądała tak samo. - Dziewczynka podniosła głos. - Popatrzcie na nią, widzicie chyba, że wygląda zupełnie inaczej.



- Cissy parskn ła g ło no i chrz kn ła, zdenerwowana. Serce Marli zabi ło szybciej. Gdyby tylko mog ła powiedzie co , co pocieszy łyby c ółrk ... ale jest taka zm czona. -Nana, ty i ojciec... wy chyba boicie si czego ... czy kogo . Nie wiem, o co wam chodzi.

- Martwimy si po prostu o mam , kochanie - wtr ci ł si Alex - to wszystko. Ale b dzie dobrze. Rozmawia łem z doktorem Robertsonem, musimy si tylko uzbroi w cierpliw ło . I nie ma adnych z ły ch ludzi -doda ł, dziwnie mi kko. Dotychczas Marla zawsze s ły sza ła w jego g ło sie ch ółd, ale nie teraz, nie wtedy, kiedy rozmawia ł z c ółrk . - Nana po prostu pos ły y ła si metafor . No dobrze, na dole widzia łem automat z napojami. Masz tu drobne na col czy co tam chcesz.

Marla poczu ła nagle przy ły w czu ło ci dla tego cz ółwieka, kt ółrego ci gle nie pami ta ła, ale Cissy uzna ła to wszystko za czcze frazesy.

- Wydaje mi si , e co przede mn ukrywacie. Chodzi o t kobiet , kt ółra zgin ła, zgadza si ? Ta jaka Pam zgin ła w wypadku i mama... mama b dzie oskar ona o morderstwo czy co w tym rodzaju, prawda? To dlatego ci gle kr ci si tu tyle policji.

Morderstwo? O czym oni m ółwi ? Pod w ły wem nag ło go skoku adrenaliny Marla odzyska ła jasno umy ły su.

- O nieumy ły ne spowodowanie mierci. Nie o morderstwo.

Co?

- Detektyw Paterno pr ółbuje tylko ustali , co si w ła ciwie sta ło. To by ł wypadek, kochanie. Nikt nie zosta ł zamordowany. Twojej mamie nic nie grozi. Wyzdrowieje i wr ółci do domu, a wtedy policja poprosi j , eby powiedzia ła, co si wydarzy ło. Przypuszczam, e na tym ca ła sprawa si sko czy.

- Je li to nic wielkiego, to po co chcesz tu sprowadzić wujka Nicka?

- Bo już czas, żeby Nick wrócił, jasne? - rzucił Alex niecierpliwie, ale szybko się opanował. - No, masz tu... - Rozległ się brzęk monet czy kluczy. - Idź na dół i przynieś dla mnie i dla babci wodę mineralną, Sprite'a czy coś tam mają. Dla siebie też coś weź.

Brzęk drobnych.

Marla spodziewała się, że usłyszy dalszy ciąg dyskusji, ale nic takiego nie nastąpiło. Cissy, mrużąc coś pod nosem, oddaliła się w stronę drzwi. Jej kroki cichły, w miarę jak ból w głowie w Marli zaczął się znowu nasilać.

Wydawało jej się, że temperatura w pokoju spadła o dwadzieścia stopni. O co chodzi z tym morderstwem czy nieumyślnym spowodowaniem śmierci? Kim była Pam? O Boże, czy to ją zabiłam?

Serce waliło jej jak młotem, czuła, że się pocie. Gdyby tylko coś jej się przypomniało. Gdyby była w stanie zadawać pytania i uzyskać na nie odpowiedzi. Gdyby coś o sobie wiedziała!

- Z przykrością to przyznaj - powiedziała Eugenia - bo to w końcu mój syn, ale zaczynam wątpić, czy to dobry pomysł, żeby Nick tu przyjeżdżał.

- Zaraz, zaraz. To był twój pomysł.

- Wiem, wiem - powiedziała Eugenia, jak gdyby z politowaniem potrząsała głową nad swoją własną głupotą. - Byłam zdenerwowana z powodu tego wypadku i całej reszty... ale tam co było między nimi a Marlą.

Co? Co było? Marla usiłowała otworzyć usta, ale nie potrafiła. Walczyła z ogarniającym ją sennością i zmęczeniem, czuła jednak jak powoli, nieubłaganie wsysa ją gęsta, miedziasta mgła nie wiadomo gdzie. A bardzo chciała usłyszeć resztę tej rozmowy.

- To było pięćnaście lat temu.

- Jemu to nie przeszło.

- Owszem, przeszło. W jego życiu od tej pory było mnóstwo kobiet - rzucił Alex niecierpliwie, wyraźnie rozdrażniony. Jakby ten temat nie był mu całkiem obojętny.

- Z pewnością nie był dłużej niż parę miesięcy. On i Marla...

- Pamiętam tam. - Głos Aleksa był zimny jak lód. Marla wiedziała, że powinna być tym poruszona, ale czuła się coraz bardziej senna. - Ale chyba nie mamy wyboru, prawda? Powiedziałem mu, że wypowiedziała jego imię, a on zgodził się przyjechać.

Więc mówiłam co? Jak? Nie pamiętała, żeby była w stanie cokolwiek powiedzieć ani w inny sposób kontaktować się z otoczeniem. Marla miała tysiąc pytań, które chciała zada swojej rodzinie, pytań dotyczących dziecka, córki, całego życia. Próbowwała coś powiedzieć, zwrócić na siebie ich uwagę... Dlaczego nie może mówić? W przypływie frustracji zaciskała palce na kołdrze.

- Widziała to? - zawołał Alex.

- Co?

- Poruszyła się! Spójrz na jej rękę.

Tak! Tak! Słysz was! Rozumiecie?

- Zawołaj lekarza! - powiedział Alex. - Nareszcie. Może w końcu wyjdzie z tej piątki. - Był bardzo podekscytowany.

Wcisnęła ją w gardło na myśl o tym, że ten mężczyzna, jej mąż, kocha ją, choć ona nie pamięta nawet, jak on wygląda.

- Chcesz powiedzieć, że słyszała nasz rozmowę? - W głosie Eugenii brzmiała nuta przerażenia.

- No... chyba tak...

W pokoju zrobiło się cicho, jakby oboje bezgłośnie wypowiadali ostrzeżenia albo wymieniali znaczące spojrzenia.

Marla powoli rozluźniła palce. Usłyszała, jak ktoś cicho podchodzi do łóżka.

- Marla? - powiedział łagodnie Alex. - Kochanie, słyszysz mnie? Rusz rękę, najdroższa. Daj mi jakiś znak, że jesteś przytomna. Bo ja, tak mi cię brakowało.

Mówił to tak szczerze. Chciała mu ufać. O Boże, tak bardzo chciała uwierzyć w jego miłość. Ujęła jej dłoń w swoje ręce.

- Ci niej mój palec, je li mnie słyszysz, kochanie. Spróbuj.

Marla wytrzymała wszystkie siły, by poruszyć palcami, ale zeszywniała mi nie ani drgnęła.

- Chyba... chyba co ... poczułem - powiedział Alex.

- To dobrze. Och, może w końcu się obudzi. - Eugenia podeszła bliżej. - Marla? Słyszysz nas, kotku? Kiwnij głowę albo otwórz oczy. - Chwila ciszy. Marla nie była w stanie się ruszyć, czuła, że znowu zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością. - Kochanie...?

Alex westchnął, zniechęcony. Puścił jej dłoń, która bezwładnie opadła na łóżko.

- To nie ma sensu.

- Oczywiście, że ma - powiedziała Eugenia spokojnie. - Po prostu musimy być cierpliwi. Dojdzie do siebie.

- A je li nie dojdzie? - spytał Alex zimno.

- Wtedy... będziemy musieli się przystosować do nowej sytuacji. Wszyscy. To skomplikuje wiele spraw, ale wiat się nie zawali. Nie martw się na zapas. Widziałeś, że ruszyła dłoń, czuła, że próbowała cisnąć cię za rękę. To już jakiś postęp.

- Skoro tak uważasz - mruknął Alex z wyraźnym niedowierzaniem.

Szpital Bayview był jednym z najlepszych w mieście, tak się w każdym razie cieszył opinią. Jednak idąc było onym miłym dywanem korytarzem, gdzie eleganckie lampy rzucały przyjemne światło na kopie sławnych obrazów, mijając pieszczyki gdzie lekarzy w białych kitlach i zaafektowane pielęgniarki, Nick poczuł, że cierpieć na nim skóra. Zawsze leżał w szpitalu. W każdym szpitalu. Dławił go zapach rodków odkażających, talku i lateksowych

r kawiczek. Przyciszona muzyka, która miała zapewne koić i uspokajać, działała mu na nerwy, a u miechy pacjentów, odwiedzających cichy i personel wydawały się drzwie i fałszywe. Zdaniem Nicka po szpitalach nie należało się spodziewać niczego dobrego. Czuł, że i ta wizyta nie wpłynie na jego opinię.

Ale był tu. Czy mu się to podobało, czy nie. I miał zamiar spełnić swój przeklęty obowiązek.

Zaciskając zębami, wszedł do windy. Drzwi do pokoju 505 były lekko uchylone. Cicha muzyka - instrumentalna wersja jakiegoś starego kawałka Beatlesów - słychać się z głuchym na dziwnie pustym korytarzu. Nie było tu lekarzy, pielęgniarek, odwiedzających cichy... Ale może jego brat wynajął całe skrzydło dla siebie, miał tu w końcu coś do powiedzenia. Najpierw Samuel, a potem Alex poprzez Fundację Cahillów ofiarowywali ogromne sumy na budowę tego obiektu. Wiadomo, teraz, kiedy jego matka znalazła się w potrzebie, Alex zapewne postawił na baczność cały szpital. Tak, jak lubił.

Nick pchnął drzwi i wszedł do mrocznego pokoju, gdzie jakaś kobieta - Marla, jak się dziś - leżała na szpitalnym łóżku. Była sama. Alex jeszcze nie przyszedł, ale Nick pojawił się tu kilka minut przed wyznaczoną godziną.

Była to dość typowa sala szpitalna. W wypolerowanych metalowych poręczach łóżka odbijało się mdłe światło lampy przymocowanej do sufitu. Ze stojącej u węzłownia kroplówki wylała Marla słychać się glukozę i Bóg wie co jeszcze. Wszędzie stały bukiety z tych kwiatów, pudełka z czekoladkami i rolki w doniczkach, wprowadzając trochę koloru w monotonne, białe otoczenie. Z wiklinowego koszyka, ozdobionego wielkimi, pomarańczowymi kokardami, wysypywały się niemal kartki z życzeniami powrotu do zdrowia. Opuszczone do połowy rulony rzucały na łóżko delikatny, pasiasty cień.

Nick zacisnął zęby i podszedł do łóżka. Czuł się jak intruz. Marla leżała na wznak. Twarz, z zadrumowanymi szczękami, miała siny i tak opuchniętą, że włąciwie trudno jej było rozpoznać.

- Jezus - szepnął wstrząśnięty.

To jest Marla?

Cisnął go w dołku. Powtarzał sobie, że już z nikim nie czytał, że gniew i ból spowodowane jej zdradą wypaliły się wiele lat temu, że jest mu zupełnie obojętne, ale stojąc nad nią teraz, nie mógł nie współczuć tej ałosnej istocie, jak stała się jego szwagierką. Cholera, że wygląda. Ledwo żyje. Na ogolonej z jednej strony głowie widać było liczne szwy i zadrapania.

Zacisnął palce na poręczach łóżka. Patrzcie teraz na te kobiety, przypomniał sobie jaka była kiedyś - piękna, uwodzicielska i emanująca czysto kobiecym wdziękiem. Było to dawno, w czasach bez troski, zanim Marla Amhurst stała się panią Cahill, zanim przestała być jego kochanką i wyszła za jego brata.

Zakazane wspomnienia zaatakowały go nagle ze zdwojonym siłą. Wspomnienia młodej, długonogiej, zalotnej kobiety, która działała swym czarem na wszystkich i wiedziała o tym. Bo ona, jaka była fascynująca, z tymi zwodniczymi, zielonymi oczyma, zalotnie wygiętych brwiami i pięknie zarysowanymi kośćmi policzkowymi.

A teraz jest tylko zmaltretowana pacjentka, półżywa, leżąca na zimnym szpitalnym łóżku, podłączona do monitorów i kroplówki, nie wiadomo tego, co dzieje się wokół... cieniem kobiety, która wlizgiwała się pod zmięte kołdrę w przytulnym domku w Mendicino i całowała go ze miechem w czubek nosa, a potem puszczała do niego oko i zsuwała się z niego...

- Co się stało? - spytał, ciskając poręczami. - Na lito boską, Marla, co ci się przydarzyło? - Pokręcił głową, otrząsając się ze wspomnień.

To i tak były same kłamstwa. Wykorzystała go. Prosta sprawa. A on jej na to pozwolił. A najgorsze, e pewnie zrobiłby to jeszcze raz. Nie zastanawiaj c si ani chwili.

Oboj tne, jak okropnie teraz wygl da, w brzydkiej bawełnianej koszuli nocnej, której sama nigdy by na siebie nie wło yła, Nick nie mógł zapomnie kobiety, któr była w rodku.

- Jak do tego doszło? - wyszeptał.

Zobaczył, jak jej ukryte pod powiekami oczy drgn ły. Zdaje si , e miała by w pi czce? Czuł, jak włosy podnosz mu si na głowie.

- Marla? - wyszeptał znowu. Jej imi ledwo przeszło mu przez ci ni te gardło. - Marla?

Powoli, jakby wi zało si to z nadludzkiem wysiłkiem, Marla otworzyła oczy, najpierw tylko odrobin , potem ciut szerzej. Patrzyła na niego wielkimi czarnymi renicami, otoczonymi w skim paskiem zieleni.

Serce na moment przestało mu bi .

Marla zmru yła oczy, zamrugła, ale nie spuszczała z niego wzroku.

- My lałem, e ty... Lepiej zawołam piel gniark . - cisl ń por cz z tak sił , e a zbiały mu kostki.

Uniosła rk , by dotkn jego dłoni, i próbowała co powiedzie , ale spomidy pończonych drutem z bów wydobyl si tylko niewyra ny d wi k. On jednak instynktownie zrozumiał sens.

- Kim jeste ? - pytała, marszcz c brwi nad zielonymi oczami.

Wi c nie pami tała go. W gł bi duszy poczuł nagle straszny zawód, ale postanowił o tym nie my le . Zaszło mu w gardle.

- Jestem Nick.

Opu ciła rk i wydała z siebie co , co miało by zapewne westchnieniem. Nadal go nie rozpoznawała.

- Nick? - szepnęła z wysiłkiem. - Ten... brat?

Więc wiedziała.

- Myślałem, że dla ciebie jestem „tym banit”.

Nie odpowiedziała.

- No wiesz, w przeciwieństwie do twojego matki, porzucił Aleksa - wyjął, wzduszał ramionami. Na pokrytej granatowymi i fioletowymi ścianami twarzy nie pojawił się jednak wyraz zrozumienia. - To był art - dodał po chwili.

- Zły art. - Oczy zaczęły jej się zamykać. - Bardzo zły - wybełkotała przez druty zamierzając głosem.

- Następnie razem wymyślił coś lepszego - powiedział, ale Marla nie zareagowała. - Marla? O nie, ona nie może teraz zasnąć! Podobno od wypadku nie odzyskała przytomności, tak powiedział Alex, z którym rozmawiał wcześniej przez telefon. To Alex chciał, żeby spotkali się w szpitalu, chociaż, jak się okazało, wcale mu się tak bardzo nie spieszyło.

Nick wsadził ręce głęboko do kieszeni skórzanej kurtki i wyszedł z pokoju, żeby poszukać pielgniarki. Nie miał ochoty przebywać sam na sam z kobietami - to odzyskuje, to traci wiadomości. Zwłaszcza jeżeli ta kobieta była Marla Amhurst Cahill. Stojąc w drzwiach, odwrócił się i spojrzał na nią przez ramiona. Leżała nieruchomo na łóżku. Wyglądała naprawdę okropnie. Ale teraz odzyskała w końcu przytomność, wyzdrowieje, rany się zagoją i za jakiś czas odzyska pamięć.

I na pewno odzyska dawną urodę.

Chociaż w zasadzie nie powinno go to obchodzić.

Jak brzmiało stare przysłowie? Kto się raz sparzy, ten na zimno dmucha? Cóż, on się już kiedyś porzucił. Teraz dobrze się zastanowi, zanim wyciągnie po co rękę.



### 3

Obudziła się, popatrzyła mi prosto w oczy i spytała, kim jestem - powtórzył Nick cierpliwie. Stał oparty o cian przy oknie w ponadstuletniej posiadłości, w której się wychował. Rozluźnił kołnierzyk flanelowej koszuli i spojrzął na matkę. - Opowiadałem pielęgniarkę, co się stało, kiedy wpadł tam Alex. Powiedziałem, co zaszło, a potem poszedłem. Sądziłem, że chce zostać sam z nią. Chyba mają sobie wiele do powiedzenia.

- Cóż, Bogu dzięki, że nastąpił przełom. - Eugenia siedziała w swoim ulubionym fotelu. - Tak się martwiłam, sam rozumiesz. To był koszmar, Nick, prawdziwy koszmar.

- To jeszcze nie koniec.

- Och, wiem. - Potrzebna są głowy, ale ani jeden kosmyk z ufarbowanych na kolor miedzi włosów na jej głowie nawet nie drgnął.

W holu zadzwonił telefon, Eugenia nie ruszyła się, spojrzała tylko w stronę korytarza. Położona na Mount Sutro posiadłość z widokiem na zatokę i miasto - raczej w stylu Craftsmanship niż wiktoriańskim, o czym kiedyś bez przerwy słuchała - była dumą całej rodziny. Z wyjątkiem Nicka. On nie cierpiał tego domu.

Telefon znowu zadzwonił i nagle ucichł.

- Carmen musiała odebrać - powiedziała Eugenia. - Pewnie dziennikarze albo policja. Od chwili wypadku nie daj nam spokoju. Niektórzy nawet koczowali przez jakiś czas przed głównymi bramami, na szczęście poza ich uwagę odciągnęły inne, bardziej interesujące wydarzenia. - Wzniosła oczy do nieba. - Nie sądziłam, że dojdzie dnia, w którym będzie się cieszyła z politycznego skandalu w biurze gubernatora.

- Cena sławy.

- Tak, cóż... - Chrzęknęła, bawiąc się sznurem pereł okalających jej szyję.

W holu rozległy się szybkie kroki i po chwili zza rogu wyszła szczupła kobieta o lśniących czarnych włosach i migdałowych oczach. Miała na sobie wieńiec z wykrochmalonej, białej bluzki i wiskę, czarną spódnicę. Uśmiechając się przyjaźnie do Nicka, podała jego matce słuchawkę telefonu bezprzewodowego.

- To pan Cahill, ze szpitala.

- Dobrze. - Eugenia wzięła słuchawkę i skinęła głową w stronę Nicka. - Carmen, to mój drugi syn, Nicholas. - Spojrzała na niego znad okularów. - Carmen wzięła ciwie zarządza domem. Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez niej w obecnej sytuacji.

- To moja praca - uśmiechnęła się Carmen, energicznie ciskając dłońmi do Nicka. - Miło mi pana poznać.

- Mnie również miło.

Eugenia rozmawiała przez telefon, nie spuszczając wzroku z Nicka.

- Tak, ale... Nick powiedział, że... cóż, tak... - Westchnęła ciężko. - Chyba masz rację. - Odkładając słuchawkę, jego matka zawsze ulegała mu czyżnom, najpierw jego ojcu, a potem bratu. Domyśliła się, że i tym razem Alex zdołał ją o czymś przekonać.

- Wspaniale. Tak... Chcesz z nim porozmawiać? Nie? - Potrząsnęła głową, dając Nickowi do zrozumienia, że został spuszczonej ze smyczy. Na razie. - Wiem dobrze. Tak. Będziemy tu... - Wyłączyła telefon i położyła słuchawkę na szklanym blacie stolika. Wyginając usta w podkówkę, spojrzała na zegarek. - Alex wraca teraz do domu. Niestety, Marla już się wcale nie obudziła.

- Co?! - wykrzyknął Nick. - Jak to? Dlaczego?

- Nie wiem. Alex powiedział, że na nic nie reagowała. Nie tylko na niego, ale także na różne zabiegi doktora Robertsona i pielęgniarek. - Eugenia jakby skuliła się trochę i spojrzała w okno. - Słyszysz, że wkrótce znowu się obudzi.

- A niech to cholera.

Eugenia uniosła jedn , starannie wyregulowan brew.

- Przeklinanie nic tu nie pomo e.

- Oczywi cie, e pomo e - mrukn ł, kiedy Carmen, która najprawdopodobniej czekała za rogiem, wróciła do pokoju.

- Nie chciałam przeszkadza pani wcz niej, w porze odpoczynku -zwróciła si do Eugeniei, bior c słuchawk ze stolika i wkładaj c j do kieszeni. - Odebrałam kilka wiadomo ci. Zostawiłam informacje na biurku w gabinecie pana Cahilla.

- Pami tasz, kto to był?

- Pani Lindquist, po raz drugi, i pani Favier.

- Cherise - rzekła Eugenia lodowato. - Oczywi cie. Kto jeszcze?

- Tak, kto z gazety i jaka prawniczka, która oznajmiła, e reprezentuje rodzin pani Delacroix.

- Cudownie. - Eugenia ci gn ła usta. - Tylko tego nam jeszcze trzeba. Có , pan Cahill zajmie si tym, gdy wróci do domu. - Poło yła dłonie na kolanach. - Carmen, zrób mi, prosz , herbaty... Nick, napijesz si czego ?

- Mo e pó niej.

- Ju podaj . - Carmen błysn ła z bami w u miechu i poszła do kuchni.

- Bystra dziewczyna, ale wkrótce j stracimy - zauwa yła Eugenia. - Chodzi do szkoły wieczorowej, uczy si dwóch j zyków. Sama poddałam jej my ł, e powinna kontynuowa nauk , gdy zobaczyłam j w Cahill House... Rozumiesz.

Oczywi cie, e rozumiał. Cahill House, instytucja dobroczynn , zało ono przed stu laty dla dziewcz t, które znalazły si w „kłopotach”. Prezesem jej zarz du był zawsze jaki Cahill. Pewne rzeczy nigdy sienie zmieniaj . I to wła nie, zdaniem Nicka, stanowiło problem. Najpierw Samuel był prezesem, a teraz Alex. Co roku w imieniu Cahillów instytucja otrzymywała hojne darowizny.

- Chciałabym, eby ludzie przestali tu wydzwania . Wszyscy wiedz , e Marla ci gle jeszcze przebywa w szpitalu... och, wiem, Joanna Lindquist jest jej przyjaciółk , ale to zwykła plotkarka. Prawników nie da si w aden sposób powstrzyma , w dodatku ta Cherise... - Eugenia spojrzała Nickowi w oczy. - Zakładam, e Alex ju ci powiedział, i dzieci Fentona znowu nas nagabuj . - Oparła podbródek na dłoni. Nick dostrzegł na niej br zowawe plamki. A wi c jego matka, mimo swego całego oporu, nie zdołała powstrzyma procesu starzenia.

- Słyszałem. Cherise zdołała mnie wytropi . Chce odwiedzi Marl .

- Ja my l . Je li chce, to znaczy, e ma po temu jaki powód, wierz mi. Nigdy nie traktowałam powa nie opowie ci o rodzinnych wa niach, ale przez tych dwoje chyba zmieni zdanie. - Wstała z fotela i podeszła sztywno do okna. - Cóż , nic na to nie mog poradzi . Alex b dzie musiał rozprawi si z Montym i Cherise. Je li chc nas ci ga po s dach, prosz bardzo. Dostan za swoje. - Wygładziła spódnic kostiumu i dodała: - Kr jak s py nad konaj c owc .

- Nikt tu przecie nie kona - odparł Nick szybko, wiedz c, co matka ma na my li.

- Jeszcze nie. - Za miała si gardłowo, siadaj c znowu w swoim fotelu.

Pojawiła si Carmen z herbat , naląa Eugonii fili ank . Zapytała, czy przynie co jeszcze, po czym wyszła.

- Herbaty? - spytała Eugenia. Na tacy stały dwie fili anki.
- Nie, dzi kuj . Napiłbym si czego mocniejszego.
- Cz stuj si . - Podniosła fili ank do ust.
- Pó niej.

Nick podchodził do kominka. Pod fotelem Eugonii rozległo si ciche, nerwowe warkni cie.

- Zastanawiałam si , kiedy si odezwie - powiedziała Eugenia, przechylaj c si przez por cz. - Cicho b d , Coco!

Spod fotela wychyn ła łpek białej suczki, która spojrzała na Nicka nieufnie błyszcz cymi czarnymi oczkami i znowu zawarczała ostrzegawczo.

- Nie zwracaj na ni uwagi - poradziła Eugenia. - Coco warczy, ale nigdy nie gryzie. - Poglaskała mi kk , biały sier . Złote bransoletki zabr z czały cicho. - Tak naprawd , to jest okropnym tchórzem - dodała pieszczotliwym tonem, po czym znowu spojrzała na syna. - Gdzie twój бага ?

Jad c ze szpitala, wynaj łem pokój w Red Victorian.

- Na lito bosk , wynaj łe pokój w hotelu? Przecie masz w tym mie cie rodzin ! - Eugenia wzniosła r ce do nieba, jakby nie mogła zrozumie , o co chodzi jej młodszemu synowi. - Mo esz zatrzyma si tutaj, w swoim dawnym pokoju.

Po moim trupie, pomy łał Nick. Ten dom przywoływał zbyt wiele smutnych wspomnie . Poza tym wkrótce Marla wróci ze szpitala. Rozejrzał si po salonie. Przybyło kilka nowych krzeseł, stoj cych teraz w ród antyków i mebli z epoki, które dobrze pami tał. Ten dom przetrwał dwa trz sienia ziemi i kilka pokole Cahillów. Smołowany dach, ceglane ciany i oryginalne okna - wszystko to pachniało „starymi pieni dzmi” w najlepszym wydaniu. Albo w najgorszym. Tego Nick sam dobrze nie wiedział.

Siedz c wewn trz pot nej budowli, pełnej kryształowych yrandoli rzucaj cych migotliwe wiatło na drewniane podłogi, nie miał wra enia, e wrócił do domu. Parkiety l niły dyskretnie pod warstw patyny, jak mo e nada tylko wiek i setki par eleganckich butów. Boazerie, pracowicie pokryte płaskorze bami przez niemieckiego emigranta, pociemniały z czasem.

Tak, pi kny dom. Zwłaszcza je li kto lubi domy, które nie maj duszy.

Drzwi frontowe otworzyły si szeroko i stan ł w nich Alex. Wszedł do holu i postawił teczk na najni szym stopniu schodów. Zdj ł r kawiczki i spojrzał gniewnie na brata.

- Mówiła, że Marla się obudziła - powiedział z pretensją w głosie, wpatrując się w Nicka z urazem.

- Powiedziałem, że się obudziła, popatrzyła na mnie, powiedziała parę słów i znowu zasnęła, jeśli może na to tak nazwać. - Nicka niełatwo było przestraszyć.

- Cóż, przy mnie nigdy nawet się nie poruszyła, a czy sto siedziałem z nią ponad godzinę. - Alex rozpiął płaszcz. - Doktor Robertson stwierdził, że nie ma sensu czekać w szpitalu. Zadzwoń, jeśli nastąpi jakaś zmiana. - Przerzucił płaszcz przez balustradę i wszedł do salonu. - Nieźle, co? - Włożył rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął paczkę Marlboro. - Po sześciu tygodniach pić cię, kiedy nie dawała nawet znaku życia, Marla nagle otwiera oczy, rozmawia z tobą, a potem znowu zapada w sen. I to wszystko w ciągu tych pięciu minut, które spędziła w jej pokoju. - Wsadził papierosa do ust i przypalił go zapalniczką.

- To dopiero początek, Alex. Musisz być cierpliwy. - Eugenia odstawiła filiżankę na spodeczek i wstała, Alex złożył obowiązkowy pocałunek na jej pergaminowym policzku. Nawet w pantoflach na ośmiocentymetrowych obcasach Eugenia była o całą głowę niższa od swoich synów. Jej ufarbowane na miedziany odcień włosy były zawsze starannie ułożone, a ubrania - zawsze od znanych projektantów - jak z igły, bez jednej fałdki.

- Cierpliwy? Jestem cierpliwy, do ciebie cholery! - ryknął Alex, szarpąc krawat i wydmuchując kłęby dymu. Przeczesał włosy palcami. - Chryste, to zaczyna być naprawdę frustrujące. Frustrujące jak wszyscy diabli - mruknął i oparł się o gzyms kominka, na którym stały ciasno stłoczone fotografie rodzinne w złoczonych ramkach. Położył ramię na gładkiej dębowej półce, zwieszając dłoń nad kratę. Dym z papierosa ulatywał ku sufitowi. - To katastrofa - wyszeptał ledwie słyszalnie. - To prawdziwa katastrofa.

- Mówiła chyba, że ją raz się przebudziła - powiedział Nick.

- Nie. - Alex potrząsnął głową i z ironicznym uśmiechem zaciął się bokiem papierosem. - Wyszepiała twoje imię, ale nigdy nie odzyskała przytomności. Przynajmniej ja o tym nic nie wiem. Tylko powieki jej lekko drżały. Jakby coś jej się stało.

- niósł?

- Czy coś w tym rodzaju. Nie wiem. Mam ją tego do... - Alex potarł czoło palcami. - Cholera, muszę się napić. Nalała ci czego? - Spojrzał na brata i podszedł do palisandrowego barku, ze szkockimi lusterkami na tylnej ścianie. W środku stały najlepsze trunki - szkockie, bourbony i koniaki - jakieś na kupię za pieniądze. Alex znalazł właściwy klucz w portfelu, który wyjął z kieszeni, i otworzył szafkę.

- Może powinniśmy jednak zostać w szpitalu - zasugerował Nick.

- Nie. Powiedzieli, że zadzwoni. - Alex odwrócił się przez ramię, a na jego ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu. - Pielgniarka prawie mnie stamtąd wyrzuciła. Zdaje się, że byłem trochę... jak to ona nazwała... zirytowany i bezduszny. Chyba ją wkurzyłem. Czego się napijesz?

- Szkockiej. Z lodem.

- Mamo?

- Ja dziękuję - odparła cierpko Eugenia, która była abstynentką i tylko czasami pozwalała sobie na kieliszek wina. Nickowi wydawało się, że przejawia się w tym bezpostronnie reakcją na głębsze uczucie, jakim ich ojciec darzył. - Wystarczy mi herbata. - Podniosła do ust filiżankę.

- Rozmawiałeś z lekarzem? - spytał Nick.

- Tak. Rozmawiałem z Philem Robertsonem, jeszcze zanim wkurzyłem pielgniarkę. Uważa, że Marla dochodzi do siebie. To może potrwać kilka dni albo kilka tygodni, tego nie potrafił określić, ale - i to jest ważne - Alex wyciągnął z barku

kilka butelek - kiedy już odzyska przytomność, a wyniki badań będą dobre, pozwól jej wrócić do domu. - Alex otworzył nową butelkę. - Mam już dwie pielgniarki, które będą jej doglądać na zmianę.

- Nareszcie dobre wieści - powiedział Nick, wyglądając przez okno. Miał nadzieję, że w jego głosie nie dosłyszano sarkazmu. Deszcz spływał po szybach krętymi strugami, zamazując widok.

- To nie są dobre wieści, Nick. Ale nic więcej nie możemy zrobić. - Alex wyglądał teraz, jakby miał znacznie więcej niż swoje czterdzieści dwa lata. Był zmęczony. Miał do tego całego zamieszania. Wrzucił kilka kostek lodu do szklanki z wygrawerowanym herbem Cahillów, mieszącym symbolem rodzinnego zamiłowania do zbytku. Nalał alkoholu i po chwili Nick dostał swój szkock.

- Za lepsze dni. - Alex pociągnął długi łyk ze swojej szklanki. Napięcie powoli znikało z jego twarzy.

- Amen - zgodziła się Eugenia, patrząc z dezaprobatą, jak Alex jednym haustem dopija swojego drinka.

- Wspaniały powrót na łono rodziny, czy nie? - powiedział Alex. - Marla w szpitalu, ta druga kobieta nie żyje, kierowca ciarówki ledwo żyje, w domu nowy bratanek, którego nawet jeszcze nie widziałyśmy, i rodzinny biznes w tarapatach.

Eugenia przesłała Nickowi uścisk, jednocześnie nie czuły i wyrachowany.

- Tak czy inaczej, miło ci znowu widzieć w domu, Nicholas.

Nick pociągnął łyk szkockiej, która przeszła mu przez gardło gładko jak woda. Podobno picie szkockiej trzeba się nauczyć. On najwyraźniej już się urodził z tym umiejętnością.

- Opowiedz mi o tym wypadku - zaproponował Nick.

Alex podszedł do barku i nalał sobie jeszcze jedną solidną porcję whisky.



Nicka ogarn ła irytacja. Marla naprawd si obudziła, widzia ła to na własne oczy. Uwa a ła, e powinni co zrobi , zamiast siedzie w tym dusznym pokoju, s cz c drinki.

- Co w ła ciwie wydarzy ło si tamtej nocy?

- Zakładamy, e Marla i jej niedawno poznana przyjaciółka, Pam Delacroix, prawdopodobnie chciały odwiedzi córk Pam w Santa Cruz, bo jechały w tym kierunku. To było ponad sze tygodni temu, zaraz po narodzinach Jamesa. Tego dnia Marla miała wróci do domu ze szpitala. Nie mam poj cia, dlaczego postanowiła wyjecha . - Alex marszczył brwi, wpatruj c si w swój szklank , jakby pragn ła odczyta z fusów przeznaczenie. - Tak czy inaczej, spotkała si z Pam z jakich , sobie tylko znanych powodów, siadła za kółkiem i ruszyła przed siebie. W nocy panowały fatalne warunki. Mgła i deszcz. Na tym kr tym, parszywym odcinku siedemnastki cz sto dochodzi do wypadków. W pewnej chwili Marla musiała straci panowanie nad kierownic . Nikt nie wie dlaczego. Mo e nie znała mercedesa Pam. W ka dym razie jezdnia była mokra i liska i samochód najpierw sun ła wzdłu barierek, a potem przerwał j i zleciał w dół. Pam nie zapi ła pasa, zgin ła na miejscu. Marla cudem przeżyła. Uderzyła głow w szyb . Szcz ka p kła jej w trzech miejscach, a szkło strasznie poraniło twarz. Na szcz cie poduszka powietrzna si otworzyła, wi c Marla nie doznała adnych powa niejszych obra e wewn trznych ani złama . To nie do wiary, ale zachowała wszystkie z by. aden nawet si nie złamał.

- W tpi , czy to j pocieszy-rzucił Nick.

Alex sko czył papierosa i wrzucił niedopałek do kominka.

- Wstrz s mózgu, złamana szcz ka i nos. W dodatku pi czka. Policja zidentyfikowała j po szpitalnej bransoletce, któr ci gle miała na r ce. Wida zapomniała j zdj .

- To do niej niepodobne.

Kobieta, którą pamiętał Nick, przywidywała wielką wagę do swojego wyglądu.

- Może była czymś zdenerwowana? Kto wie? - Alex podszedł do barku i znów nalał sobie whisky. - Lewa strona twarzy ma zmasakrowaną, ale chirurdzy są dobrej myśli. Wykonali już jedną operację i zrekonstruowali, co się dało, żeby twarz była symetryczna. Ale kiedy Marla już się obudzi i zdejmuje jej szwy, pewnie będzie chciała jeszcze niejedną poprawić. - Potrzebował głowę, jakby przytłoczony tym wszystkim.

Nicka ogarnęła zniecierpliwienie. Dlaczego nikt nie dzwoni z tego przekleśnionego szpitala? Bezczyнно i czekanie nie wiadomo na co doprowadzały go do szału. Jego matka spokojnie popijała herbatę. Patrzyła na Coco, leżącą na wschodnim dywanie. Piesek nie spuszczał czujnego wzroku z Nicka.

- Myślę, że powinienem...

Na schodach rozległy się kroki i do pokoju wpadła ubrana na czarno Cissy.

- Myślałam, że jedziemy zobaczyć mamę. - Na widok Nicka stanęła jak wryta.

- Cissy, to jest Nicholas. Pamiętasz go, prawda? - spytała Eugenia. Cissy, nad sana, obrzuciła Nicka podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie wydaje mi się.

- Cóż, nie widzieliśmy się od dawna - odparł Nick. - Chyba od dziesięciu lat.

Cissy wzruszyła ramionami. Najwyraźniej niewiele ją to obchodziło.

- Jedziemy czy nie?

- Pojedziemy, gdy tylko dostaniemy wiadomość ze szpitala. Nick mówi, że mama się obudziła i rozmawiała z nim przez chwilę. Ale kiedy do niej poszedłem, była znowu w piątce.

- Co? To mo liwe?  
- Mo liwe, skoro tak si stało.  
- Nie wierz . - Cissy zacz ła szybko mruga powiekami.  
- Chyba jak si kto zbudził, to si zbudził i ju , no nie?  
Alex dopił drinka i dotkn ł jej ramienia.  
- Doktor Robertson mówi, e wkrótce mama zbudzi si na dobre.

- Powtarza to cały czas od wypadku. - Cissy patrzyła badawczo na twarze dorosłych, jakby podejrzewała ich, e kłami . - To idiotyczne! -Opadła na bladozielon sof . - Chc , eby mama w ko cu si obudziła i eby wszystko było, jak przedtem.

- To niemo liwe, kochanie - rzekł Alex z czuło ci , o jak Nick nigdy by go nie podejrzewał.

- Dlaczego to musiało si sta ?

- Cissy, takie rzeczy si zdarzaj . Rozmawiali my ju o tym. Alex zaczynał si denerwowa , co zaskoczyło Nicka. Jego brat był zawsze zimnym draniem, nigdy nie tracił panowania nad sob , w ka dej sytuacji potrafił zachowa spokój. Jedna z jego przyjaciółek, ta, która była przed Marl , zarzuciła mu, e ma w yłach nie krew, ale schłodzon wod mineraln . Wtedy Alex uznał to za komplement.

Ale dzisiaj wydawał si wyra nie poruszony. To musiało co znaczy .

Mo e naprawd zale y mu na Marli. Mo e o enił si z ni , bo j kochał, a nie dlatego, e chciał utrze nosa młodszemu bratu.

- Mogłabym by teraz na ranczu - powiedziała Cissy z pretensj w głosie.

Eugenia prychn ła pogardliwie.

- Jutro idziesz do szkoły. A poza tym pada deszcz.

- Wielkie rzeczy - mrukn ła Cissy pod nosem i odwróciła si do okna.

Nickowi przywidła na myl siedzcego na parapecie kota, poruszajcego nerwowo ogonem, wpatzonego w niedosięte ptaki za szybami.

Rozległ się dzwonek telefonu. Alex drgnął i ruszył wielkimi krokami do holu, chwycił słuchawkę, nim telefon zadzwonił drugi raz.

- Alex Cahill. Tak... to dobrze, bardzo dobrze... cudownie. Zaraz tam będziemy. - Rzucił słuchawkę. - Najwy szy czas - mrucał, wracając do salonu.

- Mama? - spytała Cissy. Sztuczna, typowa dla nastolatków nonszalancja nagle zniknęła. Teraz, kiedy przestała wydymać pogardliwie usta i patrzeć na wszystkich nieufnie, zrobiła się naprawdę ładna. Może wyrosła na piękną. Jak jej matka. - Wszystko w porządku?

- Miejmy nadzieję. - Alex uśmiechnął się z wysiłkiem. - Dzwonili ze szpitala. Chyba się w końcu obudziła.

- Bogu dzięki - rzekła Eugenia i wstała z fotela. Nick jednocześnie nie odczuł ulgi i lęku. - Fiona i Carmen są teraz zajęte przy dziecku, ale powiem im, co się wydarzyło. - Szybkim krokiem wyszła z pokoju.

- Pojedziemy jaguarem - oznajmił Alex, sięgając do kieszeni po kluczyki.

- Wezmę mój samochód.

Nick nie czekał, a brat zaproponuje. Teraz potrzebował własnych czterech kółek, własnej drogi odwrotu na wypadek, gdyby w szpitalu zrobiło się za gorąco. Nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie, kiedy Marla w końcu otworzy oczy.

Uniosła odrobinę jedną powiekę, ale olepiona wiatrem zamknęła oko. W głowie jej dudniło, ból w szczękę nasilał się. Wydało jej się, że słyszy cichy muzyk, melodię, którą powinna pamiętać.

- Pani Cahill? - przemówił miękko, kobiecy głos.

Znowu to nazwisko. Czemu wydaje się takie nie na miejscu? Marla zamrugała powiekami, uniosła je w końcu i zmrużyła olepione wiatłem oczy. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wiatła są przyciemnione, rolety opuszczone do połowy, a w pokoju panuje półmrok.

- Wie pani, gdzie pani jest?

Marla poruszyła głowę. W ustach czuła okropny smak, odlewnia w łokciu swą skórę, miała łupież, a włosy pozlepiane w strzyki. Dobry Boże, ale musi wyglądać! Z mgły spowijającej wszystko dokoła powoli wyłaniała się twarz pielgniarki.

- To Szpital Bayview, a ja nazywam się Carol Maloy. - Plakietka z nazwiskiem przypięta do jasnoniebieskiego uniformu potwierdzała tę informację. Wysoka blondynka o przejrzystych, niebieskich oczach uśmiechnęła się do Marli, błyskając białymi zębami. - Cieszymy się, że wróciła pani do nas.

Marla z trudem przełknęła ślinę. Zaszło jej w gardle.

- Jak się pani czuje? Chciałaby się pani czego napić?

Z największym wysiłkiem Marla poruszyła głowę, ale pielgniarka zdecydowała się już odwrócić. Po chwili wróciła ze szklanką wody i słomką.

- Podejrzewałam, że dzisiaj się pani obudzi. Miałam przeczucie.

Zacniemy od wody, a potem spróbujemy soków owocowych, jeżeli będzie pani miała ochotę zaszaleć.

Z pomocą pielgniarki Marla zdołała napić się trochę wody, która spłynęła chłodną strugą między jej popękkanymi wargami, między drutami krępującymi jej szczękę i dalej, w suche, spragnione gardło.

Ale ołdek odmówił współpracy. Przez chwilę Marla miała wrażenie, że zaraz wszystko zwróci.

Tymczasem pielgniarka mówiła przewidując co:

- Spokojnie. Powoli. Po łycku, dobrze? Odzwyczała si pani. Organizm musi przypomnie sobie dawne zwyczaje, a to zajmie troch czasu.

Marla zastosowała si do tej rady. Powoli rozja niło si jej w głowie.

- O to wła nie chodzi! - powiedziała piel gniarka, mierz c Marli temperatur . - Te druty musz by bardzo nieprzyjemne - ci gn ła – ale na razie konieczne. Mam jednak dla pani dobr wiadomo . Ju niedługo b dzie si pani m czy . Najwy ej tydzie lub dwa. - Zmierzyła puls i ci nienie szybko i zr cznie. - Dzwoniłam ju do doktora Robertsona. Zaraz przyjdzie si z pani zobaczy . - Powiesiła r kaw do mierzenia ci nienia na cianie. - Rozmawiał ju z pani rodzin .

Rodzina. Ludzie bez twarzy. Teraz wreszcie ich sobie przypomni.

- Chce pani usi ?

- Tak - odparła Marla, szcz liwa, e mo e zmieni pozycj . e w ogóle mo e co zmieni .

Piel gniarka podała jej pilota z guziczkami i górna cz ół ka uniosła si troch . Marla zobaczyła pokój. Był niewielki, wygodny i wygl dałby zapewne całkiem sterylnie, gdyby nie fakt, e mnóstwo w nim było barwnych, pachn cych kwiatów, ustawionych w wazonach, pudełek z czekoladkami i nie otwartych jeszcze paczek. Z koszyka stoj cego na nocnym stoliku wysypywały si kartki z yceniami szybkiego powrotu do zdrowia.

- Pani te ciowa chciała, eby zobaczyła pani to wszystko po obudzeniu, eby pani wiedziała, jak bardzo wszyscy si za pani st sknili - wyja niła Carol, osłuchuj c Marl stetoskopem. - Wszystko w normie. Temperatura, ci nienie, puls... wszystko. - Wsun ła stetoskop do kieszeni i wzi ła do r ki no yczki do ci cia drutu, le ce na stoliku obok szklanki z wod , dzbanka i paczki chusteczek higienicznych. - Ten przyrzd mo e si pani wyda zb dny, ale je li w którym

momencie zacznie si pani zbiera na wymioty, prosz zadzwoni na nasz pager, a potem natychmiast przecina druty, jakby od tego zale ało pani ycie... Bo zale y - dodała, nagle powa niej c. - Nie chcemy, eby si pani udusiła.

Na sam my l o tym Marl przeszedł dreszcz.

- Niezbyt miła perspektywa, wiem - rzekła piel gniarka, jakby czytała w my lach Marli. - Najprawdopodobniej nic takiego si stanie, ale lepiej, eby na wszelki wypadek była pani przygotowana.

- Ostro no nie zawadzi - odparła Marla.

- Wła nie. - Carole zanotowała co szybko w karcie. - Wszystko w porz dku. Pójd po sok i przy l tu kogo , eby pani obmył, zgoda? A gdy tylko lekarz stwierdzi, e wszystko jest w porz dku, pozb dziemy si tych rurek i sama b dzie si pani mogła umy . - Mrugn ła do Marli i wyszła z pokoju.

Marla nie mogła si doczeka , kiedy w ko cu opu ci to wi zienie. Upiła troch wody ze szklanki i rozejrzała si wokół. Okno wychodziło na parking, za którym wida było ziele wody. Bior c pod uwag nazw szpitala, była to pewnie Zatoka. Wzi ła ze stolika kilka kart. Czytała je, zastanawiaj c si , kim s ludzie, którzy je napisali. Bill i Sheryl, Gloria i Bob, Joanna i Ted, Anna, Christian, Mario. Imiona te nie budziły adnych skojarze , ale to samo dotyczyło jej nazwiska. Marla Amhurst Cahill. Dobry Bo e, dlaczego nosi nazwisko, z którym czuje si jak w pantoflach za du ych o kilka numerów?

Bolała j głowa. Ale kiedy odło yła szklank i oparła si o poduszki, nagle przypomniała sobie twarz, twarz m czyzny. Surow , ogorzał , o regularnych rysach i szerokich ciemnych brwiach nad przenikliwymi, niebieskimi oczyma.

Na to wspomnienie cisn ło j w gardle.

W tym człowieku było co szorstkiego i irytuj cego, co pod wiadomie wyczuwała. artował, ale ani razu si nie u miechn ł. Był w tym pokoju i powiedział, e ma na imi

Nick. Banita... tak o sobie powiedział. I był taki... nieufny, pełny gniewu... czuła to, choć ich spotkanie trwało tak krótko.

Serce zabiło jej mocniej. Nie kłamał. W skórzanej kurtce i spłowiałych dżinsach, z opaloną twarzą, wyglądał jak Jessie James dwudziestego pierwszego wieku.

Ale to przecie szaleństwo. Ona jest młotka. Wystarczy spojrzeć na jej lewą dłoń, żeby się o tym przekonała. Tam, na serdecznym palcu, migocze w słabym świetle, lśniący jak brylant, osadzony w złotej lubnej obrączce. Jej obrączce. Jednak patrzeć na ten pierścienek, nie mogła przypomnieć sobie ani dnia, kiedy pierwszy raz miała go na ręce, ani mężczyznę, który wtedy odpowiedział „tak” i wsunął go na jej palec.

Myślisz, Marla, myślisz!

Nic.

Kompletnie nic.

Chciała jej się krzyczeć z bezsilnej złości.

Patrzyła na obrączkę tak jak wtedy w oczach Nicka Cahilla. Adnych nagłych jak błyskawica obrazów z przeszłości, adnych, choćby najbardziej niewyraźnych, zamglonych wspomnień, adnej reakcji poza ciekawość. Była ciekawa tego obcego mężczyzny. Swojego małżeństwa. Swoich dzieci. Siebie samej.

- A więc w końcu się pani obudziła. - Wysoki mężczyzna w okularach w drucianych oprawkach i białym kitlu pchnął drzwi i wszedł do sypialni. Był całkiem łysy, cienki, ciemny w słońcu dzielił jego policzki na pół. Marla miała wrażenie, że w jego małych ustach jest zdecydowanie za dużo zębów. - Pamiętasz mnie pani? - Dostrzegł konsternację w jej oczach i dodał szybko: - Proszę się tym nie przejmować. Po prostu czuję się wystarczająco amnezja. Wkrótce wszystko sobie pani przypomni... - Uśmiechnął się jakby chciał jej dodać otuchy. - Cóż, jestem doktor Robertson. - Pochylił się nad Marlą i



za wiecił jej w oczy punktowym wiatłem. - Jak si pani czuje?

- Okropnie - powiedziała szczerze. Nie widziała powodu, eby owija cokolwiek w bawełn .

- Wyobra am sobie. Szcz ka boli?

- Strasznie.

- Głowa?

Obejrzał czubek jej głowy.

- Boli jak wszyscy diabli.

- Jako temu zaradzimy. A teraz prosz mi powiedzie , co pani pami ta.

- Co pami tam? - Marla starała si nie mru y oczu, kiedy przesun ł wiatło z prawego oka do lewego.

- Jest a tak le?

Próbowała co sobie przypomnie , ale koncentracja wzmogła ból głowy.

- le. Powiedzie , e niewiele pami tam, byłoby bardzo optymistyczn wersj . - Z trudem wypychała słowa spomi dzy z bów, które wydawały si scementowane.

Lekarz wyprostował si , wył czył wiatełko i skrzy ował r ce na piersi.

- Prosz mi opowiedzie o sobie.

O rany. Musi pomy le . Pogrzeba gdzie bardzo gł boko.

- To... to takie dziwne. Wiem o pewnych rzeczach... na przykład... umiem czyta , rozumiem wszystko, chyba jestem niezła z matematyki, ale nie pami tam, ebym si jej uczyła. Lubi psy i konie, i pla e, i horrory... ale... - Przełkn ła lin i z trudem poruszyła wargami nad unieruchomionymi z bami. - Nie pami tam mojej rodziny ani moich dzieci, ani moich rodziców, ani nawet m a. - Głos jej si załamał, a w oczach błysn ły łzy. Nagle sama sobie wydała si ałosnym, nieszcz snym, godnym lito ci stworzeniem bez przeszło ci. Chciała zacisn z by, ale i tak ju były ze sob mocno zł czone.

- Prosz pami ta , e to nie jest anormalne -pocieszał j lekarz, sprawdzaj c puls, a potem odruchy. - Teraz prosz uj moje palce i cism je najmocniej, jak pani zdoła. - Wyci gn ł przed siebie wskazuj ce palce obu r k. Marla cism ła je z całej siły. - Dobrze, prosz pu ci . - Zanotował co w karcie. - A je li chodzi o pami , wszystko wróci. Miała pani wstrz s mózgu i była w pi czce przez dłu szy czas. Dla mózgu to szok. - U miechn ł si szeroko. - Ale wszystko powinno si pani przypomnie .

- Kiedy? - spytała gor czkowo. Tak bardzo chciała usłysze , e wszystko b dzie w porz dku.

- Tego, niestety, nie umiem przewidzie . - Doktor Robertson zmarszczył brwi i potrz sn ł głow .

Je li to nie nast pi szybko, pomy łała, strac rozum - a w ka dym razie to, co jeszcze z niego zostało.

- ałuj , ale nie umiem odpowiedzie na to pytanie.

- Ja równie .

- Musi pani uzbroi si w cierpliwo . Da sobie czas.

- Chyba mam ju do słuchania o czasie i cierpliwo ci?

- Mo e zna pani sama siebie lepiej, ni si pani wydaje.

- Problem w tym, doktorze - odparła Marla, patrz c mu prosto w oczy - e ja zupełnie siebie nie znam.

Zgodnie z zapowiedzi do pokoju wpadła piel gniarka, szybko obmyła Marl g bk i poprawiła po ciel. Wyszła, gdy tylko przybyła rodzina Marli w pełnym składzie. U miechy, u ciski i całusy ze strony tych ludzi wydały jej si wymuszone. Wszyscy bez wyjtku byli dla niej obcy. Marla u miechn ła si z przymusem, cho nie było jej wcale do miechu, i gor czkowo usiłowała przypomnie sobie tych ludzi, ale bez skutku. Tak jak wcz niej ich głosy, tak teraz twarze nie obudziły w niej adnych wspomnie .

- Jak dobrze, e znowu jeste z nami - powiedziała jej te ciowa, przykładaj c chusteczk do k cików oczu. Drobną kobietą o włosach ufarbowanych na kolor dojrziałych moreli.

Miała na sobie pantofle na wysokich obcasach w tym samym kolorze co torebka, popielaty wełniany kostium, perłowoszar, jedwabną bluzkę i długi szal w odcieniach złota i czerwieni.

- Dziękuj.

Eugenia odchrząknęła, wyraźnie wzruszona.

- Ten wielki dom bez ciebie wydawał się bardzo pusty.

Marla poczuła, że oczy jej wilgotnieją.

Cissy złożyła na policzku Marli obowiązkowy pocałunek i szybko się cofnęła. Wysoka jak na swój wiek, smukła i ubrana na czarno od stóp do głów. Miała lekko opaloną skórę, gdzieś poznaczoną wypryskami, których nie zdołała ukryć pod makijażem, i oczy obwiedzione grubymi czarnymi kreskami.

- Cześć - odezwała się niepewnie.

- Cześć. - To było wszystko, co udało się Marli wydobyć z pamięci ci o tych z bów. Ta dziewczyna jest jej córką? Dlaczego więc nic nie czuje, dlaczego nie ma żadnych wspomnień z niezłanych... zupełnie żadnych? Co stało się ze struną miłości macierzyńskiej w jej sercu? Dlaczego nie pamięta jej narodzin ani przewijania niemowlęcia, ani poobijanych kolan, ani wypadania mlecznych z bów, ani bólu, jakiego doznała, słuchając o jej pierwszej, dziewczęcej porażce? To wszystko musiało się wydarzyć, ale Marla nie mogła sobie przypomnieć niczego, co miało związek z jej życiem. Czuli wewnątrz pustkę. To było przerażające. Przerażające jak diabeł.

- Wiedziałem, że się obudzisz! - Głos Aleksa zagłuszył wszystkie dźwięki. Marla odwróciła głowę, spodziewając się zobaczyć kolejną obcą twarz, ale spojrzawszy na swojego męża, odniosła mgliste wrażenie, że już go kiedyś widziała - w ułamku sekundy przed jej oczami ukazał się niewyraźny obraz, który jednak natychmiast zapadł z powrotem w czarną otchłań niepamięci. - Och, kochanie, tak dobrze jest znowu ci

zobaczy ! - Pod rozpiętym płaszczem Alex miał na sobie granatowy garnitur.

Koś się paska wetknął do kieszeni. Był wysoki i dobrze zbudowany. Uśmiechał się szeroko, a jego szare oczy błyszczały radością. Przechylił się przez poręcz łóżka i gwałtownie chwycił ją w ramiona. - Ja strasznie... to znaczy my wszyscy strasznie się za tobą stęskniliśmy. - Miał niski, głębioki głos, pachniał dymem papierosowym i jak pił wódki po goleniu. Złoty na policzku Marli serdeczny pocałunek. Na Marli nie zrobiło to żadnego wrażenia.

O Boże, przecież nie może być aż tak płytka. Tak nie czuła. Piekące łzy napłynęły jej do oczu, zamazując wszystko wokół. Uniosła się trochę i przytuliła do niego, rozpaczliwie szukając w sobie choć cienia czułości, miłości czy poczucia przynależności. Mogła mieć tylko nadzieję, że wkrótce uczucia te wrócą wraz z resztą jej wspomnień. To wymaga czasu, powtarzała sobie, ale była coraz bardziej sfrustrowana. Marla zdała sobie sprawę, że cierpliwie nie należy w jej naturze. Była zadowolona, że udało jej się dowiedzieć czegoś o swojej osobowości, doszła jednak do wniosku, że to chyba nie jest dobra cecha charakteru.

Rozległ się ostry dzwonek telefonu i Alex zeszywniał.

- Wydałem polecenie, żeby nie nękanoci telefonami - powiedział, sięgając po słuchawkę.

Cissy siedziała pod oknem oparta o aparat do klimatyzacji, a Eugenia wyskubywała zeschłe kwiatki z kaktusa:

- Halo... halo? Kto mówi... cholera! - Rzucił słuchawkę.

- Nikt się nie odezwał? - spytała Eugenia i Marla nagle przeszedł dreszcz strachu.

- Na pewno pomyłka - powiedziała Cissy znudzonym tonem.

- Niemożliwe. Wszystkie połączenia przechodzą przez centralę. - Alex potarł szczękę i zmrużył oczy w zamyśleniu.

Eugenia przestała skuba kaktus. - Sprawdź to. Były jeszcze jakie telefony?

- Nie... o ile pamiętam tam, ale nie pamiętam tam wiele. - Twarz Marli wykrzywił grymas uśmiechu.

Alex westchnął.

- Tak, wiemy. Zanim przyszliście do mnie, rozmawialiście z Philem... twoim lekarzem... doktorem Robertsonem. Uprzedził nas, że przez jakiś czas amnezja może się utrzymywać. Ale w końcu powinna ustąpić.

- Powinna - powtórzyła Marla sarkastycznie. - Miejmy nadzieję.

- Nie przejmuj się. - Alex pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło. - Najważniejsze, żeby doszła do siebie. Phil uważa, że za kilka dni będzie mogła wrócić do domu.

Marli wydawało się, że zwariuje, jeśli spędzi jeszcze choć jeden dzień, lecz bezczynnie w łóżku.

- Nie. Chcę zaraz wrócić do domu. Jeszcze dzisiaj.

- Rozumiem, kochanie. Ale to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Robertson musi zrobić jeszcze parę rutynowych badań. Nic poważnego.

- Tak? Widać jest to dość poważne, skoro chce mnie tu trzymać - prychnęła Marla.

- Dopiero odzyskała wiadomość, kochanie - przypomniał jej.

- Chcę wracać do domu - powtórzyła. - Natychmiast.

Nikt się nie odezwał. Alex patrzył na Eugenię, która wyjmowała teraz zwińnięte róże z wazonu i wrzucała je do stojącego przy szafie kosza na śmieci. Cissy nagle bardzo zainteresowała się parkingiem i uparcie patrzyła w okno, unikając kontaktu wzrokowego z obiektem rodziców.

- Posłuchaj, kochanie. - Eugenia podeszła do łóżka. Jeszcze przed chwilą niemal płakała ze wzruszenia, teraz wydawała się twarda jak stal. - Kiedy poczujesz się lepiej,

wrócisz do domu, to oczywiście, ale najpierw musisz odzyska siły. - Czule dotkn ła r ki synowej, ale jej oczy za okularami w eleganckich metalowych oprawkach nakazywały Marli milczenie, zupełnie jakby wszyscy mieli wspóln tajemnic , o której tu, w szpitalu, nikt nie miał mówi . Mari znowu ogarn ło przera enie.

- Gdzie... gdzie jest moje dziecko? - spytała.

- W domu. Nie mogli my go tu przywie . Pediatra si nie zgodził -odparła Eugenia, a jej spojrzenie nieco złagodniało. - Zobaczysz je, gdy tylko wrócisz do domu.

- Kiedy?

- Wkrótce, kochanie. Kiedy lekarz uzna, e to mo liwe. Phil tak samo nie mo e si doczeka twojego powrotu do domu jak ty. Znamy go od lat.

Alex chciał to powiedzie ciepło, ale Marli wydało si , e dosłyszała w jego głosie fałsz, i zacz ła si zastanawia , czy on tylko próbuje j uspokoi , czy te nie chce powiedzie prawdy? W tej chwili wydał jej si nie szczery. A mo e to ona wpada ju w paranoj ?

- Znamy go od lat? Wi c dlaczego przedstawił si jako doktor Robertson? - spytała, usiłuj c zachowa spokój. Zaczynała odnosi wra enie, e cały wiat sprzysi gł si przeciw niej. Dobry Bo e, a mo e to choroba psychiczna? Przecie wydawało jej si , e kto stoi przy jej łó ku, czuła czyj obecno ... na lito bosk , czy naprawd traci rozum? Poczła, e poc jej si dłonie, e jest coraz bardziej zdenerwowana, ale musiała zapyta jeszcze: - Dlaczego nie przedstawił si jako Phil? Dlaczego nie przyznał si , e mnie zna prywatnie?

- Kto wie? Prawdopodobnie chciał si zachowa profesjonalnie, trzyma si jakiego standardu. Pewnie w szpitalu - Alex podniósł r ce, zaznaczaj c w powietrzu cudzysłów - zakłada „mask lekarza”.

- To dziwne.

- By mo e, ale tak jest.

Nie, ta droga prowadzi donik d. Marla czuła si zm czona. Znu ona. Jakby biegła w kółko na ci kich, ołowianych nogach. Alex musiał wyczu jej frustracj , bo znowu j obj ł.

- Wiem, e to wszystko ci wyczerpuje i rozstraja i e ci gle le si czujesz - powiedział, a Marli znowu łzy napłyn ły do oczu. - Ale musisz po prostu zwolni tempo, da sobie wi cej czasu. Wszystko b dzie dobrze - wyszeptał jej do ucha.

Chciała wierzy w jego słowa. O Bo e, gdyby patrzył umie w przyszło , a nie tylko prawil komunały, eby j uspoko i . Opanowała si jednak i obj ła go mocno za szyj . Ponad ramieniem Aleksa zobaczyła człowieka, którego widziała ju wcze niej, tego „banit ”. Stał, nieogolony, oparty o framug drzwi z dała od reszty rodziny.

Jego spojrzenie było utkwione w Marli.

Nie u miechał si , nie pocieszał jej, w ogóle si nie odzywał. Stał w swojej starej, skórzanej kurtce, z r kami zało onymi na piersi i obserwował czuł mał e sk scen , rozgrywaj c si na jego oczach. Ale co wła ciwie widział? Co sprawiło, e tak mocno zacisn ł z by?

Nagle Marla postanowiła, e musi zobaczy swój twarz. Czy chodzi o to, co kiedy wydarzyło si mi dzy nimi, czy o jej powierzchowno zmienion na skutek wypadku? Odwróciła wzrok, przeklinaj c W duchu własn głupot .

- Czy jest tu gdzie lustro? - spytała.

W pokoju zapadła głucha cisza.

- Czy kto ma przy sobie lusterko? - Marla spojrzała na Cissy, a potem na Eugeni .

- Lusterko? - Eugenia potrz sn ła głow . Jej rudawe loczki nawet nie drgn ły. - Tylko w pudernicze.

- Mog zobaczy ?

- Nie wiem, czy to dobry pomysł... - Eugenia była wyraźnie zdenerwowana i Marla zrozumiała, że widziała coś gorszego, niż się działo.

- Czy jest aż tak źle?

- Nie, kochanie, ale...

- Daj jej to lustro - wtrącił się Nick.

Marla dostrzegła w jego szaroniebieskich oczach przebiegłość gniewu.

- Tak, daj mi lustro... Jeśli go nie dostanę, to przejdę przez to cholernie porządnie i jakoś dojdę do umywalki. - Wskazała na szafkę nad umywalką i nacisnęła guzik. Wezłowiec ją unosił się wyżej.

- Ale kroplówka... Poza tym cię gdzie jesteście... - Alex wychylił rękę w stronę łóżka i Marla zdała sobie sprawę, że wskazuje woreczek na mocz, dyskretnie schowany pod pościel.

Poczuła, że krew napływa jej do twarzy. Jęknęła w duchu, ale tylko wzruszyła ramionami i spojrzała na niego twardo.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Daj jej to lustro - wycedził Nick przez zaciśnięte zęby.

Eugenia przełknęła ślinę.

- Cóż, to tylko kwestia czasu, wkrótce i tak będzie lepiej... ale to wymaga czasu... - Zaczęła grzebać w swojej torebce. - O, jest... - Wychyliła błyszczącą, złotą puderniczkę i podała ją Marli.

Cissy skrzywiła się, jakby rozboleła jej zęby.

Eugenia zesztywniała.

Alex odwrócił wzrok.

Tylko Nick nawet nie drgnął. Patrzył spokojnie, jak Marla drzcącymi palcami otwiera puderniczkę. Spojrzała w małe lustro.



O Bo e, pomy łała, wci gaj c powietrze przez zadrutowane z by. Było gorzej, ni przypuszczała. Nie tylko ca twarz miała opuchni t i pokryt ółtozielonymi i fioletowymi siniakami. Problem polegał na tym, e z lusterka patrzyła na ni twarz obcej kobiety.

## 4

Nick patrzył na Marl z zaci ni tymi z bami. Palcami r ki, do której nie miała przyczepionej kroplówki, delikatnie dotykała twarzy, muskaj c si ce i strupy, a nawet krótk szczecin , któr porosła ogolona wcz niej cz czaszki. Trzeba przyzna , e zniosła to dzielnie, nie rozplakała si , cho na pewno wiele j to kosztowało. Przełkn ła lin i powiodła koniuszkiem palca wzdu szwu widocznego w ród odrastaj cych włosów.

- O Bo e - szepn ła, mrugaj c oczyma, by powstrzyma ły. Szybko jednak wzi ła si gar . - Nie nadawałabym si chyba nawet na narzeczon Frankensteina... - Mówiła z trudem, niewyra nie. Starła si u miechn , ale bez skutku. Jej podbródek zacz ł dr e .

Nick nie był w stanie patrze na t kobiet , któr postanowił nienawidzi , która go wykorzystała, zdradziła, która została on jego brata.

- Wszystko b dzie dobrze - rzekł Alex, odbieraj c jej puderniczk i zamykaj c j z trzaskiem. - Musisz tylko da sobie czas.

- Wła nie. To minie. Za par miesi cy znowu b dziesz sob i b dziesz si z tego miała... - Eugenia u miechn ła szeroko, błyskaj c złotym z bem. - Tak jak my wszyscy.

- Nigdy nie b d si z tego miała - odparowała Marla.

- Nikt nie b dzie si z tego miał. - Alex rzucił matce ostrzegawcze spojrzenie.

Nick w duchu przyznał bratu rację. Jego zdaniem prawda była lepsza niż fałszywe nadzieje, a fakty mówiły same za siebie: Marla Amhurst Cahill omal nie zginęła, teraz wygląda upiornie i prawdopodobnie czuje się fatalnie. Jej droga do całkowitego wyzdrowienia będzie długa i wyboista.

- Nie... nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będzie sobie...  
Marla, wstrząsnęła, spojrzała na Nicka. Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, jakby tylko on jeden mógł to zrozumieć...  
- Nie wydaje mi się, abym była...

- Kim? - spytał Alex.

Marla przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą. Kiedy znowu napotkała wzrok Nicka, w jej oczach pojawiło się na ułamek sekundy coś, czego nie potrafił określić.

- Nie wiem, kim jestem.

- O kurde - mruknęła Cissy, na co Alex posłał jej spojrzenie, które mówiło wyraźnie: „Lepiej się nie odzywaj”.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział krzepiwo.

Nick nie wierzył w to ani przez chwilę. Nie będzie dobrze. Nigdy nie było. Patrząc na jej posiniaczoną twarz, czuł się trochę winny. Przez tyle lat myślał o niej z pogardą i odrazą, a teraz był świadkiem jej nieszczęścia i walki o zachowanie resztek godności.

Cissy udawała, że wygląda przez okno, w roztargnieniu przesuwając palcami po framudze, ale Nick prawie widział trybiki szybko pracujące w jej nastoletniej głowie. Kiedy ten oka obserwowała matkę. Tak, w tej małej główce na pewno działy się ciekawe rzeczy.

- Nie martw się, wszystko się ułoży. Wrócisz do domu, do dziecka...

do nas wszystkich. Sama zobaczysz. - Eugenia wzięła puderniczkę z ręk syna i wrzuciła ją do torebki.

Nick miał już tego dość. Chciał jak najszybciej wyrwać się ze szpitala. Tego dnia spędził już z rodziną więcej czasu, niż był w stanie znieść.

- Widziałam ci tu wczynie. - Marla znowu na niego patrzyła. Wytrzymała jej spojrzenie i krótko skinęła głową.

- Kilka godzin temu.

- Pamiętam - powiedziała z nutą dumy w głosie i zmarszczyła czoło. - Banita.

- Zgadza się. - Czy mu się wydawało, czy rzeczywiście w jej oczach pojawiło się coś jeszcze poza zwykłą ciekawością?

- Był tu jeszcze ktoś - stwierdziła.

- Ze mną? - Nick potrząsnął głową.

- Nie... nie... zanim przyszedł. Tak mi się przynajmniej zdawało... - Jej oczy zaszyły mgłą, odwróciła wzrok i spojrzała na kołdrę, która była przykryta. - Tak, jestem pewna. Był tu ktoś, ale się nie odezwał, tylko wszedł i... stał tutaj, koło łóżka... Och, do diabła, wiem, że to brzmi idiotycznie, ale było takie... takie realne...

- Bzdura. - Eugenia za nią miała się nerwowo, jakby chciała powiedzieć, że to głupi pomysł. - Pewnie pielgniarka.

- Nie - rzuciła Marla, sfrustrowana i zdenerwowana. - Może to był tylko sen... ale pamiętam... albo tak mi się wydaje... że byliście tu wszyscy i że słyszałam wasz rozmowę. - Zmarszczyła brwi i na jej twarzy, kiedy oszalała, pojawił się wyraz zamyslenia. - Byliście tu już kiedy... raz czy dwa... O Boże, nie mogą sobie przypomnieć. - Podniosła rękę, aby odgarnąć włosy z czoła i znieruchomiała, kiedy jej palce napotkały pozszywaną skórę po lewej stronie czaszki.

- Byliście tu wielokrotnie - oznajmiła Eugenia.

- A ty posłała Cissy po coś do picia. Po Sprite'a?

- Zgadza się. Tak było za którymś razem. - Alex kiwnął głową z uśmiechem, który Nickowi wydał się wymuszony. - Myślicie, że jesteście w piątku i że nas nie słyszysz.

Eugenia bawiła się nerwowo zapięciem swojej torebki, a zanim podniosła głowę, aby uśmiechnąć się ciepło do Marli,

k ciki jej ust na ułamek sekundy opadły w dół, jak zawsze, kiedy ogarniał ją niepokój.

- A wi c słyszała nas. Dlaczego nie reagowała ?

- Próbowałam. Ale nie byłam w stanie si poruszy .

- Nie przejmuj si tym.

- Ale niczego innego nie mog sobie przypomnie , ani wypadku, ani... ani niczego. - Ci gle trzymaj c Aleksa za r k , odwróciła si , eby spojrze na Cissy, która teatralnie przewróciła oczami. Patrzyła na ojca w sposób, który dobitniej ni słowa mówił, e chyba wszyscy ju powinni st d odej . Nick nie miał do niej o to alu.

Alex jednak zdawał si nie rozumie . Przysun ł si bli ej do ony.

- Posłuchaj, kochanie, nawet je li teraz niewiele pami tasz, to...

- Nie chodzi o to, e niewiele pami tam, Alex - przerwała mu Marla, z trudem wymawiaj c jego imi . - Ale o to, e nie pami tam zupełnie niczego, co wi załoby si z moim yciem, cho pami tam inne rzeczy -bardziej ogólne. Ale nie mog sobie przypomnie moich rodziców ani tego, kiedy mam urodziny, ani czy mam braci albo siostry, ani...

- Chcesz powiedzie , e nie pami tasz nas? - spytała Cissy, nagle wł czaj c si do rozmowy.

Marla nie odpowiedziała.

- To chwilowe - uci ł krótko Alex.

- Mam nadziej . - Marla spojrzała na m a, jakby szukaj c u niego odpowiedzi na dr cz ce j pytania i Nicka cisn ło w dołku. - Tak mi przykro z powodu tego wszystkiego... problemów i Pam... O Bo e, czuj si okropnie z powodu jej mierci.

- Pami tasz j ?

- Nie - szepn ła, staraj c si powstrzyma ły. - Nie pami tam wypadku... - Urwała, trac c panowanie nad sob .

- Wkrótce odzyskasz pamięć - powiedziała Eugenia.  
Marla spojrzała na te ciowki .

- Jesteś pewna?

- Nie, ale...

- Wiem, przestała opowiadać mi bajki, dobrze? Musz wyjść ze szpitala i w końcu co zrobi. Musz spotkać się z rodziną Pam. Chcę przypomnieć sobie was wszystkich.

Cissy zamrugnęła szybko powiekami i pocięła nosem, a potem odwróciła się, jakby zawstydzona.

Nick wolałby, gdyby z jakichś sobie tylko znanych powodów Marla bawiła się z nimi w kotka i myszkę, ale wydawała się absolutnie szczerą. Kiedy nie uwierzyłby, nie umiałby troszczyć się o kogośkolwiek poza sobą, ale może się zmieniła. Może wraz z pamięcią straciła też swój skłonność do manipulacji.

Albo robi ich wszystkich w konia.

Alex ujął on za rękę .

- Może chciałby teraz trochę odpocząć ?

- Tak, ale mam tyle pytań . Co się dzieje z moją rodziną ? Gdzie oni są ? - spytała. - Moi rodzice? Rodzice twoje? Musz chyba kogoś mieć ? Mieszkaj blisko czy daleko?

- Och, kochanie. - Alex nie kwapił się odpowiedzi . - Tyle musimy ci opowiedzieć , ale nie teraz.

- Dlaczego? - zapytała cicho, przygotowując się na najgorsze. - Czy oni wszyscy już nie żyją ?

- Nie, nie... tylko twoja matka, ale z ojcem nie jest najlepiej.

- Och. - Czuję w głowie zamęt. Posmutniała.

- Porozmawiamy o tym, obejrzymy razem zdjęcia, odwiedzimy twojego tatę , zrobimy wszystko, co zechcesz. Ale dopiero, jak wrócisz do domu, dobrze?

Marla nie odpowiedziała. Skuliła się pod kołdrę , wydała się teraz mniejsza, drobniejsza niż jeszcze przed chwilą . Nick wiedział, że to czyste szaleństwo, ale nagle miał ochotę j

pocieszy , powie , e wszystko jako si uło y, szybko jednak przypomniał sobie, gdzie jest jego miejsce. Poza tym mieli do czynienia z Marl , a ona zawsze sama sobie poradzi. A je li nie, to przecie ma m a.

Najwy szy czas sko czy t fars .

- Słuchaj, pojad ju - zwrócił si do Aleksa.

Ostatni raz spojrzął na kobiet le c w łó ku i wyszedł z pokoju. A teraz jak najdalej od rodziny. I od Marli. Bo e, musi od niej ucieka , jak najdalej.

Jednak współczuł jej, nic nie mógł na to poradzi . Kiedy była młoda, pi kna i seksowna -jak adna inna. A teraz jest tylko pacjentk szpitala, która powinna si cieszy , e w ogóle yje, i pogodzi z my l , e ju nigdy nie odzyska dawnej urody.

Cholera.

Wcisn ł guzik. Drzwi windy otworzyły si bezszelestnie i Nick omal nie wpadł na wysokiego, barczystego m czyzn w ciemnych okularach, z krótko przystrzy on brod i mocno zaci ni tymi, w skimi wargami. Miał na sobie sportow kurtk , d insy i trapey. Przeszedł koło Nicka, kulej c lekko, i min ł drzwi do pokoju Marli. Potem przyspieszył kroku.

Z jakiej niejasnej przyczyny Nick zawahał si i odwrócił. Czy ten człowiek zajrzał czasem do pokoju 505 i poszedł dalej, gdy zobaczył rodzin ? A mo e zamierzał odwiedzi kogo innego, kto tak e le y w tym skrzydle? Wydawał si znajomy, ale Nick nie wiedział, gdzie go mógł spotka .

To zreszt bez znaczenia. Na pewno poniosła go wyobra nia.

Znalazłszy si na parterze, Nick min ł główn recepcj i wyszedł na zewn trz. W wieczornym powietrzu zaczynała g stnie mgła, czuł na twarzy dotyk mi kkiej wilgoci. Spojrzął w gór , na pi te pi tro i odszukał wzrokiem pokój Marli. Cissy wci jeszcze siedziała w oknie, wygl daj c na parking, pewnie ałowała, e sama nie mo e zwia . Trudno jej si

dziwi . Nick wsiadł do swojej furgonetki i spojrzął na zegarek. Miał jeszcze par godzin.

Pomyślał, że powinien pojechać na miejsce wypadku, a potem obejrzeć rozbitego mercedesa. Przekręcił kluczyk w stacyjce.

Spoglądając przez ramię, dostrzegł na parkingu samochód, który biegł ciego niepewnym krokiem we mgle, tego samego, z którym prawie zderzył się przy windzie przed kilkoma minutami.

Nick ledził go przez chwilę, widział, jak wsiada do ciemnego jeepa. Zastanawiał się, po co ten ktoś wjechał na pięcie piętro szpitala tylko po to, żeby zaraz znowu zjechać na dół.

- Sam szukasz kłopotów - powiedział sam do siebie - a chyba masz ich dosyć.

Dwa dni później Marla szykowała się do opuszczenia szpitala. Doktor Robertson przeprowadził już wszelkie możliwe badania. Wyniki były zadowolające. Czekała już tylko na wypis, gdy drzwi jej pokoju otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

- Pani Cahill? - Jakiś mężczyzna wetknął głowę w szparę.  
- Jestem detektyw Paterno. Z Departamentu Policji San Francisco.

Marla przeszedł dreszcz. Policjant, ubrany w czarne spodnie i sportową koszulkę, z marynarką przewieszoną przez ramię, swobodnie wszedł do pokoju. Będzie mu zadawał mnóstwo pytań, pomyślała Marla. Pyta, na które ona nie zna odpowiedzi. Jej umysł rozjaśnił się trochę, ale ułamki wspomnień z przeszłości przypominały migotanie zapalniczki, w której ktoś czyścił gaz - rozjaśniły mrok zaledwie na ułamek sekundy i zaraz zgasły. Detektyw Paterno błysnął swoją odznaką, a Marli serce podeszło do gardła.

- Przykro mi, e niepokoj pani w szpitalu - przeprosił Paterno.

Gdy patrzył na ni gł bokimi piwnymi oczyma, z wyrazem zatroskania na psiej twarzy, wydawał si miłym facetem, ale Marla postanowiła mie si na baczno ci. Nie mogła zapomnie słów córki - e mo e zosta oskar ona o morderstwo, nieumy lne spowodowanie mierci czy Bóg wie co jeszcze. A policjanci celuj w wyci ganiu z ludzi tego, czego wła nie nie powinni mówi ... Bo e, sk d u niej to nastawienie? Detektyw przygl dał si jej podejrzliwie ciemnymi oczyma, których wyraz wcale nie pasował do twarzy „równego go cia”. - Pomagam kalifornijskiej drogówce przy dochodzeniu w sprawie wypadku. Prosz powiedzie , co pani pami ta.

- Nie zabierze to wiele czasu - mrukn ła Marla.

Nie zwracaj c uwagi na sarkazm w jej głosie, policjant poło ył dyktafon na stoliku obok pudełka z chusteczkami i no ycami do ci cia drutu, a potem otworzył notatnik.

- Prosz mówi o wszystkim, co sobie pani przypomina. - Pachniał deszczem i owocow gum do ucia, któr powoli obracał w ustach.

Miał czarne, kr cone włosy, gdzieniegdzie przyprószone siwizn . Był niski i kr py, a nad paskiem u spodni formował si ju niewielki brzuszek.

- Sprawa jest prosta - odparła. - Nie przypominam sobie niczego.

- Niczego?

- Nie rozmawiał pan z moim lekarzem?

- Tak, wspominał o amnezji. - Czy w oczach policjanta nie kryło si przypadkiem niedowierzanie? Jeszcze jeden cyniczny gliniarz.

- To prawda i bardzo mnie to m czy - dodała Marla, podwijaj c r kawy koszuli. - Prosz wierzy , e chciałabym panu pomóc, ale wła ciwie nic nie wiem. - Westchn ła i



spojrzała na nadgarstek, na którym miała szpitalną bransoletkę identyfikacyjną.

- Nie pamięta pani nawet, co wyskoczyło przed maską pani samochodu i spowodowało, że skręciła pani tak gwałtownie?

- Nie. - Marla próbowała się skupić, ale natychmiast rozboleła jej głowa.

- Jechała pani drogą numer 17 przez góry Santa Cruz. Ze ładów na asfalcie wynika, że zobaczyła pani coś i wcisnęła hamulec. Może to była ta ciarówka, albo jele, albo... - Urwał, patrzcie na niego wyczekujcie coś.

- Nie rozumie pan, panie Paterno - powiedziała Marla, starając się pohamować rosnące zniecierpliwienie. - Ja nie pamiętam tam nawet własnego imienia - ani moich dzieci, ani mojego męża... nic. Tylko od czasu do czasu miałam takie przebłyski... nic nie znaczące... na przykład jaka scena ze starego filmu, reklama telewizyjna... nic poza tym.

„To bardzo wygodne” mówiło spojrzenie policjanta, który milczał, ujęty w gumę.

- Cóż, skoro już tu jestem, to może porozmawiamy o tym, co wiemy? - Uniósł pytańczo brzozę i Marla skinęła głową. - Była pani z Pam Delacroix.

- Tak mi powiedziano.

- A zna pani z...?

- Mój mąż twierdzi, że była moją przyjaciółką. Ale...

- Ale pani tego nie pamięta.

- Zgadza się. - Zmarszczyła brwi, zła na samą siebie. - Chyba powtarzam się jak zdarta płyta.

- Owszem.

Marla popijała sok ze szklanki, a policjant niezmiernie zadawał dalsze pytania. Nie umiała odpowiedzieć na żadne z nich. Na korytarzu klekotały szpitalne wózki, słychać było rozmowy, dzwonił dzwonek windy. W pokoju 505 panowała napięta atmosfera. Marla drażniła postawą policjanta.

Detektyw Paterno zachowywał się tak, jakby celowo spowodowała wypadek, w którym sama omal nie zginęła.

- Wie pan, to zaczyna przypominać inkwizycję - powiedziała w końcu. Przez chwilę bawiła się słomką, potem odstawiła szklankę na stolik.

- Próbuj się tylko zorientować w sytuacji.

- Naprawdę nie jestem w stanie panu pomóc. - Marla czuła narastające zmęczenie, rozboleły jej plecy i głowa.

- Prowadziła pani samochód Pam Delacroix?

- Chyba tak. Wszyscy tak mówią, więc zakładam, że to prawda - zniecierpliwiła się Marla. - Czy przypadkiem nie powinien pan poinformować mnie o moich prawach? I pozwoli porozmawiać z moim adwokatem? Tak się mówi?

- To pani pamięta?

- Już mówiłam... pamiętam tam dziwne rzeczy. Może widziałam taką scenę w którymś odcinku filmu... jaki on miał tytuł..

- Policjanci z Miami? Crime Story?

- Nie wiem... nie pamiętam...

Policjant spojrzał na nią uważnie, nie bystrzymi, inteligentnymi oczyma.

- Naprawdę chce pani wezwać adwokata? Nie przyszedłem tu, żeby pani aresztować.

- Nie mam nic do ukrycia.

Albo tego nie pamiętam, chciała powiedzieć, ale ugryzła się w język. Teraz pragnęła tylko, żeby ta rozmowa się skończyła, żeby mogła zamknąć oczy, żeby lek zaczął działać i żeby ten koszmarny ból pulsujący pod czaszką przestał. Chciała poczuć, że znowu sprawuje kontrolę nad swoim życiem. Chciała się pozbyć wrażeń, że w powietrzu wiszą nie zadane pytania, zbyt głośno, żeby je głono wypowiedzieć.

- Dobrze. - Paterno zawziął się gumą. - A ta ciarówka, która pędziła na pani? Zjechała się, zjechała z drogi po drugiej stronie zjechała, a kierowca - Charles Biggs -

le y w innym szpitalu, umieraj c z powodu oparze . Mamy nadzieję , e odzyska przytomno i co sobie przypomni.

Marli zrobiło si zimno.

- Biedny człowiek - szepn ła, odwracaj c głow do okna. Dzie powoli szarzał. Nagle jej własny los przestał si wydawa tak straszny.

Modliła si , eby to nie ona była odpowiedzialna za wypadek, eby nie jej lekkomy lno czy nieuwaga spowodowały mier przyjaciółki, której teraz nawet nie pami tała, i cierpienia tamtego Bogu ducha winnego człowieka. Zacz ło j ogarnia przygn bienie. A je li si oka e, e ten straszny wypadek nast pił z jej winy? Jak zdoła z tym y ? O Bo e, nie... prosz , nie. Nie b d w stanie y z takim brzemieniem... Przełkn ła lin i skarciła si duchu za to u alanie si nad sob .

- Prosz mi powiedzie , co zdarzyło si tamtej nocy. - Doszła do wniosku, e woli najgorsz nawet prawd od ocenzonej wersji rodziny. Spojrzała twardo na policjanta. - Chc zna prawd .

- Prawd , cał prawd i nic, tylko prawd ?

Co to miało by , jaki kiepski art? Wzruszyła ramionami.

- No... chyba tak.

- To stary, telewizyjny frazes dotycz cy procedury s dowej - wyja nił.

Marla zdała sobie spraw , e ciekaw był jej reakcji. Sprawdzał, ile

rzeczywi cie pami ta. Tak jakby jej nie wierzył. Po co jednak miałaby udawa amnezj ? Czy było co , czego o sobie nie wiedziała? Co , co budziło jego nieufno ?

Paterno usiadł na jedynym plastikowym krze le stoj cym w k cie pokoju.

- Ze ładów hamowania na drodze wynika, e jechała pani mercedesem Pameli Delacroix na południe, prawdopodobnie do Santa Cruz, gdzie córka Pameli, Julie,

uczyszca do college'u. Jadąc pod górę, skręciła pani gwałtownie za zakrętem. Ciarówka, nadjeżdżająca z przeciwnej strony, zaczęła hamować, aby uniknąć zderzenia z panią – albo z czymś, na co pani nie chciała wpaść. Złoty samochód przeleciał przez barierkę po jednej stronie drogi, a pani samochód po drugiej. Pamela nie zapisała pasa. Wypadła z samochodu i złamała kręgosłup. Zginęła na miejscu. - Marla zadrżała z przerażenia. W jej gardle wyrosła twarda kula. - Ciarówka, staczając się z boczem, uderzyła w drzewo i eksplodowała. Ktoś dostrzegł wybuch i zadzwonił na 911. Chwilę później pojawili się pierwsi wiadkowie, starsze małżeństwo jadące samochodem na północ.

Marla zamknęła oczy. Była wstrząsnięta. Nagle cała scena stanęła przed oczami jak żywa. Pod powiekami czuła pieczenie, ogarnęły ją mdłości, miała ochotę wymiotować.

- Tak mi przykro - powiedziała nieznacznie.

- Mnie również.

Marla dostrzegła w oczach detektywa niedowierzanie, wycierając spod maski uprzejmość. Jeszcze jeden gliniarz, który wiele w życiu widział.

Paterno wstał i położył wizytówkę na stoliku. Wyjął czytelny dyktafon i schował go do kieszeni.

- Na dzisiaj to wszystko. Jeśli coś pani przypomni, proszę o kontakt.

- Oczywiście - obiecała.

Nagle zorientowała się, że w półotwartych drzwiach ktoś stoi. Była tak pochłonięta rozmową z Paterno, że nie zauważyła przyjazdu Nicka. Nie miała pojęcia, od jak dawna tu jest i co zdążył usłyszeć.

- Czy podczas rozmów z policją nie powinien jej towarzyszyć adwokat? - spytał Nick, wchodząc do pokoju.

Jego czarne włosy lśniły, jakby przyszedł z deszczu. Spojrzał Marli prosto w oczy. Na ułamek sekundy serce stanęło

jej w piersi. Nick przeniósł wzrok na detektywa. Paterno zamknął notatnik i wsunął go do kieszeni.

- Mówiłem już o tym z pani Cahill. Nie jest o nic oskarżona.

- Alex wspominał o nieumyślnym spowodowaniu morderstwa.

Marla zdrętwiała. Strach ciął jej krew w żyłach. Czy to może być liwe?

Sądzi pani?

- Jeszcze nie wiemy, co się wydarzyło rzeczywiście. - Detektyw potarł twarz dłoni. - Pan jest mężem pani Cahill?

- Nie - odparł Nick szybko, rzucając okiem na Marla, która nagle zdała sobie sprawę, że w tym prostym stwierdzeniu coś się kryje. - Jestem jej szwagrem. Bratem jej męża.

Wyciągnął rękę do detektywa. Paterno ujął ją w swój drobny dłoń i krótko uciśnięt.

- Mieszka pan w Oregonie, prawda?

- W Devil's Cove - odparł Nick bez cienia uśmiechu. - Proszę nawet nie pytać, gdzie to jest. To nazwa prawdopodobnie wymyślona przez pijaka lub marynarza.

- Przyjechał pan zobaczyć się z rodziną?

- Tak, rodzina uczyła się, ebym przyjechał. Interesy.

- A nie z powodu tego wypadku?

- Owszem, także z tego powodu. - Twarz Nicka była nieruchoma jak maska, pozbawiona ładnych emocji. Popołudniowy zarost ocieniał mocno zarysowany podbródek.

Paterno przez chwilę miarowo ugiął gumę, przetrawiając informacje. Potem zgiął tym palcem postukał w blat na stoliku wizytówek i spojrzał na Marla.

- Proszę pamiętać - jeśli tylko coś pani przypomni, proszę o kontakt.

- Tak, oczywiście - powiedziała Marla i rzeczywiście miała taki zamiar. Nawet jeśli prawda mogła się okazać bolesna, to i tak chciała ją poznać. Miała do niego pewno ci.

Kiedy Paterno wyszedł, Nick starannie zamknął za nim drzwi. Teraz już żadne drzwi nie docierały z korytarza.

- Dlaczego to robisz? - spytała.

- Chcę mieć pewność, że nikt nas nie usłyszy. - Jego oczy pociemniały, na twarzy pojawiło się napięcie.

Serce Marli zabiło mocniej. Popatrzyła na Nicka i napotkała poważne, intensywne spojrzenie niebieskich oczu.

- Zachowujesz się, jakbym była przestępcą. - Odgarnęła z twarzy pasmo włosów i dotknęła ogolonej skóry na głowie. - Albo jakbyś ty nim był.

Zmrużyła oczy i szpitalny pokój nagle wydał jej się za mały, zbyt intymny.

- Chcę tylko, żeby była ostrożna.

- Posłuchaj, Nick, doceniam twój trosk. Ale daj spokój tym filmowym zagraniam. Nie mam nic do ukrycia.

Skąd wiesz? Nie powiedział tego, ale Marla wiedziała, co myślał.

Zmęczona, obolała, skołowana, miała już dość pytań, szpitala, drutów w ustach i własnej niewiedzy. Poza tym bardzo drażniło ją, że wszyscy, z którymi rozmawiała, byli jej obcy.

- Tak myślałem. - Nick założył ręce na piersi, oparł się o szafę.

Wtedy i patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem. - A więc dochodzisz do siebie.

Lekarz powiedział, że dzisiaj opuszczasz szpital. Lepiej się już czujesz?

Marla potrząsnęła głową.

- Prawdę mówię ci, chciałabym teraz wziąć tabletkę aspiryny. Wielko ci Nowego Jorku.

- Zobacz, co da się zrobić - powiedział, ruszając w stronę drzwi.

- Zaczekaj - zatrzymała go. Nie chciała, eby teraz wyszedł... było tyle rzeczy, których nie wiedziała, nie rozumiała.

Nick stan ł z r k na gałce.

- Dlaczego mam wra enie... sama nie wiem... e mi nie ufasz? e wiesz co , czego ja nie wiem? - Zamilkła na chwil .  
- To znaczy, wszyscy wiedz wi cej ni ja, ale... tobie chodzi o co innego.

Nick uniósł jedn brew i spojrzał na ni lodowato.

- Co masz na my li?

- Ty mi powiedz - odparła. - Ty wiesz, a ja nie.

Potał palcami jednodniowy zarost na brodzie, spogl daj c na Marl spod oka, jakby... jakby jej nie wierzył.

- Przyjechałem tu, poniewa Alex mnie o to poprosił - powiedział powoli. - Lepiej, eby my na razie nie wchodzili w adne... ci kie tematy.

- Dlaczego?

- Bo to nie ma sensu.

- Pozwól, e ja to oceni .

Nick zacisn ł z by, patrz c na ni uwa nie, jakby chciał pozna jej reakcj .

- Dobrze, Marla, skoro nalegasz - rzekł chłodno. - My, to znaczy ty i ja, byli my kochankami.

- Co? - wykrzykn ła.

Nie, nie, nie... na pewno nie! To niemo liwe. Miała romans z bratem swojego m a? A jednak musiała przyzna , e było w nim co atrakcyjnego... poci gaj cego.

- Nie przejmuj si tym. To stara historia - dodał Nick. - Rzuciła mnie dla Aleksa.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Słyszała przyspieszone bicie własnego serca. Chciała zaprzeczy , ale wyraz jego ciemnych oczu, otwarto , jak w nich dostrzegła, przekonały j , e to prawda. Opadła na poduszki. Zrobiło jej si słabo.

- Kiedy to było?
- Piętnaście lat temu.
- A potem? - spytała.
- Nic.

Odetchnęła głębiej.

- Pytała - przypomniał jej.
- Tak, wiem.

Poczuła mdło ci. Kim ona właściwie jest? Jakim jest człowiekiem? Po raz pierwszy, odkąd wyszła ze szpitala, nie była pewna, czy rzeczywiście chce sobie wszystko przypomnieć.

- Umawialiśmy się na sto kawałków - powiedział, ciskając w zdenerwowaniu słuchawką automat. Mokre ulice nabrzmiały w świetle latarni. W słonej wodzie mieszała się wiejący zapach deszczu. - Dwadzieścia pięć nie załatwia sprawy.

- Nie zginiła - brzmiała chłodna odpowiedź. - Umawialiśmy się, że ta kobieta nie przeżyje wypadku.

- Umawialiśmy się, że w samochodzie nikogo poza nią nie będzie - przypomniał. - Czekałem na resztę pieniędzy.

Samochody z cichym szumem mijały budki telefoniczne. Z okna stojącego nieopodal budynku ktoś wyrzucił tacy się niedopałek papierosa. W ciemności rozlegała się głośnie na heavymetalowa muzyka. Perkusja chwilami zagłuszała wszystkie dźwięki dookoła.

- Dostaniesz pieniądze. Ale ona ma umrzeć. I to ma być wypadek.

- Mogłbym iść z tym na policję.
- Nie ma sprawy.
- Zrobi to.
- Z tym wszystkim, co masz na sumieniu?

Cholera. W głosie tego drania nie było cienia strachu. Zza rogu wyjechał wóz policyjny, rozchlapując wodę z kału.



Zwolnił przy krawniku. Odruchowo skrył twarz. Wilgo przenikała go do szpiku kości.

- Dostaniesz pieniądze, gdy tylko wywiessz się z umowy. I żadnych numerów. Zrozumiano?

- Tak, tak. - Na razie musi się zgodzić i potakiwać, za głębokogręzi w tym gównie. Poza tym miał w tym też swój prywatny interes. Ta kobieta zdecydowanie zaślę sobie na mier. - Podaj mi jakiś numer, pod którym będzie mógł ci zastać. - Zaczynało mu cieknieć z nosa. Wytrzeł go rękawem.

- Nie. Ja się z tobą skontaktuję.

- Ale...

Trząsk odkładanej słuchawki. Połknięcie zostało przerwane.

- Ty sukinsynu. Ty cholerny sukinsynu. - Zaciśniętą zębami rzucił w cieknącą ci słuchawkę. Sprawdził, czy automat przypadkiem nie zwrócił monety, choć nigdy się to nie zdarzało, wsadził ręce do kieszeni i wyszedł na deszcz, wtulając głowę w ramiona. Wsiadł do jeepa. Mimo że kostka wciśnięta go bolała, pomyślał z satysfakcją, że tamten draństwo dostanie za swoje. I to już wkrótce.

W oknach tawerny na rogu była niła reklama Budweisera. Zawahał się, po czym doszedł do wniosku, że zaślę się na drinka. I na kobietę - wystarczy pierwsza lepsza dziwka.

Po rozmowach z bogatymi sukinsynami zawsze miał ochotę się napić.

Kiedy planował, że ich załatwi, zawsze miał ochotę na szybki numerek.

## 5

Pamiętam tam to miejsce - szepnęła Marla, kiedy Bentley wspinał się w skałę, krętu drogę na szczyt Mount Sutro. Kiedy dostrzegła zarys domu stojącego w najlepszym punkcie tej

presti owej dzielnicy, jej serce podskoczyło z rado ci. Tak, tak, tak! Była tu ju kiedy , na pewno.

Odk d opu ciła szpital, była w kiepskim nastroju, teraz jednak poczuła si troch lepiej: od czasu do czasu pami podsuwała jej jednak jaki niewyra ny obraz, jak zamglon scen z przeszło ci. Obr czka... spojrzła na r k i zmarszczyła brwi, nie pami tała brylantu ozdabiaj cego teraz jej palec, ale inny, du o skromniejszy pier cionek. Pami tała spacer y po pla y i konne przeja d ki... tak, tak, tak. Niewiele znacz ce strz py wspomnie , ale wspomnie z jej przeszło ci, z jej ycia.

Pół godziny temu, kiedy wstawiała ze szpitalnego wózka, ogarn ł j dziwny l k, który nie ust pił nawet wtedy, gdy Alex pomagał jej wsi do luksusowego, wybitego skór wn trza bentleya. Szofer, pot ny blondyn o zimnych niebieskich oczach i dziwnym u miechu, przytrzymał drzwi. Lars Anderson. Typ nordycki. Milcz cy, szorstki, jak czarny charakter z filmu o Jamesie Bondzie. Zgodnie z tym, co mówił Alex, „od lat” pracował dla rodziny. W małej czapeczce, z troch upiornym u miechem przylepionym do twarzy przejechał cał drog ze szpitala, mijaj c bujn ziele parku Golden Gate i bajkowe wiktoria skie kamieniczki Haight Ashbury, a w ko cu dotarł pod t fortec .

Pod dom.

Elektronicznie sterowana brama otworzyła si z cichym szmerem i w mi kkim wietle zmierzchu wielka posiadło zal niła dziesi tkami okien. Stare rododendrony i azalie rosły wzdłu kamiennych cie ek i schodów prowadz cych na próg wielkiego, ceglanego domu, który wydał si Marli znajomy.

- Pami tam to - wyszeptła ze łzami w oczach, czuj c, e zachowuje si jak ostatnia idiotka.

- Naprawd ? - Alex u miechn ł si szeroko, ale w jego oczach nie było ciepła, jakby nie bardzo w to wierzył.

- My lisz, e mogłabym udawa ?

- Nie, oczywiście, nie. - Rozparty obok niej na tylnym siedzeniu Alex ujął ją natychmiast za rękę i cisnął lekko. Niestety, nadzieja na szybkie odzyskanie pamięci rozwiązała się, kiedy Lars wprowadził samochód do gara u podbudynkiem. Marla nie przypominała sobie tego miejsca. Wewnątrz stał już srebrny jaguar, było to miejsce na trzeci samochód - niewątpliwie należał do niej.

- Gdzie jest...

- Twoje Porsche jest w warsztacie. Czeka na chwilę do wymiany.

- Wiąca ją do Porsche?

- Jesteż - odparł Alex. - I znowu będziesz nim jeżdżić. Gdy tylko poczujesz się lepiej, a twój samochód wróci z warsztatu. Ale może będziesz wolała trochę z tym zaczekać... ten wypadek...

Marla zadrżała. Gdyby mogła jeszcze raz przeżyć tamtą noc...

- A jeżeli zechce konie, jeźdźcy powioz...

- Słucham? - spytał Alex.

- Och, nie. Moja matka tak mawiała...

Tak! Matka, której zamglony, niewyraźny obraz zachowała jednak w pamięci.

- Pamiętasz ją?

- Tak... nie, niezupełnie, ale na pewno już niedługo przypomni sobie więcej.

Alex sięgnął do kieszeni po papierosa.

- Mówiła, że ona nie żyje.

- To prawda... Zmarła dawno temu.

Jaka szkoda, pomyślała. Tak bardzo byłaby mi teraz potrzebna. Tak jak i twoim dzieciom, dodała w duchu. Lepiej idź do domu i zajmij się nimi. Serce zabiło jej mocniej na myśl o małym Jamesie. Tak bardzo chciała go zobaczyć, przytulić, a jednak nie mogła sobie przypomnieć jego małej twarzyczki. Piękna matka z ciebie, nie ma co.

Zrobiło jej się dziwnie smutno, ale otrząsnęła się z przygnębienia. Lars wyjął kluczyk ze stacyjki i otworzył przed nią drzwi samochodu. W garażu unosił się lekki zapach benzyny, oleju i kurzu. Lars podał jej rękę i Marla wysiadła. Czuli się niezręcznie, jakby nigdy przedtem nie pomagał jej wsiadać do samochodu.

Bo niby czemu miałyby jej pomagać? Pewnie zawsze sama prowadziła.

- Dzięki - mruknęła odruchowo i zobaczyła błysk zdumienia w jego szeroko rozstawionych oczach.

- Teraz, do windy - przypomniał jej Alex, kiedy zaczęła bezradnie rozglądać się po betonowym garażu.

Patrzyła na kołpaki i naraz działo się one na stole w przyległym pomieszczeniu. Nigdy wcześniej tu nie była i to sprawiło jej udręk.

Ale przecież pamięta ten dom! Od razu go poznała! Nie ma się czym martwić.

- Chcesz od razu pójść do swojej sypialni i położyć się spać? - spytał Alex.

Marla potrząsnęła głową.

- Przede wszystkim chcę zobaczyć dziecko - rzekła, idąc za nim do windy.

- Mały na pewno śpi.

- Chcę go zobaczyć. Zaraz. - Spojrzała mężczyźnie w oczy. - Rozumiesz to, prawda?

- Oczywiście. Ale pomyślałem, że najpierw zechcesz zobaczyć dom, przypomnieć sobie, gdzie co jest, a poza tym...

- W tym momencie drzwi windy się otworzyły i Alex szybko zgasił papierosa. Wszedł za Marlą do rodzka i nacisnął guzik trzeciego piętra.

- Co poza tym?

- Nic. - Zaciśnięte usta, jakby coś rozdrażniło.

- Chciała coś powiedzieć - nalegała Marla, choć znowu rozboleła jej szyja.

- Cóż, b dzie ci przykro, je li go nie poznasz - tłumaczył powoli, jak dziecku. - Albo, co te jest mo liwe, on ci w pierwszej chwili odrzuci... chodzi mi o ciebie, o twoje samopoczucie...

- Czuj si doskonale - rzuciła Marla. Irytuj ce, e wszyscy traktuj j jak wra liw, cieplarnian ro link - cho, prawd mówi c teraz, musiała si oprze o ciank windy, bo ju czuła si wyczerpana. Do diabła z tym wszystkim. Nie wiedziała o sobie wiele, ale jednego była pewna -nigdy nie zaliczała si do mi czaków. - Idziemy zobaczy naszego syna.

- Jeste pewna, e to dobry pomysł...?

- Poka mi, gdzie jest - uci ła krótko.

Jejm nie odezwał si ju ani słowem i reszt podró y star wind odbyli w milczeniu. Marla zaraz po ałowała, e była taka nieprzyjemna. W ko cu on tylko si o ni troszczy. To nie jego wina, e straciła pami .

Na trzecim pi trze wyszła z windy na wyło ony dywanem korytarz, otaczaj cy centralnie poło one schody. Alex zaprowadził j pod podwójne drzwi.

- Nasz apartament - powiedział, wchodz c do salonu z kominkiem, kanap i stolikiem, przy którym stały dwa fotele. - Tu jest moja sypialnia - wskazał drzwi po prawej stronie - a to twoja. - Otworzył drzwi i wprowadził j do du ego, jasnego pokoju, w którym dominował granat, odcienie be u i brzoskwini. Ło e z palisandru, z koronkowym baldachimem, było najwi kszym meblem w pokoju. Poza nim stała tam jeszcze mała biblioteczka pełna oprawnych w skór tomów, a na dwóch stolikach wazony ze wie o ci tymi kwiatami. Na cianie wisiały zdj cia w złożonych ramkach, cały pokój sprawiał wra enie urz dzonego na pokaz, jakby w drzwiach miał wkrótce zawisn sznur, zza którego wycieczka z przewodnikiem b dzie go pó niej podziwia .

- Ty i ja... my... nie pimy ze sob ?

- Ju niezbyt cz sto. - Alex poluzował w zeł krawata i rozpi ł górny guzik koszuli. - Czasami oczywi cie tak, ale na ogół nie.

- Nie wydaje ci si to dziwne? - Znów rozboleła j głowa.

- Nie, chyba nie. Jeste my mał e stwem od tak dawna. Tak wyszło. -Wzruszył ramionami. - To nie takie złe. Ka de z nas ma swoje własne ycie.

- Ale udało nam si pocz dziecko. - Co tu nie pasowało.

- Tak. - U miechn ł si i pod warstw wytwornych manier Marla dostrzegła lad chłopci cego wdzi ku. - To nam si udało. Chod . Masz racj , ju czas, eby zobaczyła tego małego diabełka. - Poprowadził j do znajduj cych na ko cu sypialni podwójnych oszklonych drzwi. Za nimi znajdował si malutki pokoi pomalowany na niebiesko. ciany do połowy wysoko ci pokrywała tapeta z motywem zwierz t i Arki Noego.

Ten pokój wydawał si zamieszka ny i ciepły. W sam raz dla małego dziecka. W k tach upchni to mi kkie poduchy i pluszowe zwierz ta, na półkach stały zabawki, a w półmroku l niła lampka nocna w kształcie Arki.

Z łó eczka dochodziło ciche posapywanie. Marla, zdenerwowana i wzruszona, podeszła bli ej. W łó eczku spało niemowl , le c na plecach, ze zgi tymi nó kami i r czkami zaci ni tymi w pi stki. Jego główk pokrywał ledwo widoczny, rudobr zowy puch. Małe usteczka poruszały si , jakby co ssały.

Poczuła dziwny ucisk w sercu, ale nie była to miło matki, lecz rozpacz. Jak to mo liwe, e ten mały cherubinek nie zostawił adnego ladu w jej pami ci? Dlaczego nie mo e przypomnie sobie niczego, co miałoby z nim jaki zwi zek? Zamrugowała szybko powiekami, chc c powstrzyma łzy. Ostro nie wzi ła na r ce otulone kocykiem dziecko.

To jest twój syn, Marla! Twój syn! Ta my i była zarazem cudowna i przerażająca. Co ona włą ciwie wie o dzieciach? Wygląda na to, że jedno już odchowiała, ale teraz nie potrafiła odnaleźć w sobie żadnych zwiastujących z tym macierzyńskich uczuć.

James sapnął cicho, kiedy przytuliła go do piersi. Tak dobrze było go trzymać, tulić do siebie, a jednak co... co, co kryło się na krawędzi pamięci, nie dawało jej spokoju.

Dziecko obudziło się, otworzyło oczy i zeszywniało. Popatrzyło na nią okrągłymi oczami.

- Cześć, malutki - szepnęła Marla, czując, jak jej serce wzbiera matczyną dumą. To dziecko było czymś takim... tak cennym.

Mały zamrugał, a potem, jakby jej posiniaczona twarz wydała mu się przerażająca, otworzył usta i uderzył w płacz. Mała twarzyczka poczerwieniała z wysiłku. Krzyczał, ile tchu w małych płucach.

- Cicho, cicho, malutki - szepnęła, głaszcząc jego małą główkę. - Już dobrze.

James był innego zdania. Zrobił się zupełnie sztywny i milkł tylko dla zaczerpnięcia oddechu.

- Tego się włą nie obawiałem - powiedział Alex. Po raz pierwszy wyglądał tak, jakby nie miał pojęcia, co robi. - Zawołałam niani.

- Nie - Marla usiłowała zachować spokój. To jej dziecko. Jej. Ma prawo je wziąć na ręce, zbudzić, próbować nawiązać z nim kontakt. - Cicho, kochanie. Mama jest tutaj i zaraz wszystko będzie dobrze - przemawiała do dziecka, przez ciemne drutem zbudzone.

Gdzieś na drugim końcu wielkiego domu pies zaczął szczekać jak oszalały.

- Coraz lepiej - mruknął Alex, przeczesując włosy palcami. - Wiedziałem, że lepiej go nie budzić.

Nie zwracaj c uwagi na m a, Marla kołysała si powoli z boku na bok.

- Spokojnie, James - mówiła, cho nie miała poj cia, o co mo e chodzi jej własnemu synowi. Mo e jest głodny? Mo e ma mokro i trzeba mu zmieni pieluszk , a mo e tylko jest pi cy i zły, e go obudzono? W głowie jej dudniło, ale postanowiła, e nie podda si teraz bólowi. -Zajm si tob , malutki - obiecała i podeszła do stolika, opuszczaj c kocyk na podłog . Poło yła małe ciałko na materacyku i zacz ła niezdarnie rozpina pi amk . James darł si bez przerwy i tak gło no, e zbudziłby umarłego.

- Id , ju id , Jimmy, male ki. Ju id ... - rozległ si jaki obcy głoś.

- Bogu dzi ki - mrukn ł Alex pod nosem.

Drzwi otworzyły si gwałtownie i do pokoju wpadła drobna, młoda kobieta o kr conych, rudych włosach, w okularach na ko cu nosa. Spojrzała pogardliwie na Marl , odsun ła j na bok i bez słowa przeje ła inicjatyw .

- Ja si nim zajm - powiedziała wynio le, jak kto , kto zna swoj pozycj .

- A kim...

- Jestem Fiona. Niania. Nie poznaje mnie pani?

Nie, Marla oczywi cie jej nie poznała i patrzyła zakłopotana, jak ta obca kobieta o płomiennych włosach, du ych z bach i bladej, piegowatej twarzy sprawnie zajmuje si jej synem.

- Przykro mi, tak niewiele pami tam - powiedziała Marla. Ból głowy stawał si nie do zniesienia.

- Słyszałam. Wszyscy my si tu zamartwiali - odparła Fiona. Miała lekki angielski akcent. - Ale niech si pani nie martwi, znaczy si o pami , to wróci. Jak u mojego wuja. Miał wypadek na nartach, prawie ju było po nim, ale jak w ko cu doszedł do siebie, to był taki jak dawniej... ryle e pó niej zawsze troch kulał. Szybko i zrcznie zdj ła



jednorazow pieluszk , wrzuciła j do kubelka pod stolikiem, wyci gn ła drug z szuflady i zanim opadła chmura dzieci cej zasypki, James, przewini ty i na powrót ubrany, le ał w jej ramionach. A co gorsza, rzeczywi cie przestał płaka .

- Prawdziwy rozbójnik, ten mały - powiedziała, kołysz c go i tul c, jakby nale ał do niej. - Nie powinna pani teraz wypoczywa ?

- Marla! - wykrzykn ła Eugenia z dezaprobat , wchodz c do pokoju. - Co ty tu robisz? - Zwróciła si do Aleksa: - Na lito bosk , Marla dopiero co wyszła ze szpitala i powinna teraz odpocz . Fiona ma racj .

- Marla chciała zobaczy Jamesa.

- Oczywiście cie, oczywiście cie, ale wszystko w swoim czasie. - Eugenia z trosk spojrzła na Marl . - Dziecko nie zniknie. Jutro te tu b dzie -jutro i przez najbli sze dwadzie cia lat... - za artowała, ale ton jej głosu był twardy. - Fiona, wiesz, e przy dzieciach powinna wyra a si poprawnie... - Spojrzła na wnuka i na jej ustach pojawił si pełen dumy, rozanielony u miech. Jej twarz złagodniała. - Jest słodki, prawda?

- Jeszcze par minut temu nie był taki słodki - odparł Alex z u miechem. - artowałem, mamó. Posłuchaj, musz wróci do biura na godzin czy dwie. Zaopiekuj si moj on , dobrze? - Spojrzał znac co na matk , pocałował Marl w policzek i ju był za drzwiami.

- Alexander zawsze gdzie p dzi, nie zwalnia ani na chwil , a ten maluszek - Eugenia wskazała na dziecko - b dzie taki sam jak jego tata, prawda, koteczku?

Fiona, wyra nie zadowolona, e spełniła swój obowi zek, poło yła Jamesa do łó eczka. Marla podniosła kocyk z podłogi i delikatnie otuliła nim małego, który, posapuj c cicho, wło ył kciuk do buzi.

Eugenia promieniała.

- Ten chłopiec jest wyjątkowy. To dar. Czekali my tak długo i w końcu jest ktoś, kto będzie nosił nazwisko Cahill i przekazuje je następnemu pokoleniu

- To znaczy syn i wnuk.

- Tak.

Nic dziwnego, bo Cissy jest taka zbuntowana.

- Czekają na chłopca? Na wnuka?

- Powiedzmy, że uważam narodziny Jamesa za błogosławieństwo wyśzeregowane. - Pochyliła się nad łóżkiem i drżąc palcem pogłaskała dziecko po policzku.

- Najwyśzeregowane.

- A Cissy?

- Cissy tak jest dla nas błogosławieństwem. Oczywiście. Wszystkie dzieci są darem Boga.

- Tak, tylko jedne to mercedesy, a inne hulajnogi, o to ci chodzi, prawda? - spytała Marla zirytowana anachronicznym poglądem, że dziewczynki są mniej warte od chłopców. Skąd te przestarzałe, fałszywe przekonania?

- Oczywiście, że nie. Kiedy przychodzi na świat w jakim celu. Cissy to nie James, ale jest równie ważna - poprawiła się szybko Eugenia, a na jej policzki wypłynął słaby rumieniec.

Marla ani przez chwilę jej nie wierzyła. Mogła sobie tłumaczyć te postawy na wiele sposobów, nie zmieniało to jednak faktu, że jej teściowa ma redniowieczne poglądy.

- A teraz, kochanie, naprawdę powinnaś się trochę zdrzemnąć albo poczytać. Tu przyłóżku jest intercom, zadzwoni, jeśli będziesz czego potrzebowała. Prosiłam już Carmen, żeby przyniosła ci herbatę, dzbanek wody i twoje lekarstwo zmieszane z sokiem pomarańczowym.

Pierwszy raz od powrotu ze szpitala Marla nie oponowała. Czuli się zmęczona i rozumiała, że jeszcze nie odzyskała sił. Bolała jej głowa, chciała zostać sama, położyła się i zaczęła, a

ból ust pi, a potem znowu spróbowa przypomnie sobie co ,  
co pomo e jej odzyska przeszło .

- Chyba rzeczywi cie si teraz poło - powiedziała.  
Jeszcze raz spojrzała na dziecko, po czym nagle wyczerpana  
powlokła si do swojej sypialni i zrzuciła pantofle.

Eugenia zamkn ła aluzje.

- Spróbuj odpocz - poradziła.

- Tak, dzi kuj - powiedziała Marla z roztargnieniem,  
wpatruj c si w wielkie ło e z baldachimem.

Nie mieszkaś tutaj, nigdy tu nie mieszkała . To nie jest  
twój dom, to nie jest twoje ło ko. Co do tego nie ma adnych  
w tpiwo ci. Ta my l brz czała jej w głowie jak natr tna  
mucha, ale Marla postanowiła nie zwraca na ni uwagi. Była  
zbyt zm czona. Wkrótce wszystko sobie przypomni. Ju  
wkrótce.

- Gdyby jeszcze czego potrzebowała, po prostu naci nij  
ten guzik.

'Ib stary typ, ale całkiem nie le działa. - Eugenia podeszła  
do ło ka

i wcisn ła czarny guziczek. - Carmen? - Pu ciła guzik.

- Tak, pani Cahill? - usłyszały odpowied .

Eugenia ponownie wcisn ła guzik.

- Wszystko w porz dku. Niczego w tej chwili nie  
potrzebujemy... - rzekła, pytaj co unosz c jedn brew, co  
Marla odczytała jako sygnał, e je li czego chce, teraz mo e  
tego za da . Potrz sn ła przez co głów . Eugenia pochyliła  
si lekko nad skrzyneczk przy ło ku. - Pokazywałam tylko  
Marli, jak mo e si z tob skontaktowa . Dzi kuj .

To jest próba, to tylko próba. Słowa te nagle przysły  
Marli do głowy, ale nie mogła sobie przypomnie , gdzie i  
kiedy je słyszała. Teraz jednak była tak obolała i wyko czona,  
e nic jej to nie obchodziło.

- Zostaj tu dzi na noc - powiedziała Eugenia. - Mog co jeszcze dla ciebie zrobi ? O, widz , e sok ju tu jest, zapewne wraz z lekarstwem.

- Wskazała na przykryty koronkow serwet nocny stolik, na którym stała wysoka szklanka z sokiem pomara czowym.

- Nie, dzi kuj .

- Je li b dziesz czego chciała, wezwij Carmen. A teraz poó si i ju o niczym nie my l.

Łatwo powiedzie . Wygl dało na to, e poza rozmy laniem o wypadku, rodzinie, o tym, kim wła ciwie jest i kiedy odzyska pami , nic wła ciwie nie robi. Ból głowy nasilał si z ka d chwil .

- Gdzie jest Cissy?

Eugenia nerwowo bawiła si sznurem pereł okalaj cym jej szyj .

- Pozwoliłam jej pój do kole anki. Czekala na ciebie, ale spó niali cie si , wi c...

- To wina szpitala. Były jakie problemy z formalno ciami przy wypisie - wyja niła Marla, pami taj c, jak si sama niecierpliwiła, czekaj c na powrót do domu.

- Tak czy inaczej nie powinnam była jej pozwoli i do Thomasów, ale odk d odzyskala przytomno , widziały cie si ju par razy, ponadto, szczerze mówi c, miałam ju do jej d sów... Zabroniłam jej pój na konie i nie wyobra asz sobie, czego potem musiałam wysłucha . - Mlasn ła z niesmakiem, jakby chciała podkre li , e zajmowanie si trzynastoletni dziewczyn przerastało jej siły.

- Nic si nie stało.

- Dopilnuj , eby była w domu, kiedy wstaniesz.

- Dzi kuj .

- Ciesz si , e ju jeste w domu, Marla - powiedziała Eugenia z u miechem i wyszła, cicho zamykaj c za sob drzwi.

Marla odetchnęła z ulgą. Krzywiąc się, wypijała gorzki napój. Lek przeciwbólowy. Dobrze. Za kilka minut ból głowy wreszcie ustanie. Może Eugenia ma rację. Może istotnie po nocy przespanej we własnym łóżku poczuje się lepiej.

Zdjęła ubranie i w samej bieli nie wsunęła się pod kołdrę. Poczowała na skórze delikatny dotyk chłodnej, miękkiej pościeli. Łóżko było wygodne, a puchowa kołdra lekka i ciepła. Marla miała wrażenie, że jej powieki wadzą.

W końcu pokonała jej zmęczenie. Zapomniała o pytaniach, które nie dawały jej spokoju, odkąd wyszła ze szpitala. Tak, oni mają rację. Jest po prostu dezorientowana, nic więcej. To przez ten wypadek. Na pewno.

Chyba że wszyscy ją okłamują.

Biały kotel był o kilka numerów za duży, ale to nie miało znaczenia. Stanowił idealne przebranie, właśnie takie, jakiego potrzebował. Jedną z pielęgniarek pracujących na oddziale oparzeniowym nie przyszedł na dyżur - zepsuł jej się samochód i zginił telefon komórkowy - a dwie pozostałe miały pełne ręce roboty. Dotychczas nie znaleziono nikogo na zastępstwo.

Zanim uda im się kogoś tu znaleźć, on zdąży zrobić swoje.

W szpitalu było trochę zbyt jasno, ale niewiele mógł na to poradzić, więc tylko wsadził na nos okulary w sztykretowych oprawkach. Bez trudu wszedł w rolę internisty i pewnym krokiem sunął teraz szpitalnymi korytarzami. Na piersi miał przypięte plakietki identyfikacyjne ze zdjęciem i nazwiskiem doktora Carlosa Santiago. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy, i jego twarz różni się od tej na zdjęciu.

Kroczył szybko, bez wahania, jak ktoś, kto wie, co robi.

Jak ktoś, kto tu przynależy.

Co za ironia.

On przecie nigdy nigdzie nie przynależał, zawsze był osobą z zewnątrz, kimś, kto tylko przygląda się wszystkiemu

przez okno. Có , teraz nie b dzie patrzył, teraz w ko cu rozbije szyb .

Dochodz c do oddziału oparzeniowego, zatrzymał si na chwil , czekaj c, a kto znowu wezwie zagonion piel gnark . Kiedy znikn ła za drzwiami jednej z sal, szybko wszedł do pokoju Charlesa Biggsa.

Kierowca ci arówki wygl dał strasznie. Le ał na łó ku nieruchomo, spowity w banda e. Skóra w miejscach nie osłoni tych opatrunkami była czerwona i pokryta lepk wydzielin . Z jego ciała sterczały jakie rurki, a z kroplówki s czyły si w jego yły rodki przeciwbólowe i diabli wiedz co jeszcze.

Za pó no.

Biggs i tak by nie prze ył.

Zbli ył si do łó ka nieszcz nika. Tak, tak wła nie bywa, je li przypadkiem si człowiek znajdzie w niewła ciwym miejscu w niewła ciwym czasie. Miałe pecha, Biggs.

Biggs z trudem wci gał powietrze w poparzone płuca.

Kosztujesz mnie troch zachodu, sukinsynu, pomy łał, wyci gaj c z kieszeni cienki plasterek gumy wielko ci serwetki. Umie cił go na twarzy Biggsa, przyciskaj c dłonie w r kawiczkach do jego ust i nosa. Biggs zeszywniał, próbował chwyci oddech - walczył, cho był nieprzytomny.

Musiał wło y troch wysiłku, by przytrzyma szarpi ce si , pot ne ciało, ale wszystko szybko si sko czyło. Charles Biggs i tak ju zbyt długo oci gał si pod drzwiami mierci. On po prostu tylko pomógł mu przekroczy próg.

Kiedy wychodził z pokoju, aparatura zacz ła w ciekłe piszcze . U miechn ł si i ruszył w stron klatki schodowej na tyłach szpitala. Otworzył drzwi i zacz ł szybko schodzi po schodach.

Uwa ał, e wy wiadczył temu ałosnemu draniowi przysług . Wielk przysług .

Na pierwszym pi trze, wychodz c z klatki schodowej na korytarz, omal nie potr cił piel gniarki biegn cej w przeciwn stron .

- Przepraszam - mrukn ł.

Piel gniarka spojrzła na plakietk , potem na jego twarz i znowu na plakietk .

- Carlos? - zdumiała si . Natychmiast odwrócił si do niej plecami,

- Hej! - zawołała za nim.

Wybiegł za podwójne drzwi wyj ciowe, miał nadziej , e ta kobieta nie zd yła mu si przyjrze . Wpadł na wózek inwalidzki, w którym siedział jaki pacjent, i omal si nie przewrócił.

- Cholera - warczał pod nosem, zdzieraj c z siebie kitel. Przebiegł przez jezdni . Odwróciwszy si przez rami , zobaczył piel gniark stoj c przy wej ciu do szpitala; z o ywieniem mówiła co do drugiej kobiety. Palcem wskazywała na ulic . Skr cił za róg, staraj c si nie zwraca uwagi na ból w kostce, min ł jeszcze kilka przecznic i w ko cu znalazł swojego jeepa dokładnie tam, gdzie go zostawił. Serce biło mu jak oszalałe. Mimo chłodu był cały zlany potem. Wsiadł szybko do samochodu i szybko zacz ł oddala si od szpitala. Zapalił papierosa. Uspokoił si troch .

Niewiele brakowało.

Ale znowu mu si udało.

U miechn ł si pod nosem i spojrzął na siedzenie obok, gdzie le ał szpitalny kitel ze zdj ciem Carlosa Santiago. Zgasił papierosa na plakietce i samochód wypełnił nieprzyjemny zapach palonego plastyku.

- Muchas gracias, amigo.

- Czy Marla piła co tamtego wieczora, kiedy straciła panowanie nad kierownic ? - spytał Nick.

Siedział z Alekssem w irlandzkim pubie kilka przecznic od hotelu, w którym si zatrzymał. Alex dopijał wła nie drug szkock z wod . Nick w zamy leniu pocierał twarz.

- Nie. Tylko co wyszła ze szpitala.

- A Pam? - Nick zastanawiał si , kim wła ciwie była ta kobieta, której przecie nikt nie znał. Przyjaciółka Marli.

- Nie wiadomo, co robiła, ale w jej krwi wykryto niewielk ilo alkoholu.

Alex przygl dał si grupie m czyzn graj cych w rzutki po drugiej stronie baru.

- Marla była z ni blisko?

- Tak blisko, jak to w jej przypadku mo liwe. - Alex poruszył szklank . Kostki lodu zal niły w słabym wietle. - Nigdy nie miała wielu przyjaciół.

Nick nie ukrywał zdumienia.

- Dostała mnóstwo kart z yceniami i kwiatów.

- To jasne. Mamy szerokie znajomo ci. - Alex poprawił krawat.

Nick zastanawiał si , czy jego brat kiedykolwiek bywa w słabszej formie. Ambitny a do przesady, Alex zawsze był klasycznym przypadkiem osobowo ci typu A. Poszedł w lady ojca i we wszystkim tak go przypominał, jakby obaj zostali stworzeni osobi cie przez samego Pana Boga. Nigdy nie kwestionował pogl dów i decyzji starego, natomiast potrafił mu udowodni , e z nawi zk spełnia wszelkie warunki, by zosta spadkobierc Samuela J. Cahilla. Stypendium Stanforda, wspaniałe wyniki w college'u, a potem dyplom z prawa na Harvardzie. Tak, Alex był naprawd dobry w te klocki.

- Dobrze znani, ale niezbyt lubiani? - spytał Nick.

Wokół słycha było rozmowy i gło ny miech, brz czały szklanki.

- Trudno powiedzie . Je li masz pieni dze, ludzie zawsze b d ci całowa po tyłku. - Alex w zamy leniu przygryzł



doln warg , a potem skin ł na kelnerk i zamówił jeszcze jedn kolejk .

- Wi c tak naprawd nie wiesz, kto jest twoim prawdziwym przyjacielem?

- Co w tym rodzaju. - Alex dopił drinka jednym haustem, odstawił szklank na stolik i przetarł palcami oczy. W tej chwili wygl dał na znacznie wi cej ni swoje czterdzie ci dwa lata.

- Zanim wyjechałem z domu, dzwoniła do mnie Cherise - oznajmił w ko cu Nick.

Zm czenie na twarzy Aleksa natychmiast ust piło miejsca czujno ci.

- Niech zgadn : wieszła na mnie psy, bo nie pozwalałem jej przyj do Marli.

- Owszem, mo na to tak uj .

- Cholera - mrukn ł Alex i potarł nos wierzchem dłoni. - Ona i ten Monty. Nie daj za wygran . S j jak hieny, które kr wokół lwa, eby uszczkn co z jego zdobyczy. - Zmarszczył brwi. - Nie, raczej jak osy. Nie mo na si od nich op dzi . Brz cz , robi mnóstwo hałasu, a potem próbuj u dli . - Spojrzał ponuro na brata. - Poradz sobie z Cherise. I z Montgomerym.

Wydawało si , e zako czył ten temat. Nick uznał, e spełnił swój obowi zek. Rozsiadł si wygodniej i spojrział na brata.

- Pojechałem na miejsce wypadku - zacz ł z innej beczki. Na Aleksie nie zrobiło to wi kszego wra enia.

- I co tam znalazłe ?

- Niewiele. Ale nie rozumiem, dlaczego oba samochody przeleciały przez barierki po przeciwnych stronach szosy. Ci arówka prawdopodobnie z powodu swojego ci aru i pr dko ci. Była rozp dzona, w ko cu jechała w dół... ale mercedes? Jak zdołał przerwa gruby, stalowy pas?

- Dobre pytanie.

- Widziałem samochód - powiedział Nick. - Trafiłem na policjanta, który bardzo skwapliwie pozwolił mi go obejrzeć. - Zaciśnięte usta, wspominając zmianę karoserii, potłuczone szyby i krew na tapicerce. - To cud, że wyszła z tego żywa.

- Marla zawsze była twarda. Wiesz o tym.

Nick zeszywniał.

- Twarda, zgoda. - Spojrzał bratu w oczy. - Ale kiedy zobaczyłem ten samochód, prawie uwierzyłem, że czuwał nad nim Anioł Stróż.

- Prawie?

- Cóż, zorganizowane religie nigdy nie trafiały mi do przekonania.

- Pamiętam.

- Ale to nieprawdopodobne, że przeżyła ten wypadek. Alex uśmiechnął się lekko.

- Cóż, Marla zawsze miała szczęście, prawda?

Nick nie odpowiedział, wolał nie wchodzić na cienki лёd.

- Dlaczego przypuszczasz, że spanikowała i straciła panowanie nad kierownicą?

- Nie wiem. Zawsze dobrze prowadziła. Chyba nigdy nie widziała autobusu od rodaka... Tylko ona by gdzie mogła nam powiedzieć, co się wtedy stało... jeśli odzyska pamięć.

- Chyba chciała powiedzieć: „kiedy odzyska pamięć”.

- Tak dzisiaj?

Alex uśmiechnął się do ładnej kelnerki o wietnej figurze i do dwóch piwnych oczach. Była trochę zbyt młoda, żeby serwować drinki. Miała na sobie krótką spódniczkę, białą bluzkę i czerwone muchy zawieszane pod szyją. Zabrała pustą szklankę i postawiła przed Alekssem kolejnego drinka, a Nickowi podała piwo, na które wcale jeszcze nie miał ochoty. Nie kazał jej jednak go zabrać z powrotem, czując, że w końcu jako sobie z nim poradzi.

- Nie jestem pewny, czy Marla kiedykolwiek odzyska pamięć - powiedział Alex. Westchnął, napotkawszy pytającą o wzrok Nicka. - Jasne, biorę udział w tej grze i cię głębiej powtarzam, a wszystko sobie przypominam.

Tak jak i Phil Robertson, jego lekarz. On jest przekonany, że pamięć Marli wróci. Tylko na razie nic na to nie wskazuje. - Pociągnął łyk ze swojej szklanki i rozparł się w krzesło. - Trudno coś przewidzieć.

Nick, choć niechciejnie, musiał przyznać mu rację.

- Mam już tego wszystkiego dość.

- Możliwe. - Nick pił piwo prosto z butelki i rozmyślał o wypadku. Pam Delacroix zginęła na miejscu, Biggs nie odzyskał przytomności. Marla niczego nie pamięta, dochodzi do siebie w swoim własnym, pozbawionym przeszłości świecie. - Nie poznała Pam?

- Nie. - Alex wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. - Muszę zapalić. Idziemy?

- Jasne.

Dokończyli drinki. Alex uparł się, że zapłaci, i wręczył kelnerce swój karton kredytowy. Podpisał rachunek, włożył płaszcz i wyszedł za Nickiem na zewnątrz, gdzie kilku mężczyzn paliło papierosy, omawiając szanse drużyny „49” w rozgrywkach pucharowych. Alex zapalił i wypuścił dym kłębami. Nick zapiął kurtkę, listopadowy dzień był chłodny.

- O Pam wiem tylko to, co powiedziała mi Marla: że poznała ją przed paroma laty w swoim klubie, chociaż wtedy o tym nie wspomniała. - Wzruszył ramionami. - Ale nic w tym dziwnego. - Spojrzał w niebo. - W naszym małżeństwie zdarzały się okresy, kiedy niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Rozchodziliśmy się parę razy... och, rzecz jasna, nieoficjalnie. Cóż, różnie bywało. - Zamyślił się, wciągnął dym głęboko w płuca. Nick milczał, nie chciał wdawać się z bratem w ryzykowną rozmowę na temat jego małżeństwa. - Co do Pam, nie mam pewności. Byłyśmy razem w tenisa i w

bryd a... ale teraz, kiedy si nad tym zastanawiam, nie przypominam sobie, eby kiedykolwiek mówiła, e si z ni spotyka. Pami tam inne imiona - Joanna i Nancy. Ale nie Pam.

- Ale potem chyba o niej słyzałe .

- Tak, od towarzystwa ubezpieczeniowego i adwokata rodziny. Posłałem oczywi cie kwiaty na jej pogrzeb, wyło yłem okr gł sum na konto jakiej organizacji charytatywnej w jej imieniu, ale wła ciwie nie miałem kontaktu z nikim z jej strony. Wiem, e była rozwiedziona i miała licencj po rednika w handlu nieruchomo ciami, ale nie działała zbyt pr nie. My l , e yła ze swojego byłego. To jeden z tych utalentowanych informatyków. Zrobił prawdziw karier w Dolinie Krzemowej. Mieli jedno dziecko, córk , która uczy si w college'u w Santa Cruz. - Zaci gn ł si papierosem.

Zebrani pod drzwiami m czy ni nagle jednocze nie wybuchn li gromkim miechem, jakby który z nich opowiedział wietny dowcip. Samochody mijaly ich z cichym szumem. Wysoko nad nimi ksi yc skrył si do połowy za lekkimi, wolno plyn cymi po niebie smugami chmur.

- Co Marla robiła tamtej nocy?

- Pytanie za sze dziesi t cztery tysi ce dolarów. Cholera, chciałbym zna odpowied . Ale prawda jest taka, e nie mam poj cia, dlaczego Marla i Pam postanowiły wybra si w t podró . Wyobra sobie: dziecko ma dopiero kilka dni, a Marla nagle wskakuje do samochodu i w samym rodku nocy rusza przed siebie. To czyste szale stwo.

- Mo e, kiedy odzyska pami , powie nam, dlaczego to zrobiła.

- Mo e. - Alex strzepn ł popiół na chodnik i spojrział w stron wzgórze, gdzie za wiktoria skimi kamieniczkami Haight Street stała rezydencja Cahillów, budynek, który kiedy , jako dzieci, nazywali domem. Nick nie miał nic

przeciw temu, eby to Alex miał teraz ten dom, wraz ze wszystkimi ł cz cymi si z tym problemami.

Alex wrzucił niedopałek do ciekę, czerwona iskierka szybko zgasła. Samochody wyprzedzały jad cego ulic rowerzyst .

- ałuj , e nie poznałem Pam - powiedział Alex. - Mo e wtedy rozumiałbym z tego co wi cej. Wygl da na to, e jej rodzina ma zamiar pozwa nas do s du - ich adwokat ju do mnie dzwonił - ale postaram si , eby wszystko zostało załatwione przez towarzystwo ubezpieczeniowe. To mo e by powa ny problem. - Wsadził r ce do kieszeni i spojrział w stron ulicy, przy której zaparkował samochód. - Obawiam si , e tylko jeden z wielu. - U miechn ł si niewesoło. - A skoro ju o tym mowa, mam w teczce kilka dokumentów, które pozwol ci si zorientowa w sytuacji firmy - dodał, wyra nie chc c zmieni temat. - Pomy lałem, e mo e chciałby je przejrze , zanim przyjdiesz do biura.

- To pewnie dobry pomysł - przyznał Nick.

Alex otworzył jaguara od strony kierowcy, otworzył teczk , wyj ł niedu , cienk aktówk i wr czył j bratu.

- Je li b dziesz miał jakie pytania, zadzwo do mnie do biura. Wolałbym, eby my nie omawiali szczegółów w obecno ci matki, Marli czy innych spo ród domowników. - W wietle ulicznych lamp Alex wygl dał na starego i zm czonego, miał ci gni t , zatroskan twarz. - Nie b d niczego owijał w bawełn , Nick. Firma ma kłopoty. Powa ne kłopoty. Matka wie tylko o pewnych przej ciowych trudno ciach. I niech tak zostanie. Nie musi wiedzie wi cej.

- A Marla?

- Nie wci gajmy jej w to. Ma teraz do własnych problemów, z którymi musi si upora .

Wyobra am sobie, pomy lał Nick, ale nic nie powiedział, tylko krótko skin ł głow .

- Dobrze. Doceniam to. - Twarz Aleksa była ponura. Nickowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że Cahill International może być w poważnych kłopotach, skoro Alex, jako dyrektor zarządzający, osobiście zajmuje się tymi sprawami. Nie wykluczone, że to on jest za to odpowiedzialny, a firma znalazła się w takiej sytuacji z powodu podjętych przez niego decyzji. Alex poklepał Nicka po ramieniu, jego dłoń klasnęła cicho o wilgotną skórę starej kurtki brata. - Dziękuj - powiedział i po raz pierwszy to słowo zabrzmiało w jego ustach naprawdę szczerze.

Nick czuł, jak pomiędzy Cahillów coraz mocniej zaciska się na jego szyi. Patrzcie, jak starszy brat wsiada do jaguara i rusza w stronę wzgórz, miał tylko nadzieję, że tym razem nie odegra roli kozła ofiarnego.

## 6

Charles Biggs nie żyje. Z tymi słowami Janet Quinn wkroczyła do biura detektywa Paterno. Opadła na krzesło wciwnięte między okno i szafę na akta.

- Cholera.

- Też tak uważam.

Rzuciła plik dokumentów na tonięce w papierach biurko. Janet, od lat pracująca w policji, wysoka, silna kobieta, musiała znosić nieustanne docinki na temat swego męskiego wyglądu. Miała krótko ostrzyżone ciemne włosy, teraz już lekko przyprószone siwizną, kwadratowy kształt, grube brwi, a za okularami w prostych, praktycznych oprawkach mylicznie niebieskie oczy, których nie podkreślała makijażem. Nie malowała się, nie stroiła i w ogóle nie przywiązywała szczególnej wagi do swojego wyglądu. Niewzajemnie słyszała, że nazywają ją babochłopem, docierały też do niej pogłoski o tym, że bierze sterydy, i inne plotki rozsiewane przez tych,

którzy zazdrocili jej sukcesów w pracy. A było ich wielu. Janet szybko wspinała się po szczeblach policyjnej kariery, ponieważ była znakomitym detektywem i nigdy nie dawała za wygraną.

- Kiedy zmarł?

- Ubiegłej nocy, raczej dziś wczesnym rankiem. Urządzenia monitorujące pracę serca stanęły o trzeciej, czwartej, piątej, szóstej, siódmej. Reanimacja nie przyniosła żadnych rezultatów. Biorąc pod uwagę jego stan, może i dobrze się stało.

- Biorąc pod uwagę nasze ledźstwo, może i nie.

Janet wzruszyła ramionami i oparła się o szafę. Miała na sobie dżinsy i sportowe buty.

- Przypuszczam, że przed śmiercią nic nie powiedział.

- Nic.

- Jest wiadomość o zgonie?

- Jeszcze nie. - Potrzebujemy głosu.

Paterno w zamknięciu spojrzał na swoje dłonie. Ten wypadek budził w nim coraz więcej wątpliwości. Ponieważ teraz nie były już dwie osoby, mógł przypisać wszystko fatalnym warunkom atmosferycznym, wiedział jednak, że będzie się z tym liczył. Co tu nie pasowało.

Dostrzegł wyczekujące spojrzenie Janet.

- Co jeszcze?

- Tak. Tu po tym, jak serce Biggsa przestało bić, w szpitalu wybuchło małe zamieszanie. Jakiś facet w skradzionym kitlu nadział się na pielgniarkę i związał. Pielgniarka zauważyła plakietkę z nazwiskiem na jego piersi i jest pewna, że to nie był Carlos Santiago, internista, który akurat miał wolne. Uciekając, może czyznał omal nie przewrócić kobiety w wózku pchanym przez pielgniarkę.

- Jezus.

- Rozmawiałam już z Santiago - powiedziała Janet. - Twierdzi, że jego plakietka zginęła.

- My lisz, e on mo e mie co wspólnego ze mierci Biggsa?

- Niewykluczone. Poprosiłam ju t piel gniark , Betty Zimmerman, eby przyszła zrobi portret pami ciowy z pomoc naszego rysownika. Piel gniarz niewiele sobie przypomina. Był zaj ty pacjentk , wi c nie zd ył przyjrze si temu człowiekowi. Ale zobaczymy, co wyniknie ze spotkania piel gniarki z rysownikiem. Mo e jeszcze dzi si czego dowiemy.

- Czy kto widział tego m czynn w kitlu Carlosa Santiago na oddziale oparzeniowym? - Paterno rozparł si w swoim krze le i patrzył przez okno na mgł nadpływaj c od strony zatoki.

- Nie. Ale akurat tej nocy brakowało tam personelu. Jednej z piel gniarek zepsuł si samochód, inna była chora. Reszta zwijała si jak w ukropie.

- A Santiago?

- Wydaje si czysty. Jest naprawd wkurzony, e został wci gni ty w co takiego. Rozmawiałam z nim i s dz , e jest w porz dku, ale to dra liwy go . Oznajmił, e nie pozwoli, by gwałcono jego prawa jako obywatela tego kraju tylko z powodu jego pochodzenia. Znasz t piewk .

- Ale współpracował?

- Tak. - Janet energicznie kiwn ła głow .

- My lisz, e to tylko zbieg okoliczno ci?

Janet prychn ła i u miechn ła si krzywo, patrz c na Paterno spod oka. Rozsiadła si wygodniej na plastikowym krze le.

- S dziłam, e nie wierzysz w zbiegi okoliczno ci.

- Nie wierz - odparł. Jego umysł pracował szybko i sprawnie, a wypadek na drodze nr 17 coraz bardziej wygl dał jego zdaniem na zaaran owan przez kogo pułapk . Ale przez kogo? Jak? Po co? I co Biggs mógł o tym wiedzie ? Paterno był zdania, e Biggs po prostu miał pecha, wzi ł udział w tej



grze przez przypadek - pojawił się w złym miejscu o złej porze, i tyle. Paterno znalazł w kieszeni paczkę owocowej gumy do żucia, wyciągnął ją w stronę Janet, a kiedy przeczołota potrzymsła głowę, wziął jeden kawałek i włożył go do ust. - Masz jeszcze coś?

- Tak, to dziwne - powiedziała Janet, marszcząc czoło, jak zawsze kiedy próbowała dopasować do układanki, jak jest kałedztwo, czy stół, która na pozór do niczego nie pasowała. - W laboratorium twierdzę, że na miejscu wypadku znaleziono trzy rodzaje potłuczonego szkła. Prócz szkła pochodzącego z szyb ciarówki i mercedesa - wystawiła w górę dwa palce - jeszcze trzeci rodzaj szkła. - Wysunęła kolejny palec. - Na razie wiadomo tylko, że są to odłamki jakiegoś lustera, ale nie było to ani zewnętrzne, ani wewnętrzne lustro samochodu. Sprawdziliśmy to.

- Jest jakaś różnica? - Paterno sięgnął po papierowy kubek stojący na biurku i pociągnął łyk letniej kawy.

- Tak, chodzi o tylną stronę ... szkło zostało roztrzaskane jak odbijające światło substancja. - Pochyliła się do przodu i położyła rękę na szarej kopercie, którą przedtem rzuciła na biurko. - Wszystko jest tutaj. W raporcie.

Paterno przejrzał raport. Tak, nie ma żadnych wzmianek. Kawałki szkła, nie pasują ani do marki, ani do modelu żadnego z dwóch samochodów, które wzięły udział w wypadku.

- Co to oznacza?

- Nie wiem. Szkło mogło znaleźć się na tej drodze, ale to znówu byłby zbieg okoliczności.

- Jeszcze jeden. - Paterno zmarszczył brwi. - Jak na mój gust, za dużo o tych zbiegach okoliczności.

- Te tak sądzisz.

- Nie wiadomo, dlaczego barierki nie wytrzymały?

- Jeszcze nie. Jedną po prostu przerwała ciarówka. Ci kłódka, druga przetrzymała. Jeśli chodzi o tę drugą, sprawa

jest bardziej skomplikowana. Słady spawania, do wie e, jakby barierka została niedawno naprawiona albo wzmocniona, ale w papierach zarządu dróg nie ma wzmianki o żadnych naprawach na tym odcinku w ciągu ostatnich pięciu lat.

- Tak czy inaczej p kła. - Paterno przygryzł kciuk i skrzywił się z niesmakiem. To wszystko nie ma sensu. Co tu jest nie tak. Dwoje ludzi nie yje, a kobieta, która prowadziła mercedesa i prawdopodobnie spowodowała wypadek, szc liwie straciła pamięć. Teraz na scenie pojawia się jeszcze jeden gracz, czyli kto, kto by może zabił Charlesa Biggsa. Czy może liwe, e Biggs był celem, je li to istotnie była zaplanowana akcja? Czy od początku podaliśmy fałszywym tropem?

- Sprawdź dokładnie tego Biggsa.

- Już sprawdziłam. Niewinny jak dziewica. żadnych aresztowań, raz zaparkował w niedozwolonym miejscu, onaty od czterdziestu lat z jedną kobietą, posłał dwoje dzieci do college'u. Oprócz niezależnej firmy transportowej, w której skład wchodziła tylko ta jedna ciężarówka, miał te niewielkie szkółki choinek w Oregonie. Nigdy nawet nie oszukiwał na podatkach. On i jego pani zgarnęli prawie dwieście tysięcy z jego polisy emerytalnej. Ostatnio Biggs spędzał czas, głównie łowił ryby w pobliżu Bend i uczył wnuki w szkole polowa. Ani słowa o narkotykach, alkoholu czy przemocy domowej. Ten facet prowadził się jak prawdziwy harcerz.

- Wracamy więc do Marli Cahill i Pam Delacroix. - Paterno dopił kawę, zmiął kubek i wrzucił go do przepelnionego kosza na śmieci.

Chryste, co za burdel.

- Szkoda, e Biggs nie odzyskał przytomności - mruknął, energicznie ujęc gumę. Czuł, e zaraz dopadnie go zgorzelenie. - Powiedz mi, gdy tylko przyjdą wyniki autopsji. Fatalnie, e Biggs już nigdy nie powie nam, co widział.

- Je li o to chodzi, mo emy liczy ju tylko na Marl Cahill. - Janet u miechn ła si chłodno. - Kiedy odzyska pami .

- Co mo e nigdy nie nast pi .

Gdzie ja jestem? Marla otworzyła oczy i zobaczyła nieznany pokój, pełen obcych sprz tów. Przez chwil rozgl dała si wokół, zdezorientowana, zaraz jednak przypomniała sobie, e jest w domu. e to jej pokój. Jej łó ko. Jej... wszystko.

Jak długo spała? Przez aluzje do pokoju wpadało szarawe wiatło, ale Marla miała pełny p chertz i była dziwnie oci ła, doszła wi c do wniosku, e musiała spa cał dob . W ustach czuła nieprzyjemny posmak, włosy wydawały jej si brudne i wilgotne od potu. Nie słyszała, jak Alex wchodził do pokoju, nie słyszała płaczu dziecka, spała jak zabita.

W staniu i majtkach powlokła si do łazienki, skorzystała z toalety i ochlapała twarz zimn wod , unikaj c spogl dania na swoje łośne odbicie w lustrze. Przy umywalce wisiły wie e r czniki. Rozebrała si i weszła do oszklonej kabiny do du ej, by jednocze nie mogły bra w niej prysznic dwie osoby. Podniosła srebrn gałk . Gor ca woda parzyła jej skór , rozgrzewaj c mi nie. Ostro nie, staraj c si nie dotyka szwów, umyła głow i całe ciało, a potem znalazła maszynk i ogoliła włosy na nogach i pod pachami. Nast pnie, poniewa ci gle miała wra enie, e jej umysł spowija g sta paj czyną, wzi ła si w gar i przesun ła gałk w prawo. Z prysznic trysn ł lodowaty strumie . Marla na chwil wstrzymała oddech i dr c z zimna, oparła si o kafelki.

Z wolna na powrót stawała si ludzk istot . Czuła si coraz lepiej, odk d wyszła z tej przekl tej pi czki. Zakr ciła wod , si gn ła po r cznik i w tej chwili nagły przebłysk wydobył z jej pami ci wspomnienie innego miejsca i czasu.

Była na plaży... z przyjaciółmi... albo z matką... albo... z Cissy? Swoją córkę... nie, nie tak... ale wiecie, słońce, a ona wybiegła z oceanu, rozgrzany piasek parzył jej stopy... wzięła rękawiczki... kto jej je podał? Z wysiłku rozboleła jej głowa. To był matczyzna... tak, matczyzna. A więc to musiał być Alex... albo... Nick? Na to myślało jej się dziwnie słabo. Zaczęła energicznie trześć skórę rękawiczkami. Może był to jeszcze ktoś inny. A może to w ogóle nie miało miejsca? Oparła się dłonią o kafelki i potrząsała głową, usiłując przywołać nieuchwytną, dręczącą wizję, która zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Zdecydowana dowiedzieć się jak najlepiej o sobie, wyszła z kabiny i stanęła twarzą do lustra. Jezu, jak ona wygląda... Sięce zniknęły powoli, opuchlizna niemal już skłósała, ale Marla nadal nie rozpoznawała własnych rysów. A jej włosy! Co okropnego! Sięcały brody kosmyki po jednej stronie trzeba było obciąć krótko, żeby zrównać je z odrastającą po drugiej stronie krótką szczecinką. Wprawdzie nie potrafiła znaleźć wspólnego języka z własnym synem, ale przynajmniej było podobne fryzury.

Jak się nazywała sławna piosenkarka, która ogoliła sobie głowę... na znak protestu przeciw czemu... a może tylko miała tak fantazję? Cholerna amnezja! To dopiero poczekaj, upomniała się Marla, wyciskając na palec trochę pasty do zębów. Urywki wspomnień stanowi zapewne tylko wstęp do całkowitego odzyskania pamięci. Nie od razu Rzym zbudowano. Nie mogła jednak już doczekać chwili, kiedy znowu będzie znała swoje przeszłe. Płucz i zadrutowane zębami, czuła narastające zniecierpliwienie.

Pod wpływem nagłego impulsu przeszukała apteczkę i szuflady. Znalazła dwie fiołki, jedną z tetracyklin, w której były jeszcze dwie ampułki, i drugą, pustą, po premarynie. Na półeczce leżała para nożyczek, Marla postanowiła więc od razu zrobić porządek z włosami. Jeden po drugim brzoźwoczerwone loki wpadały do umywalki. Kiedy skończyła całą

operacji, to wcale nie wyglądała gorzej niż poprzednio, zdjęła więc nakładkę z pojemnika z pianką i wycisnęła trochę na dłoń i wmasowała wokół szwów na jej głowie. Nie był to efekt stara mistrza sztuki fryzjerskiej, ale przecie włosy odrosły i zakryły blizny. Zresztą włosy to najmniejszy problem. Nie zawracała sobie głowy makijażem, chociaż znalazła mnóstwo kosmetyków starannie poukładanych w górnej szufladce toaletki. I tak niewiele by to pomogło. Zamiast tego ruszyła do garderoby.

Garderoba była ogromna, mieściła w sobie długie rzędy kostiumów, spodni, spódnic i sukienek w najlepszym gatunku i niezliczoną ilość par butów we wszystkich kolorach, ułożonych równo w osobnych przegródkach na jednej ścianie, podczas gdy drugie zajmowały wieczorowe toalety, migoczące w zapiętych na zamek plastikowych pokrowcach. Jeden kąt został zarezerwowany na stroje do tenisa i sportowe dresy. Torby i torebki stały na dwóch długich półkach. Przy drzwiach umieszczono wysokie kryształowe lustro, a we wnętrzu długiej, w skrajnej szafce kryła się deska do prasowania.

- Cudownie.

A gdzie są dokumenty? Stare swetry? Torebka? Tak... torebka, w której trzymała portfel, książeczkę czeków, a może nawet notes z telefonami - wszystko, co było ważne w jej życiu?

Przeszukała torebki, torby sportowe i walizki leżące na półkach. Wszystkie były puste. Czyste. Jak wymiecione.

- Cholera. - Wrzuciła je z powrotem na półki, potem przeszukała szuflady w komodach i znalazła parę sztywnych dżinsów, za duży o jeden numer i różowy sweter, do miarki, by mogła uwierzyć, że należał do jej ulubionych.

A je li nie należał?

- Nawet o tym nie myślała - mruknęła do siebie ostrzegawczo, wkładając stare buty do tenisa, które znalazła w jednej z komór. Pomyślała o swojej córce, synu, matce i Nicku, człowieku, który był jej kochankiem.

Zacisnęła usta. Pytania dotyczącej jej ciąży znowu zaczęły atakować umysł Marli, powodując nieunikniony ból głowy. Przeszła z garderoby do sypialni, która wydawała się taka dziwna i obca. Przystanąła przy biurku i spojrzała na zdjęcia ustawione przed lustrem o frezowanych krawędziach. Jedno z nich, oprawione w pozłacaną ramkę, przykuło jej wzrok. Oto ona, na długo przed wypadkiem. Włosy o ciepłym odcieniu mahoni i niebiesko-zielone, mała, mniej więcej trzyletnia dziewczynka siedzi na jej biodrze. Za nią rozciąga się bezmiar oceanu, jak błękitna, wyszywana cekinami materia. Marla stoi bosko na wielkim gładzie, z głową odrzuconą w tył i zmrużonymi oczami. Czerwona letnia sukienka powiewa na wietrze wokół jej nóg, ukazując niemal całe długie, opalone uda, a pulchne rączki Cissy obejmują ją za szyję.

Marla wzięła zdjęcie do ręki, tak mocno ciskając ramką, że aż zbiały jej kostki. Myśl, na lito boską, przypomnij sobie coś! To jesteś ty i Cissy, a... a ten, kto zrobił to zdjęcie, czyż nie jest ci to widoczny u twoich stóp, to musi być Alex!

Ale choć tak bardzo tego chciała, nie mogła przypomnieć sobie tego dnia, spędzonego z rodziną na plaży.

Ani jednego innego, jeżeli chodzi o ciasto.

- Daj sobie trochę czasu - powiedziała do siebie, odkładając zdjęcie na miejsce. Omal go nie upuściła, jej palce nie odzyskały jeszcze dawnej sprawności. Wciąż jeszcze czuła się niezręczna i ociężała. Rozdrażniona, poszła do pokoju dzieciennego. Jamesa nie było w łóżeczku, co jej specjalnie nie przstraszyło. Prawdopodobnie niania zabrała go na dół albo Eugenia, „Nana”, jak sama siebie nazywała, teraz włącznie nie nim się zajmuje... Eugenia zachowuje się tak, jakby jego narodziny były co najmniej tak ważne, jak Drugie Nadejście Chrystusa. A może nawet Pierwsze.

Wychodząc z pokoju, usłyszała głosy dobiegające z dołu, postanowiła jednak skorzystać z faktu, że jest ciemno i sama, i

rozejrze się po domu - poczu ducha tego miejsca. Nie była pewna, czy to paranoja, czy instynkt samozachowawczy, ale chciała dowiedzieć się jak najwięcej o sobie i swojej rodzinie, nie tylko zadając pytania i otrzymując w odpowiedzi tylko półprawdy, sformułowane tak, aby jej przypadkiem nie zdenerwowała. Będzie musiała to zmienić, jak najprędzej. Teraz jest w domu, gotowa zmierzyć się z własnym życiem. I tak bardzo chce ją zostawić przeszłość za sobą.

Ale nie może tego zrobić, jeszcze nie. Ciągle tyle musi sobie przypomnieć, no i jest jeszcze policja... Poczuli, że znowu ogarnia ją przynajmniej niepokój, ale zdołała odsunąć te myśli. Ma tyle do zrobienia. Będzie musiała zadzwonić do córki Pameli i jej byłego męża, wyrazić swój smutek i żal z powodu jej śmierci. I to szybko. Nie zważając na policję. Ani na adwokatów. Ani to cholerne towarzystwo ubezpieczeniowe, o którym wspominał Alex.

Przeszła przez salon z kominkiem i werandę i podeszła do drzwi pokoju Aleksa. Naciśnięta klamką stwierdziła, że nie zostały zamknięte na klucz.

Niewiele myśląc, weszła do rodzka. W pokoju panował idealny porządek, jakby jego właściciel oczekiwał wojskowej inspekcji. Wielkie łóżko, komoda, niewielka kanapka i szafka kryjąca telewizor i zestaw stereo. Z okna widać było ogród i migoczące w oddali wiatła San Francisco. Marla przeszła przez garderobę pełną równie mocno powieszonych garniturów i ubra sportowych i znalazła się w niewielkiej siłowni pełnej przyrządów do ćwiczeń, utrzymujących jej męża w dobrej formie. Przejechała palcem po kierownicy roweru rehabilitacyjnego, obejrzała ławeczkę do podnoszenia ciężarów i biegnięcia, zastanawiając się, czy sama korzystała kiedyś z tych urządzeń. Była dość sprawną i szczupłą, ale jako nie mogła uwierzyć, że spędziła w tym pokoju długie godziny, wyciskając z siebie ostatnie soki. Co jej mówiło, że czuje

wczyła na powietrzu... pływała, biegała, grała w tenisa, je dziła konno... kto wie, może nawet wiosłowała.

Pchnęła kolejne drzwi i weszła do gabinetu. Ściany pokrywała ciemna boazeria wykończona mosi złotymi elementami. Stały tu ciemnozielone, skórzane fotele i palmy w wielkich donicach. Tutaj okna zostały umieszczone bardzo wysoko, sięgały sufitu, ale choć wpadało przez nie sporo światła, niewiele można było przez nie zobaczyć.

To było zapewne sanktuarium jej matki. W powietrzu unosił się lekki zapach tytoniu i wody po goleniu, a na ścianach wisiały olejne obrazy przedstawiające jej ciotki.

Konie... W ułamku sekundy Marla nagle zobaczyła, jak pada na koniu przez otwarte pola. Z włosami rozwianymi przez wiatr. Już niemal brak jej tchu, na twarzy czuje ostre podmuchy wiatru, a pod sobą poruszające się rytmicznie nie potęgę zwierzęcia... zaraz, zaraz... a siodło? Je dziła konno na oklep? Jak chłopczyca z Dzikiego Zachodu albo Indianka ze starych filmów? Tak! Zupełnie jakby niczego innego w życiu nie robiła! Przypomniała sobie nagle dotyk szorstkiej sierści ocierającej się o jej uda. Zdumiona, przełknęła ślinę i poczuła nagle, że ma spocone dłonie. Serce zabiło jej szybciej. Potrzebowała głosu. Jak dopasować wizję do wszystkiego, co ją tutaj otacza? Do wizerunków smukłych, rasowych koni wyścigowych? Tych pięknych, najczystszej krwi wierzchowców prowadzonych przez odzianych w liberie stajennych? Dosiadanych przez eleganckich dżokejów w wietnie skrojonych bryczesach? Galopujących po wypielęgnowanych torach? W tych obrazach nie było szaleństwa... wolno ci... ryzyka. Wszystko wydawało się takie grzeszne. Uładzone. Przez konwenanse i towarzyskie etykiety.

Kolana ugięły się pod nią, opadła na krzesło stojące przy biurku Aleksa.

- To dobrze - mruknęła do siebie, ale nie była pewna, czy rzeczywiście powinna w to wierzyć.



Obite skór krzesło zaskrzypiało i Marla skuliła się odruchowo. Ale przecie nie próbuje robi niczego za plecami swojego m a, tłumaczyła sobie, po prostu musi znale odpowiedzi na kilka pyta . Tak szybko, jak to mo liwe. A jednak przegl daj c le cy na biurku kalendarz, nie mogła pozby si poczucia winy, jakby naruszała czyj prywatno .

- Głupia, to przecie twój m . Nie macie przed sob tajemnic.

Ale wiedziała, e to nieprawda. Czula, e jest inaczej, e maj przed sob wiele tajemnic, e yj w ród sekretów i kłamstw...

Do ! Sama doprowadza si do obł du. Jeszcze troch , a naprawd postrada rozum!

Wyprostowała si i dokładnie przejrzała kalendarz, czytaj c wszystkie zapisane w nim daty, miejsca i nazwiska w nadziei, e natknie si na co , na jak przypadkow notatk albo imi , które wyrwie jej pami z letargu.

Wypadek miał miejsce prawie osiem tygodni temu, wróciła wi c do dnia, kiedy jej ycie omal nie dobiegło ko ca.

Ale ta strona była czysta. Pusta.

- Cholera - mrukn ła pod nosem.

Czula si tak, jakby na trudnej i wyboistej drodze do odzyskania przeszło ci napotkała dodatkow przeszkod . Wi kszo kartek była pokryta notatkami pisanymi długopisem lub ołówkiem. Robiły je dwie osoby, ró nica w charakterze pisma była wyra nie widoczna. O lekcji jazdy konnej Cissy i kolacji u Robertsonów przypominały mi kkie, płynnie ł cz ce si ze sob litery. Terminy słu bowych spotka Aleksa i daty gier w golfa i squasha zanotowano bardziej zamaszystym, ostrym charakterem.

Wzi ła do r ki pióro i napisała na kartce swoje imi . Porównała swoje pismo z tym z kalendarza. Było inne, bardziej wyraziste i mniej porz dne ni pismo Marli... a mo e to ju

choroba psychiczna? Ponownie skreśliła na kartce swoje imię. Potem imię Aleksa. I Nicka.

Moje różnica została spowodowana wypadkiem. Tego nie można wykluczyć, ale ci głębiej czuła się jako dziwnie... niesamowicie... Pióro wypadło jej z dłoni.

Musi się pozbyć wrażeń, a co tu nie gra.

Czepia się nieistotnych szczegółów, bez żadnej przyczyny.

A co z podróży do Santa Cruz? Dlaczego w kalendarzu nie ma nic na ten temat?

Moje chciała odejść od Aleksa. Ale dziecko? I Cissy... A moje to był niezaplanowany wcześnie jej wypadek, nagła, niespodziewana decyzja? Nie. Nie zostawiłaby dzieci. Czuła, a co takiego zupełnie do niej nie pasuje. Zaniepokojona otworzyła kalendarz na czarną adresówkę. Jak brzmiały te nazwiska, które zdawała się już poznać? Robertson? Phil i jego żona, Linda, znajdowali się na liście. Lindquist... Joanna Lindquist, tak, ona też przysłała kartkę do szpitala. Joanna i Ted. Miller... Randy i Sonja. Oboje byli tu zapisani, ale później Sonji zostało wykreślone, jakby umarła albo wyjechała... Sztywnymi palcami przewróciła kilka kartek, szukając nazwisk zaczynających się na literę D. Miała nadzieję, że znajdzie tu Pam Delacroix, ale w kalendarzu nie było nikogo o tym nazwisku.

- Dziwne - wyszeptwała.

Zamknęła kalendarz, otworzyła go i zaczęła od nowa. Powoli, kartka po kartce, przejrzała całą czarną adresówkę. Moje nazwisko Pam zostało omyłkowo zapisane pod innym literą? Znalazła kilka osób, które przysłały jej kwiaty i życzenia: Bill i Sheryl Bancroft, Mario Dimetrius, Joanna i Ted Lindquist, i... Kylie Paris... W tym miejscu serce nagle zabiło jej mocniej. To nazwisko wydało jej się znajome... tak, zdecydowanie... jakby... jakby Kylie Paris była jej przyjaciółką lub krewną... kim bliskim i drogim. Ale adres i numer telefonu z niczym jej

si nie kojarzyły. My I, Marla, my I. Dlaczego imi tej kobiety wydaje ci si znajome, a cała reszta nie?

Ale nic nie przychodziło jej do głowy. adne wspomnienie, aden pomysł.

- Do diabła z tym wszystkim - mrukn ła i postanowiła wróci do tematu Pam Delacroix. Dlaczego nie została uj ta w tym wyczerpuj cym spisie przyjaciół i znajomych?

Bo nigdy nie istniała. Jest jednym wielkim kłamstwem.

Ta my I uderzyła j znienacka, jak cios młotkiem w głow .

Oczywi cie, e istniała, zaoponowała bardziej racjonalna cz jej umysłu. Tyle tylko, e teraz nie yje. Ty j zabiła . W jej własnym samochodzie! Wi c zacznij my le logicznie. Rusz głow . Dowiedz si , co naprawd wtedy zaszło, do cholery.

Pam istniała, była jej przyjaciółk , wi c w tym wielkim domu musi znale si co , co b dzie si z ni wi za .

W k cie biurka, pod wł czonym monitorem, cicho mruczał komputer. Marla nie wiedziała, czy ma do czasu, eby przejrze pliki. Postanowiła, e zrobi to pó niej, kiedy b dzie pewna, e nikt jej nie nakryje. Ale zaraz potrz sn ła głow .

- Nie wpadaj w paranoj - powiedziała do siebie - bo sko czysz w psychiatryku.

Dotkn ła klawiatury i wygaszacz ekranu znikn ł, ukazuj c kilkana cie ikon. Ze zdumiewaj c łatwo ci znalazła edytor tekstu i omal nie podskoczyła, dostrzegłszy napis: „Pliki Marli”. A wi c korzystała z tego urz dzenia! Dobrze. Co za ulga. Spróbowała otworzy ten katalog, wtedy jednak okazało si , e potrzebuje w tym celu hasła. Rozczarowana, przejrzała zawarto szuflad, szukaj c jakiej wskazówki, niczego jednak nie znalazła. Potem chciała dosta si do swojej poczty elektronicznej i napotkała ten sam problem. Spróbowała wszystkiego, co tylko przyszło jej na my I - swojego imienia, imion dzieci i m a, i nic. W ko cu dała za wygran . Siedziała

zniech cona, niecierpliwie stukaj c palcami w por cz krzesła, kiedy usłyszała kroki na schodach.

Nie wiadomo czemu, zerwała si na równe nogi, przewróciła kubek z logo Harvardu pełny długopisów i ołówków. Spadł z biurka, a cała jego zawarto wysypała si na podłog .

- wietnie.

W po piechu zebrała przybory do pisania i wsadziła je z powrotem do kubka.

W tej samej chwili usłyszała, e kto otwiera drzwi do apartamentu, a potem kroki zacz ły si oddala .

- Pani Cahill? - zawołał cicho kobiecy głos. - Głos, którego nie znała.

- Tutaj - odpowiedziała, zdecydowana zachowa spokój. - W gabinecie.

Wstała, wyszła na korytarz i zobaczyła otwarte drzwi pokoju Cissy po drugiej stronie schodów. Serce waliło jej jak młotem, dłonie lepiły od potu, ale postanowiła, e nie oka e zdenerwowania. To jej dom, do diabła, pokój jej m a. Ma prawo tu by . Dlaczego jednak czuje si jak intruz?

Kilka sekund pó niej szczupła kobieta o ciemnej skórze i błyszcz cych piwnych oczach wsun ła głow w drzwi gabinetu.

- Dzie dobry.

- Ty... ty pewnie jeste Carmen?

- Tak.

Marla czuła, e musi j przeprosi .

- Tak mi przykro, e...

- Wiem. Amnezja. Prosz si nie przejmowa . - Carmen weszła do pokoju. Je li zmiana w wygl dzie Marli zrobiła na niej jakiegokolwiek wra enie, zdołała to ukry . Miała na sobie w sk , granatow spódniczk i biały bluzk z r kawami podwini tymi do łokci. - Pani Eugenia przysłała mnie, ebym

sprawdziła, jak si pani czuje, i zapytała o kolacj .  
Przestraszyłam si troch , kiedy nie zastałam pani w sypialni.

- Wszystko w porz dku, czuj si dobrze. Wzgl dnie dobrze. Teraz wszystko jest wzgl dne. - Marla spojrzala na ekran komputera. - Pewnie nie znasz mojego hasła?

- Niestety nie. - Carmen potrz sn ła głow . - Nie przypominam sobie, eby cz sto u ywała pani komputera.

- A nie wiesz przypadkiem, gdzie mo e by moja torebka - ta, któr miałam ze sob w dniu wypadku?

Carmen zmarszczyła brwi, w zamy leniu zagryzaj c wargi.

- Nie widziałam jej... ani niczego, co miała pani ze sob tamtej nocy.

Marla, rozczarowana, wsun ła krzesło z powrotem pod biurko.

- A mo e wiesz, gdzie przechowywałam moje osobiste rzeczy, zdj cia z dzieci stwa albo zdj cia Cissy, z czasów, kiedy była mała?

- Oczywi cie. - Rozja niła si Carmen. - To akurat wiem.

- Naprawd ? - ucieszyła si Marla. To ju co . Niewiele, ale zawsze co , co mo e jej pomóc odzyska własn przeszło .

- Wszystkie albumy ze zdj ciami s w bibliotece.

- Mo e powinnam je przejrze . Aha, i jeszcze jedno... wiem, e to zabrzmia do dziwnie, ale czy mogłaby oprowadzi mnie po domu?

- Oczywi cie. A co z kolacj ?

- Ju czas na kolacj ? - Marla spojrzala w okienko w dachu i zobaczyła, e niebo ju ciemniej.

- Nie, kolacji nigdy nie podajemy przed ósm . Ale pani Eugenia lubi, eby wszystko było porz dnie przygotowane.

- Wierz - odparła Marla, my l c o swojej nieskazitelnej, dra liwej te ciowej. Przypuszczała, e Eugenii nigdy nie zdarzyło si nagi ani tym bardziej złama adnej ze swych

zasad. Była te pewna, e starsza pani nigdy nie zmienia raz podj tych decyzji.

- Jamesa nie ma w pokoju dziecinnym - powiedziała Marla, kiedy szły korytarzem. - Byłam tam.

- Jest na dole. Z Fion i pani Eugeni .

Dobrze. Jedno zmartwienie mniej.

Sprawnie, jak dyrektor muzeum, Carmen pokazała jej pokoje na trzecim pi trze - pomalowan na ółto sypialni Cissy, gdzie panował straszny rozgardiasz. Ksi ki, dyskietki, płyty kompaktowe i kolorowe pisma le ały porozrzucane po całej podłodze. Na toaletce stało mnóstwo słoiczków i tubek z kosmetykami, na cianach wisiały plakaty młodzie owych idoli... niektóre z ich twarzy wydały jej si znajome, ale nie mogła sobie przypomnie adnego nazwiska.

Kolejnym pomieszczeniem na pi trze był pokój go cinny. Marla szukała jakiego ladu obecno ci Nicka, ale oczywi cie niczego nie znalazła. Pokój był urz dzony dokładnie tak samo, jak jej sypialnia. Obrazy o kolorystyce pasuj cej do dywanu, idealnie dobrane zasłony i tapety, dyskretna elegancja i tchnienie luksusu - wszystko to wydawało si zbyt perfekcyjne. Sztuczne. Fałszywe. Marla nie wiedziała, dlaczego tak to odbiera, ale czuła, e jej ycie i ten dom s jedn wielk mistyfikacj .

- A gdzie pi Fiona? - spytała, id c za Carmen korytarzem.

- Pracownicy, którzy tu mieszkaj , maj pokoje na górze, na ostatnim pi trze - wyja niła Carmen. - Kucharka, pokojówka i pewnie ta osoba do opieki nad pani , kiedy si ju pojawi.

- Osoba do opieki? - powtórzyła Marla.

- Pan Cahill wynaj ł piel gniarza. Ma by do pani dyspozycji dwadzie cia cztery godziny na dob .

- Do mojej dyspozycji?

Carmen skrzywiła się i przewróciła ciemnymi, wyrazistymi oczami.

- Chyba nie powinnam była tego mówić .

- Nie, wszystko w porządku. Dowiedziałabym się o przemyśle czy coś innego. - Podeszły do windy. - Powiedziała „piel gniazdo”?

Carmen wyciągnęła rękę i weszła za Marlą do windy

- Wydaje mi się, że pan Cahill mówił o tym czy nie. Jaki Tom... o ile sobie przypominam, ale proszę mnie nie wydać .

- Nie wydam - obiecała Marla i po raz pierwszy poczuła, że udało jej się naprawdę nawiązać z kim kontakt w tym wielkim, piwnym i zimnym domu. Jej domu.

Wysiadły na drugim piętrze i ruszyły szerokim korytarzem, który, jak przypuszczała, był o rodkiem tego domu. Panował tu półmrok, tylko kilka lamp paliło się na stolikach umieszczonych pod sufitem. - Z niewidocznych głośników płynęła cicha muzyka. Na ścianach wisiały obrazy, bez wstęgien oryginały. Na podłodze z ciemnego drewna leżały wzorzyste chodniki, rozgałęziały się w kierunku kilku pokoi-

Marla weszła za Carmen do jednego z nich. Jak się okazało, był to salon. Stały w nim miedzy innymi kanapy i fotele, tworzyły kilka przytulnych zakątków, filodendron w wielkiej donicy, kilka okazałych paproci w różnej małości stolików i ceglany kominek wznosił się pod obitym miedzią sufitem, w którym odbijało się łagodne, miodowe światło lamp.

Carmen rozsunęła podwójne drzwi i pokazała Marli pokój muzyczny. Na ścianach wisiały tu stare instrumenty, a w kącie, pod wychodzącymi na miasto oknami, stał czarny koncertowy fortepian.

Kolejne drzwi prowadziły do biblioteki, gdzie oszklone półki pełne książek sięgały sufitu. Pod regałami, zahaczona o górny kant, stała drewniana drabinka na kółkach. W kącie, pod stojakiem z paproci, przycupniał globus, a pod wychodzącym na zatoką oknem stało akwarium pełne barwnych, egzotycznych ryb. Marla miała wrażenie, że nigdy nie miała w

rece adnej z oprawnych w skór księek, e nigdy nie stała tu przy oknie, patrz c na zatok , e nigdy nie siedziała na adnej z tych mi kkich pluszowych kanap... ale przecie mogła tego po prostu nie pami ta .

- Tu s albumy ze zdj ciami - powiedziała Carmen, wskazuj c półk w rogu.

Marla wzi ła pierwszy z brzegu, otworzyła go i zobaczyła dzie swojego lubu uwieczniony na fotografiach przed pi tnastu laty. Alex, wygl daj cy znacznie młodziej w czarnym smokingu, i ona w białej, koronkowej sukni z bardzo długim trenem. Ko ciół, przyj cie weselne, taniec, wielki biały tort. Cała rodzina, wszyscy z wyj tkiem Nicka. Nie było go na adnym z tych zdj . Ale on sam okre lił si przecie jako „banita”. Marla czuła, e w tej rodzinie był czarn owc . Buntownik. Wyrzutek. Człowiek yj cy według własnych reguł, cz sto pozostaj cych, jak si domy łała, w ra cej sprzeczno ci z zasadami wyznawanymi przez jego matk i starszego brata. Nic dziwnego, e wydał jej si interesuj cy, pierwotny i troch niebezpieczny.

Rozmy laj c o Nicku, przygl dała si uwiecznionym na zdj ciach członkom rodziny obecnym na przyj ciu weselnym. Eugenia, w kreacji barwy indygo, z dumnie uniesionym podbródkiem, stała koło siwowłosego, dystyngowanego m czyzny, wyra nie znudzonego uroczysto ci . Samuel Cahill, domy liła si Marla. I kolejne zdj cie, przedstawiaj ce dwoje starszych ludzi stoj cych koło młodej pary. Jej rodzice, bez w tpienia. Marl nagle co cisn ło w gardle. Kobieta, bardzo szczupła, miała krótkie ciemne włosy, przenikliwe oczy, spiczast brod i wyniosły wyraz twarzy. Ko cist figur tej damy opinała bladór owa suknia. M czyzna u jej boku był wysoki i mocno zbudowany, w typie Johna Wayne'a. Wci ni ty w elegancki, ciemny garnitur, wygl dał nienaturalnie. Jego u miech - je li tak mo na okre li ów



grymas - był wymuszony i sztuczny, jakby nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

Có , to chyba jednak nie taka ciepła, kochająca rodzina, jakiej teraz potrzebuję , pomyślała Marla, rozczarowana. Co gorsza, nie rozpoznała swoich własnych rodziców. Zwłaszcza ta kobieta wydała się jej zupełnie obca. Z niczym się nie kojarzyła, a jej m... nie... jego widok poruszył ją jak głucho ukryty strun w duszy Marli... to niejasne uczucie było bardzo nieprzyjemne. Nie, ten człowiek nie wzbudził miłych, ciepłych skojarzeń , wręcz przeciwnie... to była raczej niechęć ... a nawet gniew... głucho zakorzeniona nienawiść .

- Och, nie - szepnęła, czując, że robi jej się słabo.

- Pani Cahill? - Głos Carmen wyrwał ją z zamyslenia. -

Czy coś się stało? - spytała.

Marla, zmieszana, wróciła do rzeczywistości. Wyraz twarzy musiał odzwierciedlać jej myśli, bo uśmiech na twarzy Carmen ustąpił miejsca wyrazowi zaniepokojenia.

- Bardzo... bardzo mi przykro. To pewnie zbyt wiele dla pani jak na jeden raz. Nie powinnam być...

- Nie, nie, wszystko w porządku. Jestem tylko trochę zdezorientowana. I proszę , dojdź do tej „pani Cahill”. Mów mi po imieniu.

- Jeśli sobie życzysz...

Marla zamknęła album i odłożyła go na półkę .

- Tęgo właśnie nie sobie życzył . I pamiętaj, musisz wiedzieć . Wszystko.

- Oczywiście.

Na drugim końcu biblioteki znajdował się spory barek. Nad nim unosił się zapach brandy i dymu papierosowego. Przeszły przez korytarz, mijając po drodze lekko uchylone drzwi do pokoju. Marla zajrzała do rodzka i natychmiast domyśliła się , że musi to być pokój Eugenii. Poczowała ledwie uchwytny zapach jej perfum. Pod jedną z drzwi do łazienki, stało wielkie rzeźbione łóżko. Osłonił je muślinowy

firan drzwi balkonowe prowadziły na mały taras. W kącie znajdował się nieduży kominek, ozdobiony rycinie malowanymi kaflami. Obok stał antyczny sekretarzyk i mała, dwuosobowa kanapka.

- Czekać na pani tutaj - powiedziała Carmen, ujmując Marla pod ramię .

Wprowadziła ją do podługo pokoju z telewizorem, dwiema małymi kanapami i szeszlonym. Eugenia trzymała dziecko na kolanach; mały zdawał się rozglądać za czym szeroko otwartymi oczami. Marla uśmiechnęła się na widok jego łysawej główki.

- Dobry Boże, co ty zrobiła z włosami? - spytała Eugenia, wytrzeszczając oczy i z trudem chwytając powietrze, jak ryba wyjęta z wody.

- Przyszczygłam je trochę .

- Có ... dobrze... nie przejmuj się tym.

- Nie mam zamiaru.

- Zadzwoń do mojej fryzjerki. Jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciw temu, żeby wstąpiła po drodze i... - zatrzepotała rękami wokół własnej głowy - wyrówna coś nieco. - Eugenia szybko doszła do siebie, pochyliła się nad Jamesem i zaszczebotała wischcym, scenicznym szeptem: - Zobacz, kochanie, kto się w końcu obudził.

- Która godzina? - Marla przeszła przez pokój, usiadła koło tej ciowej i wyciągnęła rękę do dziecka.

- Już po czwartej, kochanie. Przespała prawie całą dobę . Jak się czujesz?

- Wciąż jestem trochę senna - przyznała Marla, ujmując małego pod brodę i marszcząc się trochę . Od zapachu dziecięcej zasypanki i oliwki zakręciło jej się w nosie. - Co porabiał mój mały chłopczyk, co? - spytała, odruchowo podnosząc trochę głosu.

- Marudził, oto co porabiał - odparła Fiona, wchodząc do pokoju. - Trzeba go nakarmić i przewinąć .

- Ja to zrobi .
- Ale... - zaprotestowała Fiona
- Zaufaj mi. Potrzebuj praktyki.
- James wcale nie marudził. Bolał go brzusek - sprostowała Eugenia.

Carmen stała w drzwiach.

- Pani Cahill powiedziała, że zje kolację razem ze wszystkimi.

- Naprawdę? - Eugenia uniosła jedną brew ponad górę oprawek okularów. - Na pewno już może? Doktor Robertson mówił, żeby jak najwcześniej odpoczywała.

- Nic mi nie będzie... jeśli tylko moja porcja zostanie wcześniej zmiksowana.

- O ile pamiętam tam, mamy dzień wstępną, ale dla ciebie zrobimy wyjątek. - Eugenia zachichotała pod nosem.

Na sam moment o normalnym jedzeniu Marli zaczęło burczeć w brzuchu. Przewinięła Jamesa, po czym wzięła butelkę z ręką sceptycznie nastawionej Fiony. Cały czas miała nieprzyjemne uczucie, a w rodzinie dzieje się coś złego.

Eugenia siedziała na kanapie w eleganckich pantoflach na wysokim obcasie i robiła coś w koszyku u stóp. Typowa czuła babunia. Na rozłożonym na podłodze kocu leżały dziecięce zabawki, a Fiona, choć z pewnością ci nie była najmilszą osobą pod słońcem, wydawała się kompetentną i spokojną. Wszyscy dbali o Marli i dobrze ją traktowali, a jednak w stosunku do każdego z nich miała pewne podejrzenia.

Czuła, że coś przed nią ukrywa, co o kluczowym znaczeniu.

Karmiła dziecko, na chwilę zapomniawszy o dręczących ją myślach. Lgnęła do tego maleństwa, które już ją zaakceptowało... przynajmniej w pewnym stopniu. Inaczej nie kudłata Coco, leżąca na poduszce koło koszyka Eugenie, patrzyła na Marli nieufnie, jakby była Mat Hari. Ciemne

oczka bacznie obserwowała każdy jej ruch i mimo karcących uwag Eugenii, suzka od czasu do czasu głucho powarkiwiała.

- Gdzie Cissy?

- Po szkole miała i z koleżankami na zakupy, a Alexander - Eugenia spojrzała na złoty zegarek - jeszcze nie wrócił z biura.

A Nick?, zastanawiała się Marla, ale nie zapytała o to. Krzywiła się, potarła obolałą szczękę.

- Już za parę dni usunę te druty - pocieszyła ją Eugenia, nie odrywając wzroku od robótki.

- Nie mogę się doczekać.

- Wyobraź sobie. W tym tygodniu masz wizytę u chirurga, który ci operował, i u chirurga plastycznego. Jeśli postanowi wyjąć druty, od razu przejrzy zębami, chociaż wygląda na to, że nie powinno być żadnych problemów.

- Panu niech będzie dzięki za te drobne radości.

- Poczujesz się jak nowa - oznajmiła Eugenia z uśmiechem.

Marla jednak nie czuła się jak nowa, raczej jak przerobiona. Zupełnie jak samochód, który nadawał się tylko do złomowania, ale ktoś, kto miał w tym swój cel, postanowił go uratować, powstrzymała jednak cisnącą się na usta słowa, usiłując jednocześnie nie pozbyć się wrażenia, że ktoś ją manipuluje. Bo kto miałby to być? I po co by to robił? Nie umiała odpowiedzieć sobie na te pytania, ale chociaż na chwilę oderwała się od nich, zaczęła bawić się z synem.

Dziecko jednak marudziło, a potem uderzyło w płacz. Fiona błyskawicznie przejęła inicjatywę, zabrała Jamesa i oświadczyła, że teraz czas na drzemkę. I znikła, zanim Marla zdążyła zaprotestować.

Zadzwonił telefon i po krótkiej chwili do pokoju weszła Carmen ze słuchawką w dłoni.

- To do pani - powiedziała do Marli. - Pani Lindquist.

- Nie musisz odbierać - zaczęła Eugenia, ale mimo to Marla wzięła słuchawkę z ręki Carmen.

- Halo? - wycedziła przez te idiotyczne druty unieruchamiające jej szczęki.

- Marla! Jesteś w domu! - Usłyszała pełen entuzjazmu, kobiecy głos. W tle panował głośniezy zgiełk rozmów. - Na pewno miała już do szpitala. Jak się czujesz?

- Jeszcze żyję.

- Co?

- Powiedziałam, że dobrze - powtórzyła głośniej.

- Przepraszam, jestem akurat w klubie. Straszny tu hałas, a twój głos brzmi jakoś dziwnie. To te druty, tak? W każdym razie chciałabym do ciebie wpaść. Kiedy mogę przyjechać?

- Kiedy chcesz - odparła Marla i kiedy tylko ją dostrzegła, jej słowa ust jej teściowej opadły w wyrazie dezaprobaty.

Eugenia pokręciła głową i wzięła z koszyczka nowopar drutów i kłębek koralowej włóczki.

- Możesz przyjechać do mnie?

- Oczywiście.

Czemu miałyby nie móc spotkać się ze swoimi przyjaciółmi? Eugenia przez chwilę poruszała bezgłośnie ustami, licząc czołkiem, potem rozległo się ciche stukanie drutów.

- Też jestem tego zdania, ale Alex był bardzo stanowczy. Mówił, że nikomu nie wolno odwiedzać cię w szpitalu. Próbowałam, mówi ci szczerze, ale nadziałam się na jakiego ochroniarza czy pielęgniarkę, prawdopodobnie członka wiatowego Związku Zapalników, czy jak to się tam nazywa. W każdym razie okazał się bardzo skuteczny. Nie wpuścił mnie do ciebie.

- Naprawdę? - Marla spojrzała spod oka na Eugenię, która wydawała się tak skupiona na swojej robótce, jakby od niej jakoś zależało jej życie. - To pewnie z powodu pić.

- Pewnie tak.

- Ale teraz bardzo chciałabym się z tobą spotkać - odrzekła Marla, chociaż w ten sposób nie była w stanie przypomnieć sobie twarzy Joanny. Kiedy ten okrzyk usłyszała, Eugenia znowu zacisnęła zęby i z dezaprobatą potrząsnęła głową. Postanowiła nie zwracać uwagi na te ciocię. - Moje dziecko wieczorem? Wpadnij na drinka.

Eugenia gwałtownym ruchem podniosła głowę nad robótki i zmarszczyła brwi.

- Jasne. Chyba nie byłaś mogła zostać długo, ale wracając, wstąpiła na chwilę, jak tylko skończyła tego seta. Powiedzmy... za jakie półtorej godziny?

- Właśnie. Czekam. - Rozłożyła się, zanim Eugenia zdołała wyartykułować swoje zdanie na ten temat. Mruknęła tylko coś pod nosem, a potem zaczęła przuwać ostatni rzędek robótki, jakby przez Marla zgubiła oczko.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała w końcu, znowu biorąc druty do ręki.

- Czemu nie?

- W twoim stanie nie są wskazane wzruszenia czy wysiłki. A poza tym nie wolno ci pić alkoholu, skoro cały czas jesteś na lekach.

- Nawet kieliszka wina?

- Ani kropli.

- Muszę się spotkać z moimi przyjaciółmi... a przy okazji, nie wiesz czasem, gdzie moja torebka? Ta, którą miałam przy sobie w dniu wypadku?

Eugenia westchnęła.

- Byłam ciekawa, kiedy o to zapytasz. Nie miała torebki, a przynajmniej policja jej nie znalazła. Nie miała ani torebki, ani torby podrónej. Nic.

- Ale na pewno...

- Wiem, wiem, to dziwne, ale tak właśnie nie było. - Eugenia niechcinnie odłożyła druty. - Jeszcze niczego nie ustalono.

Wiesz, ten wypadek... Mo e policja jednak ma twoj torebk .  
Mo e nas okłamuj .

- Niemo liwe... To znaczy, byłoby to bardzo dziwne.

- Czy by?

- Tak! Po co mieliby to robi ? Podejrzewaj mnie o co ?

- spytała Marla. W tej chwili telefon na jej kolanach nagle zadzwonił. Odebrała odruchowo. - Halo?

- Marla, wstała ju ? To dobrze. - Głos Aleksa brzmiał dziwnie ostro. - Wła nie rozmawiałem z detektywem Paterno. Charles Biggs zmarł dzi rano.

- Och, nie. - Miała wra enie, e zaraz rozsypie si na kawałki, e nie b dzie w stanie nad sob zapanowa . A wi c teraz ju niejedna, ale dwie osoby nie yj .

- Marla? Wszystko w porz dku? Chciałem tylko powiedzie wam, tobie i mamie, co si dzieje. S pewne w tliwi ci co do jego mierci. Mo e nie zmarł z powodu odniesionych obra e . - Urwał na chwil . -Policja podejrzewa, e to mogło by morderstwo, e kto mu pomógł rozsta si z yciem.

- Nie rozumiem - powiedziała Marla, nagle zrobiło jej si zimno.

- Ja te nie, ale chciałem ci ostrzec. - Alex był wyra nie poirytowany i zaniepokojony, słyszała napi cie w jego głosie. - Paterno nie popu ci, dopóki si czego nie dogrzebie. Ju kiedy miałem z nim do czynienia.

- Tak?

- Pami tasz... och, no oczywi cie, e nie... Wiesz, w szył kiedy wokół Cahill House... sytuacja jako sama si rozwi zała, ale długo nie mogłem si go pozby ... tak czy inaczej, lepiej si przygotuj, bo na pewno b dzie do ciebie dzwonił. I b dzie miał wi cej pyta . Du o wi cej.

- Ale ja nic mu nie mog powiedzie ...

- Wiem, wiem, ale b d ostro na.

- Przecie on jest z policji.

- Z Policji San Francisco. Ten wypadek miał miejsce w górach, daleko od miasta, a jednak Paterno zajmuje się ledztwem. Posłuchaj, po prostu mu nie ufam, rozumiesz? Panuj nad sobą ... i uważaj, co mówisz.

- Nie mam nic do ukrycia - stwierdziła. Wyczuła, że Alex zamierzał coś dodać, ale się zawahał. Serce podeszło jej do gardła. - A mam?

- Oczywiście cię, ale nie, kochanie. Nie chciałem cię zdenerwować. Bądź ostrożna, to wszystko.

Marla zadrżała z przerażenia, że bierze udział w czymś, czego nie rozumie. Skinęła głową, jakby Alex mógł to zobaczyć przez telefoniczne druty.

- Co się stało? - spytała Eugenia, sznurując usta.

Marla podała jej telefon, usiłując uspokoić rozdygotane nerwy. Co się z nią dzieje? Zrobiło jej się słabo na myśl o tym biednym człowieku, który najpierw cierpiał z powodu strasznych poparzeń, a potem umarł.

Przez nią.

Gorzej już by nie mogło, pomyślała. Jednak w głębi duszy czuła, że się myli. I to bardzo.

## 7

Fajna fryzura - powiedziała Joanna, stając w drzwiach. Chcąc dotknąć włosów Marli, wyciągnęła ku niej dłoń o szczyptach, ozdobionych pierścionkami palców.

- Dziękuj. Sama ci łam włosy.

- Tak to wygląda.

Wprawdzie Marla jeszcze całkiem nie ochłonęła po otrzymaniu od Aleksa informacji o śmierci Charlesa Biggsa, ale z uśmiechem poprowadziła przyjaciółkę do salonu. Joanna szła pewnie, jakby odwiedzała ten dom dziesiątki razy. Była drobna kobietką o krótkich, prostych i jasnych włosach,



ciemnych oczach i w skich ustach. Miała na sobie mi kki, biały dres, obszyty złot lamówk i białe tenisówki. Opalony ozdabiały złote ła cuszki, a na szczupłym nadgarstku nosiła tenisow bransoletk wysadzany brylantami. Marla patrzyła na jej twarz, szukaj c w rysach tej kobiety jakiej wskazówki. Miała nadziej , e mo e co jej si przypomni, ale była prawie pewna, e widzi t kobiet po raz pierwszy w yciu. Kolejne rozczarowanie.

Joanna opadła na jedn z kanap i opu ciła dłonie na kolana.

- I jak si czujesz?

- Lepiej, chocia ró nie bywa. Ci gle jeszcze cierpi na bóle głowy, a to - wskazała na druty - doprowadza mnie do szału.

- Ale to koniecznie . - Przerwały na chwil rozmow , kiedy Carmen wniosła butelk wina, dwa kieliszki i tac z owocami, serem i krakersami.

- Czy poda co jeszcze? - spytała, stawiaj c tac na stoliku do kawy.

- To powinno wystarczy . Dzi kuj .

Carmen wyszła, a Marla nalała wina do obu kieliszków i podała jeden Joannie.

- Wi c cierpisz na amnezj ?

- Zgadza si .

- Nie pami tasz mnie? - Joanna uniosła wygi te w łuk brwi i jakby chc c Marl rozbawi , zacz ła kr ci głow w prawo i w lewo, ukazuj c kolejno profil. - A teraz?

- Dalej nic, ale witaj w klubie. Nikogo nie pami tam.

- A niech to, ju my lałam, e jestem wyj tkowa.

Marla nie zdobyła si na u miech.

- Przykro mi. Ja... ja nie pami tam nawet... własnych dzieci. Czy to nie chore?

- W pewnym sensie jeszcze całkiem nie wyzdrowiała .

- Wiem, ale... - powiedziała Marla przez ci ni te gardło i potrz sn ła głow . - Cały czas powtarzam sobie, e przecie

jest coraz lepiej. Mam takie przebłyski pami ci... przypominaj mi si rzeczy, które robiłam, niektóre wiele lat temu, inne całkiem niedawno. Ale niestety nie mog powiedzie : „Tak, przypominam sobie ciebie”. Bo tak nie jest. Cholera. To takie dziwne. Nie pami tam w ogóle, ebym kiedykolwiek grała w tenisa.

- To dobrze. B d mogła udawa , e zawsze ci ogrywałam.

- A to nieprawda?

- Kompletna bujda. Przy twoim serwie zupełnie wysiadam. - Joanna popijała wino, przygl daj c si Marli znad kieliszka. Jej ciemne oczy błyszcząły. - To wróci, zobaczysz. Wszystko b dzie takie jak dawniej

- Moja twarz te ?

- Có , przynajmniej włosy.

Marla wreszcie si za miała.

- A je li chodzi o twój twarz... -Uniosła dło , rozstawiaj c palce, i zmru yła oczy, jakby była artyst mierz cym proporcje. - Hmm. To mo e troch potrwa - za artowała. - Wiesz przecie , e mój m jest chirurgiem plastycznym. Ted specjalizuje si w operacjach twarzy, głównie kosmetycznych, ale nie tylko. Pracowałam dla niego kiedy , pami tasz. - Urwała, marszcz c brwi. - No tak, nie pami tasz. Mo e i lepiej. To nie był zbyt szcz liwy okres w moim yciu. - Widz c zdeorientowan min Marli, wyja niła: - Ted był wtedy onaty. Ja byłam „t drug ”, t zł kobiet , która go jej ukradła. - Joanna uniosła brwi i u miechn ła si rado nie, dumna, jakby udało jej si wygra główn nagrod w jakiej trudnej konkurencji.

- Och.

- To było dwana cie lat temu. Wiele wody upłyn ło w rzekach od tego czasu. - Dotkn ła podbródka Marli jednym palcem, unosz c leciutko jej twarz, i przygl dała jej si uwa nie, z przechylon na bok głow . -Teraz jeste bardzo

zmieniona, ale moim zdaniem - we pod uwag , e znam si na tym - kiedy zniknie opuchlizna i siniaki, znowu bdziesz pi kna. Ale inaczej.

- Mo e lepiej?

- Mo e, ale akurat tobie adne poprawki nie były potrzebne. Zawsze wzbudzała u m czyzn wi cej zainteresowania, ni ci było trzeba.

- Co? - Tego si nie spodziewała. Jednak czuła, e to mogła by prawda.

- O tak, zawsze... no wiesz, faceci ogl dali si za tob - stwierdziła Joanna troch zjadliwie, w jej głosie wyczuwało si nutk zazdro ci.

Marla zacz ła si zastanawia , jakiego rodzaju przyja ł czyła j z t kobiet .

I jakiego rodzaju kobiet była sama. Joanna nie mówi tego wprost, ale wyra nie daje jej do zrozumienia, e z upodobaniem pławiła si w m skiej adoracji, a nawet, by mo e, sama jej szukała.

Na t my l zrobiło jej si nagle niedobrze.

- Przykro mi z powodu Pam - powiedziała Joanna, si gaj c po truskawk . - Wiem, e była twój przyjaciółk .

- Twój te , prawda?

- Moj ? Nigdy nie miałam okazji jej pozna .

- Przecie nale ała do klubu.

- Tak? - Joanna zmarszczyła brwi, jakby rzeczywi cie si nad tym zastanawiała. - Nie... nie s dz . To znaczy, ja nigdy jej tam nie widziałam.

- Wi c nie grywałam z ni w tenisa?

- Nie... a w ka dym razie ja nic o tym nie wiedziałam. Inna rzecz, e min ło troch czasu. Najpierw wyjechała ... w podróż do Meksyku, o ile pami tam, a potem zaszła w ci , wi c... có , ja nigdy nie grałam z ni w tenisa, a ty była w naszej lidze... prawd mówi c, nie przypominam sobie, eby kiedykolwiek o niej wspominała. Dowiedziałam si , e była

twoj przyjaciółk dopiero po tym wypadku. - Wzruszyła ramionami. - Ale to duży klub, ma wielu członków. Nie znam wszystkich. Ale z naszej paczki te nikt nigdy jej nie poznał.

Marl ogarnął nagle zimny strach. Była pewna, że albo Alex, albo ten policjant powiedział, że grywała z Pam Delacroix w tenisa... a może to sobie wymyśliła? Może rozkojarzony umysł płała jej takie sztuczki?

Wszystko jest takie frustrujące. Istnieje tylko jeden sposób, żeby sprawdzić, co jest prawdą.

- Pewnie nie masz przy sobie klubowej książki adresowej?

- Hmm. Mam. - Joanna oblizała palce i energicznie pokiwała głową, jakby bardzo chciała się na coś przydać. Odstawiła kieliszek i zaczęła grzebać w swojej torebce, wielko ci torby podróżnej. - Chyba tylko zdołała ją znaleźć. - Przeszukała kilka przegródek, po czym otworzyła zapinaną na zamek błyskawiczny kieszonkę i wyjęła z niej książkę. - Voila! - wykrzyknęła, rzucając ją na stolik. - To naprawdę cud, że w tym bałaganie w ogóle mogła ją znaleźć!

Marla, czując się trochę nieswojo, otworzyła książkę na literze D i przejrzała nazwiska. Żadnego nie знаła. Żadne nie wzbudziło najbardziej mglistych nawet wspomnień. Nazwiska ani numeru telefonu Pam Delacroix nie było na liście. Jakby nigdy nie istniała.

- Cholera - zaklęła cicho, chociaż włączyła nadzieję, że tak będzie.

Przejrzała książkę jeszcze raz. Wolniej. I jeszcze raz. Niewiele to dało.

- Nic, prawda? - Joanna ukroiła kawałek sera i położyła go na krakersie. - Mówiłam ci, nigdy o niej nie słyszałam. Rozmawiałyśmy o tym, Robin, Nancy i ja - ale żadna z nas nigdy nie słyszała, żeby wspominała Pam. - Włożyła krakersa z serem do ust. - Wiesz, grywałyśmy razem w debła kilka razy

w tygodniu. Gdyby o niej mówiła, która z nas musiałaby o tym pamiętać, nie dzisiaj?

- Ale przecie byłam z nią tamtej nocy, a teraz... teraz ona nie żyje. Ten nieszczytny kierowca cię arówki te .

- Zmarł? - spytała Joanna i wzdygnęła się, marszcząc nos. - Có , biorę pod uwagę jego stan, może to lepiej.

Powiedz to jego rodzinie, pomyślała Marla, której na sam myśl o tym robiło się słabo.

- Jest mi z tym tak... ciężko.

- Wiem.

Wiesz? Doprawdy? Jak to może być? Dwoje ludzi straciło przez ciebie życie, a ja nawet tego nie pamiętam! Marla cisnęła kieliszek tak mocno, że omal go nie zmiażdżyła. Powstrzymała słowa, które miała już na końcu języka. Mimo wszystko Joanna jest jej przyjaciółką, przyszła zaoferować wsparcie i jest jej najbliższym przyjacielem ze światem zewnętrznym.

Joanna nadgryzła kolejnego krakersa i zmarszczyła lekko cieniutkie, starannie wyskubane brwi.

- A tak naprawdę, jak się teraz czujesz?

- Bardzo kiepsko.

Mimo ostrzeżeń Eugenii Marla wypijała łyk zimnego białego wina. Nie powinna pić alkoholu - no i co z tego? Czy to wino zniszczy jej mózg, czy coś w tym rodzaju? Czy nie odzyska pamięci? Będzie się czuła jeszcze bardziej zdezorientowana? Co z tego? W nadziei, że może które z nazwisk członków klubu z kim lub czym jej się skojarzy, jeszcze raz przejrzała księczkę adresów. Niektóre z nazwisk wydały jej się znajome, ale żadne nie kojarzyło się jej z konkretną twarzą. Smith, Johnson, Walters - to wszystkie popularne nazwiska, nie przypominały jej jednak żadnych osób.

- Ale, jak już mówiłam, ma być coraz lepiej.

- Miejmy nadzieję. - Joanna uniosła kieliszek w lekko drżącym toaście, po czym skierowała wskazujący palec na dłoń Marli. —A co się stało z twoim pierścieniem?

- Mam go na r ce.
- Nie, nie z obr czk , z drugim pier cionkiem, tym z rubinem. Dostała go od ojca i nigdy nie zdejmowała , mówiła , e przynosi ci szcz cie.
- Nie wiem... - Tarła palec, przygl daj c mu si uwa nie, jakby chciała dostrzec lad po pier cionku, który podobno nosiła od wielu lat... ale adnego ladu nie było.
- Chyba ci go nie ukradli? W szpitalu? To si czasami zdarza.
- Nie wiem... miałam tylko ten. - Marla czuła si coraz bardziej zagubiona.
- Có , sprawd to. To był stary pier cionek, bardzo cenny. Podobno wart fortun A teraz, kiedy twój ojciec jest taki chory i w ogóle, wiem, e b dziesz chciała zachowa go na pami tk . - Dotkn ła jej ramienia. -Jak on si czuje?
- Jeszcze go nie widziałam - przyznała Marla, z poczuciem winy.
- Wiem, e si o niego martwiła - powiedziała Joanna. - Rozmawiały my przez telefon, mówiła , e boisz si , i ojciec nie doczeka narodzin Jamesa.
- Jest... jest tak ci ko chory? - spytała Marla, zdumiona, e Alex jej tego nie powiedział.
- Mówiła , e zostało mu najwy ej kilka tygodni... a to było ponad miesi c temu.
- Marla miała wra enie, e krew w jej yłach ci ła si w lód.
- Jest umieraj cy?
- Joanna spojrzała na ni z trosk .
- Có , tak. O tym chyba te zapomniła ..
- Na to wygl da.
- Joanna dopiła wino jednym haustem i spojrzała na zegarek.
- Słuchaj, wiem, e niedługo zabawiłam, ale naprawd musz ju lecie . Musz odebra dzieciaki z tae kwon, rozumiesz.

- Dzi ki, e wpadła .

- Nie ma sprawy. Dzi kuj za wino... ale, ale, mo e zjadłaby z nami lunch, jak ju pozb dziesz si tych drutów? Robin i Nancy tak e bardzo chciałyby si z tob spotka . Mogłyby my zagra w tenisa, a je li nie b dziesz jeszcze w formie w bryd a, albo po prostu posiedzie i pogada . Na co b dziesz miała ochot .

- Och, z przyjemno ci - odparła Marla. - Ta elegancka ozdoba dentystyczna ma znkn ju w tym tygodniu. - Pami tała, e wygl da okropnie, ale postanowiła si nie ukrywa . To przecie jej przyjaciółki, a ona teraz potrzebuje przyjaciół, eby pomogli jej przebrn przez te problemy.

- Dobrze. Zajm si tym.

- Dzi ki.

- Marla? - Joanna poło yła jej dło na ramieniu. - Naprawd szczerze ci współczuj . Jak si wali, to z ka dej strony. Najpierw problemy w Cahill House, a teraz wypadek... to rzeczywi cie ponad siły jednego człowieka.

- Jakie problemy?

Joanna nagle zarumieniła si a po korzonki jasnych włosów. Wygl dała na strasznie zakłopotan .

- Och, pewnie prasa tylko tak to rozdmuchała... no, do zobaczenia. Nie zapomnij sprawdzi , co z tym pier cionkiem!

Pomachała r k i pospiesznie wyszła. Marla czuła dziwny uciski w oł dku. Pragn ła z całych sił dowiedzie si czego wi cej o sobie. Du o wi cej. Stoj c przy oknie, patrzyła przez mokr od deszczu szyb , jak Joanna wsiada do jaskrawoczerwonego BMW. Kilka sekund pó niej sportowy samochód z rykiem silnika przejechał przez bram .

- Joanna Lindquist to mija - odezwała si za jej plecami Eugenia.

Marla podskoczyła. Nie słyszała, jak te ciowa weszła do pokoju.

- mija?- powtórzyła. Odwróciła si i zobaczyła, e Eugenia gniewnie wpatruje si w okno. - Dlaczego?

- Wstr tna plotkara, gotowa uk si , kiedy si tego najmniej spodziewasz. Biały mie z wielkimi ambicjami. Zagi ła parol na Teda Lindquista i doprowadziła do rozpadu mał e stwa o dwudziestopi cioletnim sta u, nie ogl daj c si ani na biedn Frances, ani na dzieci. - Eugenia westchn ła gło no, odsun ła si od okna i zdj ła okulary. Zacz ła przeciera szkła wyci gni t z kieszeni haftowan chusteczk do nosa. -Wiem, e nie powinnam plotkowa , ale Frances była moj przyjaciółk .

- Joanna wspomniała co o problemach w Cahill House.

- Słyszałam - westchn ła Eugenia. Marla była ciekawa, ile jeszcze jej te ciowa usłyszała. A mo e podsłuchiwała pod drzwiami? - Cóż , chyba powinna zna prawd .

- Byłoby miło - przyznała Marla sarkastycznie.

Eugenia wło yła okulary i opadła na swój ulubiony fotel. W tej chwili wygl dała na star i zm czon .

- To przykra sprawa. W ubiegłym roku zacz to podejrzewa dyrektora tego domu, duchownego, oskar ono go... o romans z jedn z dziewcz t. Niczego nie udowodniono, wycofano wszystkie oskar enia, a nazwiska tej dziewczyny, która wtedy była jeszcze niepełnoletnia, nie podano do wiadomo ci publicznej. Ale wiesz, jakie to s sprawy. Prasa rozdmuchała to ponad miar . Alex zaj ł si wszystkim, oczywie cie, ale plotki zrobiły swoje. Zepsuły reputacj tego zakładu. - Wytarła chusteczk k cik oka, chocia Marla była pewna, e nie pojawiła si w nim ła. - To wszystko wydarzyło si jakie półtora roku temu. - Eugenia wsadziła chusteczk do kieszeni i wło yła okulary. - Ludzie pokroju tej mii karmi si takimi plotkami, nie pozwalaj o nich zapomnie . - Spojrzała na Marl . - Zapewne dlatego, e sami nie maj czystego sumienia i zawsze odczuwaj ulg na my l, e komu innemu grunt pali si pod nogami. No, ale zostawmy



to na razie - powiedziała, ko cz c temat. - Nie s dzisz, e przed kolacj powinna troch odpocz ? - Spojrzała na zegar stoj cy w holu. -I chyba czas na twoje leki. S dz , e Carmen ju ci je przygotowała i zostawiła w sypialni.

Marla chciała si sprzeciwi , ale postanowiła nie marnowa cennej energii. Czwała zm czenie, znowu zaczynała j bole głowa.

- Carmen ci pomo e.

- My l , e sama sobie poradz .

- Lepiej nie przesadzaj - poradziła Eugenia, spogl daj c z dezaprobat na kieliszek z resztk wina, ale na tym zako czyła swoje pouczenia. - Alex wynaj ł piel gniarza. Zaczyna dzisiaj.

- Nie potrzebuj piel gniarza.

Eugenia wstała z fotela, u miechaj c si wyrozumiale. Rzekła tylko:

- Zobaczymy. -I wyszła z pokoju.

Marla, mimo nasilaj cego si bólu głowy, udała si najpierw do biblioteki i zabrała stamt d kilka albumów ze zdj ciami do sypialni.

Siedz c na łó ku, posłusznie wypila sok w nadziei, e ból głowy wkrótce ust pi. Zrzuciła pantofle, a potem w lizgn ła si pod kołdr i zacz ła przegl da albumy. Widziała ju swój lub i wesele, teraz przeszła wi c do zdj z pierwszych lat swojego mał e stwa z Alekssem. Oto ona, w eleganckim kabriolecie, z Alekssem u boku. A tu na tropikalnej pla y, opalona, ze szklank w dłoni. I z raket tenisow na korcie, a tu z Cissy... i tym m czyzn , o którym teraz wiedziała, e jest jej ojcem. Trzymał mał na kolanach, bez u miechu patrz c w obiektyw. Nie podobał jej si . Nie lubiła go. Teraz ju miała pewno . Nigdy go nie lubiła. Wiedziała, e był zimny i obcy, a do kobiety o talii osy i zawsze zmarszczonych brwiach, która była jej matk , nic nie czuła.

My l, Marla, my l. Ogl dała zdj cia tego m czyzny stoj cego na równo przystrzy onym trawniku na tle wielkiego

domu z czerwonej cegły, w stylu georgia skim, z białymi kolumnami wspieraj cymi obszerny ganek. rodkowa cz domu miała trzy kondygnacje, dwa boczne skrzydła były ni sze. Czy to naprawd był dom, w którym dorastała?

Marla, walcz c z senno ci , odwracała kart za kart , a ilekro na zdj ciach pojawiał si jej ojciec, co si w niej kurczyło, co ciskało j za serce, jakby... jakby nic, czego w yciu dokonała, nie było w stanie go zadowoli .

- To szale stwo - szepn ła, mrugaj c powiekami, by odeгна sen. Jednak zm czenie zwyci yło. Zepchn ła albumy na bok i opadła na poduszki. Zdrzemnie si troch , a potem, kiedy ju wróci jej jasno my lenia, poradzi sobie ze wszystkim. Kiedy zapadła w sen, ujrzała mnóstwo ludzi bez twarzy. Otaczali j , poruszaj c ustami, nad którymi nie mieli nosów ani oczu, mieli si i artowali, tylko ona nie brała udziału w ich wesoło ci. Była w ród nich obca. Samotna. Słyszała głosy, ale sama nie mogła przemówi . Jakby była niewidzialna... gdzie daleko płakało dziecko... a jaki głos, głos, który powinna rozpozna , mówił:

- Wiem, wiem, ale od tej chwili po prostu mnie b dziesz mówi , kto dzwonił, a ja jej to przeka . Nie podawaj jej telefonu. Jeszcze za wcze nie, zreszt dla niej to takie kr puj ce. Wygl da okropnie. Biedactwo, z tymi drutami w ustach trudno jej mówi . Naprawd , to dla jej dobra.

Marla chciała zaprotestowa ... ta kobieta mówiła o niej. Dziecko przestało płaka i Marla przekr ciła si na brzuch. Była taka zm czona, tak strasznie zm czona. Kiedy si obudzi, załatwi swoje sprawy, ludzie wokół niej znowu b d mieli twarze... kiedy ju wstanie...

- Wi c z Twardzielem wszystko w porz dku? - spytał Nick, siadaj c na brzegu hotelowego łó ka i zrzucaj c buty. Przyciskaj c słuchawk ramieniem do podbródka, rzucił si na łó ko i spojrział na sufit.

- Tak jak ci mówiłem - odparł Ole. - Grzeczny jest, tyle e wyłazi na drog patrze , czy nie wracasz.

- My lałem, e wróc wcz e niej - tłumaczył Nick - ale to mo e jeszcze troch potrwa .

- Na to wygl da.

Nick zmarszczył brwi na my l o tym, jak g ł boko utkn ł w tej całej historii. Ale wła ciwie przecie wiedział, e tak b dzie. Jak zawsze, kiedy w gr wchodziła ta kobieta. Dziwnie było widzie j w szpitalu, ca ł opuchni t i posiniaczon , czu dawn gorycz mieszan z lito ci , któr teraz wzbudzała. Biedna, mała bogata dziewczynka. Albo raczej biedna, wredna bogata dziwka.

- Nie masz si co martwi o Twardziela - mówił Ole. - Nie ma tu le. „Notoriousa” te dogl dam jak swojej łajby.

- Dzi ki. - Ci gn c za sob sznur telefonu, Nick podszed ł do okna wychodz cego na Haight Street. - Dam ci zna , kiedy wracam.

- Dobra - powiedział Ole i odło y ł słuchawk .

Nick potarł kark. Od chwili, kiedy zobaczył Aleksa na parkingu koło przystani, y ł w dziwnym napi ciu, które z ka dym dniem stawało si trudniejsze do zniesienia. Spojrzał w stron wzgórz. Gdzie tam, w tym wielkim domu, Marla powoli dochodzi do siebie i, miejmy nadzieję , wkrótce odzyska pami . On osobi cie wolałby zapomnie o pewnych wydarzeniach ze swojego ycia, ale nie potrafił. Wspomnienia gor cej, gładkiej skóry i jej zmysłowego zapachu czały si tu pod powierzchnią jego wiadomo ci, gotowe w ka dej chwili znowu nim zawładn . Marla była najbardziej prowokuj c kobiet , jak znał. Jedy n , która naprawd załazła mu za skór .

Niezale nie od okoliczno ci, ilekro byli razem, w powietrzu a iskrzyło od gor cych spojrze , od erotycznych niedomówie , od lekkich jak skrzydło motyla, pozornie przypadkowych dotkni jej smukłych palców, które czuł na

karku. Nigdy adna kobieta nie zrobiła na nim takiego wra enia. Ani przedtem, ani potem.

Był tak głupi i za lepiony, e s dził, i to nie ona, ale oni, ich dwoje, zespoleni w jak kosmiczn jedno . Mylił si , oczywi cie. A był ju dorosły i powinien wiedzie lepiej. Dwadzie cia cztery lata. Tak, zdecydowanie nie był ju dzieckiem, jednak kiedy ona znajdowała si w pobli u, tracił rozum.

- Cholera - mrukn ł pod nosem, odkładaj c słuchawk .

Miał by dzi w domu na kolacji. Był to rozkaz Eugenii, zgrabnie uj ty w form zaproszenia na wspólny, rodzinny posiłek. Przeczesał włosy palcami i w tej samej chwili usłyszał ciche pukanie do drzwi.

Jednym skokiem znalazł si przy drzwiach i szybko przekr cił galk . Na korytarzu, unosz c mał pi stk , by jeszcze raz zastuka do drzwi, stała Cherise.

- O Bo e, ju si bałam, e ci nie ma - powiedziała i nie czekaj c na zaproszenie, weszła do pokoju, roztaczaj c silny zapach perfum, który wydał mu si znajomy, jakby dawno temu znał kogo , kto ich u ywał.

Cherise była zdenerwowana, cho udawała chłód. Miała na sobie czarn skórzan kurtk , czarne d insy i czarny sweter. Jasne włosy zaczesaa do tyłu i spi ła błyszcz cymi spinkami, a twarz umalowała zdecydowanie zbyt mocno. Złotobr zowe oczy, grubo obwiedzione czarnym tuszem, patrzyły mu teraz prosto w twarz. - Przyszłam tu, poniewa chc z tob o czym porozmawia .

- Zaraz, zaraz, a sk d wiedziała , gdzie si zatrzymałem? Cherise poło yła mokry parasol pod stołem i wzruszyła ramionami.

- Monty jako si dowiedział.

- Jak?

- Naprawd nie wiem... on ma swoje sposoby.

Cokolwiek to znaczy. Ale Montgomery Cahill zawsze był liskim typem. Wuj Fenton mawiał, że w żyłach jego syna płynie trochę krwi węża. Nick wierzył w to bez zastrzeżeń. Sądził też, że ta genetyczna skaza dotyczy kogoś, kto nosi nazwisko Cahill, ale ugryzł się w język. Cherise usiadła w fotelu koło okna i wyjrzała na zewnątrz przez szparę w zasłonie.

- Masz ochotę na drinka?

- Nie, dziękuję, ja... nie pij alkoholu, odkąd przyjechałam na nauki Jezusa. - Cherise stanowczo potrząsnęła głową. - Spinki podtrzymujcie jej włosy załóżcie światła lampy.

wietnie.

- Ale nie masz nic przeciw temu, żebym ja się napił?

- Oczywiście, że nie. Staram się nikogo nie oszukać.

- Dobry pomysł - odparł, dobrze pamiętam jej skłonność do marihuany, LSD, speedu i innych świństw w czasach, kiedy była jeszcze nastolatką. W końcu uzależniła się od kokainy i miłośniczka numer dwa a miłośniczka numer trzy przeszła odwyk. Teraz, jak się zdaje, odnalazła Boga za sprawą swojego ostatniego miłośnika. Nick otworzył barek i wyjął puszkę piwa.

- Wiem jaki jest powód twojej wizyty? - Otworzył puszkę i przysiadł w nogach łóżka.

- Chodzi o Marla. - Cherise siedziała na brzegu fotela, jakby w każdej chwili była gotowa uciec.

- Tak? A konkretnie o co?

- Cóż, miałam nadzieję, że porozmawiasz z Alekssem i skłonicz go, żeby pozwolił mi ją odwiedzić.

- Rozmawiałem już z nim na ten temat. Alex uważa, że to nie jest dobry pomysł.

- Ale my przecież należymy do rodziny - powiedziała Cherise. - Wiesz, że ja i Marla zawsze byłyśmy sobie bliskie.

To zupełnie nowa wiadomość. Albo po prostu kłamstwo. Pociągnął długi łyk ze swojej puszkę.

- Nie wiedziałem.

- Daj spokój, Nick. Na pewno pamiętasz, że trzymałyśmy się razem, kiedy... kiedy jeszcze była z tobą.

- Naprawdę sobie nie przypominam.

- Ale to prawda. Zaliczałam ją zawsze do moich najlepszych przyjaciółek. - Cherise bawiła się nerwowo zapięciem swojej małej torebki, drobne palce o pomalowanych fioletowo paznokciach zapinały i otwierały złoty zameczek. Klik, klik, klik. - A teraz Alex nie pozwala mi się z nią zobaczyć. Nie wiem, czy chodzi tylko o mnie, czy o wszystkich jej przyjaciół, ale to niesprawiedliwe.

- Alex jest przeciwny wszelkim odwiedzinom. Nie sądzę, aby mógł go przekonać.

- Wiadco spróbuj go obejść, na lito boska! Powiedz Marli, że chce się z nią zobaczyć.

- To przywiń zanie, czy te przyjaciółki, jak wywisz dla Marli, nie ma oczywiście nic wspólnego z hałasem, jaki ty i Monty robicie wokół faktu, że zostaliście wydziedziczeni?

Czy mu się tylko wydawało, czy istotnie jej rence nagle się zwiżyły?

- Przypuszczam, że tak przedstawia to Alex.

- Owszem. - Pijcie piwo, zauważyła, że Cherise zaczęła się denerwować. Jej ładną twarz wykrzywiła nagle złość.

- Naprawdę tak sądzisz? - powiedziała z wyraźnym niesmakiem, rozpaczliwym gestem wyrzucając jedną rękę w powietrze. - To zupełnie inna sprawa. - Westchnęła ciężko. - Wiem, że Alex jest twoim bratem, ale na twoim miejscu nie ufałabym mu ani trochę.

Nie ufam mu, pomyślał Nick.

- Dlaczego?

- Dlaczego, dlaczego... Dlatego, że sprowadził firmę na skraj przepaści, i dlatego, że jest kłamcą. Zawsze był, i już się nie zmieni. Jest czujny. Ma wiele do ukrycia. Nie uwierzyłby, gdyby poznał niektóre z jego ciemnych spraw.

- Ale ty je znasz?

- Niektóre - przyznała Cherise, patrz c na niego wyzywaj co. - Ale nie wszystkie. Nikt nie zna wszystkich tajemnic Alexandra Cahilla. Nawet jego ona.

- Pewnie uważasz, że przydałoby mu się trochę wiary.

- Jak ka demu. - U miech Cherise był równie sztuczny, jak rz sy, którymi niewinnie zatrzepotała. - Nawet tobie, Nick.

- B d o tym pamiętała.

- Jezus wybacza nam wszystkie nasze grzechy. Mnie. Aleksowi. Tobie.

Nick przekrzywił głowę i spojrzał na kuzynkę spod oka.

- No, nie wiem, Cherise, lista moich grzechów jest do długa. Zabrałoby to mu sporo czasu. - Na dowód poci gn ł długi łyk piwa.

- Zaufaj mi. Jest bardzo cierpliwy.

Nick roze miał się i otarł usta wierzchem dłoni. Cherise miała w sobie coś, co zawsze mu się podobało; choć z drugiej strony zazwyczaj była jak wrzód na dupie. Zmienna jak kameleon, potrafiła bezbł dnie wtopi się w ka de otoczenie, czy była to zbiórka dru yny harcerskiej, impreza narkotykowa, czy, ostatnio, wiat warto ci chrze cija skich.

- Chciałabym się spotkać z Marl . - Wstała, się gaj c po swój parasol. - Mo e mógłby to zaaran owa .

- Porozmawiam z nią .

- Jak ona się czuje? - zapytała Cherise z troską, jakby naprawdę ją to interesowało, choć Nick zauważył, że zrobiła to dopiero po dobrym kwadransie.

- Dochodzi do siebie.

- To dobrze. Zadzwoni do mnie. Teraz prawie cały czas jestem w domu. Numer ten, co zawsze. - Pogrzebała w swojej torebce i wyciągnęła wizytówkę. - Proszę. - Wetknęła mu w dłoń kartonik. Nick zauważył zło one jak do modlitwy r ce w jednym rogu, a w drugim imię, nazwisko, adres i numer telefonu Cherise wraz z danymi jej męża, wielbego Donalda, i adresem kościoła, do którego należała. - Wiedz także -

poło yła drobn , mi kk r czk na jego dłoni - e modl si za Marl . Za Aleksa. Za ciebie. Donald tak e si modli.

- Czy to nie krzepi ce? - zadrwił.

- Owszem, tak, je li nad tym zastanowi .

- Do diabła, Cherise, chyba marnujecie czas. - Poło ył wizytówk na stoliku koło telefonu. - Jestem zatwardziałym grzesznikiem. Nie pami tasz?

- Zagubiona owieczka...

- Raczej wilk w owczej skórze.

- Nie przekonasz mnie, e nie warto si za ciebie modli , Nicholas.

- Wiem, nawet o tym nie marz .

- Jeste niemo liwy.

- Robi , co mog .

- Wiem. - Ruszyła do drzwi, Nick poszedł za ni . -

Nast pnym razem - powiedziała, ciskaj c mocno swój parasol - postaram si namówi Montgomery'ego, eby przyszedł ze mn do ciebie.

- wietny pomysł. Nie widziałem go od dziecka.

- Nic si nie zmienił - powiedziała, a jej oczy jakby troch pociemniały. - Ci gle odgrywa rol niegrzecznego chłopca. Walczy ze swoimi demonami.

- Domy lam si , e jeszcze nie odnalazł Pana. - Nick dobrze pami tał upodobanie kuzyna do szybkich kobiet, szybkich samochodów i całego wachlarza nie zawsze legalnych farmaceutyków.

- Pracuj nad nim. Donald te .

Powodzenia, pomy lał Nick.

Cherise zmieniła temat.

- Miło b dzie znowu zobaczy Marl . Min ło tyle czasu. Ró nie jej si układało z Alekssem. Kilka razy chcieli si nawet rozwie .

- Doprawdy? - To było co nowego.



- Tak, tak to wygl dało. Raz czy dwa razy... ale nie powinnam plotkować . To ich sprawy, ale modl się za nich.

- Nie w tpi .

- Chciałabym odnowić znajomość z Marl . Ona teraz pewnie czuje się okropnie. Słyszałam w radio, że ten kierowca ci arówki te zmarł.

Nick kiwnął głowę . Alex już zadzwonił, żeby mu o tym powiedzieć .

- Nie wiedziałem, że Alex i Donald są ze sobą tak blisko.

Cherise odwróciła wzrok i przełknęła łzy .

- Nie są . Ale Donald pracował przez jakiś czas dla Cahill House, był nawet w zarządzie. Kiedy był te pastorem w Bayside. To cudowny człowiek, Nick, prawdziwy chrześcijanin. Zawsze spieszy z pomocą potrzebującym - powiedziała szybko, a potem, jakby nagle zapragnęła już wyjść, chwyciła za gałkę . - Dowiedz się tylko, czy mogłabyś z nimi zobaczyć, dobrze? - I dodała po chwili wahania: - Miło było się z tobą spotkać, Nick. Naprawdę . - Zagryzła wargi, jakby w obawie, że zaraz wyrwie jej się coś, co nie powinno, i dotknęła dłoni jego policzka. - Uważaj na siebie - rzuciła i wyszła, zostawiając po sobie zapach perfum.

Nick dokończył piwo jednym haustem, zgniótł puszkę i wyrzucił ją do kosza, cały czas zastanawiając się, o co tak naprawdę chodziło Cherise.

Nie, nie kupi tej bajeczki o siedzeniu przy łóżku Marli i czytaniu jej na głos Biblii. Mowy nie ma. Wyciągnął z kieszeni portfel i znalazł w nim sfatygowaną wizytówkę, jedną z tych, których używał w czasie, gdy odgrywał Pana Boga w większych i mniejszych korporacjach. Odwrócił ją i przeczytał kilka numerów naskrobanych niestarannie na odwrocie. Miał nadzieję, że Walt nie zmienił miejsca zamieszkania, że nadal jest w Seattle. Sięgnął po telefon. Wystukał numer. Po trzecim sygnale w słuchawce odezwał się szrypnięty głos.

- Walt Haaga, słucham.

- Walt? Mówi Nick. Nick Cahill

- A niech mnie. Czego, do diabła, chcesz ode mnie po tylu latach?

- Potrzebuj twojej pomocy. Chcę, żeby wygrzebał dla mnie parę rzeczy. - Nick usłyszał po drugiej stronie pstrykniecie zapalniczki. Walt zwykle palił trzy paczki papierosów dziennie.

- Myślałem, że rzuciłeś ten interes

- W zasadzie tak. - Krótko streścił Waltowi, jak doszło do tego, że znowu wysłał dowoły w San Francisco.

Walt zażył sobie, co skończyło się atakiem kaszlu.

- Wiem, że to jednak prawda. Wiem, że krwawość ma wielką moc.

- Niestety w moim przypadku są mocniejsze niż wszystko inne. Posłuchaj, chcę, żebyś dowiedział się wszystkiego na temat tego wypadku i na temat Pameli Delacroix. Nie wiem o niej nic, poza tym, że ma córkę w college'u w Santa Cruz. O ile się orientujesz, córka może nosić inne nazwisko.

- Znasz numer jej polisy ubezpieczeniowej? Prawa jazdy? Nazwisko matki?

- Za to ci płacę.

Walt zachichotał.

- Dobra, zadowolony, tyle informacji, ile zdołasz i przefaksuj je do mnie, albo przez list pocztowy elektroniczny. Podłóż tu swojego laptopa. Jeśli znajdziesz jakieś zdjęcie, to je zeskanuj.

- To wszystko? - spytał Walt nie kryjąc sarkazmu.

- Niezupełnie - Nick włączył nieświadomie rozkręcony. Czuł taki sam przypływ adrenaliny, jak wtedy, kiedy nie zarabiał jako konsultant wynajmowany przez znajdujące się w kłopotach firmy. - Jutro wyślę ci faksem list pracowników przedsiobiorstwa i nazwiska kilku przyjaciół rodziny, których trzeba sprawdzić. - Nick, ciągnąc za sobą sznur telefonu, podszedł do okna. Zobaczył Cherise stojącą pod parasolem na rogu ulicy spoglądającą włącznie na zegarek... a może to nie była

Cherise? Wyszła ponad dziesięć minut temu, a czarne dżinsy i skórzane kurtki nosiło wiele kobiet w tym mieście. Poza tym było ciemno, uliczne lampy rzucały słabe, mgliste światło. W chwili kiedy zatrzymał się przy niej ciemny jeep, kobieta spojrzała w stronę hotelu i strzeliła wodą z parasola. Jej jasne włosy zalały ją, a błyszczące spinki zamigotały w świetle lampy, kiedy zniknęła w głębi samochodu. Nie zdążyła jeszcze zamknąć drzwi, kiedy niecierpliwy kierowca ruszył, przejechał przez przejście dla pieszych na oświetlonym wietle. Spod szerokich opon bryzgała woda. — Sprawdź te wszystkich członków mojej rodziny - powiedział Nick. - Aleksa i Marl, i moich kuzynów, Cherise i Montgomery'ego, mówił o sobie Monty.

- Wszyscy noszą nazwisko Cahill?

- Nie, zaczekaj. - Nick podszedł do stolika i wziął do ręki wizytówkę zostawioną przez Cherise. - Moja kuzynka nazywa się Favier. - Przeliterował nazwisko i podał numer jej telefonu. - Jej matka ma na imię Donald, jest duchownym Kościoła w tej Trójcy w Sausalito. - Nick zmarszczył brwi, dyktując Waltowi numer telefonu kościoła.

Walt mruczał pod nosem, zapisując podane przez Nicka informacje.

- A twoja matka? - spytał. - Eugenia? Co mam z nią zrobić? Nick nie wahał się ani sekundy.

- Już to sprawdzę.

## 8

Tony Paterno wpatrywał się w ekran komputera, na którym widniały fotografie Pam Delacroix: zdjęcia paszportowe, fotki do prawa jazdy, a także kilka bardzo ładnych portretów, które swego czasu wykorzystywała w dokumentach i broszurach firmy zajmującej się obrotem nieruchomościami w Sausalito.

Nie mo na było uzna Pam za sobowtóra Marli Cahill, ale z pewno ci była do niej podobna. Tony ju wielokrotnie ogl dał te zdj cia, ale im bardziej przeci gała si sprawa, tym wi ksze podobie stwo zaczynał dostrzega mi dzy obiema kobietami.

Co to mo e znaczy ? e były spokrewnione? e kobieta siedz ca za kierownic mercedesa nie była Marl Cahill, a ciało prawdziwej Marli zostało ju poddane kremacji? Czy to mo liwe? Je li tak, to ten wypadek musiał by prawdziwym piekłem. Nie, to niemo liwe. A jednak... B bni c palcami w oparcie krzesła, spojrział na zdj cia Pam Delacroix, zrobione na miejscu wypadku, na których wygl dała o wiele gorzej. Le ała na nasypie zakrwawiona, ze złamanym karkiem i skór zdart z twarzy, z szeroko rozrzuconymi i nienaturalnie wykr conymi ramionami. Obok mercedes, pogi ty, bez szyb. Na podartej skórzanej tapicerce widniały plamy krwi. Przy uderzeniu p kły opony, szkło rozprysło si w drobny mak, a karoseria została zmia d ona jak kartonowe pudełko. Cud, e Marla Cahill prze yła t kraks .

Je li to rzeczywi cie Marla.

Czy podobie stwo ł cz ce te kobiety to tylko przypadek? Jeszcze jeden zbieg okoliczno ci? Czy Marla Cahill tylko symuluje amnezj ? Balon z gumy do ucia p kł i Paterno podrapał si po szcz ce, pokrytej jednodniowym zarostem. Charles Biggs nie yje - najwyra niej kto pomógł mu rozsta si z yciem, kto w lizgn ł si do szpitala, przebrał za lekarza i udusił nieszcz nika. Pam Delacroix, czy jaka inna kobieta bardzo podobna do Marli Cahill, te wróciła na łono stwórcy. To wszystko coraz bardziej wygl da na spisek. Ale jaki? Kto si za nim kryje? Kto miał by ofiar ?

Paterno zmarszczył brwi. Motyw. Tego teraz potrzebuje. Kto pragn ł mierci tych trzech osób?

- Sukinsyn - mrukn ł, naciskaj c guzik klawiatury, i odchylił si do tyłu w swoim krze le. Drukarka zaszumiała cicho. Od pocz tku co tu nie grało, ale nie bardzo umiał

okreli co. Dostał te sprawę po kimś. Dwie ofiary, które przeżyły, przetransportowano helikopterem do miasta, gdzie nad sprawą czuwał Departament Policji San Francisco, współpracując z Patrolem Autostrad Kalifornijskich. Jego przedstawiciele pierwsi pojawili się na miejscu wypadku, który wydarzył się na terenie podlegającym ich jurysdykcji.

Na razie jeszcze nie stwierdzono przestępstwa. We krwi prowadzącej samochód kobiety nie wykryto alkoholu ani narkotyków. Brakowało też dowodów na to, że jechała nieostrożnie. Zwłaszcza że nie było wiadomości.

Ale jedna osoba zginęła na miejscu, a Charles Biggs, jedyny świadek, został zamordowany.

Paterno, obróciwszy się na krześle, sięgnął po raporty dotyczące wszystkich osób spokrewnionych z Marl Amhurst Cahill. Mietanka towarzyska. Marla pochodziła z bogatej rodziny z hrabstwa Marin. Jej ojciec, Conrad James Amhurst, przebywał obecnie w ekskluzywnym domu opieki z widokiem na przystań w Tiburon. Jeśli informacje, jakie miał na jego temat Paterno, były prawdziwe, stary już jedynak znajdował się w grobie. Rak trzustki. W najlepszym wypadku Conrad Amhurst pożyje jeszcze trzy miesiące.

Z raportu na jego temat wynikało, że w młodości ten dra był niepoprawnym kobieciarzem, a jego żoną Victoria, matka Marli, zimna ryba.

Zmarła przed kilku laty na skutek komplikacji po przebytej operacji kosmetycznej. Nieudany zabieg odsysania tłuszczu. Paterno parsknął śmiechem. Ich jedynym synem, Rorym, trafił do zamknięcia tego zakładu z powodu urazu doznanego we wczesnym dzieciństwie. W ten sposób Marla została jedyną spadkobierczynią starego Cahilla. A teraz nic z tego nie pamięta. Albo tylko tak twierdzi. Paterno zabębnił nerwowo w oparcie krzesła. Może ta kobieta kłamie. Tylko po co, do diabła, miałyby to robić?

Wydmuchnął wielki balon gumy i zmrużył oczy, pochylał się nad kolejną stroną raportu.

Patience Cahill tego nie przystawiała do wizerunku szczerze liwej amerykańskiej rodziny z serialu „Pełna chata”. Przypominali raczej bohaterów „Dynastii”. Głową rodu była Eugenia - sztywna, afektowana, liska jak wąż. I fałszywa jak przysłowiowy banknot trzydolarowy.

Alexander, jej najstarszy syn i młody Marli, wydawał się być - przynajmniej z pewnego dystansu - młodym człowiekiem marzącym o kobiecie. Przystojny, wysportowany, wykształcony. Zanim przejął po ojcu kierownictwo korporacji Cahill Limited, przez kilka lat pracował jako prawnik. Po śmierci starego Alex odziedziczył wszystko.

Patience mu nie ufała. Bogaty, arogancki, ironicznie u siebie w domu ty Alex Cahill wyraźnie uważał, że stoi ponad prawem. Patience miał już z nim do czynienia i nie znosił tego zarozumiałego sukinsyna.

Brata Alexandra, Nicholasa, uważano za czarną owcę w tej rodzinie. Podczas gdy Alex wspaniale się uczył i zbierał nagrody za osiągnięcia w nauce i sporcie, Nick był czysto na bakier z prawem. Kilka razy ugrzązł w kłopotach na tyle głęboko, że ojciec musiał wpłacić za niego kaucję. Jedna ze spraw - od kradzieży samochodów po wandalizm i posiadanie alkoholu - nigdy jednak nie trafiła do sądu. Wszystkie zostały szybko umorzone. Prawdopodobnie tatuś płacił komu trzeba, choć o tym w raporcie nie było ani słowa.

Nick ukończył szkołę średnią i w wieku lat osiemnastu opuścił dom. Najpierw pracował jako kierowca ciężarówki, robotnik na platformie wiertniczej i na ranchu w Montanie, gdzie później był też przewodnikiem w Parku Narodowym. Miał własny łódź, prowadził firmę produkującą części zamienne do samochodów ciężarowych i dorobił się w końcu niewielkiego majątku. Potem zaczął kupować i sprzedawać drobne przedsiębiorstwa w okolicach Seattle i w jakiś sposób został

konsultantem, z którego usług korzystały te całkiem spore firmy. Pięć lat temu nagle zaniechał tej działalności i osiadł, prawdopodobnie dysponując wystarczającymi zasobami finansowymi, w jakiej zapomnianej przez Boga i ludzi miejscowości w Oregonie. Devil's Cove. To do niego pasowało.

A teraz wrócił.

Z powodu wypadku? Czy aby, jak twierdzi, pomóc bratu w prowadzeniu firmy? Paterno zastanawiał się, jakie problemy może mieć gigantyczna i na pierwszy rzut oka tak świetnie prosperująca korporacja jak Cahill Ltd.?

Detektyw pochylił się do przodu i wypluł gumę do kosza na śmieci. Raport dotyczący Nicka odłożył na bok.

Zostali mu jeszcze kuzyn Montgomery i kuzynka Cherise, oboje roszczące sobie prawa do udziału w rodzinnej fortunie, którego, ich zdaniem, bezprawnie ich pozbawiono. Montgomery Cahill i jego siostra Cherise Cahill Martin Bell Favier bez ogródek opowiadali każdemu, kto tylko chciał ich słuchać, jak oni zostali potraktowani przez własnego ojca i wujka. „Monty” jeszcze jako mały dzieciak stawał parę razy przed sądem dla nieletnich. Najwyraźniej jego ojciec, Fenton, nie miał takiego wpływu na sądy i policję jak wuj Samuel. A może po prostu uważał, że syn powinien ponosić odpowiedzialność za swoje czyny.

Istniała także możliwość, że Fentona niewiele obchodził syn i jego wybryki. W tym nie byłoby zresztą nic niezwykłego. Paterno nie musiał szukać daleko, jego własny ojciec zupełnie się nim nie interesował. Sięgnął po filiżankę z kawą, wypił łyk i poczuł, że zaraz chwyci go zgorączkowanie.

O co właściwie chodzi z tym Marla Cahill i Pam Delacroix? Byłoby miło Pameli domagać się sprawiedliwości, ale Paterno podejrzewał, że facet po prostu poczuł pieniądze.

Dlaczego Marla Cahill, bogata dziedziczka, przyjrzała się osobie, która nie bardzo pasowała do jej sfery? Jeszcze raz przejrzał informacje dotyczące Pam. Podobno należała do tego

samego klubu tenisowego co Cahillowie, ale Paterno nie znalazł na to dowodu. Inna rzecz, że ta kobieta była nieprzewidywalna. Ukończyła prawo, ale nie praktykowała, tylko przez krótki czas jako adwokat zajmowała się sprawami rodzinnymi. Kiedy jej mąż się rozpadł, nie wróciła jednak do prawa, lecz zajęła się obrotem nieruchomościami w Sausalito.

Dlaczego?

Paterno wziął do ręki wydruk ze zdjęciami Pam Delacroix... a może Marli Cahill? Czy przy identyfikacji zwłok popełniono błąd? Czy może liwe, żeby policjanci, którzy pracowali na miejscu wypadku, a tak się pomylili? Przecież ta kobieta miała przy sobie dokumenty. Ponadto jej były mąż rozpoznał zwłoki.

No i Marla Cahill, która w chwili wypadku miała na rękach szpitalną bransoletkę. A teraz, choć sama cierpi na amnezję, jej mąż albo teściowa zorientowałyby się, że jest kim innym. Choćby po sposobie poruszania się i mówienia... chyba że wszyscy biorą w tym udział.

Spisek.

Jezu, zaczyna myśleć jak Oliver Stone.

Paterno prychnął wzgardliwie. Do spekulacji. Trzeba się zająć faktami. Zacznie od grupy krwi.

Mały James zaczął płakać i Marla, która znowu zasnęła, zerwała się na równe nogi. Wbiegła do pokoju dziecinnego, wzięła go na ręce i przytuliła.

- Już dobrze - powiedziała odruchowo, kołysząc go przez chwilę. Potem zaczęła go przewijać. Rozpięła piasek, wciągnęła w nozdrza delikatny, słodki zapach niemowlęcia. Małe nóżki zawzięcie kopały powietrze. James utkwiał w niej spojrzenie swoich błękitnych oczu i Marla poczuła, jak wszystko w niej topnieje. - Jesteś małym, słodkim diabełkiem i wiesz o tym, prawda? - Niemowlak zamachał piaskami i



u miechn ła si szeroko. - Och, tak, złamiesz niejedno niewie cie serce. - Sko czyła go przewija , kiedy do pokoju weszła Fiona z butelk .

- Ja to zrobi - powiedziała Marla.

Niania wzięła si za porz dki, a Marla usiadła w bujanym fotelu i cicho nuc c, zacz ła karmi Jamesa. Mały ssał chciwie, przerywaj c tylko, by na ni spojrze .

- Wiem, wiem, patrzysz na mnie i masz nadziej , e zostało adoptowany, co? - Mrugn ła do niego. Kiedy sko czył, odstawiła prawie pust butelk na stolik, podniosła małego i uło yła go sobie na piersi, czekaj c, a mu si odbije.

- Dobry dzieciak, mówi pani - powiedziała Fiona, wieszaj c kocyk w nogach ła eczka. - Byłam ju z ró nymi, ale adne nie było takie grzeczne jak mały James. - Zawahała si . - Cissy musiała by trudna, co?

Niestety, nie pami tam, pomy łała Marla.

- Uparta dziewczyna - ci gn ła Fiona. - Wpakuje si w kłopoty. - Wzięła butelk i zmarszczyła brwi, jakby nagle zdała sobie spraw , e posun ła si za daleko. - To nie moja sprawa, oczywi cie. No, zabior teraz małego na dół do kojca.

Marla nie zaoponowała. Teraz czuła si ju lepiej, była silniejsza i miała wra enie, e wróciła jej jasno my lenia. Wiedziała, e mi dzy ni a dzieckiem powstanie w ko cu prawdziwa wi , ale obecnie powinna przede wszystkim zadba o stosunki z córk , która ci gle patrzyła na ni , jak na przybysza z kosmosu.

Marla wzięła prysznic, przebrała si i postanowiła jeszcze raz zajrze do komputera. Okazało si to jednak niemo liwe.

Drzwi do pokoju Aleksa były zamkni te na klucz. Tak jak ostatnim razem, próbowała je otworzy . Czy Alex chce w ten sposób zapobiec wizytom intruzów, którzy mogliby tam wej podczas jego nieobecno ci? Czy mo e skrywa tajemnice, których nikt, zwłaszcza jego ona, nie powinien zna ?

Dobre samopoczucie znikn ło.

Weszła do pokoju Cissy. Był pusty, ciemny i panował w nim porządek, jakiego tu jeszcze nie widziała. Zapewne kiedy Cissy udała się do szkoły, pokojówka poukładała rozrzucone rzeczy. Marla czuła się winna. Jako matka powinna była wstać wczoraj, przywitać się z Cissy, sprawdzić jej zadania domowe, zapytać, czy nie potrzebuje przypadkiem czystego podkoszulka na gimnastykę, dowiedzieć się, czy ma dziś jakie zajęcia pozaszkolne - tak jak powinna nakarmić i przewinąć małego przed jego porannym drzemką.

Ma przecież służyć, która robi to wszystko za nią.

Ci głębiej jednak drczył jej niepokój. Nie mogła przestać myśleć o wizycie Joanny i o tym, co od niej usłyszała... „Faceci oglądali się za tobą... żadna z nas nie słyszała, żeby wspominała Pam... gdzie jest twój pierścienek?”.

Marla zatrzymała się na podłozie i przechyliwszy się przez poręcz, spojrzała na hol na parterze. Słyszała dobiegający z kuchni niewyraźny szmer rozmów i cichy brzęk naczyń. Na dole tykał zegar. Poza tym w domu panowała cisza. Zgłoski muzyki klasycznej, nie było słychać stukania pantofelek Eugenii ani powarkiwania jej pieska.

W domu była tylko ona i kilkoro służby. Szybko przeszła przez korytarz i spróbowała otworzyć drzwi gabinetu. Ktoś zamknął je na klucz. Nie mogła wejść ani do sypialni Aleksa, ani do siłowni, ani do gabinetu. Widziała on zamknął wszystkie pokoje.

Ale dlaczego? Czego się obawia? Kto z służy może mieć grzebanie w jego rzeczach? A może coś ukrywa? Jak więc pokojówka sprząta jego pokój, skoro nie ma do niego dostępu? Czy to przed służy Alex coś ukrywa? Przed matką? A może przed nią?

Marla ujęła gałkę i przekręciła. Drzwi pozostały zamknięte. Naparła na nie ramieniem w nadziei, że stary zamek puści, ale i to nie przyniosło rezultatu.

Marla wiedziała, że drzwi zostały zamknięte przed nią. Nie spodobało mu się, że szperała w jego biurku. Nie ufał jej. Czekała to.

Wróciła do swojego pokoju i spojrzała na łóżko, w którym sypiała. Sama, bez Aleksa.

To miało jakiś związek z Nickiem i tym, co do niego czuła.

Poczuła dziwny ucisk w piersi i choć nie chciała się do tego przyznać, nagle pojawiła się, jak była kiedyś kobietą.

Jak to wyglądała Joanna? „Była zawsze... no, wiesz. Może ci nie oglądali się za tobą”.

Bardzo wiele z tego, co powiedziała Joanna, wzbudzało niepokój. Gdzie jest ten cholerny pierścienek, o którym wspomniała? Prezent od ojca. Na myślenie o Conradzie Amhurcie Marla poczuła nieznany ci ucisk w piersi, ból, którego przyczynę nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Nie przypominała sobie tego człowieka, jednak czuła, że nie było między nimi ciepła ani miłości, raczej obcość.

Po co więc miałyby nosić ten pierścienek?

A co wa niejsze, gdzie on jest? W jej pokoju? We wraku mercedesa należącego do Pam? Zamknij ty w sejfie? Tylko w jeden sposób może się o tym przekonać - musi znaleźć ten przeklęty pierścienek! Zaczęła od swojej łazienki, gdzie na półce stała kasetka z biuteriami. Nic. Przejrzała nocne stoliki, a potem wszystkie szufladki swojego biurka. Nic.

- Myśl, Marla, myśl - mruknęła pod nosem i przeszła do garderoby.

Tam powinna trzymać drugą kasetkę, tę, w której przechowywała swoje precjoza. Niczego takiego jednak nie znalazła.

Może Alex zdjął jej pierścienek z palca, zanim zabrano ją do szpitala.

Ale przecie w takim wypadku zabrałby także obrączkę, czy nie?

Rozejrzała się po garderobie i zauważyła futerał na rakiety tenisowe. Może tam schowała pierścienie. Rozpięła zamek błyskawiczny i wsunęła dłoń do jedynej płaskiej kieszeni, ale był tam tylko dowód zapłaty kart kredytowych ze sklepu w centrum miasta.

Wzięła rachunek do kieszeni spodni i wyścięgnęła rakiety. Zważyła je w dłoni, podniosła w górę i opuszczyła, ciekawa, jak będzie się z nimi czuła.

„Przy twoim serwie zupełnie wysiadam”.

- No dobra, mistrzyni kortu, zobaczymy - powiedziała do siebie.

Udając, że leworek wyrzuca piłkę w powietrze zamachnęła się prawą, przerzucając rakiety w tył, ponad ramieniem, a potem szybko wyrzucając je do przodu. Z całej siły. Rakieta wisiała, ale okazała się dziwnie nieporęczna. Uchwyt na ręczce był za szeroki, a sama rakieta za ciężka. Czy naprawdę wygrywałam turnieje? Marla usiłowała coś sobie na ten temat przypomnieć, ale bez skutku. Znowu.

- Niespodzianka - zadrwiła.

Garderoba nagle wydała się jej ciasna i duszna, wypełniona rzeczami i wspomnieniami, które chyba należały do innej. Musi się gdzieś udać, wydostać się z tego nieprzyjemnego, obcego domu, pełnego mrocznych tajemnic i drzwi zamkniętych na klucz. Musi odetchnąć świeżym powietrzem. Musi odnaleźć siebie. Zdjęła z wieszaka kurtkę i zbiegła tylnymi schodami na dół, przeszła przez mały przedpokój i znalazła się na zadaszonym ganku. Jeszcze kilka stopni i już była na wyjściu wśród drzew ogrodowej alejki. Delikatna mgiełka osiadała na starych rododendronach, paprociach i azaliach. Smukłe wierzki wznosiły swe wierzchołki wysoko, nikiel w białej po wiacie. Tu, na szczycie górskiego nad miastem wzniesienia, panowała atmosfera dziwnego odosobnienia.

Marla włożyła ręce głęboko do kieszeni kurtki i ruszyła po kamiennej, mokrej po deszczu ścieżce, pokrytej wierchowymi

igłami. Dr ąła, bo dzie był chłodny, widziała swój oddech, paruj cy w zimnym powietrzu. Min ła kilka stawów, poło onych na ró nych poziomach. Na powierzchni kołysały si białe lilie wodne, a w wodzie pływały leniwie du e, nakrapiane ryby.

Marla była prawie pewna, e jest tu pierwszy raz w yciu. Prawie.

Sfrustrowana odwróciła si i spojrzała w stron domu, gdzie w oknach na wy szych pi trach paliły si wiatła. Czują wilgo , osiadaj c jej na policzkach. Nagle znieruchomiła. Wydawało jej si , e w oknie na górze dostrzegła jaki ruch, jaki cie . W jej pokoju? Przecie dopiero z niego wyszła... Rozpoznała jednak wzór na zasłonach... Ale kto mógł by teraz w jej sypialni? W domu nie było nikogo poza słu b .

Tak, to jasne. Na pewno w jej pokoju kto sprz ta. Pokojówka zabrała si do codziennych porz dków. A zreszt , co to ma za znaczenie? Przecie ona niczego nie chce ukry . A jednak... Marla ponownie spojrzała na to okno, ale cie znikn ł.

Zła na siebie, e dała si ponie wyobra ni, wło yła kaptur na głow i ruszyła w stron tej cz ci ogrodu, gdzie rosły ró e. Kwiaty ju dawno przekwitły, z ziemi sterczały tylko krótkie, cierniste łodygi.

Nagle Marla odniosła wra enie, e kto j obserwuje. Poczwała, jak krótkie włoski na szyi je si z przera enia. Odwróciła si gwałtownie i znowu spojrzała w okna domu. Tak, jest tam. Cie , zarys ludzkiej sylwetki. Teraz czai si w innym pokoju... po drugiej stronie ich apartamentu... u Aleksa? Ale przecie drzwi do jego pokoju były zamkni te. Sama si o tym przekonała. Serce zacz ło jej bi szybciej. To na pewno kto ze słu by, kto , kto ma klucz do wszystkich drzwi. Nieprzyjemne wra enie, e kto j obserwuje, trwało. Kropla deszczu z obramowania kaptura spadła jej na nos i Marla zamrugwała powiekami. W nast pnej sekundzie cie znikn ł -

nie było już złowrogiej sylwetki wyłaniającej się z mrocznego pokoju. Nikt na nią nie patrzył.

Zaczynam się bać własnego cienia, pomyślała. Na całym ciele miała gęsi skórki. Ruszyła dalej ogrodem, przez przerwę w wywlocie weszła na mały plac zabaw z kilkoma huftawkami, które zaczynały już rdzewieć. Czy kołysała kiedy Cissy na jednej z nich? Czy łąpała roze mian córki u dołu krótkiej zjeżdżalni?

Myśl, Marla. Skoncentruj się. Przypomnij sobie coś. Cokolwiek!

Usiadła na jednej z huftawek i odepchnęła się od ziemi. Pod huftawkami widniał ślad po małych stopkach, zagłębienie, w którym zaczynała zbierać się woda. Marla zamknęła oczy. Słyszała dźwięki dobiegające z miasta - cichy szum ulic, stukot wagonów kolei linowej, gdzie w pobliżu ujadł pies. Za murem z cegły mieszkali siedzieli. U stóp wzgórza rozciągało się miasto, ale ona tutaj, w otoczonej wysokim murem posiadłości, czuła się odcięta od świata.

A przecież San Francisco zaczynało się tu za tymi bramami.

Musi tylko przez nie przejść.

Ale dokąd miałyby iść?

- Dokądkolwiek - mruknęła. Czuła, że marzną jej ręce, którymi przy trzymywała się zimnych łańcuchów huftawki. Hotel Nicka jest zaledwie kilka przecznicy dalej, pomyślała. Oczywiście, nie pójdzie tam, mowy nie ma. Ale może, jeśli wyjdzie za mur tej eleganckiej rezydencji, odnajdzie spokój i odzyska w końcu tę przeklętą pamięć. Musi dowiedzieć się jak najwięcej na temat Pam Delacroix - kim była ta kobieta, w jaki sposób ją poznała i po co jechały razem do jej córki w Santa Cruz.

Do głowy przychodziło jej sto pytań na minutę, drżało jej nieustanne poczucie winy z powodu dwojga ludzi, którzy przez nią stracili życie. Dwoje ludzi. Dwie osierocone rodziny.

Uważała, że powinna się modlić, ale czuła instynktownie, że niechcąc to robiła. Tego dnia jednak postanowiła zrobić wyjątek. Odrobina duchowo ci nie zaszkodzi. Jednak kołysz się lekko na dziecięcej huftawce, nie była w stanie przypomnieć sobie żadnej modlitwy. W końcu poczuła, że woda, która zebrała się na siedzeniu, przemoczyła jej spodnie.

Usłyszała chrząst kroków na wirze i znieruchomiała, zaciskając palce na ławce kuchennej huftawki.

- Marla?

Na dźwięk głosu Nicka serce zabiło jej szybciej. Nick wsunął głowę w przejście w wykopocie i rozejrzał się szybko po placu zabaw.

- Właśnie ci szukałem. - Stał pod bezlistnym koptosem krzywych gałązek clematisu. Miał na sobie sprane dżinsy i zniszczoną skórzaną kurtkę.

- Co tu robisz?

- Myślę. A w każdym razie próbuję.

- Wymyśliłaś coś?

- Niestety nie - odparła ze smutnym półuśmiechem. - A ty? Co tu robisz?

- Przyszedłem zobaczyć się z tobą. - W cieniu jego twarzy wydawała się twarda i kanciasta. Marla widziała mocno zarysowaną szczękę, wcięte wargi i niezupełnie prosty nos. Stał nieruchomo pod obrotowym clematisem łukiem, jakby bał się podejść bliżej. - Chciałem porozmawiać z tobą na osobno.

Marla zeszywniała. Czuła na sobie jego palący wzrok. Zakazane wizje, pełne namyślnych pocałunków, znowu stanęły jej przed oczami. Nagle zaczęła się zastanawiać, jakby to było kochać się z nim, dotykać go, czuć silne mięśnie nie grające pod skórą, przesunąć dłoni po twardym, nieogolonym podbródku. Poczucia budzące się w jej ciele zdziwiły i natychmiast skarciły się w duchu za takie myśli. Jest młody. Młody. A to brat jej

marla. Nie wolno jej fantazjować na jego temat. Nie może sobie na to pozwolić.

- Wiedziałem, że dzisiaj rano nikogo nie będzie w domu. Cissy jest w szkole, matka na spotkaniu zarządu Cahill House, Alex pojechał do miasta, więc miałem duże szanse zastać cię tu sam.

Marla chrząknęła w zakłopotaniu. Miała wrażenie, że w jego oczach widzi odbicie własnych erotycznych fantazji. Walczył z tymi samymi zakazanymi pragnieniami, co ona.

- Dlaczego? - spytała cicho. W monotonnym szumie deszczu jej głos wydał się dziwnie stłumiony. Próbowła sobie wytłumaczyć, że to z powodu drutów, które cięgle tkwiły w jej ustach, ale w głębi ducha wiedziała, że to nieprawda. - Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

- Wczoraj wieczorem miałem gościa - odparł. - Cherise. Chciałaby się z tobą zobaczyć.

- Czemu po prostu nie wpadnie tu któregoś dnia? - spytała Marla, starając się nie myśleć o dżinsach, opinających nisko jego wskie biodra, o jego szerokich ramionach, rozpiętych starą kurtkę i o tym, jaki wydał jej się pociągawy - i niebezpieczny.

- Alex się nie zgadza.

- Alex chyba nie przepada za nią ani za jej bratem - zauważyła Marla, z trudem odrywając wzrok od Nicka. Przypomniała sobie, co Alex i Eugenia mówili o kuzynach - krwio pijcy, chciwe pijawki. Czy nie tak ich nazywali?

- Alex warczy, bo próbuje mu odebrać jego kochankę. Całkiem sporo. W końcu razie Cherise prosiła, abym przekazał ci jej problem. - Nick założył ręce na piersi. Skóra jego kurtki zaskrzypiała cicho, kiedy napiął ramiona. Krople deszczu spływały mu z włosów po szyi za kołnierz. Marla podjęła wzrokiem za jednym z nich. Nagle zaszczoła jej w ustach.

- Pomyślałem sobie, że masz prawo wiedzieć - dodał.



- Ja... tak. Tak. - Opanowała się szybko. - Oczywiście, e  
Cherise może do mnie przyjść. Kiedy tylko zechce.

- Chciałaby ci przeczytać kilka ustępów z Biblii.

- Och. Có... - Chrzęknęła i uśmiechnęła się ironicznie. -  
Może Bóg chce mi coś powiedzieć. Może powinnam przyjść  
jako religijna, czy coś w tym rodzaju.

Nick parsknął śmiechem.

- Cherise i jej m... b... d... uszczęśliwieni, mogą ci  
nawrócić.

- B... d... o tym pamiętaj.

Nick wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął wizytówkę i  
podszedł do Marli. Wzruszył się pod jego butami.

- Możesz sama do niej zadzwonić. Chyba nie  
potrzebujecie pośredników - powiedział, wręczając jej  
wizytówkę. - Ich oczy znów się spotkały i Marla wiedziała, że  
gdyby sytuacja była inna, gdyby to był właściwy moment,  
wyciągnęłyby do niego ręce i w milczeniu podałyby mu usta.

Mijały sekundy. Marla słyszała tylko cichy szum ulicy,  
szmer kropli deszczu spadających z gałęzi i oszałamiające bicie  
własnego serca.

- Dziękuję.

Nick odwrócił się, ale Marla nie mogła pozwolić mu  
odejść. Nie teraz. Zeszła z hułtawki i omijała kafełki, ruszyła  
szybko za nim.

- Nick, zaczekaj. Chciałam ci coś zapytać.

Widziała, jak mi się nie na jego szyi napięły się nagle, zanim  
się do niej odwrócił.

- Tak?

- Pamiętaj, jak to było przedtem... jaka ja byłam?

- Przed czym?

- Przed... zanim wyszłam za m... - powiedziała. Twarz  
Nicka stęśniała.

- Staram się o tym nie myśleć.

- Ale... czy grałam w tenisa? - Zsunęła kaptur z głowy.

- Nami tnie.
- Je dżiałam konno?
- Nie... chyba nie - powiedział.

Marla podeszła bliżej, zadzierając głowę, by spojrzeć mu w oczy. Czuła dziwne napięcie w całym ciele, ale zmusiła się, by zadać mu pytanie, które drczyło ją od rozmowy z Joanną.

- Jak włąciwie byłam kobietą?
- To trudne pytanie.
- Powiedz.

Nick zacisnął zęby.

- Była... zepsuta - rzekł po chwili. - Rodzice dawali ci wszystko, czego tylko zapagniała.

- A czego pragnęłam? - zapytała. Wydawało jej się, że słyszy czyjeś ciche kroki na ścieżce, ale zignorowała to.

Oczy Nicka pociemniały.

- Wszystkiego.
- Wszystkiego?

- Miała wszystko, Marla. Pieniądze, urodę, inteligencję. Ale to ci nie wystarczało. Chciała czegoś więcej, chciała całego cholernego świata. - Umiechnął się krzywo. - I prawie udało ci się go dostać.

- A czy pragnęłam... - Zajęknęła się i urwała. - Czy pragnęłam... ciebie?

Nick parsknął.

- Nie. - Patrzył na nią zmrużonymi oczyma. Nagle wyciągnął przed siebie ręce i chwycił ją w ramiona. Trzymał ją w elastycznym uścisku. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło i zapach wody po goleniu, widziała jego wzburzenie. - Ale ja pragnęłam ciebie - wycedził przez zęby, patrząc na nią z urazem. - Na przekór rozszkodkowi. Nade wszystko. To chciała usłyszeć? Jesteś zadowolona?

- N-nie - wyjąkała, całkiem dezorientowana.

- A więc wszystko gra, bo przecie nic nigdy nie mogło ci zadowolić.

Po drugiej stronie ywopłotu rozległy si czyje kroki. Nick pu cił j , jakby nagle zacz ła go parzy .

Zza rogu wyszedł Lars. Miał na sobie d insy i sportow bluz . W jednej r ce miał łopat , a w drugiej grabie. Spojrzał na nich twardo, przenosząc wzrok z Marli na Nicka. Marla zastanawiała si , jak długo ju był w ogrodzie i co słyszał z ich rozmowy. Czy obserwował ich skryty we mgle, wśród starych rododendronów i wierków?

- Szukaj pani w domu - powiedział Lars, wykonując nieokre lony gest łopat .

- Kto? - spytała Marla.

- Pan Cahill - odparł Lars, podchodząc bli ej. Patrzył na ni twardo. Z pot pieniem w oczach. - Pani m .

Marla czuła, że si czerwieni.

- Przyjechał z piel gnierzem. - Lars mówił to wszystko oboj tnie, ale w jego wzroku Marla dostrzegła pogard i nieme oskar enie. Skłonił si krótko i ruszył dalej, w kierunku szopy na narz dzia ogrodnicze.

- Chyba powinnam zobaczyć si z moim nowym stró em.

- My lisz, że ma ci pilnowa ?

- A ty nie? - Marla nie kryła irytacji. - Daj spokój, Nick, czy wygl dam na kogo , kto potrzebuje piel gniarki? - Wyszła zza ywopłotu i wskazała głow dom. - Mo esz wej tam ze mn i zobaczy te fajerwerki.

- Zdaje si , że zaraz kto wybuchnie.

- Zgadza si , pewnie ja - odparła, wbiegając na schody z tyłu domu.

- Je li Alex s dzi, że b dzie mi dyktował, co mam robi , to jest w bł dzie. - Wytarła buty na wycieracze przed drzwiami i weszła do rodka. - Nie dam sobie zało y smyczy. Nikomu si to nie uda. Zwłaszcza mojemu m owi - rzuciła zapalczywie, jakby przygotowuj c si do ostrej wymiany słów.

Szybko weszli po schodach na górę, do salonu, gdzie Alex rozmawiał z jakimś wysokim, szczupłym mężczyzną o krótko przystrzyżonej brodzie.

- Jesteś nareszcie! - powiedział Alex. Siedział w fotelu, ręce wsunął mi do kolan, twarz miał zwróconą ku temu mężczyźnie. - Chryste, Marla, gdzie się podziewała? Byłem w twoim pokoju, wołałem cię, już miałem kazać przeszukać dom.

- Byłam w ogrodzie.

- W tak pogodę?

Marla nie odpowiedziała. Miała przemoczone ubranie, z włosów spływały na jej twarz krople wody.

- Myślałem, że jesteście na spotkaniu - powiedział Nick, patrząc na brata. Usiadł przy kominku, na którym wesoło trzaskał ogień. W pokoju unosił się lekki zapach palonego drewna.

- Spotkanie zostało odwołane, więc pomyślałem sobie, że już dziś przywiozę Toma do nas. Marla, Nick, to jest Tom Zayer. Pielęgniarka Marli.

- My się przypadkiem nie znamy? - spytał Nick, spoglądając uważnie na pielęgniarkę. - Nie spotkaliście się już gdzieś?

- Możliwe - odparł Tom. - Znam wiele osób. Pracowałem w Bayside i w Cahill House.

Nick zmarszczył brwi.

- Mam wrażenie, że już się widzieliście.

Tom wzruszył ramionami.

- Wiat jest mały.

- W szpitalu. Jestem pewny, że spotkaliście się tam właśnie.

- Możliwe.

Marla uśmiechnęła się z przymusem. Rozprostowała zaciśnięte kurczowo pięści i postanowiła, że nie da się wyprowadzić z równowagi.

- Miło mi pana poznać - zwróciła się do pielęgniarki. Wyciągnęła do niego rękę i krótko ucisnęła podaną dłoń. - Niestety, mój mąż popełnił błąd. Mimo mojego okropnego wyglądu naprawdę nie potrzebuję nikogo do opieki. Alex na pewno zapłaci panu za fatygę, ale nie skorzystam z pana usług.

- Oczywiście, że skorzystasz - uśmiechnął się Alex.

Tom puścił jej dłoń i cofnął się o krok. Podniósł w górę głowę, jakby chciał się poddać i spojrzał dezorientowany to na Marłę, to na Aleksa.

- Hej, wolałbym w to nie wchodzić.

- Nie ma problemu. - Alex spojrzał na Marłę, łagodnym wzrokiem, nakazując jej milczenie.

Na Marłę nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Czuj się wspaniale. Nie potrzebuję pielęgniarki. Byłoby to marnowanie czasu Toma, mojej cierpliwości i twoich pieniędzy.

- To pomysł Phila - wycedził Alex przez zęby. Nad jego okiem nabrzmiała pulsująca żyła. Marła domyślała się, że rzadko kto ośmielił się sprzeciwić. Zwłaszcza ona. - A on jest lekarzem.

- Wiadco porozmawiaj z nim - odparła. Czując, że puszcza jej nerwy.

- Hej, jeśli jest jakiś problem - wtrącił się Tom - to my oboje powinniśmy sami najpierw uzgodnić.

Alex wycełował w niego swój palec wskazujący.

- Nie ma żadnego problemu - stwierdził dobitnie. - Po prostu powinienem być bardziej szczegółowo omówić tę kwestię z tobą.

- Znacznie bardziej szczegółowo - powiedziała Marła. W tej samej chwili w holu rozległy się drobne kroczenia Eugenie i stukot pazurków Coco.

wspaniale, tego tylko jeszcze brakowało!

Gdy starsza pani wyszła z za rogu, zdejmując kawiczki, do salonu z przerażonym jękiem wpadła Coco.

- Cicho! - ofuknęła ją Eugenia, gdy Coco rzuciła się do spodni Toma. - Ju! Bo pójdziesz do budy! Siad! - Pies, o dziwo, usłuchał. - Alex, Nick... Marla - powitała wszystkich Eugenia. - Widz, że poznali ciebie Toma.

- Wy się znacie? - spytała Marla.

- O, tak. Tom pracował jako wolontariusz w Cahill House. Co słychać? - spytała z ciekawościem pielęgniarkę.

- Wszystko w porządku - odpowiedział z rozgardnieniem. - Chyba powinienem się położyć.

- Marla nie chce pielęgniarkę - wyjąknął Alex.

- Ale dlaczego? - Eugenia była zdruzgotana. - Nie chcesz szybko do siebie, kochanie?

- Oczywiście, że chcę.

- Wiem postanowione. Tom zostaje.

- Mówi nie ma - odparła Marla.

- To wasze sprawy. - Tom sięgnął po swoją torbę. - Ustalcie mi dzień.

Alex nie miał zamiaru się poddać.

- Tu nie ma czego ustalać. Wynajmę pana i koniec. Zaraz ktoś zanieśli rzeczy na górę. Tylko porozmawiam z nim, to potrwa najwyżej minutę.

- Jasne. Zaczekam.

- Pozwolisz, Tom, pokazać ci dom - zaproponowała Eugenia. - Nick, przyłóż się do nas?

- Ja już dom widziałem - odparł Nick sztywno, ale zrozumiałszy aluzję, wyszedł z salonu za matką i pielęgniarkę.

Coco znowu się rozszczękała.

- Zamknij się! - warknęła Marla i tupnęła nogą. - Masz być cicho! Słyszysz?

W ciemnych oczkach błysnęło zdumienie. Rasowa suczka ju miała znowu zaszczeka, ale tylko zaskamlała, podwinęła pod siebie ogon i wybiegła za swoją panią.

- Biedna psina - mruknęła Marla. Kiedy zostali sami, zwróciła się do Aleksa szeptem: - Nie potrzebuję pielęgniarki, opiekuna ani nikogo takiego. I przestał mi opowiadać, a nie wiem, co jest dla mnie najlepsze, ani czy to polecenie lekarza, bo tego nie kupuję. To bzdury.

- Może nie chodzi tylko o ciebie - odparł Alex. Wzruszyła nad jego lewym okiem wybrzuszyła się jeszcze bardziej. - Może chodzi też o mamę, Cissy i mój spokój ducha. Jak się dzisiaj, jak się czujesz, zostawiasz tu tylko z matką staruszką i nastoletnią córką? Czy one są w stanie zapewnić ci właściwą opiekę?

- Nie potrzebuję opieki.

- Oczywiście, że potrzebujesz - rzucił Alex gniewnie.

- Jestem dorosła, a w tym domu roi się o służyby. Jest Carmen, Fiona, Lars i Bóg jeden wie kto jeszcze!

- Władze z nich nie przeszło przeszkolenia medycznego! - Alex tracił panowanie. Gestem przypominającym Nicka, założyła rękę na piersi. Jego oczy płonęły w ciemności. Marla czuła, że ma ochotę nie potrzęsnąć. - Na lito boska, Marla, choć raz w życiu pomyśl o innych, dobrze? To trudny okres dla nas wszystkich. Nie widać żadnej poprawy. Ci głębiej mam problemy w interesach.

- O mnie nie musisz się martwić - odparła, ale złość jej przeszła, nie była już tak pewna swoich racji.

Alex wyglądał na zrozpaczonego. Z jej powodu? Z powodu firmy? Czuła się teraz dziwnie rozdarta. Nagle przypomniało jej się wydarzenie, które miało miejsce w tym samym pokoju, przypomniała sobie elastyczny uścisk jego dłoni i palców, wpijających się w jej ramiona. Widziała ten sam gniew na jego twarzy, ten sam uśmiech, pulsującą na jego czole. Dziwka, syknął wtedy... a może to był ktoś inny? Czuła ją kiedyś na

swoich ramionach te twarde jak ze stali palce, czuła ten ból. Ile razy odgrywali tu ju t wstr tn scen ?

Alex musiał zauwa y , e zbladła, musiał dostrzec przera enie w jej oczach. Pu cił j , jakby nagle zdał sobie spraw z tego, co robi.

- Do diabła, Marla, mogłaby , cho raz nie stawa okoniem? - spytał i przecesał włosy dr cymi palcami. Ogie trzaskał na kominku, a z ukrytych gło ników popłyn ła nagle cicha, spokojna muzyka, kontrastuj ca z peñ napi cia atmosfer panuj c w salonie. Deszcz nieprzerwanie uderzał w okno. Alex si gn ł do kieszeni i wyci gn ł paczk Marlboro. Wytrzn ł z niej jednego papierosa. - Pozwól mi si tob zaopiekowa .

Marla opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

- Pami tam... pami tam... jak si kłócili my - powiedziała. Usłyszała pstryknie cie zapalniczki i podniosła głow . Alex zaci gn ł si gł boko papierosowym dymem, po czym podszedł do kominka. - A teraz... teraz ty zamykasz drzwi do swoich pokoi. - Spojrzała na niego, czuj c, e znowu zaczyna j bole głowa. - Chciałam wej do gabinetu i skorzysta z komputera, ale nie mogłam.

- Czasem mam tam bardzo wa ne dokumenty. Z biura, ze szpitala albo z Cahill House. Nie chc , eby kto ze słu by je ogl dał.

Marla przypomniała sobie szafki na dokumenty, które widziała w gabinecie. Wystarczyłoby zamkn je na klucz. Po co zaraz zamyka wszystkie pokoje?

- Mam nadziej , e słu ba jest uczciwa - powiedziała.

- Owszem. Jestem tylko ostro ny. Z powodu pozycji, jak zajmuj .

Albo dlatego, e masz co jeszcze do ukrycia.

- Czuj si przez to tak, jakbym była tu intruzem.

- Niepotrzebnie. - Palcami, mi dzy którymi trzymał papierosa, potarł skro , jakby i jego dr czył ból głowy.



Zegar na dole cicho odliczał sekundy. Marla czuła się bardzo nieszczerliwa. Jak to się stało, że tak bardzo się od siebie oddalili? Jak bardzo jeszcze się od siebie oddal?

- Posłuchaj, kochanie, masz rację. Klócili my się okropnie - przyznał. - Czuję cię, nie chciałbym przyznać. Ale nie zamykam swoich pokoi ani swoich dokumentów przed tobą. - Potrzebuję głowę. - Na pewno nie... i... miałem nadzieję, że... O Boże, Marla, mogła zginąć w tym wypadku, zostawił mnie i dzieci i miałem nadzieję, cholera, modliłem się o to, żeby my... ty i ja... zaczęli wszystko od nowa. - Wydmuchnął wielki kłęb dymu. - Mamy dwoje dzieci. One nie potrzebują naszych awantur.

- Nie, nie potrzebuję. - Czuła się bardzo nieszczerliwa z powodu dzieci, ale nie miała zamiaru pozwolić temu ani adnemu innemu mówić czy nie rzuci swoim życiem. - Ale nie możesz oczekiwać, że będzie siedziała w tym domu, nie próbuj się dowiedzieć, kim jestem... nie próbuj przypomnieć sobie własnego życia. - Gorczyły stanęły jej w oczach. Spuściła wzrok na swoje dłonie, bezradnie zwisały jej między kolanami. Co się z nią dzieje? Dlaczego czuje taki przymus, by walczyć z tym człowiekiem, by bronić swojej niezależności? Przypomniała sobie, jak w ogrodzie zareagowała na Nicka, i zamknęła oczy. Jak właściwie jest kobietą, skoro pociąga ją szwagier, a do własnego męża, człowieka, któremu przysięgała miłość, wierność i posłuszeństwo, nie czuje nic? Zwłaszcza posłuszeństwo stanowi problem. Chyba nie leży w jej naturze. Czuła w głębi ducha, że zawsze tak było. - Przykro mi, że zaczęłam tę awanturę - powiedziała, podnosząc oczy i walcząc ze łzami, które już i tak zaczęły spływać po jej policzkach. - Ale... - podniosła rękę - jestem taka... sfrustrowana.

- Wiem, wiem. - Alex strzepnął popiół do kominka. - Musimy się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Wszyscy. A sprawa się komplikuje. Policja podejrzewa, że Charles Biggs

został zamordowany. S o tym wr cz przekonani. Kto przebrał si w fartuch jednego z internistów i udusił tego człowieka, a potem wyszedł ze szpitala. Dotychczas go nie złapano.

Marli nagle zrobiło si zimno.

- Ale dlaczego?

- Kto wie? Pewnie robota jakiego wira. - Alex był zdenerwowany. Przej ty. - Prawdopodobnie nie ma to nic wspólnego z tob ani z tym wypadkiem, ale my l , e na wszelki wypadek powinni my wzmóc rodki ostro no ci. Zaostrz ochron wokół domu.

- My lisz, e kto mo e spróbowa nas skrzywdzi ? - spytała, pocieraj c dło mi ramiona, zrobiło jej si zimno. Pomy lała o Charlesie Biggsie, człowieku, którego nie znała, a który przez ni rozstał si z yciem.

- Szczerze mówi c, nie wiem, co o tym my le - przyznał Alex, a Marli przypomniała si posta widziana w oknie.

- Wydaje mi si , e dzisiaj widziałam kogo w domu.

Alex odwrócił si do niej gwałtownie.

- Kogo?

- Nie wiem. Tłumaczyłam sobie, e to pewnie kto ze słu by albo e wyobra nia płata mi figle. Byłam w ogrodzie i nagle odniosłam wra enie, e jestem obserwowana. Spojrzałam na dom i kto tam był w oknie, ale nie mogłam rozpozna ... jego albo jej.

- Jezus - wyszeptał Alex. - Marla, dlaczego nic nie powiedziała ?

- Bo nie byłam pewna. To mogła by która ze słu cych.

- Ale si wystraszyła .

- Troch - przyznała. - Zamrugałam oczami i wtedy ten kto znikn ł.

- To załatwia spraw . Zaostrzymy ochron domu, dobrze? I spróbujemy dogada si z piel gnierzem, zgoda? Za kilka dni albo tygodni, kiedy b dziesz silniejsza, kiedy

wszystko si troch uspokoi, dam mu prac w Cahill House albo poci gn za wla ciwy sznurek i załatwi mu posad w szpitalu.

- Mo esz to zrobi ?

- Oczywi cie. - Zaci gn ł si papierosem, po czym wrzucił niedopałek w ogie . - Ojciec nauczył mnie jednego - e za pieni dze mo na kupi niemal wszystko. We Nicka, na przykład. Gdyby ojciec nie wpłacił za niego kaucji, pewnie wci siedziałby za kratkami.

- Nick był w wi zieniu? - zdziwiła si .

- Przez osiem godzin. Za pobicie. Kto dostawiał si do ciebie, w czasie kiedy chodzili cie ze sob . Nickowi to si nie spodobalo.

Marla milczała, zaskoczona.

- Miał temperament - dodał Alex - i du o szcz cia, e nie sko czył w pudle. - Wzruszył ramionami. - To stare dzieje. Wykaraskał si z tego. - Podeszedł do niej, ponownie uj ł j za ramiona, ale tym razem łagodnie, i postawił j na nogi. Jego oddech pachniał tytoniem. - A teraz... posłuchaj... - Patrzył na ni stanowczo. - Tom zostanie... na jaki czas. Tylko na jaki czas. Dopóki nie poczujesz si lepiej. Dobrze?

Zastanawiaj c si , czy nie popełnia bł du, wolno skin ła głow i pozwoliła si obj . Poczula na policzku mi kk wełn jego marynarki i na chwil przymkn ła oczy.

- No dobrze. Na jaki czas - zgodziła si , usiłuj c wzbudzi w sobie jakie uczucie dla tego człowieka, jej m a i ojca jej dzieci. Szukała w sobie jakiego ladu po ł cz jej ich przecie kiedy miło ci i nami tno ci, jakiego dobrego wspomnienia, czegokolwiek, co mogłoby j przekona , e kiedy wydarzyło si mi dzy nimi co szczególnego. Z trudem powstrzymała ciscie si do oczu lzy, czula, e wszystko jest nie tak, jak by powinno.

Zło yła cnotliwy pocałunek na policzku Aleksa. Mo e jednak uda im si jako uratowa rozpadaj cy si zwi zek.

Alex objął ją ramionami i przycisnął do piersi, ale i tym razem Marla nie poczuła nic. Kompletnie nic. W przypływie bezsilności zacisnęła pięści i powoli otworzyła oczy. Spoglądając ponad ramieniem Aleksa, dostrzegła przy wejściu Nicka. Oparty ramieniem o ścianę, z rękami założonymi na piersi i włosami jeszcze od deszczu, patrzył na nią chłodno. Marla przypomniawszy sobie ich spotkanie w ogrodzie, namiotowała się, które dostrzegła wtedy w jego oczach. Teraz uśmiechał się drwiąc i pogardliwie, jakby w końcu trafił na dawno oczekiwaną scenę.

- Marla - rzucił sarkastycznie. - Witaj w domu!

## 9

Gdyby miał choć trochę rozumu, wyjechałby stąd natychmiast, wrócił do siebie, i do swojego dawnego życia. Nick wiedział, że tak wcale nie powinien postąpić. Wyciągnął puszkę piwa z barku, włączył laptopa i sprawdził pocztę. Jest. Raport Walta Haagi, w całości wspaniale. Nick wprawdzie nienawidził udogodnień ery elektronicznej i nieraz przysięgał, że już nigdy więcej nie skorzysta z Internetu, ale teraz, w San Francisco, był od niego uzależniony. Czekał, aż informacje Walta załadują się na jego dysk, otworzył puszkę piwa i wyrzucił przez okno. Co sobie wcale ciwie wyobrażał w ogrodzie, kiedy zobaczył Marlę siedzącą na huśtawce, kołysząc się lekko w wilgotnej, przenikającej wszystko mgłę? Nie powinien spotykać się z nią sam na sam, nie powinien jej dotykać ani dopuszczać do siebie myśli o tym, że mógłby ją pocałować.

Ale zrobił to wszystko. A teraz pamięć podsuwała mu kolorowe, żywe obrazy z przeszłości. Rdzawe włosy opadające na nagie ramiona, miękki zarys piersi o ciemnych brodawkach, długie nogi i gniazdko małych loczków u ich zbiegu.

- Kretyn - mruknął do siebie i pociął z puszki kolejny długi łyk. Co takiego było w tej kobiecie, że nie umiał o niej zapomnieć? Zmieniła się przez te wszystkie lata, dojrzał, jej twarz wyglądała teraz inaczej, blizny po wypadku były bardzo widoczne. Zmienił się też wyraz jej oczu. Dawna zalotność i dąza w jej spojrzeniu ustąpiły miejsca namiętności i innego rodzaju. Głębziej. Niebezpiecznej. Ale równie zniewalającej.

- Cholera. - Dopił piwo. Raport Haagi był już gotowy, zaczął więc przeglądać stron po stronie. W końcu zobaczył zdjęcie Pam Jaffe Delacroix i znieruchomiał. - A niech to - mruknął, patrzcie na kobiety tak podobne do Marli, że mogłyby być jej siostry... może nie bliźniaczki, ale na pewno bliskie krewnie. Podobne twarze otaczały takie same ciemne włosy o głębokim odcieniu mahoni, ale Pam miała szersze czoło, nieco bardziej okrągłe oczy i bardziej spiczasty podbródek. Nie były to, oczywiście, jedyne różnice. Zbieg okoliczności?

A Marla rzeczywiście się zmieniła? Nie tylko psychicznie, ale także fizycznie. Alex wspominał, że po wypadku przeszła kilka operacji plastycznych, które trochę zmieniły jej twarz. Na pewno więc wygląda teraz trochę inaczej niż kobieta, którą zapamiętał. Czy Pam i Marla to jedna i ta sama osoba? Czy zamieniły się miejscami? To samo pytanie? I czym jeszcze?

Uważnie obejrzał zdjęcie Pam zrobione w ciągu wielu lat - z matką, przed rozwodem, z małym dzieckiem na łódce, z dorastającą córką na uroczystościach zakończenia szkoły średniej - i miał wrażenie, że krew w jego żyłach zmienia się w lód. Co się tu, do cholery, dzieje?

- Myśli, Cahill - powiedział do siebie. Przez jego głowę przemykało sto pytań na minutę. Co naprawdę się stało wtedy na drodze nr 17? Kim była kobieta, której nikt nigdy nie widział, a która była z Marli tamtej nocy? Dlaczego policja cięgle prowadzi dochodzenie w tej sprawie, skoro to tylko wypadek drogowy?

Nie podobały mu się te pytania, prowadziły w niebezpiecznym kierunku. Dotknął ekranu komputera, z którego patrzyła na niego twarz Pam Delacroix. Może nie była tak piękna jak Marla, ale mogła się bardzo podobać.

- Cholera - zaklął cicho i wyciągnął dyskietkę z komputera.

Minęła już północ, ale Nick przypomniał sobie, że kilka przecznic dalej widział całonocne centrum komputerowe. Chciał mieć raport i zdjęcie na papierze. Zdjął z wieszaka kurtkę, wsadził dyskietkę do kieszeni i zbiegł po schodach. Na zewnątrz panował przenikliwy chłód, a od zatoki wiał silny wiatr. Podniósł kołnierz kurtki i ruszył przed siebie. Włożył ręce głęboko do kieszeni i myślał o Marli, o tym, że omal nie zginęła na tamtej krętej, górskiej drodze.

I o tym, że Pam Delacroix straciła tam życie.

Ominął kałużę, w niedozwolonym miejscu przebiegł przez jezdnię i wszedł do centrum. Za ladą stał przyszczyty osiemnastolatek, który okazał się znacznie bardziej kompetentny, niż by wskazywał na to jego wiek.

Cała operacja nie zabrała mu dużo czasu. Po godzinie miał już wszystko - wydrukowany raport, zdjęcie, życiorysy zawodowe, zeznania podatkowe, listy wykroczeń drogowych i tyle informacji o Pam Delacroix i członkach własnej rodziny, by do rana nie zmuzyka.

W hotelu rozłożył materiały na łóżku w osobnych kupkach, dołączył do nich otrzymane od Aleksa dokumenty dotyczące firmy. Potem zabrał się do pracy.

W tym całym bałaganie z pewnością może znaleźć odpowiedź na pytanie, o co tu właściwie chodzi. Musi tylko dobrze poszukać.

Tony Paterno miał nadzieję, że wydarzy się cud.  
Niestety.

Powoli włączył się w uliczny ruch swoim szerokim cadillakiem, odziedziczonym po ojcu kabrioletem rocznik sześćdziesiąt dziewięć, i ruszył w stronę mostu Golden Gate. Paterno zazwyczaj grał zgodnie z zasadami. Chyba nie akurat mu przeszkadzały. Wtedy nagiął się zwracając do własnych potrzeb. Tak jak zamierza zrobić teraz, nawet jeśli trzeba byłoby dokonać małego włamania.

Pamela Delacroix miała grupę krwi 0 Rh+, tak samo, jak grupa krwi widniejąca na jej świadectwie zgonu. Marla Cahill z grupą 0 Rh-, co zgadzało się z informacją zawartą w jej karcie ze szpitala Bayview. Paterno rozmawiał z oficerem, który zajmował się zabezpieczeniem miejsca wypadku, i był niemal pewny, że nie popełniono żadnej rażącej pomyłki. Pamela Delacroix nie żyła.

To tyle, jeśli chodzi o jego teorię zamiany miejsc.

Włączył migacz i tu przed wjazdem na most zmienił pas. Cały czas zastanawiał się, dlaczego ta nieszczerza sprawa stoi w miejscu.

Portret pamięciowy człowieka, który przebrał się w fartuch doktora Carlosa Santiago tej nocy, kiedy zmarł Charles Biggs, mógłby portretem kadełko białego mężczyzny mającego metr osiemdziesiąt wzrostu i wagi około osiemdziesiąt pięć kilo. Nic nie wyróżniało go spośród setek tysięcy innych. Miał niezbyt krótko przycięte ciemne włosy, okulary i wosk.

Oczywiście do tego czasu już mógł ufarbować sobie włosy, zgolić wosk, kupić sobie parę soczewek kontaktowych i oddalić się od szpitala o setki kilometrów.

Tak więc Paterno znowu znajdował się w punkcie wyjścia.

Detektyw, zawieszając gumki, spojrzał na błotnik jadący przed nim hondy. Wycieraczki jego samochodu niestrudzenie cierały krople deszczu z przedniej szyby, a w radiu psycholog radził jakiejś zdradzanej przez męża kobiecie, aby się „obudziła i poczuła zapach wiejskiej kawy”.

Pochłoni ty własnymi my lami zmarszczył brwi. K tem oka dostrzegł rdzawe liny i raczej domy lił si , ni zobaczył, e jedzie teraz nad zielonkaw wod ł cz c Pacyfik z Zatok San Francisco. Poczuł, e stary dach kabrioletu przecieka, ale postanowił nie zwraca na to uwagi.

Kierował si teraz w stron Sausalito, usiłuj c stłumi niepokoj ce przecucie, e Marla Cahill nie jest t osob , za któr wszyscy j uwa aj . A w takim przypadku m Marli musiał dostrzec ró nic .

Przecie amnezja nie mogła wymaza starych urazów, zmieni wygl du, głosu, sposobu mówienia.

- Do diabła. - Omal nie przegapił zakr tu po północnej stronie mostu. Musiał przyspieszy , eby zd y przed jad c drugim pasem ci arówk .

Pam Delacroix mieszkała sama na barce w Zatoce Richardsona, w starej dzielnicy artystów i literatów w Sausalito. Córka była ju na swoim, a były m , Crane Delacroix, chyba in ynier, pracował w firmie komputerowej, która odniosła wielki sukces, co pozwoliło si wzbogaci pracownikom. Crane'owi równie . Z informacji, jakimi dysponował Paterno, wynikało, e Pam yła głównie z przyznanych jej po rozwodzie alimentów i nie miała najmniejszego zamiaru wraca do swojego zawodu. Zajmowała si wszystkim po trochu, od malowania ceramiki po pisanstwo, a tak e sprzeda nieruchomoci, ale przez ostanie pół roku nie zawarła adnej transakcji. Pracowała głównie w domu, nie płac c nawet za biurko w firmie, z któr była zwi zana.

Wiele o niej słyszano, ale w rzeczywisto ci niewiele osób miało okazj j pozna .

Paterno zaparkował na miejscu dla go ci, po czym odszukał bark Pam, kołysz c si na wodzie mi dzy domkiem na palach a jak łodzi . W zatoce panowała cisza i spokój, s cz ca si z szarego nieba m awka otulała wszystko mi kk



zasłony, co było mu bardzo na rękę. Zapukał do drzwi. Czekał chwilę, ale nikt nie odpowiedział, więc spróbował otworzyć drzwi. Były wprawdzie zamknięte, ale nie zamocowano na nich zasuw. Szybko rozejrzał się wokół i wyciągnął wytrych. Następnym razem wezmie ze sobą cholerny nakaz rewizji, teraz postanowił nie przejmować się jego brakiem.

Wiem, Pam Delacroix uważała za nieszczęśliwy wypadek, ale Paterno wychodził z innego założenia. Zbyt wiele elementów nie pasowało do tej teorii, więc poniosło dwoje ludzi. Charles Biggs i Pam Delacroix już nigdy nie opowiedz swojej wersji wydarzeń, a Marla Cahill twierdzi, że cierpi na amnezję. Kto postanowił nie czekać, a Biggs umrze śmiercią naturalną. Dlaczego?

Musi być jakieś wyjaśnienie, jaka cieniutka niteczka, którą musi chwycić i pociągnąć, by spru misternie utkany gobelin kłamstw, spowijał cię, wiem, Pam Delacroix.

Ostro nie, by niczego nie przewrócił, obszedł niższy poziom mieszkania - dwie sypialnie, łazienkę i salon zamieniony na gabinet. Był to wyłożony ciemną boazerią pokój z kominkiem i sporą biblioteką pełną księzek prawniczych. Rozsuwane drzwi prowadziły na pokład, z którego rozciągał się widok na zatokę.

Na biurku w rogu stał komputer. Przez ekran wolniutko przepływały zdjęcia córki Pam.

Paterno bez wahania wciągnął na rękę lateksowe rękawiczki i ostro nie, żeby niczego nie naruszyć, przejrzał osobiste pliki Pam Delacroix, a tak leżały na biurku papiery. Nigdzie nie znalazł ani adresu i numeru telefonu Marli Cahill, ani żadnych notatek na jej temat. W komputerowym kalendarzu pod datą oznaczającą dzień wypadku widniało puste miejsce.

- wietnie.

Na biurku leżały też książki, podręczniki prawa, procedur policyjnych i adopcyjnych, opisy spraw dotyczących praw

rodzicielskich, a na dysku znajdowało si kilka rozdziałów z ksi ki, nad któr pracowała Pam. Wygl dało to na thriller prawniczy. A wi c Pam Delacroix miała nadzieję , e zarobi na tym modnym trendzie, jak wielu prawników przed ni .

wiatełko automatycznej sekretarki mrugało, nacisn ł wi c guzik. Jednak ten, kto dzwonił, odło ył słuchawk , nie zostawiaj c wiadomo ci Paterno postanowił sprawdzi rozmowy telefoniczne Pam.

Opu cił gabinet i po spiralnych schodach udał si na pi tro. W przeciwie stwie do biura, w kuchni, salonie i jeszcze jednej sypialni poł czonej z łazienk panował idealny porz dek. Na kwiecistych poduszkach nie dostrzegł jednej zmarszczki, na blacie kuchennym ani okruszka.

W sypialni obejrzał zdj cia le ce na sekretarzyku. Bez w tpienia widniała na nich Julie córka Pam, w szkolnej pelerynie i w birecie trzymaj ca na r kach białego kota w czarno-rude pr gi.

Poza tym wszystko było jak nale y. Ubrania w szafach zostały uło one według kolorów, a kuchenne kredensy i szuflady wygl dały tak, jakby Pam spodziewała si fotografa z „House Beautiful” albo wizyty te ciowej.

Tylko w gabinecie panował bałagan.

Wi c Paterno wrócił tam. Sprawdził w komputerze pliki uj te w li cie ostatnio otwieranych, ale znalazł tylko jeszcze kilka rozdziałów jej ksi ki. Wydrukował komputerowy kalendarz i ksi k adresow .

Wło ył papiery do kieszeni, wyszedł, zamkn wszy za sob drzwi. Nast pnym razem, kiedy si tu pojawi, b dzie post pował zgodnie z zasadami.

Podszedł do swojego cadillaca i spojrział nad wodami zatoki w stron Półwyspu Tiburon, malowniczego skrawka l du wrzynaj cego si morze. Tam, w eleganckim domu opieki, przebywa obecnie ojciec Marli Cahill, Conrad Amhurst. Paterno zmru ył oczy w zamy leniu, wsiadł do samochodu,

wsadził kluczyk do stacyjki i ruszył z parkingu. Wprawdzie jego dzieci mówiły, że ten samochód wygląda jak motorówka, i chciały, żeby wymienił go na nowszy model, ale Paterno uwielbiał czerwone skóry i tapicerkę i to miejsce na tablicy rozdzielczej, w którym przez ponad trzydzieci lat stała naleśnikowa do jego ojca mała figurka Dziewicy Maryi.

Na razie nie miał zamiaru sprzedawać tego samochodu. Jeszcze przez jakiś czas.

- Mon Dieu! - wykrzyknęła Helene, osobista fryzjerka Eugenii. Spojrzawszy na głowę Marli, omal nie padła zemdlną na podłogę w holu. - Co się stało?

- Mówiłam ci przecie o wypadku - odparła Eugenia.

- Nie... nie o to chodzi. Co się stało z... włosami?

- Sama je obciąłam - oznajmiła Marla, rozbawiona przerażeniem tej drobnej kobiety.

- Tak, cóż... zobaczymy... Och, chyba byś musiała się najpierw dobrze zastanowić. - Potem, jakby zdała sobie sprawę, że jej słowa mogą zrazić nową klientkę, dodała z uśmiechem: - Ale to oczywiście nie jest problem. Umiem dokonywać prawdziwych cudów. Pani ma piękną twarz, po co ją ukrywać... zaraz... Jest pani zadowolona z koloru?

- Potrzebuję tylko strzyżenia - odparła Marla. - A włączyć ciwie wyrównania.

Helene posłała jej przebiegłe spojrzenie, które mówiło: „Och, gdyby tylko wiedziała”. Udały się windą do apartamentu Marli, gdzie fryzjerka od razu przystąpiła do rzeczy. Namówiła Marla na mycie, odmycie i obcięcie tego, co jeszcze zostało. Z wyrazem powagi na twarzy, jakby rzeźbiła piękną twarz w skałę góry Rushmore, Helene pracowała gorliwie, mrucząc coś pod nosem, potrzymany głowę a na koniec zabrała się do suszenia tego, co Marla uznała za dzieło geniusza. Krótkie mahoniowe loczki prawie zupełnie zasłaniały blizny i wdziacznie opadały na kark.

- Szczęście z pani - stwierdziła Helene, przekrzywając głowę i przyglądając się efektom swojej pracy.

Odpowiedziało jej drwiące spojrzenie Marli, która w lustrze widziała swój wciąż jeszcze opuchnięty i posiniaczony twarz.

- O, tak - upierała się Helene - te brzydkie kolorki wkrótce znikną, a pani oczy i kości policzkowe są po prostu wspaniałe. Widam od razu. - W zachwycie wzniosła w górę rękę i oczy. - Powinna pani zobaczyć, nad czym ja czasem muszę pracować!

- Dziękuję - powiedziała Marla i poczuła, że się rumieni. Komplement sprawił jej zadowolenie. Do diabła, dzisiaj zje z kimś kolację razem ze wszystkimi. Nawet jeśli ona będzie musiała się ograniczyć tylko do zupy. Nawet jeśli druty będą jej przeszkodzą. To jej rodzina, a ona musi poczuć się wreszcie jej częścią, stworzy nową więź ze swoją córką i matką.

Odprawiając Helene do drzwi, spojrzała przelotnie w wielkie lustro w holu i stwierdziła, że rzeczywiście wygląda lepiej.

Zadzwonił telefon i Marla bez wahania podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Marla? To ty? - spytał kobiecy głos.

- Halo? - W słuchawce odezwał się nagle głos Carmen, która odebrała telefon w innym pokoju.

- Już jestem - rzuciła Marla szybko. Rozległ się dźwięk odkładanej słuchawki. - Tak, to ja - odparła. Któraś kobieta dostrzegła, że Eugenia, która stojąc w drzwiach egnała fryzjerkę, odwróciła się gwałtownie.

- Dzięki Jezusowi w końcu udało mi się z tobą skontaktować - powiedziała rozmówczyni, wzdychając z ulgą. - To ja, Cherise. Od dnia wypadku cały czas usiłowałam się do ciebie dostać.

Drzwi frontowe zamknęły się cichym trzaskiem i Eugenia wróciła do holu, spoglądając na Marla surowo, jakby była nauczycielką, a jej synowa niegrzecznie uczennicą, przyłapaną na cięganii.

- Dzwoniłam wielokrotnie, ale za każdym razem słyszałam, że to niemożliwe. Nick poradził mi jednak, abym próbowała dalej i... Pan Bóg musiał wysłuchać moich modłów. Jak się czujesz? - spytała Cherise głosem pełnym troski.

- Lepiej. - Marla znów napotkała pełen dezaprobaty wzrok tej ciowej, ale postanowiła nie zwracać na Eugenię uwagi. Na górze zaczął płakać James.

- Wiem, że jest ci ciężko - mówiła Cherise. - Te wszystkie obrażenia i utrata przyjaciółki. Straszne, straszne. Trudno czasem zrozumieć wyzwania, które rzuca nam Bóg.

Zgadza się, pomyślała Marla.

- Wielebny i ja chcielibyśmy ci odwiedzić.

- Wielebny, to znaczy twój mąż? - spytała Marla.

- Tak. Och, oczywiście... wybacz, zapomniałam o twojej amnezji - achnęła się Cherise. - Mówi o nim „wielebny Donald”.

Marli stanął nagle przed oczami wizerunek Kaczora Donalda z wielkimi aureolami i anielskimi skrzydłami, który - była tego pewna - widziała dawno temu. Wielebny Donald zapewne nie byłby zachwycony tym porównaniem.

- Chciałbym się z wami spotkać. - Dziecko nie przestawało płakać i Marla spojrzała w stronę schodów. Gdzie jest ta Fiona?

- Może jutro? Po południu?

- Tak się składa, że akurat jutro mam trochę wolnego czasu - zaczęła Marla. W pierwszym odruchu miała ochotę zapytać kogoś o pozwolenie na zaproszenie gościa, ale postanowiła tego nie robić. To jej dom, do diabła. A teraz, siedząc po wrzaskach dochodzących z góry, musiałyby

sko czy rozmow , by zaj si dzieckiem. - Rano maj mi usun te druty, wi c b d ju mówiła wyra niej.

- wietnie. Sprawdz tylko, czy wielebny ma jutro czas mi dzy trzeci a czwart . Mo e uda mi si te przyci gn Montgomery'ego.

- Dobry pomysł. Im wi cej, tym weselej - powiedziała Marla.

Odło ywszy słuchawk , zobaczyła Eugeni spogl daj c na ni ze zmarszczonymi brwiami.

- Zaprosiła kogo na jutro?

- Tylko rodzin - odparła Marla, ura ona wyrazem niezadowolenia na twarzy te ciowej i tonem wy szo ci w jej głosie. - Cherise i jej m a, wielebnego Donalda.

- Dobry Bo e.

- To samo powiedziała Cherise... - rzuciła Marla, wchodz c po schodach. Stoj c na drugim pode cie, przechyliła si przez por cz. - Mo e te przyjdzie jej brat-dodała.

Dziecko przestało płaka .

- Montgomery. Cudownie - wycedziła Eugenia przez zaci ni te z by. - To powinno by interesuj ce.

Amen, pomy lała Marla, id c po schodach.

- Marla si zmieniła. - Nick siedział na przednim siedzeniu jaguara, obok Aleksa, który skr cał wła nie w wiod c do zatoki Market Street. Nad nimi l niło goł bioszare niebo, blask odbijał si w mokrych od deszczu chodnikach.

- Oczywi cie, e si zmieniła. Nie widziały jej od lat.

- Nie o to mi chodzi - powiedział Nick, rozgl daj c si z cynicznym błyskiem w oku po centrum finansowym San Francisco. Gigantyczne budowle z betonu i stali wznosiły si a do nieba, samochody sun ły powoli zatłoczonymi ulicami, chodnikami spieszyli ludzie z teczkami, torbami i parasolami. Sygnalizacja wietlna mrugała, wyły silniki samochodów,

mi dzy budynkami kr yły goł bie i krzyczały mewy. Nick szczerze tego nie cierpiał. Wszystkiego.

- Có , dobrze. Marla si zmieniła - przyznał Alex, wciskaj c samochodow zapalniczk , kiedy zatrzymali si na czerwonym wietle i z obu stron ulicy wylał si na jezdni strumie ludzi. - Dopiero co urodziła drugie dziecko, a kilka dni pó niej ledwo uszła z yciem z okropnego wypadku, w którym zgin ły jej przyjaciółka i druga, zupełnie obca osoba. Straciła pami , przeszła dwie operacje plastyczne, a w ustach od dwóch miesi cy ma druty, które sprawiaj , e ledwo mówi. Nie widziały si z ni od wielu lat. Tak, domy lam si , e wydaje ci si inna. -Wyci gn ł paczk papierosów z kieszeni. Wytrzn ł jednego w chwili, kiedy rozgrzana do czerwono ci zapalniczka wyskoczyła z otworu. Alex zapalił papierosa. - Mam nadziej , e Marla dojdzie do siebie... nie tylko fizycznie, ale te psychicznie, e odzyska pami . - Przyhamował przed znakiem stopu. Wymin ło ich kilka samochodów. - W tpi , czy kiedykolwiek b dzie wygl dała tak samo, jak przed wypadkiem.

- Mo e przej jeszcze jedn operacj .

- Tak, czemu nie? - Alex nacisn ł pedał gazu i jaguar skoczył do przodu. - Pewnie ju si zorientowały , e nasze mał e stwo przeszło wiele trudnych chwil.

Nick zacisn ł z by.

- Cherise wspominała, e rozchodzili cie si kilkakrotnie. Dlaczego?

Alex spojrział na niego chłодно.

- Marla nie jest najłatwiejsza we współ yciu.

- A ty jeste ?

- Có , masz racj - przytakn ł Alex. - Ja te nie. Ale chyba to ju nie ma znaczenia. Teraz wszystko si uło yło. Wspomniałem o tym, bo musiało to wcze niej czy pó niej wyptyn , i wolałem, eby dowiedział si ode mnie.

Nick powstrzymał się od komentarza. Wczoraj widział Aleksa i Marl w czułym uścisku.

A w ogrodzie omal jej nie pocałował.

Alex skierował samochód na parking znajdujący się pod potężnym budynkiem, stojącym tu przy Embarcadero. Budynek, cały z betonu, szkła i stali, górował nad centrum finansowym, a jego eleganckie wnętrza miały ciłe biura Cahill Limited. Przed siedmiu laty Alex uznał, że budynek z czerwonej cegły, będący w posiadaniu firmy od ponad wieku, nie jest do prestiżowy. Nick uważał, że ta przeprowadzka była jednym z największych błędów popełnionych w ostatnich latach. Nagle koszty zaczęły przewyższać przychody. Sama przeprowadzka kosztowała prawie milion dolarów, a to stanowiło dopiero początek wydatków. Opłaty związane z wynajmem budynku były astronomiczne, nawet tak dobra lokalizacja nie mogła ich usprawiedliwić. W każdym razie zdaniem Nicka.

Alex zaparkował na wyciecznym, zarezerwowanym dla niego miejscu w garażu pod budynkiem, a potem poprowadził brata do windy, którą wjechali na trzecie piętro. Pchnął podwójne drzwi z grubego szkła, ozdobione logo firmy, i wszedł do holu.

Zatrzymał się tam na dłuższą chwilę, przedstawił Nicka sekretarce, odebrał wiadomości, a potem zaprosił brata do wielkiego gabinetu. Stało tam potężne biurko, kilka kanap, stół z dwoma skórzanymi fotelami, barek i długa, niska szafa na dokumenty. Biurko stało przed oknami, z których rozciągał się widok na całe miasto. Między dachami budynków migotały wody zatoki.

- Pracowałem na w gorszych warunkach - zauważył Alex nonszalancko, zdejmując płaszcz i szalik.

- O, tak. W znacznie gorszych.

- Wiem, co myślisz. To wszystko jest zbędne, a kosztuje za dużo i należy przenieść biuro do tej części dzielnicy, gdzie bliżej zatoki albo do dawnego budynku. -



Powiesił płaszcz w szafie, wi kszej ni szafa, któr Nick miał w domu. - Wierz mi, rozwa ałem to, aie dogodno ci zwi zane z lokalizacj w samym sercu miasta, kontakty, jakie nawi załem tylko w tym budynku, presti , zwi zany z centrum finansowym miasta - to wszystko ma du e znaczenie. Mam te blisko do domu, mog cz cie j widywa si z dzie mi. Teraz, po wypadku Marli, to du y plus. -Zamkn ł szaf i usiadł za biurkiem, odruchowo wł czaj c komputer. Wskazał Nickowi jeden ze skórzanych foteli. Kiedy Alex zacz ł sprawdza notowania giełdowe na ekranie komputera, Nick spostrzegł zdj cia rozstawione na szafie na dokumenty. Alex ciskaj cy dło gubernatora, Alex stoj cy przed supernowoczesnym odrzutowcem, Alex na polu golfowym w grupie innych m czyzn. I portret rodzinny, zrobiony ponad dziesi lat temu. Marla, Cissy i Alex na białym, fotograficznym tle. Cissy była jeszcze niemowl ciem; ubrana w ró owe pioszki siedziała na kolanach matki. Miała niewinne, okr głe oczy, policzki rumiane jak jabłuszka i brwi uniesione w dzieci cym zdumieniu. W przeciwie stwie do Aleksa, który stał za nimi, z dłoni opart władczo na ramieniu ony, w czarnym garniturze, sztywne i dumny, ze sztucznym, wystudiowanym u miechem na twarzy. Ale uwag Nicka przykuwała tylko kobieta na rodku fotografii. Ani jedno pasmo g stych, wij cych si , ciemnych włosów nie wymykało si z misternie uło onej fryzury. Ramionami otoczyła dziecko, a jej zielone, wyraziste oczy migotały tajemniczo. U miechała si lekko, ukazuj c białe z by - idealna ona szanowanego biznesmena w eleganckiej czarnej sukni - ale Nick wiedział, e była to tylko poza skrywaj ca prawdziw Marl Cahill.

- Zrobili my to zdj cie w dniu pierwszych urodzin Cissy
- powiedział Alex. - Dwana cie lat temu.
- Szcz liwa rodzina.
- Na ogół.

- B dziecie musieli zrobi sobie jeszcze jedno takie zdj cie.

Alex zmarszczył brwi, jakby w pierwszej chwili nie zrozumiał.

- Och, tak. Mamy teraz drugie dziecko. - Oparł podbródek na dłoniach i westchn ł ci ko. - Có , teraz jest tyle problemów, e nie my l o sesjach fotograficznych. Polecilem ju moim pracownikom, by ci umo liwili dost p do wszystkiego, co b dzie ci potrzebne. Mo esz pracowa w sali konferencyjnej, ale je li chcesz, znajd ci jakie wolne biuro.

- Sala konferencyjna wystarczy, o ile b d mógł wynosi dokumenty poza obr b budynku.

Alex podrapał si po głowie.

- Pod warunkiem, e zamieszkas w swoim pokoju w naszym domu. Wolałbym, eby nie zabierał dokumentów do hotelu, gdzie ka dy mo e mie do nich dost p. Nie co, e ci nie ufam. To tylko kwestia bezpiecze stwa.

- Ju przekazałe mi cz dokumentów - przypomniał Nick, ani przez chwil nie wierz c w wyja nienia brata.

- Wiem. Ale potem doszedłem do wniosku, e to zbyt ryzykowne.

- Gówno prawda. - Nick zmru ył oczy, patrz c uwa nie na Aleksa, który, zanim przeszedł do rodzinnej firmy, pracował jako adwokat i odnosił spore sukcesy. - Dlaczego tobie i matce tak bardzo zale y, ebym wprowadził si do domu?

Alex zawahał si z odpowiedzi .

- Chcecie mie nad wszystkim pełn kontrol , prawda? Nie tylko nad tymi dokumentami, ale i nade mn .

- Zawsze byłe podejrzliwy - prychn ł Alex.

- Za to mi płacisz. ebym ruszył swój podejrzliw głow . Czy nie? - spytał Nick. - Czego tak naprawd ode mnie chcesz? Mogłe wynaj jakiegokolwiek dobrego konsultanta, których pełno jest w tym mie cie. Nie trzeba by geniuszem, eby wiedzie , jak zaoszcz dzi pieni dze. Troch

ci, podwyżka cen, stworzenie wyszego marginesu zysków albo zwiększenie sprzedaży przy istniejącym... A jeśli chodzi o twoją sytuację rodzinną, to mogłyby przecież wynająć pielęgniarkę, guwernantkę czy inne osoby do towarzystwa dla Marli, matki i do opieki nad dzieckiem. Naprawdę, nie sądzę, żebyś tu potrzebował. - Spojrzał na elegancki, szyty na miarę garnitur brata i jego krawat za dwieście dolarów. - Wiczemu, u licha, pojechałaś do Oregonu, żeby opowiedzieć o swoich problemach?

Alex zacisnął usta i milczał przez chwilę. Albo się zastanawiał, czy powiedzieć prawdę, albo chciał zwiększyć napięcie. Spojrzał na rodzinne zdjęcie.

- Z powodu Marli.

Znowu ona. Między dwoma mężczyznami. Jak zawsze. Powietrze nagle zrobiło się naładowane elektrycznością i gęste od przemilczanych oskarżeń i pretensji. Alex pochylił się do przodu, jego fotel zaskrzypiał cicho.

- Wiedziałem, że Marla może stracić pamięć. Doktor Robertson uprzedził mnie o tym. Wiedziałem także, że twój widok może sprawić, że ją odzyska. Poza tym, biorąc pod uwagę całą sytuację, chciałem, żebyś tu był.

- Nigdy mnie tu nie chciałem.

- Może się zmieniłem.

- Przenieź mi kaktus wyrośnie na dłoni. - To wszystko nie miało sensu. Alex nie mógł się zmienić tak.

- Marla może się jakoś otrząsnąć z tej... apatii. To wszystko zaczęło się jeszcze przed wypadkiem, kilka tygodni przed narodzinami Jamesa i ma coś wspólnego z tobą, Nick, czy ci się to podoba, czy nie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Przecież między wami coś było, oboje to wiemy. Marla zawsze coś do ciebie czuła i mimo to wyszła za mnie, nigdy jej to nie przeszło. - Westchnął i dotknął swojego krawata. - To twoje imię wypowiedziała, kiedy była nieprzytomna, nie moje.

- Zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że twoja obecność pomoże jej dojść do siebie.

- Nie kupuj tej historyjki. Ani jednego słowa. Jeśli chcesz, żeby Marla doszła do siebie, możeesz wynająć lekarzy, psychiatrów czy kogo tam chcesz, ale wywlekanie czegoś, co zdarzyło się pięćnaście lat temu, na pewno jej w niczym nie pomoże. Nie. - Nick znowu poczuł, że dopada go poczucie winy, krępuje go i dusi. Oddychał z trudem. Prawda, że on i Marla byli kochankami, ale to się zdarzyło, zanim wyszła za Aleksa. Wstał powoli, nie odrywając jednak wzroku od twarzy brata. - Tu chodzi o coś jeszcze. Coś, czego mi nie mówisz. Czuj to.

- A cóż to mogłoby być?

- Nie wiem - odparł Nick. - Ale się dowiem, możeesz być pewny.

Marla trochę zbyt późno zdała sobie sprawę, że nie powinna była schodzić na kolację. Cała rodzina zgromadziła się wokół stołu nakrytego drogiem lnianym obrusem, zastawionego porcelaną, kryształami i srebrem. Płonęły świece, grała cicha muzyka, a pod rzucającym słabym światłem wrandolem stał wielki wazon wieńców i irysów i margerytek. U szczytu stołu siedział Alex, Marla przypadło miejsce naprzeciw niego. Po jednej stronie, koło swej babki usiadła Cissy, po drugiej, spoglądając chłodno na Marla, Nick. Odnosiło się wrażenie, że z trudem znosi toczą się przy stole rozmowy, brzęk sreber i muzykę. Na półmiskach leżała piecze, ziemniaki udekorowane zielonym pietruszkiem i długie, delikatne szparagi. W powietrzu unosiły się smakowite wonie.

Marla czuła się idiotycznie nad miseczką specjalnie dla niej przygotowanej papki. Mimo że był to pierwszy posiłek, który jadła wraz z całą swoją rodziną, Marla miała wrażenie, że atmosfera sztucznie ciemna i fałszywa. Próbowwała sobie tłumaczyć, że pewnie czuje się tu obco z powodu amnezji i przyjmowanych

leków. A może to nawrót paranoi. A może nie potrafi zapomnieć spotkania z Nickiem w ogrodzie i jego namiętnego spojrzenia.

Niezręcznie chwyciła łyk i włożyła do ust trochę stej zupy z krewetek. Jej podrażniony stresem nóżdek zaczął się buntować.

Rozmowa przy stole była sztywne i wymuszona. Alex powiedział coś na temat interesów i notowań giełdowych, Eugenia wspomniała Cahill House i problemy związane z poszukiwaniem nowego dyrektora. Cissy prawie się nie odzywała, znosiła to wszystko, wzdychając ciężko ze znużonym wyrazem twarzy. Marla nie dziwiła jej się specjalnie. Nick jadł w milczeniu, kiedy ktoś go o coś pytał, odpowiadał monosylabami.

Była jego kochanką. Tyle jej powiedział. Byli kochankami. Poczuli, że płonie jej policzki, bo bez trudu mogła to sobie wyobrazić. Nie pamiętała wprawdzie, jak to było, kiedy się kochali, nie miała żadnych związków z tym wspomnieniem, ale wierzyła, że to prawda. Było w nim coś, czemu nie mogła się oprzeć. Przystojny na swój sposób, ogorzałej od wiatru twarzy i specyficznym poczuciu humoru, granicznym czasami zuchwałoci. I choć złościła się na siebie za takie myśli, wydawał jej się seksowny jak sam diabeł. Wszystko jej się popłatało. Na pewno ma to jakiś związek z lekami i zagubieniem spowodowanym tym cholernym amnezją. Jednak patrzcie na jego opalone skórki, wystające policzkowe, szerokie czoło i silny zarys szczęki, czuła, że coś do niego cięgnie, tak samo jak w szpitalu, a potem w ogrodzie.

Przełknęwszy z trudem kolejny łyk zupy, próbowała się skupić na rozmowie. Nie miała już spoglądać w stronę Nicka. Na widok prawdziwego jedzenia zaczął jej burczeć w brzuchu. Nie mogła się doczekać, kiedy przekłute druty znikną w kośćcu z jej ust. Jeszcze tylko jeden dzień.

- Mama powiedziała, że zaprosiła Cherise i jej matkę - odezwał się w końcu Alex z drugiego końca stołu.

- Owszem. Cherise zadzwoniła do mnie. Przyjdź jutro.

- Mylisz, że to dobry pomysł? - Alex odciął tłuszcz ze swojej porcji mięsa, po czym ukroił kawałek i zanurzył go w puszystej górcie chrzanu.

- Znasz moje zdanie na temat gości - odparła Marla.

- Ale... cóż, Cherise i Montgomery włącznie nie zaliczają się do naszych przyjaciół.

- Należą do rodziny.

Eugenia odłożyła widelec.

- Ale ten rodzinny spór... sama rozumiesz.

- O rany! - Cissy pocięła długi łyk wody z kryształowej szklanki, w której tażyły kostki lodu i plasterki cytryny.

- Porozmawiamy o tym później - rzucił Alex, spoglądając na córkę.

- Tak, tak, oczywiście. - Eugenia zarumieniła się lekko. - Nie ma powodu omawiać tych kwestii przy stole.

- Czemu nie? - spytał Nick.

- Cissy nie chce tego słuchać - odparła Eugenia z wymuszonym uśmiechem i sięgnęła po kieliszek z winem.

- Zgadza się, nie chcę.

- Moim zdaniem, to dobrze, żeby tu przyszli - powiedział Nick, odchylając się do tyłu. W przybliżonym świetle grandola jego oczy wydawały się ciemniejsze. - Może ich wizyta oczyści atmosferę.

Alex skrzywił się i potrząsnął głową.

- Będzie z tego same kłopoty. Jak zawsze. W końcu nawet próbowałem pomóc matce Cherise, dałem mu pracę w Cahill House...

- Ale to już przeszło. Nie ma o czym mówić - przerwała mu Eugenia lodowato. I Alex spuścił wzrok.

- Racja.

Nick odsun 1 gwałtownie talerz na bok. Wygl dało, jakby miał si zerwa i wybiec. Atmosfera g stniała z ka d sekund . Marla odło yła ły k . Doszła do wniosku, e nast piła chwila, by przedstawi swój zamiar.

- Gdy tylko pozb d si tych drutów, chciałabym odwiedzi mojego ojca - oznajmiła.

Eugenia, która wła nie nabijała na widelec ziemniaka, nawet nie drgn ła, ale Alex gwałtownie podniósł głow i wbił w Marl wzrok.

- Conrada? A po co?

- Po pierwsze, to mój ojciec. A poza tym ta wizyta mo e mi pomóc odzyska pami . No i... słyzałam, e jest powa nie chory.

- To prawda i bardzo chciałbym zabra cał rodzin w odwiedziny do Tiburon. Zwłaszcza małego. Ale trzeba pomy le o tym człowieku. -Alex odsun 1 talerz i oparł łokcie na stole. - Co by czuł, widz c ci w tym stanie?

Marla rzuciła okiem w lustro wisz ce nad pomocnikiem. Wygl dała coraz lepiej. Si ce znikaly, opuchlizna si zmniejszała, włosy, porz dnie uczesane, l niły w wietle.

- Chyba... ucieszyłby si , widz c, e wyszłam z tego cało.

Eugenia popiła k s mi sa winem.

- Chyba b d mogła pojecha do Tiburon. W tym tygodniu mam kilka spotka , ale mo e w nast pnym...

- S dz , e b d w stanie pojecha tam sama - odparła zniecierpliwiona Marla. Miała ju do tego, e wszyscy traktuj j , jakby była niepełnosprawna. Zaczynała widzie ten dom jako co w rodzaju luksusowego wi zienia, co było, oczywi cie, mieszne. Chciała spotka si z ojcem w cztery oczy, bez rodziny.

- Nie mo esz prowadzi - przypomniał jej Alex.

- Czemu?

- Có , twój samochód znajduje si w warsztacie, a ty dopiero co wyszła ze pi czki...

- Ju odzyskałam przytomno . Nie widz powodu, by zawraca twojej matce głow moimi sprawami. Ani tobie. Nie musisz organizowa dla mnie wycieczki. W ko cu rozmawiamy o moim ojcu. - Marla urwała, czuj c, e jeszcze chwila, a straci cierpliwo . Pod cienk warstw uprzejmo ci i wyszukanych manier, za kr giem wiatła odbijaj tego si w kryształach i srebrach, w tym wielkim, pos pnym domu powietrze było g ste od nie domówie , a w ciemnych k tach kryły si mroczne tajemnice. - A je li chodzi o samochód, to przecie Lars mo e mnie zawie .

Nie była to najprzyjemniejsza my l, ale uznała, e wszystko jedno. Czula, e musi spotka si z ojcem i e powinna si z nim spotka sam na sam.

- Nie ma problemu - zapewniła j z u miechem Eugenia, której cierpliwo zaczynała ju działa Marli na nerwy.

Poniewa aluzje nie odnosiły po danego skutku, postanowiła nazwa pewne rzeczy po imieniu.

- Posłuchajcie, musz znale odpowiedzi na kilka pyta . Chc jak najszybciej odzyska pami ... przypomnie sobie was... i wszystko... I ju najwy szy czas, ebym znowu stała si niezale na. Chc spotyka si z przyjaciółmi, chodzi do klubu, a jak tylko pozb d si tych drutów, wychodzi na lunch - sko czyła i czekała na reakcj .

Eugenia kroila mi so, tylko jej brwi uniosły si powoli. Alex rzucił serwetk na stół.

- Oczywi cie. Kiedy tylko Phil si zgodzi, b dziesz mogła robi wszystko, na co ci przyjdzie ochota. A poza tym, czy Joanna ju ci tu nie odwiedzila?

- Tak, ale ja jej nie pami tałam. - Marla patrzyła kolejno na ich twarze. Cissy si gn ła po szklank z wod . Nick milczał. - Zaraz, zaraz... czy mam siedzie w domu na polecenie lekarza?

Eugenia z westchnieniem oparła swój nó i widelec o brzeg talerza.



- Doktor Robertson chce tylko mnie pewno , a nie cię nie zaszkodzi. I pomyśl o tym, że straciła pamięć ...

- Myśl o tym tylko, że robi mi się niedobrze - rzuciła Marla, zdumiona własną gwałtownością. - Słuchaj, a pomogę mi spotkanie z ludźmi, wyjście na miasto, odwiedzanie miejsc, w których często bywałam. Potrzebuję bodźców, które pobudzą moją pamięć. - Za wszelką cenę chciała się dowiedzieć czegoś więcej o sobie. O swoim życiu. Rodzinie. Dlaczego czuje się tu jak ktoś obcy?

- Jutro porozmawiam z Philem - obiecał Alex, jakby to załatwiało sprawę.

Marla niemal nie zerwała się na równe nogi. Opanowała się z trudem, chwytając za krawędź stołu.

- Nie. To ja z nim porozmawiam. Myśl, że już czas, abym zaczęła sama załatwiać pewne sprawy.

Zapadła pełna napięcia cisza. Przerwał ją śmiech Aleksa.

- Bravo! - wykrzyknął z drwimi entuzjazmem i zakłaskał w dłonie. - Co za stanowczo! To właśnie nie Marla, jak pamiętam!

Eugenia zmarszczyła brwi. Nick oparł się wygodnie w swoim krześle. Cissy przewróciła oczami.

- Może zadzwonisz do niego jutro rano? - zasugerował Alex.

- Zrobi to - powiedziała Marla, zastawiając się, jak mogła choć przez sekundę przypuszczać, że może stara się ukryć przed wiatem. Po prostu ją chronił, traktował, jakby była krucha, porcelanowa laleczka. Któregoś łatwo można stłuc.

- Naprawdę musimy o tym rozmawiać? - spytała Cissy i Marla skuliła się w sobie. - To znaczy o tej całej pamięci. To takie... dziwne.

Eugenia rzuciła Marli spojrzenie, które mówiło: „Próbowałam ci ostrzec”.

- Cissy ma rację, to nie jest właściwy czas ani miejsce - stwierdził Alex, w jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

- Wi c po kolacji.

Pojawiła si Carmen, zupełnie jakby kto j tu wezwał.

- Doprawdy, nie ma powodu - powiedziała Eugenia, odsuwaj c si od stołu. - Napij si kawy w salonie - zwróciła si do Carmen, która znikn ła równie szybko, jak si pojawiła.

Nick nachylił si nad stołem.

- Je li Marla chce omówi t spraw , powinni my o tym porozmawia - powiedział. - To jej pami .

- O Bo e - mrukn ła Cissy.

Marla była wdzi czna za wsparcie, cho przyszło ze strony Nicka.

- Chc pojecha na ranczo i zobaczy ci na koniu.

Cissy przewróciła oczami.

- Och, daj spokój... przecie nigdy ci to nie interesowało.

- Mówiłam ci ju - powiedziała Marla z naciskiem i wszystkie oczy nagle zwróciły si w jej stron . - Pami tam, e je dziłam konno. To tylko takie mgliste wspomnienie, ale wiem, e je dziłam. My łałam nawet, e mo e ty i ja... na ranczu... - Urwała, widz c zdumienie na twarzy Cissy.

- artujesz? - Cissy potrz sn ła głów ze miechem. - Teraz to ju naprawd przesadziła ! Przecie ty si boisz koni! Podobno spadła z konia w dzieci stwie. Prawda? - Cissy spojrzwała pytaj co na ojca.

- To prawda, kochanie - odparł Alex i Marla poczuła, e grunt usuwa si pod jej nogami. - To był niebezpieczny wypadek. Nie złamała sobie niczego, ale od tego czasu panicznie bała si koni.

Czy naprawd mogła a tak si pomyli ? Czym wi c były te strz py wspomnie , które tak pieczołowicie przechowywała? Snami? Fałszywymi wyobra eniami? Nie! Była pewna.

- Nie potrafi tego wytłumaczy , ale czuj , e... - Urwała, widz c, e wszyscy przestali je i siedzieli ze wzrokiem

wbitym w jej twarz, jakby oczekiwali, e powie co jeszcze. - Cóż, my 1 ... my 1, e lubiłam je dzi konno. - Spojrzała na córk . - Z tob .

- Daj spokój. Nie pami tasz nawet własnych fobii? Bo e, mam, to jest naprawd łosne, dziwaczne i... i przera aj ce...

- Cissy, do tego! - przerwał jej Alex z gniewem. Jego głos brzmiał rozkazuj co i ostro na tle cichej muzyki s cz cej si z ukrytych gło ników.

- Nie, nie, ona ma racj . - Marla spojrzała na wystraszon córk . -To jest łosne, dziwaczne i przera aj ce i bardzo bym chciała, eby si ju sko czyło. Ale potrzebuj czasu, wi c prosz , oka cie mi jeszcze troch cierpliwo ci, dobrze?

- Przepraszam, mog wyj ? - spytała Cissy z oczami pełnymi łez i nie czekaj c na odpowied , odsun ła swoje krzesło od stołu tak gwałtownie, e jego nó ki gło no zazgrzytały po podłodze. Zerwała si i zrucaj c z kolan serwetk , wybiegła z pokoju.

- Zdenerwowała j - powiedział Alex, patrz c na on .

- A ty zdenerwowałae mnie - odpaliła Marla, zaciskaj c dłonie w bezsilnym gniewie. - Nie wytrzymam tego dłu ej. Tej niewiedzy. Nie mam zamiaru kry si w swoim pokoju, póki nie zaczn wygl da do reprezentacyjnie, eby wyj z domu, i nie mam zamiaru odmawia przyjaciołom, którzy chc si ze mn spotka , ani zanieczywa mojego ojca i brata, ani unika Cherise i jej wielebnego mał onka, ani nikogo innego. Mam zamiar normalnie y i odzyska pami , do ci kiej cholery.

- Musisz by cierpliwa... - zacz ła Eugenia.

- Niedobrze mi ju od tego „bycia cierpliw ”. My 1 , e odzyskam pami , je li zaczn wychodzi z domu i robi wszystko to, co robiłam przed wypadkiem.

- S dz , e ona ma racj - zgodził si Nick.

- Nie b dzie to dla ciebie kr puj ce? - spytała Eugenia. - Twoje przyjaciółki to... no wiesz, kobiety z najlepszego towarzystwa i...

- I oka si ostatnimi snobkami albo idiotkami, je li nie zaakceptuj mnie takiej, jak teraz jestem. Joanna Lindquist nie uciekła z krzykiem na mój widok, prawda?

- To mieszne - mrukn ła Eugenia, wstaj c, ale nie odeszła od stołu.

Alex patrzył uwa nie na Marl .

- Przepraszam - powiedział. - Masz racj . Mo e rzeczywi cie powinna zacz wychodzi . Ja... ja tylko martwiłem si o ciebie. - Z westchnieniem opadł na krzesło. - Zawsze tydzie po wi cie Dzi kczynienia wydajemy w Cahill House przyj cie. My łałem, e w tym roku sobie darujemy, ale mo e to nie jest dobry pomysł. Zostały jeszcze dwa... nie, trzy tygodnie. Mogłaby zaj si tym razem z mam .

Zapał Marli osłabł. Poczua si troch niewyra nie na my l o dziesi tkach go ci, oczekuj cych, e ujrz urocz pani domu. Cho z drugiej strony, ma do pomocy słu b , wi c jako sobie poradzi.

- Nie wiem, czy jestem w stanie uczestniczy w tak du ym przyj ciu.

- Oczywi cie, e nie - powiedziała Eugenia, patrz c z wyrzutem na swojego pierworodnego. - W obecnym stanie nie dasz rady. W tym roku mo esz sobie darowa . Wszyscy to zrozumiej .

- Chwileczk . Nie powiedziałam „nie”, tylko e nie wiem, czy jestem gotowa - odparowała Marla. Nie miała zamiaru odgrywa roli inwalidki, dla której rodzina musi po wi ci swoje tradycje i rezygnowa z towarzyskich spotka . Córka ju uwa a j za wariatk . Poza tym powinna przecie spotyka si z lud mi, którzy byli jej przyjaciółmi. - Zgoda. My l , e jednak sobie poradz - oznajmiła.

Eugenia otworzyła usta, jakby miała zamiar zaprotestować, ale zamiast tego znowu usiadła na swoim krześle.

Czy Alex, mimo uśmiechu na twarzy, nie wygląda na przestraszonego? A może znowu ponosi jej wyobraźnia?

- Cudownie - powiedział nieco sarkastycznie.

Marla zaczęła się wahać. Może za bardzo się spieszyła. Nagle poczuła się chora i zmęczona.

- A teraz - powiedział Alex - musisz pojechać. Mam spotkanie w mieście. Jestem umówiony w Marriottcie z kilkoma japońskimi biznesmenami, którzy chcą w nas zainwestować. Taki zastrzyk pieniędzy bardzo nam się przyda. - Obszedł stół dookoła i pocałował ją w policzek.

- Zabawisz panie, prawda, Nick? Zostaniesz trochę?

Nick nie wyglądał na zachwyconego, ale tylko wzruszył ramionami.

- Trochę.

- Dzięki - rzucił Alex z widoczną ulgą i spojrzawszy na zegarek, wyszedł z pokoju.

- Mnie nie trzeba zabawiać. - Marla wstała od stołu.

- A mnie tak. - Eugenia uniosła władczym głosem brew.

- Jeśli nie masz nic przeciw temu, pójdź zobacz, jak się czuje Cissy.

- Nie przejmuj się nią tak - stwierdziła Eugenia pobłażliwie.

- Myślę, że powinnam z nią porozmawiać. - Marla chciała w miarę możliwości poprawić swoje stosunki z córką, a poza tym uwolni się na jakiś czas od towarzystwa tej ciowej. A tak jest Nicka - tego wyrzutka, człowieka, którego obecność sprawiała, że zaczęła stawiać pod znakiem zapytania swoje małżeństwo, swoje uczucia i przekonania. Powinna go unikać jak zarazy. W głębi duszy czuła, że stanowi pokusę nie do odparcia. Nie chciała widzieć jego namyślonych spojrzeń, nie wyobrażała sobie jego pocałunków, jego miłości... - Chrzęknęła. - A potem pójdź się położyć.

- Na pewno nie masz ochoty na kawę albo herbatę ?
- Na pewno - odparła stanowczo.
- Nick z przyjemnością ci pomoże ci na górę, prawda, Kochanie? - spytała Eugenia.

Marla zacisnęła usta, żeby nie zaproponować. Nie chciała się sprzeczać. Nick spojrzał na nią ostrzegawczo. Ale powiedział tylko:

- Czemu nie?
- A potem zejść na dół i napij się ze mną kawy - dodała Eugenia. - Jestem pewna, że kucharka zrobiła upiec ciasteczka albo sernik...

- Wystarczy kawa - odparł Nick, posłusznie idąc za Marlą do windy.

Marla czuła, że zaraz rozboli jej głowa, miała skurcze ośrodkowego układu nerwowego.

Wsiadła do windy i oparła się o ścianę. Drzwi się zamknęły. Nick nacisnął guzik trzeciego piętra i stanął po drugiej stronie kabiny. Znowu byli sami. W małym, zdecydowanie zbyt intymnym pomieszczeniu. Marla starała się nie myśleć o tym, jak seksownym i męskim jest brat jej matki. Nick był mocniej zbudowany niż Alex i zapewne od niego silniejszy. Obnosił swój miano, która całemu światu mówiła „nic mnie to nie obchodzi”, jak odznak albo identyfikator. Intrygował ją, do diabła. Alex, wykształcony i obyty, z wdziakiem zabawiał klientów z całego świata, odnosząc spektakularne sukcesy w interesach. Nick, jak się domyślała, był raczej typem samotnika, człowieka, który lepiej czuje się sam niż w tłumie.

- Dlaczego tu przyjechała? - spytała, kiedy winda zatrzymała się na trzecim piętrze. - To znaczy... nie do domu, ale w ogóle, do San Francisco.

- Myślałem, że wiesz. Alex uważa, że firma potrzebuje pomocy. - Zmrużył oczy. - Przynajmniej tak mówi.

- Ale ty mu nie wierzysz? - spytała, idąc obok niego korytarzem otaczając cym klatkę schodową .

Zza zamkniętych tych drzwi pokoju Cissy dochodziła głośniejsza muzyka. Marla zapukała i wsunęła głowę w uchylone drzwi. Cissy, ze słuchawki telefonu w ręce, skrzywiła się na widok matki.

- O co chodzi?

- Chciałabym porozmawiać .

Dziewczyna zagryzła wargi. Wyglądała tak, jakby miała ochotę uciec i schować się w kąt. Z wyrazem znudzenia na twarzy przerzuciła włosy przez ramiona, przybierając wystrudowaną pozę .

- Może pójdź, co? Musz odrobić lekcje.

Marla spojrzała na telefon i magnetofon. W całym pokoju nie dostrzegła ani jednej otwartej książki, ale to nie był odpowiedni moment, aby zacząć się czepiać. Teraz miała ważniejsze sprawy do omówienia. Spojrzała w oczy swojej zbuntowanej córki i dostrzegła w nich wyzwanie.

- Dobrze. Kiedy?

- Nie wiem. - Cissy wzruszyła ramionami.

- Ale powiesz mi, kiedy będziesz miała chwilę czasu.

- Tak - odparła dziewczyna krótko, przykładając do ucha słuchawkę . - Mamo, nie teraz...

- Dobrze, dobrze. Jutro - zgodziła się Marla. Z ciężkim westchnieniem zamknęła drzwi. Spojrzała na Nicka. Stał teraz blisko, na wyciągnięcie ręki. - Chyba będzie musiała wyostrzyć swoje rodzicielskie umiejętności .

- To może liwe?

- Nie wiem - przyznała, atując w duchu, że nie czuje żadnej wiźy z własną córką . Zajrzała do pokoju dziecinnego, gdzie James spał spokojnie, po czym wróciła do holu. Nick czekał na nią . Deszcz uderzał w okna w dachu i bulgotał w rynnach. - Pytałam, czy wierzysz Aleksowi.

- A ty nie?

- Oczywiście, że tak - powiedziała szybko. Nie była w stanie przyznać, nawet sama przed sobą, że nie ufa własnemu mózgowi.

Nick potarł dłonią kark. Jego oczy pociemniały z gniewu.

- Nie wiem już sam, w co wierzę.

- Nie ufasz mi - stwierdziła, kiedy doszli do podwójnych drzwi prowadzących do jej apartamentu. - Dlaczego?

- To sprawa między nami.

- Tak, ale ja mam wrażenie, że ma to coś wspólnego ze mną. - Mówiąc to, Marla dostrzegła w jego oczach błysk.

Nick spuścił wzrok, przez chwilę patrzył na jej usta, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

- Zawsze była wyjątkowo egocentryczką.

- Naprawdę? - Nerwowo mimicznie Marla zabrzmiał dziwnie głucho. - Zabawne, nie pamiętam tego. - Potrzebowała głowicę i chciała otworzyć drzwi, wzięła za gałkę. Czuli się teraz bardzo zmęczona. Chciała się położyć, zasnęła w nadziei, że kiedy się obudzi, ten koszmar zniknie.

- Co właściwie pamiętasz? - spytał Nick.

- Niewiele... mam takie przebłyski pamięci, ale... to nic konkretnego, nic, czego mogłabym się uchwycić. Jak płomyk z zapalniczki, w której ktoś czyści gaz. Krótki błysk, który natychmiast gaśnie. Te obrazy chcą wracać, choćbym nie wiedział, jak starała się skoncentrować. - Rozejrzała się wokół, patrząc na grube dywany, poręcze schodów, paprocie i filodendrony w porcelanowych donicach. - Ale mam te wrażenie, że powoli odzyskuję pamięć - powiedziała, usiłując nie myśleć o zapachu jego wody po goleniu i mrocznej obietnicy, jak dostrzegła w jego oczach.

- To dobra wiadomość.

- Najlepsza.

Spojrzał na nią tak, że serce zabiło jej szybciej.

- Trzymam za ciebie kciuki.

- Tak?



Nick uniósł rękę, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale zawahał się i cofnął dłoń.

- Jasne.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Musi się opanować. Co takiego jest w tym człowieku, że ilekroć okał się jej odrobinę serca, Marla się rozpląta ze wzruszenia jak sentymentalna kobietka, taka, jakimi zawsze pogardzała? Uśmiechnęła się z wysiłkiem, chcąc rozładować atmosferę.

- Kiedy już sobie wszystko przypomnę - powiedziała, otwierając drzwi - lepiej żebyście wszyscy, łącznie z tobą, mieli się na baczność.

- Dlaczego?

Marla uśmiechnęła się do drzwi.

- Jeśli chodzi o ciebie, to może w końcu sobie przypomnę, z jakiego powodu jesteś wobec mnie nastawiony tak... obronnie.

Nick uniósł jedną brew i spojrzał na nią twardo.

- O pewnych rzeczach lepiej jest nie pamiętać.

- Jestem innego zdania. Zrozumiałbyś to, gdybyś był na moim miejscu - powiedziała. - Niewiedza to piekło. Czyste piekło.

- Wyobraź sobie. - Znowu spojrzał na jej usta.

Jej głupie serce znowu zabiło szybciej.

- Tak czy inaczej, nikt nie wie, co sobie przypomnę. To może być interesujące, nie sądzisz?

- Z jednej strony interesujące.

- A z drugiej?

- Z drugiej, to może się okazać przekleństwem. - Oczy, w które teraz patrzyła, były takie niebieskie. Takie przenikliwe. Takie mądre. Nagle zabrakło jej tchu w piersiach. Co za siła pchała ich ku sobie, jednocześnie nie wzbraniając by razem? Spojrzała na linię jego policzka i silny zarys szczęki. Przełknęła ślinę, czując, że zaschło jej w ustach. Zaryzykowała: jeszcze raz spojrzała w jego oczy,

uwodzicielskie, a jednocześnie nie pełne pot pienia. O Bo e, wszystko nie tak. Ale... Czuję, e z tym m czyzn ł czy j jaka tajemnica, gł boka zmysłowa tajemnica. Zakazane wizje wielkiej nami tno ci znowu stan ły jej przed oczami. Jednak teraz były to fantazje, a nie wspomnienia.

- Dobranoc, Nick - powiedziała stanowczo i szybko zamkn ła za sob drzwi, aby mu nie powiedzie albo nie zrobi czego , czego pó niej mogłaby łaowa .

To szale stwo. Czyste szale stwo! Nick jest bratem jej m a, a ona my li o jego dotyku, pocałunkach i... Posun ła si nawet do flirtu, zacz ła go kokietowa . Co takiego w nim jest?

Oparła si o drzwi. Jest m atk . Po lubiła kogo innego i obiecała mu wierno do mierci.

- Do tego - skarciła sama siebie, zrzucaj c pantofle.

Weszła do łazienki, rozebrała si i umyła twarz zimn wod . Mo e wła nie fascynacja Nickiem była przyczyn jej mał e skich rozd wi ków? Mo e miała z nim romans ju po lubie z Alekssem? Mo e Alex j okłamał? Mo e... och, nie... mo e James jest jego dzieckiem, owocem nieprawego zwi zku, a ona... a ona ukryła to, twierdz c, e to Alex jest jego ojcem?

- Do ! - postanowiła, z przera eniem patrz c na swoje odbicie w lustrze. Oparła si o marmur umywalki. Krople wody spływały po jej bladej twarzy, wygl dała jednak lepiej. Tak, kobieta w lustrze nie była brzydka. Marla czuła, e kiedy dojdzie do siebie, odzyska urod . Tak, jak przewidziała Helene. Mo e nie b dzie wygl dała dokładnie tak, jak na zdj ciach, ale b dzie ładna na swój sposób. Jezabel. Dobry Bo e, czy to mo liwe? Kiedy zdejmowała r cznik z wieszaka i przykładła go do twarzy, dr ały jej r ce. Nie mo e... nie b dzie fantazjowa na temat Nicka ani adnego innego m czyzny. Nie, musi si wzi w gar i przypomnie sobie wszystko.

A co potem?

- Potem b dziesz musiała si z tym upora . Cokolwiek to znaczy.

Włó yła pid am z białej satyny. Staraj c si nie zwraca uwagi na burczenie oł dka i dzwoni ce jej cały czas w uszach pytania, na które nie znała odpowiedzi, weszła do łó ka i wypila szklank soku pomara czowego. Nie miała siły wł czy telewizora ani otworzy le cych przy łó ku albumów. Wiedziała, e za nie natychmiast. I rzeczywi cie, w chwili, gdy przyło yła głow do poduszki, zasn ła tak gł boko, e nie słyszała kroków kogo , kto zbli ył si do jej łó ka godzin pó niej, nie wiedziała, e kto na ni patrzy...

## 10

Zdychaj, dziwko! - Te słowa wypowiedziano niskim, głuchym głosem. Pełnym nienawi ci. Marła zmartwiła. Gwałtownie otworzyła oczy. W pokoju było ciemno. Bardzo ciemno. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Przera enie ci łó jej krew w yłach.

O Bo e, czy kto tu jest?

Mru c oczy, rozejrzała si po pokoju. Po chwili dostrzegła smug wiatła pod drzwiami. Nikt nie czaił si koło łó ka, ale... ale...

W ułamku sekundy oblał j zimny pot. Opanowała przera enie i wł czyła stoj c przy łó ku lampk . W jednej chwili pokój zalało łagodne, złociste wiatło. Wydawało si , e w pokoju nic si nie zmieniło, e wszystko jest w porz dku. Co jej si po prostu przy niło. Pewnie dlatego, e id c spa , nie czuła si najlepiej. Zupa, któr zjadła na kolacj , rozstroiła jej oł dek, a rozmowa przy kolacji była do stresuj ca.

W pokoju nikogo nie ma.

Powoli wypu ciła powietrze i w tej samej chwili co usłyszała... Słumione kroki?

Co to było? Z mocno bijącym sercem odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Spokojnie, powtarzała sobie w myślach. Czowała zimną strugę potu spływającą po plecach. Obeszła pokój, łazienkę, garderobę, zajrzała nawet za zasłony, szukając ładu czyjej wrogię obecności. Niczego jednak nie znalazła.

Deszcz spływał po szybach, w które dzwonił wiatr. Była sama.

- Weź się w garść - powiedziała do siebie, ale w środku cała się trzęsła. Czowała bolesny ucisk w ośrodku.

Czy rzeczywiście kogo słyszała, czy ten straszny głos należał do złego snu? Przyglądała się palcami włosy i przeszła przez apartament, oświetlony przy mionym wiatrem lamp. Czując się jak ostatnia idiotka, zapukała do pokoju maty.

- Alex? - zawołała cicho, w nadziei na odpowiedź. Chwyciła gałkę i spróbowała ją przekręcić. Drzwi pozostały zamknięte. - Alex?

Cisza. Znowu zamknęła drzwi do swojego pokoju. Uspokój się, nikogo tu nie ma. To był tylko sen. Tylko zły sen! Alex jeszcze nie wrócił do domu. To wszystko. Uspokój się.

Ale nie potrafiła się uspokoić. To, co się stało, wydało się zbyt realne. Spojrzała na zegar. Dochodziła jedenasta. Nie spała więc długo.

To tylko twoja wyobraźnia, nic więcej. Jesteś zbyt nerwowa, zaczynasz bawić się własnego cienia. W twoim pokoju nikogo nie było. Ten głos należał do złego snu, którego już nie pamiętasz. Kilka głębokich oddechów, o tak. Weź się w garść, na lito boska.

Rozdrążona wyszła na pustą, pogrążoną w półmroku korytarz. Wciąż wiał wiatr i rozejrzała się wokół. Stała przy poręczach schodów i wyczuwała słuch. Na tle cichej muzyki dobiegającej, jak zwykle, z głośników słychać było chwilami tylko rozmowy - wysoki głos Eugenii i niski, głębszy głos Nicka. Co za ulga. Marla niemal nie usiadła na podłodze. Wszystko było takie jak zwykle. Nie słyszała żadnych kroków

na schodach ani czyjego przyspieszonego oddechu, ani szczekania Coco, zaniepokojonej obecno ci intruza.

Nie usłyszysz wystrzału rewolweru ani brz ku tłuczonego szkła. Spójrz prawdzie w oczy, Marla. Ponosi ci wyobra nia. Nikt nie zaczął si tu w złych zamiarach. Nikt nie czyha na twoje ycie.

A na dole jest Nick. Ta my l była pokrzepiaj ca, cho Marla nigdy by si do tego nie przyznała. Nie nale ała w ko cu do słabych, bezbronnych kobietek, potrzebuj cych m czyzny, by czu si bezpiecznie. Była tego pewna jak niczego innego. Chocia tyle o sobie wiem, pomy lała.

Nie mo e uzale ni si od Nicka. Ani od Aleksa. Nie, musi polega na sobie. oł dek wci j bolał, czuła, e znowu zaczyna si poci . Nie pierwszy raz czuła czyj złowrog obecno przy swoim łó ku. W szpitalu odniosła to samo wra enie.

- Do tego - rozkazała sobie, zaciskaj c palce na por czy. - Nikogo tam nie było. To wszystko nerwy i niezbyt udana zupa, któr zjadłam na kolacj .

Tak czy inaczej, postanowiła sprawdzi , czy wszystko jest w porz dku z dzie mi. A je li rzeczywi cie kto stał przy jej łó ku? A teraz ukrywa si w pokoju Cissy albo Jamesa? A je li, przyparty do muru, porwie jedno z dzieci? Zatrzyma które z nich jako zakładnika? Taka bogata rodzina łatwo mo e sta si celem podobnego napadu. Zaniepokojona przeszła szybko korytarzem i pchn ła drzwi do pokoju Cissy.

- Co do...? - Cissy zerwała si z krzesła stoj cego przed toaletk , przewracaj c otwart buteleczk lakieru do paznokci. P dzelek wypadł jej z dłoni. G sty, czerwony lakier wypłyn ł na blat toaletki - Cholera! - wrzasn ła Cissy gło no, na uszach miała słuchawki. - Zwariowała ? - Zerwała słuchawki z głowy, gniewnie wskazuj c na rozlany lakier.

Marla rozejrzała si szybko po pokoju. Jak zwykle panował tu bałagan, ksi ki, swetry, płyty kompaktowe i

pluszowe zabawki leżały na dywanie, ale nie było w tym nic przerażającego.

- Miałam zły sen. Chciałam tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

- Przestraszyła mnie miernie!

- Przepraszam. Powinnam była zapukać.

- Nie, mam już tego dość. Wszystko psujesz, mamo.

- Mam nadzieję, że tak nie jest.

Cissy przewróciła oczami, ale jej złoście usta piła trochę.

- Dobrze się czujesz?

- Wspaniale - skłamała Marla. - Jestem tylko trochę ... zdenerwowana.

- Może powinna wziąć walium albo jakiś inny rodek uspokajający. Jak matka Britany. Te wszystkie dzieciaki doprowadzają ci czasem do szału.

- Pomyśl o tym. - Marla czuła się jak ostatnia kretyka. - Dobranoc, kochanie. Pij dobrze.

- Jasne. - Cissy kiwnęła głową, ale cięgle patrzyła na matkę podejrzliwie spod cięgniętych brwi. Rzuciła na rozlany lakier kilka papierowych serwetek. Marla wyszła, zamknęła za sobą drzwi, i pospieszyła korytarzem do pokoju Jamesa. Paliła się tam przy młonej lampce nocnej. James spał smacznie w swojej białej pieli, cudownie nie wiadomo zła tego wiata.

- Och, koteczku. - Marla czuła, jak łzy napływają jej do oczu. Wszystko w porządku. Jej dzieci są bezpieczne. Nikt na nią nie napadł. Nic złego się nie dzieje w tej strażnicy jak forteca posiadła ci.

Cissy ma rację. Wszystko psujesz. Weź się lepiej w garść, Marla. I to szybko. Pocięgnęła nosem, wytarła go i powstrzymała ciśnienie do oczu łzy. W domu nie ma żadnych niepowołanych osób. Wszystko toczy się swym normalnym trybem... na tyle normalnym, na ile to możliwe w tej sytuacji. Włókno, z którego dobywało się teraz dziwne bulgotanie, nadal ją pobołował, ale poza lekkimi mdłościami,

czuła się zupełnie dobrze. Jeśli sama nie upora się z tą paranoją, powiedziała sobie, skończysz w szpitalu psychiatrycznym.

- Nie - wyszeptała cicho, prostując plecy. Ta myśl była nie do zniesienia. Już ten dom czasami przypominał więzienie, ale została zamknięta w zakładzie... mowy nie ma. Nigdy. Skrzywołała ramiona na piersi, tłumacząc sobie, że to tylko nerwy.

Spojrzała na dziecko płaczące w łóżeczku i wspomnienie, nagle i wyraźnie jak błyskawica, wdarło się w jej świadomość. W ułamku sekundy przypominała sobie szpital i jasno oświetlone sale porodowe, ból, lekarza w masce na twarzy odbierającego ją do porodu i... dziecko... jej cudownego synka... który właśnie nie przyszedł na świat. Poród był długi. Męczący. Gorszy, niż się spodziewała. Ale w końcu urodziła syna! Tak! Tak! Tak! James jest jej dzieckiem. Jej dzieckiem! Pamiętała rude kosmyki na czubku jego główki, wilgotny i przyklejony do czaszki. Pamiętała czerwony, skrzywiony i jakby rozłuszczony twarzyczek, zanim położyła go na brzuchu i mogła przytulić go do piersi.

Zawsze będzie cię kochał, myślała wtedy, nikt mi cię nie odbierze. Przysięgam. Aby nie wiem co.

To wspomnienie było żywe, realne, wyraźne, ale oprócz radości z narodzin syna odczuwała jeszcze coś, coś miało z tym bezpodstawnym związkiem. Co... złego... mrocznego... Strach... głębi zakorzeniony, dręczący strach, że ktoś zabierze jej dziecko, wyrwie z jej ramion... Ale to przecież szaleństwo?

Wyjła z łóżeczka małe zawiniątko i przytuliła do piersi, jakby wciąż jeszcze obawiała się, że w każdej chwili ktoś może odebrać jej syna. Po twarzy Marli spływały łzy, ciskało ją w dołku.

- Och, kochanie - szeptała, całując delikatnie puch na jego głowie i wciąż gając w nozdrza słodki zapach niemowlęcia. James sapnął i westchnął przeciągle. Gdy poczuła na szyi

oddech dziecka, nowe łzy napłynęły jej do oczu. Bo e, ona tak kocha to maleństwo.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, kołysząc Jamesa w ramionach - wszystko będzie dobrze. Mama jest z tobą. I... nie pozwoli, żeby coś ci się stało, nigdy. - Ciekawe, jak zamierza tego dokonać? - Zrobi dla ciebie wszystko, choćby nie wiem ile mnie to kosztowało. - Przełknęła łzy i postanowiła, że nie da się zastraszyć. Nikt jej nie pomoże, zresztą nie wie, komu mogłaby zaufać. Będzie musiała sama zwalczyć swoje lęki. Jeszcze przez chwilę stała w mrocznym pokoju, czując, że teraz bardziej potrzebuje kontaktu z synem, niż on z nią. Przycisnęła usta do puchu pokrywającego czubek jego głowy. Tam, na zewnątrz, gałęzie drzewa uderzały o dach i wiatr w ciekło bił w okiennice, ale w domu było bezpiecznie. James mlaskał i posapywał przez sen. Marla uśmiechnęła się i położyła go z powrotem do łóżeczka.

Zostawiła uchylone drzwi i przeszła do pokoju dzieciennego z jej sypialni i wróciła do łóżeczka. Dziecko ukołysała, ale wciąż jeszcze trochę ją męczyło. Czuli się wyczerpana, bolała jej głowa. Zastanawiała się, czy nie zejść na dół i nie poszukać tego cholernego pielęgniarskiego, ale była zbyt słaba. Poza tym doszła do wniosku, że to tylko nerwy, nic więcej. Nie umiałaby powiedzieć Eugonii albo Nickowi, że boli ją brzuch i że koło jej łóżeczka stał jakiś intruz, groźny dla jej miłości, tu, w jej własnym domu.

- Uspokój się, dziewczyno - skarciła się szeptem i wypila resztkę wody ze szklanki stojącej koło łóżeczka. Wsunęła się pod kołdrę z mocnym postanowieniem, że jutro nie zostanie w domu. Mowy nie ma. Ani chwili. Gdy tylko pozbędzie się tych okropnych drutów, natychmiast pojedzie odwiedzić ojca i brata, a potem wybierze się do klubu. Spotka się z Cherise i zobaczy, czy ją pamięta. Skontaktuje się też z kimś z rodziny Pam Delacroix i dowie się czegoś więcej na temat tej kobiety, której nie pamięta, i tajemniczej podróży, o której nikt nic nie



wiedział. Mo e zdoła przekona tych ludzi, jak bardzo wstrz sn ła ni mier przyjaciółki. No i jest jeszcze rodzina Charlesa Biggsa. B dzie musiała porozmawia tak e z nimi.

Tak, to postanowione. Ju jutro we mie byka za rogi i znowu zacznie samodzielnie stanowi o swoim yciu - sprawdzi sama, do czego jest zdolna Marla Cahill.

A Nick? Chcesz dowiedzie si wi cej o swoim zwi zku z Nickiem?

- Na pewno - stwierdziła, poprawiaj c poduszk . Nie zazna spokoju, dopóki nie pozna prawdy. Si gaj c do wył cznika lampy, Marla jeszcze raz rozejrzała si po pokoju. Du y, elegancki, ale ci gle jeszcze obcy, nie pasował do niej. Czufa si w nim jak nastolatka wkładaj ca pi kn , drog sukni o dwa numery za du i nale c do kogo innego... Obraz, który nagle stan ł jej przed oczami, był wyra ny. Jasny. Realny. To nie było tylko zgrabne porównanie. Ona naprawd mierzyła kiedy balow sukni , która nie nale ała do niej... Ale... jak to mo liwe? Wszyscy zgodnie twierdz , e dorastała w luksusie, otoczona zbytkiem, jako jedyna córka bardzo bogatego człowieka, traktowana jak ksi niczka... na pewno nigdy nie nosiła sukienek po kim ... na pewno... a jednak ta suknia, z mi kkiej, bł kitnej materii, cała naszywana cekinami, tkwiła gł boko w jej pami ci. Pami tała, jak gładziła spódnic , czuj c pod palcami gładki materiał, wiedz c, e ta cudowna suknia nale y do innej dziewczyny... której nie lubiła...

Kiedy? Gdzie?

oł dek znowu j rozboleł.

Czy to naprawd jej wspomnienie, czy te fragment którego ze snów, jakie ostatnio miewa? Zawołaj Nicka, podpowiadał jej wewn trzny głos. Aleksa nie ma w domu, a ty musisz si komu z tego zwierzy .

Ale Nick... och, nie, Bo e, nie... nie powinna...

Zaniknęła oczy i spróbowała się skoncentrować. Tak, miała wtedy jakie czternaście lat, była niewiele starsza od Cissy.

- A czy ona nie bądzie miała nic przeciw temu? - pytała matkę. - Nie bądzie zła, e wło yłam jej sukienkę ?

W drugim pokoju rozległ się niski, gardłowy miech... Kuchnia pachniała tłuszczem i dymem papierosowym.

- Ma ich tyle, e nie bądzie jej brakowa tej jednej.

- Mama - szepnęła teraz Marla, czuj c jak oblewa ją zimny pot. Rozmawiała ze swoją matką. W górze leniwie obracał się wentylator, a na szybie przymkniętego okna brzęczała mucha. Ale co robiłaby Victoria Amhurst w tej obskurnej sypialni z poółkami firanami, wystrzępionym dywanem i zakurzonej aluzjami?

Gdzie wtedy były? Dlaczego ma wraenie, e w domu? Marla wstrzymała oddech, zaciskała palce na kołdrze i leciała ku - na tym kuriozalnie wielkim łóżku z palisandru - i starała się przywołać twarz matki. Widziała zdjęcia w albumach, ale nie pamiętała matki zupełnie. Dlaczego, na Boga, matka na pierwszy bal miałaby dawać Marli suknie po kim? Używane suknie?

Chyba e ona wcale nie jest Marl Cahill. Nie jest on Alexandra Cahilla. I nie jest córką Victorii Amhurst.

Czy to może być? Dotknęła twarzy, powiodła palcami po znikających już bliznach. Dlaczego wszyscy mieliby się upierać, e ona jest kim, kim nie jest? A ten wypadek i amnezja? Zbieg okoliczności? A może to jaka gra mrocznych, złych sił - złowrogich mocy wcielonych w człowieka, który groził jej śmierci? Jaki wewnętrzny głos ci głębiej jej powtarzał, e to nie jest jej pokój, e to niemożliwe, by ona była właścicielką tych draperii i dobranych pod kolor poduszek, tego łóżka do ego dla dwojga, a zajmowanego przez jedną tylko osobę, tej biblioteki pełnej oprawnych w skórki księzek, których, jak się domyślała, nikt od lat nie otwierał.

Gdzie są gazety i czasopisma? Książeczki z krzywkami?  
Rzecznicze sztywne narzuty? Cały ten bałagan, który - czuła to instynktownie - był czci jej życia?

Ale jest jeszcze dziecko. Z twojej krwi i kości. Pamiętaj je. Wić za jakiś czas przypomnisz sobie także ten pokój.

Musisz.

Poczuła ostry ból w ołdki, z którego dobyło się przeciwległe burczenie. Wstrzymała oddech. Ból minie. Cięgle jest zdenerwowana, to wszystko. Przytknęła dręce palce do ust. Za dużo tego wszystkiego. Ale jutro... jutro wezmie się ostro do pracy. I nie będzie już słuchać niczyich dobrych rad. Odtąd będzie robiła wszystko po swojemu.

Zgasiła światło, zamknęła oczy i powiedziała sobie, że głos grocy jej mierni był tylko czci snu, a wspomnienie niebieskiej balowej sukni powstało w jej zmęczonej wyobraźni. Teraz musi iść spać. Odpocząć. Rano zacznie wszystko od początku. Tak. A teraz spać.

Ale czuła, że z jej ołdkiem jest coraz gorzej.

Spokojnie, na lito boska.

Miała ochotę wypluć linę, która zebrała jej się w ustach.

Nie denerwuj się. Wszystko będzie w porządku.

Mdło ci narastały.

Po prostu oddychaj spokojnie, pomyśl o czym przyjemnym, odpręż się i... och, nie!

Zaraz zwymiotuje!

Przerała się, sięgnęła do lampy. Trafiła na włócznik, ale ramieniem potrzyła podstawę. Błysnęło światło. Lampa przewróciła się, uderzając o dzbanek, z którego wylała się woda. Śarówka rozprysła się w milion kawałków. W pokoju znów zapanowała ciemność.

Nie!

Zawarto ołdka podeszła jej do gardła. Marla jedynką chwyciła przecinak do drutu, drugą sięgnęła do guzika interkomu.

- Nick! Carmen! - krzyknęła, wiedząc, że jej nie powstrzyma wymiotów. - Pomocy!

O Boże, nic nie może na to poradzić.

- Słyszycie mnie? Pomocy! - Mdło ci ogarnęły jej zęby, zdwoiły się.

Upuściła przecinak i schyliła się, by go podnieść, co nasiliło nudności.

Zawartość odka przeszła przez gardło, kipiała w nosie. Palcami. Dławić. Pochylona, Marla dotarła do drzwi i wyszła na korytarz. Zaciśnięła palce na kombinerkach i zaczęła przecinać druty.

Dwa piętra niżej rozległy się czyjeś szybkie kroki. Z daleka. Nie zdążyła.

Drzwi pokoju po drugiej stronie korytarza otworzyły się hukiem. Cissy spojrzała na matkę i zaczęła krzyczeć.

- Mamo! O Boże, mamo! Pomocy!

Marla leżała na podłodze, krztusiła się i dławiła, usiłując przerwać druty. Paliło jej w nosie i w płucach, z oczu płynęły łzy. Miała wrażenie, że korytarz ciemnieje i zaczyna wirować wokół niej. Kroki. Słyszała szybkie kroki zbliżające się w jej kierunku.

Nagle zobaczyła pochylając się nad nią przerażoną twarz Nicka.

- Jezu Chryste! - stanął nad nią w rozkroku, wyjął jej przecinak z dłoni. - Zadzwoń na 911. Szybko!

Nastolatka stała bez ruchu, przerażona.

- Co się tu, do cholery, stało? - spytał Nick, z całej siły rozwierając usta Marli i dziko szarpąc druty między jej zębami. Marla, konwulsyjnie wstrząsana torsjami, z trudem chwyciła powietrze. Miała wrażenie, że zaraz oczy wyskoczą jej z orbit.

- Trzymaj się, Marla, na lito boska! - krzyczał Nick, czując, że poluzował druty. - Cholera!

Marla zaczęła drgać konwulsyjnie. Była pewna, że umiera. W płucach miała żywy ogień. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Druty puściły jeszcze trochę. Przeszył ją potworny ból.

- Na lito bosko, dzwoń po lekarzy! - wrzasnął Nick. - Gdzie jest ten pieprzony pielęgniark?

Marla nie była w stanie oddychać... Wokół było tak ciemno... Ciach! Ciach! Ciach!

- Trzymaj się, Marla, trzymaj się - powtarzał Nick. Marla jak przez mgłę widziała jego pełną napięcia twarz, potem na jego czole... potem zapadła w mrok nie wiadomo gdzie. - Na rany Chrystusa, trzymaj się, Marla!

Nick rozsunął przeciw te druty i szeroko rozwarł jej szczękę. Szybko odwrócił jej twarz do podłogi. Wstrząsana niepokonanymi torsjami, krztusiła się i kaszlała, Marla wyrzuciła wreszcie zawartość żołądka na dywan.

- Och, Boże drogi! - rozległ się głos Eugenii i stukot jej obcasików.

- Co się stało, och, co się ...

Na schodach z tyłu domu tak było słychać szybkie kroki. Zbliżyły się z części domu przeznaczonej dla służby. Marla kaszlała nieprzerwanie, chwytając powietrze jak ryba wyjęta z wody. Z ogromnym przerażeniem uświadomiła sobie, że leży w swoich własnych wymiotach. Kiedy otworzyła oczy jak przez mgłę zobaczyła Toma, Fionę i Carmen biegnących w jej stronę. Bolały jej szczękę i ołdek i po raz pierwszy od chwili, kiedy wyszła ze szpitala, miała ochotę się poddać, zapaść w ciemność, cichą otchłą bez dna.

Nick potrzebował jej gwałtownie.

- Zostać tu, słyszysz? Słyszysz mnie? - mówił rozkazującym tonem. - Zostać ze mną!

- Proszę się odsunąć - polecił Tom. Marla miała teraz przed oczami jego buty. - Pani Cahill? - Pochylił się nad nią, kładąc dłonie na jej ramionach. - Pani pozwoli, pomogę ...

Nie! Chciała Nicka. Nie czyła sobie, eby dotykał j ten obcy m czyzna.

- Zadzwo na 911! - krzykn ł Nick do Eugeniei, po czym zwrócił si do Marli. - Wszystko b dzie dobrze. - Patrzył jej prosto w oczy, jakby chciał, eby oprzytomniała.

- Powiedziałem, e si ni zajm - powtórzył piel gnierz. Nick nawet na niego nie spojrział.

- Nie ma potrzeby.

Marli znowu zacz ło ciemnie przed oczami.

- Oddychaj, do diabła. Otwórz usta! - Silne r ce Nicka rozwarły jej szcz ki. Marla zacz łła kaszle i chwytła powietrze, zwijaj c si w torsjach, nie czuła ju nic prócz bólu.

- Zadzwo ni po pogotowie. - Czysty głos Carmen przebił si przez szlochanie Cissy i kaszel Marli.

Otworzyła oczy. Korytarz wirował wokół niej, ale w ko cu si zatrzymał. Zobaczyła Nicka, który siedział na niej okrakiem, nie przygniatał jej jednak, bo opierał si na kolanach. Widziała jego napi t twarz i powa ne oczy, szukaj ce jej spojrzenia.

- Marla?

Cissy, Tom i Eugenia stali nad ni , robi c mnóstwo zamieszania.

- Och... - Nie była w stanie wydoby z siebie głosu. Wszystko j bolało. - Ju ... ju mi lepiej... - skłamała, z trudem wypowiadaj c te słowa.

- Karetka ju jedzie - oznajmiła Carmen.

Marla zadr ała i obj łła si ramionami.

- Karetka zabierze pani do szpitala Bayside - dodała Carmen. -Doktor Phil Robertson spotka si tam z pani .

- Nie - powiedziała Marla z trudem. Przera ała j my ł, e miałyby sp dzi w szpitalu cho by jeszcze kilka godzin. Nie mo e znowu i do szpitala, nie pójdzie, nie pozwoli zamkn si znowu w miejscu, gdzie zostanie ubezwłasnowolniona i gdzie na pewno nie znajdzie odpowiedzi na dr cz ce j

pytania. - Nie... zaraz... ju czuj si całkiem dobrze. -Kaszl c, podniosła si i ukl kła na podłodze. oł dek uspokoił si , nie czuła ju mdło ci, za to jej dzi sła i wargi, poranione drutami i przecinakiem przesywał niezno ny ból, a zastałe mi nie szcz k odmawiały współpracy.

- Nie s dz . Pami taj, e zaledwie kilka dni temu wyszła ze szpitala - upierał si Nick, wstaj c i patrz c na ni z trosk .

- I nie wróc tam. - Marla wiedziała, e powinna da si zbada w szpitalu, a jednak czuła, e byłby to du y bł d.

- Marla, daj spokój - powiedział Nick stanowczo. - Spójrz tylko na siebie.

Marla nie mogła si teraz zobaczy i, prawd mówi c, nie chciała. Oparta o por cz, podniosła głow , eby na niego popatrze . Wiedziała, e musi wygl da okropnie - spocona, z plamami wymiocin na pi amie - ale nie dbała o to. Nie przejmowała si tym, e jej te ciowa i słu ba widz j w tym stanie. Wzi ła gł boki oddech i zakaszła znowu. W ustach miała wstr tny smak, w nosie ohydny zapach.

- Chod tutaj. - Nick posadził j na krze le w holu. - Zobaczymy, co jeszcze mo na zrobi . - Wyci gn ł resztki poci tego drutu z jej ust, do ostatniego kawałeczka, tak e po chwili nie zostało ju nic, poza bólem zastałych mi ni i ran. - A kiedy przyjedzie karetka...

- Zabierz mnie do lekarza, tylko na badanie - nalegała Marla. Nick zawahał si .

- S dz , e...

- Prosz , Nick, mo esz to dla mnie zrobi ? - spytała i zobaczyła, e jego oczy pociemniały, jakby pod wpływem silnego uczucia. Mi sie drgn ł w jego twarzy. Zacisn ł usta, przygl daj c jej si uwa nie.

- Jeste pewna?

- Tak. - Marla nie miała nastroju do kłótni. Ledwo mówiła, ból w ustach stawał si naprawd nie do zniesienia. -

Gdybym... gdybym czuła, że istnieje jakieś realne zagrożenie, to wierz mi, sama chciałabym wrócić do szpitala.

- Była bliska śmierci - upierał się Nick. Wzdrygnęła się i wyszeptała:

- Wiem. Ale proszę ...

- Moim zdaniem to duży błąd.

- Musi pójść do szpitala - wtrącił się Tom. W jego głosie zabrzmiała ostra nuta. Pochylił się nad nią i zająknął jej w usta. Marla nie ufała mu. Ani przez chwilę. Ale wiedziała, że teraz może wykorzystać fakt, iż Tom został zatrudniony.

- Jeśli coś się stanie, ty tu będziesz, prawda? - spytała. - Po prostu nie mów mi cię wynajął, czy nie?

- No, tak - przyznał niechętnie, mrużąc oczy. - Ale chciałabym, żeby najpierw zbadał pani lekarz.

- Pojadę do doktora Robertsona. Do kliniki albo do jego domu. Mówienie sprawiało jej niewypowiedziany ból.

- Karetka już jedzie - stwierdził Nick.

- Wić ją odwołać - odparła Marla, słysząc już dźwięk sygnалу dobiegający z daleka, od wzgórza. Spojrzała Nickowi błagalnie w oczy i dotknęła jego ręki. - Proszę.

- Na lito boska, ja to zrobię - powiedziała Eugenia. - A potem zadzwoni do Aleksa i powiem mu, żeby pojechał do kliniki. Jestem pewna, że Phil nie będzie miał nic przeciw temu. - Spojrzała na poplamiony dywan. - Zarazka tutaj posprzątaj.

Marla nie spodziewała się znaleźć sojusznika w tej ciowej, ale była wdzięczna za wsparcie. Za każde wsparcie. Eugenia zamachała ręką na syna.

- Nick, zawieziesz Marla do kliniki, a ja zawiadomi Aleksa.

- Na lito boska ...

- Zrób, o co ci proszę, dobrze? Choć raz nie stawaj okoniem.

- Tego chcesz? - spytał Nick, zwracając się do Marli.



- Tak, wszystko, byle nie szpital.

- Dobrze. Wi c doszli my do porozumienia. - Eugenia spojrzła na Toma ostrzegawczo i wyci gn wszy z kieszeni p k kluczy, podeszła do drzwi biura Aleksa. Weszła do rodka i po chwili zza półprzymkni tych drzwi dobiegł jej głos.

- Zdaje si , e postawiła na swoim - stwierdził Nick, wstaj c.

Czy tylko jej si wydawało, czy istotnie dojrzała w jego oczach wyraz czuło ci, błysk współczucia?

- Daj mi tylko par minut, ebym mogła doprowadzi si do porz dku. - Jakby to było mo liwe. Cholera, czuła si okropnie.

Na uginaj cych si nogach Marla wróciła do swojego pokoju, wł czyła górne wiatło i zobaczyła bałagan przy łó ku. Omijaj c kału e wody i odłamki potłuczonego szkła, przeszła do łazienki. Krzywi c si , ochlapała twarz zimn wod , delikatnie przepłukała usta, wydmuchała nos, a potem rozebrała si i szybko obmyła całe ciało g bk .

Sygnał nadje d aj cej karetki najpierw zbli ał si do domu, a potem zac ł si oddala . Kiedy wkładała dres, syrena umilkła. Bolał j oł dek, paliło j w ustach, ale wiedziała, e nie b dzie ju wymiotowa . Skrzywiła si , patrz c na swoje odbicie w lustrze. Nie miało to adnego znaczenia. Teraz chciała tylko mie wszystko ju za sob . Nick czekał na ni na korytarzu, sam. Słu ba znikn ła.

- Karetka? - spytała, poruszaj c zdr twiałymi ustami.

- Odwołałem j . Nie byli zachwyceni.

- Có , ja te nie jestem - odparła.

- Jed my.

- Jeszcze chwilk - powiedziała Marla, id c do pokoju Cissy, gdzie jej córka le ała w łó ku, zagryzaj c wargi i tul c do siebie pluszowe lwi tko, jakby jej ycie od tego zale ało. - W porz dku? - spytała Marla. Miała wra enie, e ma w ustach wielkiego hamburgera, który przeszkadza jej mówi .

Cissy przewróciła oczami.

- Jasne. Jest wietnie. - Zamrugwała powiekami, usiłując powstrzymać łzy.

- Pytam poważnie.

- W takim razie, cóż, nie. O to ci chodziło? To wszystko jest takie dziwne, mamo - powiedziała. Drżała jej podbródka. Marla spojrzała na toaletkę, na której jeszcze widniały ślady lakieru. - Dlaczego nie możesz być taka jak przedtem... zanim zaszła w ciążę? - spytała Cissy. - Wtedy się to zaczęło, te wszystkie dziwne rzeczy... Przedtem... - Umilkła i zacisnęła usta, jakby czuła, że powiedziała za dużo. - Chciałabym... chciałabym tylko, żeby znowu była... normalna.

Marla poczuła nagły ból w sercu. Łzy napłynęły jej do oczu, ale zdołała je powstrzymać.

- Wierz mi, Cissy. Bardzo się staram.

- Akurat.

- Naprawdę.

- Jasne. - Cissy zamknęła oczy, przytulając do siebie pluszowego lwa. Po jej policzkach spłynęły dwie duże łzy. Pocięła nosem.

Marla ruszyła w stronę łóżka, ale Cissy najwyraźniej wyczuła to, bo szybko otworzyła oczy.

- Po prostu zostaw mnie w spokoju, dobrze? - wyszeptała gniewnie.

- Kochanie, proszę...

- Nie, mamo. Po prostu... - Otarła łzy wierzchem dłoni, rozmazując tusz do rzęs po policzku. - Po prostu idź sobie.

Marla nie ruszyła się z miejsca. Nie mogła. Jeszcze nie. Nie teraz, kiedy przepała między nimi z każdą chwilą stawała się głębsza. Usiadła na brzegu łóżka i odsunęła włosy z twarzy Cissy. Dziewczyna odwróciła głowę i patrzyła w ciemne okno. Wzruszyła ramionami, w milczeniu dając matce do zrozumienia, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Marla

jednak nie dawała za wygraną. Czuła obecność Nicka za drzwiami.

- Wiem, że to trudne. Dla ciebie. Dla mnie. Dla taty... ale staram się, kochanie, naprawdę bardzo się staram i wkrótce wszystko się ułoży. Przypominam sobie różne rzeczy. Dzisiaj przypomniały mi się narodziny Jamesa.

Cissy znieruchomiała.

- Naprawdę? - powiedziała drwiąco, tułając się i patrząc w okno.

- Tak.

- A moje? Też sobie przypomniała? Byłam twoim pierwszym dzieckiem. - Złociste oczy dziewczyny rzucały jej wyzwanie.

Marla poczuła się winna. Miała ochotę skłamać, ale nie zrobiła tego. Cissy natychmiast by ją przejrzała. Kłamstwo mogłoby tylko pogorszyć sytuację.

- Jeszcze nie.

Cissy gwałtownie wypuściła powietrze. Jej wargi wykrzywił uśmiech bolesnej ironii.

- To pewnie już sobie nie przypomnisz. Nigdy - powiedziała.

- Oczywiście, że sobie przypomnę. Daj mi tylko trochę czasu. - Marla dotknęła znowu policzka dziewczyny, ale Cissy drgnęła i odsunęła się szybko, jak oparzona.

- Wiesz, że wpadła tu jak bomba jakiś czas temu. Zachowywała się jak wariatka, jakby zobaczyła ducha albo coś w tym rodzaju i przeraziła mnie na śmierć.

- Och, kotku...

- A potem - przerwała jej Cissy, podnosząc trochę głos - a potem... a potem... znalazłam cię na korytarzu... wymiotowała i krzyczała i... och, mamo. - Głos nagle jej się załamał.

Marla miała wrażenie, że pęknie jej serce. Chciała chwycić córkę w ramiona i mocno przytulić. Obiecała, że już jej nigdy nie zostawi. Ale kiedy dotknęła ramienia Cissy, dziewczyna

podskoczyła i odsunęła się, kucnąc w najdalszym kącie łóżka. Marla westchnęła ciężko i wstała. Nie potrafiła nawiązać kontaktu z własną córką, pogarszała tylko i tak już okropną sytuację.

Nick czekał na nią, oparty ramieniem o framugę drzwi. Ruszył za Marlą korytarzem.

- Ona mnie nienawidzi - szepnęła Marla, idąc do windy.

Nick przytrzymał drzwi i Marla weszła do kabiny.

- To nastolatka. A ty jesteś jej matką. Wszystkie nastolatki zachowuj się tak, jakby nienawidziły swoich matek.  
- Naciśnij guzik.

- Nie, tu chodzi o coś więcej.

- Nie martw się tym dzisiaj. - Jednym palcem dotknął brody, unosząc głowę Marli i zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy.

- Mylisz, że mam więcej rzeczy na głowie?

- Skup się na swojej pamięci. Postaraj się przypomnieć sobie jak najwięcej.

- Wierz mi, niczego bardziej nie pragnę.

Nick spojrzał na jej usta i przez chwilę Marla miała wrażenie, że zaraz pocałuje jej zmaltretowane wargi. Powietrze w windzie nagle zgęstniało, ale kabina zatrzymała się na pierwszym piętrze i Nick opuścił dłoń.

Drzwi się otworzyły, w holu czekała na nich Eugenia. Kościstymi palcami bawiła się wiszącym na jej szyi sznurem pereł. Spojrzała na syna, a potem na Marli i zaciśnęła usta.

- Wezwałam już Larsa. Zawiezie ci.

- Ja się tym zajmę - powiedział Nick, podając Marli płaszcz przeciwdeszczowy.

- Ale Lars rozgrzał już samochód i...

- Powiedziałem, ja się tym zajmę - powtórzył Nick tonem nie znoszącym sprzeciwu. Narzucił zniszczoną skórzaną kurtkę, pomógł Marli włożyć długi płaszcz, a następnie trzymając ją silnie pod łokieć, wyprowadził za drzwi.

Weszli na podjazd, gdzie stał jego stary, zniszczony dodge, z którego prawdopodobnie wyciekał olej, benzyna i Bóg wie co jeszcze.

- O co ci wła ciwie chodzi? - spytała Marla. - Dlaczego trzymasz si z daleka od rodziny?

Nick u miechn ł si krzywo.

- Bo tak chc . - Pomógł jej wej do kabiny, po czym sam wskoczył do rodka. Przekr cił kluczyk w stacyjce i stary silnik natychmiast zbudził si do ycia.

- Lubisz by autsajderem.

- Uwielbiam.

- Dlaczego?

Zatrzymał si przy słupie, do którego przymocowana była tabliczka z przyciskami. Wcisn ł numer i brama otworzyła si z cichym szumem.

- Nigdy nie korzystałem z wydeptanych cie ek.

- Czarna owca. Banita. Wyrzutek.

Nick wzruszył ramionami.

- Mo e. Nigdy si nad tym zbytnio nie zastanawiałem. Robi to, na co mam ochot . - Spojrzał na ni spod oka. - Zdaje si , e wielu ludzi to wkurza.

- Wyobra am sobie. - Wn ł trze furgonetki nagle stało si zbyt ciasne. Zbyt intymne. Szyby zaparowały, odcinaj c ich od wiata, od ciemno ci za oknami.

- Jak si czujesz?

- Fatalnie, i nie mów mi, prosz , e wygl dam jeszcze gorzej. Wiem o tym. - Marla była teraz cała obolała. Odwróciła si z wysiłkiem i spojrzała na dom przez tyln szyb . W jasno o wietlonych oknach salonu dostrzegła poruszaj c si sylwetk Eugenii. Dwa pi tra wy ej, w pokoju Cissy, tak e paliło si wiatło, ale w oknie nie było nikogo. Córka Marli nie patrzyła, jak odje d aj . Marla nie była tym zaskoczona. Jej stosunki z córk były w najlepszym razie napi te. Co z niej za

matka? Dlaczego nie pami ta dziecka, które było cz ci jej ycia przez prawie czterna cie lat?

Bo e, dopomó mi.

Marla oparła głow o szyb i westchn ła. Bolała j szcz ka, w głowie huczało. Była sama z Nickiem. Znowu. Patrzył przed siebie, zmieniaj c biegi, a jego udo prawie ocierało si o jej nog , kiedy naciskał pedał, podobnie jak jego dło , kiedy kładł j na gałce skrzyni biegów.

Był tak blisko, e mogła go dotkn . Ale nie zrobiła tego. Nigdy tego nie robi. Tak przynajmniej postanowiła, kiedy Nick prowadził, zmieniaj c pasy na l ni cej od deszczu ulicy. Krople deszczu osiadały na przedniej szybie, wycieraczki rozmazywały je natychmiast, a z radia płyn ła jaka melodia country.

- Dlaczego wła ciwie zrobiło ci si niedobrze? - spytał Nick, skr caj c i wje d aj c w w sk ulic prowadz c mi dzy drapaczami chmur i rz dem ni szych budynków. Miasto było rz si cie o wietlone. Ludzie pod parasolami spieszyli chodnikami, samochody rozbryzgiwały kału e, g sta mgła spowijała budynki i latarnie.

- Nie wiem. Zupa? Nerwy? - Wzruszyła ramionami.

- Nie czuła , e zaczyna ci mdli ?

- Troch . My łałam, e mi przejdzie. Spojrzał na ni jak na idiotk .

- Wi c obudziła si i...

- Nie. - Marla patrzyła na tylne wiatła jad cego przed nimi samochodu. Postanowiła, e powie Nickowi prawd . -Nie obudziły mnie nudno ci. Było jeszcze co . - Zerkn ła na niego z ukosa i zobaczyła, e zacisn ł palce na kierownicy. - Zbudziłam si , poniewa co usłyszałam.

- Co?

Raz kozie mier , pomy łała z desperacj .

- Wiem, e to zabrzmi zupełnie idiotycznie, nieprawdopodobnie. Zbudziłam si , bo poczułam, a raczej

wydawało mi się, że kto jest w pokoju. Może czyzna. Nachylił się nad moim łóżkiem i powiedział: „Zdychaj, dziwko”.

- Co? Na lito bosk, Marla, mówisz powa nie? - Odwrócił się i spojrzał na nią przerażony. Za szybko wszedł w zakrętu. Opony zapiszczały na mokrym asfalcie. - Kto był w twoim pokoju?

- Wiem, że to idiotyczne - powiedziała szybko. - Oczywiście nikogo nie było, kiedy zapaliłam światło i wyszłam, to znaczy wybiegłam na korytarz, sprawdziłam co z dziećmi - o tym właśnie mówiła Cissy. Nie widziałam nikogo, więc powiedziałam sobie, że to był tylko zły sen. I wróciłam do łóżka. - Czuję, że na wspomnienie tych strasznych chwil dostaje się skórki na całym ciele. Wtedy była pewna, że kto naprawdę zdołał wejść do jej sypialni. Odchrząknęła i spojrzała przed siebie. - Mówiłam, że to nieprawdopodobne.

- Powinna była mnie zawołać - powiedział Nick, zmarszczki wokół jego oczu i ust pogłębiły wyraz niepokoju.

- Mówi ci, sędziłam, że to był tylko sen. W końcu dym razem, kiedy znalazłam się w pokoju dziecięcym, nastąpił przełom. Przypomniałam sobie narodziny Jamesa.

- Naprawdę? Co jeszcze sobie przypomniała?

- Nie... jeszcze nie, ale czułam, że odzyskanie pamięci to tylko kwestia czasu, więc wzięłam małego na ręce na chwilę, a potem wróciłam do łóżka. Cały czas leżałam i czułam. Potem pamiętam tylko, że zaczęłam wymiotować.

- Jezu - szepnął Nick.

- Myślę, że wszystko do mnie wróci. Niedługo. To jeden z powodów, dla których nie chcę iść do szpitala. Nie chcę się znowu cofnąć. Nie chcę leków, które mogłyby zahamować ten proces. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Muszę odzyskać pamięć, i to szybko. Albo wszystko stracię.

- Rozumiem.

Marla opuściła rękę i odsunęła się od Nicka.

- Dojeżdżamy.

Skrcił w bocznej ulicy. Zza rogu wyłonił się samochód jadący w przeciwnym kierunku. Na moment odepłyły ich światła reflektorów. Jasne. Ostre.

Tak jak wtedy! Na tamtej górskiej drodze!

Serce Marli stanęło na chwilę. Zabrakło jej tchu w piersi.

Mrok spowijał ją jej pamięć rozdarło nagłe wspomnienie. W nagłym przebiegu Marla przypomniała sobie światła reflektorów innego samochodu, jadącego z przeciwka. Odepłyły jej. Teraz ta straszna chwila wróciła. Marla jeszcze raz przeżyła tamto uderzenie, czuła strach, zobaczyła przedni szyb rozsypujący się w milion kawałków, miała w uszach przeraźliwy, pełen bólu krzyk kobiety i zgrzyt gnieczonego metalu.

- Ten wypadek... - wyszeptała wstrząsnęta. Przerażona. Ponownie przeżyła tamtą straszną chwilę. Odruchowo nacisnęła stop nie istniejący pedał hamulca. Wszystko stanęło jej przed oczami: ciężarówka jadąca szybko w dół, coraz szybciej, a stało się jasne, że kierowca już nad nią nie panuje. Marla krzyknęła. Ciężarówka skręciła gwałtownie, jej reflektory oświetliły nagle przed nią stojącego na drodze. Och, nie! Boże, nie! Ten człowiek zginie!

Marla zamknęła oczy. Oddychała szybko, krzycząc i płacząc... Znowu widziała metal trący o metal, sypiące się iskry... Nie! Nie! Nie! Barierka nie wytrzymała, opony pokryły hukami. Samochód jechał w dół, z każdą chwilę nabierając prędkości i w końcu uderzył w barierkę... A potem była już tylko ciemność. Pustka.

- Marla! - W głosie Nicka usłyszała strach. Dłoni szarpały ją za ramiona. - Marla!

Marla otworzyła oczy. Była w furgonetce, w centrum San Francisco. Z Nickiem. Zapłakana i drżąca.

- Ja... ja... - Z jej oczu cięgle płynęły łzy. Spojrzała na Nicka. - Przypomniałam sobie ten wypadek - powiedziała. - To



było straszne... tam co było... - Ponownie zamknęła oczy i zobaczyła Pam. - Och, nie!

Nie umieraj! Nie umieraj!

Nick przyhamował gwałtownie i skręcił w boczną uliczkę. Zatrzymał samochód na miejscu zarezerwowanym dla samochodów dostawczych. Marla nie zauważyła nawet, kiedy wóz stanął, ale poczuła, że objął ją ramionami. Nie broniła się, kiedy przyciągnął ją do siebie.

- ... wszystko będzie dobrze - powiedział, chociaż Marla wiedziała, że to kłamstwo. Pocałował ją w czubek głowy, przyciskając ją mocniej do siebie.

- Zabiłam ją, Nick - powiedziała, czując nieznany ból w sercu. Znowu widziała bezwładne ciało Pam wylatujące przez przedni szyb. Krew. Ciemno. Zaciśnięta kurczowo ręka na kurtce Nicka i płakała rozpaczliwie. Przypomniała sobie, że o lepiła ją wiatrołapka, i spróbowała się opanować. Musi to zrozumieć. Przecież w drugą stronę nie jechał wtedy ten samochód... czy to wiatrołapka ci się o lepiła? Czy ona tak jest zdezorientowana? Czy pamięta nadal lata jej okrutnej figi? Bolała ją głowa.

Ale ten obraz wrył się w jej pamięć z przerażającą dokładnością. Na drodze stał jakiś człowiek. Ciemna postać oświetlona tylko przez reflektory prowadzonego przez niego samochodu. A potem, nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ten człowiek zaczął wieść własnym wiatrołapem, ostrym, olepiającym... tak jasnym, że nic już nie widziała... skręcił gwałtownie, dokładnie w chwili, kiedy ci wiatrołapka wyjechała zza zakrętu i oświetliła tego człowieka z drugiej strony.

Teraz, bezpieczna w ramionach Nicka, Marla z trudem chwyciła oddech. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się irracjonalnie, desperacko wczepiona w kurtkę Nicka. Powoli rozprostowała ręce. Chciała się od niego odsunąć, ale jego silne ramiona trzymały ją mocno.

- Ju dobrze - powiedział. - O co chodzi? Powiedz mi, co si stało.

- Prosz ... pu mnie.

- Tego chcesz? - spytał niskim głosem. Marla spojrzała w jego ciemne jak noc oczy. Gdzie w gł bi swojego ciała poczuła, e chce czego zupełnie innego, e pragnie by jak najbli ej niego, ale przełkn ła lin i kiwn ła głow .

- Tak.

Nick zwolnił u cisk i Marla wysun ła si z jego ramion. Opadła na swoje siedzenie, staraj c si nie my le o jego zapachu, sile jego r k, do której ju zacz ła t skni . Serce waliło jej jak młotem, a w głowie miała zam t.

- Chc - powiedziała powoli - odzyska swoje ycie. Czymkolwiek ono jest. - Odwróciła głow i spojrzała w okno. Po szybie kr tymi stru kami spływały króle deszczu. - Teraz w ko cu przypomniałam sobie wypadek, pami tam, jak prowadziłam samochód, jak si miałam i rozmawiałam... potem wyjechałam z za zakr tu i zobaczyłam ci arówk jad c z przeciwnej strony, ale nie tylko. Na drodze było jeszcze co . Kto . Jaki m czyzna, tak mi si wydaje. I nagle ten człowiek zaczą ł wieci , jasno jak sło ce. - Przebiegł j dreszcz. - Ci arówka skr ciła, a ja uderzyłam w barierk , a potem... a potem... - Zamkn ła oczy, przera ona wspomnieniem tamtej chwili.

- Jezu, Marla, nie musisz by taka cholernie silna. To naturalne, e reagujesz w ten sposób. - Znowu przyci gn ł j do siebie. Czują jego oddech na swoich włosach.

- Nie mog ... to straszne...

- Wyrzu to z siebie.

- Straciłam panowanie nad kierownic . Pam zgin ła. - Marla przełkn ła lin . Wiedziała, e ju zawsze b dzie miała w uszach ten straszny, rozdzieraj cy krzyk agonii Pam Delacroix. - Nie... nie powinnam... -powiedziała, ale nie odsun ła si od niego.

- Postaraj się uspokoić .

Marla za nią miała się ponuro.

- Czy to w ogóle może być liwe?

- Prawdopodobnie nie. Ale spróbuj.

Delikatnie położyła sobie jej głowę na ramieniu. Czuli ciepło jego skóry. Tym razem się nie opierała. Zamknęła oczy i słuchała silnego, miarowego bicia jego serca. Czuli, jak pieszczotliwie pogłaskał jej ramiona . Zaczęła myśleć o tym, jakby to było całować go, dotykać w zakazane miejsca, leżeć przy nim nago... o Boże, nie wolno jej przecie myśleć o takich rzeczach. Mijały kolejne minuty, jakby samochód powoli przejechał obok nich i zniknął z drugiej strony w skiej uliczki. Z cienia nagle wyskoczył kot, wylądował miękko na dachu samochodu, odbił się od niego i zniknął w ciemności.

- Dobrze - powiedział Nick z ustami w jej włosach. - Uspokój się . Już dobrze. A teraz pomyśl. - Odsunęła się od niego trochę , jakby nagle zdał sobie sprawę z tego, co robi. - Spróbuj przypomnieć sobie jak najwięcej, ale nie rób niczego na siłę . Spokojnie.

Marla kiwnęła głową . Teraz, kiedy już puścił i usiadł gdzieś na swoim miejscu, poczuła się nagle strasznie samotna. Serce biło jej jak oszalałe. Chciała je jakoś uspokoić , ale nie potrafiła.

- Och, Nick, to wraca. To wszystko wraca.

- Pamiętasz Pam?

- Tak. - Skinęła głową . - Ale niejako bliski przyjaciel . Nie, była raczej znajoma . Jechałyśmy na południe żeby... żeby...

- Zobaczysz się z jej córką ? Która tam studiowała? - odpowiedział Nick.

- Może, nie wiem. - Usiłowała się skoncentrować . - Był jakiś powód, ale... - Poczuła, jak krew w jej żyłach nagle

zmieniła się w łódź. - Wydaje mi się ... że to miało jakiś związek z dzieckiem... z Jamesem. Tak.

- Ale nie zabrała go ze sobą.

- Nie... chyba... chyba rozmawiałyśmy o nim, ale... - W głębi duszy wiedziała już, że chodziło o coś więcej, ale nie była w stanie poskładać strzępów wspomnień w logiczną całość. - Nie wiem - przyznała w końcu.

- To wróci. - Nick spojrzał na zegarek. - Lepiej już jedźmy. - Spojrzawszy na nią, wrzucił jedynie. Zjechał z krawężnika. - Wszystko w porządku?

- Nie wiem - odparła Marla i za nią miała się, ale w jej miechu nie było wesoło. - Nie wiem nawet, co to właściwie ciwie znaczy.

- Może nikt tego nie wie.

Nick wyjechał na ulicę i ruszył w stronę wybrzeża.

- Może. - Marla zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie w jego stronę. Patrzył przed siebie, trzymając obie dłonie na kierownicy. Marla uświadomiła sobie ze wstydem, że w tej chwili jest jej bliżej niż jej matce. Sfrustrowana, potarła dłonią czoło.

- Chyba jeszcze ci nie dziękowałam - powiedziała. Nick spojrzał na nią z ukosa. - Uratowałam ci życie, wiesz o tym. W domu. Mogłam tego nie przeżyć.

- Zrobiłem, co należało.

- Co ci jednak zawdzięczam. Nawet całkiem sporo.

- Nie zapisuj swoich zasług.

- Może powinieneś.

- Nic dobrego by to nie dało - stwierdził, wjeżdżając na estakadę prowadzącą na dwupoziomowy parking szpitala Bayview i przylegających do niego klinik. Jaguar Aleksa stał na dole, tuż obok jakiegoś Cadillaca.

Alex wyskoczył z samochodu, skoro tylko zauważył furgonetkę. Pokonał przestrzeń dzielącą go od samochodu

brata trzema wielkimi krokami. Spojrzał na Nicka siedząc przy kierownicy przy otwartych drzwiach.

- Co się, do cholery, stało?

- Marla ci powie.

- Jedziesz już? - spytał Alex, otaczając go ramieniem i przyciskając go lekko do siebie.

Nick zacisnął usta.

- Tak - powiedział w końcu. - Chyba sam sobie poradzisz. - Spojrzał na Marla, a jej serce zabiło mocniej. Przypomniała sobie, jak niewiele brakowało, żeby go pocałowała.

- Złapię cię później - powiedział Nick. Marla patrzyła na niego przez chwilę. Czuła się dziwnie osamotniona. Ale to przecież głupie. Nierozsądne. Irracjonalne. Alex jest jej mężem. To, że Nick uratował jej życie, nie jest niczym szczególnym. Zrobiłby to dla każdego. A to, co zaszło w jego samochodzie, było wynikiem traumatycznych przeżyć tego wieczora. Niczym więcej. Zgadza się?

Nick spojrzał na nią. Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym zwrócił wzrok na brata.

- Chyba macz rację, Alex. Skoro i tak tu siedzicie, mogliście równie dobrze wprowadzić go do domu.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie? - spytał Alex. Marla sama nie wiedziała, co myśli o tym, że babcia mieszkała pod jednym dachem z tym człowiekiem.

Nick uśmiechnął się szeroko, błyskając olepiającymi go białymi, równymi zębami.

- Po prostu myślałem, że już czas - skłamał gładko.

## 11

Tak, to złagodzi ból. - Doktor Robertson zrobił Marli zastrzyk i wyrzucił igłę. Miał na sobie sportową kurtkę i

d insy. Obejrzał jej szczęk i usta, powa nie spoglądając na nią zza szkieł okularów. O tej porze w klinice panowała cisza, wszyscy pracownicy już dawno rozeszli się do swoich domów. Pod sufitem brzęczały jarzeniówki, których wiałło i niło w chromowanej baterii nad umywalką i instrumentach chirurgicznych leżących na nieskazitelnie czystym blacie.

- A teraz proszę mi powieźcie, co się stało.

Marla siedziała na kozetce przykrytej szerokim papierowym ręcznikiem, teraz już spokojniejsza, choć w ustach wciąż czuła nieprzyjemny smak. Ból ust pował powoli.

Alex stał przy drzwiach z rękami założonymi na piersi. Lekarzko czył teraz to, co zaczął Nick. W klinice było pusto, na korytarzach panował mrok.

- Nagle... nagle zrobiło mi się niedobrze. Pewnie z powodu nerwów albo zupy, albo jednego i drugiego, nie wiem - powiedziała z trudem. Ledwo mogła otworzyć usta. Mimo bólu zmuszała wargi do ruchu. -Ostatnio byłam dosyć spłata. W każdym razie po kolacji poczułam się nie najlepiej i poszłam na górę, żeby się położyć i... - Zawahała się i postanowiła nie zwierzać się lekarzowi z tego, co wyczuła. Wrog obecność w swoim pokoju. Przynajmniej nie teraz. Najpierw musi odzyskać jasny umysł, musi być pewna, że ten człowiek nie był tylko częścią złego snu. Musi też zdecydować, komu rzeczywiście może zaufać. -Więc... obudziłam się... prawdopodobnie z powodu złego snu i ogarnęły mnie straszne mdłości. Musiałam zwymiotować. Nie potrafiłam się powstrzymać. - Potrzebowała głowę - To było straszne.

- Cóż, biorąc pod uwagę okoliczności, miała pani dużo szczęścia -mruknął lekarz pod nosem. Odsunął się od niej i zdjął lateksowe rękawiczki. - Mogła się pani zadławić albo udusić.

- Dziwne, ale nie czuj si szczególnie szcz liwa. - W rzeczywisto ci czuła si tak, jakby j zdj to z ło a tortur. A wygl dała pewnie jeszcze gorzej.

- Domy lam si . - Doktor Robertson spojrział z ukosa na Aleksa, po czym wr czył Marli lusterko, eby mogła zobaczy rozmiar zniszcze . Tak, okre lenie „wygl da jak sama mier ” doskonale pasowało do tego, co zobaczyła w lustrze. Spróbowała szerzej otworzy usta. Potworny ból przeszył jej twarz. Wstrzymała oddech.

- Jeszcze przez kilka dni, a mo e nawet tygodni, b dzie pani odczuwa pewien dyskomfort. Zapisz pani leki przeciwbólowe. A teraz dobra wiadomo . Szcz ka pi knie si zrosła.

- Ka da dobra wiadomo jest mile widziana - mrukn ła Marla.

Lekarz zachichotał i mrugn ł do niej.

- Ale prosz si nie przem cza . Teraz potrzebuje pani odpoczynku. Spokoju. I na pani miejscu jeszcze przez jaki czas nie grałbym w hokeja bez maski.

- Zapami tam to sobie.

Lekarz u miechn ł si k tem ust.

- Dobrze. Prosz te pojawi si u doktora Hendersona to on przeprowadzał pierwsz operacj . Mo e skieruje pani na prze wietlenie eby sprawdzi , czy ko ci zrosły si prawidłowo, cho moim zdaniem wszystko jest w porz dku.

- Dzi kuj - powiedziała, zadowolona, e ju po wszystkim

- A jak tam oł dek? - Robertson wrzucił r kawiczki do małego chromowanego kosza na mieci.

- Lepiej. Znacznie lepiej.

- Powinna była powiedzie komu , e masz mdło ci. - w oczach Aleksa malował si wyrzut. Patrzył na ni spod zmarszczonych brwi wydymaj c usta.

- A mo e ty powiniene był by w domu - odparła rozdrażniona

Alex zmrużył oczy.

- Pracowałem.

- Było po jedenastej.

Alex zacisnął usta, a spojrzeniem, które jej rzucił, mo na było ci granit.

- Pewnie nie pamiętasz, e du o pracuj , Cz sto do bardzo późno. Dlatego wła nie zatrudniłem Toma. Gdyby nie była taka uparta - Urwał i gniew zniknął z jego twarzy. - Posłuchaj, martwi się o ciebie rozumiesz? - Potrząsnął głową. - Okropnie mnie przestraszyła .

- Sama te się wystraszyła - powiedziała Marla, ale postanowiła nie wszczynać kłótni. - Mam już tego dość .

- Jak my wszyscy - odparł Alex.

Robertson umył ręce w przymocowanej do ściany umywalce

- Pamięć wraca powoli? - wycierając ręce, spojrzał na odbicie Marli w lustrze.

- Powoli. Nie jest najlepiej, ale pewne rzeczy wracają . Dzisiaj wła nie przypomniły mi się narodziny Jamesa.

Kiedyś ją dostrzegła, e Alex zeszywniał nagle, a w jego oczach pojawiło się zdumienie... nie, nie zdumienie, niepokój...

- Naprawdę? - spytał. - To świetnie. Cudownie. - Jego uśmiech wydawał się szczery. Prawie.

- I przypomniał mi się wypadek - dodała. - Kiedy jechałam tu z Nickiem, zza rogu ulicy wyjechał drugi samochód na długich wiatłach. Nagle wszystko stanęło mi przed oczami.

Alex zbłądził trochę pod warstwą opalenizny.

- Na drodze był jakiś człowiek - cięgnął Marla. - Prowadziłam i chciałam go wyminąć . Dlatego wła nie uderzyłam w barierkę .



Wzdrygnęła się i umilkła. Alex kiwnął głową, zachęcając, by mówiła dalej, choć widział w jego oczach lęk.

- Co jeszcze?

- To było straszne. Okropne. - Marla z trudem wypowiadała słowa, wstrząsnęła tym, co znowu jakby wystąpiło jej przed oczami. Widziała znowu mokro od deszczu drogi, rozpadające się szybko, słyszała zgrzyt metalu, pisk opon i ten straszny krzyk. - Doktor Robertson słuchał jej uważnie, mrucząc coś. - Tak, i w końcu przypomniałam sobie Pam. Ciągle jeszcze niewiele na jej temat pamiętam, ale wiem już, że... planowałyśmy to razem... nie pamiętam tylko, co to było.

- Jesteś zmęczona - powiedział Alex. - Na razie daj sobie z tym spokój.

- Tak, ale muszę porozmawiać z detektywem Paterno.

- Jutro rano.

- Dobrze - zgodziła się, nagle wyczerpana. Miała wrażenie, że całe jej ciało jest zrobione z waty. Ból ust piął trochę, ale czuła się bardzo słaba. - Zadzwoń do niego rano.

- Nick wie już o tym wszystkim? - spytał Alex i Marla nagle poczuła się winna, jakby zdradziła matkę.

- Tak.

- Tak myślałam.

- Chyba nie ma powodu, żeby to ukrywać.

- Nie, oczywiście, że nie - odparł szybko Alex z wymuszonym uśmiechem. Nerwowo bawił się kluczykami w kieszeni.

Marla znowu zaczęła się kręcić w głowie. To na pewno efekt uboczny tego rodzaju przeciwbólowego... Bo ona jest taka zmęczona... taka zmęczona.

- Moemy już jechać do domu?

- Tylko wypisz receptę - powiedział lekarz, wyciągając białeczkę. Zaczęła szybko pisać. Oderwał górny kartał i wręczył ją Aleksowi.

- To powinno znie ból, ale może się pani czuć trochę słabo. - Zanotował coś w karcie i wsunął ją do segregatora.

Segregatora z jej szpitalnymi dokumentami. S tam wszystkie informacje, jakich potrzebuje. Spora część tej cięgle rozsypanej układanki, jak jest jej życie.

- Mogę zobaczyć? - spytała.

- Co? - zapytał doktor Robertson.

- Moje dokumenty.

- To tylko informacje medyczne - odparł Robertson uprzejmie, ale w jego tonie było coś... jakby traktował ją protekcjonalnie... o Boże, dlaczego tak bardzo chce jej się spać?

- O mnie - powiedziała, wyciągnęła rękę. - To moje dokumenty, tak?

- Nie masz coś na dzisiaj? - wtrącił Alex i wskazał dłoni lekarzowi, żeby odłożył segregator na bok.

- Ale chcę wiedzieć...

- Innym razem, dobrze? - W głosie Aleksa było coś, co natychmiast doprowadziło ją do szału. - Jest już bardzo późno. Powinna wrócić do domu i pójść spać. Sama tak powiedziała.

- Sama wiem, co powinnam - powiedziała, wstała z kozetki. - Powinnam dowiedzieć się więcej o sobie samej. O tobie. O naszej rodzinie. To już się zaczęło, Alex. Zaczęłam sobie przypominać i zrobię wszystko - wszystko - żeby jak najszybciej odzyskać pamięć.

- Rozumiem, ale...

- Doprawdy? - rzuciła gniewnie, po czym spojrzała na lekarza. - Pan tego rozumie?

- Do diabła, Marla, przestań. Phil przyjechał tu w środku nocy, wywiadczył ci przysługę, bo nie chciała iść do szpitala. Ale on tego ma rodzinę i chciałby jak najszybciej wrócić do domu. Tak jak my.

Robertson wsunął długopis do kieszeni.

- Nie ma problemu - powiedział, ale nie podał jej koperty.  
- Prosz mi powiedzcie, co pani pamięta - zaproponował, zakładając ręce na piersi i nie wypuszczając z dłoni dokumentów.

Nie dostanie ich już dzisiaj, wiedziała to.

- Poza wypadkiem i narodzinami Jamesa pamięta tam tylko niewiele znaczące rzeczy. Jazdę na koniach, suknie balowe, jak rozmowę z Alekssem w holu naszego domu... ale to wszystko jest do niewyraźne. To tylko takie przebieżki. Myślała, że gdybym przejrzała kartę chorobową przypomnieliby mi się więcej.

- Pewnie ma pani rację - powiedział lekarz, jakby rzeczywiście tak myślał. - Może przyjechałaby pani do kliniki za parę dni, a wtedy dam pani wszystko, co mogłoby pani zainteresować.

Do tego czasu moje dokumenty zostaną ocenzurowane, pomyślał. Wyczyszczone. Zmienione.

- Zgoda - obiecała, usiłując przekonać samą siebie, że nie jest ofiarą spisku. Kiedy tu wróci, dokumenty będą niekwestionowane, znajdzie w nich dokładnie to samo, co znalazłaby dzisiaj. Po prostu naoglądała się filmów i tyle. Podeszła do umywalki, znalazła papierowy kubek i jeszcze raz przepłukała usta.

- Dobrze. Kto wie, może do tego czasu odzyska pani pamięć.

Był taki spokojny - jakby martwy. Ponieważ nie chodziło o jego życie, nie o jego pamięć była ta rozmowa. Robertson mógł sobie pozwolić na cierpliwość, podczas gdy Marla czuła, jak życie umyka jej między palcami, sypie się jak piasek, a ona nie potrafi zacisnąć dłoni, by je zatrzymać. Napila się wody. Z trudem poruszała szczękę. Miała wrażenie, że jej język, dziwny i za duży, jest obcym ciałem, wydawało jej się, że cięgle ma zadrutowane zębami. Od dwóch tygodni wykorzystywała tylko wargi, kiedy chciała coś powiedzieć, teraz więc z trudem zmuszała do pracy język, zębami i szczękami.

Alex pomógł jej założyć płaszcz, podczas gdy Phil wyłczał wiatła. Razem wyszli na parking. Alex, obejmując Marlę ramieniem, podszedł do jaguara.

- Zaprosimy cię na drinka - obiecał Philowi - gdy tylko Marla będzie bardziej sobą.

Marla zawrzała, słysząc tę insynuację, ale powstrzymała tę odpowiedź, którą miała już na końcu języka. Alex usiadł za kierownicę. Było w nim coś, co budziło w niej agresję, złość, chęć walki. Z nim. Choć sama nie rozumiała dlaczego.

- To jak się teraz czujesz? - spytał, obrzucając ją szybkim spojrzeniem. Przekręcił kluczyk w stacyjce i powoli wyjechał z parkingu.

- Jakby mi ktoś przyłożył młotem w szczęk.

- Dobrze, co? - Wcisnął zapalniczkę, a następnie z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął paczkę papierosów.

- Dobrze. - Marla nie zdobyła się na słowa. Jego zachowanie drażniło ją coraz bardziej. Podejrzewała, że wraz z Robertsonem ukrywa coś przed nią, i działało jej to na nerwy. Co gorsza, jego postawa - małżeńska troska, podczas gdy tak naprawdę nigdy go przy niej nie było - zaczęła ją naprawdę wkurzać. Co tu było nie tak i wiedziała, że tego sobie nie wymyśliła. Była jednak zbyt zmęczona, by teraz się nad tym zastanawiać.

Zapalniczka wyskoczyła ze szczęką. Alex zapalił papierosa i wydmuchnął kłębuszek dymu. Naciśnięty guzik i szyba zjechała w dół, a przez otwarte okno wpłynęło do samochodu chłodne, wilgotne powietrze. Z radia dobiegała spokojna jazzowa muzyka. Alex wyjechał na opustoszałe ulice i ruszył w stronę wzgórz.

Oświetlone drapacze chmur jaśniały na tle nieba. Marla rozpoznała w oddali piramidę Transamerica i historyczną dzielnicę Jackson Square. Widziała je przedtem zapewne setki razy. I jeszcze co ... jakiś przebłysk... Nagle zobaczyła siebie

przy biurku, w wielkim budynku ze stali i szkła. Monitor komputera szumiał cicho, na odgradzonych od siebie niskimi ciankami biurkach dzwoniły telefony, pracownicy rozmawiali, pisali co na komputerach, wpatrywali się w monitory. Ci g okien na jednej ze cian ukazywał panoram San Francisco i był kitne niebo nad zatok .

Ale to niemo liwe. Ona przecie nie pracowała w biurze. Nigdy. Wtulona w mi kki fotel jaguara spojrziała na m a. Patrzył przed siebie z pos pn min .

- Czy ja kiedykolwiek pracowałam? - spytała, cho wiedziała, jaka b dzie odpowied , jeszcze zanim zadała pytanie.

Alex parskn ł miechem.

- Ty? Daj spokój.

- Pytam powa nie.

- Oczywiście, e nie. Po co miałyby pracowa ?

- Nie wiem, po prostu nagle stan ł mi przed oczami obraz wielkiej, gło nej sali podzielonej niskimi ciankami i pełnej urz dników, kobiet i m czyzn w garniturach... ja te tam byłam, siedziałam przy biurku... - Umilkła i potarła palcami skronie, chc c przypomnie sobie co wi cej.

- Marla, nie przepracowała w swoim yciu ani jednego dnia - powiedział Alex i zachichotał, jakby ta my l była niezwykle zabawna. -Bywała w dziesi tkach ró nych biur, ale nigdy jako ich pracownik.

- Jeste pewny? - spytała. W takim razie sk d przyszło jej to do głowy?

- Absolutnie. - Spojrzał na ni z ukosa i jego twarz złagodniała. -To tylko twoja wyobra nia.

Albo paranoja. Zdaje si , e w jej przypadku nie ma wi kszej ró nicy.

- Dlaczego nie powiedziała Tomowi albo mamie, e le si poczuła ? - spytał, delikatnie dotykaj c jej kolana. - Po to przecie zatrudniłem piel gniarza. - Zatrzymał samochód na

czerwonym wietle. Posłał jej spojrzenie, które wyraża nie mówiąco, co się dzieje o takim braku rozsądku.

- Nie sądziłam, że to coś poważnego.

- Ale było ci niedobrze, kiedy się kładłaś spać?

- Tylko trochę, a potem... - Zawałałaś się. Czy rzeczywiście cię może mu zaufać?

- Co potem?

No, dalej. To w końcu twój mąż.

- Wiem, że to głupie - powiedziała, dochodząc do wniosku, że jeśli nie może ufać własnemu mężowi, to prawdopodobnie nie może ufać nikomu. - Wydawało mi się, że ktoś był w moim pokoju.

- Kto? Kto ze słuchał?

- Nie, Alex, jaki masz czyn. Pochylił się nad łóżkiem i powiedział: „Zdychaj, dziwko”.

- Co? - Gwałtownie odwrócił głowę w jej stronę, samochód zjechał na rodek drogi. Na drugim pasie rozległo się ostrzegawcze trąbienie. Alex szybko wrócił na swój pas.

- Chryste, Marla, chcesz powiedzieć, że do domu dostał się ktoś z zewnątrz?

- Chyba tak. - Opowiedziała mu całą historię. Alex zacisnął dłoń na kierownicy, jakby chciał ją wyrwać. - Byłam tak przerażona, że sprawdziłam każdą pokój, który nie był zamknięty na klucz. Chyba przy tym okropnie przeraziłam Cissy, ale kiedy się już upewniłam, że wszystko jest w porządku, że dzieci są bezpieczne, trochę się uspokoiłam. Napiłam się wody i poszłam spać. A potem pamiętam tam już tylko, jak zaczęłam wymiotować. - Osunęła się na siedzenie i oparła głowę o szybę. Nagle ogarnął ją mierzwiący chłód.

- Jezus, Marla, jak się dzisiaj, kto mógł wejść do twojego pokoju? - Alex zacisnął się bokiem, koniuszek papierosa arzył się czerwono w ciemności.

- Nie wiem... nie jestem nawet pewna, czy rzeczywiście cię ktoś wszedł... ale wtedy wydawało się to takie realne.

Zmieniły si wiatła i kto stoj cy za nimi zatr bił niecierpliwie.

- Cholera. - Alex wcisn ł pedał gazu i jaguar skoczył do przodu.

- To było naprawd przera aj ce.

- Domy lam si . - Zmienił bieg. - Cholera. - Zbladł jak ciana, nerwowo zaciskał usta. - Ka Larsowi przeczesza dom od piwnicy po strych.

- Nie! - rzuciła Marla ostro i potrz sn ła głów . - To znaczy... teraz to wydaje mi si nieprawdopodobne, a poza tym, nawet je li kto dostał si do domu, ju dawno zd ył go opu ci .

- Mamy doskonały system alarmowy i bram . W jaki sposób kto mógłby wtargn na teren posiadło ci?

- Dobre pytanie - odparła Marla. Miała ochot ziewn , ale nie była w stanie tak szeroko otworzy ust. Czuła si okropnie zm czona, mówiła z trudem. - Mo e nikt nie wtargn ł. Mo e tylko mi si niło.

- Dzwoniła na policj ? - spytał Alex, zaciskaj c palce na kierownicy z tak sił , e a zbiełały mu kostki.

- Nie. - Marla potrz sn ła głów . - To mógł by tylko sen. Wiesz, tak jak wtedy w szpitalu...

- Je li to ci niepokoi, mo emy w ka dej chwili wezwa policj i kaza im zaj si t spraw - powiedział. -I tak chciała porozmawia z Paterno... ale... sam ju nie wiem, do cholery. Pewnie teraz jeste my przem czeni, a rano ujrzemy wszystko w lepszym wietle. - Skr cił kierownic . - Mógłbym te zatrudni ochroniarzy.

- Nie s dz , eby to było konieczne.

- Có , jest jeszcze jedno rozwi zanie - powiedział mi kko.

- Jakie?

- Mo esz spa ze mn .

Nie! Spojrzała na niego ostro, ale on patrzył przed siebie. Wszystko w niej buntowało się na sam myśl, że miałaby dzielić się z tym człowiekiem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że się z nim całuje albo nawet tylko leży przytulona do niego na tym wielkim łóżku, objęta jego ramieniem. Odejść od niej do gardła, odwrócić głowę i wyjrzała przez okno. Mgła gęstniała, spowijając miśkami kokonem budynki i latarnie. Wprawdzie myśl o spaniu z nim w jednym łóżku wydała jej się odrażająca, ale Marla musiała zadać to pytanie.

- Dlaczego ze sobą nie śpimy?

Alex prychnął i zgasił papierosa w popielniczce.

- To była twoja decyzja. Podjęłaś ją kilka lat temu. - Spojrzał na nią spod oka, jakby nie wiedział, czy może jej zaufać. W końcu, po dłuższej chwili, wzruszył ramionami. - Prawda jest taka, że... że interesowali cię inni mężczyźni.

- Mężczyźni - przeraziła się. Przypomniał jej się Nick i sposób, w jaki na niego działał. To prawda, nie była odporna na jego surowy, erotyczny wdzięk. Fantazjowała nawet na jego temat, wyobrażała sobie jego stwardniałe od pracy fizycznej dłonie na swoim ciele. Z drugiej strony jednak ani przez chwilę nie się dążyła, że mogłaby istotnie nawiązać intymny kontakt z jakimkolwiek mężczyzną poza swoim mężem. W ogóle nie brała pod uwagę takiej możliwości. To były tylko fantazje. Obojętne, jak wiele kobiet? Chrzęknęła i w momencie zaczęła bawić się guzikiem płaszcza. W końcu podniosła głowę i spojrzała na męża. - Mężczyźni? W liczbie mnogiej?

- Tak.

- Chcesz mi powiedzieć, że miałam kochanków? - wyszeptała z niedowierzaniem. Niemożliwe. Ale nie mogła zaprzeczyć, że czuje do Nicka coś więcej poza sympatią. W głębi swojej kobiecej duszy wiedziała też, że jest zmysłowa. Namiętna. A jednak sypiała sama. Albo tak to tylko wyglądało.

- Dobrze, nie powiem niczego w tym rodzaju.



- Ale... - nalegała.

- Sama pytała, Marla.

Czuła, jak na jej twarz wypływa ciemny rumieniec.

- Kto?

- To nie ma znaczenia. - Alex za szybko wszedł w zakręty.

Opony zapisały na asfalcie.

- Chyba jednak ma - rzuciła gniewnie. W końcu wyprowadził ją z równowagi.

- Nie wchodzić w to teraz. To było już jakiś czas temu. - Alex kręcił gałką radia. W końcu znalazł stację nadającą rock.

Marla wyłczyła natychmiast.

- W takim razie... czy James? - spytała, czując, że musi to wiedzieć.

- Czy on... czy on...

- Jest moim dzieckiem. - Spojrzał na nią ironicznie i uśmiechnął się z przymusem. Marla czuła się bardziej zdezorientowana niż kiedykolwiek.

- Ale... jak...?

- Widzisz, co się dzieje, kiedy wypijesz za duży odłamek tonikiem? - teraz uśmiechał się szeroko, tryumfalnie, jakby był z siebie dumny.

Jego uśmiech zabrzmiał dziwnie żłośliwie, ale Marla powiedziała sobie, że tylko jej się wydaje. Po prostu jest rozdrażniona. Kompletnie wyczerpana.

Nagle znowu rozboleł ją ołdek. Czy rzeczywiście mogłaby spać z tym człowiekiem? Jej męci? Całować go? W środku skręcała się na samych myślach o tym, ale postanowiła nie poddawać się uczuciu odruchowej odrazy. W końcu wyszła kiedyś za niego, miała z nim dzieci...

- Może kiedyś już odzyskam pamięć, jeśli oboje stwierdzimy, że to dobry pomysł... moglibyśmy... spróbować...

- Czego? Sypiania w jednym łóżku? - spytał, uśmiechając się do niej. Jego twarz to zniknęła w ciemności, to wyłaniała się z niej oświetlana reflektorami nadjeżdżających z przeciwka

samochodów. - Nie s dz . Nie lubi , kiedy kto pieprzy si ze mn z lito ci.

Marla zdr twiała. Zrobiło jej si słabo.

- Tak to nazywasz?

- Nie próbuj udawa , e mnie kochasz. Wiem, jaka jest prawda, widz j w twoich oczach. Nawet mnie nie pami tasz. A kiedy ju sobie przypomnisz, có , sama zobaczysz... - Zwolnił przed zakr tem. - Wi c lepiej zostawmy to, przynajmniej na razie. - Poklepał j po kolanie. - Chyba e naprawd chcesz mnie doprowadzi do szału.

- Nie miałam takiego zamiaru. - Odsun ła si troch .

Dobrze. Nie mogła sobie wyobrazi , e idzie z nim do kó ka, e si całuj , a potem... nie chciała nawet o tym my le .

- adne z nas nie jest jeszcze na to gotowe. - Mocniej zacisn ł palce na kierownicy. - Porozmawiamy o tym, kiedy przyjdzie czas. Kto wie? Zdarzały si jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Marla nie nalegała. Nie mogła. Nie czuła ani cienia po dania do tego człowieka, który był jej m em. Dlaczego - tego nie rozumiała. Przystojny, wysportowany czterdziestodwulatek, odnosz cy sukcesy prawnik i biznesmen naprawd mógł si podoba . Ale było w nim co fałszywego, pod warstw dobrych manier i wystudiowanego wdzi ku wyczuwało si jaki chłód - mo e nawet okrucie stwo, którego nie było w stanie ukry doskonale wykształcenie, dobre wychowanie ani kosztowne stroje.

A mo e to wszystko jest tylko w twojej głowie. Tak czy inaczej, Marla, musisz si tego dowiedzie . A Alex na pewno ci w tym nie pomo e. Nikt ci w tym nie pomo e.

Wje d ali na wzgórze. Kierunkowskazy migwały w oknach samochodu. Stanyan, Parnassus, Willard... słowa te wydawały jej si znajome, ale nie były. Nazwy ulic, które b dzie musiała pozna . Mimo e Lars był zawsze do jej dyspozycji, Marla nie

uj ła go w swoich planach. Musi by niezale na. Wolna. Musi polega na sobie.

Jej oddech osiadł na szybie bia mgiełk . Zbli yła twarz do okna, przypatruj c si mijanym sklepom. Małe warzywniaki, kwaciarnie, restauracje i budynki mieszkalne ci gn ły si wzdłu ulic. Dotarli do domu.

Bramy otworzyły si za naci ni ciem guzika i Alex wjechał na teren posiadło ci. Marla patrzyła na dom stoj cy wysoko na wzgórzu, na stromy dach. o wietlone okna w wykuszach i dumnie wznosz ce si kominy Dom, pomy łała, ale w gł bi serca nie mogła w to uwierzy .

Ci gle jeszcze czuła si tu obco.

Nick b bnił palcami po kierownicy swojej furgonetki. My lami przenosił si z jednej strony zatoki na drug . Patrzył przez przedni szyb w ponur , ciemn noc i nie mógł pozby si wra enia, e kto nim manipuluje. Ale kto?

Marla? Przypomniał sobie, jak le ła wstrz sana konwulsjami na podłodze, bliska uduszenia, i zacisn ł z by. Wydawała si taka drobna i słaba. Cały czas zastanawiał si , co spowodowało wymioty. Jaki wirus? Ci ko strawna zupa? A mo e kto dosypał jej do wody jaki rodek wywołuj cy wymioty?

Niemo liwe.

Ale przecie Marli wydawało si , e w jej pokoju kto był.

Dlaczego jednak kto miałby chce jej mierci?

I w jaki sposób dostał si do domu?

A potem jak z niego wyszedł? Ten dom jest jak forteca.

Wi c mo e ten kto jeszcze go nie opu cił.

- Sukinsyn - warkn ł pod nosem.

Wysiadł z samochodu i wrzucił kluczyki do kieszeni. Zaparkował kilka ulic od hotelu w nadziei, e spacer w rze kim, wilgotnym powietrzu rozja ni mu w głowie.

Pierwszy raz od wielu lat znowu chciał chronić Marl , otoczył ją opieką, skrył w swoich ramionach.

Jakby był jakimś cholernym renowiczyńskim rycerzem w... cóż, lekko ją rdzewiejącą zbroją. Wsadził rękę do kieszeni kurtki, przeszedł przez ulicę i wszedł do hotelu. Po kilku minutach był już na drugim piętrze. W chwili, kiedy otworzył drzwi do swojego pokoju, rozdzwonił się telefon. Podniósł słuchawkę, a dopiero potem zamknął za sobą drzwi.

- Nick Cahill.

- Dobrze, że ci złapałem. Już myślałem, że będziesz ci musiał zostawić kolejną wiadomość. - Głos Walta Haagi brzmiał ostro i chrapliwie jak zwykle.

- Co nowego? - Nick usiadł na łóżku i zrzucił buty.

- A jak się dzisiaj? - spytał Walt, kaszlejąc. - Mam wiadomości. Może zaczniemy od Pam Delacroix?

- Zaczynaj, od czego chcesz.

- Pamela, tak, interesująca z nią była kobieta. Właśnie ze swojego byłego, ale robiła to trochę w nieruchomościach, pisała i zajmowała się prawem. Zdaje się, że najbardziej interesowała ją sprawa o opiekę nad dzieckiem. Pisała książki na ten temat - o prawach rodzicielskich, matkach zastępczych, adopcjach. A ta jej córka - Julie - rzuciła szkołę po kilku tygodniach. Tak po prostu. Wyjechała ze swoim chłopakiem do Santa Rosa. Pracuje w małej knajpce, gdzie podaje kawę. Tak więc jej matka nie jechała na spotkanie z nią, kiedy zginęła.

- Po co więc jechała do Santa Cruz?

- Wszyscy zakładali, że jechały do Santa Cruz, bo się działo, że tam jest jej córka. A może pani Delacroix i twoja siostra postanowiły zabrać się do Thelmy i Louise i po prostu jechały przed siebie. Może chciały dotrzeć do Los Angeles albo do Meksyku.

- Kolejny lewy zaufek - mruknął Nick.

- Może ci się zawróci.

- Ale dlaczego były razem?

- Dobre pytanie - powiedział Walt. - Na pewno nie wybierały się pograć w tenisa. O ile wiem, Pam nigdy nie należała do klubu Marli. W tym nawet, czy miała rakiety, nie wspominając o członkostwie klubu sportowego. Była typem mola księżkowego, a nie sportowki.

- Skąd wiesz?

- Rozmawiałem z jej byłym i kilkoma przyjaciółmi. Jedynym zwiastem, jaki moim zdaniem miała z twoją rodziną, to fakt, że uczęszczała do Kościoła w tej Trójcy w Sausalito.

- Którego duchownym jest mąż onego Cherise - dodał Nick, w zamyślenie mrucząc.

- Zgadza się.

Interesująca informacja, pomyślał Nick, ale chyba nie pasuje do tej układanki.

- O ile pamiętam, Marla nie chodziła zbyt często do kościoła.

- Tak, nie należała do niego. Ale sędziwię poznała Pam przez matkę Cherise. Pracował kiedyś w Cahill House. Wspierał tam duchowo dziewczęta, które zeszły z drogi cnoty, i przy okazji sam wpadł w niezłe tarapaty.

- Czy by? - Nicka ogarnęły złe przeczucia.

- Zdaje się, że nie był w stanie utrzymać się przy sobie, kiedy jedna z samotnych matek wpadła mu w oko.

- A niech mnie.

- Twój brat zaraz go zwolnił. Jakiś rok temu. Ale wybuchł skandal, prasa miała użycie. Mam kilka artykułów na ten temat, prześlę ci je faksem. Jednak nie wniesiono oskarżenia, a nasz księżko wrócił na łono swojego kościoła w Sausalito.

- I to już koniec? - spytał Nick z niedowierzaniem.

- Zdaje się, że jego owieczki i dziewczyna, z którą się ponoć zadał, postanowiły mu jednak wybaczyć. - Walt urwał, żeby zapalić papierosa. Nick usłyszał pstryknięcie zapalniczki.

- To tylko czubek góry lodowej. Człowieku, jeste spokrewniony z band niezłych wirów.

- Powiedz mi lepiej co , czego nie wiem. - Nick si gn ł po jedn z le cych na łó ku poduszek i wsun ł j sobie pod głow . Ze stolika nocnego wzi ł długopis i notatnik.

- Dobra, to co powiesz na to? Stary Marli, Conrad Amhurst, jest ju jedn nog w grobie.

- Słyszałem.

- Domy lam si - powiedział Walt pogardliwie. - Reszta rodziny ju si oblizuje, czekaj c, a stary w ko cu si odwinie, bo jest wart miliony. A teraz niespodzianka. Lwia cz jego majtku została zapisana temu małemu, synowi Marli.

- Co?

- To, co słyszysz. Zdaje si , e stary nie przepada za kobietami. Takie staro wieckie uprzedzenie. Mimo e syn Marli nie b dzie nosił jego nazwiska, stary zapisał mu wi kszo swojego majtku, szacowanego na ponad sto milionów. W funduszu powierniczym, oczywi cie.

- Oczywi cie. - Nick oparł si o cian i podrapał po brodzie. -A Marla? Jej brat? Cissy?

- Och, ka demu z nich co si dostanie, ale niewiele. Rory ma zapewnion opiek do ko ca ycia. Cissy dostanie swoj cz spadku w wieku dwudziestu pi ciu lat, je eli sko czy studia. Marli te skapnie co nieco, ale siedemdziesi t pi procent majtku przypadnie w udziale temu małemu. Jak ci si to podoba? Ma ledwo kilka tygodni i ju jest multimilionerem.

- Sk d to wszystko wiesz? - spytał Nick.

- Wiem i ju - roze miał si Walt. - Za to mi płacisz. Wiesz, ojciec Marli był starym draniem. Nigdy nie trzymał si adnych zasad. Du o pił. Straszny był te z niego kobieciarz. Zakrawa na cud, e matka Marli od niego nie odeszła, ale pewnie miała na uwadze jego pieni dze.

- Kto jeszcze zna postanowienia testamentu Conrada?  
- Pewnie wszyscy. Kiedy w gr wchodzi takie pieni dze, spadkobiercy staj na głowie, eby si dowiedzie , czy przypadkiem nie zostali pomini ci - roze miał si Walt, a potem dłu sz chwil kaszłał. - Taka jest natura ludzka.

- Skoro tak mówisz.

Walt prychn ł.

- Cóż , ty rzeczywi cie machn łe r k na pieni dze kilka lat temu, ale wi kszo ludzi nie zrobiłaby tego. Prawda jest taka, e ludzie robi wszystko dla takich pieni dzy, o jakich rozmawiamy. B d kłama , kra , oszukiwa . Nawet zabija .

Nick musiał przyzna , e lista zmarłych i umieraj cych jest w tym przypadku do długa: Pam Delacroix, Charles Biggs, dzi niewiele brakowało, a Marla po egnąłaby si z yciem. Tak jak w tym nieszcz snym wypadku.

- Nie rozpracowałem jeszcze, co si tam dzieje - ci gn ł Walt, wydmuchuj c dym - ale nie jest dobrze, a mo e by jeszcze gorzej. Lepiej na siebie uwa aj.

- Zawsze na siebie uwa am.

- To dobrze.

Nickowi to wszystko coraz mniej si podobało. Marla jest w powa nym niebezpiecze stwie. Czuł to.

- Słuchaj, Walt, wiem, e to mo e by problem, ale czy nie mógłby przyjecha tu na par dni i połazi troch ? Wynajmuj pokój w hotelu, mógłbym ci go odst pi . Przeprowadzam si do domu.

- Musz sko czy tu jeszcze kilka rzeczy, ale mógłbym przyjecha w ci gu tygodnia.

- Dzi ki. Zatrzymam pokój do twojego przyjazdu, wi c na razie mo esz nadal zostawia tu wiadomo ci. Jak powiedziałem, przeprowadzam si do domu, wi c je li zechcesz przekaza mi jakie informacje, zadzwo na komórk albo zostaw je tutaj. A jak b dziesz chciał przesła faks, wy lij go na Copy Write, to niedaleko hotelu. Na moje nazwisko.

- Czemu nie do hotelu?

- Có , wol by ostro ny. Cała moja rodzina wie, gdzie si zatrzymałem.

- Nie ufasz im za bardzo, co?

Przez poruszone wiatrem zasłony Nick patrzył na wiatła miasta.

- Nie - przyznał. Smutny komentarz do jego ycia. - Ani troch .

Odło ył słuchawk i zacz ł pakowa swoje rzeczy do marynarskiego worka. Przez wiele lat unikał domu na wzgórzu jak zarazy, teraz chciał jak najszybciej tam wróci .

Z powodu Marli.

Taka była prawda. Chciał j znowu zobaczy . Chciał si z ni całowa . Chciał ony swojego cholernego brata. A przede wszystkim chciał mie pewno , e jest bezpieczna. W ci gu kilku ostatnich tygodni dwa razy otarła si o mier . Przypadek? A mo e kto naprawd chce j zabi ?

## 12

Pokój zmienił si troch . Nick obejrzał nowe zasłony, narzut na łó ku, rzucony na podłog dywan i doszedł do wniosku, e to wszystko nie ma znaczenia. Wspomnienia, jakie zabrał ze sob , opuszczaj c to miejsce, nie nale ały do najmilszych. Nie czuł si tu wtedy jak w domu, podobnie jak i teraz. Rzucił swój marynarski worek na mosi ne łó ko Nie zabawi tu długo. Musi si tylko dowiedzie , co si wła ciwie dzieje. Wiedział, e jako prze yje te wszystkie plusze i aksamity, ale nie był pewny, czy wytrzyma wiadomo , e kilka pokoi dalej pi Marla. Chryste, ta kobieta naprawd zalazła mu za skór . Jak adna inna. Nawet teraz, po tylu latach, zmieniona po wypadku, natychmiast nim zawładn ła.

Do diabła. Czuję si tu dusi, jakby cierpiał na klaustrofobi . Rzucił kurtk na łó ko. Niewiele to pomogło,



podszedł więc do okna i otworzył je na oścież, wpuszczając do  
rodka chłodne listopadowe powietrze. Nad rozświetlonym  
miastem rozciągało się czarne, bezgwiezdne niebo. Był tak  
blisko niej - jak on to wytrzyma?

Kiedy będzie mógł się do niej wyjechać?

Co się tu, do cholery, dzieje?

Spędził wiele godzin nad księgi firmy. Alex miał rację,  
Cahill Limited coraz głębiej toniło w morzu czerwonego  
atramentu. Nietrafne inwestycje, koszty znacznie  
przewyższające przychody, pracownik przyłapany na  
malwersacji, gigantyczne kwoty przeznaczane na działalność  
dobroczynną, na przykład wspieranie Cahill House i nowego  
oddziału dziecięcego szpitala Bayview, niezwykle hojne  
pakiety pracownicze i ekstrawagancki styl życia członków  
zarządu - wszystko to przyczyniło się do finansowych  
problemów firmy. Ale to były przecie proste fakty, ka dy, kto  
kiedykolwiek otarł się o księgowo szybko wyciągnąłby z  
przedstawionych dokumentów te same wnioski. A jednak Alex  
postanowił się udać do San Francisco Nicka. Czy chciał w ten  
sposób spełnić marzenie swojej starszej siostry, która  
czesto wspominała, że wróciłaby sobie powrotu młodszego  
syna na łono rodziny? Czy powodem była Marla i wypadek,  
jakemu uległa? A może była jeszcze inna przyczyna, skryta  
głęboko i wiadoma tylko Aleksowi, co, czego istnienia Nick  
tylko się domyślał.

Z jakich względów Alex chciał, żeby Nick był blisko  
Marli. Choć przecie kiedy rywalizowali o jej uczucia.

Nick przeczeszał palcami włosy.

Jakiegokolwiek były motywy działań Aleksa, Nick znalazł  
się w potrzasku. Nie z powodu problemów Cahill Limited, nie  
z powodu pragnienia matki, by obaj jej synowie byli blisko niej  
- nie, Nick dobrowolnie dał się uwięzić w tym wielkim,  
pozbawionym duszy domu, w tym miejscu, którym pogardzał,

tylko dla Marli. Dlatego e powa nie obawiał si o jej ycie. Dlatego e kiedy był blisko niej, kompletnie tracił rozum.

Wyszedł na pusty korytarz. wiatło l niło na por czy schodów, a ze złoconych ram spogl dali na niego surowo przodkowie. Kilkana cie minut wcz e niej w tym wła nie miejscu matka powiedziała mu, jak bardzo si cieszy, e „w ko cu odzyskał rozs dek” i wrócił do domu. Posun ła si nawet do tego, e dotkn ła r kawa jego kurtki, co u Eugonii było szczytem wylewno ci.

- Dobrze mie ci znowu w domu, Nicholas - wyszeptła.  
- Wiem, e zawsze si kłócili my i pewnie popełniłam par bł dów wychowawczych, chciałam, eby stał si bardziej podobny do Aleksa, ale... na swój sposób... zawsze ci kochałam. I brakowało mi tu ciebie. - Dolna warga Eugonii zadr ała niebezpiecznie, wi c szybko zacisn ła usta.

Nick patrzył na ni zaskoczony. Bez makija u, z twarz , na której dostrzegł teraz wi cej zmarszczek ni przedtem, w czerwono-czarnym japo skim szlafroku przewi zanym paskiem, wydała mu si po raz pierwszy w jego trzydziestodziewi cioletnim yciu krucha. Szczera. Jakby jej naprawd zale ało.

Jednak trudno mu było w to uwierzy .

- Nie zostan długo.

- Wiem. Jak zawsze. - Westchn ła. - Przypuszczam, e ju ci utraciłam. Gdybym mogła cofn czas, gdybym wtedy wiedziała to, co wiem dzisiaj... och, Bo e. - U miechn ła si z wysiłkiem, chc c ukry rozpacz, która zamgliła nagle jej spojrzenie, ale usta jej dr ały.

Nick czuł si fatalnie.

- Có , robimy, co w naszej mocy, prawda? Ale... - Zawahała si , okraj c koniec paska wokół palca. - Wydaje mi si , e dziej si tu rzeczy, których... których nie rozumiem. Alexander jest taki... nieobecny, a Marla... och, problemy z t dziewczyn ... - Eugenia zagryzła wargi, jakby si nad czym

zastanawiała. - Pewnie wszystkie mał e stwa prze ywaj jakie kryzysy. Raz jest lepiej, raz gorzej. Wiem o tym z własnego do wiadczenia. Twój ojciec... twój ojciec... có , kochałam go. Chyba du o bardziej ni powinnam. - Przez chwil wydawała si zatopiona w swoich wspomnieniach, potem podniosła wzrok i spojrzała na Nicka. - Pod wieloma wzgl dami jeste do niego bardzo podobny, Nicholas. Zadufany w sobie. Inteligentny. Ale te bardzo si od niego ró nisz. - Wzruszyła ramionami. - Chciałam ci tylko podzi kowa za to, e wróciłe .

- Zostan tak długo, póki nie sko cz swojej roboty. Potem wyje d am - przypomniał matce.

U miechn ła si , jakby znała go lepiej ni on sam.

- Zobaczymy - stwierdziła, ruszaj c do windy.

- Mam swoje ycie. W Oregonie.

- Naprawd ? - spytała z niedowierzaniem unosz c brwi, po czym wsiadła do windy.

- Tak - mrukn ł, przypominaj c sobie o zapasach alkoholu, które Alex zgromadził dwa pi tra ni ej.

Doszedł bowiem do wniosku, e zaśłu ył na drinka. Zadzwoił jeszcze do Olego, eby sprawdzi , czy z Twardzielem wszystko w porz dku, a nast pnie, porównuj c w my lach proste, przyjemne ycie, jakie wiódł w Devil's Cove, z chaosem i problemami San Francisco, ruszył schodami na dół.

Tak si szcz liwie zło yło, e Alex zostawił kluczyk do barku w drzwiczkach. Nick znalazł butelk szkockiej i rozejrzał si za szklank . Na zewn trz wył wiatr, tu za słycha było tylko dobiegaj ce z holu tykanie starego zegara, szum starych pieców i skrzypienie drewna. Nie to, co w Oregonie, pomy łał, nalewaj c sobie whisky. Jego domek był mały, zwarty, kryty dachem, który Nick sam naprawiał, zastawiony u ywanymi sprz tami, kupionymi przez ogłoszenia w prasie i strze ony przez psa bez jednej łapy, który był te najlepszym przyjacielem Nicka. Dwa w jednym. Nick miał do pieni dzy

w banku i w akcjach, a tak e wystarczaj cy przychód ze swoich inwestycji, by sta go było na du o bardziej wystawny styl ycia. Wolał jednak y skromnie. Bezmy lne wydawanie pieni dzy rodzi tylko kłopoty. Alex był najlepszym tego przykładem.

Wi c co tu, u diabła, robisz?

Wrzucił do szklanki kilka kostek lodu i podszedł do kominka, gdzie arzyły si jeszcze kawałki drewna. Mimo tego pokój wydawał si zimny. Sterylny. Nieprzytulny. Odpychaj cy. Jak reszta tego przekl tego domu. Jak cała ta rodzina. Jak jego ycie, zanim si st d wyprowadził po romansie z Marl . Pami tał, jak go całowała - jakby nie mogła przesta - i mruzczała jak kotka. Kiedy jej dotykał, kiedy przesuwiał palcami po jej nagim ramieniu, przymykała oczy, tak e zielone t czówki kryły si w cieniu g stych, ciemnych rz s. Dr ała w jego ramionach, szepcz c, e tylko on tak umie j rozpali , dotykała j zykiem jego ucha i prosiła nami tnie: „Nick, jeszcze, prosz ... chc du o, du o wi cej...”.

Zamkn ł oczy i poci gn ł długi tyk ze swojej szklanki. Zatoczył pełne koło, wyje d aj c z San Francisco i wracaj c do tego samego z powodu tej samej przekl tej kobiety. I cho si zmieniała, czuł do niej taki sam niepohamowany poci g, dopuszczał nawet do siebie my l, by przekroczy ostatni granic przyzwoito ci i podda si uwodzicielskiemu wdzi kowi tej kobiety. Zmieniała si , o tak. Nawet bardzo. Była teraz miłsza, uprzejmiej sza, miała wi ksze poczucie humoru i cho czuł, e w rodku jest twarda, była w niej jaka kobieca krucho , której nie potrafił si oprze . To było takie dziwne, od nowa si zakocha , gł biej tym razem. W tej samej, a zarazem zupełnie innej kobiecie. Dzieci sprawiły, e stała si mniej egocentryczna, weselsza, bardziej zainteresowana innymi. To, co mu si w niej nie podobało wiele lat temu, znikn ło teraz, jednak w jej pi knym ciele wci jeszcze kryło si to samo zmysłowe, nami tne zwierz , dla którego na

zawsze stracił głow . Czasami miał wra enie, e oddałby dziesi lat ycia za kilka skradzionych chwil czystej, zmysłowej rozkoszy z t kobiet .

Ich spotkania, zawsze sekretne i samotne, wypełniała dzika nami tno . Nie było niczego, czego nie robiła, niczego, czego nie chciałaby do wiadczy . Nie było granic. Jej ramiona zawsze były szeroko otwarte w oczekiwaniu na kolejn rozkosz, jej skóra tak gładka i gor ca, e topniał, ilekro si do niej zbli ył, a jej oczy l niły uwodzicielsko, przesyłaj c mu najśłodsze zaproszenie. Dotyk wilgotnych ust i j zyka Marli doprowadzał go do szale stwa. Kiedy odchodziła, zostawał słaby i ju znowu spragniony jej obecno ci. adna kobieta pó niej nie była dla niego tym, czym Marla.

Poszedłby do piekła za kilka minut kochania si z ni . A pewnego dnia ona znowu przyszła, pocałowała go niewinnie w policzek, u miechn ła si , jakby mówi c: „Wiem, e mi wybaczysz” - i oznajmiła, e to ju koniec, bo spotkała kogo innego. A tak si zło yło, e tym kim był jego brat.

- Sukinsyn - warkn ł Nick pod nosem i dopił whisky jednym haustem.

Co on tu, do cholery, robi. Znowu wpada w sidła tej kobiety. Chyba powinien pój do lekarza i sprawdzi , czy z jego głow wszystko w porz dku, a wła ciwie mo e powinien sobie paln w ten głupi łeb. Podszedł do barku i nalał sobie jeszcze troch whisky. Kostki lodu nie zd yły jeszcze stopnie . Upił tyk. Usłyszał d wi k otwieranej bramy wjazdowej i podszedł do okna. Zobaczył wiatła reflektorów wje d aj cego na teren posiadało ci jaguara. oł dek podszedł mu do gardła. Napił si whisky. Po kilku minutach, kiedy usłyszał wind , ruszył po schodach na gór ze szklank w r ce. Spotkał brata i jego on na pode cie. Marla wygl dała okropnie. Była blada, opuchni ta i miała zm czone, zapadni te oczy. Próbowwała si u miechn , ale nie bardzo jej to wyszło.

Nickowi cisnęło się serce na jej widok, ale tylko zacisnął zęby.

- Wić naprawdę postanowiłem wprowadzić się do domu - powiedział Alex, otwierając przed Marlą drzwi do ich apartamentu. - Myślałem, że może zmienisz zdanie.

- Myślałem o tym, ale nie chciałem was rozczarować - zadrwił Nick.

Marla spojrzała na niego szybko.

- Przepraszam, ale naprawdę musisz się już położyć - powiedziała, a w jej oczach pojawił się ból, który go poruszył. Krucha i niepewna, nie przypominała tej młodej, zmysłowej istoty, która wczepiła się palcami w jego duszę i nie chciała puścić.

Pomijając już wszystko inne, tej nocy Marla Cahill przeszła prawdziwe piekło.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

W jej oczach pojawił się ironiczny błysk.

- Zależy, co rozumiesz przez słowo „dobrze”. Gdyby przejechał mnie walec drogowy, pewnie czułabym się znacznie gorzej. - Machnęła ręką. - Chociaż musisz przyznać, że miewałam lepsze dni. - Oparła się o drzwi i zamilczała bez cienia uśmiechu. - Niestety, niewiele ich pamiętam.

- Przypomnisz sobie.

- Miejmy nadzieję. - Spojrzała na dywan. Poza mokre plamy widniejące w miejscu, gdzie wymiotowała, wszystkie ławy jej niedyspozycji zostały już usunięte. Wzdrygnęła się. - Jestem ci winna podziękowanie, Nick. Gdyby cię tu nie było...

- Kto inny by się pojawił.

- Nie, Marla ma rację - rzekł Alex sztywno. - Dzięki Bogu, że akurat byłę w domu.

- Na co się przydałem. - Nick wzruszył ramionami.

Nastąpiła niezręczna cisza.

- Powinam sprawdzić, co u dzieci - odezwała się w kołku Marla.

Alex już szedł w stronę pokoju Cissy. - Pójdiesz? Dziękuj - powiedziała i rzuciła Nickowi przez ramię ostatnie spojrzenie. - Dobranoc, Nick.

Dobry Boże, jak ona krucho wygląda. Jak niepewnie. Zupełnie inaczej niż Marla, którą znał i której postanowił unikać. Podniósł swój szklankę w ironicznym geście toastu.

- Dobranoc.

Marla wślizgnęła się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Później, już u siebie, próbowała wymazać z pamięci jego obraz.

Nie robiąc tego, tłumaczyła sobie w drodze do sypialni. Tak, uratowała ci życie, ale nie jesteś mu nic winna. Nic. Musisz z tym skończyć. Jesteś on Aleksa.

Na sam myśl o tym, oddeknęła podszedł jej do gardła. Nic między nimi nie było, ani miłość, ani namiętność. Jeśli kiedykolwiek kochała swojego męża, to było to dawno temu albo kryła to przed nią. Daj sobie więcej czasu. Wkrótce wszystko sobie przypomnisz, wkrótce znowu będziesz wiedziała, dlaczego zakochała się w Aleksie, a to zauroczenie Nickiem wyda ci się mieszane.

Okłamywała samą siebie. Uczucie, które wzbudzał w niej Nick, pierwotne i jedyne w swoim rodzaju, było czym szczególnym.

- Nawet o tym nie myśl - mruknęła do siebie. Musi oprzeć się tym niebieskim oczom. Jest młotek. Ma dzieci. A przecie ... o Boże, a przecie jest blisko zakochania się w tym człowieku. - Nawet go nie znasz - powiedziała głośno, patrz na swoje odbicie w lustrze i skryć się w rodoku, bo chociaż cię nie rozpoznawała własnej twarzy, dostrzegła w swoich oczach podobieństwo. - Och, ty idiotko. - Zabębniła palcami po drzwiach szafki i spojrzała na kasetkę z biuterii. To, w której

nie było pier cionka. Tyle rzeczy w jej yciu zdaje si do siebie nie pasowa .

Zniech cona zdj ła z siebie płaszcz i rzuciła go na łó ko. Zd yła jeszcze rozpi zamek bluzy, kiedy rozległo si pukanie i Alex wsadził głow w drzwi.

- Chciałem ci tylko powiedzie , co słycha u dzieci - powiedział. Marla oparła si jako ch ci zapi cia bluzy pod sam szyj . Wiedziała, e wida jej stanik i brzuch. Czuła si naga, jakby nic na sobie nie miała. Alex obrzucił j szybkim spojrzeniem, ale tego nie skomentował. - Oboje pi .

- To dobrze. - Marla czuła si okropnie za enowana.

- Potrzebujesz czego ?

- Nie, nie s dz . - Chciała tylko, eby ju wyszedł.

Natychmiast.

- Powiem Tomowi o lekach. Dopilnuje, eby dostawała je na czas.

Marla potrz sn ła głow .

- Nie trud go, my l , e sama dam sobie z tym rad . Zostaw tu te tabletki. Mo esz mi wierzy , kiedy znowu poczuj ból, sama je wezm .

Spokój Aleksa znikn ł. Spojrzał na ni ostro, zirytowany.

- Nie sprzecajmy si ju dzisiaj, dobrze? Zwłaszcza o Toma. Za to mu płac , wi c niech si tym zajmie - rzucił stanowczo.

Autorytatywnie

Rozkazuj co.

Marla miała ju na ko cu j zyka ripost , ale ugryzła si w j zyk. Była zbyt zm czona, eby si kłóci . Teraz. Jutro wyja ni sobie pewne sprawy.

- Dobrze.

- A teraz - Alex złagodniał, kiedy zrozumiał, e Marla nie ma zamiaru si sprzecza - dobranoc. Zobaczymy si rano.

- Zaczekaj - powiedziała. Nagle uderzyła j pewna my l. Alex odwrócił si , a ona uniosła swoj praw dło i poruszyła



serdecznym palcem. - Nie widziałyście gdzie mojego pierścienia?

- Pamiętasz go? - spytał z niedowierzaniem.

- Niestety nie. Wiem o nim, bo Joanna mi powiedziała. Pamiętałam, i wiesz, gdzie on może być - gdzie go kładłam, kiedy zdejmowałam go z palca.

- Pewnie gdzieś tam. - Wskazał dłonią jej sypialnię.

- Tam go nie ma. Już szukałam. Bardzo dokładnie. Czy to nie dziwne? Joanna mówiła, że zawsze go nosiłam i że ktoś mógł mi go ukraść w szpitalu.

- W tym przypadku. Może powinna jednak poszukać go jeszcze raz. - Alex przestąpił z nogi na nogę. Spojrzał na zegarek. - Wiele przeszłaś w ciągu kilku ostatnich dni. Pierścienie to chyba najmniejszy problem.

- Joanna powiedziała, że to był prezent od mojego ojca.

- Conrad dał ci mnóstwo prezentów.

- Naprawdę? - To ją zaskoczyło. Widziała zdjęcie swojego ojca i czuła instynktownie, że niewiele ich ze sobą łączyło, że on chyba jej naprawdę nie kochał. Czuła, że Conrad Amhurst był skoncentrowany na sobie, niewiele miał czasu dla swoich dzieci. Odniosła wrażenie, że nigdy nie był jej szczególnie bliski, że było dokładnie na odwrót. Nie pamiętała go, ale co jej mówiło, że on jej nie lubił, że go rozczarowała.

Może dlatego, że była córką, a nie pierwszym synem. Ten archaiczny sposób myślenia nadal miał wielu zwolenników - jej syna, Jamesa, traktowano tu jak księcia, podczas gdy jego starsza siostra nosiła w sercu uraz do całego świata, bo ją lekceważyło.

- Ojciec zasypywał cię prezentami - stwierdził Alex. Wsunął ręce do kieszeni płaszcza i oparł się o framugę.

- Jakiego rodzaju?

- O Boże, Marla, samochodami, akcjami, obligacjami, nieruchomościami... wymień coś, cokolwiek, a jestem pewny, że ci to dał.

- O to wła nie chodzi, Alex. Nie potrafi niczego wymieni . Niczego nie pami tam. Tylko ten cholerny pier cionek. - Potarła dłoni kark i pokr ciła głow . Bo e, ale jest zm czona. - Jak ju mówiłam, chc zobaczy si z ojcem - dodała.

- Wiem, wiem. Nie musisz mnie przyciska . Za kilka dni zorganizuj ci spotkanie z ojcem, zgoda, ale dzi jeszcze niczego nie planujemy. Jutro o tym porozmawiamy.

- Trzymam ci za słowo.

- Domy lam si - odparł bez cienia wesoło ci, po czym udał si do swego pokoju. Marla była zbyt wyczerpana, by zdoby si na jak odpowied . Zaczekała, a zamknie za sob drzwi, zdj ła ubranie i rzuciła je na podłog . Mimo koszmaru, jaki prze yła tej nocy, mimo sprzecznych uczu , jakie wzbudzał w niej Nick, mimo poczucia, e co tu bardzo, ale to bardzo nie pasuje, zasn ła, gdy tylko poło yła głow na poduszce.

Nick sko czył drinka, zdj ł bokserki i rzucił si na łó ko. Zamkn ł oczy i próbował zasn , ale pod powiekami ci gle widział Marl , młodsz , jak kiedy znał, i t now , starsz ale cieplejsz kobiet , kobiet bez przeszło ci, bez pami ci, kobiet , która tak gł boko zapadła mu w serce.

Czy istotnie kto próbował j zamordowa ? Ale kto? Dlaczego? I dlaczego Alex tak bardzo chciał, eby on wprowadził si do domu? Nick czuł, e co si za tym kryje, miał wra enie, e krok za krokiem daje si wci ga w jak pułapk .

Dlaczego Marla, jak si okazało, była tak uderzaj co podobna do Pam Delacroix, tej tajemniczej kobiety, której nikt nie znał? Czy Pam była przyjaciółk Marli? Znajom ? Kim, do cholery, była?

Słyszał, jak kto zamkn ł drzwi apartamentu, a potem zacz ł schodzi po schodach. To na pewno Alex postanowił si

jeszcze napi , tak jak przedtem on sam. Ale usiadł, znowu czujny. Przecie Marla mówiła, e kto stał przy jej łó ku. Nachylał si nad ni . Groził jej mierci .

Nick cicho wstał z łó ka, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi na korytarz dokładnie w tej chwili, w której zamkn ły si drzwi windy. Z mocno bij cym sercem ruszył do apartamentu. Drzwi nie były zamkni te na klucz. Wszedł do sypialni, gdzie Marla wyczerpana spała jak zabita. Zacisn ł z by tak mocno, a rozbolała go szcz ka, i z trudem powstrzymał si , by nie dotkn jej policzka. Sprawdził, czy wszystko w porz dku u Jamesa, a potem uchylił jeszcze drzwi do pokoju Cissy, kiedy nagle usłyszał cichy warkot silnika i szcz k bramy gara u.

Kto wyje d a? W rodku nocy?

Nick wszedł do pokoju Cissy i wyrztał przez okno. Zobaczył jeszcze tylne wiatła jaguara, kiedy wóz zatrzymał si przed bram wjazdow . Kiedy si otworzyła, jaguar skoczył do przodu, ruszył w dół ulicy i znikn ł. Nick spojrztał na zegarek. Było wpół do drugiej nad ranem.

Gdzie, do cholery, pojechał jego brat?

Na spotkanie z kim .

Ale z kim? I po co?

To musi mie co wspólnego z Marl .

Kilka nast pnych dni wypełniało dotkliwe cierpienie i oszołomienie spowodowane rodkami przeciwbólowymi. Marla z wysiłkiem zmuszała do pracy zastale mi nie.

Tom, zgodnie z tym co mówił Alex, skrupulatnie przestrzegał godzin podawania leków, punktualnie przynosił te tac ze zmielonym na papk jedzeniem, które Marla z trudem przełykała. Ilekro czuła, e zaczyna jej si rozja nia troch w głowie, zaraz ponownie ogarniała j senno . Zasłony były teraz stale zaci gni te, wiatło przyciemnione, a pokój,

jak to sobie pewnego dnia mgli cie u wiadomiła, bardziej przypominał kaplic pogrzebow ni sypialni .

Marla przestała odró nia dzie od nocy i była tak osłabiona, e z trudem poruszała si o własnych siłach.

Czuła jednak, e co jest nie w porz dku. Kiedy tylko zdawało si jej, e nabiera sił i ja niej my li, zaraz od nowa zaczynała spowija j ta dziwna mgła, w której si gubiła. Cały czas wła ciwie była na pół przytomna i czuła tylko głuch rozpacz.

- Nie chc ju tych pigulek - zaoponowała sennie drugiego, a mo e trzeciego dnia. - Jestem po nich taka... osłabiona.

- Ale dochodzi pani do zdrowia. - Tom pomagał jej je co , co przypominało zup z zielonego groszku.

- Nie... ze mn dzieje si co złego...

Tom był jednak nieugi ty, a kiedy Marla poskar yła si Aleksowi, on tylko pogłaskał japo głowie i stwierdził, e widzi u niej wyra n popraw . Marla jednak stale czuła si bardzo słaba i otumaniona. Cały czas wła ciwie sp działa w łó ku, wstawiała tylko, by pój do toalety.

- Martwi si o ni - powiedziała Eugenia, kiedy przyszła zobaczy małego. Marla chciała wzi Jamesa na r ce, ale była zbyt słaba, nie mogła nawet usi na łó ku. - Nie powinni my zadzwoni do doktora Robertsona?

- Rozmawiałem ju z Philem - powiedział Alex. - To normalne.

- Nie wydaje mi si . - Eugenia potrz sn ła swój starannie uczesan głow . Marla chciała co powiedzie , ale zamiast tego znowu prawie zasn ła.

- Marla jest wyczerpana, potrzebuje spokoju i odpoczynku, wi c Phil przepisał jej leki przeciwbólwe i łagodny rodek uspokajaj cy, eby jak najszybciej doszła do siebie.

- Ale...

- Cicho, dajmy jej spa . - Alex wyprowadził matkę z pokoju, ale Marla usłyszała jeszcze, jak mówił: - Rozmawiałem z Philem. To normalna reakcja, ale powiedział, że zmieni lek przeciwbólowy na coś, co nie będzie powodowało takiej senności ci.

Była to krzepa, ale Marli było już wszystko jedno. Wszystko przestało ją interesować, nawet Cissy, którą zobaczyła kiedyś, gdy odemknęła na chwilę powieki. Dziewczynka stała przy łóżku, z troską, zagrzyzając dolny warg .

- Mamo, ale ty wyzdrowiejesz, prawda?

- Tak - powiedziała Marla, z wysiłkiem obracając ją jakby spuchniętym jej żyłką. - Wszystko... będzie... dobrze... - Zamknęła oczy, czując ją przez sen, że zaczyna linieć na poduszkę . Spała kilka godzin... a może minut... a może cały dzień ... zanim znów usłyszała przy swoim łóżku jakiś głos. Tym razem Nicka.

- To nie jest normalne.

Marla z trudem podniosła powieki i zobaczyła jego powągniętą twarz. Patrzył na nią z troską, zaciskając usta i marszcząc brwi.

- Zabieram ją do lekarza.

W pokoju był ktoś jeszcze. Ten cholerny pielgniarski gniarz nagle wyszedł z cienia i znalazł się w zasięgu jej wzroku.

- Pan Cahill pozostawił mi wyrażone zalecenie, by jej nie przeszkadzało w odpoczynku - oznajmił Tom.

Nick spojrzał na niego wyzywająco.

- To pech. - Wsadził pantofle Marli do kieszeni kurtki.

- Opieka nad panią Cahill to mój obowiązek.

- Zapamiataj to sobie. - Nick pochylił się nad łóżkiem i delikatnie wziął Marla na ręce, po czym, nie zważając na jej słabe protesty, zaniósł ją do windy.

- Nie może pan tego zrobić ! - krzyknął Tom.

- Nie? No to patrz. - Drzwi windy otworzyły się i Nick wniósł Marl do rodka. Dostrzegła jeszcze wykrzywioną z wcięciem twarz pielgniarki o bladych, gniewnie zaczerwienionych wargach, potem drzwi zamknęły się za nimi z cichym szumem.

- Nie musisz mnie nosić.

- Jasne.

Na dole Nick ruszył od razu do frontowych drzwi. Na zewnątrz było chłodno i rześko. W porannym powietrzu czuł się nadciągnęła zima. Lars, trzymając grabie, wyszedł nagle na cieki spomiędzy rododendronów.

- Co pan robi? - spytał.

- Zabieram pani Cahill do lekarza. - Nick przeszedł obok niego, nawet się nie zatrzymując. Marla, która czuła się idiotycznie, spróbowała wyliznąć się z jego ramienia, ale trzymał ją mocno.

- Czy pan Cahill wie o tym? - dopytywał Lars podejrzliwie.

- Mam nadzieję. - Nick szedł dalej ze zmiętą, surową twarzą w stronę swojej furgonetki. - Mam nadzieję, że ktoś miał do przystojności umysł, by go poinformować, że zabieram jego syna do szpitala.

- To... to mieszane. Potrafi chodzić - upierała się Marla, choć nie była pewna, czy utrzyma się na nogach ani czy jej umysł zdoła pokonać senność.

- W tpi.

- Naprawdę... - Głowa chwiała się jej na boki. Marla czuła się jednak jak idiotka, pozwalając jakiemuś czy nie rzucić swoim życiem. - Nie... nie pójdź do szpitala.

- Słuchaj, jeśli najwy szy czas poszuka ci innego lekarza.

Mgła spowijała jej umysł zaczęła nieco rzędzić, kiedy Nick otwierał drzwiczki. Wyciągnął pantofle z kieszeni i rzucił je na ziemię, potem zdjęła kurtkę i narzucił ją Marli na ramiona.

- Nie sprzeczasz się ze mną - powiedział, zatrząskując drzwiczki.

- Uważam, że sama powinnam podejmować decyzje - powiedziała, spuszczała trochę szyb w oknie. W tej samej chwili usłyszała dźwięk silnika, a przez zamglone przednie szybę dostrzegła jaguara Aleksa. - wściekle - mruknęła pod nosem, widząc, że zamiast zmienionego złością twarzy, wysiadającego szybko z samochodu. Rzucił na ziemi niedopałek papierosa i podszedł do Nicka.

- Co ty się, do cholery, dziejesz? - spytał.

- Zabieram twoją żonę do lekarza.

- Nie ma takiej potrzeby. Phil już tu jedzie.

- Jedzie tu? - zapytał Nick niedowierzając. - Wizyta domowa?

- Tak, owszem... a co się stało? - Alex ruszył w stronę drzwi od strony pasażera, ale Nick złapał go za ramię i stanął między nim a swoją furgonetką.

- Nic, ale dobry lekarz i mniej pigułek nie zaszkodzi. Alex spurpurowiał i wyszarpnął ramię z dłoni brata.

- To nie ma nic wspólnego z Philem.

- Akurat. To on tak ją faszeruje lekami. To jego wina.

- Nie, moja - powiedział Alex. - To ja chciałem, żeby Marla wypoczęła, żeby się nie przemęczała. żeby doszła do siebie. Phil robił tylko to, o co go poprosiłem.

- Czy nie sama Marla powinna o tym zdecydować?

- Może, ale Marla jest teraz taka przewrażliwiona i reaguje tak dziwnie, że postanowiłem podjąć decyzję. Pamiętaj, na lito boska, że miała jakieś halucynacje - widziała kogoś w swoim pokoju, słyszała głosy. Pomyślałem po prostu, że potrzebuje czasu, żeby wziąć się w garść.

- Ty arogancki draniu... - warknął Nick.

- Ale to już bez znaczenia. Wezwałem Phila, zmienił jej lekarstwa i do rana Marla będzie bardziej przytomna.

- Lepiej, żeby tak było.

- Bo inaczej co? Nie próbuj mi grozić, Nick. Owszem, popełniłem błąd. Przyznaj. Koniec dyskusji. - Wyminął brata i podszedł do furgonetki. - Marla? Posłuchaj, bardzo mi przykro. Słyszała naszą rozmowę. Popełniłem błąd.

- Duży błąd - odparła, czując jak wzbiera w niej gniew. Spojrzała mu prosto w oczy przez półprzymknięte okno.

- Powiedziałem, że mi przykro, prawda? Przepraszam. Phil będzie tu za chwilę. Chce zobaczyć, jak się czujesz, i odstawi niektóre leki. Zaufaj mi.

Nigdy, pomyślała, nigdy ci nie zaufam, póki żyje.

Przez otwarte bramy wjechał Cadillac, za kierownicę siedział Phil Robertson. Wysiadł z samochodu. Nick spojrzał na niego morderczym wzrokiem.

- Słyszałem, że pozwolił pan mojemu bratu zdecydować o lekach, jakie miała przyjmować jego matka?

- Co?

- Co to było, tabletki nasenne? Pozwolił mu pan zdecydować o tym, co ma dostawać?

Alex chwycił Nicka za rękaw kurtki.

- Spokojnie, Nick, nie rzucaj się Philowi do gardła.

Marla zdołała w końcu włożyć pantofle, otworzyła drzwiczki i wyszła z samochodu. Nogi jej drżały, ale oparła się o furgonetkę.

- Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego czuję się taka... senna, ot piała... dlaczego nigdy nie mogłam się naprawdę rozbudzić.

Phil zacisnął zęby.

- Kto powinien był wcześniej do mnie zadzwonić.

- Ile czasu minęło odkąd... odkąd widzieliśmy się w klinice?

- Pięć dni. - Lekarz podniósł kołnierz płaszcza.

- Pięć dni - powtórzyła Marla szeptem. Nie mogła w to uwierzyć.



- Wejdźmy do domu, zbadam pani i przepiszę jaki rodek przeciwbólowy, który nie będzie powodował takiej senności i oszołomienia.

- Nie chcę żadnych rodków - rzekła Marla stanowczo. Przede wszystkim musi być w pełni władz umysłowych. Nie może liczyć na to, że za chwilę razem Nick będzie ratował ją z opresji. - Nic mi nie będzie.

- Myśl, że powinna posłuchać Phila. Jest lekarzem. - Alex położył swoje dłoń na jej ramieniu.

Marla strzeliła ją.

- Nie słysz. Posłuchaj - powiedziała, czując znowu znajomy ból w szczękę. Lek powoli przestawał działać. - Jestem dorosła. I mam zamiar podejmować decyzje dotyczące mojego ciała i tego, co się z nim dzieje.

- Mam na względzie tylko twoje dobro - wyjąknął Alex, ale w jego oczach nie było ciepła, a dłonie, zanim schował je w kieszeniach, bezwiednie zwinął w pięści.

- Doprawdy? Nie wydaje mi się. I przestań traktować mnie, jakbym była cieplarnianą rośliną. - Miała na sobie piżamę, pantofle i kurtkę Nicka. Mimo chłodu zdjęła ją i rzuciła Nickowi, który złapał ją w locie. Marla odwróciła się bez słowa i chwiejąc się na nogach, ruszyła w stronę domu. Z każdą kroką przybywało jej sił.

Myślała, czy nie pomyliła ze złości. Kto ich potrzebuje?

Weszła na schody i chociaż cięgle trochę kręciło jej się w głowie, mocno pchnęła drzwi. Ostatnie spojrzenie, jakie rzuciła za siebie, powiedziało jej wszystko, co powinna wiedzieć. Alex, z gniewnym wyrazem twarzy, sięgał po papierosa. Phil Robertson wyglądał na zmartwionego, marszczył brwi i nerwowo zaciskał usta. Nick patrzył po prostu za nią, a jego ciemnoniebieskie, uwodzicielskie oczy posyłały jej to samo na pół lekceważące, na pół wyzywające spojrzenie, które od pierwszej chwili, kiedy w końcu zbudziła się z tej cholernej pićki, wydało jej się nieodparcie fascynujące.

Tylko jemu mogłaby zaufa .

Nigdy, w całym swoim życiu, Nick nie był związany z adnami kobiet , nigdy nawet nie rozważał takiej możliwości.

Teraz leżał na łóżku, patrzył w sufit i próbował zapomnieć o Marli Cahill. Było to jednak niemożliwe. Stała mu ciemność przed oczami, piękna i pociągająca. Na samą myśl o niej pot wystąpił mu na czoło, a w spodniach poczuł znajomy ból. W domu panowała cisza, zapewne wszyscy już spali. Nick przewrócił się na bok, próbując zacząć myśleć o czym innym. Bezskutecznie.

Ona jest zaledwie kilka pokoi stąd.

Ale jest on Aleksa.

Ich małżeństwo już się rozpada. Widać to wyraźnie. On zupełnie nie zwraca na nią uwagi. Ona go nawet nie pamięta i pragnie ciebie, tak jak ty jej. No, dalej, wstawaj. Idź sprawdź, jak ona się czuje.

Poddał się w końcu i odrzucił kołdrę. To czyste szaleństwo. Włożył dżinsy, ale nie przejmował się butami czy koszulą. Otworzył drzwi i korytarzem, na którym migotały tylko wiatelka systemu alarmowego, poszedł prosto do drzwi apartamentu. Położył dłoń na gałce i zawahał się. Co jej powie? Co zrobi? Nic. Nie będzie w stanie wydusić z siebie słowa.

Zaciskając zęby, zszedł na dół i nalał sobie drinka. Jaka będzie cena zaspokojenia jego żądzy? Rozbita rodzina? Rozwód? Dwoje dzieci rozdartych między ojcem a matką? Marla nigdy nie zechce pojechać z nim do Oregonu, on za to nie był pewny, czy chciałby gdziekolwiek indziej. Pragnął ją tylko całować i dotykać jej ciała, czując sam niezwykły wycisk, jaka położyła ich pięćnaście lat temu.

No i chciałby też odegrać się na Aleksie, pokazać draniowi, przyznaj się. Nie podoba ci się sposób, w jaki on j

traktuje. Nigdy nie pogodziła się te naprawdę z faktem, że rzuciła cię dla brata.

- Sukinsyn. - Wychylił zawartość, szklanki jednym haustem, otarł usta wierzchem dłoni i ruszył z powrotem na górę. Bo e, jaki z niego głupiec. Stanął znowu na piętrze, patrzył w stronę swojego pokoju, kiedy drzwi apartamentu otworzyły się z cichym skrzypnięciem i Marla wyszła na korytarz.

- Och! - cofnęła się trochę, kładąc rękę na piersi i otwierając szeroko oczy. - Nick - szepnęła. - miertelnie mnie przstraszyłeś.

- Przepraszam. Nie mogłem zasnąć.

- Ja też nie. Myślałam, że to Cissy się obudziła.

- Nie, to ja.

- Och.

- Przykro mi, że ci rozczarowałem.

- Nie, nie rozczarowała mnie. - Wydawała się zdenerwowana, niespokojna. Spojrzała w otwarte drzwi swojego pokoju. Bo e, jak piękną wyglądała w satynowej piżamie o numerze za dużej, z rozwichrzonymi włosami i ci głębiej jeszcze sennymi oczyma.

- Chciałabym... chciałabym z tobą porozmawiać - powiedziała. Nick z trudem oderwał wzrok od jej dekoltu. Górne guziki piżamy były rozpięte, ukazując subtelne linie zagłębienia u nasady szyi, które zawsze wydawało mu się tak nieodparcie kuszące.

- Postawię ci drinka. Na dole jest pełny barek.

- Tego mi wcale nie trzeba po wszystkich lekach, jakie mam jeszcze we krwi - zaartowała, uśmiechając się obojętnie. - Wezmij tylko szlafrok.

Wróciła do pokoju, a podczas jej trzydziestosekundowej nieobecności Nick ze sto razy nazwał się w duchu idiotą. Wiedział, że to, co robi, jest głupie. Niebezpieczne.

Ale nie mógł si powstrzyma . Kiedy przeszła koło niego, poczuł zapach jej perfum i nagle zakr ciło mu si w głowie. Zamkn ła za sob drzwi, po czym zawi ązała pasek szlafroka wokół talii. Zeszli po schodach do ciemnego i pustego teraz salonu. Po szybach starych okien spływały krople deszczu.

Nick wyj ął pudełko zapalek, zapalił ogie w kominku i nalał sobie drinka. Marla była troch nerwowa. Stała przy kominku, bawi ła si paskiem szlafroka.

Pokój, o wietlony tylko migocz cymi płomieniami, nagle dziwnie si skurczył.

- Na pewno nic nie chcesz? - spytał, wrzucaj ąc kilka kostek lodu do niskiej szklanki.

Marla zawahała si .

- Mo e... brandy. Mał - powiedziała, nie patrz ąc mu w oczy.

Nick u miechn ął si , nalewaj ąc odrobin złocistego płynu do kryształowego kieliszka.

- Moja dziewczynka - powiedział. Zreflektował si , widz ąc jak zagryzła wargi. Podał jej drinka i stukn ął lekko brzegiem swojej szklanki w jej kieliszek. - Za lepsze dni.

- I noce - dodała i upiła łyk, podnosz ąc na Nicka oczy. Były szeroko otwarte, zielone i pi ńkne. Z jej twarzy znikn ły ju si ce i opuchlizna, blizna na głowie stała si prawie niewidoczna, krótkie, ciemne loki wdzi cznie opadały na czoło.

- Wi ąc o co chodzi, Marla?

- Chc ę ... chc ę si dowiedzie ć , co si tu dzieło. Przez pi ń dni byłam wła ciwie nieprzytomna. Pami tam tylko, e kto wchodził i wychodził z mojego pokoju... wszystko jak przez mgł ę . Pomy łałam, e mo e pomógłby mi nadrobi zaległ ę ci. Czy kto skontaktował si ju z rodzin ą Pam?

- Nic o tym nie wiem. Ale zajmowałem si w tym czasie głównie sprawozdaniami finansowymi Cahill Limited.

- I czego si z nich dowiedziało ?

- Je li Alex nie przedsi we mie wkrótce jakich drastycznych rodków, firma pójdzie na dno.

- Przecie to wielka korporacja - zdumiała si Marla, podnosz c szklank do ust.

Nick nie mógł oderwa oczu od jej warg.

- Pozostaj ca w prywatnych r kach i wcale nie taka du a, jak mogłoby si wydawa , nie w dzisiejszych czasach.

- Mo na j jeszcze uratowa ?

- S dz , e tak. Ale nale ałoby przeprowadzi znacz ce ci cia. Nie wiem, jak Alex si do tego odniesie.

- Mam wra enie, e on bez przerwy pracuje - rzekła Marla, podchodz c do okna i patrz c na migocz ce w dole wiatła. - Ci gle chodzi na jakie spotkania. Albo do biura, albo na zebrania zarz du, albo do szpitala i Cahill House.

- Brakuje ci go? - spytał Nick.

Marla zawahała si , po czym potrz sn ła przez c głow .

- To smutne, ale nie. Nie ma mi dzy nami adnej prawdziwej wi zi. - Nick zauwa ył, e przy tym wyznaniu jej kark poró owiał lekko. - Nie potrafi tego wyja ni .

- Alex to trudny człowiek.

- Podobnie jak ty - odparła, spogl daj c na niego przez rami . Nie chciała, by to spojrzenie było prowokuj ce, ale było. Szlafrok zsun ł jej si troch z jednego ramienia. Nick patrzył na jej szyj i gładk skór w tym miejscu, gdzie kark łagodnie przechodził w mi kk lini pleców. Wiele by dał, by móc j tam teraz pocałowa .

- Sk d wiesz? Przecie tego nie pami tasz.

- Kobieca intuicja - odparła. - Jest w tobie co , co kobiety wyczuwaj . Jaki niepokój. Niewiele rzeczy w yciu daje ci zadowolenie. Nigdy nie dajesz za wygran . Je li czego pragniesz, dostajesz to.

- Nie zawsze.

- Och, zawsze.

- Pragn ciebie.

Otulone satyn ciało Marli zeszywniało nagle. Schyliła głowę, wbijając wzrok w podłogę.

- Ale ci głębi mi nie ufasz.

- Czemu miałbym ci ufać? - spytał i postąpił krok w jej stronę. Obiecywał sobie, że jej wdziaki nie zrobią na nim wrażenia, że ją zawsze będzie zachowywał bezpieczny dystans, ale z każdym dniem bardziej go do niej ciągnęło, bardziej go intrygowała. Ci głębi powtarzał sobie, że powinien zachować ostrożność, ale prawda była taka, że pragnął jej dotykać, całować jej i pieścić. Dotrzymał do najgłębszych warstw jej zachwycającej kobiecości.

- Czy aż tak bardzo ci zraniłam, wtedy, pięć lat temu? - spytała, patrząc na krople deszczu spływające po szybie.

- To była moja wina. - Podeszedł jeszcze bliżej.

- Ale ty mnie teraz karzesz.

- W jaki sposób?

- Trzymaj się... trzymaj się mnie na dystans. - Stała tyłem do niego. Postawiła szklankę na parapecie i oparła na nim dłoń, patrząc w ciemność przez mokry szyb.

- To instynkt samozachowawczy, Marla. Pierwotny, zwierzęcy instynkt.

Równie pierwotny, jak parę innych, które we mnie wzbudzasz. Stał teraz tak blisko niej, że czuł zapach jej skóry, widział małe włoski na jej karku, domyślał się tajemnic skrywanych pod warstwami satyny.

- Uratowałaś mi życie - powiedziała Marla urywanym głosem, jakby i ona czuła jego bliskość, jakby wiedziała, że stoi zaledwie kilka centymetrów za nią. Doleciał go delikatny zapach jej perfum z nutką lawendy, który przypominał mu, że od dawna nie był z kobiet.

- Uratowałem ci życie? Może, a może nie. Zrobiłem to, co trzeba. Nie przesadzaj. Nie rób ze mnie bohatera. Wierz mi, nie jestem bohaterem.

- Przekonywanie o tym wszystkich dookoła zajmie ci du o czasu.

- Przychodzi mi to bez trudu - powiedział i wiedząc, że w końcu nie popełnia niewybaczalnego błęd, wyciągnął dłoń i zacisnął palce na jej ramieniu. Czuł gładką satynę i miękkie ciało, które zadrżało pod jego dotykiem. Marla drgnęła, ale nie odsunęła się od niego.

Ogień rzucał czerwony blask na jej ciemne włosy, złocił jej skórę, a ów szlafrok w tym świetle nabierał subtelnego brzoskwiowego odcienia. Nick na moment rozprostował palce, po czym znów zacisnął je na ramionach Marli. Z cichym westchnieniem oparła się o niego, a on pochylił głowę i dotknął ustami jej karku. Ogarnęła go fala podniecenia, objęła całe ciało, nie pozwalając myśleć o niczym innym poza czystym, zmysłowym przyjemności obcowaniem z tą kobietą. Gorące. Wilgotne. Namiętne. Zakazane.

- Nick - wyszeptała tak cicho, że nie był pewien, czy istotnie wypowiedziała jego imię.

Wiedząc, że posuwa się za daleko, pozwolił zmysłom zawładnąć całym sobą, całując jej szyję, smakując jej gorącą skórę, zsuwając z niej jedwabisty materiał pod amy. Przesunął językiem po jej ramieniu, Marla odpowiedziała drżeniem. Objął ją mocno w talii, znalazł wżel paska i poluzował go.

Marla czuła jego dziką namiętność. Wygięła się w łuk i wsunęła palce w jego włosy. Nick całował jej ramiona, budząc dreszcze rozkoszy i sprawiając, że zapomniła o całym świecie. Zapomniła, że postanowiła nigdy nie poświęcić jego zmysłowości, że miłowała do niego może tylko jej unieszczeniowi, że romans z nim na pewno zrujnuje jej życie.

Wżel puścił nagle.

Poły szlafroka rozchyliły się, ukazując kolejne warstwy satyny.

Nick rozpiął górę jej pod amy i wsunął dłoń pod spód. Marla jęknęła, czując ciepły dotyk na swoich piersiach.

Przebiegł j nagły, nieopanowany dreszcz. Przymkn ła oczy i przechyliła głow na bok.

W gł bi swojego ciała czuła jaki ból, jak t sknot . Pid ama zsun ła jej si ramię razem ze szlafrokiem. Nick dotkn ł j zykami jej ucha. Marla czuła na plecach jego szorstk , owłosion pier . Wtuliła si w niego jeszcze mocniej, napieraj c na niego po laskami.

- Och -j kn ła, dotykaj c wierzchu jego dłoni pieszcz cych jej piersi. Nick delikatnie pocierał kciukami jej sutki, słyszała jego krótki, urywany oddech. Czowała bij ce od niego gor co, pot zrosił jej skór . Serce waliło jej jak młotem.

- Marla, o Bo e, Marla... nie chc ... nie chc ... - Poruszał si za ni w pierwotnym nieopanowanym rytmie. Marla odruchowo przyłgn ła do niego jeszcze mocniej, wchodz c w ten sam rytm. Jaka jej cz wiedziała, e wła nie popelnia najwi kszy bł d w yciu, ale to, co si działo, było silniejsze od niej.

Jeste m atk , na lito bosk !

Ale moje mał e stwo to farsa.

Jeste matk !

Ale pragn tego m czyzny, czuj z nim wi , wiem, e jego wła nie potrzebuj .

Nie myl po dania z miło ci , Marla. Nie tra głowy!

Nick poło ył r k na mi kkiej satynie, muskaj c palcami brzuch Marli. Zsun ł dło ni ej, mi dzy jej nogi. Cały czas mocno przyciskał j do siebie tak, e czuj c jego dz , sama zacz ła dr e z po dania. Przez materiał dotykał jej ciała, pie cił i głaskał, rozpalaj c j do biało ci. Marla miała wra enie, e jej skóra płonie, e całe jej ciało stało si jednym wielkim bólem po dania.

Kiedy przesun ł wargami po jej policzku, pod Marl ugi ły si kolana. Zamkn ła oczy, odrzuciła głow do tyłu i pozwoliła mu całowa swoj szyj i ramiona. Jej serce biło mocno i nierówno. Tak, pragn ła Nicka, chciała le e w jego



ramionach, dotyka jego płaskich, mięsnych sutków, czuje mi nie grające pod gładką skórą. Rozpaczliwie pragnęła zjednoczyć się z nim w gorzko-słodkiej harmonii dwóch ciał.

Oczywiście wyobraźnia widziała go już, nagiego, pochylał się nad nią, widziała jego ekstatycznie wykrzywioną twarz. Zdawało jej się, że czuje jego silne udzielenie swoimi nogami, że pieści ją po ładki, a on wypełnia jej ciało całym sobą w odwiecznym rytmie, coraz mocniej, coraz szybciej... jeszcze... jeszcze... Nagle wokół niej zawirował wiatr...

Nie może oddychać... nie potrafi myśleć... czuła, że całe jej ciało pokrywane drobne kropelki potu. Jego wargi, o Boże, musi się odwrócić i pocałować go wreszcie... musi rozpiąć mu spodnie i...

Piętro wyżej zaskrzypiały jakieś drzwi, a po chwili zamknęły z cichym trzaskiem.

Nick znieruchomiał.

Marla w ułamku sekundy odzyskała rozsądek.

Co to, na lito boską, ona wyprawia?

Nick wypuścił ją z objęciem gwałtownie, jakby się oparzył. Szlafrok i pidama zsunęły się na podłogę. Chwyliła je szybko i narzuciła na siebie.

- Cholera - wyszeptał Nick, odsuwając się od niej na bezpieczną odległość. Rozległ się pomruk uruchamianej windy.

Marla wsunęła ręce w rękawy pidamy i drzcącymi palcami zaczęła zapinać guziki, po czym ciasno otuliła się szlafrokiem. Jak zdołała to wykonać, te potargane włosy, wypieki na twarzy, pognieciony szlafrok i podanie, które wyziera z jej oczu? Co ona sobie wzięła ciwie wyobraźnia? Jak może ulegać takim niebezpiecznym, zakazanym pokusom?

Nick chwycił ją za ramiona i pociągnął do wnętrza przy oknie. Spojrzał jej w oczy i w milczeniu położył palec na ustach.

Marli serce ci głę waliło jak młotem, w głowie miała zamęt. Przyłapiła ich, a wtedy... och, jak spojrzeć w oczy swojej córce i tej ciowej, jak zdoła im wyjaśnić, co czuje do Nicka... jak zdoła wyjaśnić to młodzi?

Nieraz dnica. Jezabel. Wszystkie te archaiczne, potępienie określenia przyszyły jej do głowy.

Winda w korytarzu zatrzymała się. Nie, na poziomie garażu. Poprzez głośnie bicie swojego serca Marla usłyszała szum otwieranych elektronicznie drzwi garażowych, a potem cichy pomruk silnika.

- To Alex - szepnął Nick i przychylił się do okna, skąd oboje dokładnie widzieli tego w deszczu jaguara Aleksa. Brama otworzyła się i samochód wyjechał.

- Dokąd on jedzie? - spytała Marla.

- Na spotkanie z kimś, jak przypuszczam.

- Z kim?

- Nie wiem, ale to podejrzane. Nic dobrego nie dzieje się po północy.

- Czego jesteście moim najlepszym przykładem - rzuciła Marla, wbiegła na siebie. Jak mogła zachować się tak głupio, tak nieodpowiedzialnie? - Idź spać. - Zawahała się. - Sama - dodała i ruszyła do drzwi, ale Nick złapał ją za nadgarstek.

- Nie mam zamiaru przeproszać, Marla - powiedział, patrząc na nią wyzywająco.

Marla podniosła głowę.

- Wiedziałem. Ja też nie.

Potem, zanim powiedziała coś, czego mogłaby później żałować, wbiegła szybko schodami do swojego eleganckiego, luksusowego sanktuarium, do pięknie urządzonej, zimnej i pustej sypialni.

Dziwka! Tym właśnie jest, przeklęta, brudna dziwka, niczym więcej.

Stał i zadzierając głowę, patrzył na dom. Krople deszczu osiadały na szklach okularów, zamazując rozgrywając się na jego oczach scenę. Dobrze ich jednak widział. Moczyzna stała za nim, pieszcząc ją i całując. Cię skrywał jego twarz.

Przez zachlapane szkła nie widział wszystkiego, ale i tak bez trudu rozpoznał Marla. Pozwoliła się rozebrać temu mężczyźnie, pozwoliła mu się całować. Nie wiedział, jak daleko się posunęli, było zbyt ciemno, by się o tym przekonać, ale i tak ogarnęło go podniecenie. Musiał je rozładować. Tak, nie mógł już doczekać się chwili, kiedy to on będzie jej dotykał, kiedy to on chwyci w swoje twarde ręce te wspaniałe piersi.

- Tylko poczekaj, skarbie - wyszeptał. Zauważył, że drzwi gara się otwierają i szybko ruszył w dół ulicy, czując, jak zimne krople deszczu spływają mu po szyi. Wiedział, że wkrótce nadejdzie jego kolej, jego wielki dzień. To tylko kwestia czasu.

Oblizła spierzchnięte wargi.

Tak, nie mógł się już doczekać tego dnia.

## 13

Niewiele brakowało, a kochałaby się z Nickiem. Cholera. Kiedyś w łóżku, Marla uderzyła pięcią w materac. Co się z tobą dzieje? Na wspomnienie jego gorącego oddechu na jej szyi nagle zaschło jej w gardle. Idiotka, idiotka, idiotka! - wymyślała sobie. Odrzuciła kołdrę i ruszyła do łazienki.

Rozebrała się i weszła pod prysznic, chcąc zmyć z siebie poćwiczenie, ale pod strumieniem ciepłej wody, za zaparowanym szkłem kabiny myła cię głowę o dłoniach Nicka na swoich piersiach, o tym, jak zsuwał z niej pidam i całował jej gorące skórę.

- Przesta ! - krzykn ła, szybkimi ruchami wmasowuj c szampon we włosy. Odkr ci ła zimn ą wod ę , by przep dzi lubie ne my li. Dobry Bo e, gotowa wp dzi si w jeszcze wi ksze szale stwo.

- O ile to mo liwe - mrukn ła, zakr c ąc wod ę i wycieraj c si ę do sucha wielkim r ęcznikiem. Wyszła z łazienki z mocnym postanowieniem, e nie b dzie ju my le o Nicku, ale wspomnienie jego nagiego torsu, twardego brzucha i opadaj cych d łań nie dawało jej spokoju. Włó yła spodnie i sweter, musn ła r ęsy tuszem, przejechała szmink ą po wargach i wgniotła troch ę pianki w swoje niesforne loki. Targały ni sprzeczne emocje - wstyd, niedowierzenie, zakłopotanie, ale tak e zadowolenie i nadzieja. Wiedziała, e romans z bratem m a nie mo e si ę dobrze sko czy , nie mogła jednak zapomnie ę , jak gwałtownie i nami tnie reagowało na niego jej ciało.

O Bo e, o czym ona znowu my li. Patrz c na swoje odbicie w lustrze, zmarszczyła gniewnie brwi i przeczesała palcami mokre włosy.

- Do tego - powiedziała stanowczo, ale nie podobało jej si ę to, co dostrzegła we własnych oczach. - Masz dzi ę mnóstwo rzeczy do zrobienia. Mnóstwo! Nie masz czasu na adne romantyczne bzdury. - Ale wkładaj c tenisówki i piesz c po schodach na dół, zastanawiała si ę , czy jest z natury nami tna i pozbawiona zahamowa ę , czy te reaguje w ten sposób wył cznie na Nicka. „Prawda jest taka, e interesowali ci ... inni m czy ni”. Ci gle słyszała słowa Aleksa.

- Nie my l o tym - powiedziała sobie. - Nie ma czasu na samooskar enia. My l o przyszło ci.

Po raz pierwszy, od czasu kiedy wyszła ze pi czki, Marla czuła si ę rze ka i o ywiona. Pełna energii. Gotowa stan ę oko w oko ze wiatem i dowiedzie si ę w ko cu, kim naprawd ę jest, co si ę w ła ciwie wydarzyło tamtej nocy i dlaczego czuje si ę jak intruz i wi zie we własnym domu. Ostatniej nocy

zniosła przeprosiny doktora Robertsona i gniewne milczenie Aleksa, a potem spotkała Nicka na korytarzu. Ale co działo się przedtem? Nie mogła wybaczyć Aleksowi, że wyrwał jej dzień z jej życia.

Zgoda, postąpił źle. Ale to jeszcze nie powód, żeby za jego plecami romansować z Nickiem.

To, co czuła do Nicka, nie miało żadnego związku z Alekssem, próbowała u siebie wywrzucić w niej gniew. Straciła dzień ze swojego życia. To prawie cały tydzień! Tylko dlatego, że jej mąż postanowił, że tak będzie dla niej najlepiej.

Bzdura. I tyle.

Ból w szczękę przypomniawszy jej, że jeszcze nie jest całkiem zdrowa. Połknęła dwie aspiryny, popijając wodę z silnym postanowieniem, że ból jej nie powstrzyma. Poszła do kuchni i zdążyła jeszcze pogadać z Cissy, która ze spakowanym plecaczkiem włącznie nie wychodziła do szkoły.

Alex, jak poinformowała ją Carmen, wyszedł już do biura. Marla zastanawiała się, czy w ogóle rzeczywiście wróci na noc. Gdzie był? Z kim się spotkał? Dlaczego, na Boga, wymykał się ukradkiem z domu w środku nocy? Postanowiła, że dowie się tego. Musi tylko zdecydować, czy zapyta go o to wprost, czy najpierw sama trochę powąszy. Co jej mówiło, że jest w tym niezła, chociaż za nic nie mogła sobie przypomnieć dlaczego. Ale to nie miało znaczenia. Miała już serdecznie dość ofiar i odgrywania roli chorowitej, nie nadaje się do niczego innego i matki.

Jeszcze jedna bzdura.

- A Nick? - spytała Marla Carmen, ociągając się z wyjściem z kuchni, gdzie Elsa, kucharka, marynowała jej mięso na obiad. Była to potężna kobieta o ciemnych piersiach, grubej talii i wesołych oczach. Nuciła pod nosem, wcierała przyprawę w kawał wołowej polędwicy.

- Te już wyszedł, wczynie rano. A pani Eugenia kazała Larsowi zawieźć się do Cahill House na spotkanie. - W oczach

Carmen pojawił si jakiś błysk. - Pani Eugenia nie była zachwycona faktem, e musi jecha do miasta przed ósm rano.

- Nie dziwi si jej specjalnie. - Marla dopiła kaw i poszła na gór , gdzie Fiona wła nie wyci gała Jamesa z kołyski.

- Ja zajm si tym panem - powiedziała i pod nieufnym spojrzeniem Fiony przewin ła i nakarmiła syna. - Mo esz zrobi sobie wolne dzi rano.

- Ale to moje zaj cie...

- Moje równie . By mo e wyjd dzisiaj po południu, wi c chciałabym sp dzi z małym troch czasu - powiedziała Marla z u miechem. -Nie masz chyba nic przeciw temu?

- Oczywi cie, e nie. Pani jest jego mam .

- O to wła nie chodzi.

- W takim razie niedługo wróc . - Dziewczyna rozpogodziła si na my l o odrobinie dodatkowego wolnego czasu. - Dzi kuj .

Marla wyk pała Jamesa. Tak miło było patrze w jego błyszcz ce rado ci oczy, kiedy wymachiwał r czkami i nó kami, rozchlapuj c dookoła ciepł wod . Wierzgał i gaworzył wesoło, a Marla była pewna, e to najwspanialsze dziecko na wiecie.

- O, tak - powiedziała, łaskocz c go w brzusek. - Nawet je li twój tatu jest palantem czystej wody. - James u miechn ł si szeroko i zamachał r czkami, jakby naprawd rozumiał, a Marla nagle poczuła jakiś ból w sercu. Dlaczego nie potrafi po prostu cieszy si dzie mi i m em, dlaczego nie chce zaakceptowa faktu, e to jest jej ycie i e ycia w takim luksusie zazdro ciłaby jej pewnie niejedna kobieta?

Zapomnij o Nicku.

Zapomnij o wszystkim, co ci niepokoi.

Ciesz si yciem, Marla!

Ale czuła, e nie potrafi.

Tak, może cieszy się synem i córką, ale przecież to nie wszystko. Musi dowiedzieć się jeszcze tylu rzeczy. Wytarła Jamesa rącznikiem, oprószyła zasypką i ubrała w niebieskie piaski, z których zaczynał już wyrastać.

- Taki duży chłopak z ciebie - powiedziała z dumą i zniosła go na dół.

W domu było dość cicho. Wszyscy wyszli, nadszedł więc odpowiedni moment, by zrobić parę rzeczy, które wymagały dyskrecji. Włożyła dziecko do kojca i podniosła słuchawkę telefonu.

Po kilku sekundach uzyskała połączenie z departamentem policji San Francisco, ale dowiedziała się, że może tylko zostawić wiadomość, bo detektyw Paterno wyszedł. Poprosiła, żeby zadzwonił do niej po powrocie, rozłączyła się i wykręciła numer Uniwersytetu Stanu Kalifornia w Santa Cruz, gdzie zapytała o córkę Pamela Delacroix.

- Przykro mi, ale na liście studentów nie ma nikogo o tym nazwisku - powiedziała kobieta w sekretariacie.

wietnie. Marla zabiła palcami w poręcz fotela. James leżał na plecach, gaworząc, wyraźnie zadowolony z życia.

- Może ta osoba została wpisana na list pod innym nazwiskiem - zasugerowała Marla, rozpaczliwie usiłując przypomnieć sobie cokolwiek, co dotyczyłoby Pam Delacroix albo jej córki.

- W takim wypadku musiałyby je pani znać, ale nawet gdyby się okazało, że istotnie jest naszą studentką, nie mogłabym udzielić takiej informacji. Byłoby to niezgodne z naszymi zasadami.

Rozmowa prowadziła donikąd, w końcu Marla pojechała się i odłożyła słuchawkę. Znowu pudło. Rzuciła okiem na swój nadgarstek, chcąc sprawdzić, która godzina, ale nie miała na ręce zegarka. Wydało jej się to dziwne. Była pewna, że zawsze nosiła zegarek... och, na lito boska, w tej kasetce z bateriami

na górze na pewno znajdzie jaki zegarek. Na ciennym zegarze była ju prawie dwunasta.

Z dzieckiem na r kach wróciła do swojego pokoju. Przeszukała kasetk , pełn kolczyków, klipsów i ła cuszków, i tak, jak si spodziewała, znalazła w ko cu zegarek na bransoletce. Ju wyci gała po niego r k , kiedy nagle co innego zwróciło jej uwag . Ukryty pod par kolczyków ze sztucznych pereł i srebrn bransoletk le ał pier cionek, wspaniały pier cionek, połyskuj cy pi knie oszlifowanym czerwonym kamieniem.

- Niemo liwe - szepn ła, kład c go na dłoni. Nie mogła go przeoczy , kiedy ostatnio grzebała w kasetce. Przeszukiwała j kilka razy, bardzo dokładnie, a ten pier cie był zbyt du y, by mo na go było nie zauwa y .

Wło yła pier cionek na palec. Wydał si jej bardzo ci ki i za du y. Bardzo lekko przeszedł przez stawy, złota obr czka była zdecydowanie zbyt lu na.

To naturalne, przecie straciła sporo na wadze od tego wypadku, wszystkie ubrania te s prawie o cały numer za du e. Nic wi c dziwnego, e pier cionek i prawdopodobnie zegarek te nie b d pasowa .

Chyba e nigdy do ciebie nie nale ały.

Spojrzała w lustro nad toaletk . Błada kobieta o krótkich włosach, zielonych oczach i lekko wystaj cych ko ciach policzkowych. Si ce znikn ły i poza lekk opuchlizn po wewn trznej stronie policzków, tam, gdzie Nick wyrwał druty, była w zasadzie sob . Ze swoim dzieckiem. To by si zgadzało. Ale rubin nie pasował do tej układanki, chocia Marla miała mgliste wra enie, e ju kiedy widziała ten pier cionek.

Na czyjej dłoni. Ale czyjej?

Jeszcze raz przejrzała zawarto kasetki. Wi kszo zgromadzonej tam bi uterii nie była zbyt cenna, takie rzeczy



mo na było kupi u pierwszego z brzegu jubilera... ale nie ten pier cionek. Czują instynktownie, e był wart fortun .

Dlaczego miałyby go trzyma razem z całą resztą ?

Kto go tu podło ył, głuptasie. Wspomniała o tym pier cionku w rozmowie z kim , kto go tu wło ył albo powiedział o tym komu innemu, kto go zwrócił. Albo kto chce ci doprowadzi do szale stwa, albo nie chce, eby za du o my lała o tym, kim jeste .

Dlaczego?

Bezceremonialnie wrzuciła pier cionek do kasetki i zapi ła zegarek na r ce. Tak, bransoletka była za szeroka, ale Marla postanowiła, e b dzie go nosi .

James ziewn ł i zaczą ł marudzi , wzi ła go wi c na r ce, ucałowała i zaniósła z powrotem do kołyski. Patrzyła, jak zamyka senne oczy i podnosi powoli kciuk do buzi. Kiedy zasną ł, Marla wyszła na korytarz i stan ła przy drzwiach pokoju go cinnego. Były uchylone. Zobaczyła marynarski worek ci ni ty w k t i koszul rzucon na łó ko. Doleciał j lekki zapach wody po goleniu, której u ywał Nick i nagle opadło j wspomnienie wydarze ostatniej nocy.

Daj spokój, powiedziała sobie ostrzegawczo. To była tylko zwykła, zwierz ca dza. Seks. Dwoje niespokojnych ludzi, którzy szukali chwilowego zapomnienia.

Ale przedtem chodziło przecie o co innego.

Tamtej nocy, kiedy wiózł j do kliniki, Nick zatrzymał samochód, obj ł j i pocieszał.

A potem zostawił ci z Alekssem i odjechał.

Bo Alex to mój m , pomy lała ze zło ci . Co innego mógł zrobi ?

A czy to nie on wyci gn ł ci dosłownie z łó ka i dopilnował, eby miała przyzwoit opiek lekarsk ? Bez jego interwencji ci gle jeszcze le ałaby półprzytomna w łó ku, nafaszerowana valium czy co to tam było.

Omial si nie roze miała. Nick miał racj , rzeczywi cie nie pasował do roli bohatera dwudziestego pierwszego wieku.

Ani troch .

- Pani Cahill? - Usłyszała cichy głos Toma. Bezszelestnie wyszedł nagle z cz ci domu przeznaczonej dla słu by. - Wła nie miałem poda pani leki.

- Jakie leki?

- rodek przeciwbólwy przepisany przez doktora Robertsona.

- Co to jest? - spytała Marla, odsuwaj c si od drzwi pokoju Nicka.

- Acetaminophen.

- Tylenol?

- Tak.

- Co jeszcze?

- Tak, kodein .

- A co brałam przedtem? - spytała Marla, podchodz c do niego. -Co przepisał mi doktor Robertson wtedy w szpitalu?

- Halcion.

- Co to jest?

- Triazolam. Łagodny rodek uspokajaj cy.

- wietnie. - Czy naprawd go potrzebowała? - Posłuchaj, nie mam zamiaru bra adnych leków przeciwbólwyh. My l , e wystarczy mi aspiryna. Wezm j , kiedy ból zacznie mi dokucz a , a je li nie b d mogła spa , trudno. Jako to wytrzymam.

- Ale...

- To moje ciało, Tom, i oboj tnie, co kazano ci robi , ja o nim decyduj . Je li doktor Robertson b dzie z tego niezadowolony, sama z nim porozmawiam. To samo dotyczy mojego m a. Załatwi to z nim.

- Ale oni chc dla pani jak najlepiej - odparł Tom, patrz c na ni niewinnie.

- Mo liwe. Ale na razie poradz sobie z bólem na swój sposób.

- Pani Cahill, to moja praca...

- Wła nie. Je li chcesz j zatrzyma , to lepiej daj ju spokój, Tom. Nie potrzebuj piel gniarza i oboje o tym wiemy. By mo e twoja obecno w domu sprawia, e mój m czuje si bezpieczniej, ale to jego sprawa, nie moja. Dzi kuj wi c za trosk , ale nie mam zamiaru bra adnych leków i koniec na tym.

Odwróciła si na pi cie i odeszła, zostawiaj c Toma na korytarzu. Trudno. Zbyt wiele osób ostatnio próbowało jej dyktowa , co ma robi , ju naprawd miała tego do .

Wróciła do apartamentu i zamkn ła za sob drzwi. Słysz c, e Tom schodzi na dół po schodach, podeszła do pokoju Aleksa i przekr ciła gałk , chc c si dosta do rodka. Zamkni ty na klucz, oczywi cie. Znowu. Dlaczego? Zastukała do drzwi, po czym, w przyływie natchnienia, ruszyła korytarzem w stron gabinetu. On tak e został zamkni ty na klucz, ale Marla widziała, jak Eugenia otwierała go tamtej nocy, kiedy omal nie umarła.

A wi c kto przypilnował, by zamkn pó niej drzwi.

Musisz wi c znale jaki sposób, eby je otworzy . Oboj tnie jak. eby nie wiem co.

Marla podeszła do por czy i ukl kła w miejscu, gdzie prawie przed tygodniem wymiotowała na podłog . Dotkn ła dywanu palcami. Był zupełnie suchy, plama została dokładnie usuni ta. Nie został aden lad.

Czy kto - ten intruz, który wdarł si do domu, je li istotnie kto si wdarł - dosypał jej do wody albo do jedzenia jaki rodek wywołuj cy wymioty? Zakołysała si na pi tach. Tom powiedział, e dostawała triazolam, lek, o którym nigdy wcze niej nie słyszała. Wstała, oparła si o por cz i spojrzła na drzwi gabinetu Aleksa. Za nimi kryło si co wa nego. W przeciwnym razie byłyby otwarte.

A wi c musi si tam dosta .

Po cichu Marla zeszła schodami pi tro ni ej. Usłyszała, e pokojówka odkurza bibliotek , i szybko weszła do apartamentu te ciowej. Zamkn ła za sob drzwi. Nie zapaliła lamp, sło ce s cz ce si przez szpary w kotarach dawało do wiatła. Cały czas tłumaczyła sobie, e przecie ma prawo tu wej . To jej dom. Ma prawo wiedzie , co dzieje si w ród jego stuletnich cian.

Tamtej nocy Eugenia wyci gn ła klucz do gabinetu z kieszeni swego granatowego akietu. Mo e on jeszcze gdzie tu jest.

Marne szanse. Przecie min ło pi dni.

Marla ostro nie uchylła drzwi do garderoby i weszła do rodk. Zapaliła wiatło i rozejrzała si po obitych boazeri cianach. Kostiumy wisiały na osobnych wieszakach według kolorów, akiety na górze, spódnice na dole, a dopasowane do danego stroju buty stały w przegródkach poni ej. Marla, coraz bardziej niespokojna, zagl dała do kieszeni wszystkich akietów, od granatowego do jaskrawo pomara czowego, ale znalazła tylko jedn wsuwk , papierki po cukierkach i kilka monet, które Eugenia zapomniała wyj .

Ale w adnym nie było kluczy.

- Cholera - mrukn ła Marla, dochodz c do wniosku, e Eugenia ma pewnie teraz klucz przy sobie, na spotkaniu w Cahill House. Postanowiła przeszuka jeszcze torebki. Otwierała ka d po kolei, ale wszystkie okazały si puste. W garderobie było duszno i gor co i Marla ju miała stamt d wyj , kiedy nagle usłyszała, e drzwi pokoju Eugenii otwieraj si cicho.

Zamarła. Jak wyja ni swoj obecno w tym pokoju, je li kto j tu nakryje? Szybko zgasiła wiatło i cofn ła si , ostro nie rozchylaj c wiesz ce na wieszakach ubrania. Weszła na stołeczek i schowała si za dług sukni w plastikowym pokrowcu. Drgn ła usłyszawszy szum odkurzacza. Pokojówka

sprz tała pokój Eugenii, powoli i dokładnie. Marla wstrzymała oddech. Mo e dziewczyna nie wejdzie do garderoby, mo e... och, cholera.

Po krótkiej chwili ciszy pokojówka otworzyła drzwi garderoby, wpuszczaj c do rodka troch wiatła, weszła i wł czyła odkurzacz, którego odgłos w tym małym pomieszczeniu zmienił si w ogłuszaj cy ryk. Zapaliła górn lamp i garderob zalało ostre wiatło. Marla przylg n ła plecami do ciany. Dopiero teraz zobaczyła, e w plastikowym pokrowcu, za którym si schowała, wisi po ókła ze staro ci, naszywana perłami biała suknia - prawdopodobnie suknia lubna Eugenii.

Zamkn ła oczy, czuj c jak odkurzacz tr ca w stołeczek, na którym stała. Nie miała gł biej odetchn . Jak długo mo na odkurza jedn cholern garderob ? Nagle odgłos odkurzacza umilkł.

- Co? - zawołała pokojówka.

Przez szpar mi dzy sukniami w pokrowcach Marla dostrzegła, e pokojówka odwraca si w stron drzwi. Była to drobna Meksykanka o imieniu Rosa, do małowóna z powodu słabej znajomo ci angielskiego. Rosa wyszła z garderoby, zostawiaj c odkurzacz.

- Ach, seniora Cahill. Si, si.

- Zostaw to na razie, prosz . - Głos Eugenii.

O Bo e, co teraz? Jak Marla wyja ni swoj obecno w apartamencie te ciowej? Czuła, e pot wyst puje jej na czoło i wilgotn , zimn stru k spływa wzdłu kr gosłupa. Serce waliło jej jak oszalałe.

- Musz si poło y - powiedziała Eugenia.

- Si, si. Wróc luego. Pó niej.

- Aha, i popro Carmen, eby mnie zawiadomiła, kiedy przyjd go cie. Wkrótce ma przyj wielebny z on , pani Favier.

Wielebny i... no tak, Marla przypomniała sobie teraz. Kuzynka Aleksa, Cherise, i jej m... mieli j... odwiedzi, ale Marla sp... dziła wtedy cały dzie... w łó ku. Z powodu tych cholernych leków.

Wyt... yła słuch, nie chc... c uroni jednego słowa z tej rozmowy. Kiedy Cherise i jej m... maj si... tu pojawi? Zanim przyjd..., Marla musi w jaki sposób wydosta si... st d, tak eby nikt nie wiedział, e w ogóle tu była.

Krople potu spływały jej po szyi.

Rosa zabrała odkurzacz z garderoby i szybko wyszła. Marla nawet nie drgn... ła. Kilka sekund pó... niej do garderoby weszła jej te ciowa, zdj... ła granatowy... akiet i powiesiła go na wieszaku, dokładnie naprzeciw kryjówki Marli. Zrzuciła ze stóp czółenka na wysokich obcasach i postawiła je dokładnie pod akietem, potem zdj... ła bluzk... i spódnic..., zostaj... c tylko w koronkowej halce i rajstopach. Zgasiła wiatło i wróciła do sypialni, zamykaj... c za sob... drzwi.

Marla wypu... ciła powietrze z płuc. Miała nadzieję, e jeszcze nikt nie zacz... ł jej szuka i e szybko znajdzie sposób, eby si... st d wydosta, zanim kto zwróci uwag... na jej nieobecno... .

Czas mijał powoli. Po jakim kwadransie w ko... cu postanowiła wyj... z ukrycia. Zeszła ze stołka i po omacku podeszła do drzwi, pod którymi przez szpar... s czyło si... wiatło.

Si... gn... ła do wł... cznika i zapaliła lamp... . Garderob... zalało ostre, białe wiatło. Mru... c oczy podeszła do akietu, który przed chwil... zdj... ła z siebie Eugenia. Wsun... ła r... k do kieszeni po prawej stronie. Jej palce dotkn... ły chłodnego metalu - klucze. Dzi... ki Bogu. Ostro nie, by... nie zabr... zczyły, wyci... gn... ła p... k z kieszeni.

Jak dot... d nie... le jej idzie.

Wsadziła zdobycz do kieszeni d... insów.

A teraz... musi przejąć koło te ciowej tak, żeby jej nie zbudzi.

Jeśli ona rzeczywiście cię pi, a nie, na przykład, robi na drutach albo czyta gazet.

Ale z pokoju nie dobiegało pobrzkiwanie drutów ani szelest papieru. Marla wiedziała, że musi zaryzykować. Inaczej znajdzie się w pułapce.

Zgasiła światło, ujęła w dłoń gałkę i przekroczyła. Usłyszała cichy szczyk zamka.

Teraz albo nigdy, pomyślała i lekko pchnęła drzwi. Przez szparę dostrzegła, że w pokoju panuje półmrok. Kotary były zaciągnięte, a od strony łóżka dobiegało ciche pochrapywanie. Starsza pani leżała przykryta po szyję kołdrą. Modliła się w duchu, żeby nie było w pobliżu tego głupiego psa, Marla spiesznie przeszła przez pokój, dopadła drzwi i otworzyła je.

Eugenia chrząknęła głośno i poruszyła się na łóżku. Marla wyliznęła się na korytarz, zamknęła za sobą drzwi i popędziła schodami na górę, potykając się o leżącą tam Coco. Suczka, skomląc, pomknęła na dół z podkulonym ogonem i wpadła do salonu.

- Nie le - pogratulowała sobie Marla. Miała wrażenie, że klucze palają żywym ogniem. Chciała jak najszybciej otworzyć gabinet, a potem odłożyć klucze na miejsce, ale kiedy weszła na piętro, usłyszała dzwonek do drzwi.

Cholera. Patrzyła na zegarek, czekając, aż Carmen otworzy drzwi.

- Jestem Cherise Favier - usłyszała kobiecy głos. - Chyba się nie znamy. Przyszłam zobaczyć się z Marlą.

Marli pociemniało w oczach. Do czasu, kiedy wizyta dobiegnie końca, Eugenia na pewno wstanie i zacznie szukać kluczy. Wiedziała, że musi szybko pozbyć się kuzynki Aleksa, zanim ktokolwiek zbudzi Eugenię, a potem natychmiast pójść na górę. Marla odwróciła się i zeszła do holu, gdzie Cherise, zdjawszy obszyty futrem pelerynę, wyczytywała Carmen.

- Marla! - wykrzyknęła Cherise, po czym wyraz radości na jej twarzy ustąpił zmieszaniu. - Wyglądasz... wyglądasz bajecznie! - Kłamstwo.

Marla przed godziną widziała swoje odbicie w lustrze. - Strasznie chciałam się z tobą spotkać. - Cherise ujęła Marli w obie dłonie i cisnęła mocno. Uśmiechnęła się tak szeroko, że gruba warstwa makijażu na jej twarzy niemal nie popadła. - My, to znaczy Donald i ja, tak bardzo się o ciebie martwiliśmy. - Spojrzała przez ramiona. - Donald zaraz tu będzie - dodała trochę nerwowo. - Kiedy najechaliśmy, ktoś zadzwonił do niego na komórkę. Co pilnego.

W tej chwili w drzwiach stanął wysoki, mocno zbudowany mężczyzna. W jego ciemnych włosach widniało kilka srebrnych nitki. Szerokie bary rozpięły czarną skórzaną kurtkę, narzuconą na czarną koszulę z koloratkiem pod szyję.

- Donald, pamiętasz Marla - powiedziała Cherise.

- Ale oczywiście. - Donald błysnął w uśmiechu białymi zębami z kilkoma złotymi koronkami. Miał mocno opaloną twarz. Na nosie, zapewne kilkakrotnie złamanym, nosił okulary w złotych oprawkach. W jednej ręce trzymał mocno podniszczoną Biblię. Drugim ramieniem otoczył Marla, przyciskając ją lekko do siebie. - Dobrze znowu cię widzieć - powiedział, całując ją w czoło. - To okropne, co się stało. Słyszałam, że musiała wrócić do szpitala. Dziękuję Bogu wyszła z tego.

Cherise rozpromieniła się, patrząc na swego przystojnego mężczyznę.

- Nie byłam w szpitalu - sprostowała Marla.

- Wiem, czy gdzie tam... - powiedział, machając Biblią. Marla wysunęła się z jego uścisku. Wydawał jej się wymuszony, sztuczny i zbyt poufale. - Nie chcę nas wystraszyć.

- Niezbadane są cię, Pana - wypaliła Marla. Uśmiech na ustach Cherise zamarł, brwi wielebnego na moment



podskoczyły do góry, ale Marla specjalnie się tym nie przejęła.  
- Moje porozmawiamy w salonie? - zaproponowała, wskazując im drogę. Gdy wszyscy już usiedli, Carmen, jakby wiedziona szóstym zmysłem, natychmiast wniosła tacę z serwisem, imbrykiem z herbatą i koszyczkiem pełnym babeczek.

- Pani Eugenia wspomniła, że oczekuje pani go ci. - Carmen nalewała herbaty do trzech filiżanek. - Zaraz zejdzie na dół.

Marla była bliska załamania. Jeeli te ciowa wstanie, nie będzie już sposobu, by dostać się do gabinetu Aleksa, przejrze jego pliki i zawartość biurka.

- Alex i Nick mówili ci pewnie, że próbowałam się z tobą skontaktować - powiedziała Cherise. Siedziała na sofie obok mebla. Dodała słodzik do herbaty i poprawiła kołnierz krótkiego, czarnego sweterka. Marla zauważyła, że była ładna, choć już starszą kobietą, o bardzo jasnych włosach, bladej cerze i ustach pokrytych tych czerwonych kreskami, w odcieniu pasującym do lakieru na jej paznokciach.

- Nick wspominał, że dzwoniła.

- Dziwne to było - najpierw dowiedzieliśmy się, że jesteś już przytomna i że nastąpiła znaczna poprawa, a zaraz potem Alex praktycznie uniemożliwił nam wizytę w szpitalu. - Cherise zareagowała na spojrzenie mebla i gwałtownie zamknęła usta.

Donald rozparł się na poduszkach, jakby miał zamiar zostać tu dłużej, a może nawet czytać Pismo Święte.

- Jak się czujesz?

- Lepiej.

- Dużo ostatnio przeszła - powiedział i choć wyraźnie starał się być uprzejmy, Marla dosłyszała w jego głosie protekcyjną nutę.

- Mam to już za sobą.

- Ale podobno cierpisz na amnezję - rzekła Cherise. - To chwilowe, prawda?

- Mam nadzieję .

- B dziemy się za ciebie modli - odezwała się Cherise z powagą .

Donald skinął głową .

- Mo e teraz we miemy się za r ce i poprosimy naszego Ojca o wybaczenie i wskazanie nam drogi?

Cherise odstawiała fili ank i wyci gn ła r k do Marli, Donald zrobił to samo, ale zanim padły pierwsze słowa modlitwy, do pokoju wkroczyła Eugenia z Coco. Miała na sobie ponury, ciemnopopielaty kostium, którego kolor współgrał z wyrazem jej twarzy. Marla nagle odniosła wra enie, e klucze w jej kieszeni wa ton . Piesek zawarczał głucho, a nast pnie zaj ł miejsce przy ulubionym fotelu Eugenii.

- Cherise. Donald. - Eugenia wymówiła te imiona bez u miechu.

- Ciocia Gienia! - Cherise zerwała się z sof, wyci gaj c ramiona do starszej pani.

- Jak się masz? - spytała Eugenia chłodno.

Cherise z promiennym u miechem cofn ła się o krok.

- Dobrze. Tak się ciesz , e w ko cu mogłam zobaczyć Marl . Oboje - Monty i ja - zamartwiali my się o ni . Bardzo chciałam się z ni spotka . ałuj , e Monty nie mógł tu dzi przyjecha , ale jest bardzo zaj ty, a ja nie wiedziałam, kiedy znowu nadarzy nam się taka okazja - wyja niła Cherise, siadaj c na sofie. Eugenia, rozparłszy się wygodnie w fotelu, jedn r k drapała Coco za uchem.

Cherise uniosła dłonie.

- Wiemy wszyscy, e w naszej rodzinie od pokole trwaj ró ne spory. Ale chyba ju czas z tym sko czy . Kiedy się dowiedziałam, e Marla omal nie zgin ła... po prostu padłam na kolana i zacz łam się modli . Co takiego pozwala nam spojrze na nasze problemy z odpowiedniej perspektywy.

Donald klasnął w dłonie i opucił jej międy kolana. Na lewej ręce nosił złoty obrączek, dumnie pokazując światu, że jest mężczyzną. Na prawej miał sygnet i na małym palcu, pierścionek, ze sporym brylantem.

- Cherise i ja uważamy, że to dobry moment, by rodzina znów się zjednoczyła, byśmy cię urazyli w niepamięć i zaczął patrzeć w przyszłość. Był podał Bogu i pójdź za Nim, dziękuj Mu za wszystkie błogosławieństwa, jakie nam zesłał. - Uśmiech Donalda był pełen szlachetnego spokoju i fałszywy jak wszyscy diabli.

Cherise wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Marli.

- Wiesz, że zawsze byliśmy sobie bliscie. Uważałam cię bardziej za siostrę niż za kuzynkę czy szwagierkę. I wiem, że Monty także zawsze bardzo cię lubił. On cię lubi. - Jej oczy były szeroko otwarte i szczerze, ale w ich złocistej głębi czaiło się coś jeszcze - coś mrocznego i grzesznego.

- Przyszliśmy tu dzisiaj, by nad przepaścią, jaka nas od pewnego czasu dzieli, przerzucić most porozumienia.

O co w tym wszystkim, do licha, chodzi? Marla miała ochotę wydostać się z tej przesłodzonej atmosfery dobrej woli i górnolotnych frazesów, które wydawały jej się fałszywe i sztuczne.

Drzwi frontowe otworzyły się i Nick, w swojej starej skórzanej kurtce i dżinsach, wszedł do rodzka z wyrazem czujności na twarzy. Na widok Cherise i jej matki ciki jego usta drgnęły.

- Cherise. - Skinął głową kuzynce i wsadził ręce do tylnych kieszeni dżinsów. Jego wzrok prześlizgnął się nieuchwytliwie po twarzy Cherise i utkwił w Marli, zdając się przewiercać ją na wylot.

- I co dzisiaj słychać ?

- Lepiej - odparła Marla, starając się nie myśleć o tym, co zdarzyło się ostatniej nocy w salonie. - Dużo lepiej. Zaczynam znów się czuć jak istota ludzka.

- Szczeka boli?  
- Trochę.  
- Przypuszczam, że bardzo - powiedział, rozpinając kurtkę.

- Wytrzymam.  
- Nie w tym. - Z lekkim uśmiechem odwrócił się do Donalda: - Pan jest zapewne młodym Cherise?

- Przepraszam - odezwała się Eugenia i dokonała krótkiej prezentacji.

Wielebny ponad stolikiem do kawy wychił do Nicka swój wielki dół: - Dużo o panu słyszałem.

- Mam nadzieję, że nie wszystko było złe.  
- Nie - stwierdził uprzejmie Donald. - Cherise uważa, że jest pan dobrym człowiekiem.

Nick parsknął uśmiechem i posłał Marli spojrzenie, którym można było ciętkamie.

- A więc nalej do mniejszości.

Donald zachichotał, na twarz Cherise wyplął rumieniec, a Eugenia zmarszczyła brwi. Nick wziął filiżankę kawy i oparł się o parapet, wychylając przed siebie długie nogi.

W trakcie późniejszej pogawędki Marla dowiedziała się, że Donald był kiedyś piłkarzem, prawym skrzydłowym, jednym z tych sportowców - chrześcijan, którzy modlą się przed każdym meczem. Ale to się działo, zanim Pan Bóg postanowił, że jeden z zawodników przeciwnej drużyny zwał się na niego w trakcie meczu, złamał mu trzy kości i kostkę w dwóch miejscach, co zakończyło krótką, choć wspaniałą karierę sportową Donalda.

- Tak więc tam na górze postanowiono, że powinienem przewodzić kongregacji, a nie drużynie piłki nożnej - uśmiechnął się Donald, odstawiając filiżankę. Wychylił rękę do góry, która, jak wytresowany pies, natychmiast podała mu swój dół. Drugą ręką pogładził zniszczoną skórzaną oprawę Biblii. - Cherise martwiła się, że rodzina się rozpada, oddala,

wymiera. Oboje jej rodzice zmarli. Ty, Nick, wyjechałeś stąd wiele lat temu, a twój ojciec tak eju nie yje.

O co mu chodzi, zastanawiała si Marla.

- Ostatnio borykali my si w rodzinie z tyloma problemami, e pojawiły si wzajemne oskarżenia, padły wypowiedane w gniewie słowa, których teraz wszyscy pewnie ałujemy. Cherise... a s dz , e dotyczy to równie Montgomery'ego... była wstrz ni ta wie ci o wypadku, w którym jej kuzynka omal nie straciła ycia. Ale kiedy chciała si skontaktowa z Marl , została potraktowana jak osoba obca. - Donald wznioł w gór dłonie. - Mamy nadzieję , e uda nam si zacz wszystko od nowa, e zdołamy zapomnie o urazach i znowu by rodzin . Fakt, e Marla prze yła ten straszny wypadek, to cud. jestem pewny, e sam Bóg zdecydował, i jej czas jeszcze nie nadszedł. We my przykład z Pana i zjednoczmy si w jego miło ci. - Donald popatrzył w ponure oczy Nicka. - Mo emy znowu by jedn dru yn .

Nick odpowiedział mu nieufnym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie pami tam, ebym kiedykolwiek nale ał do jakiej dru yny.

- Nale ałe do Dru yny Rodziny Cahill.

Marl zacz ło ju od tego mdli . Czy ten facet mówi to wszystko powa nie?

- Mówisz serio? - spytał Nick. - Dru yna Rodziny Cahill? Co jak The Kelly Family?

- Nie musisz zaraz ironizowa . - Cherise ci gn ła czerwone wargi w dzióbek, usiłuj c przybra wyraz osoby gł boko zranionej. - Oczywiście, e stanowili my dru yn . W dzieci stwie...

- To było dawno temu - burkn ła Eugenia pod nosem.

- Wiem, ale jestem idealistk i wierz , e znowu mo e tak by -powiedziała Cherise i wstała za przykładem m a. -

Przecie , niezależnie od tego, co się wydarzyło, nadal jesteście my rodziną .

- Chcielibyśmy was zaprosić do kościoła na mszę , w niedzielę . A póki nie byłoby nam bardzo miło, gdybyście zjedli z nami obiad u nas w domu.

- Przyjdźcie, proszę - dodała Cherise i uśmiechnęła się najpierw do Nicka, a potem do Marli . Potrzebuję rękawki Eugenie. - Przyrowadźcie Aleksa, Cissy i małego.

Przy okazji zjadłabym szczura do spółki z pytonem, pomyślała Marla.

- Montgomery też przyjdzie? - spytał Nick i uśmiechnął się do Cherise przygryzając wargi .

- Zaproszę go, oczywiście . Ale z nim nigdy nic nie wiadomo. Naprawdę chciałam, żeby przyszedł tu dziś z nami, ale, niestety, miał inne plany. Spróbuj go jednak namówić , żeby przyszedł do nas na obiad w niedzielę .

- Zobaczymy - rzekła Eugenia zimno, ale Cherise uśmiechnęła się, że tego nie słyszy.

Gdy już wychodzili, Nick spytał jeszcze:

- Czy Pamela Delacroix należała do Kościoła wiary Trójcy?

Donald zesztywniał. Jego twarz pod maską spokoju zbladła trochę , pojawił się na niej wyraz czujności .

- Tak - powiedział. - To wielka strata dla kongregacji. Marla nie wierzyła własnym uszom.

- Ty ją znałeś ? - spytała. Nareszcie ktoś , kto znał te kobiety !

- Nie osobiście, wstyd przyznać . Nie bywała u nas regularnie, tylko czasami na mszy.

- A ty? Znała ją ? - Marla utkwiła wzrok w Cherise.

- Nie, zupełnie nie. To znaczy, nie potrafiłabym nawet powiedzieć , jak wyglądała - powiedziała szybko Cherise. - Jak mówi wielebny, parę razy kilka miesięcy temu uczestniczyła w mszy, ale nie dołączyła do żadnej grupy... Kilka razy w

tygodniu organizujemy spotkania, na których studiujemy Pismo wi te, mamy te grup kobiet, a nawet poradni dla osób samotnych, ale ona nie nale ała do adnej z nich.

- To sk d wiecie, e chodziła do waszego ko cioła? - spytała Marla. - Przekazała czek na rzecz kongregacji?

- Nie... ju po jej mierci jedna z katechetek ze szkółki niedzielnej dla dorosłych wspomniała, e widziała nekrolog w gazecie. Zaraz rozpocz li my nasze drzewo modlitw - to taki telefoniczny ła cuszek wewn trz kongregacji - eby ka dy mógł pomodli si za ni i jej rodzin .

- A znali cie jej rodzin ? Jej córka ?

- Nigdy nawet nie widziałam Pam - przypomniała Cherise, wygl dało tak, jakby grunt pali jej si pod stopami. Nagle zacz ła si bardzo spieszy do wyj cia, wida ta rozmowa była jej bardzo nie na r k .

Nick przechylił głow na bok.

- Kiedy przyszła do mnie do hotelu, nie wspominała , e mieli cie z ni cokolwiek wspólnego.

- Umkn ło mi to, po prostu - odparła Cherise. - Pozwij mnie do s du.

Donald spojrział na ni ostro i Cherise natychmiast spu ciła z tonu.

- Przepraszam. Tak, powinnam była co o niej powiedzie - przyznała, unikaj c surowego wzroku m a - ale zapomniałam.

Donald ostentacyjnie spojrział na zegarek.

- Och, niestety musimy si ju po egna . Za pół godziny mam spotkanie ze skarbnikiem naszego ko cioła.

Marla i Nick odprowadzili go ci do drzwi. Carmen, jakby cały czas słuchała rozmowy, natychmiast pojawiła si w holu z peleryn Cherise.

- Miło było znowu ci ujrze . - Cherise u ciskała Marl .

Donald włożył kurtkę. Kilka chwil później wyszli razem, trzymając się za ręce - obraz chrześcijańskiej wierności i miłości.

- O co im, do cholery, chodziło? - spytał Nick.

Eugenia ze znużeniem uniosła dłoń.

- Znowu próbuj wkraść się w łaski rodziny. Oczywiście chodzi im o pieniądze. Nick, opakuj to we wszelkiego rodzaju eufemizmy i frazesy, takie jak „rodzinna solidarność”, „jedna drużyna” albo „dzieło Boga”, ale prawda jest taka, że Cherise chce uszczknąć coś dla siebie z rodzinnej fortuny. - Eugenia spojrzała na Marlę. - Nie zrozum mnie źle, ona zapewne martwiła się o ciebie. Cherise nie jest zła. Tylko skoncentrowana na sobie. A jej mąż... może się modlił tak długo, a wyrosł mu skrzydła, ale i tak błądził z nim zawsze same problemy. Alexander zatrudnił go w Cahill House i skończyło się to okropnym skandalem. - Eugenia podniosła do ust filiżankę, a potem położyła babeczkę z malinami na swoim talerzyku. - Nie umiał utrzymać ręk przy sobie. - Zaciskając usta, ułamała kawałek babeczki. - Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że to Donald wpadł w dziewczyn w kłopoty. Nigdy się nie przyznała, kto jest ojcem jej dziecka, a chodziła na msze do Kościoła w tej Trójcy. Wystarczy dodać dwa do dwóch. - Eugenia włożyła ciasteczko do ust. Coco, leżąca u jej stóp, patrzyła łakomie. - Oczywiście Alex zaraz go zwolnił. Skandal i tak wyrzucił już sporo szkód. To zdumiewające, że parafia postanowiła Donalda zatrzymać. No ale on cały czas twierdził, że ta dziewczyna kłamie, że on jej nawet nie dotknął. W końcu wycofała oskarżenie.

- Coraz lepiej, prawda? - rzucił Nick sarkastycznie. - Interesujący fragment historii naszej rodzinnej drużyny.

Rozległ się donośny dzwonek telefonu. Nick wyszedł do holu i podniósł słuchawkę po drugim sygnale.



- Nick Cahill. - Wrócił do salonu ze słuchawk w r ce i spojrzął na Marla . - Tak, jest. Sekund . To do ciebie. - Podał jej telefon. - Detektyw Paterno.

- Czego on mo e chce ? - spytała Eugenia.

- Dzwoniłam do niego wcz e niej - wyja niła Marla, bior c słuchawk .

Eugenia patrzyła na ni jak na obł kan . Chc c uzyska odrobin prywatno ci, Marla wyszła do biblioteki. Opowiedziała policjantowi, co zdarzyło si tej nocy, kiedy wyl dowala w klinice, i to, co sobie przypomniała na temat wypadku: - ...nie pami tam szczegółów, ale wiem, e na drodze kto stał i wiecił jak bo onarodzeniowa choinka, zupełnie mnie o lepił. Skr ciłam, eby w niego nie uderzy , a kierowca ci arówki zrobił to samo. Nie wiem, co si stało z tym człowiekiem. Wskoczył z tej strony, z której nadjechała ci arówka, a potem widziałam go na drugim pasie.

Paterno zadał jej jeszcze kilka pyta i poprosił, eby przyjechała zło y zeznanie.

Marla po egnąa go, obiecuj c, e zadzwoni, je li tylko co jeszcze jej si przypomni, po czym wróciła do salonu.

- Nick mówi, e przypomniała sobie wypadek. - Eugenia spojrzęa na ni zaskoczona.

- Tak. - Marla skin ła głow . - Prawie wszystko.

- Ale nie pami tasz, po co jechała do Santa Cruz? - Eugenia postawiła talerzyk na podłodze, a Coco szybko zjadła pozostały kawałek ciastka i zlizęa okruszki.

- Nie. - Marla potarła dłoni kark. - Nie pami tam te , dlaczego byłam z Pam ani jak j poznałam.

Ale mam zamiar sobie przypomnie . W ten czy inny sposób.

Gdzie na tyłach domu trzasn ły drzwi i rozległy si szybkie kroki. Coco warkn ła ostrzegawczo, ale uspokoiła si , kiedy Fiona, z twarz tak mocno zaczerwienion , e prawie nie było na niej wida piegów, wpadła do holu, a potem do salonu.

- Przepraszam za spó nienie - powiedziała. - Z małym Jamesem wszystko w porz dku?

- pi - odparła Marla. Dziewczyna bez zwłoki pop dziła na gór . Płaszcz przeciwdeszczowy powiewał za ni z szelestem.

- Postrzelona dziewczyna - zauwa yła Eugenia, spogl daj c za Fion . - Nie wiem, czy jest odpowiedni osob do opieki nad Jamesem. -Poklepała si po kieszeni i zmarszczyła brwi. - Nie widzieli cie przypadkiem moich kluczy?

- Zgubiła klucze? - spytał Nick.

- Raczej poło yłam je gdzie ... - Eugenia rozgl dała si wokół w skupieniu.

Marla poczuła si jak przest pca. Klucze w jej kieszeni znów zrobiły si strasznie ci kie, była pewna, e zabrz cz , je li tylko si poruszy.

- Dziwne - ci gn ła Eugenia - pami tam, e rano miałam je przy sobie.

- Znajd si - uspokajał j Nick

- Na pewno, ale to do mnie całkiem niepodobne. - Eugenia zagwizdała na Coco i ruszyła do windy, zostawiaj c Marl sam na sam z Nickiem.

- Posłuchaj, Nick, my l e powinni my porozmawia o tym, co zdarzyło si zeszłej nocy - powiedziała Marla, zmuszaj c si do podj cia tego tematu. Wspomnienie tej nocy wisało mi dzy nimi jak wielka, ciemna chmura.

- Popełniłem bł d.

- Oboje go popełnili my. - Marla potarła kark i zamkn ła oczy. -Chciałabym móc powiedzie , e to nie powinno było si sta , ale nie mog Nie ałuj tego

Nick zacisn ł z by.

- A powinna .

- Ty ałujesz?

Nick wzruszył ramionami.

- To nie jest czas ani miejsce, żeby o tym rozmawiać.
- Możliwe masz rację - przyznała - ale nie możemy tak po prostu o tym zapomnieć.
- Musimy - odparł. Marla widziała, że walczy ze sobą, widziała jego napięcie. - Poza tym, jest coś innego, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.
- Zgoda. Strzelaj.
- Kiedy faszerowali cię tymi rodkami uspokajającymi, byłem bardzo zajęty.
- Co robiłeś?
- Próbowałem się dowiedzieć, co się tu, u diabła, dzieje. - Nick wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki duży kopert i podał ją Marli. - To tylko poczytaj.

Marla otworzyła kopertę i wyciągnęła z niej kopię zdjęć Pam Delacroix - jeżeli wierzy podpisom. Teraz, kiedy w kopercie to nazwisko przestało być tylko pustym dźwiękiem, ugięła się pod niego.

Widziała tak wyglądała ta kobieta.

A teraz nie wygląda. Marla patrzyła na jej rozszerzone brwi, jasną cerę, szerokie, pięknie zarysowane brwi, zielone oczy.

- Bardzo podobna do ciebie, nie sądzisz?
- Rzeczywiście - wyszeptwała Marla, przeglądając zdjęcia.
- Jest pewne podobieństwo. - Spojrzała na zdjęcie Pam z młodzieńczością, może osiemnastoletniej dziewczyny o wiejskiej buzi, i pociemniało jej w oczach. Dziewczyna miała na sobie togę, jakiegoś absolwenta szkół rednych, i uśmiechała się promiennie, trzymając matkę pod ręką. - To jej córka?
- Tak. Julie.
- Jest teraz w college'u, tak?
- Była. Zrezygnowała ze studiów.
- Z powodu śmierci matki. - Marla czuła się odpowiedzialna za tę śmierć i wszystkie jej konsekwencje. Dobry Boże, kiedy ten koszmar się skończy?

- Nie. To do dziwne, ale Julie opuściła college kilka tygodni przed waszym wyjazdem na południe.

- Naprawdę? - Zastanawiasz się. - W takim razie po co jechałyście do Santa Cruz?

- Pytanie za milion dolarów, nie dzisiaj? - Nick założył rękę na piersi, rozciągnął szwy swojej kurtki. - Może jechałyście zupełnie gdzie indziej - zasugerował, przypominając sobie rozmowę z Waltem.

- Gdzie?

- Miałem nadzieję, że sobie przypomnisz.

- Przykro mi, nie przypominałam sobie - powiedziała Marla sarkastycznie. - Przynajmniej na razie.

- Ale przyznasz, że to dziwne. Bez słowa zostawiła dzieci i Aleksa.

- Bardzo dziwne.

- A potem ruszyła nie wiadomo dokąd z kobietą tak podobną do ciebie, może by twoją siostrą.

- Ale ja nie mam siostry... - zaczęła, ale ugryzła się w język. Siostra. Co w głębi niej drgnęło na dźwięk tego słowa, jakie wspomnienie, które jeszcze nie całkiem wypłynęło na powierzchnię wiadomo ci. - Nikt nie mówił nic o siostrze. Tylko o bracie.

- O Rorym.

- Tak. - Trzymaj się w dłoni plik zdjęć, znowu usiadła na fotelu. - Jest w domu opieki, bo uległ jakiemu wypadkowi, prawda?

- Tak.

- Ale to nie wszystko. Mam wrażenie, że wszyscy co przede mną ukrywają. Ilekroć kto wspomni jego imię, następuje konsternacja.

Nick zagryzł wargi. A więc on też o tym wie. Widziała to w jego oczach.

- O co chodzi? - spytała. - Do diabła, Nick... chyba zasługujesz na to, żeby znał prawdę.

Nick zawahał się, podszedł do okna i przeczesał włosy palcami.

- Chyba masz rację.
- Wiem cię słucham.

Spojrzał na nią przez ramiona. Był tak poważny, że Marla usiadła głębiej w fotelu.

- To było wiele lat temu. Miała wtedy jakie cztery lata, Rory nie miał jeszcze dwóch. Twoja matka wsadziła was oboje do samochodu, pewnie mieli cię gdzie jeździć, choć nie mam pojęcia gdzie. Tak czy inaczej, matka przypięła was w fotelikach, a potem jeszcze na chwilę wróciła do domu. Pewnie czegoś zapomniała. Rory zaczął dokazywać, ty rozpięła jego szelki, a on wy dostał się z samochodu. Widocznie musiała potem zamknąć drzwi, bo kiedy Victoria wróciła, nie zauważyła, że małego nie ma w samochodzie. Był na zewnątrz, przykucnął przy tylnym kole, pewnie patrzył na jakiegoś owada lub coś w tym rodzaju. Wrzuciła wsteczny i najechała na niego.

- Nie. - Marla zasłoniła usta dłonią. Zrobiło jej się słabo.

- Nie zginił, ale doznał poważnego uszkodzenia mózgu. Nieodwracalnego. Lekarze uratowali mu życie, ale nic więcej nie dało się zrobić.

Marli pociemniało w oczach. Oblała się zimnym potem.

- Nie miałam pojęcia - wyszeptała, spodziewając się jakiegoś przebłysku pamięci. Nic. Zupełnie nic. Pomyślała, że w tym przypadku to chyba błogosławieństwo.

- Była wtedy bardzo mała.

- A oni... moi rodzice... obwiniali mnie o to, co się stało?

Nick wzruszył ramionami.

- Ty jedna znasz odpowiedź na to pytanie.

- Nie. Jest nas dwoje. Ja i mój ojciec. - Wstała i wyszła do holu. - Może już czas, abym sprawdziła, jakie stosunki miałem z tatusem - powiedziała. - Słusznie, że powinnam go odwiedzić. - Doszła do wniosku, że to dobry pomysł,

przypomniała sobie o kluczach, które znajdowały się w jej kieszeni. Z pewnością któryś z nich pasował do jednego z samochodów stojących w garażu, nawet jeśli Eugenia sama nie jeździ. Ale Marla nie miała się przyznać, że ma klucze do swojej. Najpierw sama musi dostać się do gabinetu. Nick szedł za nią.

- Chcesz, abym ci tam zawiózł?

- Tak. - Nagle była tego pewna. Nie tylko tego, że chce odwiedzić ojca, ale i tego, że chce, by Nick był razem z nią. Podała mu zdjęcie Pam Delacroix. - Im prędzej, tym lepiej.

- Wiem, co mam zrobić.

- Weźm tylko płaszcz, torbę i... - Uświadomiła sobie nagle, że nie ma portfela, prawa jazdy, kart kredytowych ani nawet ubezpieczenia. Jakby nigdy nie istniała. - Zaraz zjedź. - Pobiegła szybko na górę, znalazła skórzaną torbę na długim pasku, okulary przeciwsłoneczne i szminki. Pomyślała o kluczach i doszła do wniosku, że lepiej byłoby gdzieś je schować... ale gdzie? Gdzie, gdzie nikt ich nie znajdzie. Marszcząc brwi, rozejrzała się po pokoju. Nie, zbyt wiele osób ma dostęp do tego pomieszczenia. Tu nie będzie bezpiecznie, zwłaszcza że Eugenia szuka tych kluczy. Już miała zamiar włożyć je do torbki, ale po głębszym namyśle wsunęła je z powrotem do kieszeni dżinsów.

Musi szybko zrobić z nich użytek albo dorobić drugi komplet. Ale jak, skoro nie ma nawet złamanego centa ani kieszonki czekowej, karty kredytowej ani... Nic nie ma.

- Do diabła z tym wszystkim - mruknęła, zbiegając po schodach.

Nie ma dokumentów. Samochodu. Pamięci.

Jakby naprawdę nigdy nie istniała.

Z zatoki wyłowiono szpitalny fartuch doktora Santiago - oznajmiła Janet Quinn, wsuwając głowę w drzwi biura detektywa Paterno. Ponad stukot palców na klawiaturach komputerów, szum faksów i szmer rozmów wybijała się muzyka, której i tak nikt nie słuchał. - Plakietka zachowała się dobrze, chociaż trudno ją było odczytać, bo ktoś zgasił na niej papierosa, uszkadzając zdjęcie. Woda też zrobiła swoje. - Janet weszła do pokoju i położyła kilka zadrukowanych kartek papieru na biurku detektywa. - Proszę, raport. Jeśli chciałby rzucić na to okiem, wszystko jest na dole w Dowodach.

- Czy na plakietce znajdowały się jakieś odciski palców - spytał Paterno, bez wielkiej nadziei.

Wziął do ręki raport i przejrzał go pobieżnie. Ktokolwiek krył się za tym wszystkim, miał zbyt wiele sprytu, by popełnić tak podstawowy błąd.

- Tylko doktora Santiago.

- A fartuch?

- Czysty.

- Jasne. - Paterno przesunął pozbawionym smaku gumo-uciem z jednej strony ust w drugą. - Rozmawiałem dziś rano z Crane'em Delacroix - powiedział, przypominawszy sobie krótką wymianę zdań z byłym memm Pam.

- Co nowego?

- Nie chciał zbyt wiele mówić. Chyba ma zamiar pozwać Cahillów do sądu, chociaż dotychczas wniósł jeszcze nie wpłynął, ale ta rodzina zna wiele sposobów unikania spraw sądowych. Tak czy inaczej, niewiele dobrego miał do powiedzenia na temat swojej byłej. Stwierdził, że nakładła córce bzdur do głowy i że to dlatego dziewczyna rzuciła studia. Podobno Pamela wspomniała mu przy jakiejś okazji, że wkrótce dostanie mnóstwo pieniędzy. Ale kiedy spytał o to, zaczęła robić unik. Powiedziała, że pracuje nad księzką, ale

zdawała się ałowa , i w ogóle poruszyła ten temat. On twierdzi, e tylko puszczała mu dym w oczy.

- Co o tym my lisz?

- Wiem, e pracowała nad ksi k . - Widz c, e Janet ju ma zamiar spyta , sk d zaczerpn ł informacji, dodał: - Nawet nie pytaj.

- Do diabła, Paterno, co ty wyprawiasz?

Paterno tylko machn ł r k .

- We my nakaz rewizji i przejrzyjmy, co tam miała. Mo e trafimy na co ciekawego.

Janet, która, o ile wiedział, nigdy nie naginała adnych zasad w imi prawa, spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co zrobił e ?

- Nie powinna tego wiedzie , wierz mi.

- Cholera, Paterno, je li nie b dziesz uwa ał, wszystko spieprzysz.

- Nie tym razem.

Janet wyci gn ła z kieszeni mały notatnik i wzi wszy długopis z biurka, zapisała co na jednej kartce.

- Zaraz to załatwi . Czy były mał onek Pam mówił co jeszcze?

- Niewiele. Kiedy spytałem go o córk , powiedział, e nie rozmawiali ze sob od jakiego czasu. Ostatni raz widział j na pogrzebie Pam. Wyszła za m , mieszka gdzie w pobli u Napa czy Santa Rosa, ale czuły tatu nie znał ani adresu, ani numeru telefonu. Tylko nazwisko. Julie Johnson. Jej m ma na imi Robert, ale Crane nie miał okazji go pozna . -Paterno u miechn ł si krzywo. - Jak ju mówiłem, tatu nie trzyma r ki na pulsie. Tak czy inaczej, musimy znale t mał i zobaczy , co ma do powiedzenia.

- Julie Johnson to do pospolity zestaw.

- Owszem, ale Julie Delacroix Johnson ju nie, a ja mam numer jej polisy. Sprawd w rejestrach mał e stw i w Internecie. - Paterno rozparłszy si w swoim krze le, rzucił



teraz prawdziw bomb : - Dziewczyna, która narobiła tyle szumu i groziła, e wniesie oskar enie przeciw Cahillom, nazywała si Julie Johnson.

- Co? - Janet u miechn ła si szeroko.

- Wła nie. To samo imi i to samo nazwisko. Chocia ta dziewczyna, kiedy trafiła do Cahill House, twierdziła, e nie jest zam na. To mo e by tylko zbieg okoliczno ci.

- Akurat.

Paterno u miechn ł si k cikiem ust.

- Moim zdaniem, ta dziewczyna wpadła w kłopoty, trafiła do Cahill House, a ksi ulo nie umiał utrzyma r k przy sobie... albo wymy liła sobie cał histori o wielebnym. Chc wiedzie , co robiła od tego czasu.

- Dowiem si - obiecała Janet. - Co jeszcze?

- Tak. Dzwoniła Marla Cahill. Twierdzi, e odzyskuje pami . Powoli. Na razie wracaj do niej tylko strz py wspomnie , ale mi dzy innymi przypomniało jej si , e jechała samochodem z Pam Delacroix. Nie wie dok d ani po co, nie pami ta te , czy ta kobieta była jej blisk przyjaciółk czy tylko znajom , ale mówi. e widziała na drodze jakiego człowieka, wiec czego jak Nowy Jork w wi to Czwartego Lipca. I ona, i Biggs gwałtownie skr cili, eby w niego nie uderzy . Ona zjechała na jedn stron drogi, ci arówka na drug .

- Jezu, uwierzyłe w to?

- Jak dot d, nie. Marla Cahill przyjedzie tu dzisiaj zło y oficjalne zeznanie, wtedy zobaczymy.

- Co si stało z tym facetem na drodze?

- Skoro nie został tam płaski jak nale nik, a nigdzie w lesie nie natrafiono na aden lad jego ciała, zakładam, e uszedł z yciem, ale sprawdzam, czy w którym z lokalnych szpitali nie przyj to kogo tej nocy lub nast pnego ranka. Mo e kiedy pojawi si tu pani Cahill, poda nam dokładniejszy opis tego człowieka, chocia w tpi .

Zadzwonił telefon, Paterno podniósł słuchawkę jedną ręką, drugą pokazyując Janet, żeby zaczekała. Rozmowa była krótka. Dzwonili z laboratorium w sprawie morderstwa popełnionego kilka dni wcześniej na Lombard Street. Paterno odłożył słuchawkę i opadł na oparcie krzesła, które skrzyknęło rozpaczliwie.

- Po co ktoś miałby stać na środku górskiej drogi w samym środku nocy? - spytała Janet.

- I dlaczego miałby wieść? - dodał Paterno w zamyśleniu.

- Może wcale nie wieścił. Może Marla Cahill odepłył reflektory ciarówki.

- Ona twierdzi, że źródłem światła był człowiek na drodze, że zobaczyła światła ciarówki dopiero po kilku sekundach, kiedy było już za późno.

Janet zmrużyła oczy.

- Chyba nie sądzisz, że to ma jakiś związek z odłamkami lustra, które znaleźliście na drodze?

- Nie wiem. - Paterno podrapał się po głowie.

- Dlaczego ten człowiek miałby trzymać lustro - jakieś rzucone lusterko, czy coś w tym rodzaju - żeby w ten sposób odbiło światła mercedesa i odepłył kierowcę? Nie łatwiej byłoby wziąć duży reflektor?

- Reflektor jest zbyt ciężki i nieporęczny, w razie potrzeby trudniej się go pozbyć. - Paterno oparł brodę na splecionych dłoniach. - Po co w ogóle ktoś miałby wyskakiwać nagle na drogę, tu przed nadjeżdżającym samochodem?

- Chciał mię pewno, że kierowca będzie go widział wystarczająco długo, by zjechać na bok. Zyskał na czasie. Dlatego światła tak silnie odbija światło. W przeciwnym wypadku musiałby czekać, a kierowca oświetlił go swoimi reflektorami. To dało mu kilka sekund więcej, a liczyła się każda sekunda. Wiedział, że kierowca zacznie hamować i skręci, żeby go wyminąć. Droga była mokra, Marla Cahill

musiała gwałtownie skręcić kierownicę i wcisnęła hamulec. Udało jej się nie wpaść na człowieka na drodze, ale uderzyła w barierkę. - Janet myślała głośno, mówi coraz szybciej, w miarę jak scena wypadku rysowała jej się w wyobraźni. - Barierek była w tym miejscu słabsza, pamiętasz? Jakby była niedawno zespawana, ale Departament Dróg nie wie nic o adnych naprawach w tym rejonie.

- Wiem dzisiaj, że kto zespawał barierkę w tym miejscu specjalnie po to, żeby ją osłabił, a nie wzmocnił czy naprawił?

- Zgadza się! - Janet, uciekaj szeroko, uderzyła dłonią w biurko.

- Chwileczkę, nie tak szybko. - Paterno nie poddawał się jej entuzjazmowi. Było jeszcze wiele innych możliwości wartych rozważenia. - Nie dzisiaj, ale trochę pochopnie wyciągasz wnioski? Kto mógłby chcieć zabić Marla Cahilla? I czemu nie miałby tego dokonać w jakiś mniej skomplikowany sposób - zrzucić ze schodów czy podrzucić gardło? Po co tyle zachodu? Tylko po to, żeby wyglądało na wypadek? Nie kupuj tego. Cały plan byłby zbyt ryzykowny. Łatwo można byłoby trafić na niewłaściwy samochód.

- Na przykład na ciarówek Biggsa.

- Chyba nie wychodzimy z błędnego założenia. Może ofiarą miał być Biggs - zastanawiał się Paterno. - Kto zadał sobie wiele trudu, żeby Biggs nigdy się nie obudził, podczas gdy Marla Cahill ze szpitala spokojnie wrócił do domu. Wiem, że to wcale nie o niego chodziło.

- Tyle tylko, że Biggs jest czysty jak dziewica, pamiętasz? Prawdziwy harcerzyk.

- W przeciwieństwie do wszystkich członków rodziny Cahill. - Paterno rytmicznie uł swój star gum. Do diabła, ta sprawa doprowadzi go do szaleństwa. - Chyba musimy poczekać i zobaczyć, co pani Cahill ma nam do powiedzenia.

Zdaniem Nicka, Conrad Amhurst włą ciwie był ju jak martwy. Le ał płasko na plecach z mnóstwem tubek i rurek przymocowanych do jego ciała, nafaszerowany morfin , ot piały. Kiedy Marla zapukała w futryn drzwi jego prywatnego pokoju, zwrócił w jej stron oczy.

- Tato? - powiedziała Marla, podchodz c do łó ka. Nick stan ł za ni . Nie chciał zakłóca swoj obecno ci sceny pojednania, je li o to tu, do diabła, chodziło Fatalnie czuł si w tym miejscu, mimo całego luksusu i widoku na zatok . Nie lubił domów opieki, tak samo jak szpitali.

W jednym rogu pokoju stała skórzana sofa. Po drugiej stronie znajdowały si drzwi prowadz ce do du ej łazienki z kabin prysznicow na poziomie podłogi, tak by mo na było do niej wjecha na wózku inwalidzkim, który stał teraz wepchni ty do k ta. Na podłodze le ała mi kka wykładzina, ciany oklejono ładn tapet w jasnym kolorze, a za oknem rozci gał si pi kny widok na zatok i le ce po drugiej stronie Sausalito. Mimo to jednak panowała tu atmosfera włą ciwa instytucjom publicznym. Było gor co, duszno, a człowiek w łó ku był bliski mierci.

Marla dotkn ła le cej na kołdrze ko cistej, pomarszczonej dłoni.

- To ja, Marla.

Conrad przekr cił głow na jedn stron i spojrział na ni zamglonymi bólem oczyma.

- Marla? - powtórzył. Wydawał si zdeorientowany. Pot ny niegdy m czyzna, z dum obnosz cy sw sprawno i sił , le ał teraz, powalony strasz n chorob , chudy jak szkielet i bezradny jak dziecko. Miał bardzo blad twarz poznaczon ółtymi plamami, siwe włosy tak rzadkie, e wida było skór jego czaszki. Zapadni te oczy były jednak przytomne i nieufne. - Nie. - Wyrwał r k z jej dłoni, si gn ł do stolika i namacał okulary. Z wysiłkiem wło ył je na nos i spojrział na Marl nienaturalnie powi kszonymi renicami.

- Tak, wiem, e wygl dam teraz troch inaczej, ale to dlatego, e miałam powa ny wypadek - wyja niła pospiesznie.  
- Teraz jestem ju prawie zdrowa.

Conrad zmarszczył brwi.

- Obci łam włosy, ale...

- Nie jeste Marla. - Conrad oderwał od niej wzrok i spojrzął gniewnie na Nicka. - A ty nie jeste moim zi ciem. - Znowu popatrzył na Marl podejrzliwie przez grube szkła. - Marla... była tu niedawno... z m em.

- Nie, tato, nie byłam tu jeszcze. Nie mog mówi za Aleksa, ale...

- Była tu, do diabła. Ty tu nie była - powiedział dr cym ze zło ci głosem, gniew zaczerwienił jego twarz. - Jeste intruzem, niczym wi cej. Jak zawsze. Ty te . Nikt was tu nie prosił. - Wskazał na parapet, na którym stały zdj cia Marli, Aleksa i Cissy. Koło nich stał oprawiony w złocon ramk portret Jamesa zrobiony wkrótce po urodzeniu. - To jest Marla i jej rodzina.

- Tak, tato, wiem, przyjechałam tu z Nickiem, bo on mógł mnie tu przywie i ...

- I pomy lała sobie, e poniewa stoj ju jedn nog w grobie, mo esz tu przyj i puszcza mi dym w oczy. - Patrzył na ni z pogard , a Marl nagle przeszedł lodowaty dreszcz. Przypomniała sobie, e w przeszło ci ten człowiek nieraz patrzył na ni tak pogardliwie. - Nigdy nie zrozumiesz, co? - sapan ł z furi . - Nie jeste moj córka .

- Ale... - zaczęła Marla i urwała nagle. Zbladła gwałtownie, zadr ała. Kurczowo chwyciła za por cz łó ka. Otworzyła szeroko oczy, jakby nagle do wiadczyła objawienia. - O, mój Bo e...

- Zabieraj si st d, Kylie - wyszeptał z trudem Conrad, patrz c na ni z nienawi ci , wyolbrzymion jeszcze przez powi kszaj ce szkła okularów. Grymas gniewu wykrzywił jego twarz. -I nigdy nie wracaj. Nie dostaniesz ode mnie ani

centa, rozumiesz? - Z trudem sięgnął do guzika intercomu. - Wynoś się stąd. No, ju!

Marla cofnęła się, przerażona.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki i do pokoju wpadła postawna pielęgniarka o surowym wyrazie twarzy.

- Pan Amhurst wzywał pielęgniarkę - wyjąknęła, podchodząc do łóżka. - Wyczy pan sobie czego, panie Amhurst?

- Tak - syknął Conrad z taką nienawiścią, że aż trochę piany wystąpiło mu na blade usta. - Proszę zabrać stąd tych ludzi i nigdy już ich tu nie wpuszczaj.

- Ale... to przecież pańska córka - powiedziała pielęgniarka spokojnie, próbując uspokoić pacjenta.

- Te co! To nie jest moja córka, oboje nieco ta dziwka, jej matka, wygaduje.

- Panie Amhurst! - wykrzyknęła pielęgniarka z udawanym zgrozzeniem, choć, jak domyślił się Nick, była pewnie przyzwyczajona do napadów złości i języka starego. Spojrzała na Marla, jakby chciała powiedzieć, że jej ojciec nie jest w pełni władz umysłowych.

- Zabieraj ich stąd i to szybko - rozkazała.

Pielęgniarka wyprowadziła ich z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- To morfina - powiedziała. - Czasami jest zupełnie przytomny, a czasami... cóż, traci kontakt z rzeczywistością. Proszę zrozumieć, to bardzo ciężko chory człowiek.

- Czy mój mąż był tutaj? - spytała Marla, starając się nie myśleć o reakcji Conrada. Zachowywał się tak, jakby jej nienawidził. - Alex Cahill, wstąpił tu może niedawno... z kim jeszcze?

- Nie w czasie mojej zmiany, ale proszę zapytać w recepcji. Może ktoś go zapamiętał. W zasadzie go nie powinni wpisywać do księgi, ale niewiele osób się do tego stosuje.

- My tego nie zrobili my - powiedział Nick. Rozległ się dźwięk dzwonka i nad drzwiami pokoju Conrada Amhursta znów zapaliło się wiatelko.

- Widz, że to jeden z tych jego dni. - Pielgniarka przeprosiła ich, odwróciwszy się na pięcie, wróciła do pokoju chorego.

- Idziemy. - Nick wziął Marl pod ramie i pociągnął za sobą korytarzem.

ściany były wyłożone drewnem, a z szerokich okien rozciągał się widok na zatokę. Minęły kilka dużych sal z miękkimi kanapami i fotelami, lampami i stolikami, z których, jak podejrzewał Nick, rzadko korzystano. Odełek był luksusowy. Elegancki. Ale był to tylko dom opieki. Miejsce, gdzie bogaci ludzie przybywają, by umrzeć.

W recepcji Nick sprawdził księgę odwiedzin. Jeśli Alex był tu w ciągu kilku ostatnich dni, nie zwracał sobie głowy adnymi wpisami.

- Chodmy stąd - zwrócił się Nick do Marli. Ochroniarz wypuścił ich przez sterowane elektronicznie szklane drzwi, które zamknęły się za nimi z cichym trzaskiem. Nick od razu poczuł się lepiej. Bo że, to miejsce jest wspaniałe, choćby nie wiem jak luksusowo zostało wyposażone.

Na zewnątrz słony wiatr gnał po niebie kilka białych, strzępiastych chmur. Mewy krzyczały, muskając w locie lśniącą wodę zatoki, w powietrzu czuło się już nadciągającą zimą. Było zimno. Rzeko. Mrozie.

- Conrad zawsze był głupim, starym draniem - powiedział Nick, kiedy szli na parking.

- Jest chory.

- Nie zachowywał się lepiej, kiedy był zdrowy, wierz mi.

Marla spojrzała na niego, dopiero kiedy dotarli do furgonetki. Trochę już ochłonęła, ale na policzkach cięgle miała ciemne rumieńce.

- Następnym razem, kiedy wpadnę na wietny pomysł, by odwiedzić moich krewnych bez zaproszenia, zastrzel mnie, dobrze? - powiedziała.

- Postaram się zapamiętać to. - Nick otworzył drzwiczki i Marla wsunęła się na siedzenie.

Nick usiadł za kierownicę i włączył silnik.

- On wzięł cię za kogoś innego.

- Zauważyłam - odparła Marla ironicznie. - Ale czy może na mnie do niego o to pretensje? Nawet ja mam czasami w wątpliwość cię co do tego, kim właściwie ciwie jestem. - Zmrużyła oczy, raził ją blask słoneczny więc cęgo przez przednią szybę. - Nazwał mnie Kylie - dodała, bębniąc palcami w oparcie fotela, kiedy Nick wyjeżdżał z parkingu. - Kylie - powtórzyła. To imi wydało jej się znajome. Ale dlaczego? Czy to mogło być jej imię? Nie... niemożliwe. Czy znała kiedy kogoś o tym imieniu? Zmarszczyła brwi w skupieniu, usiłując sobie przypomnieć własną przeszłość. Cięgle spowijał ją mrok, jakby ostatnia zasłona jeszcze nie opadła.

Nick, wyjeżdżając na główną drogę, spojrzał na Marla spod oka.

- Czy to imię co ci mówi?

- Tak, to znaczy, tak mi się wydaje. - Marla westchnęła głębiej, wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne i włożyła je na nos. - Mam wrażenie, że... och, sama nie wiem. - Zrobiła w powietrzu taki gest, jakby chciała schwytać coś ulotnego. Skoncentrowała się, by przypomnieć sobie coś sprzed wypadku, ale zaraz rozbolała jej głowa. - Mam w głowie kompletny chaos, ale jestem pewna, że już słyszałam to imię... e., och, wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale gdzieś w głębi serca czuję, że Conrad lepiej ode mnie wie, kim jestem. Czy to nie dziwne? - Pokręciła głową i uchyliła okno, wpuszczając do samochodu chłodne, słone powietrze.

- Gubi się w tym wszystkim. Całe moje życie nie trzyma się kupy. Czasem sama już nie wiem, co jest prawdą, a co nie,



ale ta niech , prawie nienawi na jego twarzy, wydała mi się bardziej prawdziwa niż wszystko, co do tej pory słyszałam.

- Nie był zachwycony twoją wizytą .

- On mnie nienawidzi.

- Przynajmniej dzisiaj - sprostował Nick. Marla patrzyła przez okno na zielone wzgórze.

- Nie wiem, co mam powiedzieć o wszystkich opowieściach o tym, jak blisko byłam zawsze z ojcem, jak zasypywał mnie prezentami, jak byłam jedynym światłem jego życia? Mam wrażenie, że jest w tym mnóstwo przesady. A może w ogóle nie ma w tym ani ślada prawdy. Odkąd wyszłam ze szpitala, mam dziwne przeczucie, że byliśmy sobie obcy. Że nie przepadaliśmy za sobą. - Spojrzała na Nicka z ukosa. - Delikatnie rzecz ujmując. - Nie wiedziała, czy miała się śmiać, czy płakać. Cała ta sytuacja była absurdalna. Ale tak się przerażała. Smutna prawda była taka, że Marla miała wielu krewnych, ale z nikim z całej rodziny nie czuła się w żadnym sposób związana. Z nikim, poza Jamesem i Nickiem. Ani z córkami. Ani z matką. - To tyle, jeżeli chodzi o ojcowskie uczucia - mruknęła.

- Ciekawe, dlaczego twierdził, że byłam tam wcześniej z Alekssem?

- Pielgniarka mówiła, że on traci czasem kontakt z rzeczywistością, że bierze silne środki przeciwbólowe. - Nick zwolnił przed zakrętem. Droga biegła teraz nad brzegiem zatoki.

- Wierzysz w to? - Marla spojrzała na niego twardo.

- Nie wiem. Co tu nie gra.

- Amen.

- Chyba spytamy o to Aleksa.

- Zapowiada się więc interesująca rozmowa przy kolacji - odparła Marla i umilkła. Jej ojciec uważał ją za kogoś obcego, za intruza. Zachowywał się tak, jakby była kimś innym. Jakby kobietą, którą nazwał dziwką, próbowała mu wmówić, że jest

jego córka . Czy majaczył, czy mówił o czym , co naprawdę zdarzyło się w jego życiu?

- Wiedziała o tym, e lwia część majątku Conrada dostanie się po jego śmierci Jamesowi? - spytał Nick.

- Jamesowi? Majątek mojego ojca odziedziczy mój syn? - To jakie szaleństwo.

- Tak.

- Chwileczkę . - Marla podniosła obie ręce w obronny gest. - Skąd to wiesz?

- Odrobiłem prace domowe .

- W szyję .

Nick właśnie czytał radio. Z głosiłków popłynęła reklama telefonów komórkowych. Nick znalazł inną stację i samochód wypełnił dźwięki starej piosenki Billy'ego Joela.

- Nazwij to, jak chcesz. Próbuj się tylko dowiedzieć , co się tu właśnie ciwie dzieje.

- Ja też - powiedziała Marla, choć czuła się trochę zbita z tropu. Nie bardzo podobała jej się myśl, e Nick może wiedzieć więcej o jej życiu niż ona sama. - Jesteś pewny co do testamentu Conrada?

- Absolutnie pewny. Wiem to od prywatnego detektywa, który dla mnie pracuje i...

- I?

- I ma swoje do powiedzenia, tak przynajmniej mówi. Zgodnie z testamentem, każdemu coś spadnie, ale mały jest głównym spadkobiercą .

- Na lito bosko , dlaczego?

- Zdaje się , e twój ojciec pragnie kontynuacji swojego rodu. Pierwotnie według testamentu młodszy potomek miał odziedziczyć większość majątku. Ponieważ jednak Rory jest powaźnie upośledzony, Conrad doszedł do wniosku, e ty powinnaś urodzić syna.

- Przecież nie będzie nosił nazwiska Amhurst.

- Stąd właśnie James Amhurst Cahill.

- Nie mog w to uwierzy . To... to takie archaiczne. Takie... takie... chore. - Potem jednak przypomniała sobie człowieka, który był jej ojcem. To do niego pasowało.

- To forsa starego, mo e z ni zrobi , co zechce - zauwa ył Nick. Marla patrzyła na mkn cy po niebie odrzutowiec.

- Ale James ma dopiero dziewi tygodni.

- I du o szcz cia, e urodził si chłopcem.

- Nie wiem, czy to takie szcz cie. - Marli nie podobało si to, co czuła, odk d zobaczyła ojca le cego w łó ku, szkielet człowieka, którym niegdy był, skorup pełn uprzedze i nienawi ci. Co si stało z czułym tatusiem, który obdarowywał j akcjami i złotymi pier cionkami, jakby to były cukierki? Co si stało z człowiekiem, który j wychował, wykształcił i czekał, a da mu wnuki?

- Kto to jest Kylie? - spytał nagle Nick.

- Sama chciałabym wiedzie . Ale jestem pewna, e ju słyszałam to imi ... albo widziałam je napisane. Tylko nie mog sobie przypomnie gdzie.

Nick zacisn ł dło na gałce dr ka zmiany biegów, marszcz c w zamy leniu brwi. Zmru ył oczy.

- Mo e... mo e jednak masz siostr . Przyrodni siostr .

- To byłoby jakie wytłumaczenie - zgodziła si Marla, Nick wypowiedział na głos jej własne podejrzenia. - Ale dlaczego nikt o niej nie wie?

- Bo to był jego mały, brudny sekret. Mo e teraz wszystko mu si pomieszało i zacz ł ciebie myli z ni .

- Mo e. - Marla uznała, e to niewykluczone, cho pomysł wydawał si naci gni ty. Z drugiej jednak strony, dlaczego ojciec nazywałby j innym imieniem? - A mo e to ja jestem Kylie. Sk d mam wiedzie ? -Spogl dała na Nicka uniósłszy jedn brew.

- W takim razie, gdzie jest Marla i dlaczego wszyscy uwa aj ci za ukochan córk Conrada?

- Nie wszyscy. - Marla patrzyła na pola za oknem, ustpując powoli miejsca zabudowaniom. Samochód podskakiwał na wyboistej drodze. - Conrad jest innego zdania. Cissy też. Ja sama nie wiem, kim jestem. A ty? - Odwróciła głowę, by spojrzeć na niego. - Znałem ją. Nawet bardzo dobrze. - Nick zacisnął palce na kierownicy. - Uważasz, że naprawdą jestem Marla? - spytała.

Nick zacisnął zęby i spojrzał na nią z ukosa.

- Tak.

- Dlaczego? Przecież bardzo się zmieniłam. Wypadek, potem operacje plastyczne... moja twarz wygląda teraz inaczej. A ty nie widziałeś mnie od ponad dwunastu lat.

Nick cisnął kierownicę tak mocno, że zbieleły mu kostki, a na dłoniach wystąpiły krople.

- To prawda.

- Wiem, skąd wiesz?

Nie odpowiadał, więc dotknął jego ramienia.

- Skąd, Nick?

- Bo widzisz, jak na ciebie reaguję, do cholery! - Spojrzał na nią z ukosa. - Zaczniemy od ostatniej nocy - powiedział, zjeżdżając na chodnik. - Sama wiesz, co się stało.

- T-tak - odpowiedziała, spuszczając głowę.

- Rzadko tracę panowanie nad sobą w taki sposób, Marla - powiedział powoli. - To nie w moim stylu. - Jego niebieskie oczy patrzyły na nią tak przenikliwie, że Marla miała ochotę zapaść się pod ziemię. - Co takiego zdarzyło mi się dotychczas tylko jeden raz. Dawno temu. - Uśmiechnął się krzywo. - Szkoda, że tego nie pamiętasz.

Marla buntowniczo uniosła podbródek.

- Owszem, wielka szkoda - powiedziała. - Nie obchodzi mnie, co się kiedy wydarzyło między nami, Nick. Po prostu chcę pamiętać.

- Cóż, mnie obchodzi, co się wtedy stało, moja pani. Obchodzi mnie i pamiętam to i nie mam najmniejszego zamiaru przerabiać tego po raz drugi.

Zjechał na szosę i wyminął samochód zwalniający przed skrętem w boczną ulicę.

Marla, poruszona, wtuliła się w krętko siedzenia. Miała wrażenie, że całe jej życie składa się z niepasujących do siebie elementów. A to, co się dzieje między nią a Nickiem, jest tak niepewne, ulotne i ryzykowne, takie przerażające.

- Lepiej, żebyśmy odnalazli tę Kyles.

- Jeśli ona w ogóle istnieje.

- Tak.

Nick umilkł, wrzucił czwórkę i dodał gazu. Marla, zając rękę na piersi, nerwowo poruszała stopami. Wiedziała, że Nick jest jej jedynym sprzymierzeńcem, a zarazem największym wrogiem. Czuliła, że może mu zaufać, ale powtarzała sobie, że jest ostatnią osobą, której powinna wierzyć. W końcu ten człowiek nigdy jej nie wybaczył, od dawna chował wobec niej uraz.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział, skręcając do Sausalito, zamiast wjechać na autostradę prowadzącą do San Francisco.

Przycupniła nad zatoką, po północnej stronie mostu Golden Gate, miejscowo była malowniczo położona na wzgórzach. Domki w pastelowych kolorach, kwiaty, widok na migotliwą, zieloną wodę.

- Gdzie jedziemy?

- Pomyślałem, że sprawdzimy jeszcze adres Pameli Delacroix.

- Po co?

- Żeby pobudzić twoją pamięć - odparł Nick. Teraz był już spokojniejszy, gniew sprzed kilku minut zniknął. - Jeśli chcesz.

- Zawsze warto spróbować.

Nick zjechał na przystań nad Zatokę Richardsona i zaparkował na miejscu dla mieszkańcówek.

- Pam mieszkała na barce? - spytała Marla, patrz c na kołysz c e si przy drewnianym pomo cie pływaj c e domy.

- Odk d si rozwiodła. - Nick wskazał sploty od sło ca dok przy dwupi trowym domku, a Marla miała wra enie, e zaraz zobaczy ducha. Próbowała wyobrazi sobie widzian na zdj ciach kobiet , mieszkaj c tu dzie po dniu, wracaj c do tego domu z zakupami, dzwoni c do córki, planuj c sprzeda kolejnych nieruchomo ci... ale niczego nie potrafiła sobie przypomnie .

Rozpaczliwie usiłuj c przypomnie sobie cokolwiek, co dotyczyło tej kobiety, Marla wyskoczyła z furgonetki i zatrzasn ła za sob drzwiczki.

Cho dzie był jasny, a niebo, poza kilkoma chmurami nadci gaj cymi z zachodu, czyste, Marla miała ochot skry si w cie przed oczami s siadów, którzy, by mo e, podgl dali ich teraz zza aluzji. Wiał zimny, listopadowy wiatr. Marla podeszła do frontowych drzwi z wyrze bion na nich czapl , trzymaj c w dziobie tabliczk z powitalnym napisem. Nick zapukał gło no. Czekali chwil , ale nikt nie podchodził do drzwi. aluzje pozostały nieruchome. Przesłaniaj c dłoni oczy, Nick próbował zajrze do wn trza.

- Nie spodziewała si chyba, e kogo tu zastaniemy, prawda? - spytała Marla, wpychaj c gł boko do kieszeni zzi bni te dłonie.

- Nie, ale pomy lałem sobie, e je li tu przyjedziemy, mo e co ci si przypomni.

- ałuj , ale nic z tego. - Marla patrzyła na drewniany dom, na stare okiennice i doniczki z terakoty stoj ce przy drzwiach. Teraz nie kwitły w nich ju kwiaty, sterczały tylko sm tne, zeschłe badyle. Dom był pusty. Marla przebiegł dreszcz, kiedy weszła na pomost, po którym zapewne Pam chodziła tyle razy, podlewaj c kwiaty i maluj c por cze.

Pewnie cz sto opalała si na którym z ogrodowych krzeseł, ustawionych pod daszkiem na górnym pomo cie. Marla odczuwała gł boki smutek na my l o tej kobiecie, której nie pami tała. Weszła na schodki. Na górze tak e wszystkie okiennice były zamkni te.

- Mam wra enie, e chodz po jej grobie - powiedziała Marla, krzy uj c ramiona.

Woda z cichym pluskiem uderzała o słupy pomostu. Marla patrzyła na Angel Island po drugiej stronie zatoki i my lała o kobiecie, z któr jechała samochodem, o kobiecie, któr widziała na zdj ciach. Ale niczego nie potrafiła sobie przypomnie . Ci gle nie znała odpowiedzi na pytania, dr cz ce j od chwili, kiedy wyszła ze pi czki. Potrz sn ła głow i spojrzwała na Nicka.

- Przykro mi, nic z tego nie b dzie. Skoro twierdzisz, e to dom Pam, wierz ci, ale nie mog tego potwierdzi .

- Có , to był tylko taki pomysł. Strzał na o lep.

- Chybiony, niestety. - U miechn ła si Marla. Zaczynała ufa Nickowi, polega na nim. Wierzy mu. Co było czystym szale stwem.

Pomy l o tym, co stało si ubiegłej nocy, Marla. Nie mo esz mu ufa , je li chodzi o tego człowieka, nie mo esz ufa sobie samej.

Nick stał tyłem do niej, opieraj c si o por cz i patrz c na wod . Wiatr rozwiewał jego czarne włosy. Czarna kurtka uniosła si troch , ukazuj c pasek u spodni i spłwiały d ins starych, lu nych lewisów.

Obejrzał si przez rami i Marla szybko odwróciła wzrok.

- Chyba powinni my ju wraca - powiedziała, dostrzegaj c k tem oka u miech na jego twarzy. Cholera. Wiedział, e na niego patrzyła.

Czasami był taki arogancki. Dra . Ruszyła do furgonetki, w duchu nazywaj c si koronn idiotk . Co takiego było w tym m czy nie, e ilekro znalazł si w pobli u, zaczynała

fantazjowa o kochaniu się z nim - nawet kiedy próbowali rozwiłła tajemnic jej życia.

Cholera. Cholera. Cholera. Usiadła jak najdalej od niego.

- Musz się zobaczyć z Paterno - powiedziała, kiedy już ruszył. - Obiecałam mu, że przyjadę zło i o wiadzenie.

Nick spojrzał na zegarek.

- A może zrobilibyśmy sobie jeszcze jeden przystanek?

- Gdzie?

Nick posłał jej ten swój uśmiech niegrzecznego chłopca.

- Już czas, żeby wróciła na łono kościoła. - W jego oczach zapaliły się złote iskierki. Skręcił w stronę centrum miasta, po czym zjechał w boczne ulice. Pięć przecznic dalej zwolnił i wskazał nowoczesny budynek kościoła. - Oto królestwo Cherise i Donalda.

Pomalowany na szaro kościół, z wieżą pokrytą miedzią, był najokazalszym budynkiem w okolicy. Na fluorescencyjnej tablicy widniały godziny mszy i spotkania zaplanowanych na przyszły tydzień. Wielebny Donald Favier miał wygłosić kazanie na temat ceny grzechu. Pod ogłoszeniem zacytowano werset z Psalmów. Parking sprawiał wrażenie nowego. Stało na nim kilka samochodów osobowych, duży, czarny Volvo i ciemny jeep.

Nick zwolnił. Marla patrzyła przez okno na szerokie wejście i podwójne, rzeźbione drzwi.

- Wydaje mi się, że byłam tu już kiedyś - powiedziała, chcąc uchwycić mglisty cień jakiego wspomnienia, który nagle pojawił się w jej umyśle. Zagryzła wargi, starając się rozproszyc mrok niepamięci.

- Wejść my do środka. Zobaczymy, co jest grane. - Nick wjechał na parking. Marla wyskoczyła z samochodu, zanim zdążył zamknąć drzwi i schować kluczyki do kieszeni. W miarę jak zbliżali się do budynku kościoła, Marla odczuwała coraz większą pewność, że już była w tym miejscu, choć nie było to za dnia i nie śpiewała tu hymnów ani nie słuchała kaza



wielebnego. Nie. Wizja, która pojawiła się w jej umyśle, była mglista i mroczna. Marla miała niejasne wrażenie, że wtedy przybyła tu, żeby się z kim spotkać.

Nick prawie deptał jej po piętach, wbiegła więc po kilku szerokich stopniach. Nick pierwszy sięgnął do klamki, chcąc otworzyć przed nią drzwi. Były zamknięte na klucz.

- Cholera - zaklął Nick.

- Refren mojego życia - stwierdziła Marla, ale kiedy na nią spojrział, tylko machnęła ręką. - Ostatnio do czego zdarza mi się trafiać na zamknięte drzwi.

- Nie sądzę, żeby Pan Bóg pracował tylko od dziewiętej do piątej - zauważył Nick.

Odpowiedziało mu przejmujące spojrzenie Marli.

- Może po prostu wyszedł na lunch - dodał.

- Bardzo zabawne.

- Też tak myślałem.

Marla spojrzała na niego surowo.

- To kompletny brak szacunku. Zupełnie nie na miejscu - powiedziała, ale może miała się, schodząc po schodach.

- Chciałem tylko poprawić ci nastrój.

- W porządku, więc jesteś zabawny.

Wyłożył kamieniami chodnik ruszyli w stronę zabudowania na tyłach kościoła, gdzie, zgodnie z napisem na metalowej tabliczce, znajdowało się biuro. Nick zapukał, po czym przekrzyknął głośno. Drzwi ani drgnęły.

- Pasma sukcesów - rzucił ironicznie. W tej samej chwili usłyszeli odgłos ruszającego za kościołem samochodu. Opony głośno zapisały na asfalcie. - Nie wydaje ci się, że udało nam się kogoś spłoszyć? - spytał, biegnąc w tamtą stronę.

Marla z trudem dotrzymywała mu kroku. Okręcili kościół i zatrzymali się na parkingu.

Furgonetka Nicka stała tam, gdzie ją zostawili, dwa samochody i volvo też były cięgle na swoich miejscach.

- Kilka minut temu stał tu jeszcze jeep, prawda?

- Rzeczywi cie. Chyba tak. - Marla kiwn ła głow , z trudem łapi c oddech, zm czona po krótkim biegu. - Stał tam, przy tym krzaku. - Ci ko dysz c, wskazała r k na zmarniał forsycj . Dobry Bo e, naprawd straciła kondycj .

- Mnie te si tak wydaje. - Nick spojrział na puste miejsce na parkingu.

- To mo e by tylko zbieg okoliczno ci, e kierowca tego samochodu postanowił st d odjecha w chwili, kiedy...

- Akurat. - Zmarszczywszy brwi, rozgl dał si naokoło, szukaj c jeepa w ród sun cych wolno ulic samochodów. - Cholera! - Kopn ł kamie , który potoczył si pod stoj cego nieopodal pontiaca. - Widziałem ju takiego jeepa. Tego wieczora, kiedy Cherise przyszła do mnie do hotelu. Kto przyjechał po ni takim samochodem. - Nick nie spuszczał wzroku z ulicy, jakby chciał si woli zmusi uciekiniera do powrotu.

- W okolicy s pewnie dziesi tki czarnych jeepów - powiedziała Marla. Osłaniaj c dłoni oczy, patrzyła w stron zachodz cego sło ca. -Nie byłoby te nic dziwnego w tym, gdyby ta sama osoba, która przyjechała wtedy po Cherise, pojawiła si dzi w ko cie. Mo e ten samochód nale y do jej m a albo do jednego z jej przyjaciół, albo do kongregacji.

- Mo liwe. Ale czy to tylko zbieg okoliczno ci, e ten, kto przyjechał tym samochodem, zwiął, skoro tylko si tu pojawili my?

- Mo e.

- A mo e nie - odparł Nick. Jego dobry nastrój znikł. Znad Pacyfiku zacz ły nadci ga ciemne chmury. - Nie wierz w zbieg okoliczno ci.

- Ja te nie - przyznała Marla. - Ale czemu ten kto miałby st d ucieka , zamiast czeka w ukryciu, a st d pójdziemy?

- Mo e s dził, e włła nie jego szukamy. e mamy klucz albo e chcemy włłama si do rodka. Kto wie? - Nick podszedł do furgonetki i otworzył drzwi - Jed my st d.

Marla nie oponowała. Nagle ogarn ły j złe przecucia.

Wsiedli do samochodu i ruszyli na południe. Nick niewiele mówił, patrzył na drog ze zmarszczonymi brwiami, ciskaj c nerwowo kierownic .

- Jeste umówiona z Paterno, tak?

- Tak. Mam adres komisariatu. - Marla wyci gn ła z torebki wizytówk detektywa. - Wiesz, nikt nie znalazł torebki, któr miałam przy sobie w dniu wypadku, wi c nie mam adnego dokumentu potwierdzaj cego moj to samo . Nie mam dowodu osobistego, pieni dzy, nic. Zakładam, e miałam w niej prawo jazdy, karty kredytowe, zapewne tak e klucze i pilota do drzwi gara owych.

- Nie znale li przy tobie torebki? - Nick wjechał na most.

Marla patrzyła na spokojne wody oceanu. Na horyzoncie dostrzegła kilka kutrów rybackich i trawlerów. Niebo pociemniało, w stron l du ci gn ły znad oceanu g ste, szare chmury.

- Tak twierdzi policja, ale w domu tak e jej nie znalazłam. - Zniech cona, przeczesaa włosy palcami. - Ale znalazłam ten pier cionek, prezent od ojca. W kasetce na bi uteri , któr kilkakrotnie przedtem przeszukiwałam. Zupełnie, jakby kto go tam podło ył.

- Kto wiedział, e go szukasz?

- Chyba wszyscy.

- Alex?

- Tak, a co? My lisz, e mógł go zabra ? - spytała Marla, cho sama rozwa ała ju tak mo liwo . Jej m był taki skryty, nadopieku czy, zachowywał si , jakby si bał, Bóg jeden wie czego.

- Nie wiem - odparł Nick. - Ale wczoraj pojechał gdzieś w środku nocy. Może wybrał się do Conrada, nic nikomu nie mówił.

- To nie grzech odwiedzić chorego teścia - przypomniała Marla.

- W tajemnicy przed wszystkimi? Zawsze, już jako dziecko, był skryty. Teraz jest gorzej niż zwykle. - Nick wcisnął hamulec, żeby nie wjechał w tył jadącego przed nimi minivana, który nagle zwolnił. - Ciekawe, w co on się znowu wplątał. - Ruch na ulicy zelał, więc znowu mogli przyspieszyć. Przejechali przez Presidio i skręcili na południe. - Zanim pojedziemy na policję, odwiedźmy jeszcze twojego brata.

- Tak, to dobry pomysł - odrzekła Marla, choć w pierwszej chwili miała ochotę zaprotestować. Nie spodziewała się ze strony Rory'ego cieplejszego przyjęcia niż to, które zgotował jej ojciec.

A było jeszcze gorzej, niż się spodziewała. Budynek zakładu, stary, lecz starannie odnowiony, od frontu został obłożony żółtawymi cegłami klinkierowymi. W środku było czysto i jasno.

- Przykro mi - odparła pielęgniarka w recepcji, wysłuchawszy Marli - ale nikt nie ma tu wstępu poza rodzinę. Jeśli nie ma pani przy sobie żadnego dokumentu, potwierdzającego to, że jest pani Marla Cahill, to, niestety, nie mogę pani wpuścić.

- A ja? Jestem szwagrem Marli. - Nick wyłożył swoje prawo jazdy wydane w Oregonie i pokazał pielęgniarce.

- Przykro mi - powtórzyła, po czym zwróciła się do Marli. - Będzie pani mogła spotkać się z bratem, kiedy okaże pani dowód tożsamości.

- Ale...

- To regulamin naszego szpitala.

Piel gnianka była niewzruszona. Marla wyszła na zewn trz zniech cona i przybita.

- Na razie chyba nie najlepiej mi idzie z rodzin - mrukn ła, podnosz c kołnierz płaszczka.

Ruszyli chodnikiem do samochodu.

- Mo e pó niej b dzie lepiej - powiedział Nick bez przekonania.

Wsiedli do furgonetki i wyjechali z parkingu. Pot ne drapacze chmur rzucały cie na ulice miasta i spiesz cych chodnikami pieszych. Ryksze i rowery wyprzedzały sun ce powoli samochody. Gdzie , kilka przecznic dalej, wyła syrena.

- Czy Alex powiedział ci, gdzie wczoraj pojechał? - spytał Nick.

- Nie widziałam si z nim dzisiaj. Nawet nie jestem pewna, czy wrócił do domu - przyznała Marla. - Carmen powiedziała mi, e miał dzi rano jakie spotkanie.

- To nie była jego pierwsza nocna eskapada. - Nick spojrział na znaki i skr cił w lewo. - Tamtej nocy, kiedy zabrał ci do domu po wizycie u doktora Robertsona, te gdzie pojechał. Nie wspomniął ci o tym?

- Nie - powiedziała Marla, zaciskaj c palce na podłokietniku. Czowała nerwowe łaskotanie w oł dku. - To, co robi mój m , jest dla mnie tajemnic - stwierdziła. Próbowwała znale jakie usprawiedliwienie dla post powania Aleksa, ale nic nie przychodziło jej do głowy. - Wiem, e jest w trakcie jakich bardzo wa nych negocjacji z japo skimi inwestorami, ale poza tym nie mam poj cia, czym si zajmuje.

- Nie s dzisz, e to dziwne?

Marla za miała si , ale bez wesoło ci.

- Całe moje ycie jest dziwne, Nick - odparła. - Mam m a, który mi nie ufa, córk , która mnie odrzuca, te ciow , która uwa a, e potrzebuj stałego dozoru, dziecko, które wła nie sobie przypomniałam, ojca, który mnie nienawidzi i uwa a za intruza, i szwagra, który... który...

- Który co?

Marla zamilkła. Nie umiała przyznać się do tego, co czuła do Nicka. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że jej pociąga, że pod jego dotykiem mięknie jej kolana, a krew zaczyna wrzeć w żyłach.

- Który... który mnie niepokoi - powiedziała w końcu, a Nick uśmiechnął się krzywo, słysząc to niedopowiedzenie. - Tak czy inaczej nie wygląda to jak „Pełna chata” i ma niewiele wspólnego z typowymi szczepionkami, amerykańskimi rodzinami. Tak, Nick, uważam, że to dziwne. Bardzo dziwne. Mam tylko nadzieję, że rozeznam się w tym wszystkim, zanim do reszty postradam zmysły.

- Albo zanim ktoś ci zamorduje - dodał z powagą Nick.

- Zamorduje? - powtórzyła zdumiona. Nie, nie da się zwariować. Nie weźmie udziału w żadnej melodramatycznej paranoi. Rozważała wprowadzić mołotow, ale kto usiłuje pozbawić ją życia, ale w końcu zawsze odrzucała ten pomysł. Uważała, że strach podsuwa jej takie myśli. Teraz, kiedy usłyszała to od kogoś innego, poczuła nagle, że to może się okazać realne. Jednak nie chciała w to uwierzyć.

- Pomyśl o tym - upierał się Nick. - Tamtej nocy, kiedy wydarzył się wypadek, widziała kogoś na drodze, kogoś, kto próbował ci pomóc, prawda?

- Cóż, może.

- To mogło być zaplanowane. - Nick ostro wszedł w zakręt.

- Chwileczkę. Chyba za szybko wyciągasz wnioski. Skąd ten ktoś miałby wiedzieć, że będzie jechał samochodem Pam dokładnie w tym miejscu i o tej godzinie?

- Nie mam pojęcia, ale to przecież mołotow. Póki nie wydawało ci się, że ktoś ci grozi, pochylaj się nad twoim łóżkiem, a następnie ogarnęły cię mdłości i niewiele brakowało, aby się udusiła. Kto mógł zrobić ci zastrzyk albo dosypać czegoś do jedzenia.

Marla chciała zaproponować, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Nick tylko wyraził na głos jej własne obawy, które od dawno ją nęczyły, choć nie chciała się do tego przyznać.

- Kto mógłby chcieć mojej śmierci?

- Myślałem, że może ty wiesz.

Marla zamknęła oczy i oparła głowę o zagłówek.

- Ja nawet nie wiem, kim jestem, więc tym bardziej nie mam pojęcia, kto znajduje się na czele listy moich osobistych wrogów. - Czuję, że ból w szyi wraca, tępy, pulsujący i nieustający. - Zresztą po co ten ktoś miałby zadawać sobie tyle zagonu, zamiast po prostu mnie zastrzelić?

- Bo chcę, żeby to wyglądało na wypadek.

- Chcę. Wiem, że mamy już więcej niż tylko jedną osobę. - Marla westchnęła i potrząsnęła głową, patrząc na potłuczone, siogajce nieba budowle. - Niemożliwe. To zbyt naciągane. Miałam wypadek. Mnóstwo osób ulega wypadkom. Zaczęłam wymiotować, bo mam wydelikacjonowany dek, a moje nerwy są w nie najlepszym stanie. To wszystko. Nie ma w tym nic niezwykłego - powiedziała, chcąc przekonać samą siebie. Nikt nie ma zamiaru jej zabić.

A jeżeli jednak jest inaczej?

Nick znalazł parking i skręcił. Wyjął bilet z automatu i wjechał na podjazd, szukając wolnego miejsca między stojącymi samochodami.

- Ale dlaczego ktoś miałby chcieć mnie zabić? - spytała.

- Bo boi się ciebie. Boi się tego, co możesz sobie przypomnieć.

Marli nagle zrobiło się zimno.

- Czy dlatego wprowadziły się do domu? - spytała. - żeby mnie chronić?

- To jeden z powodów - przyznał Nick, wjeżdżając między bmw a hondę, stojące w trzecim rzędzie. Zatrzymał samochód i zgasił silnik. - Jesteś twarda, Marla, ale jednak ktoś powinien cię ubezpieczyć.

- A ty zgłosiłaś się na ochotnika?

Nick nawet się nie uśmiechnął. Wyciągnął kluczyk ze stacyjki.

- A masz innego kandydata?

- Wolałabym myśleć, że sama umiem o sobie zadbać.

- Ty nie pamiętasz nawet, kim jesteś. - Przysunął się do niej tak blisko, że prawie zetknęli się czubkami nosów. Marla poczuła zapach piwa i skóry. Nick pogłaskał jej dłoń. - Czy znasz naszą historię, nie sądzisz, że jestem ostatnią osobą, która pragnęłaby zostać twoim osobistym ochroniarzem? - Jego oczy były mroczne, jakby odbijała się w nich nadciągająca noc, jego ręka ciepła.

- T-tak - odparła, starając się nie patrzeć na jego wściekłe usta, nie czując ciepła bijącego od jego ciała, tak intensywnego, że na szybach samochodu zaczęła osiadać para. - Ale mam matkę...

- Z którym nie pisz, którego nigdy nie ma w domu, który wyjeżdża i nie wiadomo dokąd w rodunku nocy - przypomniał jej. - Któremu nie ufasz.

Marla przełknęła ślinę. Sięgnęła do klamki i zacisnęła palce na chłodnym metalu.

- Chcesz mi powiedzieć, że nigdzie nie jestem bezpieczna, nawet we własnym domu?

Oczy Nicka były miernie powalone.

- Tak, właśnie to chcę ci powiedzieć.

- Ale to tylko twoje przypuszczenia, które może i nie mają wiele wspólnego z prawdą.

- Mam nadzieję. Na Boga, mam nadzieję - stwierdził z powagą.

Marla czuła na twarzy jego ciepły oddech, patrzyła prosto w jego zagadkowe oczy i czuła, że znowu ogarnia ją gorąca fala po daniu. O nie, nie może mu znowu ulec. Otworzyła drzwiczki.

- Chodźmy zobaczmy się z detektywem.



- Znowu wszystko spieprzyłe ! Jezu, ale z ciebie kretyn! -  
Głos po drugiej stronie był nabrzmiały w ciekło ci . - To takie  
trudne, załatwi kogo ?

Miał ochotę powiedzieć sukinsynowi, żeby się odpieprzył.  
Stojąc w budce telefonicznej, w gęstniejącym z każdą chwilą  
mroku, marzył o tym, by móc sięgnąć do niego w tej chwili gardła i  
mocno cisnąć .

- Słuchaj, jeżeli tak bardzo ci zależy, żeby Marla zginęła,  
zrób to sam - warknął, wiedząc bardzo dobrze, że ten gnojek  
po prostu boi się splamić swoje białe jak lilijki rękawy.  
Tchórz ostatniego rzędu.

- Mamy umowę .

- Wiem. - Uspokoił się trochę . Kiedy tam oka obserwował  
grupkę nastolatków z trudnością utrzymujących się na smyczy  
dużego psa, który najwyraźniej miał zamiar rzucić się pod  
nadjeżdżające samochody. - Zajm się tym.

- Nie. Nie teraz. To zbyt ryzykowne. Ona zaczyna  
odzyskiwać pamięć . I będziemy mieć coraz mniej okazji.  
Wkrótce wszyscy zaczną coś podejrzewać , i cznie z policją .

Uśmiechnął się , słysząc nutkę paniki w głosie tego drania.

- Zrobi to dziś w nocy - obiecał. - Zaraz się tym zajmę .

- Nie... nie w domu. Wszyscy stali się tam bardzo czujni.  
Opracuj pewien plan. Ale musimy zaczekać .

- To tobie strasznie się spieszy, żeby zobaczyć ją martwą .

- A tobie nie?

Poczuł, że spoczęło mu się dłonie. Cisnął palcami  
słuchawkę telefonu.

- Prawdę mówiąc, mnie się nie spieszy. Wręcz  
przeciwnie, chciałbym to zrobić powoli. Słyszę , jak błaga o  
litość .

- Cholera. Jesteś bardziej popieprzony, niż się dziłem. Ale  
zostawmy to na razie. Dopóki tego nie rozpracujesz . Może  
będziemy musieli poczekać , a stary się zawinie. Wtedy j

załatwisz. I ycz sobie, eby zrobił to sprawnie. Nie... nie torturuj jej.

- A có ciebie to obchodzi? - Dra po drugiej stronie najwyra niej zaczynał mie wyrzuty sumienia. Czy to nie szczyt wszystkiego? Za miał si i wyci gn ł paczk papierosów z wewn trznej kieszeni kurtki. - Za to chyba mi płacisz, nie? Bo jestem popieprzony. A tak e dlatego, e i ja mam co na ciebie, mój przyjacielu.

- Wyja nijmy sobie jedno, dobrze? Nie jeste my przyjaciółmi. Nigdy nimi nie byli my i nie b dziemy. To tylko... interesy.

Włó ył papierosa do ust.

- Wi c wi zy krwi ju si nie licz ?

- Bzdura. Obaj to wiemy. Teraz czekaj, a si z tob skontaktuj . Wtedy zrobisz, co do ciebie nale y, a ja ci za to zapłac .

- Lepiej, eby to zrobił. Bo je li nie zobacz pieni dzy, je li b dziesz próbował nawia , ja opowiem policji i gazetom prawdziw histori . O tobie i twoich grzeszkach, które tak bardzo starasz si ukry . Wszystko, co zrobię , zostało udokumentowane, amigo, wszystko. Ł cznie z tym głównem w Cahill House. Starczy tego, eby wsadzi twoj dup do pierdla. Wi c lepiej nie próbuj adnych numerów.

Rzucił słuchawk i podniósł kołnierz. Znad oceanu wiał zimny, porywisty wiatr. Co za dupek. Poczekaj, ty draniu. Min ł kilka przecznic, przebiegł przez ulic tu przed tramwajem i wmieszał si w tłum turystów na Fisherman's Wharf. Kostka ci gle jeszcze go pobolewała, przypominaj c, e nie udało mu si załatwi Marli. Naprawi to, i to ju niedługo.

Sprzedawcy gło no zachwalali wie e kraby i gor c zup rybn . Ponad szum samochodów i gło sy turystów wybijał si od czasu do czasu przeci gły ryk lwów morskich. Powietrze było czyste i zimne.

Pał c papierosa, zrównał si z par starszych Azjatów, skulonych na wietrze, i zwolnił kroku. Cały czas myślał o Marli. Ksi niczka. Pi kna i bogata. I gor ca. Najgor tsza cipka, jak zdarzyło mu si mie .

Kiedy wydawało mu si , e j kocha.

Ale zawsze był durniem, je li chodziło o kobiety. Teraz ona wywn trza si przed tym detektywem, do którego pojechała razem z tym... bratem. Czy to z nim widział j wczoraj w nocy w oknie? Czy to on był tym m czynn , którego twarzy nie zdołał dojrze , a który dotykał jej nagiego ciała? A mo e był to jej m ?

Tak czy inaczej ten widok go podniecił.

Tak, z przyjemno ci j załatwi, ale opracuje swój własny plan, nieco bardziej osobisty. O to wła nie chodzi. To musi by ... intymne... podniecaj ce... i skuteczne. Guzik go obchodzi, czego yczy sobie dra , który za to zapłaci. To jego gra, a on chce widzie jej twarz, kiedy b dzie umierała - chce, eby wiedziała, kto si na niej m ci. Wyobra ał sobie jej oczy, otwieraj ce si szeroko, kiedy go ju rozpozna, jej wargi dr ce z przera enia, jej błagania o lito .

Jeszcze tylko raz, kotku. Czuł, jak na my l o jej strachu ogarnia go podniecenie. Wyrzucił niedopałek papierosa do cieku i pchn ł drzwi jednego z barów serwuj cych ryby i piwo. Usiadł na stołku przy barze, zamówił piwo i patrz c na drobn kelnerk z wielkimi piersiami, zaczą ł si zastanawia , czy zanim zabije Marl , nie mógłby jeszcze raz przelecie .

## 15

Wi c nadal nie pami ta pani, dlaczego była pani tej nocy z Pamel Delacroix? - spytał Paterno, kołysz c si na krze le w swoim zagraconym biurze. Było tam ciasno, duszno i pachniało st chł kaw .

- Niestety. - Marla patrzyła mu prosto w oczy. Siedziała na brzegu krzesła po drugiej stronie jego biurka. - Je li chodzi o kobiety, to niewiele pamiętam, ale to tylko kwestia czasu. Szybko, a wkrótce pamięć mi wróci, a wtedy zaraz dam panu znać. - Nie chciała, żeby usłyszał w jej głosie irytację, ale było to silniejsze od niej.

Rozmawiali już od ponad godziny, Marla podpisała oświadczenie dotyczące wypadku i zaczynała odczuwać zmęczenie. Wszystko jej bolało, a dociekliwość detektywa ją irytowała. W czasie przesłuchania Nick na ogół milczał, siedząc koło niej na identycznym krześle po drugiej stronie biurka, zza którego Paterno uważnie obserwował ich oboje przez przesunięte na koniec nosa okulary. Na biurku leżały teczki z aktami, stał komputer, wszędzie widać było okręgi lądowania po kubkach z kawą. Z tyłu, za biurkiem, wisiała tablica, do której przypięto zdjęcia z kilku różnych spraw. W jednym rogu zgromadzono fotografie rozbitego czarnego mercedesa, zakrwawionego ciała Pam, resztek zgniłej ciemnej arówki i wielkiej wyrwy w barierce. Marla z trudem oderwała oczy od tych makabrycznych obrazów. Zadrżała, kiedy przypomniała sobie tę noc i przeraźliwy krzyk Pam.

- Słyszałem, że ktoś wzywał z waszego numeru ambulansu, a potem zrezygnował.

- Złe wie ci szybko się rozchodzi - zauważył Nick.

- Komputery. Wszystko jest dzisiaj połączone. - Paterno spojrzął na Marla. - Co się stało?

Nie było powodu, by ukrywać prawdę, więc Marla opowiedziała policjantowi o tym, jak zaczęła nagle wymiotować, a potem wolała pojechać do kliniki, żeby zbadał ją doktor Robertson. Kiedy mówiła, Tony Paterno, rozparty w swoim krześle, miarowo, z nabobym stwem uśmiechał się gumy, jakby był to ostatni kawałek gumy do uciskania na ziemi i notował coś na małych, żółtych karteczkach. Kiedy Marla skończyła, podniósł na nią wzrok z nadokularów.

- Zdaje się, że miała pani sporo szczęścia.
- Rzeczywiście.
- Dlaczego zrobiło się pani niedobrze?
- Nie wiem.

Paterno spojrzął z ukosa na Nicka.

- Dobrze, że pan Cahill poradził sobie z tymi drutami.

Wielkie szczęście, że akurat był w pobliżu.

- To prawda. - Marla uniosła trochę głowę. Zrozumiała insynuację zawartą w pytaniu policjanta, który najwyraźniej podejrzewał, że spędziła tamtą noc z mężczyzną, który nie jest jej mężem. Postanowiła to zignorować.

- Wprowadził się pan z powrotem do domu? - spytał Paterno Nicka, uważnie przyglądając mu się czarnymi, przenikliwymi oczami.

- Zgadza się.
- Dlaczego?

Nick uśmiechnął się szeroko, tym swoim uśmiechem, który mówił wyraźnie: „Lepiej ze mną nie próbuj”. Marla już dobrze go знаła.

- Cóś, co się w końcu poddałem się presji rodziny.
- Czyjej konkretnie?
- Mojej matki. Mojego brata.

Paterno uniósł brwi.

- Nie wygląda mi pan na gościa, który pozwala sobie komukolwiek wodzić za nos.

- Zależy, kto mnie wodzi - powiedział Nick, cięgle się uśmiechając, ale w jego oczach zapaliły się wyzywające iskierki. Paterno dał za wygraną. - Doszedłem do wniosku, że już czas. Tamtej nocy nabrałem co do tego pewno ci.

- Ponieważ pani Cahill leżała sobie?

- Ponieważ niemal nie umarła. - Uśmiech znikł z twarzy Nicka. - Jak pan powiedział, dobrze, że akurat byłem w pobliżu.

Paterno pokiwał głową i w zamyśleniu podrapał się po szyi.

- A gdzie był pani mąż ?

Dobre pytanie.

- Nie było go w domu. Pojechał na służbowe spotkanie. Paterno wziął raport z biurka i poprawił okulary.

- Mam tu napisane, że wzywali cię karetką o 11.50 wieczorem.

- To by się zgadzało - Nick założył nogę na nogę, opierając zniszczonego adidasa na kolanie.

Paterno nadal nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Nie sądzicie państwo, trochę późno na służbowe spotkanie?

Marli zrobiło się dziwnie gorąco. Spojrzała na detektywa ostro, choć sama czuła, że zastanawiała się, co właściwie robi jej tajemniczy mąż. Czym się tak naprawdę zajmuje? Dlaczego ona nie potrafi mu zaufać? I dlaczego wydaje jej się, że powinna go bronić przed tym policjantem, który po prostu wykonuje swoją pracę ?

- Alex czy ktoś pracuje do późna.

- Jak wiążesz nas. - Paterno rzucił raport na biurko i położył dłonie na pokrywy jego stercie papierów. - Pani Cahill, czy przychodzi pani do głowy jakiś powód, dla którego ktoś mógłby chcieć pani zabić ?

- Sądzi pan, że ktoś usiłuje mnie zamordować ? - spytała Marla z mocno bijącym sercem. Drugi raz w ciągu zaledwie kilku godzin ktoś całkiem poważnie sugeruje, że jej życie jest zagrożone, choć ona sama odrzuciła tak samo łatwo, uważając ją za element swojej paranoi.

- Jeśli pani zeznania są zgodne z prawdą, ktoś celowo wyszedł na drogę przed pani samochodem. Teraz jest pani prawdopodobnie jeszcze trochę zagubiona, więc nie wyciągnęłam pochybionych wniosków z tego, co pani przypominało. Ale póki nie znówu omal pani nie zginęła.

Zastanawiam się, czy ktoś nie mógł podać pani jakiegoś rodka powodującego wymioty, wiedząc, że może pani udusić?

- Nie, nie sądzę - odparła. - Jadłam kolację z rodziną na dole. Tego dnia pierwszy raz zeszłam, żeby zjeść z nimi kolację. Jadłam tylko zupę, ponieważ jeszcze cięgle miałam zadrutowaną szczękę. Pó niej jeszcze tylko coś piłam. Zawsze miałam przy sobie wodę, herbatę albo sok; zazwyczaj ktoś ze służyby przynosił dzbanek do mojej sypialni. Tego dnia nie dostałam żadnego nowego lekarstwa. Wszystko było jak zwykle. - Nagle postanowiła, że będzie z detektywem zupełnie szczerą. Pochyliła się ku niemu, opierając łokcie o brzeg biurka. - Chyba będzie najlepiej, jeśli powiem panu wszystko. Tamtej nocy ktoś obcy mógł być w moim pokoju.

- Do diabła, rzeczywiście będzie lepiej, jeśli powiem pani wszystko. - Paterno podniósł głowę i spojrzał na nią uważnie. - Kto to był?

- Nie wiem. Spałam, kiedy nagle odniosłam wrażenie, że słyszę, jak ktoś -jakiś mężczyzna - mówi szeptem: „Zdychaj, dziwko”, pochylał się nad moim łóżkiem. Ale kiedy wstałam i zapaliłam światło, w pokoju nikogo nie było. Sprawdziłam nawet całą piętę, ale doprowadziłam tylko do tego, że córka zaczęła uważać mnie za osobę niespełną rozumu. - Westchnęła. - Wyszło na to, że w domu nie było nikogo, kto nie powinien się w nim znajdować.

- Ale pani czuła, że kto był?

Marla wzruszyła ramionami.

- Nie mówiłam o tym wcześniej, bo nie jestem pewna. Mam poważny problem z pamięcią, miewam dziwaczne, bezsensowne sny i to wszystko mogłam sobie tylko wyobrazić. Ten głos mógł należeć do snu.

- Ale nie jest pani tego pewna?

- Nie - przyznała. Na myśli o tym, że ktoś istotnie mógł nachylić się nad nią, wyczuć jej miernicę, oblać ją zimnym potem. Tak blisko. Z taką nienawiścią. Z taką determinacją. - Ja... ja

niczego nie jestem pewna. Dzisiaj odwiedzili my mojego ojca. Był przekonany, e jestem kim innym, e mam na imi Kylie, a ja... tak niewiele pami tam. Nie byłam w stanie udowodni , e si myli.

- Jest chory, prawda?

- Ci ko - powiedział Nick. - Piel gniarka twierdziła, e to mo e by wpływ rodków przeciwbólowych.

- Ale pani nie wie, czy były to jego wymysły, czy te w tych majakach tkwiło ziarno prawdy. - Detektyw znowu zwrócił swój psi twarz do Marli, po czym zapisał co na karteczce. - Wi c zapytam jeszcze raz. Kto, pani zdaniem, mógłby chcie pani skrzywdzi lub zabi ?

- Nie wiem - odparła zrezygnowana.

Paterno spojrział na Nicka.

- Pan zdaje si by do blisko tego wszystkiego. Mo e ma pan jaki pomysł?

Nick zawahał si .

- Jestem tu od niedawna. Wiem tylko, e mój brat pracuje o najdziwniejszych porach i jest bardziej skryty ni kiedykolwiek.

- A jego firma ma kłopoty finansowe.

- Owszem.

- Dlaczego pan Cahill mógłby chcie zamordowa on ?

- Nikt tego nie powiedział - wtr ciła si Marla. - To nie Alex pochylał si wtedy nad moim łó kiem - dodała ostro. Rozpoznałaby jego głos. Ale nie było go w domu, prawda? Trzeba było po niego zadzwoni . Mo e wyszeptał swój gro b , wyszedł z pokoju i... i co? Wsiadł do jaguara i pojechał na pó ne spotkanie. - To nie był Alex.

- Mo liwe. Ale czy m ma jaki powód, eby pani zamordowa ? Jest pani wysoko ubezpieczona na ycie? Mo e m ma kochank ? Albo s dzi, e pani ma z kim romans? - spytał Paterno, spogl daj c spod oka na Nicka.

- Nie s dz .



Krzeseł zaskrzypiało przerażenie, kiedy Paterno wstał z za biurka.

- Brak nam konkretnego dowodu, a kto próbuje pozbawić pani życia. To, co tu mamy, to za mało, aby zapewnić pani policyjną ochronę.

- Jestem pewna, że nie ma takiej potrzeby - powiedziała Marla stanowczo. - Ten dom jest prawdziwym fortelem.

Paterno nie był przekonany. Nerwowo bawił się długopisem.

- Nie ma niezawodnych systemów alarmowych. Jeśli w pani pokoju naprawdę ktoś był, mamy dowód na potwierdzenie tej tezy. - Pogrzebał w papierach rozłożonych na biurku i wyciągnął kopię rysunku ołówkiem. - To portret pamięciowy człowieka, który prawdopodobnie zamordował Charlesa Biggsa. Jedna z pielęgniarek widziała go i z jej pomocy nasz rysownik stworzył ten podobiznę. - Podał szkic Marli, ale schematyczny wizerunek z nikim jej się nie skojarzył. Nick także nie rozpoznał twarzy z rysunku. - W porządku. - Paterno włączył komputer i szybko wystukał coś na klawiaturze. - Na podstawie rysunku opracowaliśmy to... - Na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny w okularach, z których wystają szczęki. Paterno odwrócił ekran, aby Marla mogła zobaczyć portret. Potrząsnęła głową.

- A teraz? - Paterno uderzył w jakiś klawisz i w systemie zniknął.

- Nie...

- A teraz? - Mężczyzna został pozbawiony okularów.

Paterno spróbował jeszcze kilku kombinacji, dodając broda, zmieniając kolor i linię włosów nad czołem, ale żaden z tych wizerunków nie Marli nie mówił.

- Musi pan pamiętać, że ja nie pamiętam nawet własnej rodziny - przypominała, sfrustrowana.

- A pan? - Paterno spojrzał na Nicka, który nachylił się do przodu, uważnie przyglądając się zmieniającej się twarzy.

- Nie... nie s dz - powiedział w ko cu.

Paterno, nie kryj c zniech cenia, wył czył komputer.

- Szukamy córki Pameli Delacroix - powiedział. - Wyszła za niejakiego Roberta Johnsona. Jak dot d nie zdołali my jej odszuka .

- Chciałbym si z ni spotka , kiedy ju j odnajdziecie - rzekła Marla. - eby zło y jej przynajmniej wyrazy współczucia, je li w aden inny sposób nie b d mogła jej pomóc.

- Zobacz , co da si zrobi - obiecał detektyw.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, potem Paterno zako czył spotkanie.

- Dobrze, wystarczy na dzisiaj, ale je li co si wydarzy, chciałbym si o tym zaraz dowiedzie .

- Oczywiście - zgodziła si Marla, wstaj c. - Przypuszczam, e nie odnaleziono mojej torebki? - Zarzuciła na rami torb , któr wzi ła z szary. - Na pewno miałam j tamtej nocy przy sobie.

- Jeszcze jej pani nie odnalazła? - Paterno zmarszczył brwi i postukał długopisem w biurko. - Jeszcze raz przeszukamy okolic .

- Dzi kuj .

Na biurku zadzwonił telefon. Detektyw podniósł słuchawk i przycisn ł j ramieniem do podbródka.

- Paterno, słucham... tak... nie, wła nie ko cz . Za pi minut b d na dole. - Odło ył słuchawk i si gn ł po swój kurtk . - Mówi powa nie. Je li zdarzy si co dziwnego, niezwykłego albo niepokoj cego, prosz do mnie zadzwoni .

- Oczywiście - zapewnił go Nick.

Kiedy wychodzili z komisariatu, zapadał ju zmierzch.

- Chod my na kaw - zaproponował Nick, kiedy czekali na zmian wiateł na przej ciu dla pieszych. Obok nich na chodniku zebrał si spory tłumek. Zaczynała si godzina

szczytu. Ulicami sun ły sznury samochodów. W wilgotnym powietrzu unosił si ci ki zapach spalin.

Gwałtowne powiewy zimnego wiatru szarpały płaszczem Marli, rozwiewały jej włosy. Nick trzymał j za łokie . Jego propozycja wisiała mi dzy nimi w chłodnym wieczornym powietrzu.

- Sama nie wiem - odparła w ko cu, cho miała wielk ochot sp dzi z nim jeszcze troch czasu, sam na sam, eby rozezna si we własnych uczuciach.

- Mówimy tylko o kawie.

Zmieniły si wiatła i tłum pieszych wypłyn ł na ulic .

- Powinam wróci do domu na kolacj . Nie widziałam Cissy od rana, a małego od południa. Jako matka - u miechn ła si do niego odrobin drwi co - mam troch obowi zków.

- Wi c we miemy kaw na wynos - powiedział Nick. Weszli na parking i w milczeniu ruszyli w stron furgonetki. Marla czuła t py ból w szcz ce, dr czyły j pytania, na które nie umiała sobie odpowiedzie . Kim wła ciwie jest? Dlaczego jej ojciec uwa a j za kogo innego? Dlaczego nic jej si nie przypomina? Dlaczego kto chce, eby zgin ła? Dlaczego, skoro jest m atk , czuje tak silny poci g do innego m czyzny?

Opadła na siedzenie i zamkn ła oczy. Odgłosy miasta - szum samochodów, pisk opon, tr bienie klaksonów - przycichły, kiedy Nick wł czył radio i rozległy si d wi ki jakiej piosenki country. Co ona wyprawia, nawet je li tylko jedzie z tym człowiekiem na kaw ? To nie wró y nic dobrego. W ko cu ubiegłej nocy miała okazj si przekona , jak łatwo czasem ulec pokusie. Nawet teraz na my l o jego dłoniach, bł dz cych po jej ciele, wsuwaj cych si pod satyn pid amy, nagie zrobiło jej si gor co.

A z drugiej strony, czy to istotnie byłby taki grzech?

Jej mał e stwo to farsa. Nawet nie sypia ze swoim m em.

Czemu nie miałyby raz pój na cało , odkry swe prawdziwe oblicze kobiety, która - czuła to - skrywa si w skórze Marli Cahill, w jej yciu, w jej domu?

Uniosła troch powieki i k tem oka zaczęła obserwowa Nicka. Twardy. M ski. Silny. Same mi nie i ci gna. Szorstki i szybki. Inteligentny. Zagryzła wargi. A on, jakby czytając w jej mylach, nagle odwrócił głowę i spojrzał na ni . Przez krótk chwilk patrzył jej prosto w oczy, a Marla miała wrażenie, że czyta w jej duszy jak w otwartej ksi ce. Wiedział, że on czuje to samo, co ona. Tu, w ciasnym wnętrzu samochodu, byli odciśnięci od pulsu tego na zewnątrz trzmięskiego ycia. Tylko chwilami wiatła nadjeżdżających z przeciwka samochodów rozpraszały intymny mrok. Marla wiedziała, że Nick czuje ten sam ogień . To samo po daniu. Odpowiedziała mu spojrzeniem gorącym jak samo piekło - i znacznie bardziej niebezpiecznym.

Nie rób tego, ostrzegła si w duchu, opierając si o drzwi od strony pasażera. Masz teraz inne problemy, by może ktoś próbuje ci zamordowa . Sama dobrze nie wiesz, kim jeste . Jeden niewinny pocałunek pocignie za sobą następny. Zaczniecie si dotyka . Pie ci . Tak jak ubiegłej nocy, kiedy niemal uległa . Niewiele brakowało, a popełniłaby największy błąd w swoim yciu. Masz wiele do stracenia - matkę, dzieci, dom i szacunek dla samej siebie.

Zamknęła oczy, starając si opanowa .

- Nie martw si - powiedział Nick, zwalniasc. Marla otworzyła oczy i zobaczyła, że szuka wolnego miejsca, gdzie mógłby zaparkowa .

- Ze mną jeste bezpieczna.

Akurat. Czułabym si bezpieczniej, stojąc w kałuży benzyny z zapaloną zapalką w ręce.

Uśmiechnęła si do siebie.

- Może ty nie jeste bezpieczny ze mną , szwagrze.

- Wiem o tym. - Zaparkował niedaleko nadbrzeża, przecniec za Ghirardelli Square, gdzie budynki z czerwonej cegły otaczały ratusz i wież zegarowy .

Wysiedli i Nick ruszył w stronę niewielkiej kawiarenki, specjalizującej się w kawach aromatyzowanych różnymi egzotycznymi dodatkami. Zamówili dwie kawy na wynos, wzięli po ciastku z tacy pełnej smacznych pastuszków i słodkich bułeczek i wyszli na zewnątrz z parą kubkami w rękach. Na ulicę opadała miękka mgła, zbierając się na rogach budynków dawnych składów, w których obecnie mieściły się sklepy i restauracje. Wśród gałęzi drzew migotały tysiące drobnych, białych wiaterek, uliczne lampy rzucały na ulicę bardziej błękitne, zamglone światło.

- Może powinieneś opowiedzieć mi o nas - rzekła Marla, kiedy wolno okrążyli stojące na środku placu fontanny z syrenami. - Ty wiesz, jak się poznaliśmy. Co robiliśmy razem.

- To było dawno temu.

- Może jednak przewiniesz ten film do tyłu, co? Widzisz, jedno z nas próbuje odzyskać swoje wspomnienia. - Obejmij obie dłonie mi kubek, upił łyk ciepłej kawy z mlekiem i oblizwała piankę, która osiadła jej na górnej wardze.

Nick odwrócił wzrok.

- Chyba masz rację. - Napił się kawy i spojrzał na Marle.  
- Wszystko zaczęło się jakieś sześć lat temu, siedemnaście lat temu. Mieliśmy oboje po mniej więcej dwadzieścia lat. Znaliśmy się włącznie od zawsze, bo nasi rodzice obracali się w tych samych kręgach. Ja ciągle wpadałem w jakieś kłopoty - alkohol, kobiety, albo i jedno, i drugie. Miałem problemy ze szkołą, nie lubiłem się uczyć, co moja matka napawało przerażeniem, a ojciec niesmakami. Kilka razy wpłacał za mnie kaucję. Có, nigdy nie pasowałem do szacownej rodziny Cahill.

- Buntownik.

- Tak, có, wtedy chyba ci się to podobało.

Szli chodnikiem, w rzędzie cym powoli tłumie.

- Jest w tym co - przyznała, choć nie podobała jej siemy i, e sama nale y do kobiet, które poci gają dzicy, niebezpieczni m czy ni, nie trzymaj cy si adnych zasad. Wiedziała jednak, e jest w tym ziarno prawdy.

- Pó niej zmieniła zdanie.

- Dlaczego? - Poci gn ła długi łyk z papierowego kubka. Kawa przyjemnie j rozgrzała. Podniosła wzrok na surow , m sk twarz Nicka, na mocny zarys jego brody i ciemne, opadaj ce na czoło włosy.

Nick patrzył przed siebie, w mrok, spod zmarszczonych brwi.

- My l , e w ko cu zapagn ła si usatkowa . Zacz ła suszy mi głów , ale ja jeszcze nie byłem gotowy. Wła nie wtedy Alex doszedł

do wniosku, e byłaby z ciebie wietna ona. Dla niego.

- A ja tak po prostu odeszłam z nim?

Nick prychn ł.

- Ty nigdy niczego nie robiła tak po prostu. Ale lubiła flirtowa i bawiło ci , e skaczemy sobie do oczu z twojego powodu, jak para kozłów. - W głosie pobrzmiwała nuta pogardy. - W ko cu ja stwierdziłem, e mam tego do , a ty wyszła za m .

- Nie przyjechała na lub.

- Nie lubi hipokryzji. Nie umiałem sobie wyobrazi , jak gratuluj bratu i jego wybrance, wi c wolałem si nie pokazywa .

- I to wszystko? - spytała.

- To wersja skrócona i poprawiona. Nie chciałem ci zanudza szczegółami. Poza tym, teraz to wszystko nie ma ju znaczenia. Było, min ło.

- Naprawd ? - Marla z niedowierzaniem uniosła jedn brew, przypominaj c sobie ubiegł noc.

- Nie może być inaczej. - Jego oczy pociemniały. Nagle chwycił ją za rękę i podniósł do góry, tak że lubna obrączka zalała ją w świetle latarni. Marla drgnęła i omal nie oblała sobie płaszcz kawą. - Mimo tego, co wydarzyło się ostatniej nocy, cięgle jesteście mi atk, Marla.

Przekłta prawda.

- Wiem - powiedziała. - Mój Boże, dobrze to wiem. - Wysunęła rękę z jego dłoni. - Oboje zgodziliśmy się co do tego, że popełniliśmy błąd. Ale ja cięgle chcę wiedzieć wszystko, Nick. Wszystko o nas.

- Jezu.

- Mówi powaźnie - nalegała. Podniosła ku niemu twarz i odważnie spojrzała w jego gniewne oczy. Czuła osiadając jej na policzkach wilgotną mgłę.

Nick dokończył kawę i zmiął kubek.

- Nie ma sensu znowu tego wszystkiego wywlekać.

- Doprawdy?

- Tak. - Wrzucił kubek do kosza na mieci. Marla wsunęła mu rękę pod ramię i szli tak szeroko ulicą, pełną oświetlonych sklepowych witryn, w chłodnym, słonym powietrzu.

- Nie sędzisz, że mam prawo znać prawdę?

- A co to da, pani Cahill?

- Może nic, ale cięgle dostaję od ciebie sprzeczne sygnały. Raz mam wrażenie, że mnie pragniesz, a zaraz potem zaczynasz mnie odpychać.

- Wyjajmy sobie jedno, dobrze? - powiedział Nick. - Wciąż cię pragnę. - Serce zabiło jej mocniej przy tym wyznaniu. Widziała cierpienie w jego twarzy. - I zawsze będzie cię odpychał.

Poczuła nagły ból w sercu i ogarnęło ją poczucie winy. W jego ciemnych jak noc oczach dostrzegła niemy wyrzut. A więc tak to jest by dwojgiem przeznaczonych sobie ludzi skazanych na wieczną rozłąkę. Nigdy nie będzie mogła dzielić

ycia z tym człowiekiem. Którego kocha. I zawsze już będzie drczył ten ból, przez wszystkie lata, które nadejdą.

Zamknęła oczy, próbując wziąć się w garść. Nie kocha Nicka. To niemożliwe. Przecież go nie zna. Nie zna nawet samej siebie. Co się z nią dzieje? I dlaczego na myśli o tym, kiedy odrzuciła jego uczucie, jej serce przeszywa taki ból?

- Rozumiem, o co ci chodzi, wierz mi, nie chcę otwierać starych ran, ale sędzi, że to bardzo ważne, abym dowiedziała się o sobie wszystkiego - powiedziała powąlnie, patrząc mu prosto w oczy, w których było teraz tyle cierpienia. - Wszystkiego - powtórzyła nieustępliwie. - Choćby nie wiem ile miało mnie to kosztować. Chcę wiedzieć wszystko. Wszystko, co było dobre, i wszystko, co było złe.

- Może ci się to nie spodoba.

- Nie ma nic gorszego od domysłów, spekulacji i strachu. Najgorsza prawda jest lepsza od niewiedzy. - Chwyła go za łokieć, zaciskając kurczowo palce na skórze jego kurtki. - Powiedz mi prawdę, Nick. Jaka by nie była.

- Wszystko, tak? - spytał i Marla zauważyła w jego twarzy jak zmianę. Zaciął upór ust pił miejsca czemuś o bardziej niebezpiecznemu. Powietrze wokół nich stało się gęste i ciężkie, naładowane elektrycznością. Nick opuścił wzrok i spojrzał na jej usta i niżej, na zagłębienie u nasady jej szyi, gdzie czuła przyspieszony, dziki rytm swojego serca.

- Tak, wszystko. Chcę wszystkiego.

- Chryste, Marla. Jak zawsze.

- Domyślałam się, że to powiesz.

- Nie pamiętasz już, co się stało wczorajszej nocy? Marla zacisnęła palce na jego rękawie.

- Pomóż mi, Nick.

Przekrzywił głowę, przyglądając się jej uważnie. Zacisnął usta i pokręcił głowę, jakby dziwił się własnej głupocie.

- Prawdę mówiąc uważam, że to duży błąd, ale co tam, jak mówisz, sama tego chciała. - Nagle skręcił, pociągając ją



za sobą pod drzwi zamknę tego już sklepu. Tam, w tej płytkiej  
wnęce, wzięła go w ramiona. Przycisnęła go mocno do siebie,  
pochyliła się nad niego i pocałowała. Był to pocałunek nie tyle  
brutalny, co rozpaczliwy. Głodny. Namiast tęczy. Zapierał się dech  
w piersiach. Jego usta, po długi i stanowcze, przylgnęły  
gwałtownie do jej warg i Marla poczuła nagle ukłucie bólu w  
miejscach, skąd niedawno usunięto jej druty. Drgnęła i  
odruchowo rozchyliła usta, a w tej samej chwili język Nicka  
wliznął się między jej zęby. Marla czuła smak kawy,  
ciepło bijące od skóry Nicka i jego szorstki zarost pocierający  
ją między policzkami.

Ból ust pił miejsca wszechogarniającemu uczuciu  
przyjemności.

Zadrżała i poczuła, że krew w jej żyłach zaczyna krążyć  
szybciej. Noc otuliła ich między sobą, intymnie zasłoniła ich  
ciemnością. Marla zamknęła oczy, zapominając o swoich wrażliwościach i  
skrupułach, zagubiona w ciepło jego ramion i ust. Ogarnęła ją  
fala gorąca, jej serce biło gwałtownym, oszalałym rytmem.  
Zarzuciła Nickowi ręce na szyję i rozchyliła wargi, oddając  
pocałunek.

Przylgnęła do niego całym ciałem, jakby miała już nigdy  
nie wypuścić go z objęcia. Czuła, jak krew w jej żyłach powoli  
zamienia się w żywogień. Mimo wieczornego chłodu jej  
skóra zdawała się płonąć. Oczyma wyobraźni widziała nagie,  
muskularne ciało Nicka wyprężone nad nią w paroksyzmie  
rozkoszy, jego język zsuwający się w dół jej szyi, między  
piersi i jeszcze niżej, w dół jej brzucha, by dotrzeć w końcu do  
najbardziej intymnych miejsc na mapie jej ciała. I duszy.  
Jęknęła cicho, wyobrażając sobie, jak by to było czuć w sobie  
jego mocne pchnięcia... tak gwałtowne... szalone...

Nick oderwał wargi od jej ust i Marla zamrugała, jak  
zbudzona ze snu, by wrócić do zimnej rzeczywistości  
spowitego mgłą San Francisco, pełnego ludzi i samochodów  
sunących powoli mokrymi ulicami.

- Wiedziałem - mruknął Nick. W jego oczach Marla dostrzegła odbicie swojego własnego poczucia winy. - Wiedziałem, że tak w końcu będzie z tobą.

Puścił ją i Marla nagle poczuła się strasznie osamotniona. Osierocona. Nagle poczuła na rozgrzanej skórze powiew chłodnego wiatru, który podrywał z ziemi zeschnięte liście i przynosił zapach deszczu.

- Do diabła, Marla, nie możemy tego zrobić.

- Mylisz, że o tym nie wiem?

- Wiadomo, że nie prowokuj takich sytuacji. - Ze złości chwycił ją za rękę, odwrócił się na pięcie i ruszył do samochodu. Marla wysunęła palce z jego dłoni i wsadziła ręce głęboko do kieszeni, podbiegając, by dotrzymać mu kroku.

- Nie bądź na mnie zły, Nick - powiedziała, kiedy przechodzili przez ulicę. Marla musiała się schylić, mijając kobiety z wielkim parasolem.

Nick spojrzał na nią, rozbrojony.

- Nie jestem na ciebie zły.

- Ale tak w końcu nie się zachowujesz.

- Nie chcę tylko, żeby sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. - Ujął ją za rękę, żeby pomóc jej obejmować czynnika na wózku inwalidzkim. Zaraz potem ją puścił.

- Było tak samo ciekawie, jak ja - upierała się Marla. - Ty też chciałeś się przekonać, czy znowu mi dźwiękami zaiskrzy. Przyznaj się.

- Nie. Ja już wiedziałem. Przekonałem się ubiegłej nocy.

Marla nie uwierzyła mu i już miała coś powiedzieć, kiedy Nick nagle obejrzał się przez ramię i stanął w miejscu.

- Do diabła!

Marla omal na niego nie wpadła.

- O co chodzi? - Odwróciła się i rozejrzała, szukając w mgle tego, co zwróciło jego uwagę. Ale zobaczyła tylko słup ulicznej lampy i tłum pieszych na chodniku.

- Chod . - Nick chwycił j za nadgarstek, tym razem jednak w jego dotyku nie było nic intymnego. Ruszył przed siebie biegiem, ci gn c j za sob . Z trudem torowali sobie drog w tłumie pieszych i rowerzystów; raz omal nie wpadli na młod matk z wózkim, id c w przeciwnym kierunku.

- O co chodzi?! - krzykn ła Marla, dysz c ci ko.

- My l , e kto nas ledzi.

Marl nagle oblał zimny pot.

- Kto?

- Nie wiem, ale mam zamiar si dowiedzie . Chod . Mo e uda nam si go złapa . - Poci gn ł j bocznymi ulicami, cinaj c zakr ty i przebiegaj c przez jezdni w niedozwolonych miejscach w ród pisku hamulców i tr bienia klaksonów.

- Hej! Uwa aj, jak chodzisz! - rzucił ze zło ci m czyzna w d okejce, siedz cy za kierownic du ego vana.

- Gdzie si pali? - za artował kto inny.

Marla biegła, by dotrzyma kroku Nickowi, ale brakło jej ju tchu w piersiach i nogi zaczynały odmawia posłusze stwa. Nick cały czas patrzył przed siebie, nie odrywaj c wzroku od pleców wysokiego m czyzny w czarnej kurtce, który co jaki czas znikał w tłumie, by zaraz znowu si pojawi . Szedł szybko, ale troch nierówno, jakby oszcz dzał jedn nog .

- Zwariowała - rzuciła Marla, dysz c, kiedy wybiegli na Jefferson Street. Nieco pó niej, kiedy my łała, e płuca zaraz jej p kn , dotarli w ko cu do wiateł. Przebiegli ulic na czerwonym wietle i znale li si na tłocznym, hała liwym Fisherman's Wharf.

- Cholera! - Nick splun ł, przeszukuj c wzrokiem tłum kł bi cy si na nadbrze u.

- Zwiął?

- Wszedł do którego ze sklepów albo do restauracji. Chyba.

- Albo wsiadł do samochodu.

- Do jeepa. Załóż się, a ja je dziś jeepem. Marla spojrzała na niego, tknęła go jak nigdy.

- Jak ten człowiek, którego szukałaś wczoraj?

- Zgadza się.

Nick zwolnił. Marla, wyczerpana po cigarecie, z trudem łapała oddech.

Przekrzywił lekko głowę, Nick uważnie spoglądał w twarze mijanych ludzi, nie wypuszczając przy tym z dłoni drobnej ręki Marli, która również nerwowo rozglądała się wokół. Nie zauważyła jednak niczego niezwykłego. W żadnej z twarzy, należących do turystów i mieszkańców miasta, nie było nic podejrzanego ani złowrogiego.

- Kto to jest? - spytała.

- Nie wiem, ale widziałem mężczyznę, wysokiego mężczyznę, który wszedł za nami do kawiarni. Nie zastanawiałem się nad tym, ale jestem pewny, że wszedł do kawiarni kilka minut po nas. Po niej, kiedy byliśmy już na ulicy, znowu go zobaczyłem, wszedł kilkanaście metrów za nami. Odwróciłem się, aby sprawdzić tabliczkę z nazwami ulic, a on skręcił za róg. Powiedziałem sobie, że to tylko moja wyobraźnia. Ale zaraz po tym, jak ci pocałowałem, podniosłem oczy i wydawało mi się, że widzę jego odbicie w szybie wystawowej. Kiedy się odwróciłem, już go nie było.

- To nic nie znaczy - powiedziała Marla z ulgą. - Daj spokój, Nick, teraz ty zachowujesz się jak paranoik. Wystarczy chyba, że ja cierpię na ostrą psychozę.

Nick nawet się nie uśmiechnął.

- Nie rozumiesz. Wydaje mi się, że widziałem tego człowieka już wczoraj - powiedział, wyraźnie zaniepokojony.

- W szpitalu, kiedy ty byłaś jeszcze w piątce. Miałem wrażenie, że jest w nim coś znajomego. Czuję, że powinienem go rozpoznać. - Nick zmrużył oczy, przeszukując wzrokiem oświetlony miejskimi neonami tłum na chodniku. - Tego samego dnia widziałem go też na parkingu pod szpitalem.

Odjeżdżał czarnym jeepem. Czarnym, a może ciemnogrnatowym. Założył się, że to ten sam samochód, który widzieli my dzisiaj pod kołami.

- Słyszysz, że ten ktoś pojechał za nami na komisariat? - Marla poczuła, jak małe włoski podniosły jej się na karku z przerażeniem.

Nick cisnął jej dłoń i ruszyli przed siebie nadbrzoścem. Znad oceanu napływała biała, lekka mgła.

- Dałbym głowę, że tak było.

- Ale po co?

- Tego właśnie nie musimy się dowiedzieć. Na razie nie umiem odpowiedzieć na to pytanie - przyznał, przyciskając ją do siebie. - Ale jestem pewny, że to ma jakiś związek z tobą. - Spojrzał na nią z powagą i determinacją. - Paterno uważa, że może ktoś próbuje cię zabić. Mnie też przyszło to do głowy. Podobnie jak tobie. Wierz w to lub nie, ale twoje życie może być poważnie zagrożone. Myśl, że powinna się wyprowadzić z domu. Jeszcze dziś. Jeśli morderca zdołał dostać się do domu ubiegłej nocy, nic go nie powstrzyma.

- Nie mogę się wyprowadzić - odparła Marla z przerażeniem. - Moje dzieci mieszkają w tym domu.

- Zabierz je ze sobą.

- Słownie dzie mi Aleksa - zauważyła. - Nie mogę porwać moich własnych dzieci i nie mogę mu tego powiedzieć, e... Cholera, to jakie szaleństwo.

- Nie możesz mu powiedzieć, bo mu nie ufasz - skończył za nią Nick.

Marla poczuła nagle, że jest bliska załamania.

- Sama już nie wiem, komu mogę ufać.

- Mnie, kochanie - powiedział Nick, biorąc ją znowu w ramiona i całując w usta. - Lepiej, żeby mi zaufała. Niewykluczone, że jestem twoim jedynym przyjacielem.

Jego wargi były ciepłe i namiętne, ramiona, które ją trzymały, silne, a jednak - choć tak bardzo chciała mu zaufać,

tak bardzo chciała si z nim kocha i czu jego dłonie na swoim cieie - nie potrafiła pozby si wra enia, e dopuszcza si zdrady, e zawierzenie Nickowi Cahillowi równa si podpisaniu paktu z diabłem.

I e wkrótce b dzie musiała za to zapłaci .

## 16

Janet Quinn wsuwała ju r ce w r kawy swojej kurtki, szykuj c si do wyj cia. - I co pani Cahill miała nam do powiedzenia? - spytała, wst piwszy po drodze do biura detektywa Paterno.

- Niewiele wi cej ponad to, co powiedziała mi przez telefon – odparł, stukaj c ko cem ołówka o blat biurka. - Dodała tylko, e wydaje jej si , i kto włamał si do jej sypialni i groził jej mierci . Mo e kto podał jej jaki rodek, na skutek czego omal nie udławiła si własnymi wymiotami. Wtedy miała jeszcze zadrutowane z by. Z tego powodu wzywali ambulans.

Janet wzniosła oczy do góry.

- Wierzysz jej?

- Prawd mówi c, sam nie wiem, w co wierzy - przyznał Paterno. - Przyjechała tu nie z m em, ale ze swoim szwagrem. Miała z nim romans, zanim wyszła za jego starszego brata.

- Jej m pewno jeszcze nie wrócił z pracy.

- Mo liwe. - Paterno nie był tym zachwycony. - Ale wyczułem, e tych dwoje - Nick i Marla - znowu maj si ku sobie. Czuję to.

- Jasne, jasne, ty romantyku - zakpiła Janet z u miechem.

- Mówi ci, stara miło nie zardzewiała.

Janet potrz sn ła głow , przy czym krótkie ciemne włosy zata czyły wokół jej twarzy.

- Sk d mo esz to wiedzie .

- Ja bardzo du o wiem - mrukn ł, a Janet zachichotała jak zawsze, kiedy udało jej si wprawi go w zakłopotanie, co, zdaniem Paterno, zdarzało si zdecydowanie zbyt cz sto. - Mam zamiar pogada z patrolem drogowym, mo e przy l kogo z psem. Marla Cahill twierdzi, e nie ma torebki z dokumentami, a bior c pod uwag , z jak sił samochód uderzył w barierk , torebka mo e si znajdowa gdzie bardzo daleko.

- Ci chłopcy s do dokładni. S dz , e znale liby j , gdyby gdzie tam była.

- Nie zaszkodzi sprawdzi - stwierdził, a Janet kiwn ła mu dłoni na po egnanie i ruszyła do drzwi.

Paterno si gn ł po słuchawk telefonu. Nie miałyby nic przeciwko temu, by najpierw samemu zajrze do tej tajemniczej torebki. Był pewny, e znalazłyby tam co ciekawego.

- Przejrzałe mo e te pliki, które znale li my w komputerze Pam Delacroix? - spytała jeszcze. Kiedy dostali nakaz, wspólnie przeszukali dom na barce, ale znale li tam tylko troch notatek i to, co było na twardym dysku komputera.

- Wygl da na to, e chciała napisa ksi k . O adopcjach. Wykorzystuj c prawdziwe przypadki. Troch faktów, troch fikcji, musz jeszcze przyjrze si temu dokładniej. - Paterno bawił si ołówkiem. - Mo e warto byłoby te poobserwowa dom Cahillów - powiedział, marszcz c brwi. - Na wszelki wypadek.

- Ale po co?

Paterno skrzywił si i wypluł gum do kosza na mieci.

- S dz , e kto próbuje zamordowa Marl Cahill.

- Jezu, Tony - achn ła si Janet, opieraj c si o futryn . - Dlaczego?

- Sprawdzam to. Na razie mog ci powiedzie , e ona jest ubezpieczona na ycie, ale znowu nie tak wysoko, przynajmniej według standardów panuj cych w ród tych ludzi.

A gdyby jej stary si wkurzył, dlatego e miała romans z innym, to po co, u diabła, miałby wzywa brata, z którym była kiedy zwi zana? - Prychn ł z niesmakiem. - Niestety, ona kompletnie nic nie pami ta. Gdyby my wiedzieli, komu si w przeszło ci naraziła, mo e udałoby si uratowa jej ycie.

- A co wiemy?

- Na razie - Paterno rozparł si w swoim krze le - nie wiemy nic.

- Gdzie wy cie si , u diabła, podziwiali? - spytała Eugenia, kiedy Nick i Marla stan li we frontowych drzwiach. Wygl dała na zdenerwowan , a na r kach trzymała Jamesa, który marudził i popłakiwał. - Nie było was całe godziny.

- Przepraszam, to moja wina - powiedziała Marla, bior c syna z r k babci. - Co słycha , kolego? - spytała uszcz liwiona, e przestał płaka i spojrzał na ni wielkimi, ciekawymi oczyma. - Tak lepiej, co? Miałam kilka spraw do załatwienia - zwróciła si do te ciowej. - A potem wst pili my jeszcze na komisariat. W ko cu zło yłam o wiadczenie dotycz ce wszystkiego, co mi si przypomniało o wypadku. Zabrało nam to wi cej czasu, ni s dziłam.

Starsza pani ci gn ła usta z niezadowoleniem, ale Marla postanowiła, e nie da si wp dzi w poczucie winy.

- Zaraz b dzie kolacja - oznajmiła Eugenia.

- wietnie. Zjadłabym konia z kopytami. - Na my l o jedzeniu Marli zacz ło burcze w brzuchu. Pierwszy prawdziwy posiłek, odk d usuni to jej druty z ust. - A gdzie jest Cissy?

- Miała dzi lekcj jazdy konnej. Lars ju po ni pojechał. Powinni by tu lada chwila.

- To dobrze, bo chciałabym z ni porozmawia . Powiedz jej o tym, prosz , je li pierwsza si z ni spotkasz. - James znowu zacz ł marudzi i Marla zabrała go do kuchni, gdzie szybko odszukała butelk i od ywk dla niemowl t.



Kucharka Elsa stała przy gazowych palnikach, drewniany kocioł mieszała sos urawinowo-pomarańczowy. W stojącym obok garnku dochodziły ziemniaki.

Miedziane rondle i przybory kuchenne z nierdzewnej stali połyskiwały na półkach, z belek stropowych zwisały siwki zanki aromatycznych ziół, a w całym pomieszczeniu unosił się zapach pieczenia wieprzowej. Marla poczuła, że linka napływa jej do ust.

Rosa wyciągała naczynia z wielkiej zmywarki, a zazwyczaj pogodna Carmen ze zmarszczonymi brwiami przeszukiwała szuflady.

- Czy co się stało? - spytała Marla, mieszała w wieko wyparzonej butelce od wykwadru w proszku z przegotowaną wodą.

- Pani Eugenia nie ma swoich kluczy i uważa, że ktoś musiał je zabrać - odparła Carmen.

- Kto?

Rosa, bliźsza niż zazwyczaj, zamrużyła nerwowo oczami, wkładając naczynia do szafek, i gwałtownie pokiwała głową.

- Si, senora Cahill, ona jest...

- Loco - rzekła Carmen, zatrząskując szufladami i zrezygnowanym gestem podnosząc w górę ręce. - Nie chciałam powiedzieć nic złego. Pani Eugenia jest zdenerwowana, a te głupie klucze na pewno się w końcu znajdą.

- Oczywiście, że tak - zgodziła się Marla, podtrzymała Jamesa jedną ręką, a drugą wkładając butelkę do kuchenki mikrofalowej.

Carmen otworzyła kolejną szafkę, tym razem tę, w której przechowywano naczynia służące do odmierzania.

- Musiała po prostu zapomnieć, gdzie je położyła. Nikt ze służby nigdy nie okradłby pani rodziny.

Marla łowiała, że nie może nagle zapaść się pod ziemię. Nie mogła znieść myśli, że z jej powodu ktoś ze służby został podejrzany o kradzież. Miała wrażenie, że klucze w kieszeni jej spodni wałęsają się ton. Rozległ się dzwonek kuchenki

mikrofalowej. Marla wyciągnęła butelkę i sprawdziła temperaturę odrywki wewnątrz strony nadgarstka. Zadowolona z rezultatu, powiedziała:

- Jestem pewna, że klucze Eugeniej wkrótce się znajdą. - Po czym zabrała butelkę i Jamesa i poszła na górę, podczas gdy Carmen zaczęła metodycznie przeszukiwać kolejną szufladę.

Nick siedział już w fotelu z drinkiem w ręce. Eugenia stała przy oknie, odwrócona do niego plecami, i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w ciemność.

- ... ałuj, że nie wiedziałam - mówiła, nie wiadoma fakt, że synowa weszła do pokoju. - W dzisiejszych czasach trudno wszystko kontrolować. Między innymi dlatego chciałam, żeby tu przyjechał, Nick. Sądziłam... nie, miałam nadzieję, że dzięki tobie sytuacja wróci do normy. Swego czasu dobrze ci szło z firmami, ceniono cię jako konsultanta czy mediatora - zdaje się, że tak to się teraz nazywa. Za moich czasów mówiło się o audytorach.

- Audytor zajmuje się nieco innymi rzeczami.

- Nie wiem... Tak czy inaczej, kiedy Alex powiedział mi, że Cahill Limited ma kłopoty, pomyślałam o tobie i o tym, co zrobię dla tylu innych przedsiębiorstw. - Pokręciła głową, jakby chciała rozruszać zesztywniały kark, po czym znowu spojrzała w okno. - Ale prawda jest taka, że finanse naszej firmy były tylko jednym z powodów, dla których chciałam, żeby wrócił do domu. Pewnie zdałyś już uwagę, że Alex i Marla nie są już sobie tak bliscy jak dawniej. Od lat nie układają się między nimi... Modliłam się, żeby to nowe dziecko pomogło im znowu się do siebie zbliżyć, ale... Och, wyraźnie widać, że coraz bardziej się od siebie oddalają. Mimo że wiedziałam, i ty i Marla... cóż, byliście ze sobą dawno temu, więc pomyślałam sobie, że twoja obecność tutaj mogłaby pomóc.

- Jak, je li mo na wiedzie ? - spytała Marla, która nie była w stanie dłużej utrzymać języka za zębami. Policzki jej płonęły, w głowie miała zamęt.

Eugenia odwróciła się na pięcie, zaskoczona. Poczerwieniała a potem po korzonki rudych włosów. Drżała i pokłóła na piersi.

- Och, nie słyszałam, jak wchodziła po schodach.

- Najwyraźniej - stwierdziła Marla sucho. Usiadła na sofie z Jamesem na rękach i podała mu butelkę. - Ale kontynuuj, proszę. To fascynujące - dodała sarkastycznie. - Wiem w jaki sposób Nick miałby nam pomóc?

- Niech zgodzi się - wtrącił się Nick. - Alex i ja zawsze byliśmy rywalami, więc pomyliliśmy, a jeśli wrócimy do twojego zainteresowania Marli, Alex zda sobie sprawę, i jego ona jest bezcennym skarbem.

- Zaraz, nic takiego nie powiedziałam - odparła Eugenia, ale spuściła wzrok.

- Mamo, mam rację, prawda? - Nick patrzył na nią z niesmakiem. - A gdyby twój plan odniósł skutek odwrotny od zamierzonego? A gdybym w rezultacie znowu zszedł się z Marli? Jak by się wtedy czuła?

Marli serce waliło jak młotem, Eugenia, blada jak ciana, przenosiła wzrok kolejno z jej twarzy na twarz Nicka.

- Ale oczywiście... oczywiście... nic takiego nie mogłoby się naprawdę wydarzyć - powiedziała bez przekonania. - Marla ma dzieci, a ty... ty masz ten swój wypaczony kodeks etyczny... Zawsze przysięgała, że nigdy nie związała się z żadną kobietą, więc pomyliliśmy...

- Szlag by to trafił. Kim ty jesteś, żeby bawić się w Boga? - Nick jednym haustem opróżnił swój szklankę, po czym ze złości rozgryzł kostkę lodu.

- I dlaczego wtrącasz się w nie swoje sprawy? - spytała Marla, patrząc na Eugenię prosto w oczy. Trząsała się ze złości. - Kim jesteś, żeby robić takie rzeczy?

- Kim, kto przedkłada rodzinną solidarność ponad wszystko inne - powiedziała Eugenia wyniośle. - Alex oskarża mnie, że jestem zimna i nieustępliwa, ale ja tylko chcę tego, co jest najlepsze dla nazwiska Cahill.

- Nie możesz rzucić moim życiem - powiedział Nick. - Ani Marli, ani Aleksa, jeśli o to chodzi. Niczego się nie nauczyła? Ojcu też próbowała mówić, co ma robić, i nic dobrego z tego nie wyszło, prawda? Im krótsz miał smycz, tym bardziej chciał się z niej zerwać. Ustawiczne zakazywanie mu picia powodowało tylko, że wlewał w siebie coraz więcej alkoholu. Nikt nie lubi, żeby go kontrolowała, mamó. Taka już jest ludzka natura.

Wargi Eugeniei drżały, w oczach błysnęły łzy, powstrzymała je jednak, uparcie wpatrując się w zatokę. W końcu odwróciła się sztywno.

- Zobaczymy się na kolacji - powiedziała, po czym z godnością opuściła salon.

- Powinienem być siłą domyślić - mruknął Nick. Spojrzał na Marli, a jego wzrok przywiódł jej na myśl o czyś schwytanego w potrzask zwierzęcia. - Cholera.

Z holu dobiegło głośnie trzask frontowych drzwi. Kilka sekund później rozległy się głośnie kroki i na schodach pojawiła się Cissy w wysokich butach, dżinsach i sportowej bluzie. Miała potargane włosy i zarumienione policzki. Nie weszła do salonu, tylko od razu ruszyła na górę.

- Właśnie na to czekałam - powiedziała Marla, podając Jamesa Nickowi. - Poznaj swojego bratanka.

- Ale ja nie wiem, co mam z nim robić. - Nick niezręcznie wziął na ręce małego.

Marla podała mu jeszcze opróżnioną do połowy butelkę, którą Nick ujął w dwa palce. Z całej siły złapał Jamesa i przycisnął do siebie, jakby się bał, że dziecko zaraz wysunie mu się z ręki, spadnie na podłogę i rozleci w milion kawałków.

- Jeste inteligentnym chłopcem. Szybko si nauczysz – zawołała Marla przez rami , ruszaj c za swoj córka .

Kiedy doszła do jej pokoju, Cissy nigdzie nie było wida . Zza zamkni tych drzwi do łazienki dobiegał szum prysznic. Marla postanowiła zaczeka . Usiadła na krze le przed toaletk , patrz c na rozło one na blacie szminki i buteleczki z lakierem do paznokci w kolorach odpowiednich dla wampirów i dziwo on.

- Nie os dzaj - skarciła si zaraz. - Przypomnij sobie, jak to było, kiedy rodzicom nie podobały si twoje stroje i makija .

Zmartwiła. Z mroków niepami ci wyłoniła si nagle jaka rozmowa sprzed wielu lat.

- ...gdyby nie była taka dzika, gdyby okazała mu cho troch uczucia, mo e twój ojciec odpłaciłby ci tym samym. - W uszach d wi czał jej głos matki, przed oczami pojawił si zamglony obraz zniszczonej kobiety, pachn cej silnie perfumami i tytoniem, która z trudem ukrywała rozczarowanie. Szczupła, niemal ko cista, stała w drzwiach z twarz ukryt w cieniu. Przez aluzje s czyło si sło ce, o wietlaj c jej kwiecist spódnic . W jednej r ce trzymała zapalonego papierosa, którego koniuszek arzył si czerwono, drug oparła na biodrze. - Uznałby ci wtedy.

- Nienawidz go - odparła.

- Nie, nieprawda...

- Owszem, prawda. - Słyszała swój własny, nabrzmiął zło ci głos. - A on nienawidzi mnie! - Ile mogła mie wtedy lat? Dziesi ? Dwana cie?

- Mo e powinna bardziej si postara . On ci nie nienawidzi. To brzydkie słowo, kochanie.

Podniosła oczy, by spojrze w zm czon , przygn bion twarz matki.

- Ciebie te nienawidzi.

Ta kobieta nie była Victori Amhurst. Marla dałaby za to głow .

- Mamo? - głos Cissy wyrwał ją z zamyślenia.

- Co? Och, czy kotku - powiedziała, ci głę wstrząsnęła. Była pewna, że ta kobieta, w taniej bawełnianej spódnicy i sandałkach, była jej matką, że to ona właśnie nie ją wychowała. - Przepraszam, chyba... chyba niełam na jawie.

Twarz Cissy wyrażała niepokój i strach. Z włosów ciekły jej krople wody, spadając jej na ramiona i wielki łożyskowy cznik, którym się owinięła. Jedną ręką przytrzymywała go na piersi.

- O czym strasznym?

- Nie, to tylko... wspomnienie, tak mi się w każdym razie wydaje - powiedziała Marla, usiłując otrząsnąć się z wrażeń, jakie pozostawiła po sobie ta wizja z przeszłości. - Sprzed wielu, wielu lat. Ale już po wszystkim, a ja przyszedłam tu, żeby z tobą porozmawiać.

- Czy to naprawdę nie może poczekać? Chciałabym się ubrać. Jezu, mamo, to mój pokój, chyba należałoby mi się trochę prywatnie. - Chwytna spodnie, wyjęła podkoszulek z długimi rękawami z szuflady, po czym odwróciła się na pięcie i znowu zniknęła w łazience.

Marla czekała cierpliwie. W międzyczasie Carmen zapukała lekko do drzwi i oznajmiła, że kolacja jest już gotowa. Kiedy Cissy ponownie wyszła z łazienki, była ubrana i uczesana, a jej twarz nosiła ślady peelingu.

- O czym chciała ze mną porozmawiać? - spytała podejrzliwie.

- Przede wszystkim chcę ci przeprosić za to, co robiłam tamtej nocy, kiedy zachorowałam. Nie chciałam cię wystraszyć.

Cissy wzruszyła ramionami.

- I naprawdę mi przykro, że byłam taka... nieobecna. Doktor Robertson przepisał mi inne leki i czuję się już znacznie lepiej.

- To super - powiedziałła Cissy.

- Tak. Chcę się z tobą wybrać na konie.

- Tak, ju mówiła .
- I mówiłam powa nie. - Musi w jaki sposób porozumie si ze swoj córka . - W ten weekend.
- Czy w ten weekend nie odbywa si to wielkie przyj cie?
- Przyj cie? - powtórzyła Marla, ale szybko przypomniała jej si , o czym mówi Cissy. - Nie, to chyba nast pny weekend. Zapytam jeszcze babci .
- My lałam, e miała zaj si przygotowaniami - odparła Cissy przebiegle, jakby przyłapała matk na kłamstwie. Przepa mi czy nimi była chyba znacznie wi ksza, ni Marli si wydawało. Zacz ła si zastanawia , czy kiedykolwiek zdoła przetrzuci nad ni most.
- Owszem, tak. To znaczy, zajm si tym, oczywi cie. Byłam chora i... sama wiesz...
- Tak, mam, wiem. - Cissy teatralnie przewróciła oczami, patrz c na matk tak, jakby si zastanawiała, czy to mo liwe, e jest spokrewniona z kim takim. - Zgoda, czemu nie? Ale musz ci przypomnie , e miertelnie boisz si koni.
- Wi c mo e si zdziwisz - powiedziała Marla. W odpowiedzi Cissy westchn ła ci ko, co miało zapewne oznacza , e nic, co robi jej matka, nie b dzie jej ju w stanie zdziwi . - Posłuchaj, Cissy. Wiem, e to trudna sytuacja. Bardzo trudna. Zwłaszcza dla ciebie. Chc , by wiedziała, e je li tylko b d mogła ci jako pomóc, robi to.
- Akurat.
- Mówi powa nie. - Marla westchn ła i uniosła dłonie w gór . - Kocham ci , Cissy.
- No, no, co nowego — odparła dziewczyna ze zło ci , ale broda nagle jej zadr ała.
- Zawsze ci kochałam.
- Tak ci si wydaje. Ale przecie ty nic nie pami tasz. - Cissy poci gn ła nosem i szybko si odwróciła. - Zawsze interesowało ci wszystko, tylko nie ja. To znaczy, jasne, e

kupowała mi wszystko, wielkie rzeczy. Komu na tym zależy?  
- Ze zło ci kopnęła na podłogę płyt kompaktów .

- Cissy, ja...

- Nigdy ci nie obchodziłam, mamó. Nigdy. Co innego James...

- O Boże - szepnęła Marla, widząc w oczach córki autentyczny ból. - Tak mi przykro, jeśli ci kiedykolwiek zraniłam. Naprawdę nie chciałam, to znaczy... - Mówiła przez zaciśnięte gardło, z trudem usiłując powstrzymać łzy. - Musisz mi uwierzyć . Kocham ci .

Cissy patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Wargi jej drżały.

- Chyba... chyba powinnyśmy już zejść na kolację .

- Proszę , kochanie, daj mi szansę - powiedziała Marla. - Pozwól mi okazać ci trochę uczucia, wynagrodzić zło, które ci wyrządziłam.

- Nie musisz nic robić .

- Wiem, kochanie, ale chcę . Czy to nic nie znaczy? - spytała i zauważyła, że niechcący zaczęła stopniowo znikać z oczu Cissy.

- Ja nie...

- Daj sobie czas.

- Wiesz - Cissy przysiadła na drugim końcu łóżka - jesteś jaka dziwna, odkąd wyszłaś z tej pieluchki. Inna. Zupełnie nie jak mama.

- Słyszałam, jak mówiłaś , że nie wierzysz w to, że jestem twoją matką .

- Nie mówiłam tak! To znaczy... Cholera, mamó... to znaczy... jesteś jaka zbyt miła. Zbyt uprzejma.

Marla była zrozpaczona.

- Czy to zbrodnia?

- Po prostu w to nie wierz . - Cissy spojrzała na nią wojowniczo. - Chyba że... do wiadczyła tego, co ci ludzie, którzy omal nie umarli. - Popatrzyła na Marłę uśmiechnięta. - Wiesz,



to co takiego, co zmienia osobowo i sposób myślenia i sprawią, że ludzie stają się lepsi.

- Miejmy nadzieję - uśmiechnęła się Marla i otworzyła ramiona.

- artujesz, prawda?

- Nie. No, chodź.

- O Boże! - Cissy, wzdychając przesadnie, wstała i pozwoliła się ucałować.

Marla przytuliła ją mocno.

- Obiecuj mi, że teraz będzie już zupełnie inaczej, kochanie.

- Mamo, nie składaj obietnic, których nie będziesz w stanie dotrzymać - powiedziała Cissy, ale Marla czuła, że jej córka drży, jakby walczyła ze wzruszeniem, jakby nie potrafiła do końca zaufać kobiecie, która dała jej życie.

- Zobaczysz. - Marla ucałowała ją w czoło. - I wsiądź na tego przeklętego konia. W ten czy inny sposób.

Cissy nie mogła powstrzymać łez.

- O Boże, mamo. Mam nadzieję, że wezmiesz ze sobą kamerę.

Atmosfera przy kolacji była, delikatnie mówiąc, napięta. Nick z kolei obserwował Aleksa, który, zazwyczaj czarujący i dowcipny, siedział zirytowany, ze zmarszczonym czołem. Najwyraźniej coś go gryzło. Co poważyło. Finanse firmy? Troska o niego? A może coś jeszcze?

W ciągu pierwszego tygodnia pobytu w San Francisco Nick składał niepokój Aleksa na karb problemów upadającej korporacji. Kiedy już rozeznał się w sytuacji Cahill Limited, stało się oczywiste, że firma powinna szybko zbyć swoich aktywów, w przeciwnym wypadku linie kredytowe i pożyczki zostaną zamrożone. Alex zwodził bankierów, jak mógł, ale potencjalni zagraniczni inwestorzy jak dotąd nie zaoferowali ani dolara. O ile Nick mógł się zorientować, aktywa firmy ciągle jeszcze przewyższały długi, ale stosunek jednych do drugich wyglądał coraz bardziej niepokojący. Nick

był pewny, że jeśli firma nie zwiększy znacząco swoich przychodów, Alex będzie musiał zacząć zwalniać ludzi i sprzedawać należące do firmy nieruchomości, z których większość miała już tak bardzo obciążone hipoteki. Mimo to, firma każdego miesiąca przeznaczała wielkie sumy na cele dobroczynne. Najwięcej dostawał zawsze Szpital Bayview i Cahill House.

Choć zdawało się, że nikt w rodzinie nie przyjmuje tego smutnego faktu do wiadomości, Cahill Limited stało na skraju bankructwa.

Teraz jednak Nick zaczął podejrzewać, że kwestie materialne były tylko jednym z wielu problemów Aleksa.

- Wiadomość była na policji i złożyła o wiadczenie - powiedział Alex po chwili rozmowy o pogodzie.

Cissy przeprosiła i wstała od stołu, tłumacząc, że musi jeszcze odrobić lekcje, co, jak przypuszczał Nick, oznaczało kilka długich rozmów przez telefon lub Internet. Poszła na górę, głośno stukając butami na wysokich platformach. Alex, Nick, Eugenia i Marla zostali przy stole.

Marla odsunęła talerz z niedokończonym posiłkiem. Nick domyślił się, że zdążyła się odzwyczaić od normalnego jedzenia, a przeżucie najwyraźniej nadal sprawiało jej ból.

- Co nowego? - Alex sięgnął do kieszeni i wyciągnął zmiętą paczkę papierosów.

Nick postanowił wyłożyć karty na stół.

- Paterno uważa, że w życiu Marli może zagrać niebezpieczeństwo.

Eugenia wypuściła widelec z ręki.

- Na lito boska, dlaczego?

- Ponieważ wypadek w górach mógł być przez kogoś zaaranżowany. Marla przypomniawszy sobie, że na drodze zauważyła jakiegoś człowieka, dlatego włączyła nie skręcając i uderzyła w barierkę. A tej nocy, kiedy wymiotowała, ktoś mógł

podaje jej jakiś rodek. Miała wrażenie, że przedtem w jej pokoju ktoś był.

- Bo to drogi, to prawda? - spytała Eugenia, szeroko otwierając oczy.

- Tak. - Marla skinęła głową.

- Ale nic nie mówiła ...

- Najpierw nie pamiętałam wypadku. Aleksowi i Nickowi powiedziałam o tym czy nie w mojej sypialni, ale się dziłam, że to był tylko zły sen.

- To potworne. Mamy mur, system alarmowy i... - Eugenia sięgnęła po kieliszek z winem. - Na pewno nikt nie zdołał się tu włamać. To przecie niemożliwe.

- To jednak możliwe - przyznał Alex. Zmarszczył brwi i z trzaskiem zamknął zapalniczkę, zaciągając się papierosem. - Choć wolałbym wierzyć, że jest inaczej.

- No dobrze, więc musimy coś zrobić. Przez ponad sto lat nikt nigdy nie zdołał włamać się do tego domu! - Dla Eugeniej był to cios nie do zniesienia. - Ani razu!

- Z drugiej strony, przecie to mogło się nie zdarzyć - powiedział Alex, uważnie patrząc na niego. - Sama mówiła, że wszystko mogło być tylko snem. że mogło ci się tylko wydawać.

- Nie miałam pewno ci.

Nick był nieugięty. Gwałtownie odsunął krzesło od stołu.

- Możliwe, że ktoś podał jej jakiś rodek wywołujący wymioty.

- Nie... jak... kto mógłby zrobić coś takiego? - zdumiała się Eugenia.

- Ktoś, kto dostał się do tego domu - odparł Nick. Spojrzał na matkę i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo się postarzała. - Uważam, że powinniśmy wyciągnąć ten kawałek wykładziny, na którą Marla zwymiotowała, i dać go do analizy. Sprawdźmy, czy nie zachowały się na nim choćby śladowe ilości jakiegoś rodka.

- Ale wykładzina została już wyczyszczona. Wyprana - stwierdziła Eugenia.

Alex głębioko zaciągnął się papierosem, po czym wypuścił dym nosem.

- A co by to dało? Czy ktoś zdołał wejść do domu, czy nie, i tak musimy przedsięwziąć dodatkowe środki bezpieczeństwa, zatrudnić ochroniarza. - Spojrzał z bólem na Marla. - Jeśli nie masz nic przeciw temu. Nie była zachwycona faktem, że zatrudniłem ochroniarza, nie pytała cię najpierw o zgodę.

- Wydaje mi się, że ochroniarz to dość drastyczne rozwiązanie - powiedziała Marla szybko. Już czuła się w tym domu jak w luksusowej, złotej klatce. Potrzebowała teraz więcej wolności, więcej czasu, by dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Ochroniarz obserwujący każdy jej krok, tylko utrudniałby to zadanie. - Nie mam zamiaru reszty życia spędzić w strachu. Po prostu bądź bardziej ostrożna.

Napotkała błyszczące oczy Nicka, ale odwróciła wzrok, bojąc się, że ktoś mógłby wyczytać w jej spojrzeniu zakazane uczucie, z którym coraz trudniej było jej walczyć. Zakochała się w mężczyźnie, który był bratem jej męża, w mężczyźnie, którego nie mogła mieć.

- Poza tym potrzebuję nowego dowodu osobistego, kart kredytowych i księgi czekowej. Chciałam dzisiaj odwiedzić Rory'ego, ale ochroniarz nie wpuścił mnie, ponieważ nie byłam w stanie udowodnić, kim jestem.

- Gdy tylko dojdiesz do siebie... - zaczął Alex.

- Ja już dawno doszłam do siebie, do cholery! - Marla uderzyła pięścią w stół. - Przestań traktować mnie, jakbym była lalką z saskiej porcelany albo idiotką, albo jednym i drugim!

- Dobrze, już dobrze. Uspokój się. Oczywiście, że potrzebujesz wszystkiego od paszportu do złotej karty

Neimana Marcusa - rzekł Alex ugodowo. - Zaraz si tym zajm .

- Nie, ja sama zaraz si tym zajm . Sama sobie najlepiej poradz , Alex.

- Prosz , przesta cie si kłóci - powiedziała Eugenia, przera ona. - To niewiarygodne. Kto dostał si do domu i próbował wyrz dzi krzywd naszej rodzinie...

- Lepiej w to uwierz. Co tu mierdzi - rzucił Nick z uporem. -I nie chodzi tylko o finanse firmy.

Alex spojrział na niego ponuro. Ostatni raz zaci gn ł si papierosem i zgasił niedopałek w kryształowej popielnicy.

- Zrobi wszystko, eby zapewni mojej rodzinie bezpiecze stwo. Jutro zadzwoni do firmy ochroniarskiej, zamówi kamery i zało lepszy system alarmowy. Porozmawiam z Paterno i postaram si , eby w naszej dzielnicy cz cie pojawiały si patrole. Cissy nigdzie nie b dzie wychodziła sama. Lars mo e j zawozi do szkoły i na lekcje jazdy konnej i przywozi z powrotem. Przez cały czas kto powinien pilnowa Jamesa. Cały czas, dwadzie cia cztery godziny na dob . - Jego twarz była blada jak ciana, wydawał si naprawd zaniepokojony. - Nikt nie skrzywdzi moich bliskich.

- Amen - potwierdziła Eugenia.

- Musz si napi . - Alex wstał od stołu. - Mamo?

- Mo e rzeczywi cie... kieliszeczek brandy. To wszystko jest takie... takie okropne... o Bo e, moje klucze! - Eugenia pobladła. - Moje klucze gdzie zgin ły. My licie, e mógł je zabra ten kto , kto dostał si do domu?

- Nie - powiedziała Marla szybko, jej serce zacz ło bi mocniej. Widziałam je tamtej nocy. Otwierała gabinet Aleksa.

- A tak, rzeczywi cie. I od tego czasu kilka razy otwierałam Cahill House. - Nerwowo poprawiła szalik i wło yła r k do kieszeni liliowego akietu, szukaj c palcami kółka z kluczami. - Ale teraz nie mog ich znale .

- Zmienimy wszystkie zamki - o wiadczył Alex. - Zrób spis wszystkich swoich kluczy.

Marla wpadła w panik . Musi działa szybko. Musi wej do gabinetu Aleksa przy pierwszej sposobno ci.

- Ja te b d potrzebowała zestawu kluczy - powiedziała, zmuszaj c si do spokojnego u miechu. - Moje zgin ły w wypadku.

- Przy najbli szej okazji zapytam o nie Paterno - powiedział Alex. - Chocia skoro zmieniamy zamki, i tak ci si ju nie przydadz .

Marla nie oponowała, ale postanowiła, e sama zadzwoni do detektywa. Je li klucze nale ły do Marli Cahill, powinny otwiera wszystkie zamki w tym wielkim domu. A je li nie b d pasowa , to mo e ona, jak twierdził Conrad Amhurst, rzeczywi cie jest kim innym.

Nick wyci gn ł telefon komórkowy ze swojego marynarskiego worka, po czym zszedł tylnymi schodami na dół. Opu cił dom kuchennymi drzwiami, a potem ruszył wyło on kamieniami cie k . Klucz c mi dzy drzewami, min ł plac zabaw i po chwili znalazł si w swoim magicznym miejscu, sanktuarium, gdzie chronił si w dzieci stwie. Był to wierkowy zagajnik przylegaj cy do ogrodu na tyłach posiadło ci. Nick uciekał tu przed wymogami, jakie stawiano przed nim tylko dlatego, e był synem Samuela Cahilla.

Bo e, jak on bardzo nienawidził starego, jak gardził jego sposobami trzymania rodziny w ryzach. Samuel rz dził w domu elazn r k , któr naginał prawo do własnych potrzeb i łamał ducha swojej ony i synów.

- Dra - mrukn ł Nick, wł czaj c komórki i odsłuchuj c nagrany wiadomo . Walt Haaga informował go, e wła nie przybył do San Francisco. Nick wykr cił numer hotelu Red Victorian i poprosił o poł czenie z wynaj tym na jego nazwisko pokojem.

- Słucham - Walt podniósł słuchawkę po drugim sygnale.
- Mówi Nick.
- Najwy szy czas. Zameldowałem si e w hotelu dzi e po południu, a potem nie traciłem czasu.
- Dowiedziałe si czego ?
- Owszem, niejednego. Spotkajmy si e w tym barze na rogu. Jak on si e nazywa...
- Ivan's. - Nick spojrział na zegarek. - B d tam mniej wi cej za pi tna cie minut.

Był za dziesi e. Kiedy Walt ukazał si e w drzwiach, Nick siedział ju w boksie w gł bi baru i zd ył zamówi kilka butelek piwa. Kilku stałych bywalców zajmowało miejsca przy innych stolikach, w rogu jaka para w rednim wieku jadła ryb z frytkami. Na podłodze le ało sporo łupinek z orzeszków ziemnych, pozostawionych tam przez goszcz cy tu wcze niej tłumek wracaj cych z pracy. Przy stołach bilardowych pod tyln ian nie było teraz nikogo.

Walt usiadł na ławie po drugiej stronie stołu. Był to niski, kr py m czyzna o krótko przystrzy onej brodzie, której istnienie wynikało raczej z braku czasu na codzienne golenie ni z nad ania za mod e. Łysiał, ale chyba nic sobie z tego nie robił. Jego ogorzala twarz wiadczyła o tym, e wiele czasu sp dza na wie ym powietrzu, pracuj c na swoim jachcie.

- Sto lat, Cahill - powiedział, bior c do r ki oszronion butelk piwa i stukaj c ni w szyjk butelki Nicka.
- Rzeczywi cie - przyznał Nick.
- Znowu jeste w San Francisco.
- Chwilowo.
- Skoro tak mówisz - prychn ł Walt.
- Owszem. Wi c co tam masz?
- Ciekawe rzeczy. - Walt poci gn ł długi łyk ze swojej butelki. -Zacznijmy od dalszej rodziny, to znaczy twoich kuzynostwa.
- Cherise?

- Nie, od jej brata, Montgomery'ego. - Walt podrapał się po brodzie, zaglądając do stojącej na stoliku miseczki z orzeszkami. - Niezły numer.

- Co z nim? - spytał Nick, czując nagle napięcie. Odkąd przybył do San Francisco, ani razu nie widział swojego kuzyna.

- Kawał lenia. Nie przepracował w życiu ani jednego dnia. Próbował robić karierę w wojsku, ale mu nie wyszło. Ssał swojego starego a do jego mierci, a potem żył z całego sznureczka kobiet, głównie z własnych siostr. Jedną z jego byłych narzeczonych oskarżyła go o przemoc, ale sprawa nie została wniesiona do sądu. Albo zmieniła zdanie, albo jej zapłacił -jeszcze nie wiem.

Nick zmarszczył brwi.

- Niezły gość.

- Taa. Parę razy był na bakier z prawem - alkohol, burdy, takie tam rzeczy. Jakie dziesięć lat temu wdał się w powalną bójkę w jakimś barze. Zaczęło się od nieprzyjemnej wymiany zdań, a skończyło na tym, że Monty miał złamany nos, kilka zębów i musiał się postarać o nowe zęby. -Walt przerwał dla wzmocnienia efektu i upił kolejny łyk ze swojej butelki. - A oto gwóźdź programu: swego czasu dobry, stary Monty spotykał się z Marlą.

Nick zeszczytniał. Zaciśnięte palce na szyjce swojej butelki. Nagle zakręciło mu się w głowie.

- Spotykał się z nią? Jak...

- Cóż, najczęściej w pozycji horyzontalnej.

Walt musiał dostrzec niedowierzanie w oczach Nicka.

- Wszystko odbywało się oczywiście bardzo dyskretnie, ale Marla nie należała do kobiet zbyt powściągliwie traktujących przysięgłego małżenka. Ona i Alex kilka razy się rozchodzili. Oboje mieli romanse, ale zawsze w końcu znowu wracali do siebie. Kto, u licha, wie czemu? Sądź, że albo trzymają ich razem pieniądze, albo leżą im ze sobą, ale osobno jeszcze



gorzej. Wi c... pewnego razu, kiedy mieli si nawzajem dosy , Marla zacz ła si spotyka z Montgomerym.

Na my l o tym oł dek podszedł Nickowi do gardła.

- Nie rozumiem, co Marla mogłaby widzie w Monty - warkn ł, walcz c z nagłym pragnieniem, by pochyli si nad stolikiem, chwyci Walta za koszul na piersi i nazwa go kłamac . Ale odk d si znali, Walt Haaga zawsze mówił prawd .

- Jest do przystojny, chyba mo e si podoba , cho ta bójka zrobiła swoje. Kiedy Fenton jeszcze ył, Monty szastał pieni dzmi na prawo i lewo. Potem to si zmieniło, oczywi cie, ale kiedy spotykał si z Marl , ci gle miał swój udział w rodzinnej fortunie Cahillów. - Walt doko czył swoje piwo i skin ł na kelnerk , eby przyniosła mu nast pne. - Na jej korzy mo e wiadczy fakt, e nie trwało to długo, najwy ej jaki miesi c czy dwa. Pó niej Marla zesła si z Alekssem. Znowu.

Oczy Nicka pociemniały z w ciekło ci. Nagle ogarn ła go nieprzytomna zazdro , uczucie, jakiego nie do wiadczał od lat.

- Kto jeszcze? - spytał, cho gardził sob za to, e chce wiedzie .

- Kto jeszcze co?

- Kto jeszcze był kochankiem Marli?

Kelnerka przyniosła kolejne dwie butelki. Walt odprowadził j wzrokiem do baru.

- Nie znam wielu nazwisk, ale Marla nie była tak ostro na, jak nale ło. Miała romans z onatym facetem, którego poznała w klubie tenisowym, słyszałem te plotki, e bardzo cz sto widywała instruktora jazdy konnej swojej córki. Zdaje si , e twoja szwagierka to gor ca kobietka.

Nick zacisn ł pi ci, przypomniawszy sobie jej nami tno ubiegłej nocy. S dził, e to uczucie, które nigdy mi dzy nimi nie wygasło, teraz nie był tego taki pewny.

- Gdzie mieszka teraz Montgomery? - spytał. Chyba powinien porozmawiać z kuzynem.

- Obecnie ma apartament w Oakland. Wprawdzie był czas, że kiepsko z nim bywało, musiał często pojechać do siostry, ale teraz chyba dobrze mu się powodzi, stał się na niego apartament z siłownią i basenem na dole.

- Jak zarabia na życie?

- Tego się jeszcze nie dowiedziałem. Trudno wyczuć, skąd ma na to rodki.

Do baru weszło kilku mężczyzn, zamówili po piwie i poszli w stronę jednego ze stołów bilardowych.

- A wielebny?

Walt wyluskał orzeszek z miseczki na stoliku i rozłupał go.

- Jeszcze jeden czar. Był piłkarz, który odnalazł Boga.

- Wiem, miałem przyjemność poznać go dzisiaj. Walt wrzucił orzeszek do ust.

- W zeszłym roku, kiedy pracował w Cahill House, wpadł w poważne kłopoty. W związku z jedną z dziewcząt. Ale to do niej niepewne - przyznał Walt. - Dziewczyna opowiedziała wszystko matce, a tak się składa, że to matka była...

- Pam Delacroix - powiedział Nick. - Słyszałem o tym dzisiaj od detektywa, który zajmuje się tymi sprawami. Policja jej szuka.

Walt uśmiechnął się jak kot, który zjadł kanarka.

- Słowo krok za mną. - Rozłupał kolejny orzeszek.

- Znalazł ją?

- Owszem. - Zadowolony z siebie Walt podrzucił orzeszek w górę i złapał go w otwarte usta.

- Ale jak?

- Jestem wiekowy. I korzystam ze wspianego ródła, jakim jest Internet. - Popił orzeszek piwem. - Mieszka w Santa Rosa. Pomyślałem sobie, że dziś wieczorem zło jej wizyt. Przyłóż się do mnie?

- Nie przegapiłbym takiej okazji - odparł Nick.

- Czułem, że b dziesz chciał tam pojecha . Wiesz, to zaczyna by interesuj ce.

- Albo raczej niebezpieczne - powiedział Nick, gło no my l c. Cały czas usiłował u pi zazdro , która dr czyła go od chwili, kiedy Walt powiedział mu o Montgomerym. - Musimy sprawdzi jeszcze kilka rzeczy - dodał. - Byłem dzi z Marl u jej ojca, który ju pomału traci kontakt z rzeczywisto ci . Upierał si , e Marla nie jest jego córka , e ma na imi Kylie i e prawdziwa Marla była u niego poprzedniego dnia. Bredził co , e jest córka jakiej dziwki. Przypuszczam wi c, e kiedy jaka kobieta chciała go zmusi do uznania swojej córki.

Walt zmru ył oczy.

- Zaczni od rejestru urodzin. Pewnie nie znasz jej nazwiska?

- Nie, to byłoby zbyt pi kne. - Nick dopił swoje piwo. - A to wszystko mo e nic nie znaczy . Stary jest ju jedn nog w grobie. Przyjmuje silne rodki przeciwbólowe. Zdziwiłbym si , gdyby prze ył jeszcze tydzie .

Walt kiwn ł głow .

- To co robimy?

- Zacznijmy od Aleksa. Chc , eby go ledził i dowiedział si , gdzie bywa. On twierdzi, e to spotkania w interesach, ale nigdy nie wraca do domu przed północ .

- To mi wygl da na kochank .

- Niewykluczone. On i Marla sypiaj w oddzielnych pokojach. A on zamyka swoje drzwi na klucz.

Walt gwizdn ł przeci gle.

- Wzorowe mał e stwo, nie ma co - zauwa ył, poci gaj c łyk piwa. - ona ma dług list kochanków, a m zamyka si na klucz i wychodzi o najdziwniejszych porach. Pytałe go kiedy , co wła ciwie robi po nocy?

- Nieraz. Udziela do mglistych odpowiedzi.

- S dzisz, e co ukrywa?

- Ja wiem, e co ukrywa. Musz si tylko dowiedzie ,  
co.

Walt otarł usta wierzchem dłoni.

- Ch tnie ci pomog . Co jeszcze?

- A to nie dosy ?

- Nawet wi cej ni dosy .

- Chyba ju czas, ebym zło ył wizyt kuzynowi  
Montgomery'emu. Masz jego adres?

- Tak. Mo emy tam pojecha po rozmowie z Julie  
Johnson. Ale powinni my by ostro ni. Ten facet mo e by  
niebezpieczny.

Nick rzucił na stół kilka monet.

- Nie ma problemu - u miechn ł si zimno. - Ja te .

## 17

A co ja b d z tego miała? - Julie Delacroix Johnson  
siedziała na fotelu w swoim mieszkaniu w Santa Rosa. Miała  
na sobie krótk spódnicz k i obcisły czarny sweterek. Zało yła  
nog na nog , nerwowo machaj c stop , z której powoli  
zsuwał si pantofel bez pi ty. Wpu ciła Nicka i Walta do  
domu, ale była czujna.

Jej m , Robert, który wygl dał na jakie osiemna cie lat,  
przygl dał si im nieufnie. Przyniósł sobie krzesło z kuchni,  
odwrócił je oparciem do przodu i usiadł okrakiem. W r ku  
trzymał puszk piwa. Kiedy ciskał j w dłoniach, jego wielkie  
bicepsy zdawały si rozsadza r kawy koszulki. Starał si  
wygl da na twardziela, ale zdaniem Nicka nie najlepiej mu to  
wychodziło. Smarkacz był tylko pospolitym cwaniaczkiem. I  
co ukrywał.

Walt usiadł na obitej aksamitem sofie, która sprawiała  
wra enie zupełnie nowej, przez chwil dziel c grube, jasne

poduchy z czarnym kotem, który podniósł łepiek, spojrzął na niego pogardliwie i dał susa pod stół, na którym stał wazon ze sztucznymi kwiatami. Z wielkich głośników dobywała się muzyka, tak głośna, że drżała podłoga.

- Je li powiem wam wszystko o mamie, co b d z tego miała? -powtórzyła Julie. - Spokój ducha - odparł Nick.

- Ona mówi o forsie - wtrcił beczelnie m dziewczyny. - Grubej forsie - sprecyzował.

- A ja mówi o wolno ci - Nick spokojnie stał w drzwiach. Nie miał zamiaru da się sprowokować temu smarkatemu cwaniaczekowi z rzadka, który bródka i przem drzałym u mieszkam. - Je li powie prawdę, nie b dzie musiała odpowiada za współudział w przestępstwie i odsiadywać wyroku.

- Nie zrobiła nic nielegalnego - rzucił cwaniaczek. Wycelował gniewnie palec w Nicka ponad oparciem krzesła, przy czym mi nie jego potężnej klaty jeszcze bardziej się naprężyły.

- Je li wie co na temat popełnionego przestępstwa, powinna odpowiada, je li nie za współudział, to za nieudzielenie informacji - stwierdził Nick chłodno. - Wierz mi, policja nie b dzie się z nią cacka. Dwoje ludzi nie żyje. Charles Biggs został zamordowany i prawdopodobnie również Pam Delacroix. - Nick spojrzął na dziewczynę. - Chyba chciałaby, aby zabójca twojej matki odpowiedział za to.

- To był wypadek - odparła niepewnie, patrząc na niego podejrzliwie.

- W tym. Podobnie jak policja. Wić lepiej nie próbujcie mnie naciągać, bo nie jestem w nastroju do żartów.

- Czemu nie? - spytał Robert. - Powiedziały, że nazywałeś się Cahill, nie? No to jesteście dzianymi. Oni mają mnóstwo forsy.

- Mój brat, Alex - wyja nił Nick. - To on jest dziany i ma fors . -Zaczynał mie do tego wszystkiego. Podszedł do zestawu stereo i wyl czył muzyk .

- Hej! - zaprotestował Robert.

- Wł czysz go sobie, jak ju pójdziemy.

- Kurwa!

Julie zrobiła si blada jak ciana. Walt postanowił skorzysta z sytuacji.

- Znasz Aleksa Cahilla? - spytał. - Spotkała go kiedy ?

- Nie - odparła Julie szybko. Za szybko. Nick nie uwierzył w ani jedno jej słowo.

- Wystarczy, e zapytam brata.

- On nic wam nie powie. Julie go nie zna! - rzucił w ciekłe Robert.

- Dobra, dobra, ale znasz Donalda Favier, prawda? Wielebnego?

Julie odwróciła obwiedziona czarnym tuszem oczy. Nerwowo oblizwała wargi. Wygl dała tak, jakby chciała zapa si pod ziemi .

- Byłam par razy w Ko cieł wi tej Trójcy. Z mam .

- A pó niej wyl dowwała w Cahill House, gdzie on był pastorem.

Julie zaczerwieniła si i przełkn ła lin . Jej udawana zimna krew nagle znikn ła i dziewczyna wygl dała teraz na dziecko, którym przecie była.

- Tak. Byłam w ci y.

- Z tob ? - Nick zwrócił si do Roberta.

- Tak, i co z tego? Julie, nic nie musisz mówi tym go ciom.

- Co stało si z dzieckiem? - spytał Nick.

Julie zamkn ła oczy i przez chwil wygl dało na to, e si zaraz rozplacze. Zdołała si jednak opanowa . Uniosła głow .

- Usun łam ci .

- To był twój pomysł? - Nick spojrzał na Roberta, który tylko wzruszył ramionami.

- To był problem... to znaczy decyzja Julie. Ja się nie sprzeciwiałem. Zrobiła, co chciała.

- A co z wielebny? Czy kiedy udzielał ci duchowych porad, zachował się nieestosownie? - spytał Nick łagodnie. Julie spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. Zaczęła obgryzać paznokcie kciuka. - Julie?

- On... on był dla mnie dobry - powiedziała i po jej policzku spłynęła łza. Nerwowo obgryzała paznokcie.

- Czy to on namówił cię na aborcję?

Julie przełknęła ślinę i zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie... to był mój pomysł. On namawiał mnie, abym urodziła dziecko i oddała je do adopcji. Ale ja... po prostu nie mogłam tego zrobić. Nie zniosłabym wiadomości, że ktoś inny wychowuje moje dziecko... Powinnam być jej rodzicami i zatrzymać... ale... ja nie... - Kolejne dwie łzy spłynęły jej na policzki.

Nick z trudem zachowywał spokój.

- Hej, wcale nie musisz odpowiadać na te pieprzone pytania, Jules - wtrącił się Robert. Wstał z krzesła i stanął za nią, położył wielką dłoń na jej ramieniu. - Lepiej się odspadajcie, rozumiano? Tylko się denerwujecie.

- Nie... w porządku. Oni mają rację. Powinnam porozmawiać z policją - wyszeptała Julie.

- Mówy nie ma. Jules, pamiętaj, że mamy nasz mały umów. Nie chcemy wszystkiego spieprzyć.

- Ale ja nie chcę iść do więzienia.

- Nie pójdziesz do żadnego więzienia, mała. Oni tylko próbują cię zastraszyć - powiedział, nagle nienaturalnie rozdrażniony.

Nick zaczął się zastanawiać, czy smarkacz nie jest przypadkiem na prochach. Może się czegoś nawet nauczył. Albo pali marihuany.

- Przekonasz się. - rzekł Walt. - Co to za umowa? Z kim ją zawarliście?

- Jules nic wam nie powie.

- Ona sama umie mówić. - Nick patrzył na dziewczynę. - Niepotrzebne ci są takie problemy. I pomyśl o swojej mamie.

Julie z trudem przełknęła linę i zaczęła wyskubywać nitkę z porządku swojego fotela.

- Sama nie wiem.

- Jules, proszę, to dobry układ, nie spieprz tego. - Robert potarł dłonią ramie dziewczyny, a gdyby jego wzrok mógł zabijać, Walt i Nick byłiby już martwi.

Julie głębiała nosem, nie była w stanie dłużej hamować łez, które teraz czarnymi strugami spływały jej po twarzy. Rozmazała je ze złości.

- Musz... musz coś powiedzieć - wyjąkała. - To tak mnie okropnie gryzie.

- Cholera, nie! - Robert przysunął głowę i cisnął jej ramieniem. - Pomyśl, co to znaczy dla nas, mała. To nasz bilet...

- Twój bilet? A co ty takiego zrobiła? - spytała gniewnie.

- Hej, zaraz. - Cofnęła się o krok i wyciągnęła palec w kierunku Nicka. - Te dupki robią ci wodę z mózgu.

- Spokojnie, mały, albo pogadamy inaczej - ostrzegł go Nick. Zwrócił się do dziewczyny: - No wiacie, Julie?

- Moja mama... rozmawiałam z nią jakiś tydzień przed tym wypadkiem - powiedziała, a Robert teatralnie przewrócił oczami, chcąc zmusić ją do milczenia, po czym wybiegł do kuchni, gdzie kopnął w kredens z taką siłą, że Julie podskoczyła, a kot wybiegł spod stołu i uciekł do sypialni w poszukiwaniu bezpieczniejszej kryjówki.

- Przestań, Robert! - krzyknęła. - Przestań!

- O tak, przestań, i to zaraz. Jasne. - ryknął Robert wypadając z kuchni z kluczami w ręce. - Spadam stąd. Jeśli chcesz spieprzyć taki wietny układ, droga wolna, ale mnie w to nie mieszaj - zawołał ze swym oburzeniem w głosie.



Przechodził wielkimi krokami przez drzwi, trzymał ramieniem Nicka, który miał wielką ochotę złapać go za kark, przelatywał przez kolano i tym drogą wlał mu trochę rozumu do głowy. Nie zrobił tego jednak i po chwili drzwi wejściowe zamknęły się za Robertem z potężnym hukiem. Kilka sekund później nocą ciszą rozdarł ryk silnika motoru, który z piskiem opon odjechał spod domu.

- Bardzo dobrze. - Julie założyła ręce na piersi. - Nie wiem, czemu za niego wyszłam. - Potem, jakby nagle zorientowała się, że ma publiczność, która jest wiadkiem jej dramatu, wyprostowała się w swoim fotelu i znowu zaczęła nerwowo poruszać stopami. Wargi jej drżały, więc przygryzła je ze złości. - Niewdzięczny duppek.

- Wróćmy do twojej mamy - powiedział Nick, chcąc skierować jej myśli na właściwy tor. - Wiesz, gdzie jechała tamtej nocy?

- Chyba tak. Zadzwoń do mnie. Szukała miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać na jakiś czas, miejsca, gdzie nikt by jej nie znalazł. A moi znajomi wynajmowali mieszkanie przy szkole. Mieli wyjechać na cały weekend więc załatwiłam, żeby mama mogła się tam zatrzymać.

- Dlaczego chciała się ukryć?

- To miało jakiś związek z księżką, którą ostatnio pisała. O adopcji i prawach rodzicielskich, czy czymś w tym stylu. Kiedy bardzo jej to interesowało. Zadzwoń i powiedz, że musi się ukryć, bo najpierw musi coś zrobić, a zaraz potem zniknąć. To wszystko było całkiem zwariowane. Mówiła, że jej przyjaciółka potrzebuje pomocy, bo zamierza odejść od męża, ale nie chce zostawić mu dziecka. Ja... ja nie miałam pojęcia, że chodzi o Marl Cahill. To znaczy, nie byłabym... och, do diabła, to już bez znaczenia. Mama powiedziała mi, że musi sprawdzić parę rzeczy i popracować z tymi kobietami, spróbować znaleźć jakiś sposób, żeby mogła zatrzymać dziecko. Zamiast

wynagrodzenia miała otrzymać prawo do umieszczenia całej historii w swojej książce.

Marla. Marla chciała odejść od Aleksa i zabrać ze sobą dzieci.

- Moja historia też chciała wykorzystać w tej książce, ale nie byłam tym zachwycona. Mimo że pewne szczegóły zostałyby zmienione, są ludzie, którzy się o tym dowiedzieli, o kogo chodzi. A ja nie chciałam, żeby moi znajomi dowiedzieli się o dziecku... - Wzruszyła ramionami. - Teraz i tak już nic z tego... - Znowu zaczęła płakać. - Dlaczego... dlaczego uważacie, że ktoś ją zabił? Ta kobieta, która prowadziła samochód, czy ona specjalnie spowodowała wypadek? Tata chce ją pozwać do sądu. To... to ona Alexandra, prawda?

- Sądźmy, że ktoś spowodował wypadek, stając na drodze - powiedział Walt. Nick zauważył, że dziewczyna mówiła o Aleksie, używając jego imienia, jakby się dobrze znali. O co w tym wszystkim chodzi?

- Kto to mógłby?

- Nie wiemy - przyznał Nick, choć lista podejrzanych znacznie się skróciła, a na jej czele znajdował się teraz jego brat. Na sam myśl o tym zrobiło mu się zimno. Może w tej chwili Alex jest z Marlą.

- A co to za „wietny układ”, o którym mówił Robert? - spytał Walt.

- O Boże... - Julie się zawahała. Znowu zaczęła obgryzać paznokcie, niewiele z niego zostało. - Teraz, kiedy wiem, że ci wszyscy ludzie są spokrewnieni, to takie dziwne. Ja... ja cóż, w pewnym sensie związałam się ze starszym mężczyzną, kiedy byłam w Cahill House. On... ja... podobałam mu się. Wtedy byłam skłócona z Robertem z powodu dziecka, a ten mężczyzna... był dla mnie miły. Dobrze mnie traktował. Mama się o tym dowiedziała i strasznie się wściekła. Skontaktowała się ze znajomym prawnikiem i zaczęła się odgrażać, że pozwie

go do s du. Wiedziała tylko, e jest starszy i onaty, ale chyba miała zamiar obedrze go ze skóry.

- Kiedy si dowiedziała, e to wielebny? - spytał Walt.

Julie otworzyła usta, zacz ła co mówi , ale nagle urwała i zacisn ła wargi.

- Nie pami tasz? - Walt był uparty. Julie szybko zamrugła powiekami.

- Julie? - Nick spojrzął na ni uwa nie.

- To nie był wielebny - wyszeptała w ko cu, patrz c w podłóg .

- Chwileczk . - Walt potarł kark dłoni . - S dziłem, e ty i on... Dziewczyna potrz sn ła głów .

- Wszyscy tak s dzili. O to chodziło. To wła nie ten wietny układ, o którym mówił Robert. - Spojrzała na Nicka z powag i jej drobna, umazana tuszem twarz nagle jakby zapadła si w siebie. - To nie było tak, jak wszystkim si wydawało. Wielebny był po prostu dobry dla mnie, a Alex... - wyszeptała dr cymi ustami.

- Mój brat?

- Tak! Zawarł umow ze mn i z wielebny m Favier. Ja miałam twierdzi , e to wielebny, a on miał si przyzna . eby mama nie zmuszała mnie do wniesienia sprawy.

- Ale dlaczego Donald Favier pozwolił w taki sposób zszarga swoje imi ? - spytał Nick. - Mogło go to kosztowa jego kongregacj . Dziwi si , e nie został wyrzucony z ko cioła.

- To jego ko ciół. Jedy ny w swoim rodzaju. To nie sie jak McDonald's ani cz wi kszej cało ci. Nie ma w nim arcybiskupa ani papie a, ani nikogo w tym rodzaju.

- Ale jego reputacja mocno na tym ucierpiała - stwierdził Nick. -Dlaczego zgodził si wzi to na siebie?

Wargi Julie wykrzywił cyniczny u miech, z którym wygl dała na du o starsz , ni była w istocie.

- A jak s dziecie? - spytała, wycieraj c nos wierzchem dłoni. - Zgodził si na ten układ z tego samego powodu, co ja. Dla pieni dzy.

W domu było ciemno. Cicho. Marla słyszała tylko dobiegaj cy zza okien szum wierzchów rosn cych za domem. Teraz albo nigdy, powiedziała sobie, odrzucaj c kołdr i wkładaj c szlafrok na pid am . Usłyszała przy tym cichy brz k schowanych w kieszeni szlafroka kluczy -kluczy Eugenii. Nadszedł wreszcie czas, by zrobi z nich u ytek. Marla nie spała jeszcze tej nocy. Czekala długo, póki si nie upewniła, e jej te ciowa, słu ba i Cissy rozeszli si do swoich pokojów. Nick znikn ł ju wcz e niej, a Alex wyszedł po kolacji i jeszcze nie wrócił. W ka dym razie ona nie słyszała, eby wracał.

Zamkn ła za sob drzwi sypialni i przeszła przez apartament, jedn r k ciskaj c klucze w kieszeni, eby nie brz czały. Uj ła gałk drzwi pokoju Aleksa i spróbowała przekr ci . Były zamkni te na klucz. Nic nowego.

- Co przede mn ukrywasz? - szepn ła pod nosem. Wyszła na korytarz i przy wietle jednej lampy, któr zostawiano wł czon na noc, podeszła do drzwi gabinetu. Nerwy miała napi te jak postronki, dłonie zacz ły jej si poci , a w uszach jej szumiało. Wło yła do zamka pierwszy klucz. Nie pasował. Drugi wszedł gładko, ale nie chciał si przekr ci . Wyj ła go nie bez trudu i wło yła kolejny. To samo. W holu na dole stary zegar wybił pierwsz .

Dalej, no dalej, poganiała si w my lach, wkładaj c do zamka nast pne dwa klucze. W ko cu trafiła na ten wła ciwy i zamek ust pił z cichym szcz kiem. Z mocno bij cym sercem weszła do pokoju, w którym unosił si słaby zapach tytoniu i u ywanej przez Aleksa wody po goleniu. A teraz Marla, my ł, powiedziała sobie. Cicho zamkn ła za sob drzwi i wło yła klucze z powrotem do kieszeni. Zapaliła lamp na biurku i ruszyła do garderoby Aleksa, przechodz c przez siłowni , z

której nader rzadko korzystał. Tu, w niedużym pomieszczeniu pełnym jego garniturów i marynarek zapach wody po goleniu był znacznie silniejszy. Cicho uchyliła drzwi do sypialni i przez szpar zajrzała do prywatnego sanktuarium Aleksa. Z ulg spostrzegła, że jego łóżko jest porządnie zasłane i tak równiutko przykryte narzutem, jakby spodziewał się wojskowej inspekcji.

Powoli wypiła powietrze z płuc i wróciła do gabinetu. Nerwowo, drżącymi palcami przerzuciła kartki jego notesu. Pamiętała sporo nazwisk, bo w ciągu kilku ubiegłych tygodni poznała kilkoro ludzi, a o innych słyszała. W sumie rozpoznała mniej więcej jedną trzecią nazwisk zgromadzonych w kalendarzu. Czytała wszystkie bardzo uważnie, starając się zapamiętać pewne szczegóły dotyczące krewnych, znajomych i współpracowników Aleksa i Marli. Znieruchomiała, kiedy jej wzrok napotkał imię Kylie Paris. Kylie. Znowu. Na moment serce przestało jej bić. Wiadomo, że kobieta nosząca imię, którym nazwał Marla jej ojciec, naprawdę istnieje.

Nagle zaszczoła jej w gardle. Zagryzła wargi. Dobry Boże, czy Kylie to jej imię? W takim razie dlaczego wszyscy, łącznie z jej matką, uważają ją za Marla? To przecie nie ma sensu. A może Kylie to imię innej osoby? Czy to może być ona, Marla, matczyńska siostra, jak sugerował Conrad Amhurst? Czy te były to tylko majaczenia starego, chorego człowieka?

Nigdy nie zrozumiesz, prawda? Nie jesteś moją córką. Wynosi się stąd, Kylie, i nigdy nie wracaj. Nie dostaniesz ode mnie ani centa!

Bał się o pieniądze? Ten człowiek, który wszystko, co w życiu zgromadził, całą swoją potęgą fortuną, zapisał jednemu noworodkowi, bał się o swoje pieniądze?

Jego pełne nienawiści słowa cięgnęły ją w uszach, kiedy uważnie czytała adres i numer telefonu zanotowane przy nazwisku Kylie Paris. Powiedziała sobie, że

fakt, i jest rodek nocy nie ma żadnego znaczenia, oblizła nerwowo usta i podniosła słuchawkę telefonu.

- Kto nie ryzykuje, ten nie żyje - szepnęła i drżącymi palcami wystukała numer. Czekwała, mocno ciskając słuchawkę w spóconej ręce. Po kilku sekundach rozległ się cichy szczyk, a potem nagrany na automatyczny sekretark kobiecy głos - zmysłowy, rozbawiony, kuszący.

- Cześć. Masz pecha, bo nie ma mnie w domu. Ale wiesz, co robi - zostaw numer telefonu, a ja oddzwonię po powrocie. Jeśli byś miała ochotę. Ciao.

Sygnał. Marla odłożyła słuchawkę. Szybko. Przełączyła linie. A może jednak powinna była zostawić wiadomość? Kim jest ta kobieta? Jej siostra? Kim zupełnie obcym? A może ona sama nagrała się na sekretarkę, jako Kylie Paris?

Gdyby tylko co jej się przypomniało! Patrzyła na telefon, zastanawiając się, czy nie zadzwoni jeszcze raz. Chyba nie byłoby w tym nic złego, gdyby powiedziała, że nazywa się Marla Cahill i szuka siostry... Nie, lepiej byłoby jednak spotkać się z tą kobietą osobiście. Twarz w twarz. Może jej widok wydobędzie z mroku jakie wspomnienia? Tak czy inaczej Marla nie mogła tracić więcej czasu. Otworzyła spinaczkę notesu metalowe kółka i wyjęła kartę z adresem Kylie i włożyła ją do kieszeni. Jeszcze raz przejrzała zapisane nazwiska w nadziei, że które z nich z czymś jej się skojarzy, ale nic takiego się nie stało.

- Nigdy się nie poddawaj - powiedziała sobie i spojrzała na komputer, żeby dostać się do poczty elektronicznej potrzebowała hasła. Spróbowała kilku kombinacji dat i imion, które słyszała ostatnio, żadna jednak nie umożliwiła jej dostępu do plików Aleksa. Zegar w holu wybił drugą. Kiedy Alex ma zamiar wrócić? Dopiero jutro? Spróbowała otworzyć biurko, ale szuflady były zamknięte. Oczywiście.

- Do diabła z rym... - powiedziała na głos i wyjęła z kieszeni klucze Eugenii. Na kółku wisiły trzy małe kluczyki.

Jeden otwiera zapewne barek, drugi sekretarzyk w pokoju Eugenii, a trzeci... tak, trzeci otwiera biurko Aleksa!

Zamek szuflady ust pił.

Alleluja!

Szybko przejrzała zawarto szuflady. Znalazła dokumenty, kopie zezna podatkowych i rachunków, wyci gi z banków i hipotek, wszystkie starannie posegregowane i wło one do osobnych kopert z szarego papieru. Rachunki opiewały na astronomiczne sumy, po yczki, zaci gni te pod zastaw kilku nieruchomości - ł cznie z domem, w którym mieszkali - były bardzo wysokie. Zadł uenie si gało kilku milionów dolarów. Czy Alex nie odziedziczył domu i ranczo po ojcu? Marszcz c brwi, przejrzała dokumenty wyj te z koperty opatrzonej napisem „Inwestycje” i przekonała si , e w ci gu kilku ostatnich miesi cy Alex kilkakrotnie wycofywał nie tylko odsetki, ale i znacznie wi ksze sumy. Zlikwidował te kilka kont i lokat. Ł czna suma tego, co zostało w bankach, nie si gała nawet jednej dziesi tej tego, co znajdowało si tam przed trzema laty.

Co, do cholery, stało si z tymi pieni dzmi?

S dz c po tym, co znajdowało si w biurku, Alex i Marla Cahill ton li w długach. Nic dziwnego, e Alex pracował do nocy i rozmawiał z zagranicznymi inwestorami. Zamkn ła szuflad i otworzyła kolejn . Znajdowały si w niej wyniki bada medycznych, opisy przebiegu chorób i wypisy ze szpitali - niektóre sprzed kilku lat. Otworzyła kopert z napisem „Marla” i zacz ła dokładnie czyta ka dy dokument. Dowiedziała si , e kilka lat wcze niej naderwała ci gno w prawej r ce, a cztery lata temu skr ciła kostk . Przejrzała rachunki, z których wynikało, e w ci gu dwóch ostatnich lat poddała si kilku niewielkim operacjom plastycznym twarzy, które miały zapewne zapewni jej młody wygl d na dłu ej.

Co za strata, bior c pod uwag wypadek. Ju miała wrzuci wszystkie papiery do koperty, kiedy nagle wpadł jej w

rece ostatni rachunek za operację w prywatnej klinice. Przeczytała go i zmarszczyła brwi. To niemożliwe, to jaka pomyłka, pomyliła w pierwszej chwili. Ale z rachunku wynikało jasno, że przed trzema laty Marla Amhurst Cahill przeszła operację wyjęcia macicy i jajników.

Trzy lata przed narodzinami jej syna Jamesa - dwa, nim został poczęty.

- O Boże - szepnęła. Nagle zakręciło jej się w głowie. Przypomniała sobie, jak doktor Robertson nie chciał pokazać jej szpitalnych dokumentów, a Alex nalegał, by wracali do domu. Tłumaczył jej, że jest zbyt zmęczona, ale prawda była inna. Chciał ukryć przed nią pewne fakty.

Chciał przed nią ukryć, że poddała się sterylizacji.

Bo byłby to dowód, że James nie może być jej dzieckiem.

Zrobiło jej się słabo, oblała zimny pot. Oparła się o biurko. W głowie miała kompletny zamęt. Co tu się, do diabła, dzieje? Przecież pamięta narodziny swojego syna. Było to jedno z niewielu pełnych, wyraźnych wspomnień, jakie miała. Z drugiej strony znalazła w szafce pustą buteleczkę po premarynie - hormonalnym rodku podawanym kobietom po menopauzie. Albo po sterylizacji.

Ale dziecko... dziecko... o Boże, czy tylko wyobraziła sobie poród? I dlaczego nie może sobie przypomnieć narodzin Cissy?

Bo nie jesteście Marla Cahill, do cholery! Cały czas to przeczuwała.

Miała wrazenie, że traci rozum... to nie może być prawda.

Wejść w garść, Marla. Już! Nie wolno ci teraz tracić głowy. Szukaj. Sprawdź rzeczy Aleksa. Dowiedz się, dlaczego ma przed tobą tajemnice!

Drzymi rękami złożyła rachunek i wsunęła go do kieszeni, w której spoczywały już klucze Eugenii i kartka z adresem Kylie Paris. Czy to ona jest matką Jamesa? A ona sama, czy istotnie dała sobie usunąć macicę? Wyszła ze



szpitala jakie trzy tygodnie temu, zbyt niedawno, by mie pełny cykl menstruacyjny, ale na swoim brzuchu nie zauważyła żadnych blizn pooperacyjnych. Ale teraz nie tu już z wierzchu, przypomniała sobie. A drugiej strony jednak nie brała estrogenów, a mimo to nie cierpiała na uderzenia gorąca, wahania nastrojów, nic... kto jednak mógł dosypywać jej leki do posiłków.

Ale nie może być tego pewna, prawda? Nie wiesz, czy jesteś on Aleksa i matką jego dzieci. Nie wiesz, czy masz macicę i jajniki, nie wiesz nawet, jak masz na imię.

Ogarnął ją paniczny strach. Nagle przyszło jej do głowy, że ktoś - nie była pewna kto - próbuje doprowadzić ją do szaleństwa. Chce, by zaczęła wyglądać na paranoiczkę. Ale po co? Aby odebrać jej dzieci?

Odetchnęła głębiej. Opanowała emocje. Musi się jakoś dowiedzieć, co się tu dzieje. Potrzebuje tylko trochę czasu, a pozna wszystkie brudne tajemnice klanu Cahillów.

I swoje własne. Jakich są twoje tajemnice, Marla?

- Nie wolno ci tak myśleć - skarciła się zaraz. Czas uciekał, a ona musiała przeszukać jeszcze jeden szuflad. - Bo e, daj mi siły - szepnęła. Otworzyła szufladę i zobaczyła rewolwer. Nieduży, srebrny rewolwer. Serce stanęło jej w piersi. Dotknęła palcami chłodnego metalu i przeszył ją lodowaty dreszcz. Po co Aleksowi broń? By bronić siebie i swojej rodziny - rodziny, którą tak rzadko widuje? A może e, by kogoś zabić? Zaszczyt jej w gardle. Podniosła rewolwer, otworzyła komorę i zobaczyła kule. Był naładowany. Wydawał jej się nieporęczny. Ciężki. Zabezpieczyła go i już miała odłożyć do szuflady, aby Alex nie zorientował się, że grzebała w jego rzeczach, kiedy nagle zmieniła zdanie. Broń może e jej się przydać. Ponadto zabierając się do broń, brawo miała pewno, że Alex nie zrobi z niej użytku.

O Bo e, dlaczego nie może mu zaufać, czuła, że nie może. Kim właściwie jest ten człowiek, skryty, tajemniczy,

zamykaj cy wszystkie drzwi na klucz i trzymaj cy rewolwer w szufladzie biurka. Kim jest ten człowiek, jej m ? Spojrzała na lubn obr czk , któr nosiła na r ce, i zacisn ła palce na rewolwerze. I kim jest ona sama - ona, która pami ta narodziny dziecka, cho wcze niej poddała si sterylizacji?

Nie jeste Marl Cahill, powtarzał jaki głos. Wiedziała o tym od chwili, gdy wyszła ze pi czki i usłyszała to imi . Conrad Amhurst o tym wie. Cissy o tym wie. Mały James zacz ł płaka , kiedy pierwszy raz wzi ła go na r ce, a Coco zachowuje si , jakby była wied m . Całe twoje ycie to jedno wielkie kłamstwo, Marla czy Kylie, czy kim tam jeste . Kłamstwo na resorach.

Serce waliło jej jak młotem, w głowie miała chaos. Nagle gdzie na dole usłyszała szczekanie Coco. Znieruchomiła, wyt aj c słuch. Musi si st d wynie . Natychmiast. Ale co z rewolwerem? Je li go zabierze, Alex domy li si , e kto go zabrał. Je li go zostawi, on b dzie mógł go u y ... przeciwko niej... albo dzieciom. Ostro nie wło yła rewolwer do kieszeni. W tej samej chwili usłyszała kroki. Kto wchodził po schodach.

Alex!

Cholera.

Serce podeszło jej do gardła. Nie miała do czasu, by wyj na korytarz i pobiec do swojego pokoju. Alex zobaczy j na pewno. Musi wi c mie nadziej , e wejdzie przez apartament, a potem, kiedy on pójdzie do swojej sypialni, jej uda si wymkn na korytarz i szybko przekra si do pokoju Jamesa.

Dr cymi palcami poskładała dokumenty, zamkn ła szuflady, a potem drzwi na korytarz. Alex wchodził na ostatni stopie . Usłyszała charakterystyczne skrzypni cie. Bezszelestnie wygładziła siedzenie krzesła, a potem wsun ła je pod biurko. Zgasiła wiatło i jednym susem wskoczyła do siłowni. Przymkn ła drzwi, zostawiaj c tylko szpar . Czekala,

spocona ze strachu, z mocno bijącym sercem. Kroki Aleksa zbliżyły się nieubłagane. Nagle ucichły i Marla domyśliła się, że Alex stoi za drzwiami apartamentu.

Bo nie pozwól, żeby mnie tu znalazł.

Alex ruszył dalej, w stronę gabinetu. Po chwili rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Marla cofnęła się jeszcze i weszła do garderoby. Wstrzymując oddech, czekała, aż otworzy pokój, w którym stał komputer.

- Sukinsyn... - mrucał Alex pod nosem. Przerażenie podniosło Marli włosy na karku.

- Co, u licha! Skąd ten wygaszacz ekranu... Kto tu był?

Pod Marli ugięły się nogi. Oczywiście, domyśliła się, że kto był w jego pokoju, skoro monitor był włączony. Zadzwoił telefon. Marla drgnęła, zaraz jednak zorientowała się, że nie był to dobrze jej znany dzwonek telefonu stacjonarnego, lecz cichy, elektroniczny dźwięk komórki Aleksa.

- Halo? - rzucił i Marla usłyszała, że odsunął krzesło przy biurku.

Teraz, to twoja szansa. Musisz tylko szybko przebiec przez pokój i wrócić do siebie.

Na palcach przeszła przez garderobę i dopadła drzwi. Niestety, drzwi były zamknięte na klucz i zasuw. Nie będzie w stanie wyjść, jeśli zasuw zasunie się za nią.

Cholera. Rozejrzała się wokół i wytarła spocone dłonie o szlafrok. Co może zrobić? Czy może zaryzykować, że Alex nie pamięta o zasuwie? Nie.

Wróciła do garderoby, szukając tam jakiejś wnęki czy niszy, w której mogłaby się skryć i zaczekać, aż on pójdzie spać. Wtedy wyjdzie z jego pokoju przez gabinet.

Przez szparę w drzwiach słyszała głos Aleksa.

- Tak... wiem... Nie, nie dzwoniłem... Powiedziałem, że nie dzwoniłem... Cholera! Jesteś pewna? Tak, wiem o tym...

Dobrze, kiedy? Pół godziny temu? Nie było mnie jeszcze w domu... Jezu Chryste, kto si domy li!

Marla zmartwiła. Domy li si , e Alex musi rozmawia z Kylie Paris, która powiedziała mu o telefonie. Marla czuła ju , e podyktowane impulsem wykr cenie tego numeru było nieostro ne. O Bo e, nie! Ta kobieta kombinuje co razem z Aleksem, jest w to wszystko wmieszana. Ale jak? Dlaczego? Marla wiedziała, e musi si st d wydosta . Jak najszybciej.

- Nie wiem, do cholery! Prawdopodobnie Nick. Wiedziałem, e nie powinni my byli ci ga go tutaj... Dobrze, ju dobrze, uspokój si ! Wszystko b dzie dobrze. Ale teraz musisz opu ci ... tak, do cholery! Natychmiast! Mo e s ju w drodze. Jed do przyczepy... tam b dziesz bezpieczna jeszcze dzie lub dwa... Czekaj, a po ciebie przyjad ... co? Oczywiście, e ci kocham. Gdybym ci nie kochał, czy zrobiłbym dla nas to wszystko? - w jego głosie brzmiała nuta szczeru ci. Kochał t kobiet , t Kylie. Zrobił dla niej „wszystko”. Cokolwiek to oznaczało. - Co? Tak. Dobrze. Tak lepiej.

Marla nie czekała ju ani sekundy. Czowała, e jest wpl tana w co , czego nie rozumie. W co niebezpiecznego. Co , co kosztowało ju ycie Pam Delacroix i Charlesa Biggsa. A przecie dwukrotnie niewiele brakowało, by i ona sama zgin ła. Bo e, nikt nie jest bezpieczny. Musi st d ucieka , zabra dzieci i wia . Pó niej, kiedy b dzie ju spokojna o Jamesa i Cissy, zastanowi si , co dalej. Ale jedno było ju jasne: Alex kocha inn kobiet . Prawdopodobnie Kylie Paris, która mo e by jej przyrodnia siostr .

Dr c, przeszła przez garderob i pokój Aleksa. Otworzyła kluczem drzwi apartamentu, a potem odemkn ła zasuw . Teraz ju o ni nie dbała. Z trudem opanowuj c strach, ruszyła po mi kkiej wykładzinie do swojej sypialni.

Dzi w nocy nic nie może jej zrobić. Musi udawać, że wszystko jest w porządku, jak zwykle. Musi upić się czujno Aleksa, przekona go, że o nic go nie podejrzewa.

O Boże, gdyby tylko Nick był tu z nią teraz, pomyślała zrozpaczona, potem jednak skarciła się za tę potrzebę męskiego wsparcia. Może sama dać sobie radę, Marla, musisz dać sobie radę. Twoje dzieci polegają na tobie. Wsadziła rewolwer pod materac, zrzuciła szlafrok i wsunęła się pod kołdrę. W tej samej chwili usłyszała, że drzwi pokoju Aleksa otwierają się cicho, a zaraz potem rozległy się jego ciężkie kroki. Zatrzymał się pod jej drzwiami. Zamknęła oczy, starając się oddychać normalnie. Wolno. Równo. Spokojnie, powtarzała w myślach, tylko spokojnie. Rozluźnij się.

Drzwi sypialni skrzypnęły. Marla udawała, że jest pogrążona w głębokim śnie, oddychała miarowo, usiłując się nie ruszać, choć serce biło jej jak oszalałe.

Alex podszedł bliżej i stanął przy łóżku, pochylając się nad nią, tak jak tamten człowiek w ubiegłym tygodniu. Czuli jego oddech na twarzy i z trudem powstrzymywała się od krzyku. Oddychaj wolno, powtarzała sobie. Tylko spokojnie. To twoja jedyna szansa.

- Marla? - usłyszała jego szept. I omal nie podskoczyła. Nie drgnęła jednak nawet, wysiłkiem woli zmuszając ciało do posłuszeństwa. - Kochanie?

Młasnęła lekko, odemknęła usta i westchnęła. Mijały długie sekundy. Marla miała coraz większą ochotę, by otworzyć oczy i spojrzeć w kłamliwą twarz tego człowieka. Kim on właściwie jest - jej mężem? Jej kochankiem? Jej wrogiem?

- Marla? - zawołał znowu, tym razem trochę głośniej, spokojnym, miłym głosem.

Nie zareagowała.

- Nie pisz? - Cholera, nie zamierzał dać za wygraną. Marla przewróciła się na wznak, z rozmachem odrzucając w

bok jedno rami , jakby co zaczynało dociera do jej wiadomo ci. - Marla? - powiedział całkiem gło no, ze zło ci . Teraz musiała ju zareagowa .

- C-co? - Zamrugała powiekami i spojrzała na niego zmru onymi oczami. - O Bo e, ale mnie przestraszyłe . Alex? - Udaj c bardzo zaspan , ziewn ła i popatrzyła na zegar. - Która godzina?

- Pó na. Wiem o tym. Wła nie wróciłem. Wydaje mi si , e kto był w moim biurze... to znaczy w gabinecie, tutaj, w domu.

- Kto?

- Ciebie o to pytam.

- Nie wiem... o Bo e! - Otworzyła szeroko oczy, jakby uderzona jak nagł , strasz n my l . - Ten włamywacz! My lisz, e wrócił? -Usiadła na łó ku, przyciskaj c kołdr do piersi, i wł czyła lampk . -Dzieci!

- Nie s dz , eby to był włamywacz - stwierdził Alex, patrz c na ni zimno.

- Nie? To dlaczego mnie budzisz? - Nie udało jej si opanowa zdenerwowania. - Musimy zmieni zamki. S dziłam, e masz zamiar to zrobi . Dzieci! - Odrzuciła kołdr .

- Wszystko w porz dku.

- Sprawdźte ? - spytała, id c do pokoju Jamesa, jakby naprawd wierzyła, e kto włamał si do domu. James spał smacznie w swojej kołysce. - Dzi ki Bogu - wyszeptała z ulg .

- My l , e kto dostał si do mojego gabinetu i... - Alex wyszedł za ni na korytarz. Marla otworzyła drzwi pokoju Cissy i zajrzała do rodka. Cissy spała. Na jej twarzy migotało bł kitne wiatło wł czonego telewizora.

- Wie dobrze, e nie wolno jej spa przy tym - rzuciła, jakby zirytowana na cór k .

Weszła do pokoju i wył czyła telewizor. Cissy nawet nie drgn ła. Wyszli na korytarz.

- Sprawdzisz pozostałe pi tra? - spytała Marla, patrz c Aleksowi prosto w twarz.

- Nie... Marla... Nie s dz , eby kto z zewn trz dostał si do domu.

- Ale sam mówił , e...

- Pomy lałem, e mo e ty była w moim gabinecie.

- Ja? W jaki sposób? Nie był zamkni ty?

- Był.

- Wi c w jaki sposób...

- Nie wiem - odparł. W mrocznym korytarzu jego twarz wydawała si ponura i zła, szare oczy patrzyły na Marl lodowato. - Ale matce zgin ły klucze...

- I uwa asz, e ja je znalazłam i włamałam si do twojego gabinetu. - Przeczesaa włosy palcami, jakby była ju bardzo znu ona. - Och, Alex, nie b d mieszny.

- Na komputerze był wygaszacz ekranu.

- I co z tego?

- To znaczy, e kto korzystał z komputera w ci gu ostatnich dziesi ciu minut. Został zaprogramowany w ten sposób, e przez dziesi minut na ekranie pokazuje si wygaszacz, a pó niej monitor zostaje automatycznie wył czony.

- Có , nie potrafi tego wyja ni . - Spojrzała na niego z bólem, po czym nagle wyci gn ła r k i dotkn ła jego twarzy.

- Za du o pracujesz. Id ju spa , Alex. Jutro rano na pewno przyjdzie nam do głowy jakie proste wytłumaczenie.

- Powiedz mi po prostu, e nie kłamiesz. - Alex patrzył na ni twardo, nieufnie.

- Dobrze, nie kłami . A ty zachowujesz si jak wariat! - Odwróciła si na pi cie i ju miała ruszy do swojego pokoju, kiedy Alex nagle chwycił j za rami i odwrócił do siebie. Twarz wykrzywiał mu gniew, nad którym z trudem panował.

- Nie wchod mi w drog - ostrzegł j przez zaci ni te z by, zaciskaj c palce na jej ramieniu. - Byłby to du y bł d. -

Pu cił j i wielkimi krokami poszedł do swojego gabinetu. By odkry , e jego rewolwer znikn ł z szuflady. Pod Marl ugi ły si nogi. Chwyciła si por czy, usiłuj c opanowa strach. Musi wytrzyma w tym domu jeszcze tylko kilka godzin. Ale teraz ma przynajmniej bro .

Jutro zabierze dzieci i wyjedzie.

Ale dok d? Z czym? Nie ma pieni dzy. Nie ma dokumentów. Nie ma samochodu.

Musi znale jednak jaki sposób, by wydosta si z tego wi zienia. Nawet, gdyby miało j to kosztowa ycie.

## 18

Przysi gam, e je li spróbujesz odebra mi syna, zabij ci !” Stali w holu. Twarz Aleksa była pełna nienawi ci, jego szare oczy pociemniały z w ciekło ci. „Nie! O Bo e, nie!”

Marla, zлана zimnym potem, otworzyła oczy. Serce tłuło jej si w piersi jak oszalałe.

Była sama. W swoim łó ku. W ciemno ci. Gdzie za oknem gał uderzała w okiennic . Zegar w holu tykał gło no, odmierzaj c kolejne minuty. Poza Marl w pokoju nie było nikogo.

Po chwili, kiedy zdołała si opanowa , usiadła na łó ku, przyciskaj c kołdr do piersi.

- To był tylko sen - powiedziała sobie. - Tylko zły sen.

Spojrzała na zegar. Wpół do pi tej. Jeszcze nie zacz ło wita . Potarła dło mi ramiona, szeroko otwieraj c oczy, ale koszmar nie znikał. Wizja ze snu była zbyt wyra na, zbyt realna. Gł boko zapadła w jej umysł, tak jak inna, podobna scena, która nagle z przera aj c dokładnie ci wyplłyn ła na powierzchni jej pami ci.

- Nie pozwol na to - warkn ł Alex. - Nie pozwol ci go zabra .



- Tak? To patrz, ty draniu - odpała, podchodź do niego. - Pozwól ci dościsnąć, nie zawaham się przed niczym, byle moje dziecko nie dorastało w tej... tej groteskowej sytuacji. Gdzie on jest?

- Tu go nie ma.

- Kłamiesz!

- Sama się przekonaj.

- Jeśli zrobiłeś mu krzywdę... - Głos jej się załamał, na sam myśl o takiej możliwości odskoczył jej do gardła.

- Przysięgam, e...

- Nigdy bym go nie skrzywdził. Został ukryty, to wszystko.

- Nie wierz ci. - Wbiegła na górę schodami, przeskakując po dwa stopnie. Nie poszedł za nią. O Boże, mówił prawdę. Gdy otworzyła drzwi do sypialni, serce biło jej tak mocno, że niemal nie zagłuszyło dzwonka telefonu. Pokój dziecienny był pusty. Zimny. Wrogi. Przebiegła pozostałe pokoje, ale wiedziała już, że Alex mówił prawdę i że ten dom, który kiedyś uważała za pałac z bałkami, był zimny i pozbawiony duszy. A teraz nie było słońca, nie było rodziny, nie było... dziecka. Zabrakło jej tchu w piersiach. Czuła się wyczerpana, urodziła zaledwie kilka dni temu. Weszła na schody i zatrzymała się na poziomie salonu, opierając się o poręcz. Widziała stąd Aleksa, odwróconego do niej tyłem i rozmawiającego przez telefon. Mówił cicho, lecz wyraźnie.

- Tak... tak... powiedziałem, że przyjdę. Po prostu czekaj... nie wiem... dwie godziny, może trzy... Mam tu coś, czym musisz się zająć. Tak, wiem... ja ciebie też, naprawdę... - Kochanka, rozmawiał ze swoją kochanką, a to wszystko miało jakiś związek z dzieckiem. - Został tam... patrz na ocean, pospaceruj po plaży... uspokój się... wszystko będzie dobrze.

- Kto to? - spytała Marla, zbiegając ze schodów.

Alex szybko odłożył słuchawkę i odwrócił się do niej, zmieszany.

- Gdzie jest moje dziecko?! - krzyknęła.

Wtedy ją chwycił. Błyskawicznie złapał ją za ramiona, twarde dłonie. Marla poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Ciskał ją z taką siłą, że była pewna, iż zaraz połamie jej kości. Jego twarz wykrzywiła zimna, przerażająca nienawiść. Potrzebował jej, potrzebował jej, potrzebował jej.

- Nie naciskaj. Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Akurat!

- Mamy umowę.

- Mieliśmy. Mieliśmy umowę. Zrywam ją! I przysięgam na Boga, że zabiorę ze sobą moje dziecko. Jak najdalej od tego straszego miejsca, tych wszystkich kłamstw i oszustw!

- Nie próbuj mi grozić - warknęła ostrzegawczo. - Gramy o duży stawek. Przysięgam, że jeśli spróbujesz odebrać mi syna, zabiję cię!

A potem... co było potem? Pamięć znowu ją zawiodła. Marla siedziała teraz na łóżku, cała roztrzaskana.

- O Boże - szepnęła, kryjąc twarz w dłoniach. W co ona się wplątała? Kim właściwie ciwie jest? Jaka kobieta targowałaby się z matką o los swojego dziecka? „Nie wchodzi mi w drogę - ostrzegł ją Alex kilka godzin temu. - Popęłniłabyś duży błąd”. Potykając się, wróciła wtedy do sypialni, położyła się na łóżku i leżała w ciemności, czekając, aż on wyjdzie.

Tak jak zawsze. Dokąd je dził? Z kim się spotykał? Co robił? Nie znajdowała odpowiedzi na żadne z tych pytań. Zasnęła w końcu niespokojnym snem, budząc się co chwila. Usiłowała wymyślić jakiś plan, który pozwoliłby jej wyrwać dziecię spod władzy tego tyrana, pomógłby ją uchronić.

Ale właściwie przed czym?

Przed kim?

Przed Aleksiem i tymi kobietami, z którymi ma romans?

Gdyby tylko przypomniała jej się chociaż jedna rzecz.

Do diabła, jakoś sobie poradzi. Sięgnęła pod materac. Wyczuła palcami chłód rewolweru, znajdował się dokładnie

tam, gdzie go umie cięła. Blisko. Ma broń i klucze Eugonii - na pewno jest w ród nich kluczyk do jednego z samochodów, a je li pogrzebie jeszcze troch w dokumentach, na pewno znajdzie co , co pozwoli jej wybra pieniądze z konta. Musi znale jakiś dokument to samo ci i umow , któr musiała kiedy zawrze z bankiem - to powinno wystarczy . We mie troch gotówki, mo e skorzysta z bankomatu... Gdyby tylko znała hasło.

Serce waliło jej jak młotem.

Musi to zrobi . Musi znale wyjście z tej okropnej sytuacji.

To b dzie pierwszy dzie twojego ycia. Dzie , w którym uciekniesz st d i zaczniesz naprawd y .

Drzwi apartamentu skrzypnęły cicho.

Marla podskoczyła na łóku i si gnęła po rewolwer.

Zacisnęła palce na kawałku chłodnego metalu. Drzwi sypialni drgnęły, pchnięte czyj dłoń . Marla siedziała bez ruchu, napięta do granic wytrzymała ci. Krople potu wystąpiły jej na czoło.

Nie odbierzesz mi dzieci, ty sukinsynu, myła, spodziewaj c si ujrze Aleksa. Wstrzymała oddech, nie spuszcza c oczu z drzwi, w których ukazała sylwetka m czyzny.

- Marla?

- Nick! - Odetchnęła z ulg . Nick. Dzi ki Bogu.

Nick wszedł do pokoju, zamykaj c za sob drzwi. Nagi do pasa, miał na sobie tylko stare, zniszczone d insy.

- Wszystko w porz dku? - Jego głos był balsamem dla jej duszy. Pod powiekami poczuła piek ce łzy. - Wydawało mi si , e krzyczała ...

- Mo liwe. To znaczy... Tak, na pewno. - Wyci gnęła dło spod materaca, wypuszczaj c rewolwer. - Miałam sen, zły sen, ale wydawał si taki realny. - przecesała krótkie włosy palcami obu r k. - nił mi si Alex... oskarżał mnie, e chc

odebra mu dziecko, groził mi... groził, e mnie zabije. Ale to zdarzyło si naprawd . Wiem, e si zdarzyło. Stali my w holu, a on był taki... taki... w ciekły. Zimny. - Zamkn ła oczy i oparła głow o poduszk . - Bo e, to było straszne.

- Ale teraz ju wszystko w porz dku? - spytał Nick. Łagodnie. Jakby naprawd go to interesowało. Słyszała, e podchodzi bli ej, potem poczuła, jak materac ugina si pod ci arem jego ciała. Przysiadł na łó ku. Dotkn ł jej ramienia, a Marla miała ochot przytuli si i wyplaka na jego piersi, jak głupia, słaba kobietka. Nie, eby rzeczywi cie miała zamiar to zrobi , ale topniała jak nieg w sło cu pod dotykiem jego dłoni, takich silnych, ciepłych, delikatnych. Czują je wyra nie przez cienki materiał pid amy. - Ju dobrze? - upewniał si .

Marla otworzyła oczy.

- Chyba tak. - Usłyszała swój własny głos, ni szy ni zazwyczaj, zduszony. Z trudem panowała nad sob . W gł bi duszy czuła, e w yciu nikt inny tak o ni nie dbał. Nie okazał jej tyle ciepła. Ani ojciec, ani m , ani aden inny m czyzna... Przełkn ła lin , usiłuj c wzi si w gar .

- Chciałem tylko zobaczy , czy wszystko w porz dku. Mo e spróbujesz si jeszcze zdrzemn ? - zasugerował.

Marla w ciemno ci widziała zarys jego twarzy, ci gni te w wyrazie zatroskania brwi. Wyczuwała jego napi cie.

- Nie mog . Mam dzi sporo do zrobienia. - Chrz kn ła. - Mam ci tak wiele do powiedzenia, Nick, bardzo wiele.

- Co si stało? - Nick zacisn ł palce na jej ramieniu.

- Najpierw musz zebra my li. - Marla znowu poczuła dziwn t sknot , której nie mogła si podda . Nick był tak blisko. Za blisko. Czują zapach jego skóry, bij ce od niego ciepło... Och, nie mo e sobie pozwoli na takie my li. Uj ła go za nadgarstek. - Poczekaj par minut. Wezm prysznic, doprowadz si do porz dku, a potem powiem ci, co odkryłam.

- Obiecujesz? - spytał, błyskaj c w u miechu o lepiaj co białymi z bami.

- Obiecuj . - Och, ch tnie scałowałaby ten seksowny u miech z jego twarzy.

Odsun ła si od niego, ale odległo mi dzy nimi ci gle wydawała jej si zbyt mała... Wszystko, co miało z nim jaki zwi zek, było takie intymne... kusz ce... niebezpieczne.

- Masz pi tna cie minut.

- Wystarczy dziesi .

Wyskoczyła z łó ka i mrugn ła do niego w drodze do łazienki. Nick odprowadził j wzrokiem, ale za ni nie poszedł, cho miał na to wielk ochot , do cholery. Mimo wszystko. Mimo niebezpiecze stwa, w jakim si znale li.

Zacisn ł z by i, staraj c si zapanowa nad ogarniaj cym go po daniem, wyszedł z pokoju. My li, które przysły mu nagle do głowy, wcale mu si podobały. Widzie j le c w łó ku, czu ciepło jej ciała przez cienk pid am i zapach jej perfum, wiedzie , e potrzebuje jego pomocy... Wszystko to sprawiało, e miał ochot j przytuli , pocieszy , całowa , pie ci ...

- Ty ałosny draniu - mrukn ł pod nosem, schodz c na dół. Ta kobieta tak bardzo ró niła si od Marli, któr znał przed laty, a jednak tak go do niej ci gn ło. Pragn ł jej, chciał si z ni kocha , mo e jeszcze bardziej ni pi tna cie lat temu. Była inna, czuł to. Dojrzała. wiadoma siebie. Samodzielna. Seksowna w naturalny, bezpretensjonalny sposób.

Ta silniejsza od dawnej Marli kobieta wydała mu si niezwykle atrakcyjna. Daj sobie spokój - próbował si opanowa , id c do kuchni. Przeraził j miertelnie, pukaj c do jej pokoju. W pierwszej chwili sprawiła na nim wra enie takiej kruchej, takiej bezbronnej, e nagle zapagn ł j przytuli . Kocha si z ni . Do utraty tchu. Do diabła, ale z niego głupiec. Ma tyle do zrobienia, zanim b dzie mógł pozwoli sobie na te kosmate my li, ale zdaje si , e jego zmysły tego nie rozumiej ...

Musi powiedzieć Marli o Pam i o Montym, ale to może zaczeka. W mrocznej kuchni w kredensie, znalazł kawę i wsypał trochę do ekspresu, który po chwili zaczął gwałtownie syczeć i bulgotać. Spojrzył przez okno na pogromy w ciemno ciemny ogród, gdzie kiedyś ujrzał Marla na huftawce. Wyglądała wtedy na zagubioną i przerażoną. Tak jakby Marla Cahill kiedykolwiek czegoś się bała. Nerwowo zabłądził palami po kuchennym blacie. Alex, Julie, Monty... Marla... Alex ma poważne kłopoty finansowe, przez całe lata przekupywał kogoś się dało, kłamał i oszukiwał, a wszystko skrupiło się teraz na jego koncie... Czy ci układanki zaczynały do siebie pasować ... tworzy pewną całość, która miernie przeraziła Nicka.

Ale Marla jest w to zamieszana. Wiesz o tym. Nie możesz jej ufać.

Ekspres wydał ostatnie tchnienie. Nick wrócił na górę, niosąc dwie filiżanki i dzbanek gorącej kawy. W apartamencie rozlał kawę do filiżanek. Miał zamiar zaczekać w saloniku, gdzie Marla zapewne wkrótce się pojawi. Ale w końcu zwyciężyła ciekawość i czyste, męskie poście. Pchnął drzwi jej pokoju i, słysząc szum prysznicy, poszedł w stronę pełnej pary i zapachu mydła łazienki.

Nie rób tego, powtarzał mu głos rozszedkowany, sam wpadł się w kłopoty.

Ale nie mógł się powstrzymać. Postawił filiżankę na półce koło umywalki. W zaparowanym lustrze dostrzegł zarys białego ciała. Serce podeszło mu do gardła. W kląbach pary dojrzał długie nogi i młoki rysunek piersi o ciemnych brodawkach. Marla, pochylona do przodu, splukiwała szampon z włosów. W białej mgłę dostrzegł dwa jędrne pośladki i poczuł, że przepadł.

Wyjść stąd natychmiast, zanim ona ci zobaczy, powiedział sobie, ale w tym momencie Marla się wyprostowała, odchylała głowę do tyłu i ukazywała ciemny trójkąt włosów u zbiegu długich, smukłych nóg.

Bo e, była taka pi kna, taka zjawiskowa, z t swój szczupł tali i gładk , l ni c skór . Nick poczuł ból w kroczu. Marla nucila co cicho, troch fałszuj c.

Na Boga, człowieku, nie masz na to czasu!

Nick stał i patrzył, wiedz c, e igra z ogniem, e powinien po prostu zostawi kaw koło umywalki i wyj . Czekał, popijaj c kaw , oparty o umywalk , słuchał jej nucenia i patrzył na zamglon sylwetk , jak zahipnotyzowany. Marla obracała si pod prysznicem, unosz c ramiona. Widział zarys jej r k i pleców, schodz cych mi kk lini w dół, i dwa dołeczki nad po ladcami.

Zatopiona we własnych my lach, u miechni ta lekko, nie zauwa yła go dot d, co było mu bardzo na r k . W pewnej chwili jednak zakr ciła kurek i otworzyła drzwi kabiny prysznicowej. Si gn ła po r cznik i wtedy dostrzegła Nicka. Zarumieniła si uroczo.

- Co ty wyprawiasz? - spytała, zaskoczona, podnosz c ku niemu otoczon mokrymi lokami twarz.

- Przyniosłem ci kaw . - Wskazał na paruj c fili ank i upił łyk ze swojej.

- I zostałe na przedstawieniu? - W jej zielonych oczach zapaliły si zło liwe iskierki. U miechn ła si i poło yła r ce na biodrach, kr c c głow z udawanym niesmakiem.

- Zd yłem tylko na ostatni akt.

- I jak?

- Całkiem nie le.

- Tylko nie le? - Za miała si , najwyra niej nie maj c zamiaru zakrywa si r cznikiem. Stała ociekaj c wod , wielkie krople spływały z jej twarzy i szyi na piersi, zbieraj c si we włosach.

- Prawd mówi c - powiedział, stawiaj c swój fili ank na półce i czuj c, e powinien natychmiast st d wyj i zaj si czym innym -była tak dobra, e nie miałbym nic przeciwko paru bisom.

- To znaczy? - spytała. Uniosła w gór jedn brew i u miechn ła si szelmowsko, spogl daj c w dół, na jego spodnie. To przes dziło spraw . Do diabła z tym wszystkim!

- To znaczy, e... - Wyci gn ł r ce i obj ł j w talii. Marla przyłgn ła do niego i za miała si , a on przycisn ł usta do jej pełnych, roze mianych warg. Były ciepłe i wilgotne, a pod wpływem jego pocałunku najpierw przestały si mia , a potem wydobyło si z nich ciche westchnienie. Nie potrzebował dalszej zach ty, nie my lał ju o tysi cach powodów, dla których nie mo e tego zrobi , nie mo e z ni by , nie mo e jej kocha . Teraz pragn ł tylko uciec z tego wielkiego domu. By z ni . Znowu prze y t miło . Zsun ł dło wzdu pleców Marli i przycisn ł j mocno do siebie. Naparł na ni całym ciałem, zmuszaj c, by cofn ła si pod prysznic.

Wsun ł j zyk w jej usta, głaszcz c dło mi jej ciało. Pragn ł jej równie rozpaczliwie i bole nie, jak zawsze, ilekro znalazła si w pobli u. S dził, e zabił to pragnienie w ci gu wszystkich tych lat, ale teraz zrozumiał, e si mylił. Pragn ł tej kobiety, potrzebował jej. Si gn ł za siebie i zamkn ł drzwi kabiny, a potem odkr cił wod .

- Och! - krzykn ła. Kiedy tak przesuwiał palce po jej gładkiej, mi kkiej skórze, czuł, e serce zaczyna bi mu mocniej, szybciej. W strumieniach ciepłej wody Marla zarzuciła mu r ce na szyj , a jej piersi uniosły si ku niemu, jak na powitanie. Nick czuł krew pulsuj c w yłach, uderzyła do głowy, wzmagaj c dz . Mokre d insy nagle wydały mu si za ciasne. Całuj c jej szyj , wiedział, e nie potrafi przesta .

Nie był w stanie my le , nie dbał o konsekwencje. Liczyła si tylko ta chwila.

Marla j kn ła, czuj c na plecach stru k gor cej wody.

- Nick - wyszeptała. - O Bo e...

Wsun ła palce w jego mokre włosy i zapomniała o całym wiecie, zapomniała o swoich w tpliwo ciach, l kach,



szale stwie, jakim było jej życie. Czują jego twarde, silne ciało napierające na jej brzuch i piersi, jego uda w mokrych dżinsach przyciśnięte do jej nóg. To był czysty obłęd, absurd, ale nie potrafiła się powstrzymać. Krew w jej żyłach zmieniła się w żywioł, płynny ogień, w pulsującą, nieokiełznaną siłę, którą tylko on jeden mógł zaspokoić.

Obejmował ją jednym ramieniem, przyciskając mocno do siebie, drugą ręką muskał jej plecy, biodra, pośladki.

- Bo e, tak cię pragnę - wyszeptał chrapliwie. Miał nieprzytomne oczy. Krople wody spadały mu z rzęs na policzki, spływały w dół nosa.

- Ja... ja te cię pragnę - przyznała Marla ze wstydem. Nie rób tego, popełniasz wielki błąd. Błąd, którego nigdy nie będziesz w stanie naprawić.

Ale jego dłonie i usta, jednocześnie nie łagodne i stanowcze, odbierały jej wolność. Przyłgnęła plecami do kafelków. Woda kaskadami spływała z włosów i ramion Nicka, kiedy pochylał się nad Marlą. Spojrzał na nią i ujął w dłonie jej piersi, całując najpierw jeden ciemny, twardey sutek, a potem drugi. Marla zadrżała, czując jego gorący oddech, poddając się ogarniającemu całe jej ciało dżemu.

- Jesteś taka piękna - powiedział Nick, pocierając jej sutki palcami, a potem schylił głowę i wtulił twarz w jej piersi. Pod Marlą ugięły się nogi. Wygięła całe ciało w łuk, a wtedy Nick wsunął jedną dłoń pod jej plecy, przyciskając ją mocno do siebie. Marla wsunęła palce w jego mokre włosy i zaciskała je spazmatycznie na jego głowie czuła, że nic już jej nie powstrzyma.

Nick całował ją, pieścił i głaskał, rozpalając ją do białości.

- Nick, och Nick, proszę - - wyszeptała urywanym głosem, chcąc wić jej, jeszcze dłużej.

Nick zsunął się z niej, przesuwając czubkiem języka po gładkiej skórze jej brzucha, zatrzymując na kilka długich jak wieczność sekund w cudownym zagłębieniu jej pępka. W

ko cu ukl kł, obejmuj c dło mi jej po ladki, i wtulił twarz w mi kkie loki u zbiegu jej nóg.

- Teraz, kochanie - wymruczał, muskaj c oddechem jej wra liw skór .

Marla rozchyliła nogi, pozwalaj c mu si dotyka , pie ci , poznawa .

Oddychała z trudem, nie mogła my le , mogła tylko czu . Wszystkie jej zmysły, wyostrzone do granic wytrzymało ci, odbierały podniecaj ce, obezwładniaj ce wra enia, kiedy Nick dotykał, całował i muskał. Oddychał nierówno, spazmatycznie, co jaki czas spogl daj c jej w oczy zamglonym wzrokiem. Marl obj ła fala gor ca. Przymkn ła oczy i poddała si tej magii.

- Moja dziewczynka - powiedział Nick, kiedy drgn ła konwulsyjnie. Pragn ła go dotyka , tuli , mówi , e go kocha, ale stała przyci ni ta do wyło onej kafelkami ciany, z szeroko rozrzuconymi ramionami i palcami rozprostowanymi i sztywnymi, jakby szukały czego , czegokolwiek, na czym mogłyby si zacisn . Nick przysun ł si jeszcze bli ej, zarzucił sobie jej nog na rami i wsun ł dło gł biej. Marla przycisn ła łydk do jego pleców. Dobry Bo e. Słodka, słodka tortura. Ból granicz cy z rozkosz . Cały wszech wiat skupił si w jednym małym punkcie jej ciała.

- Najdro sza - wyszeptał Nick, zakładaj c jej drug nog na drugie rami i całuj c j tak gł bokim, intymnym pocałunkiem, e Marli łyzy napłyn ły do oczu. Nie mogła złapa tchu.

J kn ła, głucho, chrapliwie, dziko.

- Nick... o... Nick...

- Tak, najdro sza...

Marla zadr ała konwulsyjnie. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Co w gł bi niej załamało si nagle, łyzy spłyn ły jej po policzkach.

- Och, prosz ...

Jednym szybkim ruchem Nick zdjął jej nogi ze swoich ramion. Wyprostował się i wziął Marlę na ręce.

- Och, Nick, ja...

- . - Zakrył cię wodą i zaniósł ją, ociekając wodą, do sypialni. Położył ją na łóżku.

- Teraz, Marla - powiedział. - Kochaj się ze mną.

Patrzył na nią poważnie, a jednocześnie nie czuło się i po daniem. Marla przełknęła ślinę, wiedząc, że zaraz spali za sobą wszystkie mosty. Sięgnęła do klamry jego nasieni tego wodę skórzanego paska i rozpięła ją. Drżącymi palcami rozpięła guziki spodni i zsunęła mokre, ciężkie dżinsy z jego bioder. Nick zrzucił je na podłogę i Marla pierwszy raz spojrzała na jego nagie ciało.

Napięte cię gna.

Silne mięśnie.

Szorstkie włosy. Był taki męski.

Nick delikatnie pchnął ją na poduszki, scałował krople wody z jej piersi i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Powiedz, że mnie pragniesz.

Marla oblizwała wargi.

- Proszę... pragnę cię.

Och, Nick, gdyby tylko wiedział, jak bardzo cię pragnę, pomyślała, cała pulsując dziką, głodną tęsknotą.

- Powiedz, że nigdy nie będziesz tego ołowiała.

- Nie będę - skłamała. Wiedziała, że zacznie tego ołowiała, gdy tylko ta magiczna chwila dobiegnie końca, ale teraz nie dbała o to.

- Ja też nie - powiedział Nick i dotknął ustami jej warg. Wsunął kolana między jej nogi. Marla zadrżała. Oddychała z trudem. Jej skóra zdawała się płonąć pod jego dotykiem. - Pragnę tego od chwili, kiedy cię znowu zobaczyłem - wyszeptał, całując jej szyję. - Nawet wtedy, kiedy cała była jeszcze posiniaczona i obolała, nawet wtedy pragnę cię tak samo jak zawsze.

- A ja... pragnęłam cię - wyznała Marla. Czuła się winna, ale nie mogła oderwać dłoni od jego silnych, muskularnych ramion.

Powoli, cały czas patrząc jej w oczy, Nick wszedł w nią, a Marla wydawało się, że czas się zatrzymał. Ich ciała zrosił pot, ich oddechy odnalazły nagle wspólny rytm. Marla odnalazła palcami linię jego kręgosłupa i przesunęła dłoń wzdłuż jego smukłych, szerokich pleców. Nick pchnął. Znowu. Marla zadrżała, przytknęła oczy i wygięła się w łuk, chcąc poczuć go w sobie.

Nick z jej kiem wszedł w nią głębiej. Marla zabrakło tchu w piersiach. Miała wrażenie, że zaraz umrze. Zaciśnięła palce na jego ramionach. Teraz ich ciała poruszały się zgodnie, w rytmie coraz silniejszych, coraz głębszych, coraz bardziej dzikich pchnięć. Marla przylgnęła do Nicka całym ciałem, prawie nie oddychając. Zamknęła oczy, w oknie zajaśniało pierwsze światło dnia, ozłocając delikatnie sprzęty w pokoju.

Nick przyciskał ją mocno do siebie, oddychając szybko i płytko. Marla, obejmując go kurczowo ramionami, unosiła się rytmicznie na spotkanie z jego ciałem, za każdym razem oddając mu całą siebie. Szybciej. Mocniej. Jeszcze mocniej. Zamknęła oczy i poddała się wszechogarniającemu, spazmatycznemu odczuciu rozkoszy.

Nick jęknął chrapliwie na ułamek sekundy przed nią.

- Marla... och, kochanie... tak...

Wiatr zawirował jej przed oczami. Nick odrzucił głowę do tyłu, obejmując Marla z taką siłą, jakby nigdy nie miał zamiaru wypuścić jej z ramion, naprężony jak struna, wibrując tym samym. Ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi.

- Wiedziałem - powiedział, dysząc cięko, wsuwając dłonie w jej włosy i unosząc głowę, żeby spojrzeć jej w twarz.  
- Wiedziałem, że z tobą włącznie nie tak będzie.

- Tak jak kiedy? - spytała, choć wcale nie miała pewno ci, że byli już kiedy kochankami, że ona naprawdę jest Marl Amhurst Cahill.

- Nie, nie tak jak kiedy. - Nick uniósł się na łokciach i spojrzał na nią błękitnymi, przenikliwymi oczyma. - Lepiej. Znacznie lepiej.

- Załóż się, że mówisz to wszystkim - zaartowała, choć bardzo chciała mu wierzyć.

- Tylko jednej - odparł ze śmiechem.

- Bujasz.

- Nigdy. - Spowaśniał i pocałował ją w usta. Podniósł się, poklepał ją lekko po pupie i rozejrzał się po pokoju. - Chciałbym tu być z tobą cały dzień, ale lepiej się pozbierajmy, zanim wszyscy wstaną.

Marla już knęła z Alem, ale wiedziała, że Nick ma rację. I tak wiele ryzykowali. I nie mieli czasu do stracenia.

- Mam ci coś do powiedzenia - powiedziała, zagryzając wargi. - Bardzo ci o...

- Ja tobie też. Chodź.

- Stary się zawinił - powiedział, stojąc w swojej ulubionej budce telefonicznej u stóp wzgórza, na którym ten bogaty dureń miał swój dom. Mgła rzedła, wieciło słonce. W kafejce po drugiej stronie ulicy podnoszono rolety.

- Co? Skąd wiesz?

W głosie tego drania wyraźnie pobrzmiwała nutka strachu. Bardzo dobrze.

- Pomogłem mu trochę. Już mnie znudziło czekanie.

- Cholera, mówiłem ci, żeby nic nie robił.

- Powiedziały, że musimy poczekać, a stary się zawinił. No to właśnie nie kopnął w kalendarz.

- Policja nas dopadnie!

- Nigdy się nie dowiesz. Lekarz dał staremu tlen na noc, a ja go tylko odłczyłem.

- Chryste, spieprzyłeś wszystko! - Dra podniósł głos. Chyba naprawdę spanikował.

- Raczej przy pieszyłem. Powinieneś się z tego cieszyć. Stary już raz zmienił testament, prawda? Wydziedziczył Marli, a potem wpadł na ten piękny pomysł z wnukiem. Mógł znowu namieszać. A tak masz pewno, że dzieciak dostaje wszystko.

- Nie mógłby już zmienić testamentu, ty kretynie! Nie był w pełni władz umysłowych.

- Kto tak powiedział? - odpalił, rozwścieczony obelgami.

- Słuchaj, jeśli ktokolwiek zacznie coś podejrzewać ...

- Nikt nie zacznie niczego podejrzewać. Sprawa jest teraz jasna, dzieciak dziedziczy, ty bierzesz forsa i płacisz mi mój dół. Pronto. - Czuł, że dra by gdzie próbował wykręcić się z umowy.

- Ci głębiej jest jeszcze kwestia Marli.

- Zajm się tym.

- Zaraz, zaraz. Nie jestem pewny...

- Do wieczora będzie martwa.

- Nie, to zbyt ryzykowne. Nie może umrzeć tego samego dnia, co jej ojciec.

- Nie przejmuj się. To będzie wyglądało na wypadek. Przecież właśnie nie tego chciałeś, prawda? To był twój pieprzony pomysł.

- Nie. A teraz słuchaj. Zaczekaj kilka dni. A wszystko uciśnie. I nie dzwoń do mnie na tę komórkę. Słyszysz? Wynajmij mi, żeby wykonał dla mnie robotę i dostaniesz swój forsa, ale to ci głębiej ja decyduję co i jak.

- Akurat.

- Ostrzegam ci ...

Za miał się i sięgnął do kieszeni po papierosa.

- Spokojnie, amigo, to twój szczytowy dzień. - Odłożył słuchawkę i ruszył do swojego jeepa. Wsiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce. Tak, załatwienie Conrada Amhursta było tylko łatwym rodzkiem do celu.

A celem była Marla. To jej pragnię. Jak zawsze.

- ...wciąż udawałam, że piłam. Kiedy przyszedł, próbowałam wywieźć go w pole, zachowywałam się tak, jakbym nie wiedziała, co się stało, i twierdziłam, że nie byłam w jego gabinecie - mówiła Marla, siedząc na kanapie w salonie.

Nick rozpalił ogień na kominku i stał teraz przed nim z pustymi filiżankami w ręce. Nim reszta domowników zaczęła wstawiać łóżka, zdążyli wypić cały dzbanek kawy. Z kuchni dobiegało już brzęczenie rondli, zbliżała się ta pora, kiedy Cissy wstawała, żeby pójść do szkoły.

- W biurku znalazłam kilka rzeczy. Rewolwer zabrałam i schowałam pod materacem. W notesie Aleksa był adres i numer telefonu Kylie Paris. To też zabrałam. No i wypis ze szpitala, zgodnie z którym Marla Cahill, przeszła sterylizację. Pełną sterylizację - dodała. Kawa rozjaśniła jej w głowie. — Trzy lata temu.

Nick patrzył na nią w osłupieniu.

- Wiem albo nie jesteś Marla, albo to nie jest twoje dziecko.

- James jest moim dzieckiem - powiedziała bez wahania. Tak, tego jednego była absolutnie pewna, wiedziała, że urodziła to dziecko. Wypiła łyk letniej kawy. - W jaki sposób doktor Robertson jest w to wszystko zamieszany. Nie chciał, żebyśmy zobaczyła szpitalne dokumenty Marli Cahill, mimo że ta operacja została wykonana w prywatnej klinice w Los Angeles, nie w szpitalu Bayview. Ale najwyraźniej w kartach Marli coś na ten temat odnotowano, bo Robertson nie pozwolił mi nawet rzucić okiem na te papiery.

- We miemy adres Kylie Paris i pojedziemy tam - powiedział Nick, pocierając pokryt krótkim zarostem brodę. Marli nagle przypomniało się, jak zaledwie pół godziny temu pocierał swój szorstki twarz o jej ciało.

- A co z rewolwerem? - Zadrżała na myśl o tym zimnym kawałku metalu.

- Na razie trzymaj go w ukryciu. Z dala od Aleksa. Pokojówka go nie znajdzie?

- Nie s dz , nawet gdyby zmieniała po ciel.

- Dobrze. - Ruszył do holu.

- Nie pojed bez dziecka, Nick. Nie mog ryzykowa , e Alex po powrocie spróbuje porwa swojego własnego syna.

- Z własnego domu?

- Owszem - Marla była stanowcza. Nieugi ta. Przede wszystkim musi chroni swoje dziecko. - Musimy te dopilnowa , eby Cissy nikt nie mógł zagrozi .

- Na przykład Alex?

- Lub ktokolwiek inny. - Robiło jej si słabo na my l o człowieku, który pono był jej m em.

Nick zd ył jej opowiedzie ju o problemach finansowych Cahill Limited, o ksi ce, któr zamierzała napisa Pam Delacroix, i o romansie Aleksa z Julie Delacroix Johnson. Marla wiedziała ju , e Donald Favier wzi ł win na siebie, a Alex wszystkim, którzy znali prawd , zapłacił za to, by trzymali j zyk za z bami. Mo liwe, e to on stał te za mierci Charlesa Biggsa i zamachami na jej ycie. Miała powa ne powody, eby si ba . O siebie. O syna. O Nicka.

- Nie widziało nigdy nienawi ci na jego twarzy. Nie wiesz, jak potrafi grozi .

- Wi c zabierzmy Jamesa ze sob - zgodził si Nick.

- Zaczekajmy, a Cissy pójdzie do szkoły - dodała Marla.

- My l , e tam b dzie bezpieczna. Mam wra enie, e ona jest poza tym wszystkim. Cokolwiek si tu dzieje, ma to zwi zek z Jamesem. I ze mn .

Nick spojrział jej w oczy.

- I z testamentem.

- Co?

- Mały jest centralnym punktem całej tej afery, bo to on odziedziczy miliony Conrada Amhursta - powiedział Nick.

Marli nagle zrobiło si zimno.



- Jest chyba gorzej, ni przypuszczałam. - Marla odstawiała pust fili ank . - Je li masz racj , to James jest bezpieczny tak długo, póki ojciec... Conrad yje. A pó niej...

- A pó niej stanie si zb dny, podobnie jak ty - doko czył za ni Nick.

- Musz go zabra ! - Marla zerwała si na równe nogi. Musi wydosta si z tego domu. Natychmiast! Nie wytrzyma ani minuty dłu ej w tej luksusowej, miertelnej pułapce. - Zabierzemy te Cissy i wysadzimy j pod szkoł , a potem znajdziemy jakie miejsce, gdzie James b dzie bezpieczny.

- Mogliby my pojecha do Oregonu. Mam tam mały domek.

- Tam byłoby bezpiecznie?

- Pewnie nie - przyznał Nick, marszcz c brwi. Na górze rozległy si czyje kroki. - Mam wprawdzie psa, ale w tpi , czy Twardziel odstraszyłby kogo .

Marli wydało si to rajem. Bezpiecznie. Spokojnie. W koszmarze, którym nagle stało si jej ycie, znalazła Nicka. Wie ju , jak jest kocha kogo . Pragn kogo .

- Chciałabym tam kiedy pojecha - powiedziała.

- Kiedy ci tam zabior - obiecał.

Ale Marla nie wiedziała, czy mo e mu wierzy . Zanim zd yła odpowiedzie , zadzwonił telefon.

- A to co? - Nick spojrział na zegarek, wyszedł do holu i podniósł słuchawk , zanim rozległ si kolejny dzwonek. - Halo? - chwila ciszy. - Marla Cahill? Chwileczk . - Marl oblał zimny pot. Nick przyniósł słuchawk do salonu i podał jej, patrz c jej przy tym w oczy z powa nym wyrazem twarzy. - To dom opieki w Tiburon.

Jej ojciec. Ogarn ł j złe przecucie.

- Mówi Marla Cahill - powiedziała, cho nie wiedziała, czy mówi prawd .

- Dzie dobry, pani Cahill - odezwał si silny kobiecy głos. - Mówi Klara Dunwoody, administrator Domu Opieki

Rolling Hills w Tiburon. Niestety, musz przekaza pani smutn wiadomo . Pani ojciec odszedł od nas dzi rano...

- Czekale na przełom w sprawie Pam Delacroix? - Janet Quinn usiadła na krze le po drugiej stronie biurka detektywa Paterno. Obok, na podłodze, postawiła swój wielk teczk .

- Przynajmniej na co . - Paterno si gn ł do szuflady, odkrył, e sko czył mu si zapas gumy do ucia, i opadł zrezygowany na swój fotel. -Co tam masz?

Janet u miechn ła si szeroko.

- Znale li my torebk Marli Cahill. Została odrzucona ponad pi dziesi t stóp dalej, a nast pnie ze lizgn ła si w dół zbocza. Nigdy by my jej nie odnale li, gdyby Marla Cahill z takim uporem nie twierdziła, e jej nie ma. - Oczy Janet za szkłami okularów błyszczaly, jakby odkryła tajemnic . Paterno znał to spojrzenie, widział je ju wcze niej. Janet dowiedziła si czego . Czego wa nego.

- I?- ponaglił j .

- I znale li my jej portfel... zreszt nie tylko portfel. Tu wła nie zaczyna robi si ciekawie. Karty kredytowe, prawo jazdy i ksi eczka czekowa nie zostały wydane dla Marli Cahill. Wszystkie dokumenty wystawiono na nazwisko Paris... Kylie Paris mieszkaj cej w San Francisco. -Janet si gn ła po swój teczk , otworzyła ja i wyj ła niewielk , opakowan w foli , damsk torebk , z przyczepion do niej policyjn przywieszk , i drugi, wi kszy plastikowy worek pełen drobiazgów, tak e ju opatrzonych przywieszkami. Paterno obejrzał prawo jazdy przez przezroczyst foli .

- Niczego nie zauwa yłe ? - spytała Janet.

- Tylko to, e Marla Cahill i Kylie Paris mogłyby by bli niaczkami - odparł, patrz c na zdj cie.

- Wierz mi, nie s .

- Zauwa yłem, e Marla Cahill i Pam Delacroix były do siebie podobne. Ale tu podobie stwo jest znacznie wi ksze.

- Po wypadku Marla Cahill przeszła operację plastyczną. Chirurg mógł trochę zmienić jej twarz. Wiesz, wszyscy mogli się spodziewać, że po wypadku i operacji Marla Cahill będzie wyglądała trochę inaczej niż przedtem, zanim Mercedes Pam przeleciał przez barierki i runął w dół zbocza.

- Kim jest ta kobieta? - Paterno zamachał otwartym prawym ręką.

Janet tylko czekała na to pytanie, miała gotową odpowiedź.

- Zgodnie z rejestrem narodzin Kylie Paris przyszła na świat kilka lat po Marli Cahill. Jest córką niejakiej Dolly Paris, która pracowała swego czasu jako kelnerka w meksykańskim klubie, w którym Conrad Amhurst grywał w karty i w golfa. Nie była młoda, nie miała tego stałego chłopaka, a jednak zaszła w ciążę. Pojawiły się plotki, że ojcem dziecka jest jeden z członków klubu, ale Dolly nie podała żadnego nazwiska. Kylie dorastała przy licznych... cóż, prawie ojczymach - to chyba najlepsze określenie. Bystra dziewczyna, w szkole świetnie sobie radziła, otrzymała kilka stypendiów i poszła na studia. Zrobiła dyplom i udało jej się zdobyć pracę w dużej firmie inwestycyjnej w centrum. Bardzo ambitna. Dostała nawet propozycję przejścia do konkurencyjnej firmy, w której przez jakiś czas pracowała.

- Pracowała?

- Tak. Odeszła mniej więcej półtora roku temu. Nie stwierdzono, nie zowiadano. Nie podała przyczyny, ale ta decyzja zupełnie do niej nie pasowała, bo dotychczas była bardzo skoncentrowana na swojej karierze, chciała iść wysoko, nie istniały dla niej szklane sufity. Chciała pieniędzy i dobrego życia. A jednak pewnego dnia rzuciła to wszystko. - Oczywiście. - Od tego czasu nikt z rodziny jej przyjaciół nie miał od niej wiadomości. Jakby nagle zniknęła z powierzchni ziemi.

- Nie było?

- Nie sądzę. W takim wypadku czynsz za jej mieszkanie i inne opłaty nie byłyby uiszczane.

- A s ? - Paterno miał zam t w głowie. Kim, u diabła, jest ta kobieta - ta potencjalna siostra przyrodnia Marli Cahill? Co je naprawd wi e?

- Regularnie, co miesi c.

- Naprawd ? - spytał, czuj c to podniecenie, ten nagły przyptyw adrenaliny, jak zawsze, kiedy sprawa była bliska rozwi zania. - Dlaczego rzuciła prac ?

- To jest wła nie najlepsze. S dz , e odeszła, by urodzi dziecko, a nie chciała, eby ktokolwiek o tym wiedział. Dziecko Marli Cahill.

- Ale... Chwileczk ...

- Marla Cahill nie mogła mie wi cej dzieci. Kilka lat wcze niej poddała si zabiegowi sterylizacji, o czym jej ojciec oczywi cie nie miał poj cia. Wszystko zostało załatwione bardzo dyskretnie, w dokumentach ze szpitala, w którym pracuje doktor Robertson, niewiele jest na ten temat, ale udało mi si dokopa do starej polisy ubezpieczeniowej - i bingo. Pełna sterylizacja. To niemo liwe, by Marla Cahill była matk Jamesa Cahilla. A jednak, kiedy jej ojciec, nawiasem mówi c niezły wir, zmienił testament i wydziedziczył j - chyba e wyda na wiat m skiego potomka - zdołała tego dokona .

- Ale to potomek Cahillów, nie Amhurstów.

- Stary zawsze pragn ł syna. Mimo e traktował Marl jak ksi niczk , chciał mie chłopca.

- Miał przecie syna. - Przypomniał jej Paterno.

- Owszem, ale Rory przebywa w zakładzie zamkni tym i prawdopodobnie nigdy nie b dzie miał dzieci.

- Wi c jego córka uknuła ten spisek, by da ojcu wnuka?

- Paterno ci gle odnosił si sceptycznie do tego pomysłu. - Namówiła swoj przyrodni siostr , czy kim tam jest ta dziewczyna, eby urodziła dla niej dziecko... eby zaj ła jej miejsce?

- Moim zdaniem tak wła nie było. Dobrze si zło yło, e Kylie Paris była płodna i zrobiłaby wszystko dla pieni dzy, a

przy tym miała tę samą grupę krwi, 0 Rh-. No i udało jej się wydać na wiat chłopca.

- To niemal graniczy z cudem.

- Siostrami przyrodnimi - mają tę samą grupę krwi, co ich ojciec. Stąd ten minus. Występuje znacznie rzadziej niż plus.

Paterno zmrużył oczy.

- A gdyby matka Marli nie chciała się na to zgodzić?

- Widziały kiedyś, żeby jakiś Cahill odwrócił się plecami do forszy? Paterno prychnął.

- Tylko czarna owca.

- Nicholas Cahill jest inny.

Była to prawda.

- Niewykluczone, że właśnie Alex Cahill wszystko wymyślił. Nie zawsze dobrze mu się układało z nią. Rozchodzili się parę razy, słyszałam te plotki, że adne z nich nie traktowało przysięgi małżeńskiej zbyt poważnie. Ona była z bratem Aleksa, zanim wyszła za niego. Rozmawiałam z pokojówką, która pracowała u nich kilka lat temu, zanim ją zwolnili. To ona naprowadziła mnie na myśl, że Marla Cahill poddała się sterylizacji. Powiedziała też, że Marla miała kiedyś krótki romans z kuzynem, Montgomerym, po to tylko, żeby odegrać rolę na Aleksie. – Janet zdjęła okulary. – Ale mimo wszystko to małżeństwo przetrwało. Miło? Nie sądzę.

- Wiem, że tylko pieniądze trzymają ich razem?

- Daj głowę, że tak właśnie jest.

Z tym Paterno nie polemizował, ale cięgle jeszcze nie był przekonany, że Janet ma rację.

- A w jaki sposób Marla - prawdziwa Marla - zdołała uciec, że jest w ciąży?

- Albo zamieniła się z siostrą, co byłoby dość ryzykowne, biorąc pod uwagę, ile osób mieszka w tym domu, albo nosiła specjalne wkładki, takie jak aktorki. W takim wypadku musiała tylko uważać, żeby nikt nie zobaczył jej bez ubrania. Poranne

mdło ci i inne objawy nie nastręczały chyba wikszych trudności - mogła nawet przybrać trochę na wadze, żeby jej twarz nieco się zaokrągliła. Pamiętam, że siedział w tym nie tylko jej mąż, ale także ich rodzinny lekarz, doktor Robertson.

- A dlaczego Robertson miałby im pomóc na rękę? - spytał Paterno. Ta teoria ci głębiej wydawała mu się trochę niepewna, a jednak... może e...

- Z tego samego powodu, co wszyscy inni. Dla pieniędzy. Alex Cahill hojnie wspomagał szpital i klinikę, a zapewne również hojnie zasilał prywatne konto Phila Robertsona.

- Jesteś pewna tego wszystkiego? - Paterno potarł kark. Doszedł do wniosku, że warto ten pomysł przeanalizować. Janet zazwyczaj potrafiła dotrzeć do prawdy, ale tym razem jej teoria wydawała się mało wiarygodna. - Ci głębiej wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi.

- Tak myślisz?

- Całe mnóstwo - burknął, choć wiedział, że poszczególne części układu zaczynają do siebie pasować. Poczuci znajomy, palący ból w ołdoku. Sięgnął do szuflady, w której trzymał tabletki na nadkwasotę.

- Cóż, dopóki nie znajdziemy dowodów, to tylko hipoteza.

- Jezu - wyszeptał Paterno, spoglądając na Janet cynicznie. - Nie wiem, czy to kupujesz. Za dużo w tym luk. - Otworzył buteleczkę, wyjął kilka tabletek i włożył je do ust. - A gdyby ktoś się dowiedział? Gdyby ktoś z domowników albo pracowników szpitala odkrył oszustwo i puścił farbę? A gdyby Kylie poroniła albo urodziła dziewczynkę... do diabła... to po prostu niewiarygodne. - Rozgryzł tabletki. Miały obrzydliwy smak, ale działały jak trzeba.

Janet uśmiechnęła się szeroko. Była cholernie pewna siebie.

- Sprawdźmy to, dobrze?

Paterno przełknął tabletki, krzywiąc się niemiłosiernie.

- My lisz, e tym razem trafiła w dziesi tk ?
- Owszem, za to wła nie nale y mi si kupa forsy. - Janet parskn ła miechem.
- I chwala. - Paterno za miał si niewesoło. - Nie zapominaj o chwale.
- Nigdy.
- Paterno spojrzal na tablic , na której wisiały zdj cia zakrwawionego, zmia d onego mercedesa Pam.
- Wi c po co ten wypadek? Po co kto miałby zabi Marl Cahill?
- Tego jeszcze nie wiem - przyznała Janet.
- Paterno popatrzył na zdj cie w prawie jazdy Kylie Paris.
- Tak, te kobiety były do siebie na tyle podobne, e mo na je było ze sob pomyli , a jednak ci gle pozostawało zbyt wiele w tpliwo ci. Podał dokument Janet.
- Tak, lepiej sprawd my, czy nasza teoria jest cho w cz ci prawdziwa. - Mimo wszystko był zadowolony, e wreszcie pojawilo co , czego mogli si uchwyci , nawet je li było to tak niepewne. - Chyba powinni my uci sobie mał pogaw dk z pani Cahill.
- Je li to rzeczywi cie ona.

## 19

Przyciskaj c Jamesa do piersi, jakby si bała, e w ka dej chwili kto mo e wyrwa go z jej ramion, Marla oparła si o ciank windy. Znajdowała si w wysokim budynku mieszkalnym przy Fulton Street. Licz cy ponad siedemdziesi t lat dom z óltej cegły był wci ni ty mi dzy Uniwersytet San Francisco i Alamo Square. Znajdował si te do blisko posiadło ci na Mount Sutro, któr od dnia, kiedy opu ciła szpital, nazywała swoim domem. Winda wydała jej si dziwnie

znajoma, podobnie jak zapachy i dźwięki wypełniające budynek.

Czy mieszkała tutaj? A jeśli tak, to jak długo? I w jaki sposób nagle stała się ona Aleksa Cahilla - czy to jego fałszywka? Już kiedy jechała w windę. Była tego pewna. Kolana się pod nią ugięły, nagle zaszczoła jej w gardle. Strach walczył z ciekawością. Czowała, że musi się dowiedzieć, kim naprawdę jest i co kryje się za drzwiami mieszkania Kylie Paris. Ale na tym się skończyła jej przeraźliwość.

Musisz się tego dowiedzieć. Nie masz wyboru.

Nick stał przy niej, nie spuszczał wzroku z metalowej tablicy z numerowanymi przyciskami. Czekał cierpliwie, a winda się zatrzymała.

Był czujny i napięty, wyczuwał na karku wystąpienie murowania. W małej kabinie było ciasno i duszno.

James westchnął i zaczął cicho gaworzyć. Marla zamknęła oczy. Obojętne, ile by to kosztowało, nie odda synka.

Nigdy.

Przejdź umrze.

Drzwi windy rozsunęły się i Marla drgnęła. Nagle stanęła twarzą w twarz ze swoim odbiciem w długim, owalnym lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie.

Kobieta w lustrze była niespokojna. Wysoka i szczupła, tuliła do siebie dziecko, jakby się bała, że ono zaraz rozplynie się w powietrzu. Marla wydała się dziwnie obca. Na jej skórze nie było już śladów ani widocznych szwów. Krótkie, ciemne włosy okalały bladą twarz o lekko wystających policzkach, nieufnych zielonych oczach, szerokich, ładnie zarysowanych brwiach i prostym nosie, na którym widniała kilka piegów. Pełne, zmysłowe usta drżały trochę. Przygryzła dolną wargę białymi, prostymi zębami.

Marla Cahill?

Kylie Paris?

Kto?



Napotkała w lustrze spojrzenie Nicka, dostrzegła w jego zaciśniętych ustach determinację, a w oczach cięły ją.

- Zróbnmy to w kołcu - ponaglił ją.

Skinięła głowę. Opanowała chłód ucieczki, która ją nagle ogarnęła.

Kłamstwa. Całe jej życie jest jednym wielkim kłamstwem, pomyliła, odruchowo skrzyknęła w prawo. Korytarz wydał jej się dziwnie znajomy. Serce biło jej mocno i szybko, czuła ucisk w piersi, na plecach wystąpił zimny pot.

- Byłam tu już kiedyś - powiedziała, z trudem przełykając ślinę. - Cholera, jestem tego pewna.

Zatrzymali się przed drzwiami oznaczonymi numerem 3-B. To miejsce Kylie Paris nazywała domem. Nick zapukał, głosił o jego decyzji.

Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki - ani szum telewizora, ani odgłos kroków zbliżających się do drzwi. Nie dosłyszeli okrzyku zaskoczenia ani głosu oznajmianego, że ktoś, kto tu mieszka, już spieszy, by wpuścić nieoczekiwanych gości. Nikt nie patrzył przez wizjer. W mieszkaniu panowała absolutna cisza.

- Co teraz? - spytała Marla. Stali na zniszczonej, szarej wykładzinie w dusznym, słabo oświetlonym korytarzu. Wszystko wokół było tandetne i zszarzałe. - Nie mam klucza.

- Więc poprośmy sobie klucz od portiera.

- Jak?

Nick podrapał się po pokrytej jednodniowym zarostem brodzie.

- Sprawdźmy, czy weźmie ci go Kylie. Daj mi dziecko i idź na dół, powiedz, że zgubiła klucz. Zobaczymy, czy ci wpuści.

- Dobrze - odparła, pewna, że pomyśli spali na panewce.

Mylili się jednak. Portier, którego nie było na dole, kiedy wchodził, uśmiechnął się do niej wyrozumiale, ukazując przerwy między zębami, i wyciągnął klucz z zamykanej

skrzynki stojącej w szafce. Dobiegał siedemdziesiątki, miał gęste, siwe włosy i wydawał się rozbawiony sytuacją.

- Wie pani, pani Paris, powinna pani zrobić sobie zapasowy i gdzie go schować. Co by pani zrobiła, gdyby nie stary Pete?

- Nie wiem - odparła szczerze.

- Przykro mi z powodu pani dziecka - dodał. Marla zdrętwiała. - To strasznie straci dziecko, które się tak długo nosi pod sercem.

Marla miała wrażeń, że krew w jej żyłach krzepnie.

- T-tak... - Czy powiedziała temu człowiekowi, że jej dziecko zmarło?

- Cóż, pani jest jeszcze młoda, doczeka się pani dzieci. - Uniósł lekko jedną brew. - Ale następnym razem będzie lepiej, jeżeli się pani najpierw postara o siebie.

- Czy by? - odparła sarkastycznie, jakby robiła to już wiele razy przedtem.

- Tak mówi Dobra Księżniczka - odparł portier, ani trochę nie stropiony.

- A nie mówi to czasem: „nie sądzicie, abyście nie byli sędziami”?

- Owszem. Ja i moja pani byliśmy małżeństwem przez prawie pięćdziesiąt lat i mieliśmy czwórkę dzieci, wszystkie po sobie. Dziecko potrzebuje matki i ojca, ale przecie pani sama o tym wie. Tak czy inaczej, współczuję z powodu tej straty.

- Tak. Tak, oczywiście, dziękuję panu - powiedziała, czując, że krew odpłynęła jej z twarzy. Portier wziął ją za rękę. Kylie... Kylie była w ciąży... o Boże.

Wyciskając w dłoni cenny klucz, wbiegła na schody, nie chcąc czekać na rozklekotaną windę. Na trzecim piętrze szybko podeszła do drzwi mieszkania 3-B, pod którymi czekał na nią Nick, trzymając na rękach u pionego Jamesa.

- Zobaczmy, na co ci sta, kiedy się przyłożyysz - powiedział z uśmiechem.

- Nie uwierzysz - odparła i powtórzyła swój rozmów z portierem.

Przekręciła klucz w zamku. Pchnęła drzwi i nagle cofnęła się w czasie. Jedno spojrzenie w głąb schludnego, dokładnie wysprzątanego mieszkania wystarczyło, by opadły jej setki wspomnień. Znieruchomiała, zaciskając palce na gałce drzwi, serce waliło jej jak młotem, a wizje z przeszłości z każdą sekundą nabierały barwy i precyzji. Rozpoznała obit zielonym sztruksem kanapę, którą kupiła kiedyś na wyprzedzanie, na której leżał włochaty pled zrobiony na drutach przez jej matkę - nie chuda jak ośa Victori Amhurst o skwaszonej twarzy, ale inna, cieplejsza kobieta, pachnąca tytoniem i perfumami z wyraźnym nutką wanilii. Dolly... miała na imię Dolly.

- Mamo... - wyszeptwała, wiedząc już, że kobieta, która ją wychowała, nie żyje. Nogi jej drżały tak silnie, jakby za chwilę miała upaść.

Nie nazywała się Marla. Tak jak podejrzewała. Nazywała się Kylie Paris. A tamtej nocy, prowadząc mercedesa Pam, jechała do Monterey, aby odnaleźć swoje dziecko. Dobry Boże, wiedziała już, dlaczego była wtedy z Pam. Odruchowo spojrzała na Jamesa. Drogie, drogie dziecko. Wszystko zaczęło się od niego i na nim się skończyło. Po wyjściu ze szpitala Kylie pokłóciła się z Alekssem, odkryła, że on i Marla ukryli Jamesa w Monterey, i poprosiła Pam o pomoc.

Ale wszystko poszło nie tak. Kto zastawił na niej pułapkę, ten wypadek na pewno został zaaranżowany! Alex chciał ją zabić. To musiał być on... i Marla... ona też miała z tym związek. Kylie zbladła jak ciana.

- Wszystko w porządku? - Nick patrzył na nią z troską i czuł się.

Kylie nagle poczuła ból w sercu. Bezgłęboko nie poruszyła wargami.

- To... to jest... mój dom - powiedziała w kołującym głosem.

Łzy napłynęły jej do oczu. Powoli obeszła pokój. Przypomniała sobie wielkie, podwójne łóżko, które kupiła za pieniędze ze swojej pierwszej wypłaty. Wtedy pracowała w banku, dopiero później przeniosła się do firmy ubezpieczeniowej. Rozpoznała pićkne, stare biurko, antyk, który właścicielka odnowiła, i lampę od Tiffany'ego, z której była taka dumna. Wydała fortunę na te kolorowe szkiełka. Przejechała palcem po biurku i otworzyła drzwi do łazienki. Róże i kafelki i dywaniki w tym samym kolorze. Do metalowej ramy lustra magnesem została przyczepiona karteczka. „Czyś dzisiaj, e ci się uda, czyś dzisiaj, e ci się nie uda, masz rację”. To powiedzenie stało się jej mantrą, pierwszą zasadą w jej życiu. Tak, mieszkała tu, sama, choć byli w jej życiu mężczyźni, wielu mężczyzn, kochanków, którzy przychodzili i odchodzili... Rozrywki wieczni chłopcy, z którymi miło spędzała czas, ale nie miała zamiaru się z nimi wiązać, bo w ogóle nie miała zamiaru się z nikim... Mierzyła bardzo wysoko.

Teraz oparła się o framugę drzwi sypialni i znowu przed oczami stanęły jej ich przystojne twarze. Ronnie. Sam. Benton... i inni... ale żaden z nich nie dotykał jej tak, jak Nick.

Żaden nawet w połowie mu nie dorównywał, ani jako człowiek, ani jako kochanek.

- Lepiej się daj sobie - zaproponował Nick, przekładając delikatnie Jamesa z jednego ramienia na drugie. - I powiedz mi, o co chodzi.

- Pamiętam tam... wszystko sobie przypomniałam - powiedziała, patrząc na parapet, na którym kiedyś wylegiwał się jej czarno-rudy, przegowany kot, jedyne zwierzę, jakie kiedykolwiek posiadała. Miał zielone oczy i potrafił podreptać do niej po czochoch, które chowała w szufladzie. Nazwała go Wagabunda. Zniknął dwa lata po tym, jak się pojawił. Kylie nigdy się nie dowiedziała, co się z nim stało, chociaż szukała go przez wiele tygodni, dzwoniła do schronisk dla zwierząt i

znajomych, a nawet na policj . Departament Policji San Francisco nie wykazał szczególnego zainteresowania t spraw i Kylie musiała si w ko cu pogodzi z bolesnym faktem, e nawet kot j porzucił.

- Cholera - szepn ła.

Niemal zapomniała, e Nick patrzy na ni , kr c nieprzytomnie po mieszkaniu. Otworzyła jedn z szafek w holu i zobaczyła starannie poukładane rodki czysto ci, ciereczki i szczotki.

W tej chwili, ze zdumiewaj c ostro ci przypomniała sobie betonowy budynek szkoły podstawowej, w której błyszcząca jako jedna z najlepszych uczennic, rekompensuj c sobie w ten sposób fakt, e nosiła pi tno b karta, e nawet nie wiedziała, kim był jej ojciec. Szybko zaczę ła dojrzewać , najszybciej z całej klasy i starsi chłopcy dostawali si do niej. Jeden z nich nawet, pod koniec roku szkolnego, zwabił j do składziku wo nej i zaproponował dziesi dolarów za popatrzenie na najlepsze piersi w całej Szkole Podstawowej imienia Benjamina Franklina. To było wyzwanie, ale ona nigdy nie bała si wyzwa .

W składziku było duszno. Jedna arówka o wietlała półki pełne papieru toaletowego, zwini tych w rulony foliowych worków i rodków czysto ci. Trzej chłopcy i Kylie stali tam mi dzy szczotkami na długich kijach i koszami na mieci, ze cian spogl dały na nich spłowiące zdj cia Farah Fawcett i Raquel Welch.

- Daj spokój, Kylie, czemu nie? - spytał Ian Perth, po jego czerwonej twarzy spływał pot.

Czuła jego kwa ny oddech na twarzy.

- Słyszałem, e zrobisz wszystko dla pieni dzy - dodał Brent Mallory.

Był mocno opalony, jego jakby zbyt du e z by błyskały w ogorzalej twarzy, a jasne zwichrzone włosy sterczały na wszystkie strony.

Ale to Lucas Yamhill, wysoki, przystojny chłopak, prawie j przekonał. Był ju w pierwszej klasie szkoły redniej, przyja nił si te z młodszymi chłopcami. Jego ojciec miał jeden sklep warzywniczy w centrum i drugi w innym mie cie, na południe od San Leandro.

- Chod , poka nam swoje cyczuszki. Dziesi dolców to kupa forsy.

Miała ochot to zrobi . Cho by po to, eby pokaza Brentowi i Ianowi, e si nie boi. A tak e dlatego, e chciała zrobi wra enie na Lucasie. Tak, miała na to ochot . Czemu nie? Dziesi dolarów było tego warte.

Wi c zrobiła to. Tam, w tym dusznym, ciasnym składziku podniosła podkoszulek, zdj ła go przez głow i rzuciła na betonow posadzk .

Brent zagwizdał przeci gle.

Rumieni c si troch , Kylie odrzuciła włosy do tyłu, tak jak to robi modelki w reklamach szamponów, i stan ła bez ruchu. Wyra nie było wida zagł bienie mi dzy jej piersiami. Uznała, e to wystarczy.

- Hej, to nieuczciwe. Masz na sobie stanik! - łaan czuł si oszukany.

- To prawda - poparł go Brent, kiedy zdał sobie spraw , e Kylie z nich zakpiła. - Za to nie płac . Milion razy widziałem siostr , jak chodziła w staniku po całym domu.

Lucas u miechn ł si tylko, a Kylie poczuła, e krew w jej yłach zaczyna kr y szybciej.

- Dam dwadzie cia, je li pozwolisz, ebym to z ciebie zdj ł.

- Dwadzie cia pi - powiedziała zalotnie. Czowała, ze si poci. -I nie przy tych dwóch.

- Dwadzie cia pi za sam na sam, i chc ci dotyka . - Oczy Lucasa pociemniały, z jasnobrzowych stały si nagle prawie czarne, a jego głos brzmiał teraz mi kko i chrapliwie. - Chc ci dotyka , cał .

Kylie poczuła dziwne mrowienie mi dzy nogami, serce zabiło jej mocniej. Dr ała ze zdenerwowania.

- Powiedz im, eby st d poszli - powiedziała, wskazuj c Brenta i Iana.

- Mowy nie ma. Zapłaciłem trzy dolce! - Ian zało ył swoje grube r ce na piersi. Lucas jednak był starszy i w ko cu przekonał ich, eby wyszli. Zamkn ł za nimi drzwi na zasuwk . Kylie prawie nie mogła oddycha . Lucas powoli wyj ł z portfela dwa banknoty po dziesi dolarów i jeden pi ciodolarowy. Poło ył je na odwróconym do góry dnem wiadrze i wygładził. Wyci gn ł te z kieszeni płaskie plastikowe opakowanie -z prezerwatyw - i poło ył je na banknotach.

- Dam dwa razy tyle, je li rozbierzesz si do naga.

- Nie... nie wiem.

- A dam ci stów , je li pozwolisz mi - wiesz na co. Dotkn ci .

- Dotkn ?

- Tak - zni ył głos. - Wiesz, o czym mówi .

Kylie zagryzła wargi. Potrz sn ła głów . Oddychała z trudem, ale zaczynała ju rozumie . I przestraszyła si nagle.

- Widziała kiedy m czynn ?

- Nie.

- Mógłbym ci pokaza - zaproponował.

- Musiałabym ci zapłaci ?

- Nie. - W jego miechu było co spro nego. - Nie.

Chciałbym ci nim dotkn .

Był wysoki, rok starszy od kolegów z klasy, miał prawie pi tna cie lat. Niedługo b dzie mógł prowadzi samochód. Kylie z trudem przełkn ła lin . Była ciekawa, a Lucas jej si podobał. Był popularny. Przystojny. Bogaty.

- Mogliby my... no wiesz... zrobi to - powiedział mi kko.

- Nie!

- My łałem, e zrobiłaby wszystko dla pieni dzy. - Lucas dotkn ł jej policzka i zsun ł dło ni ej, na jej szyj . Odepchn ła jego r k .

- Nie to.

- Nie zrobi ci krzywdy - szepn ł.

Kylie pomy łała o pieni dzach, a tak e o Brencie i Ianie, prawdopodobnie podsłuchuj cych pod drzwiami i podgl daj cych przez dziurk od klucza. Zrobiło jej si słabo.

W oczach Lucasa było co , co j przera łało. Co , co j kusilo. Co , co sprawiało, e zacz ła szybciej oddycha . Miała szum w uszach.

Przypomniała sobie ostrze enia matki.

- Nie pozwól adnemu chłopakowi dobra ci si do majątek, Kylie.

Wykorzystaj ci tylko - mówiła Dolly - Złapiesz jak chorob albo wpadniesz w du e kłopoty. Jestem jeszcze za młoda, eby zosta babci !

Kiedy Lucas si gn ł do jej d insów, chwyciła go za r k . Stanowczo.

- Nie... nie wydaje mi si , eby to był dobry pomysł - rzuciła, nie poznaj c własnego głosu. Chciała, eby j dotykał. Była tak dziewczyn , jedn z tych, które to lubiły.

- Och, daj spokój, Kylie. Tak ci pragn , male ka. - Dotykał j i całował. Kylie miała w głowie chaos. - Nikt si nie dowie.

Tylko całe miasto! Ian i Brent roznios wszystko po szkole. Nie wspominaj c ju o samym Lucasie. B dzie si chwalił przed ka dym, kto zechce go słucha , e j miał w składziku wo nego!

Lucas pocałował j znowu. Nami tnie. Rozpi ł jej spodnie.

- B dzie miło, zobaczysz. - Wsun ł palec mi dzy d ins a jej ciało, chc c dosta si gł bij.

- Przesta . - Odepchn ła go z tak sił , e omal nie wpadła na stos koszów na mieci. Serce biło jej jak oszalałe,



oddychała szybko i płytko, a gdzie w gł bi jej ciała zbudziło si jakie zakazane, gwałtowne pragnienie. -Nie!

- Ale...

- Mowy nie ma. - Potrz sn ła głow i si gn ła po pieni dze, ale on był szybszy. Chwycił je pierwszy, razem ze swoj głupi prezerwatyw .

- Wi c jeste tylko kokietk - warkn ł ze zło ci .

- Nigdy nie mówiłam, e zrobi co takiego!

- Kokietka. Dziwka!

- Wyno si ! - krzykn ła. Ci gle miała w uszach to straszne słowo. Po co w ogóle zgodziła si przyj do tego głupiego składziku?

- Spokojnie, ju id .

Zapi ł rozporek i otworzył drzwi, ła n i Brent omal nie wpadli do rodka. Kylie odwróciła si szybko, eby nie zobaczyli jej piersi, chwyciła le cy na podłodze podkoszulek i wci gn ła go przez głow . Po jej twarzy spływały łzy.

- Dostałe ? - spytał Brent Lucasa.

- Jasne.

Nast pne trzy tygodnie, które zostały do zako czenia roku szkolnego, były dla Kylie czystym piekłem. Lucas szydził z niej przy ka dej okazji, Brent u miechał si drwi co, ilekro j widział, a Ian unikał jej wzroku. Reszta klasy szybko dowiedziała si o striptizie w składziku i historia ta zacz ła y własnym yciem, rozdmuchana na tysi c ró nych sposobów.

Kylie udało si jako przetrwa te okropne chwile z podniesionym czołem, ale wspomnienie tamtego wydarzenia tkwiło w jej pami ci jak cier . A do wypadku. Ale wtedy, wiele lat temu, kiedy została tak dotkliwie upokorzona, przysi gła sobie, e zrobi wszystko, wszystko, by wyrwa si z pułapki, jak jest ubóstwo.

I zrobiła. Posun ła si nawet do tego, by zło y własne dziecko na ołtarzu wszechmocnego dolara.

- O Bo e - szepnęła teraz, siedząc w małym mieszkanku, które przez ponad pięć lat nazywała swoim domem. Łzy spływały jej po policzkach. Spojrzała na Nicka. - Jestem... jestem Kylie Paris - wyszeptała. A więc Nick nigdy jej nie kochał. Nigdy nie przeżyła z nim żadnej romantycznej przygody ani rendez-vous. Przełknęła z trudem, patrząc w jego niebieskie, pełne niepokoju oczy.

- A Marla? - spytał. Sposób, w jaki wypowiedział to imię, sprawił, że Kylie nagle zapragnęła umrzeć. Kochał inne kobiety. Nie jej. - Co ona ma z tym wszystkim wspólnego? - Wszedł do małego, przytulnego saloniku pełnego kolorowych magazynów i księżeczek z krzywkami. Kylie oparła się o poduszki zielonej sofy z wyprzedzeniem.

- Marla jest moją przyrodnią siostrą. Dowiedziałam się o tym mniej więcej na początku szkoły średniej... Mojej matce wyrwało się kiedyś, że moim ojcem jest Conrad Amhurst. Powiedziała mi też, że mam przyrodniego brata, który jest opóźniony w rozwoju, i starszą siostrą, która... jest ukochanym dzieckiem Conrada. - Cisnął jej w gardło wspomnienie tego dnia, kiedy na stoliku w ich małym mieszkaniu stały nietknięte szklanki z mroźną herbatą.

- Wiedziała o tym cały czas? - spytała Kylie gniewnie, patrząc na matkę. Dolly siedziała przy małym zniszczonym stoliku, niedbale przeglądając gazetę i paląc papierosa.

- Zostałam zobowiązana do dochowania tajemnicy - przyznała matka.

- O mnie? O moim ojcu? - Kylie była wściekła. - Dlaczego?

- Dla niego była to kłopotliwa sytuacja. Wstydził się ciębie. - Dolly przyglądała się jasne łoki starannie wsunięte za opaskę. - Jest bogaty. Szanowany. Mnie też się wstydził.

- Ale... ale... - Kylie oparła się o brzośce lodówek. - Bogaty?

- Je li my lisz, e dostaniesz od niego chocia centa, to jeste w bł dzie - powiedziała Dolly zjadliwie, głosem nabrzmiałym gorycz .

- Zapłacił mi dawno temu.

- To nielegalne.

- Mo e, ale podpisałam pewien dokument... - Machn ła dłoni o długich, szczupłych palcach i rozwiła dym z papierosa płyn cy w gór , do jarzeniówek wisz cych w czystym, skromnie umeblowanym pokoju.

- Nie mam zamiaru u era si teraz z nim ani z jego prawnikami. Nie mam na to ani czasu, ani pieni dzy. To... to i tak nic by nie dało. - Przewróciła kartk w kolorowym magazynie, chc c zaśl bi si w lekturze artykułu o ksi nej Dianie.

- Wi c jeste frajerk - rzuciła Kylie, chwyciła swój szklank i duszkiem wychyliła jej zawarto . Kostki lodu zadzwoniły cicho, kiedy odstawiła szklank na stół.

- Po prostu wiem, e z nim nie wygram - stwierdziła Dolly.

Kylie po raz pierwszy dostrzegła siateczk zmarszczek wokół zm czonych oczu matki i jej zgarbione szczupłe plecy.

- Ja bym si tak łatwo nie poddała - oznajmiła bu czucznie. Uznała matk za słab i mi kk . - Nigdy.

- W takim razie jeste głupia. Albo taka jak twój ojciec.

- Kto to jest?

- To Conrad Amhurst. Jest onaty. Ma z on dwójk dzieci.

- I nie chce, eby kto zawracał mu głow jeszcze jednym - dodała Kylie, zraniona do ywego. Wiedziała, oczywi cie, e ma ojca, ale nie zdawała sobie sprawy, e mieszka tak blisko i e nigdy si z nianie spotkał dlatego, e nie miał na to ochoty, a nie z innych, niezale nych od niego powodów. - Bo e, có to musi by za sukinsyn? - wybuchn ła, ale zaraz dotarło do niej, e mówi o człowieku, który jest jej ojcem.

- Jest twardy. Nieustępliwy. Ma pieniądze i władzę.
- Sądzi, że jest strasznym draniem.
- Owszem. Ale dał mi wtedy pieniądze, a potem dostawałyśmy te używane rzeczy.
- Cholera! Nie chcesz mi chyba powiedzieć... a więc te sukienki, które niby dostawałaś w kościele... te ubrania były po...
- Po jego córce Marli.
- Jego prawdziwej córce.
- Ty też jesteś jego prawdziwą córką - powiedziała Dolly, prostując się nieznacznie.
- Nie, mamo, nie jestem. Jestem tylko białą kartą. Wstydzisz się mnie, sama to powiedziała.

Mimo wzburzenia uważyła nie wysłuchała wszystkiego, co Dolly jej opowiedziała - o tym, jak pracowała jako kelnerka w ekskluzywnym miejskim klubie i że zainteresował się nią przystojny, bogaty i szlachetny mężczyzna, z którym w końcu zaszła w ciążę. Dolly wiedziała o jego dzieciach i siostrze, która, jak mówił, wysysała z niego krew i nigdy nie zgodziłaby się na rozwód. Dolly szybko dowiedziała się też, że nigdy nie znaczyła wiele dla swojego kochanka.

- Ale dał mi sto tysięcy dolarów - przyznała.
- A ty je przepuściła.
- Wzięłyśmy z tych pieniędzy, do diabła, Kylie. - Dolly ze złości zgasiła papierosa w przepelnionej popielniczce. - Pewnego dnia mnie zrozumiesz.
- Nigdy. Nigdy nie położysz się po sobie, udajesz, że mnie nie ma, tak jak ty!

Kylie pobiegła do sypialni, otworzyła szafę i wyrzuciła na łóżko wszystkie ubrania, ubrania opatrzone metkami znanych projektantów, o jakich, choć miały już po kilka lat, inne dziewczęta w jej szkole mogły tylko marzyć. Sweterki, bluzki, spódnice, które Kylie nosiła, zawsze trochę tym skrzypiała,

bo tak bardzo różniły się o bawełnianych podkoszulków i tanich dżinsów, które jej matka kupowała w supermarketach.

- Wiesz przecie, że jesteś dla mnie wszystkim - powiedziała Dolly, obejmując córkę w talii. Kylie stała, drżąc z gniewu, głębioko zraniona faktem, że była niechcianym dzieckiem. - Ja zawsze byłam z ciebie dumna i ty też powinna być z siebie dumna. Dziwne jest tylko, że jesteś taka do niej podobna... do Marli. Geny Amhurstów muszą być bardzo silne.

Kylie nie chciała płakać ani ułaskać się nad sobą, postanowiła wyrównać rachunki. Ze swoim ojcem i tą rozpieszczoną, uprzywilejowaną przyrodnią siostrą. Najpierw jednak musi się z nimi spotkać. Aby tego dokonać, opracowała pewien plan - pierwszy z wielu.

Nie zwlekała, by wprowadzić go w życie. Miała zaledwie piętnaście lat, kiedy zaczęła wymykać się sama na miasto. W księżycowej telefonicznej znalazła adres firmy Amhurst Limited i pewnego dnia weszła do biur swojego ojca, gdzie elegancka sekretarka poinformowała ją obojętnie, że pan Amhurst ma spotkania przez cały dzień i jest zbyt zajęty, aby się z nią spotkać.

- W takim razie zaczekam - powiedziała Kylie i usiadła w jednym z foteli stojących w holu, z udawanym zainteresowaniem przeglądając „Wall Street Journal”. Na skórzanych kanapach siedzieli mężczyźni w garniturach, otwierając i zamykając swoje teczki. Wzywani pojedynczo przez sekretarkę, znikali za drzwiami z drewnianymi nowymi, na których lśniły złote litery „Conrad Amhurst, Prezes”. Kylie nie ruszała się ze swojego miejsca, choć miała wrażenie, że za chwilę powłóczy jej pcherz.

Pięć minut po tej została stanowczo poproszona o opuszczenie biura przez woźnego, który powiedział jej po prostu, żeby poszła do domu.

Nie poszła. Usiadła na ławce po drugiej stronie parkingu. Wzięła cukierki lukrecjowe i piła coca-cola, patrząc, jak drogie limuzyny opuszczają swoje miejsca i odjeżdżają w stronę

miasta. W końcu, kiedy zaczął już zmierzchać, zobaczyła przed sobą czarny samochód z przyciemnionymi szybami, który nie zatrzymując się, wyjechał z parkingu. Kylie wiedziała, że w środku siedzi jej ojciec, widziała jego profil i zdawało jej się, że on spojrzał na nią przelotnie, ale zaraz odwrócił wzrok.

Jakby sam jej widok był mu niemiły.

Poszła do jego klubu, ale zrozumiała recepcjonistka nie wpuszczała jej do środka, twierdząc, że do klubu wolno wchodzić wyłącznie jego członkom. Kilkakrotnie zostawiała wiadomości, ale nigdy nie doczekała się odpowiedzi, dzwoniła do biura i do domu, ale on nigdy nie oddzwonił. Mogło się wydawać, że dla Conrada Amhursta Kylie nie istnieje.

Ona się jednak nie poddawała.

W końcu pewnej niedzieli doszło do konfrontacji, na którą tak czekała.

Znała dokładnie, do którego chodził Conrad Amhurst, widywała z daleka, jak w towarzystwie swojej rodziny wchodził do wielkiego, przypominającego katedrę budynku – tak jak owej wiosennej, mglistej niedzieli. Kylie miała na sobie jedną z sukienek Marli, z grubego aksamitu w odcieniu piaskowej, gładkiej zieleni. Dzień wydawał się trochę za ciepły na aksamit, ale była to najładniejsza sukienka, jak Kylie miała w swojej szafie. Przesiedziała całą mszę w ławce kilka rzędów za rodziną Conrada. Marla zauważyła ją wtedy, gdy ich oczy, tak do siebie podobne, spotkały się na kilka sekund. Marla była starsza, ale miała włosy tego samego koloru, nos również prosty, nieco bardziej spiczasty podbródek i oczy zielone, takie same jak Kylie. Było to dziwne uczucie, zupełnie jakby obie patrzyły w lustro zniekształcające trochę odbicie. Victoria Amhurst odwróciła się nagle, jakby wyczuła obecność intruza usiłującego wtargnąć w jej idealne życie. Dostrzegła Kylie, szepnęła coś do matki, po czym szybko zwróciła wzrok na ołtarz. Siedziała sztywno, jakby położyła kij, nie odwróciła się już ani razu. Organista zaczął grać i zebrani w kościele wierni

zaintonowali pierwszy hymn. Victoria powiedziała co cicho do córki, która, zapewne stosując się do polecenia matki, tak i ju się nie odwróciła. Ale Kylie czuła ciekawo swojej przyrodniej siostry, jej fascynację.

Po mszy na schodach przed kościołem Kylie miało podeszła do rodziny rozmawiając z księdzem. Conrad spojrzął na Kylie wzrokiem, który mógł zabijać. Zrobił się czerwony na twarzy, przeprosił księdza i z uśmiechem, który przypominał grymas, chwycił ją za łokieć z taką siłą, że ją zabolowało. Odcinając Kylie od swojej rodziny, sprowadził ją na dół, a potem dalej, za kościół, gdzie na ziemi leżały płatki kwiatów wiśni. Drzewa zaczęły ją wypuszczać. Odwrócił się do niej gwałtownie. Ciepły, wiosenny wiatr szarpał sukienkę Kylie i rozwiewał siwe włosy Conrada. Z nieba zaczęły spadać pierwsze krople deszczu.

- Najlepiej będzie, jeśli zaraz się znikniesz - wyszeptał zimno, tonem nie znośnym sprzeciwu. Był czerwony na twarzy, ale usta miał blade, jakby nie było w nich ani kropli krwi. - I nie wiesz, jak się nigdy pokazywało w tym kościele.

- To wolny kraj - odpaliła ją.

Stalowe palce nieomal zmiażdżyły jej ramię.

- Ale niektórzy są tu bardziej wolni niż inni. Lepiej to sobie zapamiętaj.

- Ja chcę tylko...

- Nic nie dostaniesz. Zapłaciłem ci za twoją matkę, i to słono. Teraz zostaw nas w spokoju, bo pośpieszasz. Zamieni twoje życie w piekło.

- Już to zrobiła - szepnęła Kylie.

- Mylisz się. Jeśli się dzisiaj, a teraz jest ci źle, to tylko poczekaj. Wiedz, że jeśli jeszcze raz o mielibyś się wejść mi w drogę, będziesz tego do końca swoich dni. Masz. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z portfela pięć banknotów studenckich. - Weź to, kup sobie coś ładnego i nigdy, słyszysz, nigdy, nie próbuj zbliżyć się do mnie ani do mojej

rodziny. Nie pozwol , eby ktokolwiek mnie szanta ował, dr czył ani naci gał. - Wcisn ł szeleszcz ce banknoty w dło Kylie, odwrócił si na pi cie i ruszył szybko w stron ko cioła. Nie wiedział, e na jego szary garnitur spadaj bladór owe płatki. Nie wiedział te , e Kylie nigdy si nie podda.

Stała tam ze ci ni tym sercem, prze ywaj c odtr cenie i ciskaj c w r ce pieni dze. Miała ochot pobiec za nim, zrobi scen , rzuci mu te pieni dze pod nogi. Powstrzymała si jednak. Niczego by w ten sposób nie osi gn ła.

Nie mo e by taka szczerza.

By dosta to, czego chce, musi by przebiegła.

I była.

Teraz, kiedy wspomnienia napływały falami, widziała całe swoje ycie z przera aj c dokładnie ci .

W wieku kilkunastu lat czuła si oszukana i odrzucona. Przepelniona gorycz . Z całej duszy nienawidziła Marli Cahill, małej ksi niczki jej ojca. Po spotkaniu w ko ciecie Kylie widywała j czasami z daleka i czuła, e jej przyrodnia siostra odwzajemnia jej fascynacj . Marla podró owała po całym wiecie, uczyła si eglowa na zatoce, chodziła na bale i zabawy, wydawała pieni dze w Pary u i Nowym Jorku, a wi ta Bo ego Narodzenia sp działa w Acapulco, na Bahamach lub w Aspen. Je dziła swoim własnym BMW i studiowała w presti owym prywatnym college'u dla którego jej ojciec ufundował bibliotek .

Kylie dostawały si u ywane stroje i zimne spojrzenia. Kiedy jednak udało jej si wykorzysta podobie stwo do przyrodniej siostry i uszczkn co dla siebie. Ubrana w jedn z jej starych sukienek zdołała kupi absurdalnie drog sukni wieczorow w małym butiku, gdzie Marla cz sto robiła zakupy.

- Prosz zapisa to na rachunek taty - rzuciła swobodnie. Sprzedawczyni, my l c tylko o prowizji, jak otrzyma ze sprzeda y czarnej, naszywanej cekinami i długiej do ziemi



sukni, kiwn ła głow . Powiedziała, e suknia została stworzona dla niej i wstukaa cen do kasy.

Marla dowiedziaa si w jaki sposób o tym małym oszustwie, ale nigdy nie wydaa siostry. Wspomniaa o tym dopiero wtedy, kiedy obie były ju dorosłe, a ona przyszła do Kylie ze swoim planem.

Teraz, siedz c na zniszczonej kanapie i patrz c na Nicka stoj cego nad ni trzymaj cego jej syna w ramionach, Kylie miała wra enie, e ziemia usuwa jej si spod stóp. Tak, była gwałtowna, uparta, o wszystko, co osi gn ła, walczyła bez skrupułów. Ale teraz b dzie musiała za to zapłaci . Oparła si o poduszki i spojrzaa w sufit.

- My l , e nie byłam zbyt dobra - wyznała. - Wiem, e nie byłam. - Westchn ła ci ko na my l o wszystkich tych latach, kiedy zazdrociła swojej przyrodniej siostrze, o bezsennych nocach, podczas których zadawała sobie wci te same pytania. Dlaczego ja? Dlaczego wła nie mnie nie kocha mój ojciec? I te noce, kiedy targało ni inne, jeszcze gorsze uczucie, uczucie czystej, zimnej nienawi ci do siostry, która znała miło ojca. Kylie ywiła si t nienawi ci , rywalizuj c z Marl , która zachowywała si tak, jakby w ogóle nie wiedziaa, e Kylie istnieje.

- Prawda jest taka, e nienawidziłam Marli - rzekła Kylie. - Chciałam si na niej odegra . - Przypomniaa sobie spotkanie z siostr , w tym mieszkaniu.

- Ale jak do tego doszło? - spytał Nick. - Jak to si stało, e zacz ła udawa on Aleksa, mieszka z nim?

- Przez czysty przypadek. Fuks. Tylko dlatego, e nie zgini łam w tym wypadku. - Zmarszczyła brwi. - Kiedy ojciec zmienił testament, Marla nie mogła ju mie dzieci. Wykluczył j - chyba e urodziaby spadkobierc . Dziedzica. Chłopca. Cissy nie była dla niego do dobra.

- To dzi nie do pomy lenia.

- Conrad Amhurst kierował si własnymi zasadami, lubił bawi si lud mi - powiedziała. - Sam to zauwa ył . Ale mógł nie wiedzie , e Marla poddała si sterylizacji. W ka dym razie Marla przyszła do mnie, proponuj c, ebym urodziła jej dziecko - syna. Miałam zaj w ci , urodzi dziecko i odda je Cahillom. Udawa , e to ich syn. - Teraz, słysz c własne słowa, poczuła, e robi jej si niedobrze. - Wiem, wiem, to straszne. Byłam... byłam bardzo samolubna. - Wstała, podeszła do Nicka i wzi ła Jamesa na r ce. Patrz c na buzi swojego dziecka, rzadkie, rozczochrane włoski i drobne paluszki, nie mogła uwierzy , e była kiedy tak wyrachowana i bez serca.

- Tylko tyle? - spytał Nick chłodno.

- Tak. No i miałam trzyma j zyk za z bami. - Tuliła do siebie Jamesa. Sama nie mogła w to uwierzy , ale pami tała teraz ze wszystkimi szczegółami dzie , kiedy Marla przyszła do niej ze swoim planem. -Marla to wymy liła, wiedziała, e mamy t sam grup krwi. Nawet namówiła lekarza, eby sfalszował niektóre dokumenty.

- Robertsona.

- Tak, przyjaciela rodziny, który chciał pieni dzy dla swojej kliniki i szpitala, bo jest ich współwła cicielem. - Ze ci ni tym sercem usiadła w swoim ulubionym fotelu, w którym tamtego wieczora siedziała Marla. Kylie pami tała to spotkanie tak wyra nie, jakby miało miejsce poprzedniego dnia.

- Mam dla ciebie propozycj - powiedziała Marla, kiedy Kylie otworzyła drzwi. Marla, z parasolem w r ce, w płaszczu przeciwdeszczowym, ciemnych okularach i kapeluszu z szerokim rondem, min ła zaskoczon siostr i weszła do rodka. Je li mieszkanie Kylie niezbyt jej si podobało, nie dała tego po sobie pozna .

- Propozycj ?

- Tak. - Marla postawiła parasol przy drzwiach i zdj ła kapelusz. Włosy, obci te podobnie jak u Kylie, otaczały jej

twarz ciemnymi lokami w odcieniu mahoniu. Marla uwa nie przyglądała się swojej przyrodniej siostrze. Zmrużyła zielone oczy, jakby się nad czymś namyślała, i zmarszczyła brwi.

- Tata zawsze tak cię traktował, a ja chyba znalazłam sposób, żeby mogła wyrównać rachunki.

- A dlaczego ciebie tak nagle zaczęło to obchodzić? - Kylie ani przez chwilę nie wierzyła w bezinteresowną sympatię Marli.

- Có, rzeczywiście cię, niewiele mnie to obchodzi. Ale potrzebuję twojej pomocy.

To było coś. Bogata, rozpieszczona córka Conrada Amhursta potrzebowała jej - po raz pierwszy w całym ałosnym życiu Kylie. Kylie nie ufała jej, ale nie miała do siły, by postawić bogatą dziewczynkę do diabła.

- Wyjaśniła mi, na czym polegał ten jej dziwny plan - powiedziała Kylie Nickowi i zdradziła na myślenie o tym, jak łatwo dała się namówić na udział w tym przedsięwzięciu. - Marla chciała, abym zaszła w ciążę - abym poddała się sztucznej zapłodnieniu - a potem, kiedy już będzie wiadomo, że to chłopiec, ukryła się gdzieś i po rozwodzie oddała jej dziecko. - Bo e, jak strasznie to teraz brzmiało. - Marla miała nosić wkładki, takie jak aktorki w telewizji, przez sześć czy siedem miesięcy, najpierw mniejsze, potem większe, do czasu mojego rozwodu.

- A gdyby się okazało, że to dziewczynka? - spytał sceptycznie Nick.

- To... to nie wchodziło w grę. Marla chciała, abym w takim wypadku przerwała ciążę, ale nie zgodziłam się na to. Powiedziałam, że jeśli to będzie dziewczynka, zatrzymam ją. - Zniżyła głos. - Tak bardzo chciałam się odegrać na tej zniechęconej, rozpuszczonej królewnie, ale nie zgodziłam się na sztuczne zapłodnienie i oczywiście cię podniosłam cenę. - Skrzywiła się na wspomnienie chwili, kiedy zażądała więcej pieniędzy za swój udział w tej farsie.

- Oczywiście cie. - Twarz Nicka wyglądała teraz jak granitowa maska. - Wi c spała z jej m em i przehandlowała swoje dziecko.

- Niestety, tak to wyglądało - przyznała i głos jej si załamał. Łzy znowu napłyn ły jej do oczu. Czowała si okropnie winna, tak bardzo sob teraz gardziła. Jak mogła by tak chciwa? Tak zimna? Tak zupełnie bez serca? Pocałowała pokryty puchem włosów czubek głowy syna. - Czula m , e rzeczywi cie dopieklam Marli.

- Bo sypiała z jej m em.

- I zrobiłam co , czego ona nie mogła ju dokona . Wydawało mi si nawet, e... e Alex lubił chodzi ze mn do łó ka, e czekał na to. Było w nim co , jaki gniew, kiedy... kiedy mnie całował. Jakby... jakby te chciał si na niej odegra . Oboje mieli my swoje powody, by chcie si na niej zem ci , a w ka dym razie tak to wyglądało. - Zadr ała, wspominaj c noce sp dzone w łó ku Aleksa Cahilla, satysfakcj , jak odczuwała na my l o tym, e wła nie kocha si z m em swojej zepsutej, przyrodniej siostry, dum z tego, e mo e da mu to, czego Marla ju nigdy mu nie da. Ani jemu, ani swojemu ojcu. W ko cu pokonała siostr , była gór .

- I zaszła w ci - stwierdził Nick chłodno.

- Tak, po dwóch miesi cach. - Szybko zamrugła powiekami. -Mieli my szcz cie. Gdy tylko było to mo liwe, zrobiłam test na okre lenie płci dziecka i voila, Conrad Amhurst doczekał si wnuka.

- Sukinsyn - mrukn ł Nick przez zaci ni te z by. Podszedł do okna i wyjrzał przez aluzje. - Wi c zgodziła si na wszystko.

- Miałam zamiar. Ale potem... kiedy poczułam to dziecko w sobie, kiedy zacz ło si porusza ... Im dłu ej je nosiłam, im wi cej wiedziałam, tym trudniej było mi si z tym pogodzi . Czula m , e nie mog odda własnego dziecka, nie mog go porzuci , tak jak mój ojciec porzucił mnie i... - Potrz sn ła

głów . Co za ironia. - Kiedy James przyszedł na wiat, po raz pierwszy w życiu uświadomiłam sobie, że są rzeczy cenniejsze niż pieniądze.

- Daj spokój, Kylie czy Marla, kim tam, u diabła, jeste . Daruj sobie te pozy nawróconej grzesznicy, dobrze? Nie kupuj tego. Ile miała dostać po śmierci starego?

Kylie spuściła oczy. Nick przeszedł przez pokój, stanął przed fotelem, patrzył na nią wzrokiem pełnym pogardy.

- Powiedz mi, skarbie. Ile jest wart wnuk Conrada Amhursta? Kylie zamknęła oczy i mocniej przytuliła do siebie dziecko.

- Milion. Zgodziłam się na milion dolarów.

- Jezu Chryste.

- Ale pójdź...

- Nie mów mi, że nie chciała za niego ani centa - zadrwił Nick i Kylie pomyślała, że wolałyby umrzeć . W pokoju włączył się automatyczny grzejnik. Poczuli powiew gorącego powietrza, miała wrażenie, że otworzyły się drzwi wejściowe.

- Nie - przyznała, potrzebowała głowę . - Nie mam zamiaru ci okłamywać . Podniosłam cenę .

- Jasny gwint.

- Za dałam trzech milionów.

- Jeste nieprawdopodobna - powiedział Nick.

Kylie wiedziała, że zniszczyła wszystko, co ich łączyło, że jej marzenie o wspólnym szczęściu już nigdy się nie spełni.

- I co dalej? Zgodzili się na to?

- Tak, w końcu się zgodzili. Wtedy, w jaguarze, Marla miała się z nią, a Alex był zły. Palił papierosa. Przejechała nie przez Park Golden Gate i Kylie zobaczyła przez okno młodą matkę, pchając przed sobą sportowy wózek, dzieckossało smoczek, usiłując jednocześnie złapać za ogon miesznego, kłapouchego psa szarpięcego swój smycz. Matka bezskutecznie usiłowała uspokoić dziecko i psa, wyglądając

przy tym na kompletnie wykończon, ale w tej właśnie chwili Kylie uwiadomiła sobie, że żadne pieniądze nie zastąpi miło ci do dziecka, które w niej rośnie, nie zaspokoi pragnienia, by kochać i być kochanym.

- Jesteś gorsza od niej - powiedział Nick oskarżycielsko. - Gorsza od Marli.

Kylie poczuła się, jakby ją spoliczkował.

- Może - powiedziała. - Ale kiedy zaczęłam rodzić, już wiedziałam, co zrobię. Przedtem udało mi się przekonać sam siebie, że będzie mu lepiej z dwojgiem rodziców, że będzie miał wszystko, że Marla i Alex nie będą złymi rodzicami, wiele dzieci ma gorszych... Akurat! - Pokręciła głowę, zdumiewając się własną naiwnością. - Alex mówił, że dziecku, jako Cahillowi, niczego w życiu nie będzie brakowało, gdybym za nią je zatrzymała, miałoby tylko matkę, która z trudem wiążałaby koniec z końcem i cięgle była w pracy. I tak nigdy nie byłoby mnie w domu, a dziecko na pewno cierpiało by z tego powodu.

- I co mu odpowiedziała?

- Aby poszedł do diabła - odparła, przypominając sobie przerażenie na twarzy Aleksa. Doktor Robertson wszedł akurat do jej prywatnego pokoju. Bóle tak się nasiliły, że prawie nie była w stanie myśleć.

- Naprawdę?

- Tak, chociaż tyle dobrego mogłoby o sobie powiedzieć. Ale było już za późno. Czuję, że zaraz urodzi. Alex powiedział, że jeśli spróbuję pozwać go do sądu, zmieni moje życie w piekło. Nie miałabym szans wygrać, biorąc pod uwagę całą armię prawników pracujących dla Cahill Limited. Wywekliby wszystko z mojej przeszłości, wszystkie błędy, jakie popełniłam, poprzekręcaliby fakty z mojego życia, przedstawiliby to sądowi i udowodniliby bez trudu, że nie jestem odpowiednią osobą, by wychowywać dziecko. Do tego czasu Conrad na pewno by umarł i pieniądze przeszłyby

wszystkim koło nosa. A dziecko straciłoby na tym najwięcej. - Kylie potrzebowała głowę. - Nie wiem sama, jak mogłam uwierzyć w dobre wola Aleksa. Wiesz, Alex powiedział nawet, że oddając Marli mojego syna, dam w końcu ojcu to, czego zawsze pragnął - wnuka. Czy to nie jest chore? - czuła łzy spływające jej po policzkach. - Tłumaczyłam sobie, że bałam się miała inne dzieci, więc to jedno mogła oddać.

- Ale zmieniła zdanie - domyślił się Nick.

- Tak - spojrzała na niego przez łzy. - O tak. W chwili, kiedy po raz pierwszy na niego spojrzałam, kiedy usłyszałam jego pierwszy krzyk, zdałam sobie sprawę, że nie oddam go nikomu za żadne pieniądze. Byłam gotowa stawiać czoło Cahillom i wszystkim prawnikom, jakich zdołaliby wynajść. Byłam gotowa zadławić się po uszy, byle tylko zatrzymać Jamesa. - Dostrzegła w oczach Nicka powściągnięcie i zrozumiała, że to co ich łączyło, przepadło na zawsze. - Posłuchaj, Nick, nie oczekuj, że mi uwierzysz.

- Nie wierz mi.

- Wierzę ci. Myślę o sobie, co chcesz, ale tak właściwie nie było. - Nie mogła powstrzymać łez wstydu, które napływały jej do oczu, ilekroć patrzyła na swojego synka, swojego drogiego synka, który cęga słodko w jej ramionach i zupełnie nie wiadomego jej bólu. - Tak... tak bardzo... mi... przykro - wyszeptwała do Jamesa. Zamrugowała szybko powiekami i otarła łzy wierzchem dłoni. - Przeze mnie zginęło dwoje ludzi... - Głowa jej rozboleła, cała przeszłość, całe życie nagle stanęło jej przed oczami - życie, o którym wolałaby nie pamiętać. Podniosła jednak głowę i spojrzała ze złości w gniewne oczy Nicka. - Cóż, nie jestem tu, za którą mnie brała. Nie jestem Marli.

Nick uśmiechnął się cynicznie.

- A to rodzi nowe pytanie. Gdzie, u licha, jest Marla?

- Nie wiem - odparła, pocierając skronie palcami. - Nie, zaraz... słyszałam, jak Alex rozmawiał z nią wczoraj w nocy.

Jestem pewna, że to była ona. Mówił, żeby ukryła się w przyczepie.

U miech Nicka stał się nagle zimny jak lód.

- Na ranchu?

- Nie wiem.

- Ale ja wiem - pomógł jej wstać. - Chodźmy.

Kylie chciała zapytać: „A co z nami?”, jednak tego nie zrobiła. To koniec. Poznała to po jego oczach. Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi. Za drzwiami czekał na nią wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, w okularach przeciwsłonecznych, z małą spiczastą brodą i rewolwerem wymierzonym prosto w jej serce.

Kylie stanęła jak wryta.

- Kim pan...?

- Marla - powiedział, tym samym strasznym głosem, który słyszała już w szpitalu, a potem w domu Aleksa. „Zdychaj, dziwko!” To on wypowiedział te słowa. - Co u diabła, robisz w tej dzielnicy? - spytał z zimnym, okrutnym uśmiechem.

- Kim pan jest? - spytał Nick, ale w tej samej chwili rozpoznał tę twarz. Zmieniła się od czasu, kiedy obaj byli dziećmi, ale teraz Nick ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że stoi twarzą w twarz z Montgomerym Cahillem. Zrozumiał te włamki sekundy, że to on jest mordercą.

- O co chodzi, kuzynie? Zobaczyła ducha? Nick skoczył do przodu.

- Nie! - krzyknęła Kylie, tuż do siebie Jamesa.

Monty pociągnął za spust.

## 20

Kylie krzyczała. Dziecko płakało. Nick zgiął się wpół i upadł na dywan.



Z rany w brzuchu zaczęła się sycić krew.

- Ty draniu! - Kylie uklękła koło Nicka, szukając puls. - Nick, proszę, Nick...

- Już nie żyje.

- Nie! To nieprawda...

- Mam strzelić jeszcze raz, żeby nabrała pewno ci?

Kylie, nie wypuszczaj dziecka z ramion, zerwała się na równe nogi i ruszyła w stronę Monty'ego. Nawet nie drgnął, tylko wycelował rewolwer w głowę Jamesa.

Marla zatrzymała się w pół kroku.

- Nie zrobisz tego.

- Chcesz się przekonać?

O Boże, on zabije dziecko. Tak jak Nicka.

- Nie, proszę, nie rób krzywdy dziecku... ale Nick... nie mogę go tak zostawić.

- Idziemy, Marla - rzucił Monty z irytacją.

- Nie... nie jestem osobą, za którą mnie bierzesz.

- Dobrze się składa, kotku, bo ja też jestem kimś innym.

Albo teraz pójdziesz grzecznie ze mną, albo załatwię tego dzieciaka - powiedział spokojnie. Obojgu nie. Zrobiłby to bez wahania, była tego pewna.

Nie miała wyboru. Obejrzała się przez ramię, Nick leżał w hoku, ze miernie bladą twarzą. Jego krew plamała podniszczoną wykładzinę.

- Ale... musimy zadzwonić po karetkę, zrobi coś... nie mogę go tu tak zostawić... Nick... o Boże, Nick... Kocham cię.

- Daruj sobie, Marla. Nie wiesz nawet, co to słowo znaczy. - Montgomery chwycił ją brutalnie za ramię i pociągnął za sobą do windy dla dostawców.

- Nick! - krzyknęła Kylie, szalejąc z bólu i przerażenia. Odnalazła go, a potem zaraz straciła, kiedy odkrył, kim ona jest naprawdę. A teraz Nick nie żyje. Zamordowany. Zastrzelony. Przez nią. - Dlaczego go zabiła? - spytała, czując, jak coś w

niej umiera. Nie, nie może straci Nicka. Nie teraz, kiedy go zdobyła, nie teraz, kiedy wie w końcu, kim jest.

- Był zb dny.

- Zb dny? - wyszeptała w osłupieniu, ciskając w ramionach dziecko.-Nikt nie...

- Zamknij się, dziwko - warknął tym samym straszonym głosem, który słyszała kiedy w swojej sypialni. - Już i tak po nim. Teraz my się zabawimy. Ty i ja. Spodoba ci się to, skarbie. - Przesunął lufę rewolweru po jej policzku. Marla wyciągnęła rękę, ale Monty błyskawicznie przyłożył lufę do główki Jamesa. - Ho, ho, ho. Nie chcesz chyba, żeby mózg tego małego zapaskudził windę, prawda?

Kylie omal nie zwymiotowała. Drżała na całym ciele, nogi się pod nią ugięły. Oblał ją zimny pot.

- Jesteś szalony - wyjąkała.

Monty wcisnął guzik najniższego poziomu i wyrwał dziecko z jej ramion. Próbowała mu je odebrać, ale wtedy pchnął ją na cian. Dziecko krzychało przeraźliwie.

- Albo grzecznie ze mną pójdiesz, Marla, albo zabij tego bachora na twoich oczach... nie, raczej zabiorę go ze sobą i nigdy się dowiesz, co się z nim stało, rozumiesz? Nie dowiesz się, czy żyje, czy nie, czy może dla rozrywki torturuję go całymi dniami. Spodzisz resztę życia w swoim małym, prywatnym piekle.

- Prędzej cię zabij! - krzyknęła Kylie, spoglądając na guzik alarmu. Wiedziała jednak, że nigdy go nie naciśnie, nigdy nie zaryzykuje życia swojego syna.

Monty patrzył na nią z okrutnym uśmiechem.

- Spróbuj tylko, dziwko.

Kylie opuściła ręce.

- Czego... czego chcesz?

- Wszystkiego, Marla. Tak jak ty. Absolutnie, kurwa, wszystkiego.

- Przesunął wzrokiem po jej ciele. - Tego, co mi się należy.

Ogarn ły j mdło ci.

- To ty próbowałe mnie zabi . Wyskoczyłe przed mercedesa Pam, tam, na drodze, a potem byłe w szpitalu i w mojej sypialni. Dodałe mi czego do soku.

- Tak, to było naprawd niezłe. Musiałem wej do twojego pokoju, ale robiłem to ju wcze niej. No, no, jeste bardziej inteligentna, ni si wydajesz.

Przypomniała sobie sylwetk w oknie.

- Ale ci si nie udało - rzuciła. Postanowiła, e nie da si zastraszy .

- Wkrótce to naprawi . - Zwrócił si do Jamesa: - Zamknij si ! Zamknij si , kurwa!

- To tylko dziecko!

- Nie, to nie tylko dziecko. To pieprzony wnuk Conrada Amhursta -sykn ł. Winda zatrzymała si na poziomie parkingu.

Kylie rozpaczliwie starała si wymy li jaki sposób, by uciec z r k tego szale ca. Monty wypchn ł j z windy na parking. Poczwała silny zapach spalin i smaru.

- No, dalej - powiedział i pchn ł j w stron betonowych schodków prowadz cych na ulic .

Niebo było ciemne, jak w nocy, wiał silny, porywisty wiatr. Kylie my lała o Marli i Aleksie, Eugenii, Philu Robertsonie, Cherise i Donaldzie Favier. Kto jeszcze był zamieszany w ten straszny spisek? Ilu ludzi zgin ło przez pieni dze Conrada Amhursta? Pam Delacroix. Charles Biggs. A teraz Nick. Drogi Nick.

A wszystko przez ni .

Przez chciwo .

Przez jej pragnienie, by sta si inn kobiet .

Teraz, tego mrocznego, zimnego poranka, starała si patrze jednocze nie na rewolwer Monty'ego, skryty pod jego kurtk , i swoje dziecko. Czy mo e zaryzykowa i zawoła o

pomoc? Chwyci swoje dziecko i zacznie uciekać, nie myślała o tym, co może się stać? Nie... było już za późno.

- Obiecuję, że nie skrzywdzisz mojego dziecka - błagała. - Możesz zabrać je z powrotem do mieszkania i zostawić je tam albo wezwać taksówkę i zapłacić kierowcy, żeby zabrał je do...

- Zamknij się! - ryknął Monty, patrząc na nią z wściekłością. - Dzieciak zostaje ze mną.

- Ale...

- Wsiadaj - warknął, kiedy doszli do granatowego jeepa. Tak, to na pewno był ten sam samochód, który, zdaniem Nicka, je dził za nimi, ten sam, który stał pod kołami Donalda Faviera. Kylie nie miała wyboru. Przerażona, wsiadła do wozu. W środku było brudno, mierzchało dymem papierosowym i smarem. Na podłodze leżało mnóstwo butelek po piwie i starych opakowań po meksykańskim jedzeniu na wynos. - Zapnij pas - rozkazał, siadając za kierownicą i kładąc sobie płaczące dziecko na kolanach. Kylie wyciągnęła go niechętnie i natychmiast oberwała kolbę rewolweru po nadgarstkach.

- Nadanych numerów - ostrzegł ją Monty. - Lepiej się uspokój. - Włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił, drugi raz podtrzymał Jamesa. - Jeśli zbyt gwałtownie zahamuję, dzieciak wyleci przez przednią szybę, tak jak Pam, albo zabije go poduszka powietrzna.

Kylie, przerażona, nie miała się poruszyć. Robiła wszystko, co jej kazał. Silnik zapalił i James rozkrzyczał się na dobre. Monty zjechał z krawężnika i wcisnął gaz. Jeep ruszył w górę ulicy. Dziecko zanosilo się od płaczu, a Kylie nic nie mogła zrobić. Myślała o Nicku. Na pewno już nie żyje, a wkrótce... wkrótce jej dziecko także zginie. Chyba, że ona będzie posłuszna. Wtedy może... O, Boże, czy będzie w stanie to zrobić?

Pójść do łóżka z tym zboczonym mordercą? Czy będzie potrafiła udawać, że jest kimś, kim nie jest, tak jak udawała zeszłej nocy, chcąc wywieźć w pole Aleksa? Zrobiło jej się

niedobrze, omal nie zwymiotowała. Ale w głębi serca wiedziała, że zrobi wszystko, by ratować swoje dziecko.

Nawet gdyby musiała w tym celu uwieść tego drania, który miał los Jamesa w swoich brudnych, okrutnych rękach.

- Co się tu, do diabła, stało? - zawołał Paterno. - Zadzwoń na 911. Karetka, szybko! - Paterno ukląkł przy Nicku, leżącym na korytarzu przed mieszkaniem Kylie Paris. Poszukał pulsu i zrozumiał, że Nick Cahill umiera. - Został, został tutaj - powiedział i Nick odemknął powieki.

Drzwi na korytarz otworzyły się z trzaskiem. Janet już rozmawiała przez komórkę.

- Kylie - powiedział Nick, z wysiłkiem wyciągnął ją i chwycił ją detektywa za koszulę na piersi.

- Tak, wiem o niej. Nic nie mów. - Paterno rozchylił kurtkę i koszulę Nicka i zobaczył mały ciemny otwór po kuli, z którego sięczyła się krew. Postrzał. - Kto to zrobił? - Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i próbował zatamować krew, nie myśląc nawet o włożeniu rękawiczek.

- Marla... Kylie... Montgomery - wyjącał Nick.

- Cholera, o co ci chodzi?

- Monty - powtórzył Nick, patrząc na niego szklistym spojrzeniem. - Maj.

- Kto? Gdzie oni są? Gdzie jest Marla?

- Na ranczu... ranczu... Cahillów... ale Kylie... musicie znaleźć... - Urwał i stracił przytomność.

- Karetka już jedzie - powiedziała Janet, pochylając się nad nim i ujmując jego rękę, która zsunęła się z koszuli Paterno. Zmierzyła puls.

- Oby tu była jak najszybciej. - Paterno nie wierzył, że Nick przeżyje. Jeszcze jedna ofiara.

- Jezu - szepnęła Janet, zobaczywszy ranę Nicka i nasiąkniętą krwią chusteczkę Paterno. Zabrzmiało to bardziej jak przekleństwo niż modlitwa. - Nie wyjdzie z tego.

- Nie uda ci się - powiedziała Kylie, kiedy Montgomery sięgnął do schowka na rękawiczki i wyciągnął pilota, otwierając go nie tylko bramy wjazdowe, lecz również garaż.  
- W domu jest pełno służyby.

- Czy by? Cóż, starsza pani jest w Cahill House, gdzie wręcz przygotowania do tej głupiej imprezy, Lars cały dzień biegał wozem, gdzie biegała, ta smarkula jest w szkole, Alex załatwia formalno ci związane z pogrzebem twojego ojca, a reszta służyby dostała wolny dzień - włącznie z powodu śmierci starego.

Sama? Biegał z nim w domu sama?

- Wiem tak dostawała się do domu - powiedziała, patrząc na pilota.

- Alex ci to dał?

- Młoda dziewczynka - pochwalił Monty, podrzucając Jamesa. - Zaraz będziemy w rodku.

- I co będziemy robić? - spytała. - Czego włącznie ciwie chcesz?

- Pieniądzy.

- Nie mam pieniędzy.

- Ale masz do nich dostęp... przez komputer. Zrobisz tylko kilka transferów. - Spojrzał na niego z ukosa. - Co znaczy kilkaset patyków wobec życia twojego dziecka?

- Nie mogę się nawet załogować - powiedziała Kylie. - Nie znam... nie znam hasła.

- Jasne, nie znasz. Robiła to setki razy. Widziałem.

- Naprawdę nie mogę. Nie jestem Marl.

- Jasne. Już to słyszałem.

- Ale to prawda! Zamieniłyśmy się...

- Zamknij się, dziwko!

Kylie była zrozpaczona. To sytuacja bez wyjścia. Monty jest przekonany, że ona jest Marl, nie ma sposobu, by mogła go przekonać, że to nieprawda. Założył, że ona może przelać

pieni dze z konta swojego i Aleksa na jego rachunku, ale to niemo liwe. Bo e, co mo e zrobi ?

- Nie pami tam - powiedziała. Monty zmru ył ukryte za okularami oczy.

- Znam cz hasła. Przypomnisz sobie reszt .

Zaparkował jeepa na miejscu, gdzie Marla stawiała kiedy swojego porsche.

- Idziemy. - Wypchn ł j z samochodu, po czym wyszedł za ni , nios c Jamesa. W kieszeni trzymał rewolwer, wymierzony w Kylie. My lała, czy nie rzuci si na niego, ale doszła do wniosku, e to nic by nie dało, bo wtedy on na pewno zastrzeliłby jej syna. Rozejrzała si wokół, szukaj c jakiej broni, ale poza kilkoma starymi kołpakami, które wisiały na cianach, imadłem i podno nikiem samochodowym, którego i tak nie byłaby w stanie dosi gn , w gara u nie było nic.

Nic jej ju nie pomo e. Je li nie zdoła wej do komputera, on si w cieknie i... i... o Bo e, nie mogła nawet my le o tym, co mo e wtedy spotka Jamesa.

Winda zjechała na dół, drzwi si otworzyły i Monty wepchn ł j do rodka. James marudził gło no, co wprawiało Monty'ego w coraz wi ksz irytacj .

- Zamknij si - warkn ł do dziecka.

- Jest zm czony.

- Co za pech. Ucisz go.

- Wi c mi go oddaj. - Wyci gn ła r ce, ale Monty brutalnie j odepchn ł, e uderzyła w przeciwległ cian windy, po czym trzasn ł tłumikiem w podłog .

- Ani si wa .

Mo e na korytarzu b dzie kto ze słu by. Mo e jednak Monty nie wie, co si dzieje w domu, pocieszała si rozpaczliwie, szukaj c cho cienia nadziei w tej okropnej sytuacji. Mo e Fiona jeszcze nie wyszła, mo e Rosa dopiero ko czy odkurzanie. Carmen... jest jeszcze Carmen, ona na

pewno jest w domu... o Bo e, prosz , spraw, eby kto mi pomógł.

Drzwi windy rozsun ły si , ukazuj c pusty hol. Dziecko ucichło nagle.

- Idziemy - warkn ł Monty.

Korytarz tak e był pusty, o wietlony tylko kilkoma lampami. Znik d nie dobiegał brz k naczy , szmer rozmów czy odgłos kroków na schodach... nic nie m ciło tej martwej, przera aj cej ciszy. Monty wepchn ł Kylie do apartamentu, wszedł za ni i zamkn ł drzwi na klucz.

- No, no - powiedział, rozgl daj c si wokół. - Nic si tu nie zmieniło, prawda? - U miechn ł si lubie nie. Okrutnie. W tym u miechu czaiła si przera aj ca obietnica. - Sp dzili my tu razem sporo czasu. Całkiem sporo.

Kylie znowu ogarn ły mdło ci.

- Nie pami tam.

- Nie? - Spojrzał na ni uwa nie i u miechn ł si drwi co. - Wielka szkoda, nie s dzisz? Mo e powinienem ci przypomnie ?

O Bo e, to jej szansa. Je li starczy jej odwagi i opanowania. Tak, trzeba troch w sobie pogrzeba , przypomnie sobie t dawn Kylie, dziewczyn z jajami, która nie zawahała si przed niczym, eby dosta to, czego chciała.

- Na przykład jak? Masz jaki pomysł? - Uniosła zalotnie jedn brew.

- Mam swoje sposoby.

- Jeste tylko mocny w g bie, Monty - powiedziała.

Monty zawahał si , najwyra niej jej nie ufał.

- Zobaczymy - odparł. - Czekaj tu. - Powoli poło ył Jamesa na dywanie.

- Co robisz?

- Zaraz zobaczysz.

- Prosz , prosz , nie ró b mu krzywdy.

- Nic mu nie zrobi . Je li ty zrobisz, co ci ka .



- Obiecuję, że go nie skrzywdzisz - błagała, przerażona.

- Dobra, obiecuję. - Jego oczy błyszczały złośliwie.

Nie ufała mu. Drżała na całym ciele, marzyła tylko o tym, by móc wziąć na ręce Jamesa, który leżał teraz koło stolika do kawy.

- A teraz, ruszaj. - Wskazał rewolwerem sypialnię. - No, dalej, Marla.

Rób, co ci każę. James jest teraz bezpieczny. Może ktoś gdzie przechodził i... jeżeli ktokolwiek jest w domu.

Serce podeszło jej do gardła. Weszła do sypialni Marli Cahill, z narzut perfekcyjnie dobrany do zasłon. Monty wszedł za nią. Spojrzał na wielkie łóżko i uśmiechnął się szyderczo.

- No dobra, dziwko, tutaj wszystko się mi dźwiży nami zaczął. Może więc tu powinno się skończyć. Najwyższy czas.

Kylie z trudem przełknęła ślinę.

- Skoro uważasz, że to dobry pomysł.

- Myślę, że to świetny pomysł - powiedział. Wymierzył lufę rewolweru w jej skroń, a drugi ręk przycisnął ją do siebie gwałtownie i przycisnął usta do jej warg. Poczuli stęchlą zapach papierosów i kawy i natychmiast znowu ogarnęły ją mdłości. Zamknęła oczy i umysł. Wiedziała, że jeżeli zaciśnie go do łóżka, zyska na czasie i może uda jej się wyrwać mu rewolwer albo... albo sięgnąć pod materac i wyjąć rewolwer Aleksa. Monty obmacywał ją szorstko jedną ręką, dotknął jej piersi i zsunął dłoń z niej.

- No, dalej - powiedział, popychając ją w stronę łóżka. Cofnęła się i poczuła, że zagłębieniem kolan dotknęła materaca. - Zaraz zobaczymy, co potrafisz. Pamiętaj, że robiłaś laski jak adna inna.

Kylie jąknęła zmysłowo, choć w rodkiem skręcała z obrzydzenia. Razem upadli na łóżko, ale Kylie zdążyła jeszcze wycisnąć ręk i kiedy Monty znowu zaczął ją całować, przycisnęła guzik intercomu, po czym oddała mu pocałunek i

obj ła go mocno ramionami, jakby go miała nigdy nie pu ci . Nie wypuszczaj c rewolweru, Monty rozpi ł jej bluzk woln r k , dotkn ł jej piersi, pocieraj c jej sutki przez materiał stanika.

Marla zadr ła, udaj c podniecenie, którego nie czuła, i zacz ła ci ga z Monty'ego kurtk i bluz . Przesun ła dło mi w gór jego w skiej klatki piersiowej, czuj c pod palcami rzadkie, szorstkie włosy.

- O, tak, mała - wymruczał, przymykaj c oczy. Ci gle jednak przytykał luf rewolweru do jej krtani.

Kylie przesun ła si w dół i rozpi ła zamek napi tego na twardym wybrzuszeniu rozporka.

Nie dam rady, my łała gor czkowo, ale dotkn ła go palcami, przesuwaj c dło najpierw delikatnie, potem szybciej, a usłyszała zduszony, gardłowy j k. Bo e, pomó mi. Drug r k wsun ła pod materac, szukaj c rewolweru. W ko cu jej palce natrafiły na chłodny metal.

- Tak... o tak, mała, a teraz ci gnij... - wyj czał Monty i Kylie omal na niego nie zwymiotowała.

- Zdejmij spodnie - powiedziała dr cym głosem.

- Ty to zrób.

Usłuchała, ci gaj c je w dół obiema r kami. Lufa rewolweru obsun ła si troch . Kylie poruszała si tak, jakby naprawd miała zamiar go rozebra i zsuwaj c spodnie, musn ła palcami wewn trzn stron jego ud.

- O tak... o tak... -j czał Monty.

Kylie znowu opu ciła jedn r k i wsun ła j pod materac. Znalazła rewolwer i spocona ze zdenerwowania zacz ła przyci ga go powoli do brzegu łó ka. W ko cu zdołała go wyj .

Monty ci gle trzymał w r ce swój rewolwer, ale jego palce rozlu niły u cisk, nie przytykał te lufy do jej szyi. Kylie, z ustami przy jego udzie, zacz ła szepta co nieprzyzwoitego.

- Wiesz, e tego chc - dyszała. - Nikt nie był tak dobry jak ty, Monty. Nie chciałam tylko w to uwierzy ...

- Udowodnij to. Ci gnij.

Pomocy, pomodliła si Kylie w duchu. Zmieniła pozycj , ostro nie uniosła nog i z całej siły uderzyła go kolanem w j dra.

Monty zawył z bólu i zwin ł si w kł bek, wypuszczaj c z r ki rewolwer, który spadł z łó ka na podłóg .

- Ty pieprzona dziwko! - rzucił z w ciekło ci , si gaj c po swoj bro .

Kylie chwyciła rewolwer Aleksa i odbezpieczyła go błyskawicznie.

- Ty dziwko! Zapłacisz mi za to! - rykn ł Monty, przechylaj c si nad kraw dzi łó ka i chwytaj c le cy na podłodze rewolwer.

Kylie nie czekała ani sekundy. Wycelowała i nacisn ła spust. Rozległ si ogłuszaj cy huk. Monty wydał przera liwy krzyk, jego rami eksplodowało i krew zmieszana z odłamkami ko ci opryskała ciany, łó ko, koronkowy baldachim i Kylie. Monty stoczył si z łó ka, z jego ramienia lała si krew.

Gdzie w pobli u rozległ si płacz dziecka i czyje szybkie kroki. Wreszcie nadeszła pomoc.

Kylie, dysz c szybko, z twarz zalan łzami, cały czas trzymała rewolwer wycelowany w Monty'ego, który jako zdołał si podnie i zrobi krok w jej stron . Wtedy jednak zapl tał si w zsuni te do kostek d insy.

- Nawet o tym nie my l - rzuciła Kylie, gotowa w ka dej chwili znowu do niego strzeli , cho r ce jej si trz sły. Monty upadł na podłóg , dysz c ci ko i j cz c z bólu. - Nie ruszaj si .

Monty zemdłał.

Kylie zeszła z łó ka w chwili, kiedy drzwi sypialni otworzyły si z trzaskiem.

Wtedy cała jej nadzieja i odwaga znikn ły.

Stała, półnaga, twarz w twarz ze swoją przyrodnią siostrą, kobietą, której przez całe życie zazdrościła. A Marla nie była sama. W ramionach trzymała Jamesa.

- Co... co ty tu robisz? - spytała Kylie.

- To mój dom.

- Ale...

- Przyszłam po mojego syna.

- Nie odbieraj mi go - powiedziała Kylie błagalnie. W drzwiach stanął Alex.

- Za pół godziny Kylie - uśmiechnął się zimno. W rękach trzymał rutówkę, którą wycelował w Kylie. - Zgodnie z moim scenariuszem, to jest twój kochanek, Montgomery, a ty próbowałaś porwać naszego syna i za niego okupu. Ale twój plan się nie powiódł. Montgomery chciał cię wystawić do wiatru i pozabijali cię się nawzajem.

Kylie zwróciła lufę swojego rewolweru w kierunku Aleksa, ale on tylko się uśmiechał.

- No dalej, spróbuj zastrzelić mnie albo Marla... to tylko doda mojej wersji wiarygodności ci. Powiem, że musiałem cię zabić w obronie swojej rodziny. I pamiętaj, że jeśli zaczną wista kule, twoje dziecko może oberwać. Chyba nie podejmiesz takiego ryzyka.

- Dlaczego zrobili ci to wszystko? - spytała Kylie. Bała się, ale czuła też, że ogarnia ją gniew.

- Naprawdę się działo, że kiedykolwiek oddam ci to dziecko? - spytała Marla.

- Wiedziałam, że w tym siedziałam.

- Od samego początku. Zawsze była mi sol w oku. Nie mogłam znieść myśli, że muszę cię prosić, by poczęła moje dziecko.

Marla obcinała włosy tak samo jak Kylie i była teraz tak do niej podobna, że niewiele osób byłoby w stanie od siebie odróżnić. To wszystko było chore.

- Skąd wiedzieli cie, gdzie jechałam tamtej nocy... po tym, jak pokłócili my się tu w holu? - spytała Kylie, grając na zwłok i usiłując wymyślić jakiś sposób, by odebrać Marli dziecko i uciec.

- Wiedzieli my, że złapiesz przynętę i pojedziesz do Monterey - odparł Alex. - Jezu, to te ustawili my. Udałem, że Marla do mnie zadzwoniła. Wiedziałem, że podsłuchasz te rozmowy - przynajmniej cz... - i dowiesz się w informacji telefonicznej, z jakim numerem miałem połączenie. I dostała numer tego małego hotelu.

- Ale ciebie tam nie było, prawda? - spytała Kylie, patrząc na Marl

- Nie. Montgomery mnie zastąpił. A gdy tylko wyszła, Alex zadzwonił do niego i kazał mu jechać na ustalone wcześniej miejsce na drodze nr 17. - Oczywiście Marli nie widać, jakby włączyła nie wygrała jakieś bardzo ważne zawody.

- Ale ja mogłam pojechać inną drogą - powiedziała Kylie.

- Jechali my za tobą - odparła Marla. - Alex, ja i James. Wynajmij tym samochodem. Pojechali my za tobą na Haight Street i widzieli my, jak wsiadasz do mercedesa Pam. Wtedy wystarczyło jej tylko zadzwonić do Monty'ego, który zaraz zajął swoje miejsce. Obecnie Pam była tylko szczęśliwym przypadkiem. Mieli my zamiar się z nią dogadać, bo nie do... e postanowiła zostać twoim prawnikiem, to chciała jeszcze napisać cholerną księgę. Ty, niestety, nie zginęłaś w wypadku, ale przynajmniej jej udało nam się pozbyć.

Kylie zacisnęła palce na zakrwawionym przez cieradło. Wydawało jej się, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Myśl, Kylie, myśl!

- Ale dlaczego Monty chciał mnie zabić?

- Nie ciebie - odparł Alex. - Marl. Chciał zabić Marl dlatego, że go zdradziła, i dlatego, że potrzebował pieniędzy. Monty wpadł w dołki kosztowny nałóg. Kokaina jest droga.

Kylie spu ciła głow i ukryła twarz w dłoniach, ale wiedziała, e nie mo e si podda , nie mo e pozwoli im wygra . My lała szybko, zastanawiaj c si , jak wyrwa Aleksowi strzelb i uratowa Jamesa.

- Cherise te brała w tym udział?

- Nie, nie miała o niczym poj cia. - Marla za miała si ponuro -Ale ona zawsze była głupia. Tak jak i jej brat. Wykorzystywałam go, rozumiesz. Kiedy Alex si mn nie interesował, wykorzystywałam Monty'ego, eby si na nim odegra .

- Naprawd potrafisz by wredn dziwk - powiedział Alex z nut uznania w głosie, co wydało si Kylie odra aj ce. Oni wszyscy byli chorzy. Skrzywieni. - No dobra, teraz skorzystamy z tej trzydziestki ósemki.

- Kopn ł rewolwer w stron Marli. - Ty to zrób. Sta koło Monty'ego i zastrzel j .

Marla przybladła.

- Nie mog ...

- Musisz.

- Nie, Alex. Nie... nie potrafi poci gn za spust.

- Na lito bosk ! - Alex zrobił krok w przód i w tej samej chwili rozległ si strzał, przygłuszony tłumikiem i Alex drgn ł, po czym zwałił si na ziemi , upuszczaj c strzelb .

- Nie! - krzykn ła Marla.

Monty, z rewolwerem w dłoni padł na wznak, zamykaj c oczy.

Kylie chwyciła strzelb i zerwała si na nogi. Wycelowała w Monty'ego, ale on le ał nieruchomo. Przebiegła przez pokój i kopn ła rewolwer do łazienki. Cały czas mierz c w Monty'ego, cofn ła si i wpadła na Marl , pochyłon nad ciałem m a.

- Oddaj mi mojego syna! - rozkazała Kylie.

- Ale Alex... jest ranny...

- Niech się wykrwawi na mierz. Dawaj dziecko! - Kylie wyrwała jej w kołcu Jamesa. Marla łkała rozpaczliwie, tuliła do siebie głowę Aleksa, z którego ust wypływała ciemna, gęsta krew. Kylie mocno przycisnęła do siebie zanoszącego od płaczu Jamesa.

- To wszystko twoja wina! - krzyknęła Marla, podnosząc ku niej zalaną łzami twarz.

- I tu się włączyć nie mylisz - odparła zimno Kylie. - Bo to twoja wina.

Usłyszała szybkie kroki na schodach, a potem bliżej, na korytarzu.

Dziękuję Bogu! Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł Tom. Stał jak wryty, z przerażeniem patrzył na zakrwawionego łokcia, półnagi Kylie, Aleksa, Marla i nagiego mężczyzny leżącego w kci.

- Co, u diabła...

- Dzwonić na policję! - krzyknęła Kylie.

Monty jęczał, a Alex przykała dym płótkim, urywanym oddechem wypluwał z płuc krew. Tom stał, osłupiały.

- O Boże, nie! Kochanie, nie umieraj... - łkała Marla. - Nie teraz. Nie teraz, kiedy w kołcu wszystko jest nasze.

Monty poruszył się, usiłując wstać.

- Jeden krok, ty sukinyńco, a przysięgam, że ci rozwalę!  
- rzuciła Kylie ostrzegawczo i zwróciła się do Toma. - Dzwonić na policję, do cholery! Szybko!

- Policja... zaraz tu będzie - odparł błędnie jak ciana Tom.  
- Słyszałem wszystko przez intercom... akurat szedłem do kuchni. Zadzwoń na 911. Mam... mam rodziców opatrunkowe w moim pokoju.

- Wić je przynieść.

- Pani sobie poradzi?

- Tak! Idź już!

Tom wybiegł z pokoju. Gdzieś w domu zaczął szczekać pies. W oddali rozległ się sygnał karetki. Alex wydal ostatnie

tchnienie i znieruchomiał. Marla wybuchnęła głośnym płaczem, rozmazując po twarzy łzy. Montgomery jęczał z bólu. Miał strząskaną kość przedramienia. Wyglądał, jakby opuciła go wszelka chęć walki.

- Co takiego powiedziała? - chcesz wszystkiego? - wszystko ci się należy? - zadrwiła Kylie, cięgle mierząc w jego ałosne, nagie ciało, choć ręce jej drżały. - Cóż, zdaje się, że wreszcie dostaniesz to, co ci się należy. I będzie to piekło! - spojrzała w dół, na swoją przyrodnią siostrę. Marla, z rozmazanym po całej twarzy tuszem do rzęs, próbowała przywrócić życie swojemu młowi.

- Alex, Alex, proszę, nie umieraj...

Kylie, stojąc nad nią, mocniej przytuliła do siebie Jamesa. Prawie zrobiło jej się żal Marli Amhurst Cahill. Prawie.

Trzy godziny później Kylie siedziała przy łóżku Nicka na oddziale intensywnej opieki medycznej szpitala Bayside. Leżał nieruchomo, a przymocowane do jego ciała rurki cały czas przypominały jej, jak kruche jest życie.

- Nie może umrzeć - szeptała, trzymając go za rękę. Usiłowała powstrzymać napływające do oczu gorące łzy. - Słyszysz? Nie może umrzeć!

- Pani Cahill, kto chciałby się z pani zobaczyć - oznajmiła pielgniarka.

- Nie chcę się z nikim widzieć. I nie nazywam się Cahill. Jestem Kylie Paris. - I kocha Nicka. Nie, nie zniesie myśli, że mogłaby go stracić. - Zostaniesz tu ze mną. - cisnęła jego dłoń.

- To policjant - wyjaśniła pielgniarka. - Detektyw Paterno.

Kylie podniosła głowę i zobaczyła przez szybę twarz detektywa.



- Zaraz wracam - powiedziała do Nicka, choć wiedziała, że jej nie słyszy. Wyszła szybko z sali i omal nie wpadła na detektywa.

- Mogło być zeznanie pó niej? - spytała, spoglądając przez ramię na Nicka.

- Nie dlatego tu przyszedłem.

- Wiadomo dlaczego? O Boże, nie chodzi chyba o dziecko... - Nagle ogarnął ją przerażenie.

- Nie, nie. O ile wiem, jest cały czas z babci i niani. Pani Eugenia musiała wziąć rodki uspokajające, ale Fiona to energiczna dziewczyna. Razem z Carmen przeżyły dowodzenie. - Paterno wsadził sobie do ust owoc gumy do ucia. - Jak tam Nick? - spytał, wskazując głową okno.

- Powinien z tego wyjść - odparła Kylie, chociaż sama nie była o tym przekonana. - Kula przeszła przez ledzion. Operowali go kilka godzin temu. Chirurg powiedział, że wszystko będzie dobrze, ale... - Spojrzała na Nicka z niepokojem. - Wciąż jest nieprzytomny.

- Wyjdzie z tego. Twardy z niego chłop - powiedział Paterno. - A teraz chyba powinna pani pójść ze mną. Jest ktoś, z kim może chciałaby pani porozmawiać.

- Marla - szepnęła Kylie. Na myślała o przyrodniej siostrze, z którą całe życie rywalizowała, która była jej największym wrogiem, Kylie ogarnął gniew. To ona wpadła na szatański pomysł, by kupić jej dziecko, to ona chciała ją zabić. Przez lepe, egoistyczne ambicje Marli i Aleksa niepotrzebnie zginęli Pam Delacroix i Charles Biggs, Conrad Amhurst rozstał się z tym światem, zanim jego czas nadszedł, sam Alex marnie skończył, a Nick walczył o życie w szpitalu.

- Tak. Teraz, kiedy jej nie ma, będzie zeznawała, ale chce prawnika. Przyznała się, że udawała cię i że pani amnezja była im na rękę. Pó niej podawali pani rodki odurzające, żeby nie zaczęła pani odzyskiwać pamięci. Ale zdarzyło im się spotkanie.

- Pier cionek z rubinem.
- Wspomniała o nim. - Paterno kiwn łą głow . - Alex wło ył go do kasetki z bi uteri nast pnego dnia.
- A ja s dziłam, e trac rozum.
- Nie wiedziała jednak, jak udało si pani wej do gabinetu.
- Ukradłam klucze Eugenii... czy ona te brała w tym udział?
- Nie! Niewinna jak dziecko. Jest przera ona tym, co si stało. Wiedziała, e Alex i Marla mieli problemy i e w firmie nie działa si najlepiej, ale nie miała poj cia, e ich sytuacja finansowa jest rozpaczliwa. Rozmawiałem z ni , ale była okropnie zdenerwowana i ten piel gnierz, Tom, dał jej co na uspokojenie. Jest z ni teraz.
- Dobrze. A doktor Robertson?
- Ci gle go przesłuchujemy. Tkwi w tym po uszy. Na pewno straci prawo do wykonywania zawodu i odsiedzi swoje. A wracaj c do człowieka, którego uwa ała pani za swojego m a - otó Alex Cahill był ju dzi w domu opieki i załatwił formalno ci zwi zane ze mierci Conrada Amhursta. Zadzwoił do swojego adwokata, bardzo mu zale ało na po wiadczeniu autentyczno ci testamentu. Ale to ju bez znaczenia. Prawnicy to załatwi .
- Chciałabym, eby to wszystko si ju sko czyło.
- Sko czy si . Pewnego dnia. - Paterno spojrział na ni z ukosa. -Chodziło tylko o pieni dze, rozumie pani. Cahillowie znale li si na skraju bankructwa, Alexander stracił wiele na giełdzie i innych inwestycjach, po cichu wypłacał te wielkie kwoty wielebnemu Favier...
- Wielebnemu Donaldowi - mrukn ła Kylie pod nosem.
- Tak, jemu, a tak e Montgomery'emu i Philowi Robertsonowi. Bardzo hojnie wspierał klinik i szpital. Jego jedyn szans był spadek Marli. Kiedy jednak pani postanowiła zatrzyma dziecko, zrozumiał, e grozi mu ruina. Nie mógł na

to pozwolił i kazał Monty'emu zabić „Marlę”. Wiedział, że mieli romans kilka lat temu i że Marla go rzuciła. Nawet Monty się na to nabrał. Nie miał pojęcia, że nie jest panią kobiet, którą próbował zabić, a do chwili, kiedy prawdziwa Marla weszła dzień rano do swojej sypialni.

- Gdzie on teraz jest?

- W szpitalu. Pod strażą Jego prawa ręka nigdy już nie będzie w pełni sprawna, ale to i tak bez znaczenia. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wyszedł z więzienia. Siostra z nim teraz siedzi. Jest w szoku, oczywiście, ale modli się za jego duszę. - Paterno uśmiechnął się krzywo. - Będzie musiała odklepać wiele Zdrowa Mario i Ojciec Nasz, żeby wyprosił przebaczenie dla czarnej duszy swojego brata.

- Chyba wyznawcy Kościoła w tej Trójcy nie odmawiają różańca.

- Powinni zacząć. My, katolicy, uważamy, że to działa.

Wsiadli do windy i zjechali na parking. Paterno zaprowadził Kylie do policyjnej furgonetki.

- Rozumie pani, to nie jest normalna procedura.

- Ale pan też nie jest policjantem, który zawsze postępuje zgodnie z procedurą, prawda?

- Racja.

Kylie spojrzała przez okno do rodzka i zobaczyła swoją przyrodni siostrę.

- Rzeczywiście jesteście do siebie bardzo podobni - zauważył Paterno.

- Niestety.

Marla, z której twarzy zniknęła makijaż, patrzyła na Kylie, mrucząc przy niej, zimnej furii. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Kylie natychmiast padłaby trupem.

- Chce jej pani coś powiedzieć?

Kylie tylko potrząsnęła głową.

- Wszystko zostało już powiedziane - stwierdziła. Nie czuła już zazdrości, tylko odraz i litość. - Musz wraca na gór , do Nicka.

- Myślałem, że będzie jej pani chciała powiedzieć , co o niej myśli.

- Póć niej. W s dzie.

Marla patrzyła na niego z nienawiści przez szybę i mówiła coś , pogardliwie wykrzykiując usta. Kylie nie słyszała jej, ale z ruchu warg odczytała jedno ze słów. „B kart”. Kiedy to określenie bardzo jej bolało. Teraz nie robiło już na niej wrażenia.

- Zabierzcie ją - powiedział Paterno do jednego z policjantów.

Nic nie widział, nie mógł mówić , nie... o Boże, nie mógł poruszyć ręki . Próbował otworzyć oczy, ale ciemne powieki ani drgnęły. Wąsy chyba z toniły i wydawały się przyklejone do gałek ocznych, palących obezwładniającym bólem.

- Nick?

Poczuł dotyk czyich chłodnych palców na wierzchu dłoni.

- Nick, słyszysz mnie?

Głos kobiety, miękki, zdawał się dochodzić gdzieś z bardzo daleka... z drugiej strony tego straszego bólu.

Był to głos Marli. Nie, nie Marli, Kylie.

Z trudem uniósł powieki i spojrzał w oczy zielone, jak las o wschodzie słońca. Czuł nieznośny ból w boku, ale uśmiechnął się słabo, czując jej łzy na swoich rękach.

- Gdzie była ? - spytał.

- Właśnie miałam ci zadać to samo pytanie. - Kylie głoności gnęła nosem. - Naprawdę mi porządnie stracha, Cahill.

- Jak się czujesz?

- A ty? - Spojrzała uważnie na jego twarz. - lewy wyglądasz, wiesz o tym.

- Czuj si jeszcze gorzej.
- Kylie za miała si i uj ła go za r k .
- Dzi ki Bogu, e jeste taki twardy.
- Ciesz si po prostu, e wróciłem, Marla - powiedział.
- U miech znikn ł z jej twarzy. Odwróciła na chwil wzrok, a pó niej znowu na niego spojrzła, mru c oczy.
- To nie było zabawne.
- Ale jest, Kylie.
- Nie wiem, sk d u ciebie takie poczucie humoru - mrukn ła. Nick przyci gn ł j do siebie.
- Có , kochanie. Nie przejmuj si . Jestem banit , pami tasz? - powiedział, wci gaj c w nozdrza zapach jej perfum.
- Jak mogłabym zapomnie ?
- Nie mo esz - powiedział z krzywym, zło liwym u mieszkim. -Bo gdy tylko st d wyjd , zabierzemy małego i Cissy i wyjedziemy do Oregonu. Zamieszkamy tam razem i zostawimy to wszystko za sob . Mama te b dzie mogła z nami pojecha , je li zechce, ale zało si , e nie zechce.
- My łałam, e jeste na mnie zły. - Kylie starała si zapanowa nad emocjami.
- Byłem. Ale przemy łałem sobie wiele rzeczy i s dz , e mo e... nie, e na pewno razem stworzymy sobie wspañale ycie.
- Miałe operacj , a potem było nieprzytomny. Chyba nie miałe zbyt du o czasu na przemy lenia.
- Wcale nie potrzebowałem du o czasu - mrugn ł do niej, a Kylie zadr ła pod jego spojrzeniem. - Nie lubi si przyznawa do bł dów, ale musz ci powiedzie , e si myliłem, mówi c, e jeste gorsza od Marli. Wiedziałem, e jeste inna. Obserwowałem ci z Cissy i z małym... i kiedy była ze mn i... i...
- Naprawd ? - Kylie pragn ła z całego serca, aby tak wła nie było.

Nick uśmiechnął się w wysiłkiem.

- O tak, i próbowałem zwalczyć to uczucie, mówiłem sobie, że chcesz mnie wystrychnąć na dudka.

Kylie przewróciła oczami.

- Czy to w ogóle może być liwe?

- Niestety tak, już mi się to kiedy przytrafiło. Chyba próbuj ci właśnie powiedzieć, że cię kocham, Kylie. Wiem, że zrobiła wiele złych rzeczy w swoim życiu i że czujesz się winna, ale od kiedy urodziła dziecko, bardzo się zmieniła.

Kylie, że ci nie tym gardłem, zamrużyła powiekami.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. Stała się kobietą, którą teraz jesteś. Kobietą, w której się zakochałem.

- Ale co ty właśnie ciwie o mnie wiesz?

- Że nie jesteś Marli, że jesteś Kylie i że tego, co czuję do ciebie, nigdy jeszcze nie czułem. Do żadnej kobiety. Nigdy nie zakochałbym się znów w Marli. W tobie jest więcej ciepła, a jednak potrafisz być twarda... Nie jesteś kobietą, za jaką ci brałem, i dlatego ci właśnie nie pokochałem.

Spojrzenie jego szczerych, niebieskich oczu przemawiało prosto do jej serca. Tym razem mu uwierzyła.

- Ja też cię kocham - wyszeptwała.

- Wiem, skarbie. I nigdy nie pozwolę ci o tym zapomnieć.